













PISARZE POLSCY





ZDZISŁAW DĘBICKI

# PISARZE POLSCY

TOM II

OD ZIMOROWICÓW DO PASKA



179 1979/2

WARSZAWA ————— POZNAŃ  
NAKŁAD BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBORO-  
WYCH I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

<http://rcin.org.pl>



F. 23. 230/2



---

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

<http://rcin.org.pl>

## Spis rzeczy.

---

	Str.
Zimorowice — Szymon i Bartłomiej . . . . .	1
Krótki wybór pism Szymona i Bartłomieja Zimorowiców	33
Samuel ze Skrzypny Twardowski . . . . .	65
Krótki wybór pism Samuela ze Skrzypny Twardowskiego	97
Wacław Potocki . . . . .	151
Krótki wybór pism Wacława Potockiego . . . . .	169
Wespazjan Kochowski . . . . .	201
Krótki wybór pism Wespazjana Kochowskiego . . . . .	257
Opalińscy — Krzysztof i Łukasz . . . . .	273
Krótki wybór pism Krzysztofa i Łukasza Opalińskich .	305
Morsztynowie — Jan Andrzej, Hieronim (Jarosz), Zbigniew i Stanisław . . . . .	333
Krótki wybór pism Morsztynów . . . . .	369
Stanisław Herakljusz Lubomirski — Jan Chryzostom Pasek	401
Krótki wybór pism Lubomirskiego i Paska . . . . .	437

---



## ZIMOROWICE

SZYMON (1608—1629) i BARTŁOMIEJ (1597—1677).

Przestrogi i nawoływania do naprawy Rzeczypospolitej, będące tak wybitną cechą literatury Złotego wieku, nie odniosły skutku. Prorocze wizje złotoustego kaznodziei sejmowego, polskiego Jeremiasza, ks. Piotra Skargi, już od połowy XVII-go wieku przybierać zaczęły kształty realne. Stawały się jeśli nie rzeczywistością narodu, to rzeczywistością państwa, staczającego się ku przepaści. Po świetnych zwycięstwach Batorego, po niemniej świetnym pochodzie Stanisława Żółkiewskiego na Moskwę, przyszły klęski, zdrady, sromoty, których wykładnikiem najwymowniejszym są Pilawce, świadczące, jak głęboko posunął się już był rozkład i do jakiego upadku przywiódł rycerską szlachtę rozbrat z sumieniem i obowiązkiem żołnierskim.

Polska, szarpana przez nieprzyjaciół, objęta płomieniem wojen kozackich i szwedzkich przez cały niemal czas nieszczęśliwego panowania Jana Kazimierza, nie zdawała sobie dostatecznie sprawy z grozy położenia, nie reformowała się w duchu czasu, ale szła ślepo ku nieuniknionej katastrofie, której nie zażegnała już ofiarna służba Stefana Czarnieckiego, ani nie powstrzymał na ońcu stulecia błysk hetmańskiej, a później królewskiej szabli Sobieskiego. Tak popularna w epoce saskiej zasada »stania nierządem« kłękowała już wówczas w clemnych, podgolonych łbach tłumy szlacheckiego, podniesionego przez kanclerza Zamoyskiego do roli czynnika, rozstrzygającego o losach narodu i państwa.

Po świetnej umysłowości XVI-go wieku nastawał zmierzch. Nowe pokolenie, które otrzymało od poprzedników swoich płonąca pełnym blaskiem pochodnię literatury, nie umiało płomienia jej podsycić i utrzymać. Zaczął on chwiać się, kopcić i śwędzić.

Czas jakiś literatura żyła jeszcze rozpędem, przeniesionym z wieku poprzedniego, ale już pod koniec panowania Zygmunta III-go smak wśród ludzi piszących zaczął upadać, poezja ustępowała miejsca rymowanej prozie, w której panoszyło się pochlebstwo, mające na widoku cele osobiste. Pisarze ówczesni schlebiali królowi, możnowładcom, dostojnikom kościelnym i świeckim, zawsze z widokiem korzystnego dla siebie zrealizowania tych pochlebstw. Długie, napuszone dedykacje towarzyszyły najluchszym nawet utworom i zalecały możliwym tego światła pokorne służby »skromnych autorów«. Coraz bujniej krzewił się i rozrastał t. zw. p a n e g i r y z m (od wyrazu greckiego p a n a e g y r e i s, co znaczy zgromadzenie, na którym wygłaszano mowy pochwalne). Nie w tem jednak tkwiło zło. Panegiryk bowiem, jak każdy inny rodzaj literacki, może być utworem sztuki, jeśli wychodzi z pod ręki prawdziwego poety. Niestety, brak było poetów. Mnożyło się zato i panoszyło wierszoklectwo. Od połowy wieku XVII-go rymowanie stało się rzeczą powszednią, niemal pospolitą dla każdego szlachcica. Pisano wiersze przy każdej sposobności, z lada jakiej okazji. Dziesiątki i setki tysięcy utworów, najnieudolniejszych nawet, krążyły w odpisach po całej Polsce. Ta lichota, dzięki swej mnogości, pokrywała zupełnie lub odsuwała w cień to, co było lepsze, szczytniejsze, co pomimo ogólnego upadku, nosiło jednak na sobie znamiona poezji. I stało się, że przez długi czas tę właśnie najgorszą, najpospolitszą twórczość wieku XVII-go uznawano za najbardziej charakterystyczny jego dorobek, że według tego dorobku sądzono całą literaturę tego wieku, chrząc ją mianem p a n e g i r y c z n o - m a k a r o n i c z n e j, chociaż, jak to obliczył profesor W. Bruchnalski, p a n e g i r y k i wynoszą tylko 30% produkcji literackiej

okresu barokowego, nadto zaś makarony polskie w owych latach prawie że nie istniały, a panegiryki i makaroniczne nie istniały nigdy.

Potęplona w czambuł, głównie na tle ogólnego upadku i rozstroju ówczesnego życia polskiego, literatura wieku XVII-go doczekała się jednak częściowej rehabilitacji, głównie dzięki badaniom i poszukiwaniom prof. Brücknera, który z rękopisów wy dobył wiele zapomnianych utworów, świadczących o istnieniu w tej dobie wcale niepospolitych talentów pisarskich.

Nie był więc ten wiek dla literatury tak niepomysłnym, za jaki go uważano. Miał tylko swoje odrębne oblicze, swój smak zwyrodniały i styl, które późniejszym pokoleniom podobać się nie mogły, które raziły i razić będą zawsze swoją przesadą barokową.

Barok, od wyrazu włoskiego barocco, co znaczy krzywe, wykręcone, a więc nieforemne, dziwne, śmieszne, już w drugiej połowie XVI-go wieku zjawił się jako styl w architekturze. Do Polski przyszedł z opóźnieniem, jak wogóle z opóźnieniem przychodziły do niej wszystkie idee i prądy zachodnio-europejskie.

Z architektury styl ten przeszedł do życia i pętno swoje położył na całej ówczesnej kulturze. Barokowem było już pod koniec wieku XVII-go piśmiennictwo włoskie, za niem szybko podążało ku zwyrodnieniu — francuskie. A że w wieku XVII-ym właśnie wpływy włoskie i francuskie bardzo się w Polsce wzmogły, nie dziw przeto, że poeci i pisarze polscy tego wieku stali się rybczo wyznawcami i naśladowcami nowej mody.

Chęć naśladowania obcych zawsze była naszą cechą narodową. Naśladowali przecie i Rej i Górnicki i tylu innych najprzedniejszych złotego wieku pisarzów. Nie można się więc dziwić, że słabsze indywidualności twórcze, które wydał wiek XVII, szły już tym torem bez zastrzeżeń.

Stosunki Polski z zagranicą były wówczas częste i bliskie. Nowsze badania (prof. Krzyżanowskiego i Windakiewicza) ustaliły, że nie tylko w w. XVI, ale i w w. XVII-ym zna-

czna liczba młodzieży polskiej studjowała na uniwersytetach włoskich, w Padwie i w Bolonji. Stąd wpływy włoskie. Stąd zaznajomienie się z poetą sztandarowym baroku włoskiego, Janem Baptistą Marinim (1569—1615), autorem słynnego poematu bohaterskiego p. t. *Adone*, który z powodu przejaszkawleń zmysłowych dostał się na *index* książek zakazanych. Że wpływ Mariniego i jego szkoły poetyckiej (Preti, Achillini, Bruni, Casoni) przedostał się szybko do Polski, o tem świadczy niedawno stwierdzony przez prof. Brücknera fakt, że niektóre wiersze Mariniego zostały przełożone na język polski już w r. 1622-im przez J. M. Piotra Kostkę z Sztemberku. Tłumaczenie to jest jednym z najwcześniejszych przekładów Mariniego w Europie, a chociaż nie było drukowane, to jednak krążyć musiało w odpisach, jak wogóle krążyło wówczas wiele rzeczy, ruch bowiem wydawniczy w Polsce XVII-go wieku osłabł i książek drukowano znacznie mniej, niż w wieku XVI-ym.

Na Marinim tedy poeci ówczesni wzorowali swój styl przesadny, pełen owej charakterystycznej kwiecistości i niezawsze fortunnych porównań i przenośni, które dzisiaj pobudzają nas do śmiechu, zwłaszcza w intytlacjach.

Oto próba tytułów książek z tej epoki: *Purpura z bawienia kaznodziejskim stylem ufryzowana; Kamień prawdy z procy świętej; Ogród ale nie plewiony, bróg, ale co snop to innego zboża, kram rozlicznego gatunku; Książę księżyców, nowy maj na sarmackiem niebie w nowym dla książęcego domu gościu jaśniejący w szczupłym genetliaku spieszonym rymem przywitany; Kancelarja księżycza pryncypalnego żalu bezprzestannemi łzami wszystkich stanów Rzpltej pisząca wiekopomną kondolencją niezmiernych książęcych purpur żałobom; Wojsko afektów zarekrutowanych; Podpłomyk matki fary na poły z popiołem łzami i jej orgo czyniony i t. p.*



Nie tylko jednak tytuły były tak dziwaczne. Dziwaczną również była treść wielu utworów, których autorowie rozmyślnie unikali prostoty i bezpośredniości, najzwyczajsze sprawy omawiali górnie i tonęli w nadmiernej elokwencji, zaciemniającej sens, najczęściej zresztą jałowy.

Był to okres nie panowania, ale panoszenia się pustej formy w poezji. Okres pod wieloma względami zbliżony do modernizmu, który również brak mięszu pokrywał frazesami.

Łatwość, z jaką się w Polsce marynizm przyjął, wytłumaczyć można wejściem do życia umysłowego narodu, które dotychczas rozkwitało tylko na wyżynach, dość licznej falangi ludzi nowych, należących do niższych warstw szlacheckich. Ludzie ci nie mieli żadnych zgoła tradycyj literackich, nie mieli kultury estetycznej, a liżnawszy nieco oświaty po lchych szkołach jezuickich i pijarskich, nie mogli osiąść dobrego smaku. Niewybredne ich podniebienia zadowalały się też niewybredną strawą — byle szumnie, byle pompatycznie, byle bogato. Takie zaś właśnie pozorne bogactwo niosła z sobą literatura barokowa, przeładowana pustem, ale ozdobnem słowem.

Nie była to jednak właściwość samej tylko Polski. Tak było wszędzie. Ten sam duch wiał także i z Francji, gdzie królował już wówczas t. zw. le styl précie u x, wysmażony głównie w tyglu zebrań poetyckich, odbywanych w pałacu markizy Rambouillet. Przyniosła go z sobą do Polski — acz z opóźnieniem — księżniczka Marja Ludwika Gonzaga, kolejno małżonka dwóch królów, Władysława IV-go i Jana Kazimierza. Dwór jej wywarł wpływ niemały na szerzenie się cywilizacji i kultury francuskiej w Polsce tak dalece, że królowa Marysieńka zastała już grunt na zamku w Warszawie zupełnie dla siebie przygotowany.

Nie należy jednak mniemać, że te wpływy obce za-  
biły zupełnie pierwlastek rodzimy, swojski w piśmien-  
nictwie XVII-go wieku. Szły one jak piana po wierz-

chu. Pod spodem zaś płynął nurt poezji szlacheckiej, rubasznej, niefrasobliwej jak życie warstwy, która ją wydała, dufnej w siebie i rozkochanej w sobie — poezji nawskroś nacjonalistycznej. Skupiły się w niej wszystkie cechy t. zw. później sarmatyzmu, przeciwstawiającego się wszelkim nowym prądom, konserwatywnego z założenia i urastającego do miary potężnego hamulca życia w epoce saskiej.

Zanim jednak te ujemne strony sarmatyzmu wystąpiły na jaw i stały się klęską, sarmatyzm oddał literaturze XVII. wieku przysługę, którą cenić należy.

Ta niestylowa poezja XVII-go wieku — mówi profesor Brückner — dlatego, że bliska życiu, wyraziła je niezrównanie pełniej, dokładniej, wszechstronniej, niż poprzednia, humanistyczna, omijająca szczegóły dosadne, pokrywająca pokostem starożytniczym treść nieraz ogólną, kosmopolityczną. »Poezja XVII-go wieku przedstawia ten wiek o wiele wyraźniej, wydaje głębiej ducha jego, jest bardziej narodowa, niż poezja XVI-go wieku«. Inna rzecz, że naród i duch jego znajdowały się już w fazie upadku, że nietolerancja, fanatyzm, skłonność do przesądów i zabobonów, przy niskim poziomie oświaty stanowiły cechy wspólne całemu ogółowi szlacheckiemu.

Akademja Jagiellońska po świetnych swoich początkach już w drugiej połowie XVI-go wieku zaczynała obumierać, w wieku zaś XVII-ym zeszła do rzędu szkoły bez znaczenia dla warstw świeckich. Mogli się w niej byli jeszcze uczyć i przygotowywać kandydaci do stanu duchownego, o nauce jednak w sensie właściwym już mowy nie było. Wystarczy powołać się na fakt, że o odkryciach, dokonanych w dziedzinie nauk przyrodniczych przez Gallileusza, Keplera, Newtona i in., w Krakowie nic nie wiedziano (prof. Pilat), że kiedy na zachodzie szerzyły się już systematy filozoficzne Kartezjusza i Spinozy, w Krakowie panowała jeszcze niepodzielnie filozofia scholastyczna, oparta na Arystotelesie.

Jednocześnie w połowie wieku XVII-go upadła z powodu braku funduszków Akademia Zamojska, a założona z końcem XVII-go wieku przez jezuitów przy współudziale Skargi Akademia wileńska nigdy właściwie nie wyrosła ponad poziom szkoły średniej. To samo dotyczy i założonej w r. 1661 przez jezuitów Akademii we Lwowie. Kto więc nie miał środków na to, aby kształcić się we Włoszech lub we Francji a chociażby w sąsiednich Niemczech, ten w kraju nauki wyższej zdobyć nie mógł.

Szlachta zresztą coraz mniej tej nauki pragnęła. Obchodziła się bez niej doskonale, smakując coraz więcej w dostatkiem, wygodnym życiu wiejskiem, w domu, gdzie nie brakło jedła i napoju, aż doszła powoli do ideałów saskich, utrwalonych w przysłowiu: »Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa«.

W takich warunkach ogólnych zdawałoby się, iż na literaturę niema wcale miejsca, a jednak miejsce to było. Świadczy o tem cały poczet pisarzy, z których wprawdzie żaden nie zasłużył na miano wielkiego, którzy jednak uratowali honor swojego wieku.

Wdzięczność za to należy się przedewszystkiem dwu braciom Zimorowicom, Szymonowi i Bartłomiejowi, którzy stoją jeszcze obaj na pograniczu z wiekiem złotym, tak dalece, że wielu historyków literatury Szymona zwłaszcza zalicza bez zastrzeżeń do tego okresu.

Nie możemy jednak uznać tego za słuszne, choćby z tego względu, że twórczość poetycka Szymona nie da się ściśle odłączyć od twórczości Bartłomieja.

Zimorowice przyszl na świat we Lwowie, w rodzinie mieszczańskiej Ozimków. Właściwie też powinni się byli zwać Ozimkowicami. Zmienili jednak nazwisko rodowe na ładniej według nich brzmiące: prawdopodobnie Zimordzice, skąd później Zimorowice. Ojciec ich Stanisław, był z zawodu majstrem murarskim, chętnie, jak stwierdził na podstawie swoich pracownych poszukiwań archiwalnych dr. Kornell Heck, »powoływany do współudziału przy budowie domów prywatnych

i publicznych«. Nazwiska panieńskiego ich matki, Katarzyny, nie znamy.

Oboje Ozimkowie wyznawali religję rzymsko-katolicką, wszelkie przeto »baśnie o ich pochodzeniu ormiańskim polegają tylko na mylnem pojmovaniu końcówki »wic«, która służyła jedynie do bliższego oznaczenia imienia ojcowskiego i nie była wcale wyłączną własnością Ormian polskich« (dr. Heck).

Pierworodnym synem tego stadła był Bartłomiej, urodzony dn. 20 sierpnia 1597-go roku. Po nim dopiero następowały siostry, Agnieszka i Teresa, poślubione później piekarzom lwowskim, Wrzeszczowiczowi i Gawłowskiemu, wreszcie czwartem z kolei dzieckiem był Szymon, urodzony w r. 1608-ym. Rodzeństwo nie było więc zbyt liczne, a że w domu panował względny dostatek, przeto »Ozimkowie postanowili dzieci swe kształcić i zapewnić im lepszą niż sobie przyszłość.«

Bartłomiej i Szymon uczyli się zatem w szkołach lwowskich, prawdopodobnie w szkole katedralnej, na której poprzestali, niema bowiem dowodów na to, aby który z nich pobierał dalsze nauki w konwikcie oo. jezuitów albo w Akademji Krakowskiej, a chociaż Szymon przez czas jakiś bawił w Krakowie i tam przedwcześnie strwiony chorobą piersiową, w młodzieńczym jeszcze wieku umarł (21-go czerwca 1629 r.), to jednak uczniem Akademji Krakowskiej, jak to ustaliły najnowsze badania, nie był, natomiast zajmował tam skromny urząd podpisaka czyli podpisarza w urzędzie ławniczym, idąc torem starszego brata, który zaznajamiał się z prawem miejskiem i ustawami krajowemi w drodze praktycznej, w kancelarji wpływowego wówczas we Lwowie pisarza, Alberta Zimnickiego. Oba bracia sposobili się więc do zawodu palestrantów sądowych, co podówczas pociągało ku sobie zarówno młodzież szlachecką, nablerającą biegłości w prawie przy trybunałach, jak i młodzież miejską, przepelniającą kancelarje pisarzów czyli notarjuszów sądów miejskich w charakterze t. zw. podpisków. Dla ludzi zdolnych i obrotnych była to droga nie tylko do

dobrobytu, ale i do wysokich często godności w mieście, co też Bartłomiej istotnie czasem osiągnął. Co do Szymona, to śmierć przedwczesna dążenia jego przekreśliła, pozostawiając nam po nim, jako jedyną krótkiego życia pamiątkę, zbiór wierszy p. t. »Roksolanki to jest ruskie panny, na wesele B. Z. z K. D. przez Simeona Zimorowica R. P. 1629 dnia 18 lutego we Lwowie wprowadzone«.

Utwory te, pisane w różnych czasach i mające charakter przeważnie erotyczny, sztucznie tylko przez wspólny tytuł w jedną całość złączone, chory podówczas i dogasający w Krakowie Szymon miał ofiarować bratu Bartłomiejowi na wesele jego z Katarzyną Duchnicówną (z K. D.). Bartłomiej przechowywał je przez lat 25, jako pamiątkę rodzinną, poczem dopiero w r. 1654-ym »światu je świeżo pokazał« wydając w Krakowie.

Wszystko to podał w wątpliwość prof. Heck, wyrażając przypuszczenie, że nie Szymon, ale sam Bartłomiej był autorem »Roksolanek«. Stąd powstał nierozstrzygnięty dotychczas spór i kwestja, czy historia literatury ma mieć do czynienia z jednym czy z dwoma Zimorowicami? Dowodów dostatecznych ani na jedną ani na drugą stronę niema, można przeto zupełnie dowolnie zająć jedno lub drugie stanowisko, równie dobrze bowiem mógł Bartłomiej otrzymać od Szymona rękopis »Roksolanek«, jako dar ślubny, co było we zwyczaju, jak i własne swoje utwory wstydliwie pod imieniem brata ukryć, zwłaszcza, iż były to utwory erotyczne, mniej licujące z jego stanowiskiem społecznym i wiekiem, liczył bowiem w chwili wydania »Roksolanek« 57-y rok życia.

Jedynym argumentem, rozstrzygającym tę niepewność, mogłaby być wybitna różnica indywidualności poetyckich obu braci, odmienny charakter ich poezyj, »mała ale własna szklanka« każdego z nich. Niestety — i tu krytyka jest bezsilną, są bowiem między braćmi różnice, ale nie brak i podobieństw, potwierdzających domysł prof. Hecka.

Wyłuskując różnice, jako w danym wypadku ważniejsze i ciekawsze, zatrzymać się przedewszystkiem musimy na dwóch cechach, dla utworów, zawartych w »Roksolankach« charakterystycznych. Cechy te stanowią: rzadka dotychczas w poezji polskiej zmysłowość, ujawniana dość śmiało, i równie rzadki, nie liczący z ówczesną ochotą do życia, pesymizm.

Te właśnie cechy przemawiają za autorstwem Szymona, z jednej bowiem strony zmysłowość jest pospolitą cechą młodzieży, dotkniętej gruźlicą, (Szymon prawdopodobnie chory był na suchoty); z drugiej — pesymizm rodzi się łatwo w duszach, które mają świadomość bliskiego odlotu. Człowiek silny, zdrow, pełen powodzenia i zabierający się do stanu małżeńskiego, jak to czynił wówczas Bartłomiej, nie miał powodu do rozpacz, do znęczenia, do rozpamiętywań w duchu i stylu Eklezjasty Salomonowego.

Wątpliwą też jest rzeczą, czy z pod pióra Bartłomieja mógł wyjść taki utwór, jak zamykająca trzeci chór paniński pieśń Halcydys:

»Mądrość jest nad mądrościami  
Widzieć śmiertelną za nami  
Pogonią, która wyroki  
Mieć na świat bez odwłoki.

Jako z pędem na dół wali  
Wiatr skałę, którą obali;  
Tak się nasze przerywają  
Lata, kiedy koniec mają.

Jako z ciężki wypada  
Strzała, a wichur nią włada:  
Tak nas, tak nasze nadzieje  
Śmierć wspólną z prochem rozwleje.

A kto się rozbrać z światem,  
Wszystkie jego sprawy zatem  
W niepamięć ponurzone  
Ludziom nie będą wspomniane.

Właśnie jako kiedy morze  
Okręt wielkim gwałtem porze,  
Skoro ujedzie, by znaku  
Nie znać jego najmniej ślaku.

Marność jest nad marnościami  
Świat ten z swojemi pompami:  
A przecie ludzi tak wlele  
Każe nań hardzie i śmieie.◀

Natomiast taka właśnie pieśń na znaną melodję *vanitas vanitatum* z łatwością mogła być rzuconą na papier przez młodzieńca, usychającego zwolna, więdnącego >cichuchno, jako letnie siano, które straciła ze pnia ostra stal porano◀ (Ukochanym oblubieńcom B. Z. z K. D.), przeczuwającego bliski zgon i wiedzącego dobrze, iż wszystkie wysiłki zatrzymania uciekającego życia są daremne:

◀Albowiem w pół zaczętej drogi  
Wściekła Lachezis kosą podcina mu nogi  
I pierwiej w niepamiętnym chce go kąpać zdroju,  
Niżby wiekopomnego skosztował napoju.◀

A leżącego tak w bezwładzie młodzieńca, który za ledwie dwudziestą pierwszą włosną przeżywał, mogły przecieź nawiedzać tęskne pragnienia. Jeżeli był poetą, jeżeli miał wyobraźnię żywą, a do tego podnieconą jeszcze gorączką, mógł w usta Symnozyna wkładać własne swoje słowa, z własnych zrodzone uczuć i bezpośrednio z głębin duszy i serca wołać:

◀Thelegendo! Tyś boginią ulubia,  
Która się w morzu burzliwym urodziła  
I samaś morze, skądże na moje zniweczenie  
Bierzesz płomienie?  
Z oczu twych jasne płomienie wypadają,  
Te spróchniałe kości we mnie podpa-  
[lają:  
Te mnie pleką okrutnie mojemiz żądzami,  
Jako świecami.

Wierzę, kiedy ciało moje próżne duszy  
Robak podziemny swym zębem w proch  
pokruszy:

Skoro na mnie ognistym pojrzysz twojem okiem,  
Ożywię skokiem.

Mógł wprawdzie i Bartłomiej, jako poeta wcielać się w duszę brata i jego uczucia wypowiadać, ale czemuż wytłumaczyć taką mistyfikację, jak dedykowanie »Roksolanek« ukochanym oblubieńcom B. Z. z K. D. Dla kogo i dla czego to było potrzebne? Tego nikt nie wytłumaczy w sposób dostatecznie przekonywający i dlatego dowody, wysunięte przez prof. Hecka, a czerpane głównie z tekstu *Sielanek*, chwieją się i pozostawiają kwestję w dalszym ciągu otwartą.

Prawda leżeć tu może pośrodku. Szymon mógł pisać wiersze, idąc za przykładem starszego brata, który dość wcześnie zaczął się piórem zabawiać, mógł więc także napisane rozmaitemi czasy utwory zebrać w jedną całość, spiąć je wspólnym tytułem i, umieszczając na czele odnoszący się do ślubu wiersz p. t. *Dziwosłab*, przesłać rękopis oblubieńcom. Następnie po latach 25-ciu kłedy Bartłomiej, dobiegłszy poważnego wieku męskiego i zdobywszy poważne w rodzinnem mieście stanowisko, oddawał ów rękopis do drukarni »Wdowy i dziedziców Franciszka Cezarego, J. K. M. typografa«, mógł dołączyć do niego swoje własne juvenilia, wydobyte ze skrytki z pamiątkami, a widząc, że niebardzo te utwory odpowiadają powadze burmistrza królewskiego, którym był od r. 1648-go i wdowca, bo właśnie na krótko przedtem w r. 1653-im odumarała go była po 24-letnim pożyciu Katarzyna Duchnicówna — wydał je pod nazwiskiem brata.

W ten sposób »Roksolanki« byłyby wspólnym utworem obu Zimorowiców, co zaś tam do którego z nich należy, to już na zawsze pozostanie tajemnicą.

Nie usiłując tajemnicy tej rozwikływać, przyjrzyjmy się bliżej poematowi.



Na początku, jak już wiemy, występuje *Dziewosłęb*, który przedstawia się, jako przyrodni brat kupłyna (streszczenie prof. R. Pilata), rozwodzi się szeroko nad miłością i stanem małżeńskim, podając przykłady rozmaitych par zakochanych z mitologii, i nareszcie składa nowej parze oblubieńców życzenie szczęścia, powodzenia, oglądania wnucząt i nawet żywota niebieskiego. Potem zwraca się do chóru panien i młodzieńców, których przywodził z sobą i każe im śpiewać pieśni, w ten sposób, że kolejno śpiewa jedna panna za drugą (jest ich 18); potem następuje chór młodzieńców (jest ich 31), a nareszcie drugi chór panieński (20). *Imlona* dziewicz i młodzieńców, które służą zarazem za napisy pieśni, są w znacznej części klasyczne lub obce: *Pneumella*, *Pomozja*, *Lanerula*, *Mugillinda*, *Hellodor*, *Hilarjon*, *Hippolit*, *Narcissus* i t. d. obok tego jednak także i swojskie: *Daniło*, *Ostafi*, *Tymon*. Prócz *Dzewosłęba* mamy tu razem 69 drobniejszych wierszy. Treść ich jest w znacznej części erotyczna; kreślą rozmaite przygody miłosne, zawierają wyznania uczuć sercowych, zalety, zapewnienia wierności, narzekania na brak wzajemności, skargi na zdradę i t. d., ale są także takie, które nie mają nic wspólnego z miłością (wiersz o zadowoleniu ze swego losu, wiersz do słońca i t. d.). Pod względem formy przeważają tu *sielanki*, nie brak jednak ód i elegji. »Znaczenie i wartość »*Roksołanek*« — mówi prof. Pilat — polega, podobnie jak *Sielanek Szymonowica*, nietylko na treści, na pomysłach, ile na wykonaniu artystycznym i formie.

Treść — przynajmniej w znacznej części — nie jest oryginalna, ale przejęta z innych autorów, niekiedy parafrazowana, w najlepszym razie zasłona obcymi pomysłami. Z wzorów korzystał poeta rozmaicie, już to przekładając je wiernie (np. *Owidjusa*), już to przejmując myśli, obrazy i porównania; często rozwijał szerzej myśli wzorów klasycznych i dodawał własne pomysły. Niekiedy te reminiscencje z wzorów klasycznych są zaledwie dostrzegalne. Nie trzeba więc brać tej zawisłości względem obcych autorów za naśladownictwo niewolnicze, aczkolwiek niepodobna nie mówić o tem.

Za to — »wykonanie t. j. schwycenie treści i nadanie jej odpowiedniego kształtu zewnętrznego, układ i forma tych wierszy, mają rzeczywiście wiele zalet niezaprzeczonych«. »Te drobne wiersze i wierszyki — pomimo treści w znacznej części zapożyczonych — kończą znakomity historyk poezji tego okresu — odznaczają się niezwykłą pięknnością kształtów poetyckich, misterną kompozycją, wykłintną budową wiersza i ślicznym językiem, pełnym słodyczy, miękkości, delikatnego wypleszczenia« — dodajmy jeszcze, jako argument na rzecz autorstwa Szymona, że język ten przewyższa temi właśnie zaletami język Sielanek Bartłomieja, że istotnie należy on jeszcze jakby do złotego wieku i nie ma nic wspólnego z przesadą barokową, natomiast wiele posiada cech pokrewieństwa z mistrzostwem poetyckiem Kochanowskiego i Szymonowica.

Na tej podstawie »Roksolanki« zaliczyć należy do najwybitniejszych utworów poetyckich doby, w której powstały.

Zobaczmy teraz, jak wygląda znacznie obfitsza, na lata długiego żywota rozciągnięta twórczość poetycka Bartłomieja Zimorowica, autora »Sielanek nowych ruskich«, idącego »Symonidowym nieodstępny śladem«.

Zaczął Bartłomiej pisać wcześniej. Ot, pro prostu, jak to bywa, spotkał na swojej drodze jakąś urodziwą dziewczynę, jakąś piękną mieszczkę lwowską i gorącym zapłonął ku niej afektem. Ten afekt stał się pierwszym źródłem jego poezji. Został, jak sam przyznaje, »rymodziejem zgoła po warkocz«.

»Słyszac przy godowniczych stołach trefne noty«  
(spowiada się w sielance II Trużenicy przez usta Młósza)

»Pojąłem kilka wierszów dość prostej roboty;  
Te ustawicznie w głowie jęły mi się marzyć,  
Żem się też im podobnych pokusił kojarzyć;  
A gdym je w osobności długo w nocy klecił,  
Kupido mi niewielki małą główką świecił

I tą podпалиł chcący czyli nieobacznie  
Żagiew, która już tlała w sercu mem nieznacznie:  
Żagiew gorących chęci pełną z przyrodzenia,  
Z lada iskry podniety bliską i płomienia;  
Dopiero (jako gdy kto do skrytej ciemnice  
Przyniesie niespodzianie zapaloną świecę)  
W głowie mi zajaśniało, żądze zapalone  
Rozświecły się; oczy, zrzuciwszy zasłone,  
U jednego dziewczęcia lichego na czele  
Wyczytały do wierszów służące fortele:  
Wargi jej Hypokrenem nieprzebranej wody,  
Parnasem zdały się być rozkwitłe jagody  
I tak, gdy jej pilnuje, swych nie strzegę oczu,  
Zostałem rymodziejem zgoła po warkoczu.  
Choć na mnie nie kładziono wawrzynowych bobków,  
Powiązałem niemało wierszów, jako snopków,  
Zwłaszcza kiedym co w lesie świeżego wymyślił,  
Natychmiastem po bukach i osikach kreślił,  
Które potym, niźeli oczu ludzkich doszły,  
Chropawą skórą kryski wycięte zarosły,  
A wołowcy, mniemając, że to stare Muzy  
Abo pasterz wyrzezał mądry z Syrakuzy,\*)  
Jako wyborne pisma z radością czytali,  
Potym je między wami, śpiewając, rozsiłali.

Zakochany poeta, jak świadczy jego biograf, lubił życie wesole. Dogadzało to jego usposobieniu. Obdarzony dowcipem i humorem, był ulubieńcem swoich towarzyszy i niejednokrotnie zabawiał ich zapewne przy stole a d h o c ułożonym wierszem.

»Wszystkie te pieśni, tak miłosne, jak i przy »godowniczych stołach« utworzone — mówi dr. Heck — podobają się nadzwyczaj współczesnym, skoro poeta, choćby nawet ze znaczną przesadą, może włożyć w usta jednej z osób, występujących w jego sielankach, takie słowa:

» . . . . . « Nie masz tego siola,  
Nie masz biesiady ani ślubnego obiadu,  
Kędyby nie śpiewano pieśni twego składu.

\*) Teokryt

Odzywają się w starych i nieletnich ustach,  
A nawet pastuszęta po gęstych zapustach,  
Pasiecznicy po borach, owczarze w koszarach  
Najczęściej na dutkach grają i fujarach!...

Zupełnie to możliwe, że drobne piosnki Bartłomieja cleszyły się takim powodzeniem, sądząc bowiem z usposobienia poety, musiało w nich być dużo pierwlastków erotycznych i tej swobody, z jaką młodzież zwykle o sprawach miłości mówi. Ale do nas te pieśni nie doszły. Natomiast przechowały się z tych czasów trzy większe utwory poety o zgoła innym nastroju. Powstały one z materiału, którego dostarczyły mieszkańcom Lwowa pamiętne lata 1619—1623.

»Najpierw — opowiada dr. Heck, któremu zawdzięczamy wyczerpujący życiorys Bartłomieja — w roku 1619-tym ciągnęli przez Lwów sławni Lisowczycy, których król polski Zygmunt III-i wysłał był na pomoc cesarzowi Ferdynandowi II-iemu podczas wojny trzydziestoletniej (1618—1648).

Założycielem tego oddziału był Józef Lisowski, szlachcic z Pomorza, walczący po stronie obu Dymitrów w czasie równie pamiętnej wyprawy moskiewskiej, kiedy to nadzieja łupu wabiła z Polski chmary awanturniczego żołnierza, plądrującego i niszczącego przestronne carstwo północne. Lisowski zebrał podówczas około 10,000 jezdnych i na czele ich przebiegał wzdłuż i wszerz Moskwę, niszcząc i rabując głównie dla własnej korzyści. Wspólność celów zebranych tu razem niespokojnych żywiołów, tudzież wspólność trudów i niebezpieczeństw razem przebytych, sprawiła, że oddział nie rozwiązał się po śmierci Lisowskiego, lecz przyjąwszy od swego założyciela nazwę Lisowczyków lub Kozaków Lisowskich, obrał sobie innych dowódców i szerzył dalej dzieło zniszczenia, rzekomo w imię i w obronie wojsk polskich. Ci to Lisowczycy szli z całym swoim taborem przez Lwów w r. 1619-tym i dali możność naszemu poecie, aby się im przypatrył i dokładniej poznał ich zwyczaje i obyczaje. Wynikiem tej naocznej obserwacji, a nadto i rezultatem tego, co się

ustawicznie słyszało o niepożytem męstwie i niebywałej drapieżności Lisowczyków, był poemat Zimorowica p. t. »Żywot Kozaków Lisowskich a także i potyczki ich szczęśliwe wydany roku pańskiego 1620«.

Zimorowic — czytamy dalej u dr. Hecka — nie doznał od Lisowczyków żadnej ciężkiej krzywdy, aby na nich miał żółć swoją wylewać, a równocześnie przypatrzył się im zanadto dobrze i żył jeszcze pod zbyt świeżem wrażeniem wiadomości o ich drapieżństwie, by miał wynosić pod niebiosa ich brawurę i być ślepym na przywary. On tych junaków, doniedawna jeszcze niezwykłą aureolą otoczonych, musiał raczej pojąć ze strony komicznej i śmiesznej, z powagą obrońców wiary i ojczyzny nie licującej, do której Lisowczycy niemało mogli mu dostarczyć barw, tak swoim kosterstwem i hulaszczem życiem, jak niedbałością o wygląd zewnętrzny i skłonnością do kradzieży i przesadnych pochwałek. To też Żywot Kozaków Lisowskich mógł zostać tylko tem, czem jest rzeczywiście, t. j. poematem częściowo satyrycznym, a częściowo humorystycznym.

Zaraz na wstępie, na odwrotnej stronie karty tytułowej spotykamy drzeworyt, który nibyto herb Kozaków Lisowskich ma przedstawiać, a równocześnie bliżej określa stanowisko zajęte przez Zimorowica w poemacie. Na drzeworycie tym widzimy Lisowczyka, siedzącego na beczce i obejmującego prawą ręką naczynie w kształcie garnkowej blaszanki z otwartą pokrywą, a lewą przychyłającego do ust kufel widocznie jakimś ognistym płynem napełniony. Po prawej jego stronie stoi bożek wojny, Mars, podobny do towarzysza pancernego, z tarczą w prawej ręce, ze strzelbą w lewej i z szablą przypasaną do boku, po lewej zaś stronie bogini miłości, Afrodyta z Cypru, okryta suknią zlekka narzuconą, trzymająca w lewej ręce strzałę, a w prawej serce, ogniem pałające.

Poniżej w przygrywce wstępnej czytamy następujące wiersze:

<http://rcin.org.pl>

»Oto, zacni junacy, pobratyma macie,  
Na baryle siadł sobie, jako w majestacie.  
Mars, stol, jako Glermek, dodaje mu rady,  
Żeby się miał do wojny częstej i do zwady;  
Arcyksiężna zaś z Cypru rozkoszy mu chwali  
I ogniem przeraźliwym serce jego pali.  
On na to czyli nie dba, czyli być upitym  
Woli, niżli wszetecznym abo wlec zabitym,  
Spytajcież go samego. Ja o tem nie mówię;  
On wam, skoro ten kufel spełni, wnet odpowie.

Tego ironiczno-humorystycznego tonu, w jaki odrazu na wstępie uderzył, nie zmienia poeta i w dalszych czterech pleśniach. Zaczawszy poemat dowcipnie, niabyto na wzór Eneidy:

»Mężów walecznych śpiewam, których Mawors krwawy  
Z dłamantu ukował dla swojej zabawy,  
Wlawszy na nie potyczki i gęste zwyczajstwa,  
Dziedzicami poczynił je swojego męstwa« —  
walczy dalej humorem i ironją nieomal aż do końca, kreśląc równocześnie ważniejsze Lisowczyków przywary drastycznymi i pełnymi komizmu barwami.

Krótki ten poemat, nie przenoszący 182 wierszy, pisany musiał być doraźnie, od ręki, w pośpiechu, jakiego wymaga chwila, stąd, jak słusznie stwierdza prof. Heck, »układ i środki, których poeta używa są nader proste«. Nie brak tu jednak zwrotów dosadnych i dowcipnych, charakteryzujących poetę i epokę.

Swobodę myśli, jaką Bartłomiej Zimorowicz okazał przy pisaniu Żywota Kozaków Lisowskich — opowiada dalej jego biograf — przerwał szcęk oręża i odgłos walki, jaka w r. 1620-tym i 1621-ym rozegrała się pod Cecorą i Chocimem.

Owocem tych przeżyć był drugi młodzieńczy utwór Bartłomieja p. t. »Pamiętka wojny tureckiej, w r. 1621 od polskiego narodu podniesionej i szczęśliwie za łaską i dobrodziejstwem miłego Boga dokonanej, odnowiona i do druku podana w Krakowie 1623 r.«

Autor naśladowuje tu wyraźnie »Proporzec« Kochanowskiego. W szumniejszych tylko i przesadniejszych od poety czarnoleskiego wyrazach kreśli wypadki chronologicznie, dzień za dniem, przyczem, jak przypuszcza dr. Heck, korzysta widocznie z jakiejś pisanej relacji lub nader szczegółowego opowiadania świadków naocznych, skoro umie oznaczyć, kiedy i którego dnia poległ bohaterską śmiercią każdy z rotmistrzów lub znakomitszych towarzyszy. Taki kronikarski sposób przedstawienia nie nadaje się do poematu epicznego. Wśród powodzi nagromadzonych szczegółów zasługuje na korzystne wyróżnienie jeden tylko ustęp, opiewający wycieczkę Tatarów z pod obozu chocimskiego na Podole i Ruś Czerwoną. Historia nas poucza, że Tatarzy wprowadzili wtedy w Jasyr wiele brańców i branek. Świadomość tego porusza żółć gniewu w poecie, potęguje natchnienie i wydobywa dość ostrą skargę, której wyrazem są następujące wiersze:

»To żalosa nad wszystko: Kańtymir z Podola  
Na kamienieckie wraca kosz tatarski pola.  
Nlestetyż! Kto tu może suchem pojrzeć okiem,  
Patrząc, jako gościńcem pohaniec szerokim  
Pędzi ruskie czeready, a w który kąt wpada,  
Zajmuje niepochybnie wychował stada.  
Pędzi przestronym szlakiem czabany rogate,  
Pędzi owce wypasłe i capy brodate.  
Tymczasem się osady zapalone kurzą  
I siola i miasteczka małe przed tą burzą,  
Ani świątnice pańskie w całość zostają,  
Bo i dwory ziemiańskie i chłopskie gorają  
Zagrody. Ej, cny Lachu! jako takle szkody  
Cierpisz? Zbójca nikczemny pustoszy twe grody,  
Twą majątność dziedziczną, ojczyznę twą pali!  
Ojciec i matka twoja od pogańskiej stali  
Ach! umiera! Dzieteczek twoich krwiał niewinną  
Napawa swe orężę; ozdobę dziecinną  
Cór twoich ukochanych wespołek z twą żoną  
Na zelżywość i hańbę pędzi nieskończoną.

Co rzeczesz? jeżeli cię gniew słuszny nie ruszy,  
Gdy twe serce jedyne, gdy twojej część duszy,  
Gdy twoją krew i orszak domowej czeladzi  
Ples plugawy do wlecznej niewoli prowadzi.  
Teraz, o teraz, powstań! a za takie szkody  
Jakiej możesz, żelazem dziś dochodzi nagrody.

W tym samym roku, co »Pamiętkę wojny tureckiej« wydał Bartłomiej trzeci z kolei swój utwór p. t. »Testament luterski żartownie napisany« (Kraków 1623). Pobudką do napisania »Testamentu«, oprócz ówczesnych wojen i swarów z protestantami, była uroczystość, którą w r. 1622-łm urządzili oo. jezuiti z okazji ogłoszenia dwu nowych świętych: Ignacego i Ksawerego. »Przez ośm dni podówczas, od 19-go do 26-go czerwca, odprawiano uroczyste procesje wśród odgłosu trąb, okrzyków młodzieży szkolnej, wystrzałów z 80-ciu armat i moździerzy, puszczano niezliczoną ilość ogni sztucznych, urządzano przedstawienia sceniczne, zapasy i gonitwy i palono wreszcie manekiny rozmaitych kacerzy, przyczem odpoczywały wszystkie pracownie i były zamknięte wszystkie sklepy«. Na tak wielką skalę urządzona uroczystość — mówi Heck — musiała wrazić się głęboko w duszę Zimorowica i podniecić jego żarliwość religijną. Wymierzył więc piórem atak na protestantów, namiętny i gwałtowny, o którym dobrego przekonania nabrać nie możemy. Zwroty humorystyczne, upstrzone zelżywemi wyrazami, mają tu działać na czytelnika mocą sprzeczności z zasadami wiary katolickiej i zwyczajami każdego prawego chrześcijanina, atoli wrażenia właściwego nie wywierają, bo grzeszą nieprawdopodobieństwem i zbyt wielką przesadą.

Na wyróżnienie zasługuje jedynie wizerunek djabłów, jak ich sobie młody Zimorowic wyobrażał. Djabły te są wesole i śmieszne: czarnej barwy, z ogonem, o dwu lub więcej rogach, lubią wino, wznoszą przy uczcie toasty na cześć »djabłowic«, wchodzą z ludźmi w przymiera, pojedynkują się z nimi i mogą zatonać lub zamarz-



nać, jak każdy śmiertelnik. Takie same djabły do dzi-  
słaj żyją w fantazji ludu polskiego.

Utwory te, acz nie może być mowy o ich wartości  
artystycznej, uczyniły jednak nazwisko Zimorowica popu-  
larnem. Znał go cały Lwów piśmienny, a wziętość jego  
u współobywateli rosła szybko. Przyszły wreszcie lata  
źniwa tej popularności, lata zaszczytów i wysokich god-  
ności miejskich. W r. 1640-ym Bartłomiej zostaje po  
śmierci Alberta Zimnickiego pisarzem urzędu radzieckiego.  
W sześć lat potem wybrany na ławnika czyli członka  
sądu ławniczego, jest już prawdziwym dygnitarzem,  
a w r. 1648-ym otrzymuje godność rajcy czyli konsula  
i burmistrza lwowskiego.

»Odtąd — mówi dr. Heck — ten syn murarza  
i dawniejszy przedmieszczanin należy do nielicznej garstki  
patrycjuszów miasta i, jako jeden z jego najwyższych do-  
stojników, wpływa niepomału na bieg spraw stolicy Czer-  
wonej Rusi.

W tym czasie i półorojego nablęra powagi. Przedewszyst-  
klem zaczyna pisać po łacinie, jakby dla zaakcentowania,  
że oto wszedł do najświetlejszej warstwy narodu, dla któ-  
rej łacina ciągle jeszcze była językiem wyższym nad pol-  
szczyznę, językiem prawdziwej nauki i prawdziwej poezji.

Utwory te nie posiadają jednak większego dla nas  
znaczenia, chyba historyczny dla Lwowa panegiryk p. t.  
*Vox leonis* (głos lwa), napisany ku czci Władysława  
IV-go.

Z polskich dzieł poety należą do tego okresu Hy-  
mny na wszystkie, obchodzone przez Kościół, święta Bo-  
garodzicy. Jest ich 12 + 6 pieśni kościelnych, śpiewa-  
nych bardzo często przy uroczystościach.

Są to — przypuszcza dr. Heck — prawdopodobnie  
przekłady z nieznanych nam bliżej oryginałów łacińskich,  
przekłady jednak »zaprawione na Psalmach Kochanow-  
skiego i uszlachetnione krynicą wysokiego natchnienia  
i szczerzej, głębokiej wiary. Tłumacz umiał się zawsze  
utrzymać na należytej wysokości i, unikając modnych,  
ale z duchem poezji niezgodnych wyrazów, wolał raczej

swój język zaprawić na dawniejszych, pierwszorzędných wzorach literatury polskiej. Nie od kogo innego też, ale od Kochanowskiego przejął porównanie i formę zwrotek i zawiadnął niemi tak znakomicie, że i dzisiaj jeszcze czytamy z przyjemnością taką pleśń, jak »Na dzień Wniebo-wzięcia Panny Marji«.

Posłuchajmy tylko:

»Kto mi da pióra przeważnej orlicy,  
Żebym się wzbiwszy do Boskiej stolicy  
Mógł zajrzeć okiem: dzisiaj świętych Święta  
Do nieba wzięta.

Widziałbym, jako w niepojętym gminie  
Zabiegli drogę wielkiej heroinie  
Jako Królową niebieską anieli!  
Wdzięcznie przyjął.

Albowiem duchów czystych młodź wesoła  
Wszystkie swe hufy zebrawszy dokoła,  
Przygotowała triumfy wszelakie  
Na wejście takie.

Stały gwiazdy w szyku nieprzejrzanym,  
Zorza się ogniem otoczyła ranym  
Do tego księżyc, zapomniawszy biegu  
Przybył szeregu.

Patrzac na usta jej wstydem okryte,  
Górne żywioły stały, jak wryte,  
Nawet obrotne nieba się zdumiały,  
Gdy ją ujrzały.

Któraż to dusza ukochana Bogu  
Wiecznych pałaców dostępuje progę?  
Przed której twarzą śliczną gwiazdy z jasną  
Jutrzenką gasną?

Która słoneczne zapaly z jasnością  
Nocnej pochodni cmi swoją światłością?  
Której nad wszystkie Bóg daje stworzenie  
Wyższe siedzenie?

Któraż to z ziemskich pustyń obłądliwych  
Przychodząc, pełna rozkoszy prawdziwych,  
Wspiera się na swym synu ulubionym,  
Bogu wcielonym?

Tać to panienka, która dla głębokich  
Cnót godna tronu w Empirze wysokich,  
Którą z dwunastu gwiazd przednich złożona  
Zdobi korona.

O matko nasza, Maryo, o pani!  
Przez ciebie chwały dostali wybrani,  
Przez ciebie łaski, że grzeszni doznamy,  
Nadzieję mamy.

Jako burmistrz królewski, objął Bartłomiej rządy miasta w r. 1648-ym. »Wszystko — opowiada dr. Heck — zdawało mu się teraz uśmiechać, wszystko po myśli układać. Już jako ławnik rzucił się do handlu miedzią i innymi artykułami; majątek też jego rósł ustawicznie. Niestety, chwile zadowolenia i radości nie trwały długo.

»Z końcem kwietnia 1648 r. doszła do Lwowa wiadomość o buncie Chmielnickiego w połączeniu z Tatarami i o klęsce pod Żółtymi Wodami. W cztery tygodnie później rozeszła się wieść o śmierci króla Władysława IV-go, a prawie równocześnie i wiadomość o bitwie pod Korsuniem i wzięciu do niewoli obu hetmanów koronnych: Mikołaja Potockiego i Marcina Kalnowskiego. Horyzont zasępił się bardzo. Bunt Chmielnickiego przybierał coraz większe rozmiary. Narazie jednak nikt jeszcze klęski nie przewidywał. Kozacy przecież tyle razy już powstawali, a zawsze ich zwyciężano. Włęcz i teraz, kiedy zakiępało w województwach ruskich, a szlachta gromadnie i strojno na wschód ruszyła, uspokoiły się powoli umysły we Lwowie. Mieszczanie poczęli nawet marzyć o zyskach i gromadzili zboże dla zbierającej się na wschodzie armji.

Dozór nad spichlerzami miejskimi i zakupnem zboża powierzono właśnie Zimorowcowi. Równocześnie jednak nadeszła wiadomość o przyspieszeniu sejmu elekcyjnego

z powodu wypadków, zaszyłych na Ukrainie. Lwów, podobnie jak Kraków i Wilno, posiadał przywilej wysłania na elekcję dwu posłów czyli t. zw. internuncjuszów, którzy wraz z szlachtą głosy na nowego króla oddawali. Rajcy lwowscy wysłali do Warszawy Zimorowica i Marcina Nikanora Anczewskiego. Dn. 17-go listopada Bartłomiej oddał swój głos na Jana Kazimierza.

»Tymczasem we Lwowie rzeczy przybrały odmienny i niespodziewany obrót. Zamiast zwycięzców nadbiegli sromotnie 27-go września w dzikim popłochu uczestnicy nieszczęsnej wyprawy piławieckiej, między nimi i sam książę Jeremi Wiśniowiecki. Zamiast radości trwoga i przestrasz zapanaowały z kolei w spokojnem mieście«.

Lwów przeszedł ciężkie koleje czasu wojen kozackich. Trzeba to sobie uprzytomnić, aby zrozumieć powstałe w tych czasach, a posiadające dzisiaj dla nas wartość dokumentu, dwie pieśni Zimorowica p. t. *Burda ruska i Kozaczyzna*. Poeta daje w nich realny obraz spustoszenia, dokonanego przez »hałastrę zadnieprską« — jakże bliski tego, na co patrzyły oczy pokolenia współczesnego w Galicji wschodniej:

»Żaden kąć od pogańskiej i chłopskiej nawały  
We wszystkiej Rusi zdrowy nie został i cały.  
Skryste tajniki, lochy, pleczary tajemne  
I głębokie zmacano wnętrzości podziemne:  
Już to przez zabobony, gusła rozmaite,  
To przez próby i pytki nader wyśmienite,  
Zbadano utajone po jamach chudoby,  
Nawet zmarłych odkryto nieboszczyków groby,  
Trupów, ropą ociekłych, przebutwiałych drugich  
Odarto wespół z skórą zgniłą z koszul długich.  
Nie inaczej, jak stado paskudnych świń z głodu,  
Kiedy płot rozrzuciwszy, wpadnie do ogrodu,  
Pyrca, biega, wierci się, pyskiem ryje wszędy,  
Aż wywróci nogami wzgórze wszystkie grędy.  
Tak hałastry zadnieprskiej skozaczone tłumy  
Kraj ruski obróciły w perzyny i runy

Do takiej im roboty i nieznośnych zbrodni  
Duchowni pomagali, wspomnienia niegodni,  
Prawie, aby nas żywcem i całkiem pożarli,  
Samego piekła na nas paszczękę rozwarli.

albo w innem miejscu:

»Skoro to ustąpiło łotrowskie mrowisko,  
Pokazało się oczom smutne widowisko:  
Przedmiejskie spustoszone pożarem osady,  
Splondrowane folwarki, okopciałe sady.  
Gdzie przedtem budynkami ozdobne ulice  
Stały, kędy ogrody były i winnice,  
Wszędzie pustki okropne, straszne obaliny,  
Wszędzie ruiny okryły i gęste perzyny.  
Nie było miejsca, gdzieby pobitego chłopca  
Nie leżało kupami, jak na tłoku snopca:  
Tu widać ciał niedawno pobitych mogiły,  
Tu z trumien wyrzuconych trupów stós przegniły;  
Z tych przeprawy na błotach, pomosty przez drogi  
Porobił odjeżdżając nieprzyjaciel srogi.  
Żaden z mieszkańców nie był przedmiejskich, któryby  
Wyszedł w lochu skrytym żywo bez pohyby.  
Ci tylko, którzy wcześniej do miasta zabiegli,  
Na ten czas z płaczem swoje majątności grzebli,  
Ale i tym psi długo nie dali się bawić,  
Którzy się zewsząd zbiegli ścierwy one trawić,  
Bowiem zasmakowawszy martwe ciała sobie  
Na żywe napadali ludzie w onej dobie«...

Niczego tu nie brak z Goy'owskiej grozy wojny,  
jednakowej po wszystkie czasy i niczem nieróżnej od  
tego, co przeżyły przedmieścia Lwowa podczas walk  
z hajdamakami w r. 1918 i 1919-tym.

Głębokie wstrząśnienia, jakim na widok tego, co  
działo się wówczas we Lwowie i jego okolicach, uległ  
poeta, były dopiero początkiem jego utrapień i do-  
świadczeń.

Były to czasy sienkiewiczowskiego »Potopu«. Szwedzi,  
Moskwa i Kozacy ~~przeżyli~~ ~~Polskę~~, a Lwów znalazł

się rychło po raz drugi w niebezpieczeństwie. Wówczas Zimorowic uszedł na Węgry, skąd powrócił dopiero w r. 1655-tym, po ustąpieniu Chmielnickiego.

Był już wówczas po raz drugi wdowcem. W roku 1653-cim, podczas grasującej we Lwowie zarazy odumarła go Katarzyna Duchnicówna.

Zgon jej opłakał poeta szczerze w sielance p. t. »Filloreta«:

»O czasy, o ulechy, o godziny lotne!  
Prędkoście mię odbiegły, jako sny niezwrotne,  
Prędkoście upłynęły, nie prędzej szalona  
Rzeka cwałem ucieka do morskiego łona.  
Nie inaczej na wiosnę lekliwa ptaszyna  
Gdy gniazdo swym wnuczętom wyściełać poczyna,  
Jeżeli na nie puhacz uderzy z wysoka,  
W zawód od swej roboty pierzcha, wmgnieniu oka;  
Takeś mi uleciała, ptaszyno lubieżna,  
Skoro natarła na cię Lachesis drapieżna,  
Zostawiwszy po sobie ból serdeczny z płaczem,  
Uczyniłaś mię w domu swym własnym tułaczem,  
Bo nie mogę w nim naleźć tak tajemnej grubo,  
W którejby mnie nie znalazł frasunek nieluby,  
Owszem, z każdego kąta każdego tajnika  
Nowa boleść, świeży żal serce mi przenika;  
Gdzie pojrzę, wszędy pustki okropne i, zda się,  
Że nie w domu mym mieszkam, lecz w ciemnym  
[tarasie.

Pomimo tego nieklamanego żalu Bartłomiej ożenił się wkrótce po raz drugi w r. 1654-tym z Zofją Zacharjaszówną, którą stracił w 11 miesięcy po ślubie. W dwa lata później pozyskał rękę Rozalji Złotorowiczowej, która zmarła w r. 1661-ym. Potem jeszcze ożenił się z Krallówną i, znowu owdowiawszy, na schyłku życia zawarł jeszcze po raz piąty śluby małżeńskie z wdową Katarzyną Krupińską.

Małżeństwo z Złotorowiczową wplątało Zimorowica w procesy i niemile zajścia rodzinne, co mu zatruło spokój ostatnich lat. Umarł dnia 14 października 1677-go roku.

Do utworów, wydanych w tym długim, prawie trzydziestoletnim okresie, który obok utrapień przyniósł mu także wysokie zaszczyty miejskie, należą przedewszystkiem »Sielanki nowe ruskie różnym stanom dla zabawy teraz świeżo wydane przez Simeona Zimorowica Leop. Roku pańskiego 1663«.

A więc nie pod własnym, ale pod imieniem zmarłego brata, co przez długi czas bałamucilo historyków literatury, zanim August Bielowski dowiódł, że »Sielanki« nie mogły wyjść z pod pióra Szymona, skoro w 15-tej i 16-tej mowa jest o oblężeniu Lwowa w r. 1648 t. j. o czasach i wypadkach, które nastąpiły w 19 lat po śmierci Szymona.

»Sielanki« są zbiorem utworów, powstałych w rozmaitych czasach. Jedne z nich, jak dowiódł dr. Heck, sięgają jeszcze lat młodzieńczych i pisane były przed poświęceniem Katarzyny Duchnicówny, inne natomiast powstały podczas piastowania kolejno godności pisarza, ławnika i rajcy, gdy poeta uspokoił się już po stracie dzieci z pierwszego małżeństwa i mieszkał w ulubionej swojej »winnicy« albo i jeszcze później.

»Tak odmiennym warunkom i okolicznościom powstania — mówi dr. Heck — odpowiada i nadzwyczajna różnorodność treści, za przykładem i wzorem sławnego rzymskiego poety, Wergiljusa Marona, który w swoich Bukolikach czyli Eklogach, obok idylli, naśladowanych z Teokryta, najznakomitszego z sielankopisarzy greckich, pomieścił także wspomnienia z własnego życia i pieśni poważne, do sielanek w niczem niepodobne. Również i w »Sielankach« Zimorowica, obok pieśni przełożonej wprost z rzymskiego wieszczka Owidjusza (Zazuli syn, siel. XII-ta), obok naśladowań z Wergilego i Szymonowica, jak Swaci (IV), »Mołojcy (VI) lub Śpiewacy (VIII), znajdują się i wspomnienia z własnej młodości i własnego życia, ubrane tylko w szatę idylliczną, jak Kobaźnicy (I), Miłosz (II), Zalotnik (X), Winiarze (XIII) i Zjawienie (XIV), znajdują się dalej i pie-

śni treści religijnej (Przenosiny IX), lub o zakroju elegji na śmierć brata Szymona i dwu żon, Katarzyny i Zofji, Płaczennice, III, Roczyna, V, Narzekalnica, VII, Żałoba, XI i Filoreta, XVII, nie mówiąc już nic o wierszach tak tragiczno-opisowych, jak Kozaczyzna (XV), i Burda ruska (XVI). Tytuł więc »Sielanki« nie określa należycie treści całego zbioru i nie nadaje się nawet wcale do niektórych pieśni, związanych tu razem w jedną całość«.

»Jeden jest tylko łącznik spajający, chociaż dość luźnie, wszystkie t. zw. Sielanki Zimorowica — to silna barwa lokalna, z stosunków Lwowa i okolicy wzięta, i niemal we wszystkich ujawniająca się pieśniach. Choć pomysł i forma, przejęte nieraz z Szymonowica, Wergilego lub najbardziej przez poetę umiłowanego Owidjusza, choć w doborze słów lub obrazów widoczne niejednokrotnie naśladownictwo Trenów Kochanowskiego, to przecież, gdy się bliżej przypatrzymy, znaleźliśmy tu i barwę odmienną, zastosowaną do współczesnych stosunków lokalnych, i odkryjemy mnóstwo aluzji lub wprost szczegółów, opowiedzianych na temat wypadków, podówczas we Lwowie dobrze znanych«.

Nie zapominałmy, że to mówi także lwowianin i że nikt inny nie miał równego prawa do wypowiedzenia następującej słusznej uwagi:

»Sielanki Zimorowica — mówi dr. Heck — zrozumiećmy dokładnie dopiero wtedy, gdy z uchyleciem zasłony, pokrywającej dotychczas jeszcze w znacznej mierze wiekową przeszłość tego grodu, wyjaśnią się lepiej ówczesne stosunki i wystąpią przejrzyściej osobistości, niemałego znaczenia niegdyś w mieście zażywające. Zapomnieli o tem dotychczasowi krytycy i w swojej nieświadomości oceniali Sielanki zbyt abstrakcyjnie, bez uwzględnienia tła, na którym powstały i urosły«.

Nie można jednak powiedzieć, aby historia literatury nie doceniła Zimorowica. Ma on na jej kartach miejsce własne i nieostatnie, a zasługę jego najtrafniej ujął i określił znów lwowianin, dr. Roman Pilat.



»Zimorowic — mówi Pilat — robi w sielankopisarstwie polskiem krok naprzód i nadaje sielance więcej charakteru swojskiego, rodzimego. Z mglistego świata klasycznego przerzuca cię w jawną rzeczywistość, opisuje wypadki współczesne, stosunki osobiste z życia swego lub miejscowe. Obok pasterzy i pasterek mitologicznych, przykrojonych według wzorów klasycznych, wprowadza typy realne, wzięte z otaczającego go świata, jak Miłosz, Leszko, Samniło, Dorosz, Ostafi, Wojdyłło; z wyobrażeniami mitologicznymi miesza nie tylko współczesne chrześcijańskie, ale nawet tu i owdzie potrąca o zwyczaje i wyobrażenia ludowe, pozostałe z czasów pogańskich. W sielance p. t. *Żałoba* (XI), w której nie brak zresztą nimf, bogów i innych przyborów mitologicznych, drużyna dziewcząt ruskich, oplakując zgon młodego śpiewaka, ozdabia trumnę jego »cierwą«, hłacyntami, szalwią, bławatami, »głośne« czyni za umarłe modły, »rzucając w ogień jałowce i jodły«, i śpiewa pieśń na cześć jego (echo zwyczajów ludowych ruskich). W *Roczynie* (V) pasterze obchodzą rocznicę śmierci Symicha (pod tem imieniem poeta oplakuje przedwczesny zgon brata, Szymona), syplą mu mogiłę, na której sadzą jałowiec i zawieszają wieńce »barwinkowe«. Dziwna ta mieszanina świata klasycznego z pojęciami współczesnymi chrześcijańskimi a nawet ludowymi nie wychodzi bez wątpienia na korzyść kompozycji, ale jest bardzo charakterystyczna, jako dowód coraz wyraźniejszego działania czynników swojskich, rodzimych, które nabierają siły i rozsadzają prawie skorupę klasycyzmu. Szkoła i rutyna prowadziły poetów jeszcze torem naśladownictwa wzorów klasycznych, ale rzeczywistość, stosunki otaczające, przemagały i poeci jakby zapomnieli o mitologii, bożkach klasycznych, uderzali w ton swojski. Również pod względem języka znajdujemy w *Sielankach* Zimorowica ślady wpływu tych samych czynników. Styl jego, pomimo że jest w znacznej części wyrobiony na szkołach klasycznych lub dziełach poetów XVI wieku, naśladowujących wzory klasyczne, zawiera wiele prowincjo-

nalizmów ruskich, zwrotów ludowych, często rubasznych, trywjalnych, ale świeżych, barwnych i charakterystycznych. Nie w oryginalności treści lub formy, ani w zaletach kompozycji lub wiersza, leży zatem znaczenie »Sielanek« Zimorowica, ale właśnie przede wszystkim w charakterze ich bardziej swojskim, który pozostawał w ścisłym związku z prądami literatury współczesnej.

Po wydaniu *Sielanek*, w ostatnim okresie życia Bartłomiej Zimorowic zajmował się już tylko historją rodzinnego miasta. Poświęcił temu niemało czasu. Przez lat czterdzieści na swoich stanowiskach urzędowych pisarza, ławnika, rajcy i burmistrza badał przeróżne akty, pamiętniki i zapiski prywatne. Owocem tych badań jest kronika Lwowa, pisana po łacinie p. t. *Leopolis triplex*. Opowiada nam ona dzieje Lwowa od czasów najdawniejszych aż do roku 1633-go i jest — mówi dr. Heck — »pomnikiem historycznym bardzo ważnym i nader chlubnie świadczącym o zasługach literackich Zimorowica, już choćby z tego jedynie powodu, że ani jedno z właściwych miast polskich, nie wyłączając Krakowa, Wilna i Warszawy, nie może się poszczycić kroniką podobną, z XVII-go wieku jeszcze pochodzącą. Pozostała ona jednak niewykończoną i opowiadanie przerywa się na pierwszym roku panowania Władysława IV-go, bo choroba i śmierć nie dozwolły kronikarzowi dalszego prowadzenia raz rozpoczętego dzieła. Łacina pisarza jest napuszysta i pełna zagadek, nieraz, doprawdy, trudnych do odcyfrowania. Jeżeli jednak pominiemy ustępy do bajecznych czasów się odnoszące, a przerobione z opowiadań Długosza i Krómera, to z poza niesmacznej nieraz formy odsłonił się całe mnóstwo szczegółów pierwszorzędnych, o których dzisiaj nie mielibyśmy już tak dokładnych wiadomości. Zimorowic bowiem czerpał jeszcze z nierównie bogatszego archiwum miejskiego, tudzież z broszur i pism dzisiaj częściowo zaginionych, jako też z żywej tradycji ówczesnego mieszczaństwa. On

też pierwszy ocenił bystro rozwój historyczny Lwowa. *Leopolis triplex* — Lwów troisty nie jest wcale tytułem dziwnym, ale nagłówkiem ważnym, przenikającym tajemnicę historycznej przeszłości tego miasta. Było ono rzeczywiście grodem trojakiego rodzaju, najpierw ruskim w XIII. i częściowo XIV. wieku, potem niemieckim, za czasów pierwszej swej świetności i przeważnego wpływu licznie tu osiadłych kupieckich rodów niemieckich, urzędujących nawet w języku niemieckim, wreszcie od połowy XVI-go wieku grodem polskim, w którym rozmaite narodowości przetworzyły się w jedno polskie mieszczaństwo o zachodniej kulturze, choć z przymieszką barw lokalnych i zbytku wschodniego. W kronice swej jest też Zimorowic mieszczańinem, do swego miasta, jego urzędów i instytucyj niewątpliwie szczerze i gorąco przywiązany; niemniej jednak czuje się Polakiem całą duszą i na wypadki w Rzeczypospolitej, a zwłaszcza na Rusi Czerwonej zwraca baczną uwagę. Że zaś prawdy z rozmysłu nigdy nie fałszuje, tylko co najwyżej niektóre fakty ze względów osobistego bezpieczeństwa w łagodniejszym świetle przedstawia, przeto *Kronika* jego pozostanie na zawsze pierwszorzędem źródłem do dziejów miejscowych i punktem wyjścia dla wszystkich, którzy w naukowy sposób zajmują się badaniem przeszłości Lwowa. Dzieło Zimorowica przez czas bardzo długi istniało tylko, jako rękopis, mimo że w r. 1835-ym ukazało się w przekładzie polskim (liczym i pełnym błędów — informuje dr. Heck). Oryginał został wydany dopiero w trzechsetną rocznicę urodzin poety, w r. 1897-ym sumptem reprezentacji m. Lwowa.

Niezależnie od dziejów Lwowa w całokształcie Zimorowic zamierzał też opracować osobno dzieje kościołów lwowskich tudzież podać dokładniejsze wiadomości o pożarach, murach i kamienicach we Lwowie. Z całego szeregu tych dziełek, prawdopodobnie nigdy niewykończonych, dochowały się do naszych czasów niktę tylko

fragmenty. Nadto w r. 1671-ym wyszło dziełko p. t. *Viri illustres civitatis Leopoliensis* (Znakomci mężowie miasta Lwowa) t. j. spis sławniejszych mieszczan lwowskich, pelen ważnych, choć suchych szczegółów biograficznych, a w rok później ukazał się w druku *Domus virtutis et honoris* (Dom cnoty i godności), dziełko niewielkie, odnoszące się do dziejów klasztoru oo. bernardynów, umiłowanego szczególnie przez Bartłomieja.

Pamiętnik wreszcie oblężenia tureckiego z r. 1672-go (*Leopolis a Turcis, Tartaris, Cosacis, Moldavis obsessa*), wydany dopiero w 16 lat po zgonie poety, a bardzo ważny i zajmujący, bo pisany przez współczesnego naocznego świadka, kończy szereg pomniejszych pism historycznych Zimorowica.

Obejmując jednym rzutem oka całą twórczość tego niepospolitego mieszczanina lwowskiego, którym słusznie po wszystkie czasy chlubić się może to miasto kresowe, zapisane tak dobrze w dziejach kultury polskiej, i patrząc na tę twórczość pod kątem epoki, która nosiła w sobie już zaród zwyrodnienia i upadku smaku literackiego w Polsce, nie możemy odmówić Zimorowicowi rzetelnej zasługi.

Stoi on na granicy dwóch epok, a przechylając się już wyraźnie ku barokowi, zwłaszcza w swojej napuszonej prozie łańcuckiej, tkwi jeszcze korzeniami w złotym wieku i stamtąd czerpie ożywcze soki dla swojej poezji, zapatrzony w niedościgły wzór śpiewaka czarnoleskiego i zasłuchany w pełną wdzięku, melodyjną, nawskroś sielską pieśń Szymonowca. Im zawdźwięcza też to, co w jego utworach pozostało najcenniejsze i co oparło się niszczącemu działaniu czasu — poezję, której sam miał w sobie niewiele, ale którą umiał kochać, cenić i odczuwać.

Krótki wybór pism  
Szymona i Bartłomieja Zimorowiców.

Sielanki nowe ruskie.

Obmowa.

Soblem śpiewał, nie komu, swe, nie cudze rzeczy;  
Aby kto tego słuchał, nie mając na plecachy:  
Przeto ktokolwiek jesteś, nie będziesz mię wnił,  
Żem sobie raczej dosyć, nie tobie uczynił.  
Inaczej świat malarze, inaczej miernicy  
Konterfetować zwykli na małej tablicy;  
Miernik wszystek krąg ziemski linjami kryśli,  
Niewiele oczom, więcej pokazuje myśli.  
Malarz kraj do widoku obrawszy wesoly,  
Lub wrydarz piękniemi usadzony złoły,  
Uczyni z niego lanszaft z uciesznem wejrzeniem:  
Tak ja swe kąty chciałem odrysować pleniem;  
Idąc Symonidowym nieodstępny śladem,  
Bywszy jego i ziomkiem, i bliskim sąśladem.  
Lecz nie doszedłem; bo go Bellerophon skory  
Porwał z sobą na sam wierzch Libetryjskiej góry.  
Mnie nikt czołgającego od ziemi nie dźwignie,  
Nie dziw tedy, że konny pieszego wyścignie.  
Jakieżkolwiek nastąpi o tem zdanie twoje,  
Choć to małe brydnie, przecie własne moje.

Sielanka I.

Kobeźnicy <sup>1)</sup>

Demian, Panas.

Prawie pod samą pełnią Maja, w końcu roli  
Siedziałem rano wedle narożnej topoli,

Brząkając na bandorze: allści ptaszyna  
Słowik po naszymu, zwadę ze mną wszczyna.  
Ja hołubca przebieram palcami powoli,  
A słowik toż powtórzył na wierzchu topoli.  
I tak trefnie muzyce mojej się przeciwił,  
Żem się zrazu uśmiechnął, a potem się dziwił,  
Mówiąc: patrz ptaka, chociaż ledwie może kwilić,  
Przecie nadprzyrodzoną władzą śmie się silić.  
Właśnie jakby niekontent z gorgów swych wrodzonych,  
Ludzkiej ręce zazdrościł, i pieśni uczonych  
Chciał nawykać: wlec że ja którego promieniem  
Bóg rozumnym oświecił, zapadnę z mem pieniem,  
Że kto inszy okrągłej i gładziej rym dzieje,  
Że sto wierszów w godzinę na papier wyleje;  
A ja z gospodarnemi pszczołami na łące  
Auzuńskiej, ledwie z kwiatków co soku wysączę?  
Trzecie lubo Apollo niezawsze mi prawy,  
Nie przestanę zaczętej z Sielankami sprawy;  
Chociaż mi nie sprzyja, atoli przez dzięki  
Musł do pióra mego przyłożyć swej ręki,  
I powiedzieć jakowe Demian z Panasem,  
Kobeźnlcy, rozgwarzy czynili pod lasem:

### Demian.

Tuż pod górą w ogrodzie, idąc na południe,  
Na calcu nieruszonym wykopałem studnię:  
Wielem prace i kosztu z czeladzią mą ważył,  
Abym z domownikami chłodnej wody zażył;  
Lecz że z nieprzebranego ustawnie źródlika  
Ponik wyskakujący sowito wytryska,  
Co żywo z okolicznych wsi do niej się garnie,  
Idą stadami trzody, i całe owczarnie;  
Aż mi też już obrzydła, radbym ją zawalił,  
Gdybym się pospolitej potrzeby nie żalił.  
Tak cnotliwy on Daphnis kiedy ten sad mnożył,  
Który ja teraz trzymam, niewiele go pożył;

1) Grający na bandorze, zwanej kobzą.

On szczepił w leśnych pleńkach zrazu niepozorne,  
Ja z nich zbieram pasówki i przalki wyborne:  
I widzę, że trzeba żyć dobremu człowieku  
Nie tylko sobie, ale i przyszłemu wieku.

### Panas.

Kiedy się przestawimy wyżej, któż nas wspomni?  
Będą o nas wleźli mieszkańcy potomni?  
Jeśli tylko na lipach, i twardych jesionach  
Będą patrzeć po naszych rzezanych imionach,  
Prędko drewniana pamięć z drzewem się obali,  
Abo skórą młodzianą porośnie; izali  
Madorus z Angeliką przemianków społecznych  
Nie wyrzynali w dębach i jaworach wiecznych?  
A przecie i dąbniki w rynki rozsadzone  
Ogień łakomy pożarł, i naplisy one,  
Że też już w zapomnienie idą, jako znikła  
Tej włosny w oczach naszych Weryna niezwykła:  
Niemasz jej, niemasz między popolitem miem,  
Pokwapła w podziemne kralny z Zephirem:  
Dobrze są pomienienia na to i Cerkiewne,

### Demian.

Lecz w obrzędach duchownych: świeckie zaś niepewne  
Oprócz kiedy kto w rymach imię swe wryje,  
Póki ich staw będzie, póty w nich pożyje;  
Zwłaszcza gdy jeszcze pleśni wesole rad kuje,  
Długo taki w pamięci pasterskiej wiekuje.  
Walą się skały, krajów czas odmienia wiele,  
Posiadają i zamki w Tatarskim popiele:  
A Mopsus Kozalcy, Dameta Menalce,  
Ozywają się w naszej po dziś dzień pszczałce.  
Zda mi się, że Amintas kochanej Testyll  
Dumy tysiącoletnie na mej kobzie kwili;  
Przetoż ktokolwiek pieśni umie wiązać składnie,  
Abo padwany Ruskie wykwiutować ładnie;  
Niech się najmniej nie boi cichej niepamięci,  
Bo taki imię swoje wieczności poświęci.

### Panas.

Jeżeli kto, tedy my najwięcej owczarze  
Powinniśmy wydymać zawsze na fujarze,  
Po górach, i bezludnych puszczech, między lasy,  
Trawiąc wolne od zgiełków kłopotliwych czasy.  
Same ptaszęta, które poranek witają,  
Nowy początek naszej melodyi dają.  
Same wiatry i strugi, które głośne depcą  
Kamyki, ciche tony do uszu nam szepcą.  
Z nami echo w dolinach niskich siedząc gada,  
A do słów naszych koniec rymownych przykłada,  
Że nigdy nie złożemy parę wierszów sami;  
My tylko pierwszy, echo tworzy drugi z nami.  
Co przedtym był Sylwanus i Faunus, leśnicy,  
My teraz Satyrowie, my Panowie dzicy;  
Nam samym przynależą surmy ich krzykliwe,  
Szyposze wielogłośne, i rogi myśliwe.

### Demian.

Nie tylko to, lecz prostym wyląwszy się Frycem,  
I u następnych wieków mam być prostym Hrycem.  
A nie raczej imię me, i zabawki kmiecle  
Przyjemnemi pieśniami rozgłosić po świecie?  
Niech mi teraz przodkują jedni urodzeniem,  
Drudzy godnością, insi bogatem imieniem.  
Mego imienia Kloto nie podetnie kosą,  
Bo je w niebo krzykliwi łabędzie uniosą.  
Jako wielu, którzy się liczyli panłety,  
Poległo w ciemnej nocy pospołu z bydłety;  
Demianowi umrzeć nie dadzą Sielanki,  
Nie dopuszczą zamierzchnąć i mnie Roxolanki.

### Panas.

Potem to, ale teraz opodal od domu  
Żyjąc, nie mamy żalów opowiadać komu.  
Wszedłszy z trzodą do gaju, abo bukowiny,  
Nie ujrysz tylko brzozy, a nieme choiny,  
Niemasz komu powierzyć tajemnic zakrytych,



Ani pokazać razów za żywe zabitych.  
Ja za prawdę kiedy mię napadnie tęsknica,  
Abo płomień zagrzewa dotkliwego lica,  
Nigdzie nie szukam w takich opalach ochłody,  
Tylko jak owo mówią z Hellkońskiej wody.  
Tam kiedy zapalczywe zamysły utopię,  
Nie może jej podżęgać zlej Wenery chłopię,  
Bo się zaraz ukoł serce i wyburzy,  
Gdy chęci bystre w wierszach łagodnych ponurzy;  
I dosyć ma, gdy tego którego miłuje,  
W pamiętnych rymach czasem przyszłym odrysuje:  
Zgoła taka zabawa sprośne ognie tłumi,  
O czem dobrze powiedzieć i Marella umi.

#### Demian.

Ba słyszałem niedawno, bodaj nie w Niedziele,  
Żeś ty o tej Marelli klecił wierszów wiele...  
Jakoś dobry, jeżeliś co chędogłęgo złożył,  
Powiedz mi, abym też coś swojego przyłożył.

#### Panas.

Ale bo o tej swachnie, co się nabajało,  
Wypadło mi z pamięci, ledwie to zostało:  
Kędy? proszę, Marellu, co poranek chodzisz,  
Na kradzież, ach niebogo! nie zwyczajną godzisz,  
Często na głowie twojej widzę kwiaty pańskie,  
Narcyzy, hyacynthy, lilie albańskie.  
Mamli prawdę powiedzieć, słowem przyjacielskim,  
Nie dostałaś faworów tych w zielniku sielskim,  
Kędy tylko wasilek kocha się i mięta  
Z przykrym lubczykiem, którym brzydzą się panięta.  
A w wirydarzach swoich każą tulipany  
Z koronami Carskimi sadzić na przemiany;  
Przeto mię już zaniechaj z takimi fawory,  
Bo i mniebyś z pańskimi poswatała dwory.

#### Demian.

To ostatki jak baczę; przedniej też roboty  
Wystaw sztukę.

### Panas.

Kiedyć tak smakują zaloty  
Marelline, pokazać więcej z tym warunkiem,  
Że się też musisz i ty odkryć z swym gatunkiem.  
Marello niewidzianej piękności, do kraju  
Przeniesiona zimnego bez pohyby z rajy,  
Kiedybyś ty w ogrodzie Nikazego stała,  
Nigdybyś się młodzieży rozpustnej nie bała:  
Samby pan w chłodzie twoim mile odpoczywał,  
Samby kwiateczki szczypał, i owoce zrywał,  
Na czele wyrzezałby twojem swe nazwisko,  
Miałabyś i Marełki młode siebie blisko.  
Teraz że na wygnaniu stoisz za parkanem,  
Kto się nie leni, może twoim zostać panem.  
Leda kto nierozwite kwiaty twe obija,  
A płód niedonoszony trąca kto przemija.  
Każdy pielgrzym, że tam był, na chropawej skorze  
Imię swe na imionach dawnych nożem orze.  
A ty jak płonka leśna bez fruktów, bez pana,  
Bez latorośli stoisz szpetnie pokreślana.  
Jeśli nie chcesz zaginać do końca przy drodze  
Pospolitej, co prędzej daj się w ciasną grodzę.

### Demian.

Panasu, wyciąłeś ją tak ze pnia do ładu,  
Przyjmij też w ucho trochę mojego pośladu.  
Póki Wiedeńska Róża, oko nie rozwite,  
Jeszcze w pąku zielonym pokazuje skryte,  
Kto chce woni skosztować nierozkwitłej róży,  
A gwałtu, rozdzierając pąkowie, przyłoży,  
Raną sobie i krótką uczyni wygodę;  
Lecz niepowetowaną kwiateczkowi szkodę.

### Panas.

Nie mogę wiedzieć, co byś zakrył tą pokrywką;

### Demian.

Słuchajże drugiej fraszki z łatwiejszą rozrywką:  
Jako w grudniu obłoki zimnej rosypelne,

Na ziemię wyrzucają kędzierzawą wełnę,  
Ledwie Phebus Marcowym rzuci na nie okiem,  
Natychmiast uciekają do morza potokiem;  
Niemasz takiego statku, niemasz i powagi,  
Którójby nie zmiękczył swym ogniem bożek nagi.

### Panas.

Wszystko coś w przypowieściach, a nic nie wyraźnie.

### Demian.

Kiedyś tych nie rozumiał, słuchajże tej blaźnie.  
Marello oczu twoich, udatne źrenice  
Są jako nieprzebrane zdrojów dwie krynice,  
Z których żywe rozkoszy, lubieżne pieśczoty,  
I bystrym wynikają strumieniem zaloty.  
Ktokolwiek tylko w nich wzrok przyjazny ochylnie,  
Żaden sucho nie zbrodził, ani ich przepłynię,  
Musiałby wyciosanym być z derenu chłopem,  
Któryby przed powszechnym uszedł ich potopem.  
Oto ja, żem w ich nurtach rad pławił swe oko,  
Zabrnąłem w nie chęciami moimi głęboko;  
Że jeśli mi nie podasz ręki przy kapłanie,  
Utonę: jak Phaeton niegdy w Erydanie,  
Który nie pierwej na dno rzeki się obalił,  
Aż pół światła pochodnią dzienną wniwecz spalił.

### Panas.

Terazem cię pośledził tropem twegoż znaku,  
Żeć Marella przypadła okrutnie do smaku.  
Nie dbam choć mi brzydkim pokropił blażeństwem,  
Kiedyś się sam otworzył z tak jawnem szaleństwem.

Takie rozmowy oni owczarze strolli,  
Dzień też już zmordowany ku wieczornej chwili  
Sklaniał głowę, i krył się po lekku za gory;  
A oni wstali zganiać owce do obory.

Sielanka IV.

Swadł.

Lassota, Stokłos, Daniłko.

Lassota.

A wieszże co Stokłosie? Że za krótką chwilę  
Wróca się do nas znowu miłe krotchwile,  
Gdy po letnich robotach, i codziennych pracach  
Wytchnąwszy, użyjemy na smacznych kołacach.  
Kiedy wszyscy doroczne odprawiliśmy żniwa,  
Pójdziemy po praznikach, do dobrego piwa.

Stokłos.

Pójdziemy, lecz nie jutro, dopiero albowiem  
Żyto kwitnąć poczyna.

Lassota.

O dalszych to mówiem  
Czasiech, mówmyż o bliższych: po drugiej niedzieli  
Będziemy u nadobnej Parasi weseli.  
Powiedziem ją do ślubu: przyjdzie nam obchodzić  
Swadźbę; do stołu służyć, i w tańcu rej wodzić:  
Pieśni składać.

Stokłos.

To prawda, za wczasu na chwile  
Zdobądźmy się na rymy, zwłaszcza przy Danile  
Kobeźniku Podolskim, który dobrze wiersze  
Rozumie: Ty zaczynaj, twoje miejsce pierwsze.

Lassota.

Pięknie kwitnie Czeremcha, pięknie kwitną Trześnie,  
Dla tego ich co żywo szarpa w pierwszej wieśni.  
Kwiat zwiędnie smakowity, nie dojdzie jagody,  
Každy pragnie kwiateczki rwać z młodej urody.  
Co się wszystkim podoba, rzadko wcale bywa,  
Smaku ten nie skosztuje, kto pierwszy kwiat zrywa.

Stokłos.

Już drugi Marzec mija, jako w sadzie moim  
Szczeppek pomarańczowy pociesza mię swoim

Podrostem, jam go szczepił; a po mojej głowie  
Pożytek zbierać będą potomni wnukowie.  
Kto czeka, doczeka się, a kto się zaś sill  
Przed czasem, częstokroć go nadzieja omyli.

Lassota.

Na łące rozłożyste, u krynicznej wody,  
Pasła się łani stara, i jelonek młody;  
Obaczył to myśliwlec, łanię wždy opuścił,  
Ale się za jelonkiem prędkim błęgiem puścił,  
Lecz mu go chybka młodość uniosła w las ręczo;  
Tak się trafiła tym, którzy miłują gorąco.

Stokłos.

Trzecla ta zima idzie, kiedy moje sady  
Zniszczyły, częścią mrozy tęgie, częścią grady,  
Wymarzły rajskie jabłka, japurty, jestonki,  
Rane morelle, tylko leśnice i płonki  
Zostały: takci i świat opak wszystko robi,  
Godnych ludzi omija, a niegodnych zdo bi.

Lassota.

Piękny ogródek, jeszcze piękniejszą urodził  
Lilią, ani jej wiatr, ani deszcz zaszko dził,  
Bujno rosła, jasnością śniegi zawstydziała,  
Cóż potem? Rozyna ją swawolna urwała  
Do wleńca, mało się wieńcem co nacieszyła  
Uwiądł, i tego piękność piękności zbawiła.

Stokłos.

Indjan perły zbiera przy morzu głębokiem,  
Arabczyk się bogaci balsamowym sokiem,  
Tagus płasek złocisty na brzegi wybija,  
Assyryjczyk jedwabną przędzę z lasów zwija.  
Łakomsza rzecz uroda, i te rzeczy tracą  
Ludzie dla niej, a czasem i zdrowiem ją płacą.

Lassota.

Syn Wenery różane uszczypując kwiatki,  
Zakłół cierniem paluszek, i szedłszy do matki,

Rzekł: ach, ach matko moja, przy twym ślicznym kwiecie,  
Ciernie mię urańło; ona zaś: me dziecie,  
Wiesz, że przy róży ostrę ciernie tuż się rodzi,  
Dla róży zaś rozkosznej i ranić się godzi.

Stokłos.

Nadobna Melpomene w mirtowej krzewinie  
Grała na lutni, przed nią nimphy i boginie  
Tańczyły; byłoby się tam przypatrzeć czemu,  
Gdyby nie zabraniano oku śmiertelnemu  
Widzieć; tylko udają, próżne jest staranie  
O tem, czego jako żyw człowiek nie dostanie.

Lassota.

Gdy mrok wieczorny padał, ja m owce z ugory  
I koźłeta latosie zganiał do obory.  
Z trafunku w dół pojrzawszy, ujrzalem w dolinie  
Kwiateczki zrywające trzy wespół boginie;  
Z niemi też Amarantę. Amaranto moja!  
Jeżli upodobanie, jeżli wola twoja,  
Póđz do mnie, jać pokażę, kędy Konwallja  
Kędy rumiana kwitnie i biała Lillja;  
Abo nie chodź, bo jeżli tak palisz zdaleka,  
Jakoż zbliśka nie będziesz podżęgać człowieka.

Stokłos.

Zajrzę wam o Najady, że każdy kwiat polny  
Zrywać na wieńce zawsze macie przystęp wolny.  
Tylko ty mój Narcyssie, kwiateczku kochany,  
Żadną ręką śmiertelną nie będziesz urwany!  
Ty stolsz w czystem polu nad strumieniem bliskim,  
Któryć nogi polewa swym potokiem śliskim;  
Poranek czystą rosą kropi twoje wargi,  
Słowik nie zapomniawszy starodawnej skargi,  
Kwiląc pieśni całą noc, ptastwo drobne głośzy,  
Którą twe melodją uwesela uszy.

Danłko.

Dosyć na młodość waszę: będą wam młodzieńcy  
Powinni za te pieśni, także nowożeńcy,

Jeszcze ja jedną przydam, choćem starszy laty,  
Przecie się nie powstydzę wyskoczyć przed swaty.  
Jak tylko Amaranta poszła z tej dziedziny,  
Płaczą po niej i góry, i niskie doliny;  
Płaczą z pastuszkami rzewliwie Sielanki;  
Tyrlmon zawlesiwszy na dębie multanki,  
Z płaczem rzekł: Bóg was żegnaj mieszkańcowie leśni,  
Jednej bez Amaranty nie zagram wam pleśni.  
Wtóż Najady przezornym wychowane Nestrze,  
Wzdychają po niej, jako po rodzonej siostrze;  
Dla niej i ogródeczek, który ręką własną  
Sadziła, odmienił się; już w nim róże gasną,  
Już gwoździki blednieją, już lilje śliczne  
Potruchlawszy, lży po niej toczą z siebie mliczne:  
Rozmaryn upleszczony, Król wonnego ziela,  
Gałązeczki opuścił lubego wesela.  
Zgoła najmniejszy kwiatek po niej tęskniąc mdleje,  
Już też od Akwilonu wiatr ostrzejszy wieje.  
Przyjdź do nas Amaranto, znowu włosna wstanie,  
Znowu słowiczek przez noc śpiewać nie przestanie.  
Wrócą się z tobą do nas ulubione czasy,  
Pola w kwiatki, w młody list odziewają się lasy.

#### Lassota.

Daniłku, nie owcami twój padwanek pachnie,  
Podoba się i owej mniemam pannie Kachnie,  
Co stąpa jako pawa, a natrzmiwszy rogi,  
Ogon za sobą włóczy. Nasz taniec ubogi:  
Przedtym plesy wyprawiał z Podolską Połanką,  
Teraz skoczy Wekiery z Pasią nowożonką.

#### Sielanka V.

#### Roczyzna.

#### Hilas, Olechno, Dorylas.

Już to ośmnasty odwrót na swym zodyaku,  
Koła słoneczne w stecznym uczyniły raku;  
Jako ozdoba mego i chluba rodzaju,  
Symich<sup>1)</sup> do szczęśliwego stąd postąpił kraju.

1) Symich bez wątpienia przedstawia tu zmarłego w r. 1629 Szymona (= Symich) Zimorowica, brata autora, — piewce Roxolanek.

Symich nadobny pasterz, urodziwej trzody,  
Którego nad potokiem Kastalijskiej wody,  
Kwiatki zbierającego sroga Persephona  
Od piersi oderwała Muzom prawie z łona:  
Choćże on do przybytków wiekuistych wzięty,  
Z duchami przeczystemi śpiewa święty, święty!  
Ja przecie, ilekroć się dzień lecie przesili,  
(O której od nas wyżej przestawił się chwili)  
Odnowiwszy lamenty dawne, i tęsknice,  
Odprawuję płaczną za niego rocznicę.  
Insi równo z żalobą skończyli swe żale,  
Niektórym smutną pamięć czas wyraził, ale  
Żaden wiek, który skały i marmury kruszy,  
Oczu molch z łez rzewnych po nim nie osuszy.  
Alić i ty cnotliwa drużyno społecznie,  
Dnia dzisiejszego ze mną zapłaczesz serdecznie,  
Wspomniawszy, jako gładkim rymem, jako mile  
Wysłał w krótkich pieśniach wszystkie krotofile.  
A chociażże Hyacynt kwiat Słowiańskiej ziemi  
Trumnę jego okrywa gałązkami swemi,  
Przecie i tu każdy z nas wzięwszy darnia bryłę,  
Na imię jego, wielką usypmy mogiłę,  
Na której wierzchu, miasto rytego grobowcu,  
Zawsze świeżego rzędem nasadzę jałowcu:  
Środkiem, wieńców zawieszę barwinkowych parę,  
I którą mi darował odchodząc cytharę:  
A wy miasto napisów, nad ozłębłym grobem  
Śpiewajcie ze mną jakim kto umie sposobem.

#### O l e c h n o.

Jako obchodu tego stałeś się powodem  
Także bądź i śpiewania: ty zaczynaj przodem.

#### H i l a s.

Niemasz cię, niemasz Symichu mój złoty,  
Ma uciecho, me rozkoszy, moje pieszczoty.  
Niemasz cię, niemasz żywego z nami,  
Próżno cię po wszystkim świecie z płaczem szukamy.



Uwładleś nagle jako kwiat różany,  
I zniknąłeś jak poświata Jutrzenki rany.  
Niemasz cię, niemasz! przed ludzkim okiem,  
Jako słońce, zakryłeś się ciemnym obłokiem  
Zagasła światłość twojej przyjemności,  
Zaszły nocą ostateczną twoje wdzięczności.  
Ustały w ustach twoich żywe zdroje,  
Ujął sen nieprzebudzony źrenice twoje.  
Trzykroć żaloszny, oplakany grobie,  
Tyś nadzieje i pociechy me zamknął w sobie:  
Ty serca mego wzięłeś połowicę,  
Zostawiwszy miasto nlego płacz i tęsknicę.  
Tu miećcie kwiatki pachnące, młodzieńcy,  
Tu, panienki, nieście rószczki z wonnemi wleńcy.  
Okryjcie ten grób zewsząd ziołami,  
By nie wiedzły, ja je będę polewał łzami.  
A ty krwi moja wielce ulubiona,  
Z serca mego do trunienki tej wytoczona,  
Dobra noc miewaj, póki ja z tobą  
Żywy z żywym nie ujrzę się własną osobą.

### Olechno.

Komu kwiateczki me kwitnicie?  
Komu zapachy gotujecie?  
Kto waszym zechce być strażnikiem?  
Kto waszym będzie ogrodnikiem?  
Ponieważ przyjaciel mój serdeczny  
Odchodzi ode mnie w on kraj wleczny.  
Ehej róże śliczne, o róże!  
A któż mi was zrywać pomoże?  
O lille, młode lille!  
Któż mi z was wianek uwije?  
Kiedy największe moje kochanie,  
Ze mną się ostatecznie rozstanie.  
Ach floleczki me rumiane!  
Dla kogo będziecie zerwane?  
Oj wianeczku, luby wianeczku!  
Komuż cię daruję w taneczku?

Gdy się ode mnie spieszno wybiera,  
I gdy mój najmilszy umiera.

Rozmarynie, hej rozmarynie!  
Już przyjemny zapach twój zginie;  
Nie tylko rozmaryn sam zgoła,  
Wszystkie wonne zniszczają zioła.  
Oto kwiatek żywy, z nlemałem  
Uwiądl światła wszystkiego żalem.

Dorylas.

Z żalem nieukojonym serce mi wspomina,  
Jako mię Symich, pociecha jedyna  
Żegnał. Gdy się rozstanę z tym światem mizernym,  
Jeśli mi będziesz przyjacielem wiernym,  
Przynajmniej w rękę martwą dasz mi wonne ziele,  
Abo poprawisz wieńca na mem czele;  
Lubo na oczy rzucisz ziemi pierwszą bryłę,  
Lubo nad grobem usypiesz mogiłę.  
Aul mię zapamiętasz, owszem każdej włosny  
Różami grób mój potrzęsiesz żalosny.  
Na co ja: mój Symichu, me serce jedyne,  
Niechże ja pierwej nieszczęsny zaginę,  
Niechaj ja twoje mary śmiertelne załęę,  
Niżli się z tobą tak prędko rozprzęę.  
Ale że już ostatnie poszły zyzem losy,  
A z wiatrem poszły życziwe me głosy:  
Jużeś w młodości skończył, dojrzałe tve żydło<sup>1)</sup>  
Już ciało twoje szlachetne ostygło.  
Już, hej niestetyż! one oświecone oczy,  
Smrodliwa ropa bez przestanku toczy.  
Już czoło okazałe, i udatną szyję  
Plugawy robak bez przestanku ryje.  
Niedługo proch zbutwiały, i próżne nadzieje  
Wicher po ziemi przestronnej rozwleje;  
Że wszystek człowiek z wzrostem całym (żał się Boże)  
W maluchnej garści zamknięony być może.

<sup>1)</sup> = życie.

Hilas.

Między Mirtami, przy Idejskim dole,  
Wdzięczny sen spało nadobne pachole  
Bezpiecznem okiem, aż z pustej jaskini  
Wynidzie kniemu podziemna bogini,  
Śmierć niezblagana, bez ciała, bez oczy,  
Z kosą do niego jadowitą skoczy,  
I krzyknie: tyś to nieszczęsny Kupidzie  
Dany za glermka i syna Cyprydzie?  
Żebyś się mojej potędze sprzeciwił,  
Żebyś znikomych ludzi płód ożywił?  
Co teraz myślisz bezecna hołoto?  
Pójdiesz gdzieś nie był, poznasz co jest Kloto?  
Strachem tak nagłym dziecna przejęta,  
Krzyknie: o matko moja, matko święta,  
Folguj mi, wszak ja pod twą żartką kosę  
Naród człowieczy bez przestanku płoszę.  
Co większa, od tej chwili, na twą stronę,  
Lud skazitelny bez liku pożonę.  
To mówiąc: napnie łuk, i strzałą żywą  
Zajmie po kościach śmierć nielutościwą,  
Ażcl odmiana prędką: bowiem ona  
Jędza, miłosną chęcią zapalona,  
Kosę i sajdak śmiertelny odrzuci,  
A do szyje się Kupidowej rzuci.  
Potem mu kołczan, martwemi natkniony  
Strzałami, między zawlesi ramłony.  
W tym mój Kupido złociste rozwinię  
Skrzydła z barków swych, i gdy się wywinie  
Z ręku, piórami tak długo wiatr rzeże,  
Aż na Paphyjskie przypadł lotem wieże.  
Tam obaczywszy matkę Erycynę  
Z płaczem jej powie takową nowinę.  
Ona go, ciesząc: dziecie ukochane,  
Czemu poblady twe usta różane?  
Czemu się boisz? Nie wiesz że krwie Boskiej  
Nie dotykają śmiertelne przegrożki?

On też w nadzieję niewątlęgo wieku,  
Najmniej folgując biednemu człowieku,  
Młodość i starość, panny i chłopięta  
Równie zagania w niepozbyte pęta,  
Napada nizkie i ubogie stany,  
Bierze w niewolą chudziny i pany;  
Ludzie mądrości znacznej, wielkiej rady  
Pod przykre jarzmo zewsząd pędzi stady.  
Wszędy go pełno. Raz przechodząc błonie,  
Szeroko w pięknym leżące Aonie,  
Ujrzy Symbicha, młodego Symbicha;  
A on, gdzie skała Parnaska wypycha  
Wody szemrzące, na głośniej Cytarze,  
Pleśni wygrawa, a przed nim po parze  
Tańczą boginie, Muzy i Charyty:  
Aż Terpsychore z konwaliej wity  
Wieniec, lubemu dawszy Cytaryście,  
Jęła okrywać skronie jego w liście  
Bluszczu krętego; w tym Amor po cichu,  
Skradłszy się, szepnie: ucieszny Symbichu!  
Nie lepiłby to tym czasem w Cytherze,  
Przy białym lata trawic fraucymerze?  
I sercowładnej posłużyć bogini,  
Nizeli tęsknić w tej głuchej pustyni?  
Słyszac to, Symbich począł pałac wstydem,  
Począł uchodzić przed zradnym Kupidem,  
Żałośnie krzycząc: o niepokalane  
Córki mądrości! jeżeli wam oddane  
Czystości mojej przyjemne są śluby,  
Jeżeli mój rym był wam kiedy luby;  
Brońcie mię teraz! Widząc to, zuchwały  
Marsowic porwał kołczan pełno—strzały;  
On kołczan, który dała mu w zakładzie  
Wiedma piekielna: ten namniej o zdradzie  
Wiedząc, gdy z niego śmiertonośne pręty  
Położy na łuk haniebnie napięty,  
Niestetyż! ledwie cięciwy pociągnie,  
Za pierwszym razem Symbicha dosiągnie

Strzałą, którą mu na złe poruczyła  
Lachesis wściekła, gdy go polubiła.  
Zatym Symicha wszystkie żywe siły,  
Wszystkie uciechy żywe opuścily.  
Tu koniec wzięły Sauromackie ody,  
Tu Symphonie, tu głośne epody  
Ustały, kiedy przedniego muzyka  
Zaraza bolem niezleczonym tyka.  
Niemasz już, niemasz Orfeusza, który,  
Siedząc pośrodku Rhodopejskiej góry,  
Zwabiał stronami wdzięcznemi wszelaki  
Zwierz, ryby wodne i powietrzne ptaki.  
Lecz jako łabędź, którego śmierć bierze,  
Usiadłszy nisko przy cichym jezierce,  
Smakuje sobie koniec tego światła,  
I wiecznych czasów nie przeżyte lata,  
Wzbudziwszy w sobie nowe melodye,  
Nowe koncerty, nowe harmonie,  
Krzyczy z radością wiekuiste hymny  
Tak długo, aż go duch opuści zimny.

### O l e c h n o.

Kto kiedy większą żalu miał przyczynę,  
Jako kiedy me kochanie jedyne,  
Śmierć nie okrotna <sup>1)</sup>, złupiwszy z żywota,  
Wegnała w trudne Proserpiny wrota.  
Niewinna duszo, ciebie cnoty twoje  
Przyprowadziły na wieczne pokoje,  
Gdzie będziesz wiecznych zażywać rozkoszy,  
Których przypadek żaden nie wypłoszy.  
Ja zaś po tobie, o Aoński sługo,  
O wychowańcze! będę tęsknić długo;  
Będę z siostrami płaczlwej Kameny  
Nad ciałem twoim kwilić rzewne treny.  
Tak więc orlica wzięwszy w piersi strzałę,  
Chociaż z tym razem na wysoką skałę,

1) Niewstrzymana.

Chociaż uleci na dziłkie bałchany,  
Nie może pozbyć raz zadanej rany.  
Nie mniejszym i ja, przez twą śmierć, sposobem  
Zraniony, nad tym dziś narzekam grobem.  
Gdzie was na ten czas pióra zanosily  
O Kupidowie! gdy Symich mój miły  
Żegnał ostatnie Helikońskie zdroje,  
I dwójwierzchnego Parnassu podwoje.  
Wierzę ani Cypr, ani Paph szeroki  
Był wam przyczyną takowej odwołki:  
Bowlem go i Cypr żałował miłośny,  
I Paph dla niego toczył lzy żałosny.  
Nad to i Paphy dziecie gładkiej twarzy,  
Ogniem swym wlećej nikogo nie sparzy,  
Gdyż nad Symichem płacząc ustawicznie  
Zalał w pochodni światło świetnościłczne.  
Ani z Cyteru złotorucha Pani  
Strzałami swemi serc ludzkich urani;  
Abowiem wszystkie na stós ułożyła,  
I ciało tve nań Symichu włożyła.  
Tu latorośle nieście balsamowe,  
Nadobne Nimphy, tu gałązki nowe  
Mirtowe miećcie, tu różane wianki,  
Tu kładźcie pięknie złożone równianki.  
A ty Aońskiej matki synu mały  
Tu wszystkie porzuć serdeczne zapaly.  
Podnieć twym ogniem grobowiec żalobny,  
Na którym Symich spoczywa ozdobny;  
A ja postawię słup nie ladajaki  
Nad nim, przy którym napis będzie taki:  
Tu leży Symich, Symich on nadobny,  
Abo Kupido, abo mu podobny.

Dorylas.

O ktoby mę dziś przybrał w pióra lotne,  
I dał mi skrzydła do barków obrotne!  
Żebym przed żalem, który mę nie lekko  
Trapi, poleciał od ludzi daleko.

Wolałbym mieszkać w bezludnej pustyni,  
Abo się zamknąć gdzie w ciemnej jaskini,  
Niżeli martwe często przyjacióły  
Widzieć, i z niemi umierać napoły.  
Ilekoć bowiem człek miłych utraca,  
Tyle razów żal życia mu ukraca;  
I w jednym grobie składa to oboje,  
Ciało nieżywe i pociechy swoje.  
I, ty Symichu, ledwleś się urodził,  
W wielkieś nadzieje pokrewnych zawodził;  
Dodawały im wysokiej otuchy,  
Dowcipu twego niemal Bozkie duchy.  
A teraz, jako gdy kto przed pogodnym  
Słońcem schronił się pod jaworem chłodnym,  
Jeżli się drzewo z trafunku obali,  
Oraz i siebie i jego przywali:  
Tak niespodzianym za twoim upadem  
Oczekiwania padły jednym śladem;  
I drzewo, i cień, i pociechy potem  
Następujące zmieszały się z błotem.  
A przetoż źródła, i przezorne zdroje  
Dodajcie mi łez, abym szkody moje  
Godnie opłakał, chociażże nagrody  
Nie wezmę równej za te moje szkody.  
Jako z własnego brzegu roztoczona  
Woda od ziemi łakomej połkniona,  
Już się nie wraca do pierwszego stoku;  
Tak z powszechnego i ciebie wyroku  
Gdyśmy Symichu złożyli do lochu  
Prochem się stawszy, utonałeś w prochu.  
Gdzie teraz ono czoło twe łagodne,  
Trzykroć wdzięczniejsze nad niebo pogodne?  
Kędy ust gładkich nieprzebrane morze?  
Gdzie oczy miłsze nad poranne zorze?  
Kędy dowcipu dziwnego przybytek?  
Śmierć zdruzgotała w drobne kąski wszytek.  
Ehej niestetyż! twoje lube oczy  
I także pysklem brzydkim czerw roztoczy?

Czoło wesole, i udatną szyje  
Robak zgnilemi zębami poryje,  
A potem z ciałem i moje nadzieje  
Wicher po drogach rozstannych rozwieje,  
Że i ty znikniesz, i twoja pamiątka  
Pospołu z tobą zaginie do szczątka;  
O prędkość sobie za powinowactwo  
Najmilsze przybrał plugawe robactwo.  
Owad podziemny, węże i gadzina,  
To twoi krewni teraz i rodzina.  
Twoi to bracia teraz i rodacy,  
Smród, zgnilość, mszyca, czerwie i pędracy.  
Ze mną płacziwe rzeki narzekajcie,  
Ze mną i wiatry, wzdychając, stękajcie,  
Cokolwiek wonnych kwiatków w sadach roście,  
Zerwawszy, bystrym pędem tu przynoście.  
Jak wiele listów strumieni okrywa,  
Niechaj pospołu z wodą tu przyplywa.  
Niech wody łzami, kwiateczki ozdoba,  
Listki niech będą grobowi żalobą,  
Grobowi, w którym twardym snem zmorzony,  
Nocuje Symich mój nieprzeplacony;  
Już nie on Symich, jaki w ciele żywym  
Był czerstwym, grzecznym, chybkiem, urodziwym:  
Ale żalu mój! w żalosej postawie  
Bardzo odmienny; on, i nie on prawie:  
A zgoła nie on, tylko jego zlewna  
Lepianka oczom ludzkim nieprzyjemna,  
Z której gospodarz ustąpił, a ona  
Stoi pustkami sobie zostawiona,  
Stol jak szalasz chróściany odarty,  
Który winiarze stawiają dla warty;  
Zaledwie z onej straż ustąpi kucze,  
Już ją lada kto odziera, i tłucze.  
A przetoż góry i niskie doliny,  
Pomóżcie wdzięcznej płakać mi dzieciny  
Którą swem mlekiem Jowiszowe góry



W cieniach Parnaskiej wychowały góry,  
Którą, kołysząc, aby spała chutni,  
Gdy przyśpiewują cichuchno przy lutni,  
Wszystkie muzyki, i pieśni w nie wlały,  
Jakie piastunki kolwiek one grały.  
Teraz już dziewczek Bozkich ukochany  
On wychowaniec, z prochem pomieszany,  
Zamknął żelaznem usta swe milczeniem;  
Już go nie słyhać, już się słodkim pleniem  
Do pozostałych przyjaciół nie ozwie,  
Póki nas trąba do sądu nie pozwie.  
Ona to trąba, która kiedy krzyknie  
Na trwozę, wszystko stworzenie przeniknie,  
Wszystkie otworzy groby zmarłych ludzi,  
Wszystkich nas ze snu długiego obudzi,  
I stawi na sąd ostatni w tem ciełe,  
Które już było zginęło w popiele.  
Tam śmierć od żalu okrutnie zawyje,  
I własną ręką sama się zabije.  
Tam niezblągane dni naszych szafarki  
Rzucą o ziemię niepłatne zegarki.  
Słońce od strachu nagłego zemdleje;  
Księżyc twarz krwawą posoką zaleje.  
Gwiazdy z przestrachu chorobą szkaradną  
Z nieba rzucone, na ziemię upadną.  
Ziemia się z gruntu poruszy, a skały,  
Będą się zbijać jako morskie wały.  
Wszystkie misterstwa rąk ludzkich i czyny,  
Potop ogniowy obróci w perzyny.  
Miasta i zamki pyszne wniwecz zburzy,  
Pompy światowe popielcem przykurzy.  
Nasze ozdoby i galanterye  
Grubym zużelem na wieki pokryje.  
Wszystek świat wezdręnie oraz w onej dobie,  
Sam się w żałobę ubierze po sobie.  
Sam się zaleje łzami, gdy w popiele  
Obaczy swoje niegdy przyjaciele.

A my co rzeczem, grzesznicy złośliwi,  
Kiedy się lękać będą sprawiedliwi!  
Odbieżą nas tam te dziecinne brydnie,  
Wierzę, każdy z nas z bojaźni ostygnie,  
Jako słup wryty, z miejsca się nie ruszy,  
Obawiając się piekielnej katuszy.  
Żaden tam rzecznik nie trunie<sup>1)</sup> za nami,  
Tylko uczynki nasze staną z nami,  
Te sprawę od nas ostatnią odprawią,  
Te nas potępią same, albo zbawią.  
Tobie już błogo, o duszo wybrana,  
Żeś do wesela weszła swego Pana,  
Tamże nas czekaj, aż te nasze żale  
Skończywszy, w Bozkłej ujrzymy się chwale.

## Roxolanki

to jest

RUSKIE PANNY.

Pierwszy chór panieński.

Pierwsza Pneumella.

Teraz głośna Muzyko, z wdzięcznym Arionem

Zakrzyknij one pieśni, jednostajnym tonem!

Których skały twardouche

Słuchały, i lasy głuche.

Oto pary do tańca najcelniejsze Idą,

Już nie młękki Adonis, z udatną Cyprydą:

Ani z Tezeuszem ładna

Wyskakuje Aryadna.

Ani Dardańczyk, który za pomocą młodzi

Trojańskiej, porwał gładką Lacerkę do łodzi:

I wpadłszy na okręt nagle

Podał wiatrom białe żagle.

Zrazu po Oceanie żeglując szalonym,

Pełen strachu, tańcem się zabawiał gonionym:

Aż gdy pod ojczystą Idą

Doszedł łądu z Tyndarydą,

<sup>1)</sup> Nie odezwie się.

Dopiero odpocząwszy z podjętych niewczasów,  
Przechadzka mi się bawił, środkiem ciemnych lasów:

Częstokroć kryniczną wodą,  
Mył ciało z kochanką młodą.

Jeżeli przyjacielskiej chciał zażyć biesiady,  
Poszedł w plęsy z Heleną, a dzikie Dryady

Jedne przed niemi skakały,  
Drugie na multankach grały.

Ale tu Oblubieńcy, krom wszelkiej bojaźni,  
Przymierze z sobą ślubnej zawarłszy przyjaźni,

Dzień dzisiejszy krotochwill,  
I weselu poświęcili.

Przetoż starsza drużyna usta sokiem chłodzi  
Bacchowym, a przed stołem grono pięknej młodzi,

Z białą czeladzią na poły,  
Zaczyna taniec wesoly.

Każdy z nich, czołobitne oddawszy ukłony,  
Jako głos melodyj zabrzmiał upieszczony,

Raz kroczy wolnym szeregiem,  
Drugi raz pośpiesza błęgiem.

Lecz tam wszystka uciecha, tam wszystkie są gody  
Kędy z Kniehinią nową, rej wiedzie Pan młody:

Niechajże wszystka muzyka,  
Dla nich wesoło wykrzyka.

#### Czwarta Lycidina.

Moje miłe równennice,  
Powiem wam swą tajemnicę.

Żałosna, nie mała, szkoda mię potkała;  
Nie we złocie, ni w dostatku.

Ale w najprzedniejszym statku:

Pół roka minęło, serce mi zginęło.

Nie był nikt czasu tej zguby,  
Tylko mój jedyny luby:

Przecie z tej przyczyny, nie daję mu winy,  
Bo nie brał on serca mego,

Gdyż samo zbiegło do niego:

Aż w swej dobrej woli, zostało w niewoli.

Jeszcze mu dziękuję za tę  
Uczynność, że moją stratę  
W tak znacznej potrzebie, przytulił do siebie.  
Inszej mu nie dam nagrody  
Tylko połowicę szkody:  
Na czym małoli ma, niechaj wszystko trzyma.  
Nie zechcieli przestać na tym,  
Wiem, co ja uczynię za tym:  
Bym nie zbyła duszę, za sercem pójść muszę.  
Żadna Panna, ani Pani,  
Wierzę, tego nie nagani:  
Ile białej głowie, miłe mi jest zdrowie,  
Choćbym nie rada, ja tuszę,  
Przecie tak uczynić muszę:  
Bez serca, wszak wiecie, trudno żyć na świecie.

#### Jedenasta Poscilla.

Pszczółko niemiłosierna, czemuś uraniła  
Mój paluszek? dla czegoś żądło w weń wpuściła?  
— Dla tegom cię ujadła,  
Żeś z ula miód wykradła:  
Któregom miała pożywać w późnej jesieni.  
— Patrzej jako odrazu skóra się rozpadła,  
A od bólu sroglego twarz moja pobladła:  
— Pewnie zdrowa byś była,  
Gdybyś nie poruszyła  
Cudzego, i nie sięgała do skrytej dzieni.  
— Któż to wiedział, żeś na ten czas w dzieni siedziała,  
Kiedym ja, nieszczęśliwa miód z niej wybierała:  
— Tak świat rozkoszy słodzi,  
Tuż przy nich gorzkość płodzi:  
Między trochę miodu, żółci przydając wiele.  
— Nie dbam, żeś mię boleści, pszczółko, nabawiła,  
Ponieważ dla tegoś miód z żądłem utraciła:  
— Wszystkoś mi odebrała,  
Com najlepszego miała;  
Masz miód, masz żądło, jesteś pszczółka w ludzkim ciele.

### Czternasta Ciprina.

Roxolanki ukochane! Przez usta wasze różane,  
Czemu wasze słodkie strony Nie brzmią wdzięcznej  
[Thelegdony.

Godna jest przedniego pienia, Zacność wiecznego  
[płomienia,

By jej serdeczne zapaly Z Jutrzenką równo gorzały.  
Nie tak zorza z jasnej kosy, Rozpościera świetne włosy:  
Nie tak wargi swe szariatne, Wystawla światu udatne:  
Jako młoda Thelegdona, Pięknym ogniem rozpalona,  
Od zatajonych płomieni, Oblicze wstydem rumieni.  
Lampy rozsiane po niebie! Jeśli ku waszej potrzebie  
Światłości więcej mieć chcecie, Zaraz od niej zdobędziecie:  
I wy łaskawe Boginie! Które w północnej krainie  
Od przykrych mrozów ziębniecie, Prędko się u niej  
[zgrzejecie.

Ani walne wody, ani Morskich przepaści otchłani:  
Nawet lata nieprzeżyte, I marmury twardo ryte:  
Choć żadnej skazy nie znają, Pamiątki jej nie przetrwają.  
Przetoż śpiewacy ucieszni, Zaczynajcie nowe pieśni:  
I Roxolanki pieszczone Ogłaszajcie Thelegdonę.

### Siedmnasta Marantula.

Za twoje kochania ku mnie ukwapliwe,  
Za twoje szczerości nader pieszczotliwe:  
Przyjmijże mój najmiłszy kochany  
Ode mnie ten wianeczek różany.

Godzienieś Japońskich pereł, abo złota,  
Ale wiedzac pewnie, zem ja jest sierota:  
Przyjmijże mój najmiłszy kochany  
Ode mnie ten wianeczek różany.

Dar to pospolity, lecz nieladajaki,  
Droższy nad klejnoty, i pyszne kanaki:  
Przyjmijże mój najmiłszy kochany  
Ode mnie ten wianeczek różany.

Bowiem że w nim róża jeszcze nie pomleła,  
Nie gardziłyby nim przedniejsze panięta:

Przyjmijże mój najmiłszy kochany  
Ode mnie ten wianeczek różany.

Lecz ja, pominąwszy wszystkie ich zawody,  
Toblem go samemu chowała krom szkody;

Przyjmijże mój najmiłszy kochany  
Ode mnie ten wianeczek różany.

Sama ja te kwiaty w ogrodzie mym lubym  
Urywając, cierniem zraniłam się grubym:

Przyjmijże mój najmiłszy kochany  
Ode mnie ten wianeczek różany.

Jam je z twarzy mojej dodawszy rumieńcu,  
Usadziła kołem jednostajnym w wieńcu:

Przyjmijże mój najmiłszy kochany  
Ode mnie ten wianeczek różany.

Ażeby do ciebie więcej nie teskniła,  
I sercem swe między te róże przywła:

Przyjmijże mój najmiłszy kochany  
Ode mnie ten wianeczek różany.

Wtóry chor młodzieński.

Drugi Amaranth.

Niech się insze w bogate stroją złotogłowy,  
Niech skarby na się biorą, niech fryzują głowy:  
Niech dyamentami palce swe okują,  
Niech szyje zamorskiemi perłami osnują.  
Fraszka szumne ubiory, fraszka i bławaty;  
Bowiem nie tak na złoto, ani pyszne szaty,  
Nie tak się zapalają prędko na pieniądze,  
Jako na przyrodzoną gładkość, ludzkie żądze.  
Nie pomogą niewdzięcznej twarzy drogie sztuki,  
Nie ozdobią jej włosów przyprawnych peruki;  
Grunt uroda; komu tej jednej nie dostaje,  
Nie dadzą jej bogactwa, ani obyczaje.  
Przeto miłszaś ty u mnie nadobna dzieweczko,  
Gdy się z prosta ubierzesz w cienkuchne gziełeczko.  
Niżeli niepozorna Panna, chociaż szatna,  
Miłszaś ty mnie w koszuli, Dziewczyno udatna:  
Jeżeli i ta cięży, zrzucze ją z sieble.  
I bez niej ma pociecho przyjmę ja cieble.

### Siódmy Aureli.

Ukochana Lancelloto! Ciebie nie proszę o złoto,  
Nie chcę u ciebie kamieni Bogatych, ani pierścieni!

Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.  
Wszakżeś jeszcze ziele siała, Kiedyś mi go oblecała,  
Pierwej niżliś go uwliła, Mnieś go darować ślubliła:

Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.  
Wiem, że się tym nie zubożysz Datkiem, lecz jeśli się  
[drożysz

I chcesz sprzedać, ja kupuję Zaraz się z tobą ztarguję:

Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.  
Choć ci ziele darmo dano, Choć za wieńcem dają wiano,  
Chociaż na tej kupi stracę, Przecieć go chętnie zapłacę.

Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy,  
Jeśli zaś mi darunkiem Nie chcesz go zbyć ni  
[szacunkiem:

Bierzże ode mnie w zamianę Za wianeczek zawój tkany.

Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.  
Nie daszli go w letniej suszy, Sam się od ciepła  
[pokruszy

A tak od ciężkiego słońca, Póki nie zwłędnie do końca.

Daj mi najmiłsza z głowy Wianek rozmarynowy.  
Jeźlić go słońce nie spali, Abo wiatr z czoła nie zwali,  
Pewnie w ostatniej jesieni, Sam się przestarzawszy  
[zmieni.

Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy  
Przez to nie naruszysz cnoty, Ani popadniesz sromoty,  
Gdy nachodziwszy się w wieńcu, Podarujesz go  
młodzieńcu.

Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy:  
I owszem nabędziesz chwały, Że za podarunek mały,  
I za trochę dosyć ziela, Kupisz sobie przyjaciela:

Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.

### Ósmy Thophil.

Przez sen, jawnieli, na pięknej łące,

Widziałem strojne Panny grające:

Dwór snąc pięknej Dyany, trzy jelenie białe,

Świetny wóz złotem wiozły, ktemu charty śmiałe:

Tyrska szata, smycz na niej, warkocz rozpuszczony,  
Trąba, sajdak, pewny znak, że córka Latony.

Wszystkie gładkie, lecz jedna prawie

Jako kwiat róży przy polnej trawie,

Insze przeszła urodą, czoło jej Tyarę

Z Lilji białej niosło własną twarzy miarę:

Jej gwoźl wszystkie grają, śpiewają i tańczą,

Ona z Boginią łowów, grała Pomarańczą:

Sercu rzecz miła, oczom wejrzenie,

Jedno iż z góry w dół idą cienie.

Dyana ją odwozi matce wozem złotym,

Za nią me oczy idą, poszło serce potym:

Nie wiem kto! lecz po mowie znam, i po ubierze,

Cną Sarmatkę, a we mnie ogień górę bierze:

O można Cypry! jeźli posługi

Nleważne były, przez ten czas długi:

Daj znać człeka miłego, imię, i ród pomień,

We mnieś ogień wzniecła, wznieć także w niej płomień:

Za coć z wonnych ziół oltarz, i gołębi parę

Piórem równych śniegowi, dam ci na ofiarę.

Tylko bądź proszę życzliwa, a ty

Serca ludzkiego, strzelcze skrzydlaty

Wyciągnij niepochybne jedwabiem twe rogi,

Wypuść ku niej wiadomy bełt serdeczny drogi:

Aby me powolności, torem twojej strzały,

Do jej serca lubego, lepszy przystęp miały.

D w u n a s t y A n z e l m.

Trzykroć szczęśliwy wiek kwitnącej młodzi,

Która pod strażą czułą jeszcze chodzi:

Wiek z każdej strony Błogosławiony.

Tych samych mija Bożeczek skrzydlaty,

Na ciele nagle nie mający szaty:

Strzelec okrutny, Zbójca wierutny.

Choźe sę jako między nie wśrubuje,

Złoty od boku sajdak odpasuje,

Pochodnią z dłonie, Kładzie na stronie;

Z niemi w wieczornym przechadza sę chłodzie,

Z niemi sę pławi w przezroczystej wodzie:



Z niemi on śpiewa, I tańce miewa.  
Spraw dobry Phebie! żeby moje przędzie  
Leniwo wiły niezblągane jędze:  
Abym w młodości, Zniknął starość.

### Czternasty Simeon.

Już słońce co dzień wleczołem niżej zapada,  
A jesień co raz przystępuje blada:  
Na które ukwapliwe i nagłe jej przyjdzie,  
Więdnije trawa, mdleje szmaragdowe liście.  
Za nią w też tropy dybłą czasy niewesołe,  
Niszczają Wirydarze, lasy stoją gołe,  
Zła chwila prace letnie w ogrodach pustoszy,  
Lud rozkoszny z folwarków ku domowi płoszy.  
Po chwili ostre wichry, gdy się z zimnem zwadzą,  
Ostatek ozdób wdzięcznych przeszłej Wiosny zgładzą:  
Splondrują Winogrady zarodne do czysta,  
Chłodnikom zielonego nie zostawią lista.  
Dlategoż ty zawczasu, Faforyno młoda,  
Zaniechaj dawcę uciech Majowych, ogroda.  
Nawiedz znowu pokoje, i miasto dwójgrodne,  
Twojej bytności i twych miłych zabaw godne.  
Tu ja nie przy szemrzącym, jak przedtym, strumieniu,  
Ani pod lipą, abo w jaworowym cieniu,  
Ale raczej w alklerzu, przy ciepłym kominie,  
Będę pleśnił powtarzał o gładkiej Halinie.  
A chociażbym też trafił Bohatyrów sławnych  
Składnym rymem północnym krajom czynić jawnych:  
Lecz takowa zabawa tych wieków nie płaci,  
Kto się jej podejmuje, czas i pracę traci.  
A przetoż ja na moim gęgnogłosym flecie  
Wolę ogłaszać oczy pieszczone po świcie:  
Bo gdy we mnie które z nich uderzy ochotnie:  
Swym wzrokiem nagrodzi mi robotę stokrotnie.  
Teraz póki ostatki lubieżnego lata,  
Póki kresy nie miną uciesznego świata,  
Pospieszmy ku tobie: u ciebie schylone  
Gałęzie, jabłka słońcem padają zwarzone.

U cieble nie pozbywa winnica brzemienia,  
Ani zlelnik pierwszej swej grzeczności odmienia:  
A chociaż nas tam Grudzień zaskoczy zazdrosny,  
Z tobą w pół zimy, lubej zażyjemy Wiosny.

Siedmnasty Andronik.

Gdzie oświecone Jutrzenką trzy góry,  
W ostrych pazurach trzyma żółtoskóry  
Lew, kędy tenże nigdy nie uślpony

Pilnuje brony.

Oto nad plorun, przeraźliwsze strzały,  
Z twych oczu na mnie miece Bożek mały:  
Których ani się może człowiek schronić,

Ani zasłonić.

Pieszczone dziecko, skąd wzdy na mą mękę,  
Tak mierne oko, tak żartką masz rękę.  
W której to kuźni, miękkie twoje strzały,

Hartu dostały.

Tyś winna, tyś mu oczu pożyczyla,  
Twego to wzroku, nie jego rąk sła:  
Twego to serca nieużyte skały,

Ostrzą mu strzały.

O gdyby pomsty chciała tak Bogini,  
Co z hardych myśli sprawiedliwość czyni:  
Bym przez cię, jako jestem uraniony,

Był uzdrowiony.

Ośmnasty Bineda.

Jest niedostępna jaskinia, gdzie ludzi

Śpiewak czubaty nigdy nie przebudził:

Gdzie nie dochodzą promienie słoneczne,

Tylko szarawa noc, ómy sieje wieczne.

Z lochu cichego potok wyskakuje

Niepomnej wody, która sny cukruje

Szumem miluchnym, Noc czarnoskrzydłata

Wszędzie po gmachu tęsknociemnym lata:

Na łożu gnuśnem sen drzymie lenliwy,

Wokoło niego mak rośnie senliwy,

Na którym ptaków czarnych nieme roje

Budują gniazda i mieszkania swoje.

Tu Zaryadres z piękną się obeznał  
Odatą, której krom snu nigdy nie znał.  
Tu ją zakusił rokoszy nie trwałej;  
Bo gdy nadobne Boginie mijały,  
Jedna piękniejsza, czyli tak się zdało,  
Otoli serce za nią pobieżało:  
Zniknęła; gdym się za sercem pokwapił,  
Mnie żal smutnemi skrzydłami oblał.

Dwudziesty siódmy Philoret.  
Oczy przyjemne, ale niespokojne,  
Hanlebną z sercem mem stoczywszy wojnę,  
Plac otrzymały: nie dziw, gdyż oboje  
Na jedno serce nacierały moje.  
Do tego zdradą, pod płaszczem przymierza,  
Gdy się tajemnie oczom serce zwierza:]  
Ostrą żartkością wzrok zahartowany,  
Niespodziewane zadał sercu rany.  
Stąd tryumfując, patrząją wesolo  
Oczy, koroną otoczywszy czoło,  
A kajdanami serce skrepowane,  
Idzie na srogą niewolą skazane.  
Takowych to dzieł oczy dokazują,  
Gdy się z sromoty wrodzonej wyzują:  
Tak nie inaczej, wolność serce trać,  
Które się z okiem nieprzystojnym zbraci.

Trzeci chor panieński.

Szósta Tamilla.

Dobra noc, trzykroć ukochany,  
Dobra noc, Wianeczku różany.  
Z kwiatków woniących nadobnie uwity,  
I sromieźliwą Lilią podwity.  
Dla ciebie, nie folgując spaniu,  
Powstawszy rano po świtanu,  
Gdym po Różańcu rozkwitłym chodziła,  
Bieluchnem nóżki rosą umoczyła:  
Dla ciebie kwiateczki nadobne  
Zrywając, paluszki me drobne

Niemłosierne ciernie poraniło,  
Tak, że się dobrze krwie mojej napilo.

A przeczem tak cierpliwą była,

A żem cię do końca uwila.

Uwłwszy, twoją pozorną koroną

Przyozdobiłam kosę uplecioną.

Cóż potym? gdy słońce gorące

W południe, Róże w nim pachnące

Wnłwecz spaliło, że wszystkie powiędły,

A koralowe goździki pobledły:

Dobra noc tedy ukochany,

Dobra noc właneczku Różany.

Żegnam się z tobą, żegnam ostatecznie,

Dobra noc miewaj, dobra noc miej włecznie!

Dwudziesta Halcidis.

Mądrość jest nad mądrościami,

Widzieć śmiertelną za nami

Pogonią, która wyroki

Miece na świat bez odwołki.

Jako z pędem na dół wali

Wiatr skałę, którą obali:

Tak się nasze przerywają

Lata, kiedy koniec mają.

Jako z cięciwy wypada

Strzała, a wicher nią włada:

Tak nas, tak nasze nadzieje,

Śmierć wespół z prochem rozwieje:

A kto się rozbraci z światem,

Wszystkie jego sprawy zatem

W niepamięci ponurzone,

Ludziom nie będą wspomnłone.

Właśnie jako kiedy morze,

Okręt wielkim gwałtem porze:

Skoro ujedzie, by znaku,

Nie znać jego najmniej ślaku.

Marność jest nad marnościami

Świat ten z swojemi pompami:

A przecie ludzi tak wlele,

Każę nań hardzie i śmiele.

## Samuel ze Skrzypny Twardowski (1600—1660).

Jedną z charakterystycznych cech poezji wieku XVII-go stanowi wyraźny zwrot do epiki.

Nie był wprawdzie ten rodzaj twórczości obcy i wiekowi XVI-mu, bo próbował go nawet Jan Kochanowski w opiewaniu Grunwaldu i Warny, ale — jak słusznie zauważa prof. Brückner — »czasy widocznie nie sprzyjały epopei: walki toczono wówczas wewnętrzne o sumienia, o wyznanie, gdy w wieku XVII-ym ciągle wojny na krwawy »taniec« Rzeczypospolitej się złożyły. I porwał wicher wypadków poezję szlachecką i wznosił ją na wyżyny epiki, gdzie dotąd polska stopa nie stanęła«.

Nie dokonało się to jednak odrazu. Umysłowość i smak szlachty musiały przejść przez odpowiednią szkołę. Była to szkoła podwójna. I literacka i życiowa.

W pierwszym klerunku zasadniczego nabiera znaczenia wydany w r. 1618-ym, a później kilkakrotnie przedrukowywany, przekład poematu Torquata Tassa p. t. »Goffred albo Jeruzalem wyzwolona«. Przekład ten wyszedł z pod pióra Piotra Kochanowskiego, syna Mikołaja (autora *Rotu*), ur. w r. 1566-ym, ucznia królewleckiego, później często bawiącego we Włoszech i stąd doskonale posiadającego język włoski. Zachwycony utworem Tassa, przełożył go Piotr Kochanowski na język polski, »aby się pokazało — jak sam mówi — że język nasz nie jest nad inne uboższy i aby się szczęśliwszym dowcipom do ubogacenia go dalsza podała droga«.

»Goffred« nie tyle dla swolch niezaprzeczonych piękności poetyckich i formy dotychczas w Polsce nieznaney, bo wprowadzającej do poezji »rym osmioraki, jakim na-

rody polerowańsze swoje heroica piszą« — ile dla treści ducha rycerskiego niezmiernie przypadł do upodobań szlachty.

Trzeba uwzględnić, że było to w przededniu Cecory i Chocima, że ta sama walka krzyża z półksiężycem, która toczyła się w poemacie Tassa, toczyła się także w Polsce, będącej »tarczą i przedmurzem chrześcijaństwa«, że więc rycerstwo polskie znajdowało tam odbicie niejako własnych swoich uczuć. I dla tego samego już nie mogło brakować »Jerozolimie wyzwolonej« czytelników. Byłby ich niewątpliwie także zdobył sobie i »Orland Szalony«, z ogromnym nakładem pracy przez tegoż Piotra Kochanowskiego przełożony, ale ten w druku się nie ukazał i znany był tylko nielicznym współczesnym z odpisów.

Jeżeli więc idzie o wpływ na ogół, to miał go tylko poemat Tassa.

Odpowiadał on znakomicie rycerskiemu rozmachowi i szerokiemu gestowi pokolenia, któremu przypadło w udziale krwawe zmaganie się z nieprzyjacielem, zalewającym Rzeczpospolitą, niby potop. Walki ze Szwedami, walki z kozaczyzną, z Tatarami i Turkami — to wszystko w ciągu wieku XVII-go samo już złożyło się na epos. Życie więc było drugim czynnikiem stopniowego przeradzania się smaku, bo szlachcic, skoro po dniach walki i trudów obozowych odpasywał miecz i zażywał szczęścia i błogostanu pokoju, chętnie słuchał bohater-skiej powieści o tych, którzy krwią swoją służbę ojczyźnie odsłużyli, bo miał przeświadczenie, i słuszne, że ta powieść i o nim mówi, gdyż i on bywał uczestnikiem opiewanych wielkich wydarzeń.

I w tem tkwi tajemnica, dlaczego ponad wszystkich poetów ówczesnych najumiłowańszym i najpopularniejszym był Samuel ze Skrzypny Twardowski, do wyżyn »polskiego Wergila i Tassa« przez szlacheckich czytelników swoich podniesiony.

Gdzie i kiedy urodził się ten pierwszy epik polski, nie wiemy. Imienia jego ojca ani nazwiska panieńskiego matki nie znamy. Na podstawie pewnych szczegółów z jego życia wolno jednak domyślać się, że przyszedł

na świat około r. 1600-go w okolicy Skrzypny lub Twardowa w Wielkopolsce.

Pochodził ze szlachty niezamożnej. Nauki pobierał prawdopodobnie w kolegjum jezuickim w Kaliszu. Wykształcenia wyższego nie odebrał. W Akademii Krakowskiej nie był. Natomiast od bardzo młodego wieku »polerował się« zwyczajem ówczesnym na dworze ks. Krzysztofa Zbaraskiego, z którym, w charakterze sekretarza, jeździł w poselstwie do Turcji w r. 1622—23-im. Podróż ta niewątpliwie dała mu dużo. Zobaczył barwny Wschód, poznał i zbliżył się w drodze z ludźmi wyższej kultury, zadzierzgnął z nimi trwałe stosunki i zasmakował w życiu umysłowym.

Niektórzy biografowie jego przypuszczają, iż towarzyszył następnie królewiczowi Władysławowi (IV) w podróży po Europie w r. 1624—5-ym. Przypuszczenie to jednak nie znajduje żadnego uzasadnienia.

Najprawdopodobniej był dworzaninem Zbaraskiego aż do jego śmierci, poczem — jak pisze Siarczyński — «w r. 1627-ym przeniósł się w służbę ks. Wiśniowieckich, którym sypie bez miary pochwały, jakby za to był płatny».

Jak się zdaje — wnioskuje prof. Ad. Bęłcikowski w swem studjum o Twardowskim — wieszal się także i przy Łubieńskich, coby pokazywały panegiryki, na cześć tej rodziny pisane. W jednym z nich Twardowski mieni się przynajmniej *g o d o w n i k i e m*, jeśli nie dworzaninem St. Łubieńskiego, biskupa płockiego.

Później, dosłużywszy się widać jakiej takiej fortuny, zamieszkał na wsi i zajmował się rolą. Na końcu bowiem swej rymowanej historii p. t. Władysław IV, wydanej w r. 1650-ym mówi: »Partus jest nie rzekę, któreby temu należało dziełu, ale *t o t c u r a r u m* w gospodarstwie szczupłem i kłopotów wiecznych. A to cóżkolwiek jest, w dorywczą tylko, *c a n i s m o r e b i b e n t i s* Nilum, gwałtem wypuściłem na świat«.

Niepokoje wojenne, jakich Polska tak często doznawała za Jana Kazimierza, przerywały i Twardowskiemu spokój i obcowanie z muzami. Nie do wczasów było mu czarnoleskich »pod lipą« na wzór Kochanowskiego. Od-

głosy walk dobiegały i do jego Zarubniec na Podolu, aż wreszcie pewnej nocy niebo zapłonęło dokoła krwawemi łunami pożarów. To Chmielnicki zajął Zbaraż. Wówczas poeta, który chociaż rycerskie pleśni śpiewał, sam jednak rycerzem nie był i, jak się zdaje, w żadnej wyprawie czynnego udziału z bronią w ręku nie brał, opuszcza Zarubińce i, niby lary i penaty, zabiera z sobą swoje rękopisy. Sam opisuje to wydarzenie z żałościwem sercem w *Wojnie domowej*:

... Tużem też nie czekał

I ja dłużej i równo z drugimi uciekał.

Przyznam się nie leniwiej; fanty prócz domowe

Milsze z sobą, a zbiory wiotche papierowe

W małym pudle uniosłszy. Lubo (co za dziwy?)

Uciekał i Pindarus: w tym jednak szczęśliwy,

Że gdy Teby gorzały, Filip mu ochronił

Jego tam Muzeolu. Mego nie obronił

Żaden dźwięk Apollinów, ani głos łabędzi

Niebieskiej Melpomeny! O słodkiej pamięci

Dziedzino, o nad Hible kochańsza pasieko,

Tożci od swej ozdoby bardzo dżiś daleko«.

Wielkopolanin, opuściwszy Podole, powrócił do Wielkopolski, gdzie w r. 1650-ym osiadł ostatecznie i został zarządcą Zalesia, dóbr Sienluty. Tam umarł około r. 1660-go.

Trzymanie się przez całe życie klamki pańskiej — stwierdza prof. Belcikowski — wywarło stanowczy wpływ na utwory Twardowskiego w większej ich części. Z początku pisał panegiryki Zbaraskiemu, Wiśniewieckim, Leszczyńskim i innym panom polskim, następnie, kiedy doszedł już do pewnej sławy, ośmielił się podnieść głos na chwałę swych monarchów, a nawet, kiedy okoliczności kazały, nie wahał się witać Karola Gustawa jako zbawcę Polski. Wprawdzie powrócił później na stronę Jana Kazimierza i prawdopodobnie brał udział (w r. 1656-ym) wraz z szlachtą wielkopolską w powstaniu przeciwko Szwedom, to jednak poprzedniem swem postępowaniem dowiódł wielkiej zasad chwiejności i charakteru kompromisowego.



Pierwszym jego utworem znaczniejszym była: Przeważna legacya J.O. Krzysztofa Zbaraskiego ... od najj. Zygmunta III-go, króla polskiego i szwedzkiego, do najpotężniejszego sułtana cesarza tureckiego, Mustafy, w r. 1621-ym... wydana w Krakowie w roku 1633-im i powtórnie tamże w r. 1639-ym. Twardowski, jako członek tego poselstwa, prowadził diariusz, w którym zapisywał wszystkie sprawy ważniejsze, i na tej podstawie pracę swoją później ułożył. Sam informuje nas o tem w przedmowie: »której (legacji) — plsze — memorabilia, będąc tej drogi comes, notowałem był prywatny diariusz, a potem per otium wierszem ojczystym illustrowałem«.

»Przeważna legacya« jest wielkim panegirkiem na cześć ks. Zbaraskiego, chociaż nadaje jej niejaką przedmiotową wartość i większy interes opisanie tych wrażeń, jakich poeta doznał w czasie podróży i pobytu w kraju, różnym tak dalece od Polski naturą, religją i zwyczajami:

Utwór zaczyna się od wywodu rodziny Zbaraskich i wylczenia czynów pośła i jego przodków. Następnie opowiada Twardowski powód tej legacji, t. j. wojnę turecką z r. 1620 i 21-go i dwa jej najważniejsze epizody, bitwę pod Cecorą i oblężenie obozu pod Chocimem. Zbaraski został wysłany od Rzeczypospolitej dla zatwierdzenia warunków pokoju, spisanych jeszcze pod Chocimem. Aliści ówczesny wezyr, Dziurdzi, zdecydowany wróg Polski, warunki te lekce sobie ważył i wbrew nim pragnął wojnę wznowić. Twardowski podnosi tedy zasługi Zbaraskiego, jako pośła, i uwydatnia trudy, jakie poniósł, aby rzecz do skutku doprowadzić i zwalczyć »Serajowe intrygi«. Pomoc okazali posłowi polskiemu: matka sułtana i przeciwnik wezyra, Daud, który wkrótce życiem za to zapłacił. Sprawę rozwiązało dopiero zrzucenie Dziurdziego z urzędu, poczem nowy wezyr pokój już bez trudności podpisał.

Taką jest treść »Legacji«. Opisy krajobrazu wschodniego i niektórych ważniejszych budynków w Konstantynopolu urozmaicają te relacje dyplomatyczną i wnoszą do niej pierwiastek poezji. Niektóre z tych opisów są nawet

ładne i świadczą, że Twardowski podróżował z oczyma otwartemi na piękno przyrody, że był obdarzony wrażliwością artystyczną i wyobraźnią, która umiała rzeczy widziane odtwarzać.

Dla Polaków, którzy mieli wówczas częste stosunki z Turcją, były to sprawy ciekawe. Niejeden mniej uczony szlachcic dowładywał się dopiero od poety, jak wyglądał ten kraj, z którym ojczyzna jego pozostawała w ciągłej walce. Niejeden czerpał też z »Legacyi«, jak my dzisiaj czerplemy z encyklopedji, wiadomości o religji tureckiej, o zabobonach i obyczajach narodowych, o handlu zamorskim. Posłuchajmy tylko, jak opowiada Twardowski:

»Płyniem w pięknych peremach po Poncie wesoło,  
Najady i Delfini igrają nas wkoło,  
Harce z sobą staczając, zwłaszcza z Hellesowi,  
Gdy płyną ku bystremu w zwochę Bosforowi.  
Jeśli ludziom natura w czem dogodzić chciała,  
Wszystko to jako sznur jeden tu zebrała,  
Którą część morza starzy zwali Chryzocera,  
A leje między wielkim Stambułem a Perą.

Wdzięczne dwa czyni porty. Co pod Bezezanem  
Tureckie kieremsały, gdzie z złotem odlanem  
Stawa Maur; gdzie ryżu i innej żywności  
Miastu Egipt dodawa w wielkiej obfitości.  
Tyrys konchy i szkarłat, perfumy Nubia,  
Balsamy Antyliban drogie tu rozbija,  
Damaszek składa jedwab, Angura czamlety,  
Perły Aden, złotogłów Arach i telety.

Muszkatety Kandya, świeże Korf cytryny,  
Stalimene naczynia z wulkanowej gliny,  
Czoldary Karmania i haftyrskie bryże,  
Dyarbeka bułaty i piękne palże.

I nic słońce nie rodzi i nic ludzkie dziło  
Nie dokaże takiego, na czemby schodziło  
Do uclechy i oczu i sytości żądze.

Jedno tu skok i Rodus: z sobą mieć pieniądze.

Drugi port pod Galatą, gdzie zaraz na czele  
Chrześciańskich okrętów widzieć bardzo wiele,

Świetnemi po wysokich masztach proporcami  
I szumnemi daleko wiewając żaglami.  
Złożywszy na Galatę, co ich niosą kraje,  
Wenet zwłaszcza granaty, Flander lekkie szale,  
Anglik srebro i cynę, Norweńczyk sobole,  
Spiże biorą i inne towary w Stambole.

Niżej widzieć arsenał na ćwierć mili długi,  
Pod dachy spiżowemi, jakim kosztem drugi  
Mienia być w Alkairze; tu galery stoją,  
Gdzie fale, ani plusków morskich się nie boją... i t. d.

Jest to niewątpliwie jeden z najlepszych opisów  
współczesnych portu Konstantynopolskiego i przewala-  
jącego się w nim bogactwa. Dokładność informacji łączy  
się tu z barwą, uchwytną tylko dla oka poety. Z innych  
ustępów »Legacya« zasługuje jeszcze na uwagę ciekawy, acz  
nieco przydługi epizod, dotyczący sławnej Roxolany, co:

»Podlego z Rohatyna popa była córą,  
Oddana niewolnicą do Szaraju, którą  
Z urody jej Soliman tak podobał sobie,

Że nad wszystkie sultany przeniósł ją w ozdoble.  
W którym szczęściu i takich widząc się terminach,  
To jedno przedsięwzięła, żeby przy jej synach,  
Których dwóch: Bajazyta i Selima miała,  
Państwo się ottomańskie i władza została.

. . . . .  
Oto i tu Soliman, którego szeroki  
Świat się lękał po Eufrat i Altańskie boki,  
Jednej Rusce ubogiej da się za nos wodzić,  
Że żądzom jej i chytrej woli chce dogodzić...  
Kończy się »Legacya« wzmianką panegiryczną

o ostatnim jeszcze czynie Zbaraskiego, t. j. o jego udziale  
w wyprawie szwedzkiej i śmierci chwalebnej, jaką tam  
znalaził.

Z panegirycznego biorąc stanowiska, ustęp ten  
należy do najbardziej »stylowych« w poemacie Twardow-  
skiego. Szczególnie sam opis śmierci Zbaraskiego zasłu-  
guje na uwagę:

»Tedy swe niedostatki oplakawszy łzami,  
I świętami omywszy je Sakramentami,

Śmierci, gdy już nadzieje nie było o zdrowiu,  
Jako wielki bohater, czekał pogotowiu.

Jako więc na Atlantce Fenix złotopióry,  
Na stosie drew cedrowych czeka słońca z góry,  
Które, gdy lew rozbada w swej zapalczywość,  
To zostawa, wypali w nim skazitelności.

Gdy medyk się zaduma: Po mojej-li cerze  
Czegoś i (prawi) postrzegłszy trwożysz się, Kroklerze?  
Mniećby ten strach należał a nie tobie raczej,  
Kiedy umrzeć, to umrzeć, gdy próżno inaczej.

Płaczą słudzy około: Cóż płaczecie i wy?  
Przeto-li, że umieram? A tom jeszcze żywy,  
Niewlastom te pieszczoty raczej zachowajcie,  
A wy się módlcie za mnie i Boga błagajcie.

Wtem, gdy się zapomnia i śmiertelnie sill,  
Prosi medyk, żeby mu z oczu ustąpili.

— Nie każ im (pry) odchodzić, nie każ drzwi zawierać,  
Że się dzisiaj ode mnie nauczą umierać.

A ku nim się skłoniwszy, mile się rozstawa  
I rękę z nich każdemu na fant wieczny dawa:  
O! jeźlim komu niepraw i w czem nie dogodził,  
Proszę, odpuść — człowiekiem snadziem się urodził.

Pojrzy potem na obraz świętej Magdaleny:

Tej-li była, Boże mój! grzesznica ta ceny

I u ciebie zasługi, że za zbrodni siła

Jednym sobie olejem zbawienie kupiła, —

Bądź i mnie także łaskaw, ani mej młodości  
Grzechów, proszę, pamiętaj, co za krwi i złości  
Znajdzie się niedostatków w słabem ciele mojem,  
Utop w nieogarnionem miłosierdziu swoim.

To co raz powtarzając, w niezmiernej tęsknicy

Westchnie znowu głęboko ku Bogarodzicy:

I ty, święta, przybądź mi w ciężkiej potrzebie,

Wszak wiesz, żem za patronę i panią miał ciebie!

Z tem ducha oddał Bogu. Tu sam już nie zdołam,

Apollina i bogiń z Helikonu zwołam,

Że ostygłe oplaczą ciało jego łzami

I wonne miłobłożą skronię kypressami.

Padleś już, zacny panie, na słonłowe brony,  
Z szkodą nieopłakaną wszytkiej tej Korony,  
Która widzi dopiero, zważywszy się z sobą,  
Jako wiele ubyło twoją jej osobą.

Widzi pan, widzi dobre i poselskie koło,  
W któremes ty nad inne pierwsze trzymał czoło  
I długo pomnieć będzie żarliwość twą onę,  
Za co tu sławę wieczną, w niebie masz koronę.

Żyj już Bogu, a jeśli moje co Kamoreny  
Będą umieć i jakiej dojdą potem ceny,  
Póki Arktur pożenie złote gwiazdy swoje,  
Z ust ludzkich nie wynijdzie sławne imię twoje«...

»Legacya« — z naciskiem zaznacza prof. Bełcikowski — jest utworem młodocianej muzy Twardowskiego i może dlatego posiada siłę w wyrażeniu i treściwość, które ją wyżej stawiają nad inne jego historyczne poematy. Niema w niej nagromadzenia niepotrzebnych porównań i wymuszonych podlotów i natchnienia, jakimi gdzie indziej często grzeszył. Opowiadanie odznacza się prostotą i wdziękiem nawet w tych miejscach, gdzie poeta w wyższym nastroju się odzywa, a gdzie później trudno mu przychodziło uniknąć tak swoistej dla poezji barokowej napuszystości. Nawet surowy krytyk pisarzy polskich, Niemiec, Braun (w wieku XVIII-ym), wyraził się o tym utworze z pewną pochwałą.

Powodzenie »Legacyi« u współczesnych musiało być duże, skoro skrócił ją i wydał w przekładzie łacińskim prozą Samuel Kuszewicz w Gdańsku, w r. 1645-ym.

Od wydania »Legacyi« przez czas dłuższy nie mamy wybitniejszego śladu działalności poetyckiej Twardowskiego. Do okresu tego zdają się jednak należeć wiersze okolicznościowe, przeważnie panegiryki, dla różnych pisanie osób, wysokie zajmujących stanowiska, pełne przesadnych pochwał i pochlebstw. Zebrane w jedną całość, wyszły one z druku dopiero po śmierci autora w r. 1681-ym w Kaliszu (http://pauk.org.pl) w wydaniu oo. Jezuitów p. t. »Miscellanea selecta, w różnych panegirycz-

nych okazjach do druku sparsim podane, teraz, jako godne pamięci, w jeden opus zebrane.

W »Miscellaneach« jest wiele rzeczy — zdanłem Bełcikowskiego — z talentem napisanych; całe nawet wiersze wolne są nieraz od przesady i erudycji mitologicznej, która dla nas, współczesnych, czyni tak uciążliwym czytanie poezji ówczesnej. Nadto osobne zbiory Twardowskiego odznaczają się językiem wyrobionym, zwężonym, przypominającym nieraz plastyczną precyzję Horacego. Ale większa część »Miscellaneów« ma, niestety, wady cechujące zawsze panegryczność, więc różne niedorzeczne aluzje, przesadę uczucia i nadętość w słowach.

Twardowski, chcąc np. napisać wiersz młodzietkiemu ks. Wiśniewlekiem, tak go zaczyna:

»Skądem niebieskiej pełen dziś otuchy,

Co mię za wieszczce porywają duchy!

Że, wzbity pióry ku górze nie swemi,

Zdam się, zdam sobie chodzić nie po ziemi?«

Wystawmy sobie — dodaje Bełcikowski — że bohater, którego poeta ma oplewać, jest dzieckiem nie wyszłem może jeszcze z kołyski, a zrozumiemy całą śmieszność podobnego natchnienia.

Takie jednak były już czasy, taka ich maniera poetycka. Twardowski nie mógł się z tych nałogów wyzwolnić, bo nie był genjuszem, torującym nowe drogi. Szedł ścieżkami, które uciierała epoka, a epoka ta w smaku swoim skłaniała się ku przesadzie i nieprawdopodobieństwu, często grzeszącym przeciw zdrowemu sensowi. W jednym z najdłuższych panegryków, umieszczonych w »Miscellaneach« p. t. »Pałac Leszczyńskich«, a napisanym z powodu objęcia generalji wielkopolskiej przez Bogusława Leszczyńskiego, mamy doskonały przykład podobnego rodzaju utworów, a szczególnie ich kompozycji, pozbawionej poczucia estetycznego i miary estetycznej.

Rzecz zaczyna się od opisu wspaniałego pałacu bogini Sławy, znajdującego się niiby w Poznaniu(!). W tym pałacu umieszczone są wizerunki wszystkich przodków Leszczyńskiego, których dzieje i czyny poeta oplewa. Następnie Sława przyjmuje w swojej prezydencji żyjących

Leszczyńskich, przyczem znów czytamy pochwalne ich życiorysy. Lecz nagle, przez metamorfozę, urojony zamek Sławy przemienia się w pałac Leszczyńskiego, a uczta niebios, podczas której sam Apollo przygrywał, staje się huczną biesiadą u stołu jenerała, gdzie zamiast ambrozją i nektarem, karmią miłych gości udźcami wołowemi i poją przednim trunkiem:

»Bo oto wnet niewiedzieć gdzie się co podzleje:  
I pałac on i oraz stoły tak bogate  
Giną nagle a insze nastawiają za te.  
Ustępują smaragdy drogie i marmury,  
A proste z swych filarów podnoszą się mury.  
Owo, tylko co oczy ze mgły tej przetrzemy,  
W zamku się i sądowej izbie obaczemy,  
Gdzie co nieśmiertelnego, wszystko uleciało,  
A samo, oprócz imie pani tej zostało.  
Taż jednak uroczystość, ci i goście siedzą  
Oprócz, że już inaczej i piją i jedzą.  
Majestat i przedziwne aparaty one  
W bankiet hojny i ludzkie cery przemienione:  
Za duchowne potrawy kurzą się gorące  
I woly i jelenie, złotem i grożące  
Z pasztet włoskich rogami, i jakiem i owa  
Pachnie tylko perfumy kuchnia Lukullowa.  
Za niebieskie nektary i skąpe farfury  
Flasza wina i ciężko naplenione kury  
Wągrowieckich likworów, skąd glanc bije złoty,  
A wszystko z gospodarskiej śmieje się ochoty,  
Którą nie już Apollo, ni owe sonety,  
Ale dęta muzyka pobudzi i flety  
I sztorty i puzony i w jeden takt z niemi  
Tańce, skoki, balety, gony przyjemniemi.  
Aż gdy wtem pod dobrą myśl i gorętsze cery,  
Ktoś tam, pełną za zdrowie, dobrej manlery,  
Chyll do dna, a zaraz hasło drudzy bierzą,  
Że w ten trop i sklinienie na Viva t uderzą  
Z dział po miejskich cekauzach i dużych moźdzlerzy,  
Tu zaś szcęk od tłuczonych nożami talerzy

Rozleże się po izble — tedyż , tedy i my  
Trzeźwe dotąd napuszmy tą ochotą rymy,  
Że na wiele odezwą głosów się i chórów:  
Niech żyje nam Bogusław, przeżyje Nestorów  
I wszystko starożytność! Codzień mu ozdoby  
Nowe rosną! A gdzieś tam za górę Abnoby  
Imię jego przepadłszy i Atlant daleki,  
Po nim syn niech wywodzi jenerał na wieki!

Ogarnia nas tu typowo barokowy nastrój. Nigdzie indziej, chyba dopiero w »Pamiętnikach« Paska i w jego oracjach występuje barok polski równie plastycznie i równie w całej pełni.

W »Miscellaneach« także znajduje się ów niefortunny wiersz, w którym Twardowski Karolowi Gustawowi trwale nad Polską przepowiada panowanie. Wiersz ten nosi tytuł: Omen królowi szwedzkiemu, wymuszona przy zgubionej natenczas ojczyźnie poesis«. Ten dodatek nie znajdował się zapewne, jak przypuszcza Bełcikowski, na pierwotnym, luźnym wydaniu wiersza. Nie wiadomo czyje on jest ręki, czy samego poety, czy też tych, co go chcieli w oczach narodu uniewinnić. Wiersz ten musiał bowiem wielkie w swoim czasie zrobić wrażenie. Zwrócił na niego uwagę Braun i powiada, że »ludzka niedoleżność autora w nim się pokazała, który w owym zamieszaniu ojczyzny, przez tylu nieprzyjaciół rozdartej, nie mógł dojrzeć nigdzie przyświecającego słońca pokoju. Lecz nie wątpię, że żałował potem swej nierozważnej przepowiedni«.

Nie można jednak myśleć — dodaje od siebie Bełcikowski — aby Twardowski napisał ten wiersz tylko dla zysku i przez pochlebstwo. Wprawdzie byłoby to dosyć do prawdy podobnym, skoro poeta przez całe życie pisał panegiryki i zawsze kogoś uwielbiał, ale tym razem byłoby to za wiele! Z samego tego wiersza, jak z innych jego pism, należy raczej sądzić, że go napisał ze szczerego przekonania i w najlepszej wierze. Twardowski był monarchistą i chociaż swoją drogą schlebiał często wysokiej szlachcie, jednak podzielał zdanie wielu ówczesnych ludzi, którzy rzeczy głębiej brali, że



gminowładztwo szlacheckie i t. zw. złota wolność, będąca jakby delikatnym synonimem wrazu trochę ostrzejszego: »nierząd«, muszą Rzpltą przeprowadzić do zguby:

»Znak pierwszy (a powiem to śmieło)  
Zguby naszej — konstytucji wiele —«

mówi w wierszu: »Na sejm zerwany w Warszawie 1639«, na którym toczyła się sprawa o tytuły książęce. Dlatego całą duszą był on za zmianami, które Władysław IV-ty chciał na korzyść królewskości przeprowadzić. Klęski, jakich Polska doznała za Jana Kazimierza, a szczególnie wojna ze Szwedami, którzy całym krajem zawładnęli i króla z państwa wypędzili, była w oczach Twardowskiego tym kresem nieszczęścia, do którego Bóg chciał Rzpltą za jej grzechy doprowadzić. Stan rzeczy musiał się przeto odmienić — i Twardowski ujrzał w Karolu Gustawie z bawcę i odnowiciela ojczyzny, który miał rozkiełzaną swawolę ująć w karby i rząd silniejszy zaprowadzić.

Tak czy inaczej była to pomyłka, której historia literatury poecie nigdy nie wybaczy.

Wróćmy jednak do pozostałych »Miscellaneów«. Znajdują się wśród nich jeszcze cztery treny na śmierć jedynej córki Twardowskiego, Marjanny. Jest to, co nietrudno ustalić, naśladowanie trenów Kochanowskiego. Poeta, jak wielu jego poprzedników i następców, był pod tak silnym wrażeniem nieśmiertelnego piękna poezji Kochanowskiego, że uległ wpływowi jego całkowicie i nie umiał nawet innemi słowy bólu swojego serca ojcowskiego wypowiedzieć, skoro los dotknął go nieszczęściem. I on, jak Kochanowski, »ledwie się ucieszył z wdzięcznej swojej córy« i on wolałby: »bodaj była nie weszła« i on cierpi podwójnie, patrząc na cierpienie żony, i on czuje, że obojgu im, jako rodzicom bolejącym, nic już nie pozostało:

»...jedno z różanymi  
mieć się prędko za tobą stopeczkami twymi«.

Reszta utworów, zawartych w »Miscellaneach«, to już tylko panegiryki.

Do tej kategorii, tak pospolitej w tych czasach, należy także utwór większy, wydany osobno w Lesznie, w r. 1646-ym, ale, jak się z przedmowy dowiadujemy, napisany już przed 10-łu laty. Jest to w genealogicznym porządku przedstawiona pochwała czynów Wiśniowieckich, szczególnie zaś koniuszego koronnego, ks. Janusza. Z wydaniem tego utworu autor czekał, aż synowie księcia podrosną, aby im mógł podać ojca za przykład.

Do właściwości tego rodzaju płodów — zaznacza Bełcikowski — należy ustęp, gdzie Wiśniowiecki rozmyśla, kogoby pojął za żonę... wtem zjawia się przed nim Merkury i wpływa na jego postanowienie, oświadczając, że księżniczka Konstancja na żonę mu przeznaczona.

Z tym to Januszem ks. Wiśniowieckim, którego był dworzaniem, zdaje się, że był Twardowski na sejmie w Warszawie w r. 1635-ym i widział tam wystawioną na teatrze, urządzonym przez Władysława IV-go w nowo zbudowanym zamku warszawskim, operę włoską p. t. »Daphnis przemieniona w drzewo bobkowe«. Autorem libretta — informuje Br. Chlebowski — był prawdopodobnie Jeremjusz Pascati, muzykę zaś zastosował zapewne jeden z licznych włoskich artystów, których ścigał na swój dwór lubujący się w tej sztuce Władysław IV-ty. Dla dogodności widzów, nie rozumiejących po włosku, wydrukowano krótkie streszczenie polskie tej sztuki, nazwanej na karcie tytułowej: »Apolog albo baśń Owidyuszowa, która była reprezentowana muzyką, na kształt komedyi, przed obecnością Króla JMości, Królewiców Ich Mości i Ich Mości panów senatorów koronnych w Warszawie, po Sejmie roku Pańskiego 1635«.

»Daphnis« wywarła na Twardowskiego wpływ duży. Czy znał język włoski, czy tylko opierał się na streszczeniu polskiem libretta — tego nie wiemy. Dość, że napisał na tem tle i pod tym samym tytułem uroczą sielanekę miłosną — i napisał ją oryginalnie, wbrew długo trzymającemu się przypuszczeniu, iż był tylko jej tłumaczem lub naśladowcą.

Trzy wydania tego utworu, dokonane kolejno w ciągu lat 60-ciu (Lublin 1638 (unikat), Kraków 1661 i Kraków

1702) świadczą wymownie, iż współcześni umieli ocenić piękność tej sielanki dramatycznej, o której później, niestety, zapomniano.

Przywrócił ją literaturze i w należytem świetle ukazał dopiero prof. Bronisław Chlebowski (Pisma, tom III).

Treść *Daphnidy* jest następująca: Apollo, zabijwszy smoka Pytona, chlubi się z tego czynu i wnosi nad Amora, którego strzały w zniewieściale tylko serca uderzają. Obrażona tem Venus pobudza do zemsty swego syna. Za jego sprawą Apollo, spotkawszy w lesie Daphnidę, gorącą ku niej zapalał miłością, ale Daphnis przyjmuje ją obojętnie a nawet ze wstrętem. Żale i prośby Apollina tchną gorącą nieraz namiętnością i zniewalają współczucie czytelnika obrazowym i pełnym siły językiem. Ale kompozycji dramatycznej — czyni słuszną uwagę Bełcikowski — brak tu zupełnie: są to liryczne sceny wynurzeń serca, gdzie główną rzecz przeplatają epizody, do niej ściśle nie należące, t. j. rozmowy pasterzy i pasterek o tajemnicach i kłopotach serdecznych, posiadające wszystkie zalety sielanki wergiljuszowskiej.

Trzeba także nadmienić, że poemat ten pisany jest w *stancach*, najczęściej nierozrywanych przez dialog, co dla prawdziwego dramatu byłoby niepodobieństwem i nazbyt sztuczną formą.

Nigdzie język Twardowskiego nie jest tak wdzięczny, tak daleki od zwykłej nam przesady, jak w *Daphnidzie*

Oto jak Apollo, znajdując po długiem szukaniu śpiącą Daphnidę, przemawia do niej:

•Owoż i moja kochanka szukana  
Na miłkkiem darniu sama się złożyła,  
Żeby niewczasem przykrym z mordowana  
Ciężkim podobno członkom co ulżyła;  
Jako gdy Febe rannym dżdżem zmaczana  
Na swym Jacyncie oczu przymrużyła,  
Nad rubin krwawy i światło mlesięczne  
Ku śmiechu usta skłoniły się wdzięczne.

Południa skronie ogniem jej pałają,  
A pot perłowy spada na jagody,

Ptaszka drobne jej przyśplewywają,  
Łagodnie szemrząc pochlebują wody  
I Fawonicył ze stron powiewają,  
Słodki sen nosząc i uczesne chłody.  
Lewą się wsparła, w prawej trzyma rękę  
Konia na wodzy, a sajdak u lęku.

Cóż czynisz, serce, że się nie wydzierasz  
I zblega swego nie połmasz śmieie,  
Tać to jest Daphnis, dla której umierasz  
I trawisz nocy niespanych tak wiele ?  
Czemuś w opale, czemu nie naclerasz,  
Oto masz w rękę swych nieprzyjaciele,  
Masz obłów wdzięczny, który gdy uronisz,  
Rączym go potem pegazem nie zgonisz.

Cóż gdy lituję i żal mi, żal srodze,  
W pół tak uczesnej przebudzić ją chwile...

Z przytoczonego powyżej urywka widać jasno, że Daphnis jest utworem dla historii literatury bardzo ważnym, poemat ten otwiera bowiem poniekąd nową epokę poezji miłosnej w Polsce, nowy jej rodzaj, w którym czyste uczucie góruje nad zmysłami.

— Skądże — zapytuje Chlebowski — wzięły się w Polsce z połowy XVII-go wieku grunt i atmosfera, na którym i wśród której mógł wyrosć taki kwiat uroczy, jak Daphnis Twardowskiego?

— Rozpatrzenie się w literaturze tego wieku — odpowiada — ukazuje nam w ówczesnym społeczeństwie stopniowe uszlachetnianie zmysłowego popędu przez budzącą się wrażliwość na piękno wogóle, a na wdzięki kobiety w szczególności. Coraz wyraźniej występuje tu wymaganie harmonji między zewnętrznymi a wewnętrznymi przymiotami kobiety, dążenie do oparcia sympatji na podstawach trwalszych, niż chwilowe pobudzenie. Uczucie miłości zyskuje coraz większą moralną i etyczną wartość i poeta może nie tylko już wprost z serca dobywać i na rodzinny ton nastrojać pieśń miłosną, ale też znajduje słuchaczy, zdolnych odczuć jego pieśń. Na wytworze-

nie tego stanu złożyły się dwa rodzaje przyczyn: naprzód wlekowe przeszło oddziaływanie czysto fizjologicznej natury bodźców, podniecających wrażliwość i potęgujących czułość systematu nerwowego, jak: wygodnie i zbyt kownie urządzone mieszkania, wytworne ubiory, wyszukane pokarmy i napoje i t. p., a obok tego: stopniowe przyswajanie pojęć i coraz subtelniejsze odczuwanie uczuć, które wytworzyły i utrwaliły w literaturze i sztuce społeczeństwa starożytne i współczesne: włoskie i francuskie. Asymilację tę ułatwiały częste podróże, przedsiębrane w wieku XVI-ym dla studjów naukowych, w XVII-ym zaś przeważnie dla oglądy obyczajów i rozrywki. Podczas gdy początkowo jeździli do Włoch przeważnie synowie mieszczan i średniej szlachty dla słuchania teologii, prawa lub medycyny na uniwersytetach Padwy lub Bolonji, to następnie i możni panicze i panowie udają się w podróż po całej zwykle Europie dla nabrania po dworach monarchicznych i magnackich elegancji, znajomości spraw i stosunków politycznych, obeznania się ze sztuką wojenną i dyplomacją. Każdy z nich prowadził z sobą orszak młodzieży szlacheckiej, która za przykładem pana studjuje z zamiłowaniem wesołe życie Florencji, Rzymu, Neapolu, Paryża, Wiednia, uczestniczy w zabawach, obchodach okazałych i przywozi z sobą do kraju, zamiast klasycznej erudycji podróżników wieku XVI-go, układność manier, wrażliwość na piękno niewieście, zamiłowanie do elegancji w ubiorze, w urządzaniu mieszkań, zabawach, a niekiedy, jak widzimy z dziennika Stanisława Oświecłma, rozumienie arcydzieł sztuki włoskiej i odczuwanie uroku pięknej przyrody.

Twardowski bezpośrednio, jak wiemy, takiej szkoły nie przeszedł. We Włoszech nie był. Ale pośrednio, obcując na dworach Zbaraskiego i Wiśniowieckich z ludźmi wyższego poloru, karmił się owocami kultury zachodniej i oglądy obyczajów, dobrego smaku i szlachetniejszych upodobań nabrał we wczesnej już młodości. Reszty doskonałego czytania dzieł poetów starożytnych i współczesnych, zwłaszcza »Jerozolimy Wyzwolonej« w mistrzowskim przekładzie Piotra Kochanowskiego.

»Tasso i własne serce — rozumuje Chlebowski — wspaniała przyroda lasów wołyńskich, powabny fraucymer dworu Wiśniewieckich, swobodne życie myślnwca i rzeczywiste uczucia, jakie poeta w tym czasie żywił do swej narzeczonej — oto czynniki, które złożyły się na spotęgowanie talentu poetyckiego autora »Legacyi« do tego stopnia, na który wznosił się w odmalowaniu miłości Apollina dla Daphnis. Nieraz zapewne Twardowski, błądząc po tajemniczych jarach nadhoryńskich (siedziba ks. Wiśniewieckich, Wiśniewiec, leżał w uroczej, lesistej okolicy Wołynia, nad Horyniem, o 24 mile od Krzemieńca), z wyobraźnią, podbudzoną obrazami »Jeruzolimy«, pragnął znaleźć się w tym zaczarowanym lesie, którego drzewa ukrywały w sobie urocze nimfy, marzył o spotkaniu jakiej Kloryndy lub Erminji, wystawiał sobie, że jest Rynaldem, spoczywającym pod cieniem mirtów w ogrodach Armidy. W takim nastroju ducha najpospolitsza wiejska dziewczyna, zbierająca jagody, mogła zdała przybrać postać nadziemskiego zjawiska, zwłaszcza, gdy zestraszona spotkaniem obcego, pierzchła »jako sarneczka strzelił w las pierzchliwa, od utraconej różgi przestraszona«. I nie dziwnego, że, po zniknięciu spłoszonej Daphnis, poeta-Apollo woła ze szczerym zapalem:

»Dotąd przyjść jeszcze nie mogę do siebie,  
Jakom tak wdzięczne utracił widzenie,  
Ledwie tak wnijdzie jutrzeńka na niebie,  
Że pochmurzony Oryon ją zżenie.  
Pójdę jej szukać, by mi w Kaledony  
Przepadła same i hercyńskie gaje,  
Skalistą Atos i ostre Edony,  
Wieczna gdzie zima, wieczny śnieg nie taje.  
Pójdę nie swemi wichrami niesłony,  
Póki mi ducha, póki głosu staje;  
A ty, świadoma mego niepokoja,  
Nie opuszczaj mnie, cytro wdzięczna moja!«

»Czyż nie tak samo — zauważa Chlebowski — w świetniejszej tylko formie, a z domieszką obcej Twardowskiemu melancholji, wypowiada swe uczucia i marzenia Słowacki, gdy boleje nad utratą swojego «złotego

snu« i chce za nim gonić na »śniegu korony« ponad »sosnowe bory«, gdzie Jungfrau »słońce złote ma nad sobą«, marząc, iż wraz z lecącemi po niebie labędziami wznieśle się »poza ciemnych skał krawędzie«. Jak Słowacki szuka pociechy w rozpamiętywaniu, a raczej wysnuwaniu ze swej wyobraźni postaci idealnej kochanki: »czy kiedy cicho uśnie pod jaworem, czy kiedy goni, czy kiedy się chowa w księżycu blasku, biała? — tak Apollo-Twardowski goni myślą za znikłą Daphnis:

»Gdzie jest? gdzie Daphnis? Czyli ty granice  
Przepadłszy Delfu, po górach się kryjesz,  
Czyli, znalazłszy swoje równiennice,  
Myśliwa, znowu gromiony zwierz bijesz?  
Lub gdzie wesole pryskają cieplice  
Tesalskiej Tempy z nimfami się myjesz?  
Jakobym patrzył, stanąwszy gdzie blisko,  
Na wdzięczną twoją kąpiel i igrzysko.

. . . . .  
Ozwij się, ozwij, o twardsza kamienia!  
Głos-li mój sięga i słyszysz gdzie o tym?  
A z tej przepaści i głuchego cienia  
Rzuc wdzięcznym okiem, błyszniń włosem złotym.

. . . . .  
Na wszystkie wkoło oglądam się strony,  
Nikt nie dopowie, nikogo nie ruszy  
Duch mój z ostatnich piersi wytoczony,  
Tylko li echo a wiatry życzliwe  
Rozniosą moje skargi żalobliwe«.

Nieraz więc, gdy w takim nastroju ducha błąka się po lesie, spostrzeżga swoje »nadziemskie widzenie«, uroczą nimfę, spoczywającą pod cieniem dębu. Zachwyt i trwoga, towarzyszące zawsze pierwszym chwilom budzącej się miłości, powstrzymują mu kroki. Staże, jakby oczarowany, i upaja się widokiem swego ideału.

Tak. P o s z u k i w a n i e m i d e a ł u jest cały poemat Twardowskiego. »Jest to — określa pięknie w porywie uwielbienia dla tej apologii czystego uczucia prof. Chlebowski — prawdziwa symfonia miłości, malująca i wy-

ślawiająca ją to w pełnem życia allegro, to w żartobliwym z początku, a w końcu dramatycznym scherzo, to znów w uroczem andante, w którym, jak w beethovenowskiej symfonji pasterskiej, muzyka serc łączy się z głosami przyrody; wreszcie w namiętym finale brzmi poważnemi akordami triumfu ducha nad zmysłami.

Twardowski jest rzeczywiście pierwszym w Polsce poetą miłości w jej nowoczesnem szerokiem pojęciu, pierwszym, dla którego — jak trafnie mówi Chlebowski — »królestwo przyrody i królestwo miłości to jedno prawie«, bo posłuchajmy tylko:

... »wieczny dzień się śmieje,  
Wieczne rózańce kwitną i ogrody,  
Miłość, gdzie stąpi, rozkoszy swe leje  
W drzewa, kamienie, kryształowe wody.  
Wieczna pogoda, wieczny zefir wieje,  
Dorodne mirty lubę czynią chłody«.

albo:

... »w wesołej na włosnę porębie  
I drzewa same miłością pałają;  
Znać ją w modrzewiu, znać ją w twardym dębie,  
W ciemnym, gdzie liście gzęgźółki kukają,  
Pieszczone mile karmią się gołębie,  
Grzywacze skrzydły wartklemi turkają  
I po rozwittem wleszając się drzewie,  
Zbierają srebrne piany swe cietrzewie.

.....  
A pod gładkiemi pieszczą się jodłami  
Satyry leśne z swemi Dryadami«.

Stosunek poety do życia — wbrew epoce do której należy — jest jeszcze nawskroś renesansowy, a horacjuszowskie *carpe diem* dzwoni w jego pieśni zupełnie wyraźnie:

»Czyż nie widzicie, jako rączo plynę  
Na nieścignionej znikomy Czas łodzi?  
Tak młodość, która rano się rozwinie,  
Z wieczornem słońcem na wieki zachodzi.



Przeto niż zajdzie, niż południe minie,  
Świata ja radzę zażywaćcie, młodzi.  
Nie jest jedno dziś, a co ma być potem,  
Stugłowy Argus niechaj myśli o tem«.

Że wygłoszona tu filozofja życia — dodaje Chlebowski — stanowiła istotne przekonanie poety, o tem świadczy powtórzenie tej samej rady w zakończającej utwór pieśni Hesperusa:

»Kto przy konwi zorze rad dosiada,  
Nie dba i niebo choć się nań obali,  
Szczęśliwy tylko, że nic nie odkłada  
Do jutra, ani pyta się o dalej«.

Pogląd taki nie był zresztą jego indywidualnym poglądem. Tak musiał czuć i myśleć szlachcic XVII-go wieku, żołnierz, niepewny swojego jutra i odrywany tak często podczas wojen kozackich i szwedzkich od ust kochanych pobudką rycerską: »na koń«

Dla takiego szlachcica, typu rozamorowanego pana Michała Wołodyjowskiego, »Daphnis w drzewo bobkowe przemieniła się« — był to utwór naprawdę umiłowany, za niego bowiem mówił, tęsknił i gonił wymarzony na kulbace, wśród trudów obozowych, niedościgły ideał jakiejś Anusi Borzobohatej czy Basli. To tłumaczy może najlepiej, dlaczego Daphnis znalazła tylu czytelników i dlaczego w ciągu całego XVII-go wieku była jedną z najpoczytniejszych ksiązek polskich.

Byłoby z nią może współzawodniczyło drugie dzieło Twardowskiego, »Nadobna Paskwalina«, ale ten z hiszpańskiego przerobiony utwór najprawdopodobniej za życia autora drukiem nie był ogłoszony.

Wprawdzie prof. Brückner przypuszcza, że istniało wydanie »Paskwaliny« z połowy XVII-go wieku, ale bibliografja wydania takiego nie zna i jako pierwodruk notuje dopiero edycję krakowską z r. 1701-go.

Osnowę »Nadobnej Paskwaliny«, jak tego niedawno dopiero dowiedli prof. Pilat, Porębowicz i Bernacki, zaczerpnął Twardowski z »Dlany« Montemayora, romansu hiszpańskiego, wydanego w r. 1614-ym, który poeta polski

poznał prawdopodobnie w przeróbce łacińskiej, sam bowiem po hiszpańsku nie umiał.

Niewątpliwie — mówi Chlebowski w swoim studjum o »Paskwalinie« (Pisma, tom III-cl) — zapożyczoną została tylko osnowa, a może i niektóre religijno-moralne dowodzenia, zresztą wszystko jest własnością polskiego poety, który wiele obrazów i sytuacji bierze z »Daphnis«, a przez usta bohaterki wygłasza z zapalem własne przekonania.

Widownią romansu jest Lizbona za panowania Filipa II-go. Znając z długiego pobytu Konstantynopol, opisany tak żywo i malowniczo w »Legacyi«, mógł Twardowski z pomocą oryginału i własnych wspomnień dać trafny i barwny obraz Lizbony i jej rozkosznego klimatu.

W tem to mieście Venus, wygnana przez Turków z Cypru, zakłada sobie pałac. Obudza to niezadowolenie Paskwaliny, dotąd najpiękniejszej tam kobiety, obsypywanej hołdami i pochwałami młodzieży, która ją z samą Wenerą równała.

Paskwalina (streszcza Bełcikowski) uwierzyła temu chętnie i uniosła się dumą, za co Venus postanowiła ją ukarać i namówiła Kupidyna, ażeby wzbudził w sercu Paskwaliny nieodwzajemnioną miłość do Oliwera. Tak się też stało. Paskwalina zaprosiła Oliwera listownie na schadzke, ale Oliwer, który właśnie kochał się w innej, pomimo pokus namiętności, dał jej odpowiedź odmowną. Paskwalina dręczy się tedy miłością i wstydem i lęka się obmowy, tem bardziej czyhajacej na nią, że dotąd była dla wszystkich dumną i niepokuszoną. Za radą swej przyjaciółki, Stelli, udaje się do świątyni Minerwy, której księżniczka daje jej poważną naukę, że swe nieszczęście winna przypisać gniewowi obrażonej Wenery i własnej próżności, poradę zaś i pomoc odsyła ją do świątyni Junony, dając jej na drogę talizman z przestrożą, aby o nim dobrze pamiętała. Paskwalina puszcza się w drogę w pielgrzymim stroju, przebywa przez dzikie knieje i pustynie, gdzie nieraz doznaje gościnności ubogich rybaków i pasterzy, ale gdzie także jednej chwili nie jest pewną życia przed dzikimi zwierzętami. Pewnego dnia u stóp laurowego drzewa Apollo kładzie trupem lwa, który już miał się rzucić na

nią. Paskwalina nie wie zrazu, kim jest jej wybawiciel, lecz Apollo zaprasza ją do swego domu, opowiada jej o swych czynach i o miłości do Daphnidy, którą wówczas gniew Wenery tak nieszczęśliwie zakończył.

Domek Apollina, wyglądający z zewnątrz na chatę pasterską, ukrywa jednak wewnątrz olśniewający przepych. Śień przybrana łupami myśliwskimi, między któremi wisi smok Piton, »z półmilowym (tak!) ogonem«. Z sieni wchodziło się do pokoju »od drogich kamieni dziwnie kosztownego.« Łóżko z jednej strony stało złotogłowe, z pod clenkiej zasłony drogiem szyciem błyskając. W nogach szafa wielka z błękitnego asplisu... w głowach tracki łuk

»...Przy drugiej stał ścianie

Stół srebrny, na którym w prześliczne promienie  
Wieniec wity bobkowy i kwoli zabawie  
Lutnia czasem i kilka w kosztownej oprawie  
Książ niebieskich. 'Służba drzwi strzegła hebanowa.  
Gdzie z nalewką miednica stała smaragdowa  
Z lichtarzami takiemż«...

Czyż opis ten — zapytuje Chlebowski — nie przypomina nam owych chatek pasterskich w Arkadij i Powązkach, urządzanych w sto lat później, ale jakby na podstawie tego wzoru?

Apollo występuje tu, jako niepocieszony kochanek, strzegący wiernie grobu swej Daphnis i szukający pociechy w łowach i przynoszeniu ulgi cierpiącym. Posiada on w tym celu w puszkach zioła lekarskie z Afryki i Ameryki. Gdy nie oddaje się łowom, to gra na lutni, czyta i duma ciągle o utraconej kochance. Smutnego samotnika nawiedza niekiedy Diana, gdy się na łowach za daleko zapędził.

Przenocowawszy w domu gościnnego Apollina, Paskwalina w dalszej drodze nawiedza Dianę, którą zastaje w kąpielu wśród grona nimf. Diana opowiada jej o Akteonie, o porwanu Prozerpiny i Adonisie w celu przekonania jej, ile nieszczęść i utrapień sprowadza na ludzi namłętność.

Lizbona tymczasem (streszcza Chlebowski) trzęsie się od plotek o tajemniczym związku Paskwaliny; Wenus

uszcęśliwiona oddaje się zabawom i uciechom wszelakim. »Jej pokoje, ganki i altany brzmią wdzięczną muzyką... ognie goreją po kosztownych kościołach, przy ofiar paleniu... weselem i rozkoszą dwór jej kwitnie«. Ona sama, »dojeść się nie mogąc smaku w swym Wulkanie«, wypuszcza Kupidyna do Marsa, by »go na jedną choć sprrowadzić godzinę«. Poselstwo to nie odnosi skutku, Mars bowiem »zabawiony był gdzieś w Ameryce«. Wracający Kupido przelatuje przez Atlantyk i na złotej łące, której środkiem »śliczna Cydarys płynie«, odpoczywa. Dla ochłody porzuca swój łuk na trawie i »skoczy w nurt kryształowy«. Po tej kąpieli ogarnęło go znużenie. Sen »zapalił mu różańcem jagody, tocząc pot perłowy, oczy słodko błyskały... z piersi duch głęboki ogień żywe wywierał.

»Zmorzone dziecko się rozespąło, jakoby zarżnięte— powiada poeta, nadając wkońcu synowi Wenery charakter czysto polskiego chłopca, chrapiącego na sianie po kąpiel.

Wtem zjawia się Paskwalina, która w wędrowce do świątyni Junony także musiała przebyć »górze trudną i skalistą».

Zdala uderza jej oczy jakiś niezwykle blask na łące, »podobny w miednicy słońcu odrażonemu albo błyskawicy wypierchnionej z obłoku«. Skrada się ostrożnie, zaciekawiona tem zjawiskiem, i dostrzega... łuk i kołczan Kupidyna. I tu nadeszła stanowcza chwila pomsty nad Wenerą.

Mszcząc własne i wszystkich cierpiących od miłości krzywdy, łamie z zapalem Paskwalina zabójczy łuk i strzały na drobne kawałki. Po tym triumfie, uległszy powabowi kryształowych nurtów rzeki, używa w niej kąpieli i znużona zasypia na łące.

Ten spoczynek daje poecie pochop do skreślenia plastycznego obrazu jej urody.

Płękność Paskwaliny nie rozbraja przecież gniewu przebudzonego Kupidyna, który, spostrzegłszy swą stratę, pośpieszył na skargę do matki. Wenus na wieść o przygodzie syna wpada w gniew i rozpacz. Daje Kupidynowi swój pas, by nim skrepował spiącą Paskwalinę i zo-

stawił ją tak na pastwę zwierzętom. Na szczęście, gdy zrozpaczona gotuje się na śmierć niechybną, zjawia się Satyr i oblecuje wyswobodzić nieszczęśliwą ofiarę. Wyzwolonej z włazów ukazuje pawia, jako oznakę obecności Junony w niedalekiej stąd świątyni.

Zbliża się nareszcie pokutnica do upragnionego przybytku. Ksieni Beliza przechadzała się właśnie między wspierającemi ją dwiema nimfami. Paskwalina, zbliżywszy się z pokorą, opowiada o celu swego przybycia i dokonanej w drodze zemście nad Wenerą, poczem poddaje się obrzędowi obcięcia warkocza, spełniając tem ślub uczyniony.

Żegnając się ze swemi włosami, wspomina z żalem, jak trawiła wszystkie czasy swoje na »monstrach próżnych i coraz inakszem trefieniu«. Wreszcie, zawieszwszy warkocz na ołtarzu bogini, »chleba udzielonego z niebieskiego stołu i nektaru kosztuje«.

Ugruntowawszy się w cnotach i umocniwszy w postanowieniu innego życia, wraca Paskwalina do Lizbony. Przedtem błąkała się po puszczech i lasach, teraz »oświecona pokuty prawdziwej światłem, przy łasce bogów niewątpliwej błędzić więcej nie będzie«. Paw Junony wiedzie ją prostą i krótką drogą. Wenus, posłyszawszy o powrocie swej rywalki, wyprawia Kupidyna, w celu sprawdzenia tej wiadomości. Wzbiwszy się pod obłoki, Kupido spostrzega swą poskromicielkę, jak z okna własnego pałacu w Lizbonie »się monstuje i przed wszytkiem zgarńlonem miastem prezentuje z jego ową armatą, przez się zawojowaną«. Zrozpaczony tym widokiem, lękając się gniewu matki, odbiera sobie życie przez... | powieszenie się na krzaku mirtowym. Wenus, zgnębiona i upokorzona, w nocy, pocichu, ze wszystkim swym dworem i pałacem znika.

Odrodzona moralnie Paskwalina, »gdzie owe pokoje, sale i tanecznicę, stek światowych ludzi, na klasztor reformuje i kosztowny wzbudzi przy nim kościół«. Sama zaś, zgromadziwszy »grono Westy, bogini dziewic, spóť się im ksienią poświęciła«.

Ta głęboka moralna tendencja »Paskwaliny« miała też głębokie swoje źródła.

Nie bez powodu — mówi Chlebowski — zwraca się poeta w zakończeniu utworu do kobiet, panien mianowicie, jako plastunek przyszłego pokolenia, zagrzewając je do pracy i cnoty.

»Znając dobrze z własnego doświadczenia zmysłowość i lekkomyślność ówczesnych niewiast, wiedząc jak wielki wpływ wywierały na rozpowszechnienie zbytku, życie nad stan i zniewieściałość wśród mężczyzn, pojmował, iż moralne odrodzenie społeczeństwa musi się opierać na moralnem podniesieniu kobiety. Praca i religja były jedynemi środkami, jakie mógł im zalecić poeta. Wskazując Paskwalinę, zachęca, by za jej przykładem: »panienki nie w tej powierzchniej, ale i w ozdobie inszej się kochały, młękkie fatygując pracą członki i nigdy zgola nie próżnując«.

Geneza miłostek znana jest wybornie autorowi »Daphnis«; trafnie też ostrzega młode panny, by nadewszystko »oczami szafować niechały, gdyż tam welgnie najpierwej. Kupidynek mały, toż i w serce się zakrada«. Jeśli która podlegnie temu przypadkowi i pozwoli namiętności rozgościć się w dziewiczym łonie, wtedy niech »wskok« się uda do praktyk pobożnych i »ostrości«, a nie upadnie i tak samo, jak Paskwalina, zwycięży Kupidyna »bez broni«.

Tendencja ta staje się zrozumiałą na tle czasów przełomowych, jakie przeżywało społeczeństwo polskie.

»Podniesienie się przez niebezpieczeństwa i klęski wojenne uczucia religijnego—motywuje dalej Chlebowski— oraz utrudnienie zamążpójścia przez ubytek tyłu dziesiątków, może setek tysięcy mężczyzn, poległych w samej sile wieku w ciągu dwunastoletnich wojen — wszystko to wywołało gromadne garnięcie się kobiet do życia klasztornego na całym obszarze Rzeczypospolitej, w drugiej połowie XVII-go wieku. Wzmagająca się dewocja znajduje swój wyraz w licznych bractwach, pobożnych fundacjach i tym duchu nietolerancji, jaki po raz pierwszy występuje wówczas w dość jaskrawych objawach.«

»Paskwalina« stanowi więc niejako pierwsze hasło, zapowiedź tego ruchu, i dlatego przedstawia cię k a w y

dokument do dziejów umysłowego i moralnego życia wleku XVII-go.

»Drugim, powszechnie przez poetów zalecanym środkiem odrodzenia był powrót do pierwotnej prostoty obyczajów i wymarzonej cnotliwości praojców. Taki właśnie wzór cnót i prostoty daje »Nadobna Paskwalina« w obrazie starego rybaka. Nadto w zakończeniu romansu woła poeta z westchnieniem: »I kiedyż ukarane takową lat złością, pompy nasze, Saturnów z jego niewinnością wiek nam wróca?«

»Naiwna niezdarnością formy i pomysłów, w jakich poeta za przewodnictwem Montemayora stara się uwydatnić pojęcia, które sam dopiero co sobie przyswoił, i uczucia, które zaledwo w nim kiełkować zaczynały — niesmaczna przez nienaturalne, krotochwilne niekiedy zespolenie pogańskiego Olimpu z katolickimi obrządkami i pojęciami, posiada, mimo to, »Nadobna Paskwalina« swoją właściwą piękność, polegającą głównie na odbiciu warunków wyjątkowych chwili, w jakiej się pojawia«.

Oto na widowni, »wśród której odgrywa się pogodna sielanka za czasów Władysława IV-go, wobec bogów i nagich nimf, których plorun gniewu niebios nie spłoszył jeszcze ze sceny, przesuwa się postać pokutnicy z różańcem w ręku i pieśń hulaszczą przerywa grobowe dies irae. Przejęci trwogą biesiadnicy posypują głowy popiołem i przywdziewają strój pustelników. W pierwszej chwili wydaje się to maskaradą. Z pod szarych płaszczów wyglądają obnażone ramiona bachantek i roznamiętnione winem i zabawą oblicza ich towarzyszków. Z hymnem pokutnym mieszają się jeszcze zwrotki pieśni miłosnej. Uderzające jednak coraz częściej pioruny, krwawa luna pożarów, zasłane trupami obszary, śwladczą, iż bachanalje skończyły się bezpowrotnie, a nastał czas pokuty. Zestawiona z »Daphnis« i umieszczona na tle dziejowem »Paskwalina« nabiera właściwego interesu, jako charakterystyczny objaw życia duchowego w czasie wielkiego przesilenia dziejowego«.

Dwa ostatnie dzieła Twardowskiego są już tylko rymowanemi historjami, które w czasie swojego

powstania uchodzą za poematy epiczne. W istocie były przewlekłemi »relacjami« typu bardzo w poezji ówczesnej rozpowszechnionego. Utwory te nie mają nic wspólnego ze sztuką prócz formy rymowanej, którą przenoszono ponad prozę w przekonaniu, że to, co zostało wierszem napisane, ma większą moc trwania w czasie. Przekonanie to nie było pozbawione pewnej słuszności, w istocie bowiem poezja jest najtrwalszą postacią słowa, ale tylko wówczas, jeżeli jest prawdziwą poezją. Niestety, większość rymopisów XVII-go wieku nic do czynienia z muzami nie miała. Opuścili one także i Twardowskiego w chwili, kiedy przystąpił do pisania »Władysława IV-go, króla polskiego i litewskiego«.

Jest to utwór nawskroś panegiryczny. Autor rozpoczyna go wprowadzile na sposób epicki wezwaniem, przypominającym Eneidę Wergiljusza:

»Króla powiem wielkiego w wojnie i pokoju,  
Pióra do sarmackiego pociągnąwszy stroju  
I Minerwy ojczystej...«

ale rychło opuszcza go rozmach i staje się pospółnym pochlebcą. Pochlebstwo to — przyznać jednak trzeba — płynęło z prawdziwego kultu poety dla króla.

Twardowski uwielbiał go — mówi słusznie prof. Bełcikowski — nie tylko z dworactwa, ale z przekonania politycznego, wldząc w nim króla, który i sławą wojenną naród ozdobił i przez politykę swoją mógł krajowi wewnętrzny ład zapewnić.

Stawia on osobistość Władysława zawsze na pierwszym planie i przypisuje mu zasługi i w takich nawet wydarzeniach, w których, jak wiemy z historii, król ten mało znaczną grał rolę, jak mianowicie w sprawie moskiewskiej za życia Zygmunta III-go i w wojnie chocimskiej.

»Relacya« Twardowskiego zaczyna się a b o v o, od urodzenia i wychowania królewicza. Do jego historii wiąże poeta wszystko, co się za jego życia zdarzyło w dziejach lub jakkolwiek miało z nim związek. Opisuje więc wojnę moskiewską za samozwańców, podwójną wojnę turecką, t. j. cecorską i chocimską, mimo że już raz



wspomniał o tem w »Legacyi«. Dalej podróż, jaką królewicz po skończeniu tej wojny odbywał po Niemczech, Belgji i Włoszech. Jest to, podobnie, jak »Legacya«, diarjusz podróży, bez poezji w opisach, którą Twardowskiego nie natchnęły ani Alpy, ani piękna natura i przeszłość Włoch. Diarjusz ten jest atoli tak wierny w szczegółach, że naprowadziło to biografów poety na domniemanie, niczem innym, zresztą, nie poparte, że Twardowski towarzyszył w tej podróży królewiczowi w charakterze dworzanina. O wiele więcej prawdopodobne jest natomiast przypuszczenie, iż poeta nie pisał rzeczy swojej samodzielnie, ale czyjąś relację, najpewniej łacińską, mając przed sobą, na wiersz ją polski przekładał.

W dalszym ciągu mamy opis ostatnich wojen szwedzkich za Zygmunta III-go, śmierć tego króla, elekcję Władysława, wjazd jego na koronację do Krakowa i słynne poselstwo Ossolińskiego do Rzymu z oznajmieniem o wstąpieniu na tron nowego monarchy.

Zakończenie stanowi opis zwycięstw, odniesionych przez Władysława IV-go w pierwszych latach jego panowania. Zamyka rzecz całą obietnica opisu walecznych czynów króla, ale do tego już nie przyszło.

Jak widać z treści widać, utwór ten jest tylko prostą biografją panegryczną, niczem więcej.

Czasem — oddaje poecie sprawiedliwość Belcikowski — odezwie się tu Muza Twardowskiego i na wyższy nastrój, jeśli mu przyjdzie np. opisywać bitwy albo gdy się jego patryjotyczne uczucie rozbudzi. Ale i wtenczas — dodaje — lubo podobne ustępy czynią zaszczyt sercu autora, wyszukane przenośnie i fantazja, upstrzona erudycją, mało nam wynagradzają prozalczność reszty jego rymów.

Pomimo to jednak utwór spotkał się z przychylnem przyjęciem ze strony czytelników. Świadczy o tem dwukrotne, w krótkich odstępach czasu jego wydanie, w Lesznie w r. 1649-ym i tamże w r. 1650-ym.

Nieco wyżej od »Władysława IV-go« stoi ostatnie dzieło Twardowskiego: »Wojna domowa z Kozaki i Tatory, Moskwą, potem Szwedami i Węgry przez lat dwa-

naście za panowania Najjaśniejszego Jana Kazimierza, króla polskiego tocząca się (Kalisz, 1681). Autor ma tu na myśli już nie osobę króla, ale cały naród — może dlatego, iż królem tym nie był już umiłowany przez niego Władysław, ale Jan Kazimierz, którego panowanie tak było nieszczęśliwe.

W pięciu księgach, które według swego zwyczaju punktami zowie, opowiada poeta dzieje Polski w niefortunnym dla niej okresie, od r. 1648-go do pokoju oliwskiego.

I tu początek nastrojony jest na modłę epicką:

»Wojnę powiem okrutną...«

w miarę jednak posuwania się dalej, poeta lot swój zniża, a chociaż nie wpada w panegiryzm, bo nie ma komu schlebiać, to jednak od prawdziwej poezji stoi daleko.

A jeżeli skłania ku nam swoją uwagę, to przede wszystkim dlatego, iż brzmi tu od czasu do czasu nuta szczerzego uczucia, że skroś prozaiczny naogół wiersz przegląda ku nam oblicze obywatela, zatroskanego o przyszły los ojczyzny.

W »Wojnie domowej — mówi Belcikowski — Twardowski szlachetniej nam się przedstawia, bo zapomniał śpiewać panegiryków, a przejął się nieszczęściami kraju.

»Często tutaj rozmaite okoliczności wywołują ustępy liryczne, w których poeta narzeka na te ogromne klęski, jakie się wtenczas na Polskę zwały, lub też karci swych złomków i ich nierządowi, zbytkom i prywatnie winę nieszczęścia przypisuje. Nad wszystkim zaś góruje myśl religijna, że to złe jest zasłużoną karą od Boga i że jedyna nadzieja jest w Jego miłosierdziu. Ten duch prawdziwie wyższy, który dawniejszym pokoleniom, mimo wszystkie ich błędy i przywary, nadaje pewien urok w naszych oczach, ożywiał Rzplątą przez długie wieki i często dawał się widzieć w naszej literaturze«.

Wyrazicielem tego ducha jest i Twardowski w »Wojnie domowej«. <http://rcin.org.pl>

Plsał on ją widocznie współcześnie z wypadkami, do głębi przejęty ich doniosłością i wpływem na dalsze losy narodu i państwa. A że nie był już wówczas człowiekiem młodym, że na życie patrzył już krytycznie, a nawet sceptycznie, więc nie dziw, że z »Wojny domowej« wieje ku nam pewien pesymizm i niewiara w doczekanie zmiany na lepsze.

...»Zaczem pogładając

Na rzeczy też z daleka i widząc daleka m (tak!)

Nadzieję stąd pokoju, bodaj go doczekam

Łaty i affekcją przyciśniony swoją«...

śpiewa poeta. Ale przecież tych »czasów lepszych« doczekał i pod koniec utworu, pokrzepiony widocznie otuchą, jakby sił nowych nabiał i opowiadanie swoje do pokoju oliwskiego doprowadził.

»Wojna domowa«, wydana w całości już po jego śmierci, zacieśniła niewątpliwie te węzły, które istniały pomiędzy pierwszym epikiem polskim a szlachtą, chętniej podówczas, niż dzisiaj, czytającą poezję.

Twardowski był dla niej najpopularniejszym poetą, bo w formie, która odpowiadała smakowi czasu, wypowiadał budzące się coraz powszechniej uczucie patriotyczne, bo wybierał tematy bliskie i znane każdemu, bo w dziejach ojczystych szukał natchnienia. Dlatego nazwano go »polskim Tasseem i Wergiljuszem«. Dlatego z zachwytem śpiewał o nim Wespazjan Kochowski:

»On ci to nasz słowiański Wirgill dowcipny,

Mars polski, Samuel cny Twardowski ze Skrzypny,

Którego heroiczna Muza jest tej cery

Że przeszła Enniusza i chlubne Homery«.

Niestety, nie przeszła, ale ta przesada Kochowskiego na długo wyrobiła Twardowskiemu opinię koryfeusza poezji XVII go wieku. Dopiero badania ostatnie, które ujawniły całą bogatą twórczość Wacława Potockiego i odkryły szereg zupełnie nieznanych utworów poetów tego wieku (»Wirydarz poetycki« J. Trembeckiego, wydany przez prof. Brücknera), usunęły Twardowskiego na plan drugi, nie odbierając mu jednak tytułu do zasługi, która była niewątpliwą i duża.

Patrząc też dzisiaj bezstronnie i z oddalenia wieków na działalność poetycką autora »Legacyi«, »Daphnis« i »Nadobnej Paskwaliny«, niepodobna odmówić mu prawa do miana poety.

Był on poetą, a jeśli tak łatwo popadał w panegiryzm, to wina w tem nie jego, ale epoki i jej zawsze przemożnego wpływu na piszących. Z pod tego wpływu wyłamują się tylko ci, którzy sami tworzą nowe zasady w sztuce i sami drogi sobie torują. Takiej siły talent Twardowskiego nie posiadał. Szedł on drogami, które utarli inni, ale szedł krokiem pewnym.

---

Krótki wybór pism  
Samuela ze Skrzypny Twardowskiego.

---

Szczęśliwa moskiewska wyprawa najjaśniejszego  
Władysława IV-go króla polskiego i szwedzkiego  
w roku 1634.

---

Wiersz pierwszy.

Co z pod zimnego niesiesz Bootu,  
Ty, coś bystrszego nad orła lotu,  
A głową w niebo bijesz wysokie,  
Morze bez łodzi mierzysz głębokie!

Już brzmia śpiewaczki, brzmia hipokreńskie,  
Stargane pasy twarde smoleńskie,  
Jakiemi dwlema duży ramiony,  
Pod niebem Atlas ledwie ściągniiony.

Sehin pożywy z carskim okółem,  
Polskiemu bije monarsze czołem,  
Rzucił chorągwie, oddał i działa,  
Któremi ziemia płoruny drżała.

Tak co ku Austrom hardze się kasal,  
I ogniem zewsząd Smoleńsk opasał,

Z ostatnich na dół stopni zrzucony,  
Sam obleżony, sam wymorzony.  
Gdzie siedm obozów, gdzie fortów tyle?  
Ingenierów bucznych fortyle,  
Podkopy ziemne, skryte petardy,  
BATTERY duże i belloardy?

W co przez lat tyle aparat zbrojny,  
Gdzie na rum głośny niewinnej wojny  
Sprzysiągł się Tryon, narody polskie  
W głębokie przenieść pole zawolskie.

Dobyl ostatnich sił Akwilonu,  
Ruszył mieszkańców krzywego Donu,  
I co gdzie ranne nie wschodzą zorze,  
Wlecznie łyżują po Hiperborze.

Przybrał do głowy, przybrał do rady,  
Co i sektarskie mogły Hyady,  
I tych co w niskich Hollandach żyją,  
I co francuską Ararim piją.

Brząknął i na wschód złotem łakomym,  
Żeby przepadłszy szlakiem kryjonym  
Dobrudzkie hordy z swoim Abazem,  
Złote to grono rozerwać razem.

A Szwed na ognie patrząc i łuny,  
Swojej kieruje sferę fortuny,  
Z popiołów naszych forty buduje,  
Gdzie nie sam w oczy, to ze stron szczuje.

O jaka liga, jak fala sroga,  
Na cię ojczyzno powstała droga!  
Czemeś ich oczy tak zakrwawiła?  
Czy te Harpie na siłę wzburzyła?

Jeszcze gdy płaczesz w żałobie przeszłej,  
Gdy słońce twoje chmury obeszły,  
W którym zaćmieniu, w którym odmęcie  
Wszystkimeś wszystka była na wstręcie.

Bellona lozem ręce puściła,  
Głucha w kościołach Nemezys wyła,  
Nagie granice, naga obrona,  
A na zawodzie rętszym Korona.

Wiersz drugi.

Wzdy dzień się kiedy ukazał wesoly,  
Gdy opłakawszy królewskie popioły,  
Które nieba przeźrzały,  
Za monarchę i pana nam dały.  
Wnet Apollinem napuszona Klio  
Wesołe w górze zakrzyczała Io,  
Wraz się odezwą jej działa,  
Że z ich huku Europa zadrzała.  
Usłyszą tęten i rum niebywały,  
Narody wszystkie po Eubojskie skały,  
Usłyszą, i z rzeczy nowej,  
Zadumanł powieszają głowy.  
Zaryczał Euxyn z jezlory dzikiemi,  
Nadęty falą i wiatry nie swemi,  
Burzliwe cofnął wzad flagi,  
Wiosła śwladom i jego przewagi.  
Ulękł się, ulękł, i jako niepomy  
Opuścił ręce Moskal wiarołomny,  
Wspomniawszy sobie na tęgi  
Nieziszczony swojej ślub przysięgi.  
Darmo wytacza zamierzone razy,  
Pioruny bije bez żadnej obrazy,  
Wiadome swojej niecnoty  
Głowy, własne porażają groty.  
O jako ciężko westchnął przerażony,  
Co zbrodził świeżo najgłębsze Teutony,  
Gdzież mu rozerwać się razem,  
Helikońskim przepadłby Pegazem.

Tak pozostały w nadziei niepewnej,  
Blask go poraził ozdoby pokrewnej,  
    Jakie ma Syryusz oczy,  
    Kiedy w słońce krwawy wzrok swój toczy,  
Poculi Gete, poculi i o tym,  
Co ciemnej blisko mieszkają Meotym,  
    I nad cymerskim Bosforem,  
    Gdzie zapada wiecznym dzień wieczorem.  
I już nie grożą, już nie krwią pałają,  
Ale cięciwy indziej nakładają,  
    Na imie jego ogromne,  
    Dzidy kruszą i grotty niezłomne.  
Ale i Austry, i kraje Eurowe,  
Gdzie wieczne w morzu słupy Alcydowe,  
    Z ostatnich kątów przyniosły  
    Strojne wozy, i bogate posły.  
Daleko buczny Brytan się uklonił,  
I co hercyński cień im świat zasłonił,  
    Padł do nóg hołdownik stary  
    Podejrzanej wetując swej wiary.  
A swoim w domu poclechy, i nowe  
Z nim nastawają lata Saturnowe,  
    Jemu teatru budują,  
    Jemu bobkiem obeliszki snują.  
Zgoda pod wieńcy świeżo oliwnemi,  
Świat obłapiła rękoma wdzięcznemi,  
    Ziemia gdzie pusta, gdzie włości,  
    Pirrha żywe powskrzesała kości.  
Kto, kto przyjaciel, z nami w cień bluszczowy,  
Zacniem wielkiemu monarsze Rzym nowy  
    Na wiele głosów i chorów:  
    Żyj na wieki, przeżyj i Nestorów!



Wiersz trzeci.

Kiedyż wdzięczny u weselu  
    Słodkie hamowawszy wodze,  
Czas, czas o nieprzyjacielu  
    I myślić północnej drodze;  
        Pola się rozwiły,  
        Rzeki się rozbiły.

Slewierskie dymem się kurzą  
    Miasta i obfite kraje,  
Jaki z Nowerstową burzą  
    Popiół z Wezuwiusza wstaje?  
        Niebo się rumieni,  
        Ziemia krwią się pieni.

Od Dniepru gońce żałośni  
    Jedni drugich uprzedzają.  
Bojare, bojare sprośni,  
    Żony, dzieci, w pień ścinają:  
        Połock ubieżany,  
        Smoleńsk obegnany.

Nie mieszkać, a na koń mściwy  
    Wielki wsiadać bohaterze,  
Sam ich sam wzrok twój gniewliwy  
    W złamanym potępi mirze;  
        Jako słoma spłoną,  
        Gdy na to wspomioną.

Czyli raz przodkom twym nowy,  
    Nierówne wygrywać boje,  
Twarde im ucinać głowy,  
    I o słoneczne podwoje,  
        Gdzie próg nietykany,  
        Zapierać tyrany.

Deptała karki uparte  
    Ich niewytrzymana siła,  
Mury i bramy otwarte  
    Nogą suchą przestąpiła,

Twardo ouzdany  
Car sam brzmiał kajdany.  
Doznali i ręki twojej,  
Gdyś bujał nie swemi pióry,  
Jeszcze nie w ozdobie swojej,  
I byleś jako z nas który;  
Jedno niebo czując,  
Jeden chleb smakując.  
Doznali razem i cnoty  
Dziwnej i w nieprzyjacielu,  
Zkąd nisko złożywszy groty,  
Przy swych czołobitniach wielu,  
Imieniowi twemu  
Przysięgli wielkiemu.  
Teraz o jako się wstydzą,  
I patrzą ponurem okiem,  
Gdy twoje ozdoby widzą,  
I na tronie tak wysokim;  
A ty tem ochoczej,  
Następuj im w oczy.  
Tedy pod ogromnym grzmotem,  
Dźwięki Etna wyda swoje,  
Wulkan zarudzi się potem,  
Szyszaki kując i zbroje,  
Echo wiatry goni:  
Do koni! do koni!

---

Wiersz czwarty.

Już pan w drodze, już koronne wojska się ślągają,  
Chorągwie rozwijają.  
Bębny grzmią, uderzą w trąby, w taniec Mars z Belloną,  
Lekkim sagiem ślągnioną.  
Czeka Radziwiłł w opale z pułki litewskiem,  
W słewierskiej już ziemi.

Wyglądają obłąnicy, jako w wlecznej cieni  
Aloide zamknieni.  
Jako ku słońcu wzdychają i włosennej trawie,  
W błotach przykrych żórawie.  
Tedy pobudzone sercem i ochotą nową,  
Członki wszystkie za głową.  
Zkąd podnosi się Karpatus, gdzie Warta się łączy,  
Gdzie i Bug i Dniestr rączy;  
Zewsząd wybór. Orsza obóz pierwszy zatoczyła,  
Orsza tak szczęśliwa była,  
Gdzie z ust kanclerza wielkiego wylały się one  
Źródła błogosławione.  
Jedziesz sarmacki Alcydo, mścić się nad zmiennymi  
Krzywoprzysięzcy swymi.  
Którzy nad wagę przymierza i Sakrament srogł,  
Przepadli twoje progi.  
Czem nieprzyjaciół swoje słusznie urażony  
Siecz, pal, na wszystkie strony.  
Za co dziś porozem trzęsą, karki harde zniżą  
I nóg twych proch uliżą.  
Niech ci błogosławią nieba, i niezamierzchnione  
Gwiazdy świecą rodzone.  
Moc zasłoni Najwyższego, i strzeże z wysoka  
Zrzenice twojej oka.  
Rzekł, a choć we wszystkich nowa zaraz się rozżarzy,  
Mars im sam pójrzy z twarzy.  
Jako rozpuszczony kruszec, i w miedzi cierplivej  
Wre ukrop bełkotliwy.  
Tak pałają, tak Trytonom Dnieprowym głębokim  
Ponurym grożą wzrokiem.  
Pierwsza z poruczonym swoim chorągiew Stogniewem,  
Gęstym zaćmi się drzewem.  
Jakł strój, jakie i niosą pana swego koło,  
Argiraspide czoło.  
Tuż i pola koronnego grozi hetman klawą  
Starą ogromny sławą.

Kalninowski toczy drzewem pod chorągwią strojną,  
I usarz duży z wojną.  
Zaraz lekczejsze gwardye, gdzie Marsowa cera  
Dawa uznać Butlera.  
Pisze się Dzierżek ze swym, a z tyłu i w czoło  
Reimenty około.  
Różny pod orły pańskimi, i w królewskim pierzu  
Widzę cię Kazimierzu.  
Jaki Palant gdy do Marsa pierwsza w nim krew wzwlera,  
Na Rutuły naciera.  
Radziwiłłów tuż i Wołszam, i belgickim szykiem  
Arcyzyszewski z Spiśnikiem.  
Tak pomkną się ku Bajowu. A już pod ostrogi  
Wszczyna bój Litwa srogł.  
Kiedy w rozruchu wojennym (co była wątpliwa)  
Smoleńsk się nie ozywa.  
Wprzód, wprzód moskiewski Annibal, Moczarski w posiłku  
Rot kamienieckich kilku  
Uderza w nieprzyjaciela. Jaki szelest niesie  
Lew po nemejskim lesie,  
Nie strzyma, plerzchnie w ostrogi. Wtem o czem wątplono  
Z Smoleńska uderzono.  
Chorągiew synów bojarskich pod nogi rzucona,  
Łowczyckiego stracona.  
Gdy ochotą uniółszy się od swych, zamłęczany,  
Gawroński pojmany.  
Mrok przypadł, przyjaciel bojom z pochmurnego wozu,  
A nasi od obozu.  
Który stał już na Głuszycy panem brzegom dwlema  
Smoleńsku przed oczema.  
Tu przyjmie Radziwiłł pana, tu w jego osobie  
Złączą się wojska obie.  
Ale która państwa gubi i rozrywa rada,  
Zawzięła się Hyada,  
Gdy sporo najwyższą klawę między wielkich sła.  
Bohatyrów wrzuciła.

Czemu zabiegając w oczy, razem pan i panem,  
I najwyższym hetmanem.

---

### Pobudka cnoty

w jaśnie oświeconym ksiąźęciu Jerzym Dymitrze, jaśnie oświeconego ksiąźęcia jego Mci. Janusza na Zbarażu Wiśniowieckiego, koniuszego koronnego, krzemienieckiego etc. starosty, wielkiej nadzieje dziecinnie, roku pańskiego 1635.

#### I.

Zkądem nlebieskiej pełen dziś otuchy,  
Co mię za wieszczce porywają duchy,  
Że wzbiły pióry ku górze nie swemł,  
Zdam się, zdam sobie chodźć nie po zleml.

Poznać cię z twarzy nadziejo jedyna  
Krwie Wiśniowieckiej; ledwie choć poczyna  
Lucyna tulić, i krzepić tve nogł,  
Ledwie rozwijać włos na głowie drogi,

Nlewinnym skronie opuściwszy puchem,  
A już stałością i wysokim duchem,  
Wielkie w ojczyźnie i z boju i rady,  
W tak małem cieie pokazujesz dziady.

Niektóre lubią dzieci rozigrane  
Klawy i konie złotem malowane:  
Ty śmiesz już żywych bezpiecznie osładać,  
Śmiesz ważnem drzewem i pałżem władać.

Nie broń trzciniiana, nie woskowe strzały,  
Lekkiego serca i niemęźnej chwały,  
Ale i pochw przy boku, i razem  
Strojny twój sajdk ostrem brzmi żelazem.

Rączell pędzą ku kresu zawody,  
Lub gonlą drzewy pod wieczorne chłody,

Działa grzmią w kwatry, pioruny Mars sieje,  
Komu kochańsze nad cię te turnieje?

Przed czasem umysł wysoki i w małym,  
I znać w zielonym, co ma być w dojrzałym;  
Wiśniewleckiego pióra ptak i lotu,  
Koło podłego nie wiesz się płotu,

Bo jeśli przejrzysz (czego jeszcze sobie  
Snać nie uważysz) w swojej się ozdoble;  
Żeś z książąt książę, lat tysiąca blisko,  
Czyli się nosić i ty będziesz nisko?

Przejrzysz się w dziadach nie mniej starożytnych,  
Jako w pokoju, jako w polu bitnych.  
Dawniejsze mimo lata i komputa,  
Od walecznego dotąd Korybuta.

Oni bindami głowy przewiązane  
Niosą i szable, świeżo krwią spluskane.  
Ledwieś pohańcze Euxynowej słonej  
Zakusł wody, i przepadł w te strony —

Nie tak sprzysięgłym Anubal rzymskiemu,  
Jako imieniu oni pogańskiemu,  
Nieprzyjaciół głównymi bywali,  
Że się w peluchach nimi odzywali.

Nie dziw waleczne potomki zakrwawił,  
I jako orzeł orlęta swe wprawił,  
Korybut sercem i kochanym łowem,  
Sam, pierwszy mężnie ległszy pod Azowem.

Zostawa śmierci i pomsta dziadowej  
Spadła na wnuki, spadła na ich głowy:  
A ci po sobie nieprzerwaną zgrają  
Dział ten potomstwa z rąk do rąk podają.

O! jako często Boh i Dniestr zuchwały,  
Sproszą krwią pienił błochrockie skały,

Jako plugawą pocły się rosą,  
Tehińskie trawy nietykane kosą!

Gdzieby Bizalte, gdzie głuche mówiły,  
Niezmierne okiem wołoskie mogły,  
Siła starzanych głów, siła i kości,  
Kto z nich łakomy wyzdżałby wnętrzność.

Snaćby świat inszy ochynał swe konie  
Z potopu Pirrhy po Dewkallonie,  
I morze z łona wydawszy swe wody,  
Niezmierzonemi osiadło narody.

Nie Don, nie Dunaj, był im nieprzebyty,  
Grzmiała szumnemi Rodope kopyty,  
Grzmiała, i polskie bobrowały konie  
Po Propontydzie i złotym Strymonie.

Świat sam zastępom i mocy tureckiej  
Oprzeć się nie mógł. Jeden Wiśnłowlecki  
Dawał niedawno i Tatarom cary,  
I śmiał wołoskie zrzucać hospodary.

Ledwie tak we lwiej ogromnie skudlanej  
Szyplac mógł grzywie plesek rozigrany,  
Ledwie tak jedno lernejskiemu smoku,  
Szlachetne orle było ku obroku.

A jednak tyran siłą swą pijany,  
Na garść ich ludzi nieraz wyuzdany,  
Doznawał z klęską i krwawem zwycięstwem,  
Że im nie równał i sercem i męstwem.

Komu po dziś dzień przy trackim Bosforze,  
Hak twój nieznanym sarmackim Hektorze?  
Kto idąc tędy nie ściśnie ramiony,  
Żeś tam umierał trzy dni zawieszony!

Ciężkości twojej samej ltowały  
Morza, i głuche hellespontskie skały.

Toli kupressem katafalk natknięty,  
I słup pamięci wiecznej wystawiony.

Żałował i sam poganin urody,  
Zkąd cięższe złota ślubował nagrody,  
Żebyś przynajmniej uniesiony jakim  
Jego chciał wyznać Machometa znakiem.

Ty jako łabędź nieutulonem,  
Chwaliłeś usta Zbawiciela swemi,  
Że w pół słodkości dusze spracowanej,  
Kiedyż od lekkich chłopiąt ustrzelany.

Co amfiteatr Adryanów szumny,  
Co Scypionów obudwu kolumny,  
Szczęśliwszym hak twój daleko pogrzebem  
Pod ottomańskim ozdobił cię niebem.

A ty stolice świętej Romulowej  
Dostojny ojczy, dopuść mu w bobkowej  
Dopuść koronie, między prześwieceni  
W Olimpie siedzieć męczenniki twemi.

Zaraz w Dymitrów braterski trop drogi,  
Z Konstantym równo Alexander drogi,  
Jako rodzoną gdy się krwią spluskają  
Lwi erymantscy ślepo wypadają.

Nim cymcerejskie cienie ich nie straszą,  
Nie wody czarne pragnienia ugaszą,  
Ale poboje i sprosnej posoki  
Wśród wytarzane konie ich po boki.

A wielki Andrzej, wojewoda w radzie  
Krajów wołyńskich na stos silny kładzie  
Ciężkie ich łupy, kołem gdzie sieczone,  
Głów bisurmańskich pale tkwią natknięte.

Nigdy żyźniejszy drogiem Nilus błotem,  
Ani bogatszy swoim Tagus złotem,



Jako co rzadko mieszkanie gdzie bely,  
Braclawskie dzicze za niego kwitnęły.

Później już widzieć w Wołoszech Michała:  
O która kiedy śmiałość porównała!  
Które i serce podobne i sły,  
O taki drugi szaniec się ważyły?

On dzięcznej żony krwią uwiedzion miłą  
Najeżdża Jassy z Hieremim Mogiłą,  
I zniósłszy Tomszę, snać nad obietnicę  
Nieba, ojczystą wraca mu stolicę.

Co tyran wschodny, co na to szalony?  
Czem nie popadły wściekle go Gorgony,  
Że jeden, przeciw takiej jego sile,  
Koronny szlachcic ważył się o tyle.

I doznałby był z hańbą swoją wleczną,  
Kto się nań z ręką porwał tak bezpieczną,  
Gdzie w porcelanie przez swych zarażony,  
Ozdoby pierwej nie zagasił onej.

---

Pod elekcyą szczęśliwą  
na Królestwo Polskie, najjaśniejszego  
Władysława IV,

królewica polskiego i szwedzkiego, roku Pańskiego 1631.  
Temuż Najjaśniejszemu Panu, Panu swemu Miłościwemu.

---

Wiersz pierwszy.

Lat złość, i przesłę koronne żaloby,  
Które się nowo w Tobie rozświeciły,  
Do twojej ciągnę, o Panie, ozdoby;  
Co Muze mają, co Apollo sły,

O! jeśli godne królewskiej osoby,  
    Że tak wysoki próg twój przestąpiły:  
Aza porzucić dasz się im na stronie  
    W nogach gdzie blisko, przy złotym twym tronie.

Jam satis terris nixiv atque dirae  
Grandinis misit Pater, et rubente.  
Dextera, sacras jaculatus arces,  
    Terruit urbem, etc.

Horat. 1. Carm. Od. 2.

Jużeś wystrzelał pioruny o Boże,  
(Jeśli się przebrać niezmierność twa może)  
    Jużeś gniewu swego czasę  
    Do dna wylał na ojczyznę naszą.  
Przestań się gniewać, a z Olimpu twego  
Spuść oczy ku nam złotopromiennego:  
    Oczy wdzięczniejsze nad słońce,  
    Które ziemię przenikają końce.  
Zdało się, zdało po przeszłe te lata,  
Że albo koniec i ruina świata,  
    Albo wiek Pyrrhy, i ona  
    Powódź spaść miała Deukalliona.  
Gdy po Hadryach pływały głębokich  
Niedoszłe Tygrem karki gór wysokich,  
    Atlas po Eou brodził,  
    A Proteusz bydło z pól uwodził.  
Widzieć szumnemi Wisłę było mętną  
Mieć się flagi; zkąd ona pamiętną  
    Powodźią brzegi nabrzmiła,  
    Miasta i wsi pożerała całe.  
Niebo twarz smutną upłakawszy łzami,  
Gdy panna w wleńcu, było pod żaglami,  
    Świat gnił, a podziemne rymy,  
    Codzień większe wywierały dymy.  
Ztąd w cieniu długim bez słońca i rosy  
Kwiat zarażony i nierdziałe kłosa,

Na wszystkie koronne kraje  
Głód przyniosły i nleurodzaje.  
Mars wtem się pali, Prusy odpadają,  
Z główniami żywe furye czekają,  
Ojczyzna (ach!) nieszczęśliwa,  
Sił ostatnich z pod serca dobywa.  
Kto jej był sroższym, i na kogo barzy  
W swem utrapieniu ciężkiem się uskarży!  
W dyamencie to pokryła,  
Bieda jedna jej nie dokuczyła.  
Oto z Awernu blade, wyschłe jędze,  
Roztrzęsą na świat się lichoty i nędze.  
Wierzyłl wiek przyszły będzie?  
Chlebem rżęsa i leśne żołądzie.  
Tak na nie swoich zemdlony gmin nogach,  
Padał lada gdzie po stęgnach, po drogach.  
Chodzill by jakle mary,  
Zarzuceni forkom na ofiary.  
Jakle Merkury poczwary i cienie,  
Przez las podziemny cyprysowy żenie,  
Albo co za cera owych,  
W górach gwarków skalistych Hemowych.  
Jako wpół potem śniegi ustąpiły,  
A chwast i cierpkie żagwie się rozwiły.  
Opar onjedli surowy,  
Że trucizną i chleb był im nowy.  
Taką zarazę upatrzywszy w gminie  
Atropo chyża z sierpem się zawinie:  
Dopiero w bystre jej tropy  
Lecą okiem niezmlerzone snopy.  
Chorażwie z murów wywieszają clemne,  
Bramy się wszystkie otworzą podziemne,  
Jako Demogergonowe  
Tak ku wdzięcznym Elisom słońiowe.  
Cisną się dusze nawalonym tłumem,  
Charon nie łodzią, ale wozi prumem.

A Minos wżglądając srogo,  
Nie wle hardy wprzód sądzić ma kogo.  
Po wiatrach trwogi z dział ogromnych wyją,  
Łupem, ach! ludzkim, zwierz i krucy tyją;  
Tenże nleprzyjacielowi  
Grób, co bratu, żenie i synowl.  
A po powietrzu błyska aniół mieczem,  
O gdzie się chronim! o gdzie się uleczem!  
Kto w zapalczywości twojej,  
Kto się żywy, Boże nasz, zostoi?  
Szczęśliwy, który w budzie gdzie kryjomy  
Żywot utai, albo tak świadomy  
Zatopów morskich i flagi,  
Że gdzie zniknąć mógł tej plagi.  
I tak ojczyzna uciśniona z gruntu,  
Nie wie z którego spadnie choryzontu,  
I sen przyjdzie pożądany,  
Kto lzy otrze? kto zleczy jej rany.

### Ode Horatiana.

Beatus ille, qui procul negotiis,  
Ut prisca gens mortalium  
Paterna rura bobus exercet suis etc.  
Lib. Epod. Ode 2.

O! jako błogosławiony,  
Ten, który pracowitym ojczyste zagony  
(Jako starzy) orze plugiem,  
Ani żadnym uciśnion na dobrach swych długiem;  
Swym go nie ustraszy tonem  
Trąba, ani Eolus przykrym Aquillonem  
Na morzu, kopy nie goni  
Językiem, i spółków się z mocniejszymi chroni.  
Już on to sadił winnice,  
I wsplera niedołączne tyczami macice,

To sierpem wkoło chwast krzywym  
Obrzyna, latoroślom dając plac szczęśliwym.  
Już pogląda, gdy wieczorem  
Z gromadnym bydło wraca się taborem.  
Już dobrej nadzieje pełen  
Syci młód, już i owce z miękkich strzyże welen,  
Albo gdy głowę osuje  
Ciężki jabłki Autumnus, o jako smakuje  
Gruszki sobie i jagody,  
Latorośle i prace własne swej nagrody!  
Które on przy sporym dzbanie,  
Ofiarujeć, o jasny strażniku Sylwanie.  
Miło mu gdzie się zieleni  
Wdzięczna trawa, w jodłowej przesypiać się cieni.  
Gdzie ze źródeł wody huczą  
Lekkim szumem, a w brzegach Nereidy mruczą.  
Gdzie i dzięby kwilą w lesie,  
Która oczom muzyka pożądny sen niesie.  
Cóż? gdy na śwlat spuści śniegi,  
I cierpliwym Jupiter ściśnie lodem brzegi,  
Już on ze psy po krzewinie  
Cieka, i na parkany duże goni świnię.  
Już sieci na soszkach w doły,  
W stęgnach mlece zakrytą zdradę na kwiczoły.  
Już chyże szczuje zające,  
I zórawie z za morza goście przychodzące.  
Ktoli, gdy się tak spracuje,  
Niezbyty w sobie miłości ogień poczuje?  
Cnotliwa gdy jeszcze komu  
Małżonka rząd opatrzy i dziateczki w domu.  
Jako Sabina, i ona  
Pracowitych Sabinów nie pleszczona żona,  
U niej masz po pracy dziennej  
Izbę ciepłą, zastaniesz i rząd nieodmienny;  
Bydło zawsze zliczy ona,  
Samaż i jałowicom wysmyka wymłona,

I flaszę przyniósłszy wina,  
Strudzonego ogrzeje męża u komina.  
I nie tej zaprawę ceny  
Ostrygi, ni lukryńskie, ni włoskie barweny,  
Które Pontus rozgniewany  
Swemi w ten kraj przez morze przybija bałwany;  
Nie jest tak i bażant kruchy,  
Jako młode prosiątko do własnej swej juchy.  
Joński jarząbek ani,  
Jako kapłan domowy; kto i proszę zgani.  
Wołową sztukę do chrzanu,  
I z prostego sałatę kopru i lopianu?  
I koźlę ma sobie za nic,  
I jagnię zarzezane rolnych Bogu granic.  
Pod tak ucieszną biesiadę  
Co widzieć za uciecha jałowic gromadę,  
One wracając się z pasze,  
Kurzą pył, a przed niemi buhaj sobie hasze.  
Widzieć i czabanów cugi,  
One jęczą pod jarzmem wywróciwszy pługi.  
I pszczoł pracowite roje,  
Koło domu igrzyska odprawując swoje.  
To gdy rzekł lichwiarz Alfiusz,  
Podobał sobie wiejskie obyczaje, i już  
Mieszkać między myśli chłopcy,  
Z lichwiarzkiej swej nie żyjąc więcej potem kopy.

### Ode Horatiana.

Non ebur, naque aureum  
Meo renidet in doma lacunar etc.  
Lib. 2. Ode. 18.

Nie od kości słoniowej  
Domek mój ani świecił złotogłowy,

Nie strop hymetski szumny,  
Gdzieś afrykańskie dźwigają kolumny.  
Anim ją po Attale  
Królewski dziedzic opanował sale.  
Ni mnie z Indów ostatnich  
Sieroty przędą kądzieli szarłatnich.  
Alem ja zaś szczęśliwy  
W cnotę i dowcip. Czemem sprzyjałłwy,  
I kochankiem bogatym,  
Będąc ubogim. A dosyć mam na tem.  
I ni ocz nie podnoszę  
Do nieba ręku, ani więcej proszę  
Przyjaciele możnego,  
Kontent z folwarku błogosławionego.  
Płynie dzień za dniem, płynie,  
I drugi jutro, co jeden dziś minie.  
Ty każesz siec marmury,  
O swej nie pomyśl ubóstwie natury,  
Ani ostatnim grobie,  
Na dumy pyszne i pałace sobie.  
Wypierasz z brzegów morze,  
Nie kontent w jego terminach i porze.  
Cóż? i słabszym sąsiadom  
Rozrzucasz kopce, i choć ich źle wiadom,  
Za sieroce granice  
Rozpościerasz się. Zkąd własne dziedzice  
Jako ach! wypędzono!  
Wędruje matka wzięwszy ich na łono.  
Aleć takiego pana,  
Erebowego czeka dwór tyrana,  
Gotowy wiecznie jemu  
Gdzie się masz nędzny?... Ziemia ubogiemu  
Toś, która i królowi.  
Ani się złotem dał Prometeowi  
Przekupić Charon srogi,  
Ani Tautalus był u niego drogi

O naród wszystek jego.  
Ten w ciężkiej pracy mdleje, ubogiego  
Gdy słyszy, że go wzywa,  
Wzywany i niewzywany przybywa.

Na Sejm rozerwany w Warszawie  
15 Listopada 1639.

Co w domu serca prorockie wieszczły,  
Które i w drodze włości o tem były,  
Że na tem stanąć nie miało  
Strojnym sejmie, już się i tak stało.  
Wylały próżno nabrane te wody,  
A dla burzliwych szumów i niezgody,  
Cośmy pod niebo aż latali,  
Sucho barzo na piasku zostali.  
Komu mam przyznać? Gorącymli fatom?  
Czyli nieszczęsnym względom i prywatom,  
Przez co dziś rozrywają sejmy,  
Przez co wkrótce rozerwem się i my.  
I któraż była tak potężna siła,  
Któraby sobą się nie obaliła?  
Rzym swoje tryumfy zgubliły,  
I Ateny, gdy namędrsze były.  
Boję się, boję, prorok, ach! zły sobie,  
Żeby w tym wieku i dojrzałej dobie,  
Ojczyzna dla tych subtelności,  
Do ostatniej nie przyszła trudności.  
Bo w czemże więcej złotem dni trawimy,  
Tylko, że w morzach swoich się silimy.  
Nie strużmy już dla Boga więcej  
Tej wolności, bo zginiemy pręcij.  
Im te ostrożniej Charybdy mijamy,  
Tem się potężniej o nie rozbijamy;  
Znak pierwszy, (a powiem to śmiele)  
Zguby naszej, konstytucyj wiele.



Jeśli o równość idzie i tytuły,  
Czemuż dawniejsze w tem się nie poczuły  
Wielki i nasz przodkowie?  
Ach! my mędrszy dopiero synowie.  
Tylkoli, tylko bieżmem w oczach komu  
Cudze te światła i ozdoby domu?  
Bez książąt co na to tak biją,  
Niechaj świetą razem rwą unią.  
Bo tamci sercem związali się z nami,  
Będąc wolnemi sobie narodami,  
Żeby te, które z sobą wnieśli  
Czapki złote, na głowach swych nieśli.  
Niechżeby drudzy po lidze tej świętej,  
Nie nosili się nowemi książęty;  
Cierpieć tych, cierpieć, którzy starzy,  
Póki niebo świecić im tak zdarzy.  
Bo gdyby oni, a w polu kamienie  
Co raz rość mieli, nie tylko by w cenie  
Szlacheckim domom ubliżyli,  
Ale św atby sobą zawalili  
Tedyż dla jednej upierzonej dumy,  
Wstały w ojczyźnie tak nawalne szумы.  
Tedy dla jednego filaru,  
Wszystkiemu się obalić ciężaru.  
Hej! rugujmy się, a kto z nas przyczyną,  
Niech pieczętuje, a wszyscy nie giną.  
Tylkoć dla jednego Synona  
Legła twoja nieszczęśliwa ona.

---

### Pałac Leszczyńskich

od sławy nieśmiertelnej pod wjazd jaśnie wielmożnego  
jego mości pana Jana Bogusława hrabie na Lesznie  
Leszczyńskiego, wielkopolską generalją, przez Samuela

z Skrzypny Twardowskiego wystawiony w Poznaniu roku  
1643, 6 Lipca.

Śpiewam senat, i wielkie w Polsce jenerały,  
A nie nowe domowi Leszczyńskiemu chwały,  
Ku jednego ozdobom dzisiaj Bogusława  
Poruszone z pod ziemie. Godnali zabawa  
Będzie to pióra mego? Muzo, ty osądzisz,  
Która tyle wdzięczności z duchami zarządzisz  
W piersiach moich, że one wyważywszy z mroku  
Na tym, który buduje, pokaże widoku,  
Miasto jest w Wielkopolsce ku słońca zachodu.  
A tamtego stolica i głowa narodu,  
Starożytne i piękne, od nieznaných owych  
Jeszcze snąc założone potomków lechowych.  
Ztądże, lubo z początków małych rość poczęło,  
W tę, którą dziś widzimy, możność się zawzięło.  
Leży sobie nad Wartą, której źródła czyste  
Polewają daleko błonia przeźrocyste,  
Gdzie pod późne Hesperjy widzieć więc parami  
Młódź ochoczą, przechodząc z swemi się damami.  
A w oczu im Najady z rączemi Trytony,  
Stroją gwoli ucieszne igrzyska i gony,  
To srebrnem po wierzchu piersiami błyskając,  
To smukłemi dłońiami w oczy się pryskając.  
Owo dziwna wesolość i żyźność tej wody.  
Z drugiej strony przyległe sady i ogrody  
Różnych pełne rozkoszy, a nie tak ćwiczeniu,  
Ani cyrkłom zielniczym, jako przyrodzeniu  
I miejscowi powinne, gdzie pod umbrą ślaść,  
I ranne kolacje zwyczaj bywa jadać  
W upaleniach słonecznych, kogo szwędzą mury,  
Lub odmiana powietrza cieszy i natury.  
Mimo inszych grzeczności i pochwał swych wiele,  
Które zdobią to młasto, ma obywatela  
Polerowne i ludzkie, jako z gładkiej mowy,  
Tak postępków szlachetnych. Ma swój dank gotowy,

Do którego poloru powód ma nie mniejszy  
Z wyniosłości powiatu i szlachty tamtejszej,  
Która tu odprawuje festy wszystkie swoje,  
Na wymyślne prezenty sadząc się i stroje.  
Najwięcej pod święty Jan. Tu weselne akty,  
Tu pogrzeby i różne traktuje kontrakty.  
A cóż gdy się przypatrzy okregowi w murze,  
I jego dymensyi puszczonej po sznurze,  
Ma z czego się ukochać, tak i mury kołem,  
I rynek swym kwadratem toczy się wesółym,  
Tak bramy patrzą na się, tak równe ulice,  
Aż i złote nad zuchwał widzieć kamienice.  
Tu sława z wysokiego Olimpu zstąpiwszy,  
A swoje tam zawody na czas opuściwszy  
Zwyczajne kawalerom i argiwskiej młodzi,  
Gdy co roku piątego taki fest dochodzi,  
Na szumnych biegać wozach, a kto z nich ubleży,  
I zatem do korony i palmy należy,  
Na krześle szczerozłotem siedząc, uznawała,  
Tu śród rynku kosztowny pałac zbudowała.  
Oczy dotąd śmiertelne ludzkie nie widziały,  
Wszystkie się tam dowcipy na ten kunszt składały.  
Oprócz temu patrzeć nań, i wniść się tam godzi  
Kto przyjaciel, ani go ta jego obchodzi  
Wielmożność i ozdoba. Żwawe nie skrwawiły  
Lerwy oczu, ale mu dla ojczyzny milej  
Tanio co jest drogiego i nie ciężko bywa,  
Gdziekolwiek go do siebie bogini ta wzywa,  
Przez ogień, przez i miecze, i tysiąc trudności,  
Żeby tylko (ach!) rzadkiej dojść nieśmiertelności.  
Jest z marmuru czarnego w kwadrat zbudowany,  
Alabastrem tak ślicznie biało przeplatany,  
Ze w tej swojej różności (ile kto żrzenicą  
Dojrzy tego bystrzejszą) zda się szachownicą.  
Zaraz w jego arel, z marmurów mienionych  
Podawa się fontana na czterech złożonych

Lwach stojąca, oddana z koryntyjskiej miedzi!  
A śród słup aspisowy, gdzie dwie parze siedzi  
Syren alabastrowych, nad czaszą fontany  
Wieszając się, a w ręku porfirowe dzbany  
Wyniesionych trzymają: zład gębami lwiami  
Woda pryska daleko po przyległej ziemi.  
Ale płaczą i same oczy wiecznym zdrojem,  
I czoła kryształowym pocą się łm znojem.  
Wzgórzę ganki około, wszystkie marmurowe,  
Które wewnątrz popstrzyły maclice perłowe  
Przeplatane koralem: gdzie po tynkowanych  
Drogo ścianach, historyi wiele odkowanych  
W miedzi, i starożytnym widzieć mozaiku:  
O tych zwłaszcza, heroach, którzy kiedy w szyku  
Krwawej służąc Bellony, czego dokazali,  
Czemby sobie łaskawą panią tę zjednali,  
A wyzuwszy człowieka, po śmierci wskrzeszone  
Z prochu gdzieś ich popioły były poświęcone.  
Widzieć naprzód płynącą łódź stooką owę,  
Wyrobioną na sławę niegdy Jazonowę  
Z Terebintów tespjijskich; a ta złote ono  
Za tatarską Phasydą skazuje mu runo:  
I Fryxa, i przy wielkiej zarazem nadziei  
Królestwa bogatego, małżeństwo Medei.  
Tamże się z Minotaurem Tezeus pasuje,  
Tam z wężami Herkules w kolebce morduje,  
I od Korysteusza, żeby świat od wszelkich  
Zbawił dziwów, zaciąga prac dwanaście wielkich.  
Co sprawiwszy, przy gębie antlantyckiej szumnej,  
Dalej nieprzeskoczony zabiera kolumny.  
Toż później Hipomenes Atalantę gonil,  
A z bystrszych Enomaus przeszyniony koni  
Łamię szyje: ów zatem ubiega koronę,  
I z cyranki wygrawa kłedyżkolwiek żonę.  
Toż piękna Semiramis mury dziwne kłii  
Asfaltyckim karukiem; toż z Artemizyi

Powstawa mauzoleum; to Rodus się chwali  
Swym kolosem, Dyannę Archestratus pali.  
Faro gore na morzu, piramidy wstają,  
W labiryncie Dedali z synem się błakają,  
Aż na zniewieściałego w tem Sardanapala  
Nowa Medów i Partów uderzyła fala.  
Aż i stąd wnet narodów to niezmierne brzemie-  
Przenosi się do Persów. Tu smocze zaś plemie  
Robi siła w Grecyi z zębów Echiona,  
Tu grzechy Edypowe, tu i krwawa ona  
Między braćmi niezgoda. Jakoż z drugiej strony  
Buczne kwitną Ateny z swemi Helikony,  
I Tajgety oliwa. Tamże Termopile,  
I Maraton, i innych wisł w Delfie tyle  
Ich korzyści. Toż i ci gdy się przeuczylł,  
Tylko co Aleksander z kąta się wychyllł,  
Aż przypadnie Azya od końca do końca,  
Nle chcąc cierpieć drugiego oprócz siebie słońca.  
Wtem Alba, wtem i rzymscy nastają Quirini,  
Gdzie o! jako przybyło wiele tej bogini  
I ozdób i kolorów! Tam Regulusowie,  
Kurioni, Fabie, święci Kamillowie,  
Wybijają Francuzy. Tam i wielcy oni  
Pasują się z Afryką oba Scypioni.  
Nakoniec wszystkich tych burd *ansa* i przyczyna,  
Z fundamentów się samych wali Kartagina:  
Że na dwóch się szkopułach domowych rozbiła,  
I własnem swem brzemieniem kiedyś uraziła  
Królowa ta narodów: ledwie przedtem w jakiej  
Swojej była mężności, są po dziś dzień znaki.  
Te kunszty i obrazy widzieć nieskończone,  
Któreml tam jaśnieją drogie ściany one,  
Że niemasz i prospektu, i miejsca żadnego,  
Bez czego, ku zabawie oczu, osobnego.  
A takimiż kolory świecą się i wieże,  
Których cztery, a każda rogu swego strzeże.

I kwadratu pałacu. Zkąd otworzonymi  
Od kryształu górnego w srebro sadzonymi  
Widzieć wszystko oknami. Toż gdzie już do góry  
Wschód wznosi się zielony, i wiedzie na wtóry  
Piętr pałacu, miedziane drzwi się otwierają,  
Których dwie smaragdowe kolumny wspierają,  
A na srebrnych podstawkach Nimfy złotolite,  
Głowy żubrze trzymają w dyamencie ryte.  
Jedne z tych na samych drzwi czele szafirowem  
Różgą złotą skazując z napisem takowym:  
»To jest dom, to i z wieku dziedziczna Wienława,  
»Leszczyńskiego na Lesznie hrabi Bogusława.«

. . . . .

---

Jakób Wojewódzki,

pod Smoleńskiem zabłty 10 Stycznia.

---

I.

Cnotę i wiatę oświadczywszy swoje,  
W Smoleńska długo twardem obleżeniu,  
Gdy metu blisko i laurei stoję,  
Sławie i memu powlnnej imieniu, —  
Już o te mury, już nic się nie boję,  
Już zesze siły zbieram ku wytchnieniu.  
Oto śmiertelnie jędza wymierzywszy,  
Tedy pożyła, kiedym najszcześliwszy.

II.

Nie tej nagrody przeważne zasługi  
Czekały (jako rozumie gmin gruby);  
Już po niewczasach i obronie długiej,  
Już zasieść było przy Czererze lubej,

I nie umierać jako żołnierz drugi,  
Ale oddawszy Bogu swemu śluby,  
Dość mając sławy, dość nieśmiertelności,  
W zimnej na łożu dokonać starości.

III.

Trudno! wrodzona nie zniosła ochota,  
Żebym się tu miał niemęźnie szanować.  
Nie zniosła wiara i doznana cnota,  
Żebym jej nie miał krwią zapleczętować,  
Widząc, ono pan rumuje sam wrota,  
Ostrogi burząc, karze następować;  
W nim utopiwszy ostatnie swe oczy,  
O! jako trzykroć umarłem ochoczy.

IV.

Zamkum obronił, i różnej fortuny  
Wytrzymał szturmy. Raz słowy gładkimi  
Uwodził tyran, razem grzmiął pioruny,  
Że dźwięk w ostatniej odzywał się ziemi.  
Nie tykaj, jędzo, nie tykaj się truny,  
Nic tu z potwarzą, nic z Satyry twemi.  
Stłuczone mury, belloardy zbite,  
Wiara nietkniona, serce nieużyte,

V.

Ale cóżkolwiek odniosłem i użył,  
Wszystko, o panie, oddawam to tobie.  
Ty sam mi przyznaj, że dobrzem ci służył,  
Zem przy twem umiał zdrowiu i ozdobie.  
A jeśli śmierci w czemem się zadłużył,  
Dopuść w ojczystym odpoczywać grobie!  
Niech tak żelazno i twardo nie drzymię,  
Że przyszłe wieki poznają me imię.

Przeważnej legacyi jaśnie oświeconego księcia  
Krzysztofa Zbaraskiego  
koniuszego koronnego, etc. etc.  
do cesarza tureckiego Mustafy.

P u n k t I.

Gdzieby Muze sarmackie doszły takiej ceny  
Żeby mogły ukość gładkimi Kameny  
Serca zapamiętałe mieszkańców podziemnych,  
Próżną skargą kołacąc do ich gmachów ciemnych:  
Tuby, o panny święte! i pole podobne,  
I czas byłby do płaczu, zgodziwszy żałobne  
Koncenty z rymy memi, żebym i ja z wami,  
Pana tak szlachetnego mógł opłakać łzami.  
Jednak wielkie podobno, idejskie źrzednice,  
Na tego opłakanie, którego granice  
Sławy i dzieł wysokich Tryony przechodzą,  
A cnot żywych tłumacze, aż w Eou brodzą.  
Lubo ja nie na ten ton pociągnę stron moich,  
Jako biedna Hekuba płacze synów swoich,  
Abo osierociła przy dyktejskiej Idzie,  
Galatea wyrzeka po swym Adonidzie.  
Ludzkie łzy, o letejski brzeg się rozbijają,  
A rano źródłem płynąc w wieczór osychają,  
Łzami śmierć się nie waży, ale cnotą z wierzchu,  
Której wieczór nie skończy, ani uzna zmierzchu.  
Zbaraska śmierć w pieszczonej nie chodzi żałobie,  
W Marsowym raczej cyrku podobała sobie,  
Gdzie swemu Krzysztofowi pogrzeb naznaczyła,  
Których świętych koroną bogów otoczyła  
Tam Belona z muzyką zasiadła ogromną,  
Tam skruszył i Herkules kopą niezłomną,  
I przy boku ognistym pacholeta małe,  
Na szczupłych dęły surmach dumy wiecznie trwałe.



Tam córy tytanowe paliły ofiary,  
Letejską onę tłukąc w nielube Kithary,  
Jako piękny Adonis przed Jowiszem śpiewa,  
A duszom nieśmiertelnym nektaru nalewa.

Jako tyran piekielny królewską dziewczynę,  
Z łona matki uciesznej uniósł Prozerpinę,  
A ta wstydu stradawszy i ust koralowych,  
Kopci się nieszczęśliwa w łunach Awernowych.

Jako gruby Tycyon, i bracia rodzeni,  
Tęgiemi Aloidę pioruny strąceni,  
Gdy ziemię pokinawszy i świat ten ubogi,  
Chcieli niebo osiadać pozrzucawszy bogi.

A jako zaś heroes w królewskich koronach,  
Zasiedli empireum na złoconych tronach,  
Którzy tu swej ojczyźnie dobrze zasłużeńi,  
Tenże trybut oddali nieużytej ksieni.

Jeszcze zwiódł i Apollo z helikońskiej góry,  
Do tej ceremonii Pieryi swych chóry,  
Które ciemny katafalk otoczywszy kołem,  
Rzewnie płaczą nad swego kochanka popiołem.

Gdzie Minerwa swoją tarcz zawiesiła złotą,  
Na której przodków onych niezrównanych cnotą,  
Wielowładnych Zbaraskich spisała komputa,  
Dom już on tak starego kończąc Korybuta,  
Który czując pod ziemią, że tak znacznie ginie,  
Ostradawszy nadzieję, w ostatnim już synie,  
Wraca nazad ojczyźnie klejnot powierzony,  
Wraca książęce, wraca królewskie korony.

Oddawa panu togi, oddawa i klawy,  
Oto prosi, żeby mu nie uwlekl tej sławy  
Żaden wiek, ani moment, jakiej Fablowie,  
Jakiej byli i w dziejach rzymskich Kamillowie.

Prosi żeby ponure niezyczlwych oko,  
Które trony przenika pod ziemią głęboko,  
Dało pokój umarłym, których za żywota,  
Sama wiekom potomnym zaleciła cnota.

Szenie tej żalobliwej rymyli co moje  
Przyczynią energii gdybym dzieła twoje,  
Na jasnym zacny panie stawil Hipokrenie,  
Przez grube cymeryjskie przeniosłszy ich cienie.  
**Poważę się nad siłę, jakom znamienitych**  
Odweg twoich wiadomy, i trudów sowitych,  
Którychem częścią wldzem, częścią świadkiem bywał,  
A któżby tego raczej z płaczem nie używał.  
**Ty sam, któryś tak nagle z oczu ludzkich zginął,**  
I na wody daleko niepomne upłynął,  
Przypomniź co za falą bywałeś trapiiony,  
Ziemiałi dla ojczyzny, morzemli niesiony.  
**I acz na ten ocean cnót twych świątobliwych,**  
W młalkiej się puszcza łodzi; ty jednak szczęśliwych  
Dodasz wiatrów z Peloro, a już rymom moim,  
Brmieć cichuczko dopuścisz przed pokojem twoim.  
**W cieniach które obeszły północne Tryony,**  
I lasach nieprzebytych, kędy zamrożony  
Zaćmił się hercyńskimi Polus pustyniami.  
Obległszy lodowemi brzegi ich morzami.  
**Młędzy wielą narodów Sauromatów sławnych,**  
I pułki rozbiegłemi Roxolanów dawnych,  
Zalegli i Litawi czoło Akwilona,  
Swe od rzymskich wywodząc wygnańców imiona.  
**Naród ten starożytne zalecając boje,**  
Gdy pierwej Dniepr zbrodziwszy, tam gdzie Tana  
Toczy źródła w Meotym, i gdzie aż bogaty [swoje  
Nowogród pławi Iną, panował przed laty.  
**Z zachodu się ocierał o lackie narody,**  
Gdzie Narew, i aż gdzie Dalestr pędzi ręce wody,  
Zniósłszy Gety waleczne i bitne Jaćwieże,  
Po ciemny aż Trapezunt swoje miał rubieże.  
**Cóż gdy wiek nienawlsny dziedzicom potomnym,**  
Ludzi onych pogrążył w cieniu gdzieś niepomnym,  
Że ich dotąd i z imion młodszy nie uznali,  
Którzy sławą swych czasów nieba dosięgali.

Ledwie że w tych mgłach widzieć, ano zeszyły laty,  
Pokinawszy Narymunt klejnot on bogaty  
Kítaura latoryńskiego, z wyniesioną bronią,  
Pierwszy wielkim księżętom zostawił Pogonią.  
Widzieć że i Witenes następuje po nim,  
Gotyckim władny łukiem i podobnym koniem;  
Z Kolumnów swe wywłódszy imie starodawnych,  
Mimo onych Rożyców i Orsynów sławnych.  
W też waleczny Gedymin strzemiona wstępuje,  
On Troki, on i zamki wileńskie buduje,  
Za wróżką i powodem grubego augura,  
Ogromnego nadzwyczaj ustrzeliwszy tura.  
Po nim Olgerd braterską rzuciwszy dzielnicę,  
Z wojski aż pod moskiewską podjeżdża stolicę,  
Gdzie na pamięć potomną i na imie swoje,  
Dużą kruszy kopłą o carskie pokoje.  
Tu już za lat postępkim będąc dotąd ciemną,  
Litwa jaśnieć poczęła sławą swą przyjemną,  
Że ją Auster dopiero zaznał południowy,  
I na sławne imię jej swej unżył głowy.  
Z tądże potem waleczni poszli Witoldowie,  
Z tąd oni nieśmiertelni niegdy Jagiełłowie,  
Których po wiek dzisiejszy świątobliwe plemię,  
Rządzi prawy wolnemi piękną polską ziemię.  
Z którymi w jednej płynie Korybut nasz łodzi,  
Od tych ród swój i herby księżęce wywodzi,  
Miesiąc złoty, którego krzyż niebieski broni,  
Gwoli żartkiej widoku przybrawszy Pogoni.  
Ale dla Witoldowej chciwości szalonej,  
Z udzielnich księstw siewierskich niesłusznie złupiony,  
Przenosi się na Wołyń, gdzie póki był żywy,  
Trzymał szczęściu uległszy dział niesprawiedliwy.  
Gdzie Zbaraż i Wiszniowiec tamtych pól wiadomy,  
Wielkim dwiema założył familiom domy,  
Od Tatar potem zabit poległ na Azowie,  
A ojczyste osiedli dziedzictwa synowie.

Starszy Zygmunt na czeskie królestwo się sady,  
Gdzie ozdobne z ochotszych chorągwie prowadzi,  
Z kąd wielą sławny zwycięstw powróciwszy w domu  
Tonie w Świętej z krwawego uchodząc pogromu,  
Młodszy Fedor znówu się przeciw panu bierze,  
Późno chcąc w utraconym osiadać Siewierze;  
Ale zrazem, w ojczyźnie osiadł, gdzie i spłodził  
Daniła, który potem znacznie się rozrodził.

. . . . .

---

# WACŁAW POTOCKI

(1625 — 1696).

W roku 1850-tym Stanisław Przyłęcki wydał we Lwowie ze starego rękopisu poemat bohaterski p. t. »Wojna chocimska«.

Nie znalazłszy w rękopisie nazwiska autora, wydawca przypisał to dzieło Andrzejowi Lipskiemu, podwojewódzkiemu sandomierskiemu i podczaszemu chełmskiemu.

Przez pewien czas mniemano, że przez Przyłęckiego odkryty został nowy, nieznan do tej pory z żadnego utworu poeta XVII-go wieku.

Mniemanie to zbił po dwóch dopiero latach na łamach »Dziennika literackiego (nr. 45 i 46 z listopada 1852 r.) Karol Szajnocha, dowiódłszy, że »Wojna chocimska« wyszła z pod pióra Wacława Potockiego, podczaszego krakowskiego, autora wielu dzieł poetycznych, bądź wydanych drukiem, bądź przechowanych w rękopisach.

Twórczość Potockiego stanęła od tej chwili w nowym świetle. Zaczęto ją badać i oceniać pod kątem tego niepowszedniego talentu, jaki bił z kart »Wojny chocimskiej«.

Ustalona sława Samuela ze Skrzypny Twardowskiego i innych »pisyrmów« tego samego czasokresu zaczęła mierzchnąć. Przyćmiewał ich wszystkich Wacław Potocki. Jemu też oddała historia literatury berło poezji XVII-go wieku, uznając bogatą i wielostronną jego

twórczość za najlepsze źródło do poznania charakteru i nastroju epoki, którą przedstawiał.

Był Wacław Potocki, jak wszyscy niemal poeci tego czasu, szlachcicem-ziemianinem.

Pochodził ze średnio zamożnej rodziny, pleczętującej się herbem Śreniawa, a więc nie mającej nic wspólnego z wielkim domem Potockich-Pillawitów.

Przyszedł na świat w r. 1625-tym w Woli Łużeńskiej, w pow. bieckim ziemi krakowskiej, z ojca Adama, wyznania arjańskiego, i Zofji z Przypkowskich.

Gdzie pobierał nauki, napewno niewiadomo. Prawdopodobnie, jak przypuszcza prof. Korbut, w szkole arjańskiej, może w Raciborsku pod Krakowem. Uczniem Akademji Krakowskiej nie był, wyższego więc wykształcenia nie otrzymał. Po ukończeniu nauk osiadł na wsi, w Łużnej, i zajął się gospodarstwem. W r. 1648-ym ożenił się z Katarzyną Morsztynówną, arjanką. Miał z nią troje dzieci: dwóch synów i jedną córkę. Z tych dwojga dzieci najstarszy syn, Stefan, objął zawód wojskowy. Ten, wracając z wojny tureckiej, zmarł w 23-lej włośnie życia. W ślad za nim odeszło od ojca i dwoje pozostałych dzieci: córka Zofja, poślubiona Janowi Lipskiemu, staroście czchowskiemu i sandeckiemu, i syn Jerzy, podczaszy krakowski. Nadto śmierć wydarła mu żonę i braci. Poeta pozostał sam:

»Miałem żonę, miał bracią, syny wychowane,  
Nie przestała śmierć rany zadawać na ranę,  
Ażem sam jeden został, otoczony żalem...

Osamotniony, pocieszał się pisanem wierszy. Dożył sędziwego wieku.

»W ostatnich latach panowania króla Jana III-go — opowiada Szajnocha (»Szkice historyczne«, tom I, str. 247) — w porze coraz widocześniejszego upadku kraju, żył na Podgórzu, w okolicy Biecza, we wsi Łużna, przeszło

siedemdziesięcioletni staruszek, jedna z najcharakterystyczniejszych postaci swojego czasu. Sąsiedzi czcili w nim prawego, cnotami i nauką zasłużonego obywatela; natura stworzyła go poetą, obdarzonym do najpóźniejszych lat rzadką władzą wyobraźni, a zwłaszcza wymowy poetycznej; długie życie otoczyło go nakoniec zupełną samotnością. Odumarły go z kolei dzieci, żona, znajomi. Osierocony starzec pozostał sam jeden z swoim smutkiem domowym, z widokiem coraz posępniejszego stanu narodu i spraw publicznych, z darem głośnego wynurzenia swoich z tej obojej przyczyny żalów i skarg. Stąd, zajęty ustawicznie pracami poetycznymi, uniesiony właściwym staremu wiekowi duchem zręczności, wylewał na papier obfite strumienie swego rodzinnego i patriotycznego lamentu.

Umarł prawdopodobnie w r. 1696-tym.

Ten to »starzec samotny« był największym poetą XVII-go wieku.

Życie jego, odkąd mógł czuć i pojmować — mówi prof. Bełcikowski — przypadło na czasy Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III-go, to znaczy na czasy pełne nieszczęść i przemian politycznych, ścierania się sprzecznych żywiołów i uderzających nieraz boleśnie serce i wyobraźnię wydarzeń. Ale ciemny ten obraz ma jedną stronę jaśniejszą, która uwalnia tę epokę od zarzutu zupełnego upadku moralnego i politycznego.

Niebezpieczeństwo, grożące ze strony Turcji, utrzymuje w narodzie iskrę szlachetnego poczucia o swem stanowisku w Europie, zapasy z islamizmem rozbudzają w nim ducha bohaterstwa i rycerskiej dzielności. Nigdy więcej, jak w tym właśnie czasie, nie była Rzplita przejęta przeświadczeniem, że jest przedmurzem chrześcijaństwa, że jej obowiązkiem walczyć w obronie krzyża i ewangelji. Głęboka wiara i religijność, wrodzona od początku narodowi, pod wpływem tej myśli potężnieje na polu czynów i nabiera majestatycznej wielkości.

Taki widok roztaczał się przed oczyma Wacława Potockiego.

Jako syn swego wieku musiał on jednakowoż patrzeć nań nie z bezwzględnego stanowiska, jakie w stosunku do przeszłości mogą zająć późniejsze czasy, ale z punktu widzenia pewnego stronnictwa lub stanu. Dlatego też wzrok naszego poety nie sięga poza horyzont szlachecki, i głos jego, ilekroć sądził swe czasy i wypadki, jest prawie zawsze wyrazem uczuć i myśli jego stanu. Ale ponieważ głosem tym odzywa się człowiek, stojący zdala od politycznych zatargów, niewmieszany w osobiste interesy i obcy namiętnościom, przeto jest to zarazem głos szlachetności i rozumu. Ze wszystkich jednak idei, poruszających tą epoką, jedna szczególniej przyłgnęła do jego serca: w Potockim najwyraźniej uwydatnił się i w nim znalazł najgodniejszego głosiciela ów duch rycersko-religijny, zrodzony przez walki z półksiężycem.

Autor »Wojny chocimskiej«, jak zgodnie stwierdzają ostatnie badania, zaczął pisać znacznie wcześniej, niż to dawniej przypuszczano.

Na lata 1648 — 1655 przypadają jego utwory młodzieńcze, niewielkiej zresztą dla historii literatury wartości. Należą tu: »Pojedynek rycerza chrześcijańskiego«, »Rozkosz światowa«, »Rozkosz duchowna«, »Tydzień stworzenia świata«, »Judyta«, »Katalog monarchów i królów polskich«, »Rokosz gliniański« i nieco później powstałe (1655 — 1660) »Pieśni pokutne«.

Wszystkie te utwory poznaliśmy dopiero niedawno dzięki wydanemu w r. 1911-tym przez prof. Brücknera nieocenionemu »Wirydarzowi poetyckiemu« J. T. Trembeckiego. Daleko im do tej wysokości, na której stoi »Wojna chocimska«, świadczą one jednak, że poeta od zarania swojej twórczości miał przedziwną łatwość wiersza.



To pozwoliło mu ważyć się na przedsięwzięcie śmiałe i olbrzymie. Przedsięwzięciem tem był przekład na język polski słynnego romansu Jana Barclay'a, Szkota, p. t. »Argens«.

Imię Barclay'a, znane podówczas na całym świecie, nie było także obce i w Polsce. W innym bowiem swoim romansie p. t. *Satyricon* umieścił Barclay także pogląd na charakter i obyczaje narodów europejskich i tam w rozdziale VIII-ym zdanie swoje o Polsce wypowiedział. Zdanie to nie było dla Polski korzystne i dlatego Łukasz Opaliński, młodszy brat znanego satyryka, Krzysztofa, wystąpił z obroną Polski przeciw niesłusznym zarzutom w piśmie p. t. »Polonia defensa contra Joannem Barclay'um 1648«.

Tem ciekawszą mogła być dla Polaków »Argenida«.

Treść tego ogromnego romansu, najobszerniejszego w naszej literaturze, jest następująca:

Poliarch (streszcza prof. Bełcikowski), nieznany młodzieniec z cudzych krajów, kocha Argenidę, córkę Meleandra, króla sycylijskiego, i doznaje od niej wzajemności, lecz wskutek intryg i oskarżeń Lykogenesa, możnego pana sycylijskiego, musi opuścić Sycylię i udać się na tułactwo. Lykogenes marzy także o pozyskaniu ręki Argenidy i o władnięciu krajem. Podnosi wreszcie jawny bunt przeciw królowi. Archombrot, syn królowej maurytańskiej, który się poznał i zaprzyjaźnił z Pollarchem w czasie jego tułactwa, jako też Radyrobanes, król sardyński, pomagają w tej wojnie Meleandrowi; Lykogenes zostaje zwyciężony i zabity przez Archombrota. Radyrobanes kusi się teraz o rękę Argenidy, a widząc jej niechęć, zamierza podstępem ją porwać. Lecz gdy zamiar jego się wydał, zmuszony jest opuścić Sycylię, a król Meleander przeznacza Argenidzie za męża Archombrota. Tymczasem okazuje się, że tajemniczy Poliarch jest królem Galji. Bawi on w tej porze w Maurytanji, gdzie królo-

wej wielkie oddał usługi, odebrawszy skarby, zabrane jej przez korsarzy, i pokonawszy Radyrobanesa, który szuka pomsty na matce za powodzenie Archombrota. Królowa wzywa syna do Maurytanji, gdzie spotykają się obaj rywale i przyjaciele, Poliarch i Archombrot, a następnie wyprawia ich obu do Sycylji z listami do Meleandra; z listów tych pokazuje się, że Archombrot jest synem Meleandra z pierwszej jego małżonki, a siostry królowej maurytańskiej. Poliarch przeto otrzymuje rękę Argenidy i królestwo.

Napozór wydać się może trudnem do wytłumaczenia zainteresowanie poety i ówczesnego społeczeństwa polskiego tą bajką. W istocie rzecz jest zrozumiała. Urok, jaki miał ten romans w całej Europie cywilizowanej, a więc i w Polsce, polegał na tem, że »Argenida« była wielką alegorją, pod którą Barclay wystawił ówczesne stosunki i osobistości europejskie, a głównie francuskie. Z tego też zapewne powodu przypisał swój utwór Ludwikowi XIII-mu. Główna bohaterka romansu, Argenida, zdaniem krytyków francuskich, ma wyobrażać gasnący ze śmiercią Henryka III-go ród Walezjuszów (i dla Polski nieobojętny) albo też regencję, o którą wówczas kilka stronnictw walczyło. Prześladowany zaś od losu, a wkońcu szczęśliwy kochanek Argenidy — to król Nawarry, późniejszy Henryk IV-ty.

Stosownie do tego autor zamieścił tu wiele ustępów, poświęconych rozmaitym kwestjom politycznym.

Potocki — zaznacza Bełcikowski — tłumacząc podobne miejsca, przenosił się duchem do Polski, i chociaż trzymał się wogóle danej myśli, to jednak nadawał jej barwę swojską i przekształcał odpowiednio do krajowych stosunków tak dalece, że używał wyrażień, które tylko polskim mogą odpowiadać instytucjom, podczas gdy w oryginale łacińskim wypowiedziane są one z niejakim naśladowaniem kolorytu starożytności. Stąd dziwnie wy-

glądają podobne ustępy przy całości, owianej duchem klasycyzmu, a w ustach tych Archombrotów i Meleandrow uderzająco brzmią wyrazy: sejmik, szlachta, elekcja i t. p. Ale taki był przyjęty u nas sposób tłumaczenia. Wszystko, co się publicznych spraw dotyczyło, musiało być zupełnie spolszczone, pociągnięte swoim kolorytem, bo i pisarz i czytelnik przejęci byli nawskroś życiem politycznym i w niem największy interes znajdowali.

W ten sposób miał Potocki sposobność wypowiedzenia w »Argenldzie« swego zdania o stanie i rządzie Rzplitej. Jak wszyscy prawie nasi pisarze, ludzie dalej i jaśniej widzący niż ogół, ganił on te instytucje, które, wychodząc z nazbyt idealnego pojęcia o szlachetności i poświęceniu pojedynczych jednostek, wyrodziły się w ciągu wieków i stały przyczyną rozprzężenia. Pragnął on ograniczyć gminowładztwo szlacheckie, nie dać się rozwinąć oligarchji, podnoszącej wówczas głowę, a wzmoćnić i rozszerzyć władzę królewską i w tym celu, zaniechawszy elekcji, zaprowadzić tron dziedziczny. Oto jeden z tych ustępów (część I, rozdz. 15-ty), gdzie goście przy stole króla Meleandra toczą rozprawę o tem jaka jest najlepsza forma rządu:

»Wiem ja, wiem te narody i co się w nich dzieje:  
Ślicznie kwitną, niestety! bo już są na schyłku,  
Prawda, kwitnęły przedtem, teraz już posilku,  
Albo, że prościej rzekę, żądały zadatku  
Na swoją elekcyję, do tego upadku  
Tamto przyszło królestwo a nie znajdziesz iny  
Oprócz tej elekcyj cudownej przyczyny.  
Wiem, póki dawnych państwo ojcowiców plemię  
Choć obrane rządziło, syn wstępował w strzemię  
Rodzicielskie: i przyznam, że ptak białopióry  
Całego prawie śwłata prznosił Arktury.

Zbytki wprzód, ambicyja do tego obrzydła  
Wypierzywać oboje poczęła mu skrzydła.  
Nakoniec, co to kładziesz między Ich ozdoby,  
Śmierć Im pewną gotuje i otwiera groby.  
Bo tam, jako się skoro król z światem pożegna,  
Otwierają swej woli wrota Interregna,  
Gdzie kto duższy, ten lepszy: nuż kaptury owe,  
I dotąd stoją one kaptury bezgłowe,  
Aż przyjdzie elekcyja, kędy hurmem bieżą  
Konkurenci i w sztuki koronę porzeżą.  
Jednych obletnicami, drugich gotowizną  
Korumpują, a trzeci ledwie kość oblizną,  
Ledwie ją na bankiecie winem spłócze mocnem,  
Aż swym głosem każdemu winien być pomocnym,  
Aż się każdy o kreskę byle z obcym zgodzi,  
Bowlem mu się swojego i wspomnieć nie godzi...

Pominąwszy te »pociągania swojskim kolorytem«, naogół w tłumaczeniu swoim trzyma się Potocki wiernie oryginału, odstępując od niego tylko o tyle, o ile wymagał tego wiersz, zawsze od zwęższej prozy łacińskiej Barclay'a rozciąglejszy i wielomówniejszy. Przybyć więc musiały naturalnie ozdoby i porównania poetyczne, które ubarwiły opowiadanie, dając jednocześnie poecie możność malowniczego wypowiedzenia się w języku ojczystym.

Język ten pod piórem Potockiego osiąga wielką gładkość. Stwierdza to pierwszy lepszy przykład. Oto Argenis, dowiedziawszy się o mniemanej śmierci Poliarcha tak się odzywa do swojej ochmistrzyni, Selenissy (cz. rozdz. 7-my):

»Tedy mi umrzeć bronisz i zagość razem  
Rany, co samem może zleczyć się żelazem?  
Nicujesz słowa swoje, chcąc mię wędzić żywo.  
Mocneż to, Selenisso, miłości ogniwo!

Tem serce zachelznane, a prawdziwem rzekła,  
Nie na ostre żelazo, lecz pójdzie do piekła.  
Płotun żyć, cukler umrzeć, gdzie ten los dosięże  
I z miłym przyjacielem na świecie rozprzęże...  
To rzekłszy, ścięła zęby i sama się razem  
I rękę opuściła ku ziemi z żelazem«...

Albo:

»Kiedy po długim deszczu i sprzykrzonej słońce  
Rozpostrze na niebieskim słońce kołowrocie  
Grzywy swoje promienne — trawy, kwiaty, listy  
W rozmaitych farb barwy i kolor złocisty  
Maluje; tak Argenis kropłom lez perłowym  
Siła ozdoby dała śmiechem choć jałowym.  
Śmiech był, lecz w uściach tylko — bo serce i oczy  
Od śmiechu i od wszego pocieszenia boczy.«

»Argenida«, trzymana przez tłumacza w ukryciu  
i znana tylko przyjaciołom, odwiedzającym go w Łużnej  
wyszła z druku dopiero w r. 1697-ym w Warszawie, na-  
kładem oo. pijarów, którzy zaznaczyli w przedmowie, iż  
utwór ten przeszło 18 lat przeleżał w rękopisie i teraz  
dopiero »dla sławy narodu« zostaje wydany... »My — pisać  
wydawcy — nie chcąc tłumić tak zacnego wierszopłsa  
i chwalebne zewsząd, bo prawdziwie heroicum car-  
men zagubić, wiekopomnej sławie i imieniu polskiemu  
ofiarujemy.«

Drugim utworem Potockiego o nieco zbliżonym do  
»Argenidy« charakterze jest »Syloret albo prawdziwy  
obraz nieosłabionego najdotkliwszemi przeciwnościami  
męstwa i uszczęśliwionej w poddaniu się wyrokom Bo-  
skim ufności«, napisany, jak widać, z dedykacją p. t. »Po-  
święcenie mojej wielce i jedynie kochanej synowej, Jej-  
mości pani Aleksandrze ze Stopina Potockiej, podczaszy-  
nie krakowskiej, przy posłanym Sylor e c i e« — po śmierci  
syna Jerzego. Równie dobrze jednak przypuszczać można,

że tylko dedykacja powstała wówczas, sam zaś utwór należy do wcześniejszych. I to jest prawdopodobniejsze.

»Syloret« jest romanssem, pełnym najrozmaitszych przygód, jakich doznają trzy po sobie następujące pokolenia. Bohater romansu w podeszłym już wieku żeni się z młodą Arsina. Ta kocha się w swoim pasierbie Daulecie (streszczenie prof. Bełcikowskiego) i kiedy mąż za sprawami kraju oddala się z Rodus, wyjawia Dauletowi swoją miłość. Daulet postępuje z macochą w podobny sposób, jak Hipolit z Fedrą. Zemstą zapalona Arsina zamierza go otruć, lecz kiedy Daulet dla spokojności domowej nagle opuszcza ojczyznę, syn własny Arsiny, Xifil, truje się przygotowaną trucizną. Arsina zabija się wówczas z rozpacz i wstydu. Na to powraca do domu Syloret, a poznawszy całą rzecz, udaje się w świat na odzyskanie Dauleta. Tymczasem Xifil, ponieważ lekarz nie trucizny, lecz opjum matce jego udzielił, przebudza się ze snu. Długo nie wie on, gdzie się brat i ojciec podzlewają. Doszedłszy więc do lat dwudziestu, puszcza się w podróż, aby ich wynaleźć. W czasie swej wędrówki otrzymuje w nagrodę za męstwo rękę królowy Teolindy i jej królestwo.

Wkrótce jednak nieprzyjaciele zmuszają go do ucieczki z państwa. Ścigany, na prośby Teolindy, która obawia się dostać w ręce wrogów, zabija ją i rzuca w rzekę. Ale rana królowej była słabą; wyratowana z wody, powraca na tron i rządzi w imieniu swego małoletniego syna, Eumenesa. Tymczasem Xifil, po rozłączeniu się z żoną, dostaje się do króla egipskiego Psamenita i do wysokiej dochodził godności. Podobnego losu doznał i Daulet, który po długim tułactwie i wędrówkach, w czasie których poznał w Taurydzie i uwłóził stamtąd siostrę Fascelinę, przybywa do Persji. Tam u Astjagesa, Cyrusa i Kambyzesa w wielkich zostaje łaskach. Z Kambyzesem udaje się do Egiptu, gdzie spotyka się niespodziewanie

z bratem Xifilem. Po śmierci Kambyzesa jeden zostaje królem armeńskim, a drugi egipskim i obaj idą następnie w świat szukać ojca, którego rzeczywiście odnajdują w Chaonji. Czynią później wyprawę na Pergam, lecz przed starciem się wojsk Xifil poznaje, że jego żona, Teolinda, którą miał za zabitą, panuje w tem mieście. Tak, pełni radości, wszyscy się nakoniec znajdują. Odtąd większą część romansu zajmuje historia Eumenesa, syna Xifila i Teolindy. Kocha on Merope, którą ujrzał raz w Efezie, rodzice zaś pragną go ożenić z Astymoną. Szczęśliwym jednak wypadkiem dowiaduje się, że obie są tą samą osobą. Astymona przybywa już do Pergamu, lecz w drodze napada ją Atys, król Lichji. Aby ująć jego niewoli, nieszczęśliwa dziewica rzuca się do morza. Wtedy rodzice nakłaniają Eumenesa do ożenienia się z Ancestrą, królewną Palmiry, gdzie znów znajduje rywali w Atysie i Teukrze. Rzecz jednak załatwia się z ogólnem zadowoleniem, bo Eumenes znalazł na dworze palmirskim swoją Astymonę, którą był Delfin z morza wyratował. Z nią się więc żeni. Atys tymczasem dostaje Ancestrę, a Teuker inną dziewczicę za małżonkę.

W ten sposób wszystko dobrze się kończy.

Jakie są źródła tej bogatej w przypadki historii romantycznej tyłu serc, dotychczas dobrze nie wiemy. Autor mówi nam tylko ogólnikowo o tem, że obraz jego »z starodawnej historii, z różnych greckich i łacińskich pisarzy wyjęty i odmalowany« został, a przez »W. Potockiego w rymie polskim żywszemi kolorami wzmocniony«. Nic ponad to. Dopiero prof. Edwardowi Porębowiczowi zawdzięczamy stwierdzenie, że pierwszy epizod »Syloreta« (historja pasierba Dauleta, kuszonego od macochy Arsiny) wzięty jest z *Metamorfoz* Apulejusza, z tą jedynie zmianą, że bezimiennie greckie figury noszą u Potockiego imiona.

Oczywiście, podobnie jest i z innymi epizodami. Mniej nas to jednak obchodzić powinno, skąd brał poeta bajkę, więcej natomiast jak ją »wzmocniał w rymie polskim żywymi kolorami«, tu bowiem ujawnia się indywidualność i talent poety.

Forma »Syloreta«, podobnie jak forma »Argenidy«, świadczy o niepospolitej łatwości, z jaką Potocki władał trudną stancą ośmiowierszową. Nie brak tu ustępów, pisanych z prawdziwym polotem poetyckim i pełnych napięcia dramatycznego.

Oto np. jak Teolinda w czasie pogoni nieprzyjacielskiej błaga Xifila o śmierć z jego ręki, aby się nie dostać do niewoli:

»Kędy Araxes twarde brzegi łomie,  
Stanąwszy rzecze: drogi przyjacielu,  
Gdy nam tak grzeszy fortuna widomie,  
Nie masz, prócz śmierci, na jej złość fortelu,  
Wolę tu umrzeć, niżli żyć we sromie;  
Kto życiem gardzi, nie trzeba słów wielu,  
Pieści się z ciałem przez to umysł miękki —  
Mam umierać, niech z twej umieram ręki.

Ta woda grobem, te mi gwiazdy świece  
Będą, miłości przeciw tobie świadki:  
Tak ciała w ziemi gnić jako i na rzecze.  
Nie mogłeś ze mnie mieć synowy matki,  
Puśćmy do końca zlej fortunie lece:  
Tu zabiwszy, zrzuć żony swej ostatki,  
Dobytaj miecza i utop w jej sercu,  
Któryś niedawno przysiągł na kobiercu...

Krew moja, która na mieczu zostanie,  
Skoro, zabiwszy, w rzecze mnie utopisz,  
Uczynić w sercu niezapominanie.  
Nie samą tylko swoją broń nią skropisz:



Drukuj na sercu moje nią kochanie,  
I ze łzami ją pomieszawszy, to pisz:  
Może być piękna (inna) i mieć siła złota,  
W miłości nigdy nie będzie jako ta.

A Xifil:

»To rzekłszy, tnie ją. Lecz raz drżącej ręki  
Ledwie że zwierzchniej kęs uszkodził skóry;  
Siła mu miłość, siła zawój miękki  
Ujął pochopu, choć miecz spadał z góry.  
I pchnąwszy z konia zemdlałą przez łąki,  
Sunie, jako ptak, uniesiony pióry,  
Że choć po płasku, nie znać konia w biegu,  
Araxowego trzymając się brzegu.  
Ledwie mu przyszło miecz do pochw schować,  
Nie obejrzy się, choćby szło o gardło,  
Nie zwykło bowiem serce tak żałować,  
Co szczęście oczom bolesnym wydarło.  
Zapomniał konia cugłami kierować,  
Zda mu się, że go w miejscu coś przywarło,  
I że na miejscu stol jako wryty,  
Choćż koń piasku nie tyka kopyty.

Z przytoczonych urywków widać, jak potoczysty i jak dojrzały jest wiersz Potockiego. Niestety, wobec znacznych rozmiarów utworu (17.000 wierszy) nuży on mimo swoich niewątpliwych zalet i czytelnikowi dzisiejszemu zabawy zgotować nie może.

Nie zgotował jej atoli także i współczesnym, los bowiem chciał, żeby »Syloret« prawie stulecie czekał na światło dzienne, gdyż, napisany około r. 1690-go, wyszedł z druku dopiero w r. 1764-ym w chwili, kiedy w Polsce rozpoczynała się już nowa era, to zn. kiedy po rozkładzie czasów saskich wstawał różowy świt »wieku oświecenia«. Nie spełnił więc poemat Potockiego swej roli, pozostał tylko dokumentem, świadczącym od strony autora o upodoba-

niach literackich, jakie miało w XVII-tym wieku społeczeństwo polskie, głodne romantycznej bajki.

Romanse tego rodzaju cieszyły się wówczas poczytnością w całym świecie zachodnim. Wprowadzały one przez literaturę do życia nowe, nieznane przedtem pojęcia.

Pomiędzy temi pojęciami naczelne miejsce zajmowała miłość. Dzieje serca ludzkiego i jego namiętności zaczynały interesować coraz żywiej. Kobieta stawała zwolna na piedestale, który miał dla niej dźwignąć wiek XVIII-ty, wiek niezaprzeczonego jej królestwa.

Prądy te przenikały także i do Polski.

»Na kartach poezji z wieków zygmunto-wskich — mówi prof. Bełcikowski — napełnionych szczękiem oręża, gwarem sejmów i sejmików, nabożnym głosem psalmów, kobieta podrzędne tylko zajmowała stanowisko. Teraz, ze zmianą wyobrażeń społecznych i idąc za przykładem włoskich i francuskich pisarzy, zaczęli także i nasi poświęcać więcej uwagi kobiecie i wysławiać ją w swych utworach. Miłość i kobieta zrobiły w XVII-tym wieku wyłom w naszej literaturze i szybko zajęły w niej miejsce, jakie już posiadały w literaturach zagranicznych. Poeci nasi zaczynają kreślić wdzięki kobiece, odkrywając w nich nowe piękno dla swojej wyobraźni — i to w duchu swego czasu — zaczynają także wnikać w głębię serca i badać tajemnice niewieściego charakteru, robiąc często spostrzeżenia właściwe tym, którzy przez dłuższy czas żyli w świecie miłości, zachwytów i rozczarowania.

To wszystko nie było obce i Potockiemu. Naturę kobiety znał on dobrze i wszechstronnie, o czym świadczy złośliwa, ale trafna charakterystyka pici nadobnej, włożona w usta Dauletowi, który waha się z wyborem małżonki, gdyż wie, że:

»Bogata zwykle męża lekceważy;  
Uboga będzie na rodzinę kradła;  
Nadobnej zawsze trzeba chować straży;  
Szpetna, jakby też kto liznął kowadła,  
Ledaczego się młodej zabaży<sup>1)</sup>,  
A stare wadzą podejrzeniem stadła,  
Przykre z nią życie, niemiła swoboda,  
Prawie codzienna kłótnia, rzadka zgoda.

Wysokiej siła wychodzi na bramy;  
Mała do złości skłonna i do plotek;  
Dworka, nie tylko stroje, figle, kramy;  
Domowa trusia, jako morski kotek,  
Choć się na strojach francuskich nie znamy,  
Nakładzie na się pstrocin i błyskotek,  
Jeśli się kiedy dowie o blesledzie,  
Choć nieproszona, wpół baranczu<sup>2)</sup> jedzie«.

Do »romansów« Potockiego należy jeszcze »Historja o Wirginiej pannie« albo, jak w innych rękopisach brzmią tytuły: »Smutna przygoda i śmierć żalosa nadobnej Wirginiej, dziewicy rzymskiej« lub prościej »Smutna przygoda Wirginiej, dziewicy rzymskiej«.

Utwór ten prawdopodobnie napisany został między r. 1673-im a 1680-tym i znów jak »Syloret« 100 lat w rękopisie przeleżał, drukowany był bowiem dopiero w r. 1777-ym w »Zabawach przyjemnych i pożytecznych«.

Treść do tego poematu — wyjaśnia prof. Pilat — wzięła Potocki ze znanego opowiadania Lwjuusza, którego trzyma się wiernie w ogólnym toku powieści, rozszerza jednak przedmiot mnóstwem uwag i dodatków, mających na celu moralizowanie. Że poecie nie chodziło o opowiadanie, ale głównie o moralizowanie, to widać najlepiej z obszernego wstępu, gdzie w sposób chaotyczny

1) zabaży = zażąda, zachce, zamarzy.

2) baranczy = barani.

i rozwlekły autor usiłuje dowieść i ustalić, że przyczyną nieszczęść na świecie jest kobieta, która »psikus i złość« wyrządza. Dowodzenie to, bardzo zresztą powierzchowne, popierają liczne przykłady, zaczerpnięte z dziejów.

Moralizatorstwo jednak nie tylko jest cechą wstępu. Przesyca ono również i cały poemat, w którego strofach autor w mniej lub więcej dosadny sposób plętnuje plotkarstwo kobiet, ich dewocję i inne przywary.

Pozatem pełno tu tych samych co w »Argenldzie« i »Sylorecie« pomieszanych pojęć: świat pogański łączy się w jedno ze światem chrześcijańskim i szlachecko-polskim. Są np. w poemacie wzmianki o klasztorach i kaznodziejach w Rzymie, ale ci Rzymianie są nieodrodnymi szlachcicami polskimi z wieku XVII-go. Wodzowie są hetmanami, a nawet czasem wojewodami. Wojsko pod wpływem opowiadań Wirginjusza porzuca »hetmańskie buławy«, senat zbiera się w »kościelce«, a patrycjuszki prawią w mowach swoich o różnicy między »karmazynami« a »mieszczanami«. O Icylim, narzeczonym Wirginji, gdy miał być bity przez liktorów, mówi Potocki, że był »blisko kobierca«, ni by wyrostek szlachecki. Appjusza wsadzają do »turmy«, a co najoryginalniejsza, że lud rzymski, oburzony samowolą Appjusza, woła: »Tedy już w mieście gorzej byłem żyli, niż na Krępaku albo na Bieszczadzie«.

Ostatnim tego rodzaju utworem Potockiego jest »Historja równej odwagi ale różnej fortuny dwu pięknych Tressy i Gazele w Holandji panien«, dotychczas niewydana, a znana jedynie z rękopisu, znajdującego się w Petersburgu. Rękopis ten pochodzi z biblioteki Załuskich. Czytał go i częściowo zużytkował w pracy swej p. t.: »Puścizna rękopiśmienna po W. Potockim« profesor Brückner.

Gdyby Potocki tylko był te romanse pisał, to, pomimo ich zalet, nie byłby poetą godnym pamięci potom-

nych. Zbyt to już dla nas trywjalne i zbyt pełne barokowej przesady w obrazowaniu.

Ale to jest zaledwie nikła część ogromnej twórczości tego osobliwego poety, który, mało znany współczesnym, zaćmiewa dziś wszystkich niemal pisarzy swego wieku.

Ten swój triumf zagrobowy, to swoje na niezwykłą miarę zwycięstwo zawdzięcza Potocki »Wojnie chocimskiej«.

Właściwy tytuł tego eposu rycerskiego brzmi:

»Transakcyja wojny chocimskiej, gdzie Osman, cesarz turecki, wszystkie państw swoich z Afryki, z Azji i z Europy na Polaki zgromadziwszy siły, za łaską Najwyższego Pana roztropnością czułych i opatrznych wodzów a dzielnością rycerstwa polskiego spadł z imprezy swojej i straciwszy sto tysięcy ludzi, część w polu, część do naszych szturmując, część własnych broniąc obozów: starego z Koroną polską potwierdziwszy przymierza, i *inglorius* wrócił do Konstantynopola. Roku zbawiennego 1621 stanąwszy pod Chocimem dnia trzeciego Septembra, odszedł dnia dziesiątego Octobra. Z różnych jako manuskryptów i dyaryuszów tak z relacyi ludzi starych, którzy tam byli *praesentes* zebrane, ale osobliwie z tradycyi JW. JM. Pana Jakóba Sobieskiego, od stanu rycerskiego w tej ekspedycyi komisarza, a potem kanclerza krakowskiego z łacińskiego na polskie dostatecznie dla nieśmiertelnej narodu polskiego sławy wierszem przetłómaczone. Roku Pańskiego 1670. Dnia Decembra ostatniego«.

Jak sam poeta przyznaje, »Wojna chocimska« oparta jest głównie na pamiętniku Jakóba Sobieskiego, który był wyznaczonym przez Sejm komisarzem wojny chocimskiej. Pamiętnik p. t. »*Commentariorum Chotimensis belli libri tres*« uzupełniły inne jeszcze źródła, a więc, jak sam poeta zaznacza: manuskrypty, diariusze i relacje ludzi starych, uczestników tej wojny.

Wiedząc to od samego autora, nietrudno już wyobrazić sobie proces powstawania poematu.

W zacisznym dworze wiejskim, w czasie długich zimowych miesięcy, osamotniony i bolejący nad zgonem dzieci ojciec szukał ucieczki w poezji. Z komentarzami Sobieskiego w rękę przetwarzał na wiersz lapidarną prozę łacińską oryginału. Nagle zadzwęczały za oknami janczary, zaskrzyptały płozy sań na śniegu i okutany w tołuby zjawiał się sąsiad. Rozpoczynała się gawęda przy kominku, na którym płonęły smolne szczapy sosnowe. Rozkoszne ciepło rozgrzewało gospodarza i jego gości, a węgrzyn, toczony z beczułki, stojącej w kącie na lewarach, rozwłazywał języki. Poeta w toku rozmowy napomknął o swojej pracy. Może przeczytał jeden lub drugi ustęp swojej transkrypcji. Rzecz poszła o wojnie chocimskiej. Okazało się, iż gość był jej uczestnikiem. Zagrały w nim dawne wspomnienia. Przypomniała się młodość. A że każdy szlachcic był przednim narratorem i opowiadać lubił, przeto, gdy go chętnie słuchano, prawił szeroko i długo, stając się mimowiednym współtwórcą poematu, z jego to bowiem opowiadań powstawały potem te żywe, jakby na bezpośrednich przeżyciach oparte sceny obozowe i obrazy bitew, prawdą tryskające. Tak wzbogacała się pleśń za pleśnią, tak przybywało szczegółów, a »Wojna« oddalała się od swego prozaicznego pierwowzoru i nabierała cech już nie »przeróbki«, ale pod twórczem poczętego tchnieniem poematu.

Przypatrzmy się poematowi temu bliżej.

Już sam temat — mówi prof. Pilat — był znakomicie obrany i świadczy o zmyśle poetyckim Potockiego i wyższości jego pod tym względem nad poprzednikiem, Twardowskim.

Wyprawa chocimska z roku 1621-go była jednym z tych wypadków dziejowych, około których obracała się

przyszłość narodu polskiego. Nie chodziło tu o zdobycie lub odebranie jakiegoś terytorjum, o zmianę drobną w stosunkach międzynarodowych Polski i Turcji, ale o to, czy Rzeczpospolita pozostanie niepodległą i chrześcijańską, czy też przejdzie pod jarzmo tureckie. Osman bowiem wpadł do Polski z olbrzymią siłą 300.000 wojska z zamiarem jej zniszczenia; przeciw najezdnikom wysłała Rzeczpospolita 65.000 Polaków i Zaporozców, pod dowództwem Chodkiewicza. Pomimo tego, męstwo rycerstwa polskiego ocaliło Rzeczpospolitą od jarzma, a zarazem uchroniło Europę od najazdu tureckiego.

Przedmiot tak obszernej doniosłości, tak ściśle związany z życiem i losami narodu, będący nawet faktem światowego znaczenia, nadawał się rzeczywiście do epicznego poematu wielkich rozmiarów, a chociaż nie odnosił się do odległej przeszłości, to jednak, jako oddzielony przestrzenią półwieku i różnymi zmianami w stosunkach politycznych i społecznych Rzeczypospolitej mógł być wzięty za temat do artystycznej kompozycji.

Tak też Potocki uczynił. Zmysł poetycki poprowadził go dobrze.

Wybór był trafny. I gdyby poeta umiał wyłamać się z pod władzy wyobrażeń współczesnych o celu i zadaniu epoki historycznej, kto wie, czy nie byłby stworzył arcydzieła. Ale, niestety, pozostał on w niewoli swojej epoki.

I on więc nie zna różnicy między historją a poezją. Historia zabija w »Wojnie chocimskiej« każdy śmielszy polot wyobraźni. Trzymanie się rzeczywistości, to znaczy w danym przypadku źródła, jakim był pamiętnik Sobieskiego, uniemożliwia poecie kompozycję artystyczną na własną rękę, nakłada na nie-

go kajdany, które ściągają go ciągle ku ziemi, ilekroć podniesie się wyżej.

Stąd — tłumaczy prof. Pilat — w poemacie Potockiego, podobnie jak w »Wojnie Domowej« Twardowskiego, niema żadnej całości, niema fabuły, jest to jakby wyrwany epizod historii, podany in crudo, bez powiązania szczegółów w całość, bez zaokrąglenia, bez końca, bez tych wszystkich warunków, jakich wymaga dzieło sztuki. Autor, podobnie jak Twardowski, sam czuje, że gubi się w szczegółach, idąc za rzeczywistością, to też co chwila nawołuje siebie do utrzymania związku myśli (»wróćmy się do rzeczy«, »gdzież mnie to pióro rozpedzone zniosło«, »ale ja się do rzeczy wracam przedsięwziętej« i t. d.), ale mimo to błąka się coraz dalej w tej gmatwaninie wypadków, jakby w jakim labryncie, nie umiejąc się z niego wydobyć.

A jednak wartość »Wojny chocimskiej« jest niewątpliwa i duża. Polega ona na dwóch rzeczach: naprzód na wysokim nastroju poetyckim, który przenika cały poemat i stawia go przed wszystkie utwory współczesne, będące przeważnie tylko rymowaną prozą, po wtóre — na niezwyklej i niespotykanej w tej mierze u innych poetów tego okresu zdolności plastycznego przedstawienia rzeczy.

Na wysoki nastrój poetycki u Potockiego — mówi Pilat — złożyły się dwa pierwiastki: gorący patryjotyzm i głęboka religijność. Oba te pierwiastki, ściśle z sobą związane, były wynikiem współczesnych stosunków. Ustawiczne wojny z Kozakami, Tatarami, Turkami, Moskwą i Szwedami obudziły ducha rycerskiego w narodzie polskim, poczucie obowiązków względem ojczyzny, a rozmaite klęski i nieszczęścia, które wśród tych wojen spadały na naród, doprowadziły do przekonania, że walki te w znacznej części prowadzone były dla obrony chrześcijaństwa, co znów spotęgowało żarliwość religijną i pod-



nosiło ją do wysokiego stopnia. U Potockiego oba te pierwiastki występują w jak najszlachetniejszej formie.

Chciałby on w narodzie wskrzesić bohaterstwo dawnych, piastowskich czasów, odrodzić współczesne pokolenie, ulegające zepsuciu, usunąć zakorzenioną zniechęcałość, bezczynność, małoduszność, zbytki, zamiłowanie do cudzoziemszczyzny i wrócić do dawnej prostoty i czystości obyczajów:

»Niech Muzy moje pieją, oby takie pieśni  
Potomków ich ruszyły ze snu, z drzemu, z pieśni...«

Tak mógł wołać tylko poeta-obywatel, któremu głęboko na sercu leżało odrodzenie własnego narodu i który chciał go nie tylko »uszcześliwić«, ale i »cały świat nim zadziwić«.

Stawiając szlachcie za wzór rycerstwo, walczące pod Chocimem, Potocki powiada, że »każda pierś rycerska« była tam dla wroga »fortecą«, do której trzeba było »dział burzących«.

»Takie przedtem rodziła Sarmacyja syny«:  
»Rzekłbyś, że to ci wstali z Bolesławem z trumny,  
Co żelazne po końcach ojczyzny kolumny  
Stawiali, kiedy na wschód padł Rusin p r e m u d r y,  
Na zachód pyszny Niemiec krwią zaszargał pludry«.

Potocki jest również żarliwym katolikiem, choć niedawno dopiero nawróconym. Był, jak wiemy, arjaninem. Dopiero pod grozą edyktu z r. 1658-go przeciw arjanom przyjął katolicyzm. Raz jednak zdecydowawszy się na ten krok, pozostał już wiernym synem Kościoła.

Podobnie jak współczesna mu powszechność, wierzył głęboko, że wszystkie nieszczęścia i klęski, spadające na państwo i naród, są karą za grzechy. Nie wątpił jednak o miłosierdziu boskiem.

Ufał, że Opatrzność czuwa nad narodem i że Bóg sprawiedliwy nagrodzi go za trudy i cierpienia.

Pod wpływem tych poglądów politycznych i religijnych — słusznie zauważa prof. Pilat — co chwila przemienia się Potocki z historyka, opisującego suche zdarczenia, w poetę-proroka, wieszczą, wskazującego narodowi drogę na przyszłość, dającego mu rady i przestrogi — i właśnie co do tego wysokiego nastroju wybija się nie tylko ponad współczesnych panegryistów, ale nawet nad najznacześniejszych poetów. Jeden tylko Kochanowski w Psalmodji stoi na podobnym stanowisku.

Niektóre z tych ustępów, w których, jako wieszcz, odzywa się w imieniu narodu do Boga i błaga o pomoc lub składa mu dzięki, są bardzo piękne.

Pomijamy tu przytoczoną w naszych »Wypisach« prześliczną apostrofę do Boga na wstępie poematu, powołujemy się natomiast na podobną apostrofę końcową, która brzmi:

»Tobie, tobie, Monarcho szerokiego świata,  
Aczci się żadna potkać nie może odplata  
Za twoje dobrodziejstwa, któremi (przez szpary  
Na nasze patrząc grzechy) krom końca, [krom miary  
Swoje raczysz stworzenie; mostem przed bogatym  
Posławszy ciała nasze Twoim majestatem,  
Niesliśmy hołd powinny i wleczone trybuty,  
Pełne usta twej chwały i serce pokuty,  
Tobie w piersiach, podniósłszy tryumfalne palmy,  
Święty pean przez hymny głosimy i psalmy;  
Twoja to Wiktoryja, Twój fest, Twoje dziwy,  
Że Turczyn, który samym strachem końskiej grzywy  
Wielkie kruszył fortece i narody gładził,  
Pierwszy raz, jako kosa o kamień, zawadził

O szczyptę Twoich ludzi, których wzgardził przodem  
I zamierzać nad nimi śmiał zwycięstwo głodem;

Twojej to, Twojej dzieło wszechmogącej ręki,  
Za coć wszyscy pokorne oddajemy dziękę.

Dał w ojczystej swobodzie, w rządzie, w dobrej sile  
Wyżyć tej śmiertelności zamierzone chwile!

Co do zdolności plastycznego przedstawienia rzeczy, na której przedewszystkiem polega epika, to, według prof. Pilata, żaden z poetów tego okresu z Potockim równać się nie może.

W »Wojnie chocimskiej« jest mnóstwo wprost znakomitych opisów bitew, potyczek lub walk na dwójkę, obrazów przygotowań wojennych, obrazów życia szlacheckiego, skreślonych nie tylko z wielką siłą i prawdą, ale z dziwną wyrazistością, nawet drobiazgowością w szczegółach.

W obrazowaniu używa zwykle Potocki porównań, branych z otaczającego świata swojskiego (porównania do psów, chartów, jastrzębi).

Jeżeli to wszystko dodaje poematowi uroku w tym stopniu, iż nawet dzisiejszy wybredny czytelnik niejedną jego strofę odczytać może z prawdziwą rozkoszą, to z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że urok ów często pryska z powodu nadużywanej przez poetę, a właściwej XVII-mu wiekowi, przesadnej retoryczności i namiętności, która przechodzi niekiedy w typowy panegiryzm (ciągłe porównania z Achillesem, Hektorem, Epaminondasem, Scypjonem, Aleksandrem Wielkim i t. d.). Nadto psują wrażenie częste, a nagłe przeskoki z uroczystego, poważnego nastroju do satyry, anegdoty albo

i niesmacznego żartu, zbytńia dosadność i trywjalność barw w opisach, język przepelniony wyrazami obcemi, mało wykwinłny, nieraz prostaczy i gruby, wreszcie rymy niekunsztowne, zaniedbane.

»Mieszanińa ta rozmaitych cech, rysów i stylów w poemacie robi dziwne wrażenie — konkluduje prof. Pilat. — Jest to poemat, który w wielu ustępach ma charakter rycersko-religijnej epepeł, gdzie indziej jest wierszowaną historją, to znów gawędą, satyrą, płaską anegdotą, nareszcie rozprawą moralno-dydaktyczną; obok żywiołu epicznego zawiera wiele liryzmu i, ściśle biorąc, nie odpowiada on żadnej formie poetyckiej.

Że jednak Potocki miał zamiar pisać poemat epiczny na wzór dawniejszych epepeł, dowodzi to, że na początku wspomina Homera, Wergiljusza, a nawet Ronsarda. Wpływu literatury klasycznej na »Wojńie chocimskiej« znać jednak bardzo mało. Aparat mitologiczny, odgrywający główną rolę w epepejach starożyłnych, zastąpił Potocki Bogiem chrześcijańskim; imiona Bellony, Marsa i inne tym podobne są zwykle użyte w charakterze przenośń. Tylko w porównaniach do bohaterów starożyłnych: Achillesa, Hektora, Agamemnona i t. d. widać reminiscencje klasycyzmu. Zato na niektórych opisach, obrazach i porównaniach widoczny jest wpływ »Jerozolimy Wyzwolonej« Tassa, którą Potocki bez wątpienia musiał czytać w przekładzie Piotra Kochanowskiego.

Dla uzupełńienia charakterystyki poematu i poety prof. Pilat dodaje, że w »Wojńie chocimskiej« występuje Potocki jako przeciwnik królów obcego pochodzenia i możnych panów, a główne zasługi przypisuje rycerstwu chocimskiemu, mianowicie małopolskiemu (t. j. swoim współziemłanom).

Zygmuntowi III-mu, »leniwemu jako żółw« — powiada — »psle gony (polowanie) miłsze były niż sława dobra, niż całość korony«; Władysław IV-ty w czasie

wyprawy chocimskiej »w aptecę« (chory), nie w obozie Jan Kazimierz to »ptak obcy rodem«, na którego dworze rej wodzą »metresy, karli, skrzypkowie, pochlebce«. Zato nowoobranego Wiśniowieckiego uważa za przyszłego zbawcę Ojczyzny. »Bóg — pisze — rozegnawszy niemieckie żółwy, francuskie papugi, szwedzkie sępy, gwiazdy swoje (herb Wiśniowieckich) na własnem umieścił niebie«. Panowie i senatorowie żyją w zbytku i w »splendorze«, jeżdżą po »grabstwo« do Wiednia, »golą wasy«, z bohaterów poszli w »gachy«, którym na widok wojny »łydki dygocą, zęby skaczą w gębie«. Charakterystyczną jest rzeczą, że Potocki wielką uczoność i wiedzę uważa za niepotrzebną:

»Szlachcic byle się sprzedać po łacinie nie dał,  
Byle umiał Tacyta zażyć z Cyceronem,  
A Senekł do tego: dosyć jest uczonym«.

Niedość na tem. Poeta z całym przekonaniem, że słuszność jest po jego stronie, wyśmiewa zapatrywanie »mędrków«, że ziemia obraca się około słońca, nie słońce około ziemi (»ziemią, jako pieczenia, obróćą na rożnie«).

Wszystko to obniża wartość poematu i zbliża go, jak trafnie określa prof. Chlebowski, »do pomników poezji ludowej i utworów Reja«. A jednak, pomimo to, »Wojna chocimska« zgodnym głosem wszystkich historyków i krytyków literatury postawiona została na wyżynach poezji polskiej XVII-go wieku.

Czemuż to zawdzięcza?

Oto — mówi prof. Chlebowski — choć idee i uczucia poety nie znajdują odpowiedniej dla siebie formy i przywdzieją niezdarnie skrajane i pozszywane szaty, nie tracą mimo to swej podniosłości i piękności, i choć tłumy przekładać zawsze będą zgrabny i lśniący strój i rozkoszować się jego wdziękami, choćby pod nim znajdował się

bezдушny tylko manekin, to dla głębszych umysłów duchowe piękno stanowić będzie zawsze źródło najwyższej rozkoszy, a żebraczy płaszcz nie zasłoni przed nimi majestatu wielkiej idei. Na tem zasadza się cała piękność »Wojny chocimskiej«. Gorące uczucie i myśli podniosłej nadają samej formie nawet miejscami to uroczystą powagę, to wdzięk ujmujący, to znowu rycerski animusz lub satyryczną werwę. Idea moralnego odrodzenia szlachty przez powrót do pierwotnej prostoty obyczajów piastowskiej epoki, choć błędna, przedstawia przecie bliskie pokrewieństwo z ideą odrodzenia społeczeństwa przez powrót do stanu natury, odgrywającą tak ważną rolę w życiu umysłowem i w literaturze XVIII-go stulecia. Ideał rycerza-obywatela, broniącego krwią własną Ojczyzny i cywilizacji europejskiej przed najazdem dziczy wschodniej, świadczy o podniosłem pojmowaniu narodu, jako całości żywej, mającej swe posłannictwo cywilizacyjne i obowiązaną do jego spełnienia pod groźbą utraty swego znaczenia i bytu. Wreszcie idea Opatrzności, czuwającej nad losem narodów i jednostek, służącej za nieprzeparty puklerz tym, co idą wskazanem przez nią drogami, a karcącej bez miłosierdzia pysznych zbrodniarzy, gwałcicieli prawdy i sprawiedliwości, stanowi u Potockiego kamień węgielny tego poglądu na świat i życie, jego prostej, lecz podniosłej historjo zofji. Cały poemat jest tylko bogatą i różnobarwną ilustracją powyższych idei, przypominającą stosunkiem nieudolnej lub sztywniej formy do wspaniałej treści obrazy religijne natchnionych mistrzów sztuki średniowiecznej.

To podniosłe stanowisko pozwoliło Potockiemu dożyć zarówno nędzę moralną, kryjącą się pod przepychem życia ówczesnych panów, pod butą i hałaśliwym patriotyzmem średniej szlachty, jak i cierpienia milczącego,

choć odzieranego do koszuli niekiedy wieśniaka, umożliwiło pogodzenie żarliwej pobożności z niezależnym a niekorzystnym sądem o współczesnym duchowieństwie i patryjotycznych uczuć z uwielbieniem dla męstwa nieprzyjaciół — Kozaków, od których świeżo tak wiele ucierpiała Rzplta».

Jest to najtrafniejsze w naszej krytyce literackiej ujęcie Potockiego, jako poety, i określenie jego dzieła twórczego. Podobnie, chociaż innymi słowami, mówią prof. Pilat i Bełcikowski.

Pogląd ten uznać też należy za ustalony i obowiązujący. Nic ponadto wlećej o »Wojnie chocimskiej« powiedzieć nie można.

Obok tego utworu stoją dwa jeszcze obszerniejsze »poematy opłisowe« Potockiego, związane blisko z religijnymi i z panegirycznymi nastrojami epoki.

Jeden z nich to »Nowy zaciąg pod chorągiew starą tryumfującego Jezusa, Syna Bożego, nad światem, czartem, śmiercią i piekłem« i t. d. lub też, jak druga część tytułu powiada: »Krzyż albo żalosna historia krwawej męki i niewinnej śmierci Chrystusa Pana«.

»Nowy zaciąg« napisany został w r. 1679-tym, ukończony, jak na tytule wyrażono, dn. 1 sierpnia 1680-go r., a wydany w Warszawie w r. 1698-ym. Prof. Bełcikowski rozróżnia w tym pseudo-epicznym utworze dwie strony. Pierwsza liryczna dydaktyczna wypełniona jest przybierającymi nieraz ton polemiczny rozprawami o dogmatach wiary, pobożnymi apostrofami do chrześcijańskiego czytelnika i nieprzyjacielskimi napadami na Judasza i Żydów, męczących Chrystusa. Wyobrażała poety małą tu odgrywa rolę. Plastycznej wypukłości, jaką zwykle posiada epeja, nie widać w »Nowym zaciągu«. Wszystko tu blade, nieruchome i niedołężne. Jeżeli zaś czasami poeta stwarza jakiś obraz lub sytuację, to wy-

pada to jak najnieszczęśliwiej i figury, wyprowadzane przez niego, stają, jak »niezgrabnie strugane jasełka, niekształtne i chwłające się na wszystkie strony«.

Po bliższem zaznajomieniu się z tym poematem, każdy przyzna — mówi Bełcikowski — że »farby, używane przez Potockiego do jego obrazów, niepodobne są do tych, jakie Rafael kładł na swoje płótna religijne«. Najwznieśliwszy przedmiot, jaki można znaleźć w historii chrześcijaństwa, został tu w najlepszej wierze znieważony przez ciemnotę wleku, tak dalece, że dzisiaj spoglądamy na to z ubolewaniem.

Także i co do formy zewnętrznej, pod względem rymotwórczym, »Nowy zaciąg« stol najniżej ze wszystkich prac Potockiego. Opuściła go widocznie wrodzona mu sła wierszowania, a jego »mowa włączana różni się w tej pracy może jedynie rymami od zwyczajnej, pospolitej i trywjalnej nieraz prozy«.

»Nowy zaciąg«, niestety, nie był jedynym plodem natchnienia religijnego poety. Wiele pieśni nabożnych, hymnów, całe nawet poematy ascetyczne obejmują niewydane dotychczas zbiory rękopisów Potockiego. Wszystko to świadczy, że nie był to rodzaj, właściwy talentowi autora »Wojny chocimskiej«.

Drugł utwór, na który należy zwrócić uwagę, chcąc poznać dobrze Potockiego i jego stosunek do epoki, to »Poczet herbów szlachty korony polskiej i t. d.«, wydany po raz pierwszy i ostatni w Krakowie, w r. 1696-tym, jeszcze za życia autora. Dzieło to jest herbarzem szlachty polskiej, napisanym w wierszach, a wzorem do niego był Potockiemu Orbis Polonus Szymona Okolskiego, który wiadomości heraldyczne ozdobił panegirycznymi pochwałami rodzin szlacheckich i rozmaitemi aluzjami w duchu teologiczno-scholastycznym. Potocki jednak, oprócz wyvodu herbów, nie powtarzał treści Okolskiego



I tylko na jego podobieństwo urozmaicili przedmiot do pewnego stopnia poetycznymi dodatkami. Wydawca »Pocztu«, drukarz krakowski Schedel, dedykował tę książkę synom Jana III-go, autor zaś sam umieścił na jej czole dedykację, donioślejsze mającą znaczenie dla określenia celu i charakteru tego utworu. Poświęcił on mianowicie swój herbarz rycerstwu polskiemu, w zaszczytnych zwracając się do niego słowach: »Dzieł wiekopomnych, niezwykłego serca, nieprzełomionej siły, niezrównanej odwagi miłośnikom Ojczyzny, żwawym Włary św. obrońcom, pod znakiem Krzyża Chrystusowego zostającym w wojsku J. K. M. Pana Miłościwego żołnierzom, mnie wielce miłościwym Panom«.

Wskazawszy następnie na przykłady przodków, którzy nabyli kiedyś te zaszczytne znamiona, posiadane dzisiaj przez ich synów, co

»Walcząc i pogany biorą ich szablami rznęte  
Na ciała charaktery, żeby w sukcesorach  
Świeciły, na grobowych kładli je marmorach«,

tak odzywa się do »klejnotników«:

»To stopnie do honorów, do czci, do fortuny  
Przez grady strzał tatarskich, przez gęste pioruny  
Drżeć się dział otomańskiej, przez ich szabel ostrze  
Cnota i wieczna sława plac sobie rozpostrze«.

Z tego już widać, zauważa prof. Bełclkowski, że Potocki pojmował szlachectwo tylko jako »zakon rycerski«, jakim pierwiastkowo było ono istotnie, a za warunek jego dostąpienia, do plastowania go po przodkach, uważał jedynie rzemiosło rycerskie, a szczególnie obronę wiary św. przeciw pogaństwu. W jego oczach szla-

chectwo było rodzajem służby bożej, a herby widocznymi symbolami i wspomnieniem zasług położonych.

Autor rozpoczyna swój »Poczet« od herbów krajowych i panujących w Polsce królów elekcyjnych, a następnie przechodzi do herbów szlacheckich. Najprzód zawsze przywoździ początek herbów (często bałamutny), potem daje wiersz pochwalny o tym herbie, gdzie czyni różne aluzje do historii storczytnej i Piśma św., wreszcie kończy wierszem przygodnym, pochwalnym lub satyrycznym, ilustrującym dany herb.

Te krótkie panegryki lub satyry, nadające herbarzowi Potockiego właściwy powab w oczach ówczesnych i dzisiejszych czytelników, były, jak przypomina prof. Bełcikowski, pierwotkowo okolicznościowemi wierszami i dopiero później zostały wcielone do pocztu. Potocki nie obwija tu niczego w bawełnę, pisząc o osobach znanych i żyjących, wprawdzie bez wymienienia ich po nazwisku, złośliwe częstokroć epigramaty albo rubaszne dykteryjki. Niejeden zapewne czuł się tem do żywego dotknięty, gdy inni znajdowali właśnie z tego powodu upodobanie w herbarzu, który był zwierciadłem charakterów i zbiorem anegdot o sąsiadach. Mimo swojej szczerości nie odważył się jednak Potocki na drukowanie wszystkich wierszy tego rodzaju, jakie napisał, i część ich najdrażliwsza, a jednocześnie dla charakterystyki ówczesnej szlachty polskiej najcenniejsza, spoczywa dotąd w rękopisie, znajdującym się w bibliotece petersburskiej, a pochodzącym ze zbiorów Żaluskiego. Tytuł tego rękopisu: »Odjemek herbów szlacheckich«.

W »Poczcie« poeta wypowiada także niejednokrotnie swoje uczucia polityczne.

Najważniejszym z nich jest niewątpliwie jego zdanie o elekcji, uroczyście bowiem zaklina szlachtę, aby utrzymała dziedzictwo tronu przy potomstwie Sobieskiego:

»Żeby, póki przez Polskę Wisła w morze płynie,  
Inszego herbu Orzeł nie brał po Janinie«,

gdyż

»Jako Chrystus z kościołem i jako mąż z żoną,  
Tak z królem Pospolita-rzecz ma być złączoną«.

Wszystko znowu, co mówi o Wazach i o domu rakuskim, nacechowane jest widoczną niechęcią i wstrętem do wszelkiej obczyzny. W wyobrażeniach swoich poeta jest konserwatystą i stoi silnie przy zwyczaju staroświeckim, hołdując *moribus antiquis*. Takim jest także w częstych przycinkach, wymierzonych na szlacheckich neofitów, szczególnie na tych, co za pieniądze podszywali się pod klejnot szlachecki. Oto jak mówi np. o herbie Ręka:

»Dziś nie z strzałą, nie z szablą, co pogaństwo nęka,  
Z szydłem by albo z łokciem należała ręka  
Drugiemu, co w szlacheckim katalogu się wdiera:  
Oknem leżą komu drzwi złoto nie otwiera«.

Zato w szlachelcu prawym uznaje brata i jest gorącym zwolennikiem bezwzględnej równości szlachty między sobą:

»Szlachtaśmy wszyscy w Polsce, bracia równi sobie,  
Niechaj nie presumuje nikt w wyższej ozdobie,  
Do Niemiec z tem Xiążęta, Graffowie i Grabie!«

Herbarz Potockiego, w tym duchu napisany — dodaje prof. Bełcikowski — musiał być między szlachtą popularną książką, która tem nadewszystko trafiała w jej myśl, że nie traktowała przedmiotu, jako suchy materiał historyczny, jako zbiór wiadomości genealogicznych, ale tchnęła weni ciepło życia, ubarwiła uczuciem, a nawet namiętnością i wystawiła go z taką miłością, z jaką szlachta na swoje herby patrzyła. Nie tylko bowiem

były one dla niej chlubą, a nieraz pobudką próżności, ale ceniła je ona jako symbole pewnych cnót domowych, jako zadatki szczególnej łaski bożej, która ją od ogółu odróżniała. Dlatego to szlachta nazywała swoje herby »klejnotami«. Potocki podzielał w zupełności ten pogląd. I dla niego herb był jakąś rzeczą mistyczną, której podobieństwo albo pierwowzór spostrzegał nieraz w słowach Pisma św.; i on bił czołem przed starożytnością rodu, dającą niejako rękojmię dzielności i cnoty; i on przenosił z dumą szlachectwo polskie nad wszystkie zagraniczne tytuły hrabiów i książąt, a nawet nad elektorów niemieckich:

»Nie ośm osób, ośmdziesiąt, lecz tysiący braci  
Polska ma elektorów — wszyscy kandydaci...

Żądał jednak, aby za te szczególne łaski odwdzięczano się zasługami. Mówił więc niejako do szlachty:  
»Te klejnoty wasze krwią nabyte — jeśli pragniecie być ich godnymi, bądźcie, jak wasi ojcowie rycerzami, walczcie za wiarę Chrystusową i wytrwajcie w bożym zakonie, nie ustępując z drogi cnoty, bo w przeciwnym razie nic wam odwieczne herby nie pomogą i lepszym będzie szlachcicem, kto świeżo, przez własne zasługi, ten zaszczyt sobie pozyska:

»Przyznaję, że siła ma starożytność w rodzie,  
Kędy cnota z szlachectwem chodzi na powodzie;  
Lecz kto na same herby swoich przodków każe,  
Nic ani ręką ani głową nie dokaże —  
Nie od Noego, niech herb kładzie od Adama,  
Lepszy nowy, komu go cnota nada sama.  
Powiedzielibym, gdyby mi to nie chciało szkodzić:  
Często zostać szlachcicem piękniej  
[niż urodzić«.

Na tej podstawie »Poczet herbów« wliczyć można do rzędu tych utworów poety, w których objawił się duch rycerski, napelniający powietrze owej epoki i serce Potockiego. Jest to niby pobudka i alarm do walki, której zwycięzców w »Wojnie chocimskiej« opiewał i do której powrócił jeszcze w »Pełnej«, ujrzawszy w Sobieskim urzeczywistnienie swoich nadziei.

»Pełna Najjaśniejszemu Janowi III-mu i Najjaśniejszej Marjej, Królestwu polskiemu... od najniższego poddanego i sługi życzliwą prezentowana ręką« wydrukowana została w r. 1678-ym.

Jest to utwór, który wyraża hołd i uwielbienie poety dla pogromcy Turków, zmywającego hańbę, jaka na Polskę spadła przez utratę Kamieńca.

Wypowiedzenie prawdziwego uwielbienia, jakie Potocki czuł dla króla Jana, i ciepło serca, przechodzące częstokroć w pewną poufalość, stanowi najgłówniejszą zaletę »Pełnej«. Nie można jednak twierdzić, aby wolną była ona od powszechnych wad panegiryków. Tak np. autor przynosi królowi na wiązanie (»Pełna« przesłana została królowi z powodu jego i królowej imienin) Potok, swoje gniazdo ojczyste, i Śreniawę, herb swej rodziny, albo imion królestwa (Jan i Marja) używa do rozmaitych porównań z osobistościami ewangelji, przychodząc wreszcie aż do takiej konkluzji:

»Jan Chrzyciel, Jan apostoł, Jan król trzeci w rządzie  
A żaden bez Maryjej na świecie nie będzie«.

Pomimo tego widocznego schlebiania królowi, w »Pełnej« znajdują się jednak ustępy prawdziwie wzniosłe i piękne.

Oto np. urywek z zakończenia poematu, gdzie autor, po wynurzeniu życzeń pomyślności ziemskiej, życzy parze królewskiej »korony w niebie«:

»Żywszy potem ile człek myślą zapamięta,  
I w tem chętniej fortuny doznacie faworu,  
Bo próżno, kto się rodzi, nikt nie ujdzie moru.  
Bóg umierał, królowie, i swe zaległ groby!  
Jedna was noc, bez żalu, bez łez, bez choroby  
Na tron posadził, kędy i świat i śmierć zrzędną  
Hardą zdepczecie nogą; kędy wam nie zwiędną  
Nie ze złota, nie z pereł, dopieroż nie z ziola,  
Zdobłac dostojne skronie i królewskie czoła,  
Godziny, dni i lata, wleki nieprzeżyte,  
Z wyboru gwiazd, cnót waszych korony uwite«.

Pomijamy tu z konieczności mniejszego znaczenia utwory Potockiego, jak »Merkurjusz Nowy« (»Merkurjusz Nowy wygranej Sobieskiego podtenczas hetmana«), poemat znany w dwu redakcjach — krótszej i obszerniejszej (krótszą wydał Wójcicki w r. 1843-im, obszerniejszą Erzepki z rękopisu zdefektowanego w r. 1889-ym), oraz »Perjody« czyli treny na śmierć syna Stefana, nadto cały szereg rękopisów, dotychczas drukiem nieogłoszonych.

Przechodzimy natomiast do największego w puściźnie po Potockim skarbu, do jego »Ogrodu fraszek«, którego wydanie (2 tomy, Lwów 1907. Nakładem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej) zawdzięczamy prof. Brücknerowi.

Jest to świeża, a cenna zdobycz dla historii literatury, na podstawie bowiem »Ogrodu fraszek« możemy dopiero wyrobić sobie dokładne pojęcie o Wacławie Potockim i jego epoce.

Poeta staje tu przed nami w nowem, nieznanem dotychczas świetle.

Pełny tytuł »Ogrodu«, tak charakterystyczny dla baroku polskiego, brzmi:

Ogrod ale nieplewiony;  
Brog, ale co krok to inszego zboża;  
Kram rozlicznego gatunku:  
na cóż chwalić?

W Ogrodzie chwastu, gdzie pokrzywa sparzać;  
W Brogu plugastwa, gdzie matonog zawrócić głowę;  
W Kramie szpilek, którymi zakłuć,  
Zwierziadeł, w których się przejrzeć możesz między  
towarem napoły.

Rzeczy, powieści, przygody, podobień-  
stwa, przykłady,  
które, jeśli nie były, być mogły w obojej płci,  
w różnych stanach i wieku żywota ludzkiego.

Tudzież

ethica do cnoty, moralia do obyczajów, sacra do nauki,  
seria do przestrogi wiodące poważnych i uważnych.  
Festiva, ludicra, satyrica, salsa, aluzye z imion,  
przezvisk, urzędów i kompleksyj różnych,  
krom zgorszenia cnotliwego człeka,  
bo czystemu wszystkie rzeczy są czyste,  
próżnujących zabawiające ludzi;

Są i żarty

z podufałyimi bez sarkazmów przyjacioły,  
choćci

I w różej i w liljej i w wonnym krokosie,  
Gdzie pszczele o miód, łacno o truczną osie,  
Acz tamta i z pokrzywy i z kolącej szczotki,  
Kędy ta żądło ostrzy, wysysa miód słodki.  
Z tytułu tego widać, czem jest w istocie »Ogród  
fraszek«.

Prof. Brückner zalicza go bez wahania do »skarbow  
dawnej literatury, a autora do najbardziej typowych  
przedstawicieli Polski rodzimej, bardziej narodowego od  
Kochanowskiego samego i Krasickiego«.

»Czem są Pamiętniki Paska w prozie — mówi — tem Ogród stanie się w poezji — tylko że je znacznie przewyższa, tak jak Potocki sam, idealna, typowa postać staropolska, przechodzi Paska przymiotami umysłu i serca, wleczką i sumieniem, językiem i stylem. W Ogródku, pomimo nieskończonych wymysłów, nic wymyślnego, tem więcej zato u Paska, pomimo faktów samych autentycznych. W jednym tylko oba dzieła się zgadzają: niewyczerpane to kopalnie staropolskiego życia, chociaż i tu Ogród bardziej wszechstronny, głęboki, krytyczny. Jeżeli z Paska nowsza literatura co raz korzystała, to otwiera się dla niej w obszernym utworze Potockiego nierównie bogatsze pole i powieściopisarzom naszym, co za przewodem Sienkiewicza i Krechowieckiego znowu do wieku XVII-go się zwrócili, możemy jak najusilniej polecać te karty wymowne, barwne, plastyczne, proste a szczerze, prawdziwe a podufale«.

Jest w tem niewątpliwie trochę przesady, ale nie brak i dużej słuszności, trafny bowiem jest pogląd prof. Brücknera na to, że »nie tylko szersza publiczność, ale nawet literaci z zawodu i historycy literatury nie zdają sobie sprawy należytej z tego, na czem właściwie stoi nasza dawna literatura? na jakim to polu najtrwalsze zasługi i wawrzyny zdobyła? jakimi też utworami najbardziej dziś jeszcze zająć i wzruszyć potrafi?«

Otóż — zdaniem Brücknera — »naszej dawnej literatury najpiękniejsze i najbardziej swojskie, rodzime karty — to FRASZKI. Nie w dramat ani w epopeję, narodową czy religijną czy romansową, nie w lirykę erotyczną (w niej za innymi tylko zbieramy podkowy), nie w alegorje Dantejskie wcielił się duch dawnej Polski najpełniej, najistotniej, lecz we fraszki Kochanowskiego i Potockiego, Naborowskiego i Kochowskiego. Staropolski statek i powaga obok dobrodusznego żartu i



śmiechu nigdzie pełniejszego, trafniejszego nie znalazły wyrazu. W innych dziełach poeci polscy naśladowali Horacych i Lukanów, Buchananów i Barclay'ów, we fraszkach byli sobą, nawet gdy tłumaczyli Martialisa lub Owena. Ta część ich puścizny literackiej najbardziej nam bliska, poufała i miła; kto z dawnych poetów fraszek nie pisał, zawsze nam obcym pozostanie, nie wzruszy nas ani pociągnie. To nasz prawdziwy rodzaj sarmacki i żadna inna literatura europejska nie wskaże nam nic podobnego: piszą tam wiersze okolicznościowe, żarty przygodne i t. d., ale tylko u nas wyrosły te fraszki w najbujniejszy krzew, wyciągający z ziemi wszelkie jej soki polskie. Otóż w tej literaturze staropolskiej, tak bogatej już we fraszki, O gród naczelnę zajmuje miejsce.

Naczelnę istotnie, choćby dla samego swego bogactwa, jest tu bowiem ni mniej ni więcej tylko 1800 fraszek, przeważnie krótkich, nieraz zaś liczących do 300 i 400 wierszy, »roztaczających szerokie, bogate, dokładne obrazy«.

Pisał je Potocki przez cały niemal ciąg półwiekowej swojej pracy literackiej.

»Plondrował dawniejszych — mówi Brückner — swoich i obcych; tworzył z wrażeń życiowych, z anegdot i trafów współczesnych, z rozpamiętywania rzeczy nabożnych i świeckich, z uwag politycznych i historycznych; zsypywał powoli w coraz obszerniejsze zbioru plony długiego żywota myśli nieustannie pracującej, doświadczeń nie kończących się nigdy, lektury obfitej, rozmowy towarzyskiej«.

Powstał z tego jedyny w swoim rodzaju zbiór rzeczy o rozmaitej treści i rozmaitej wartości.

»Nęcą nas tu najbardziej — przyznaje Brückner — materje domowe, obrazy starszlacheckiego życia, w do-

mu i gościńle, w polu i karczmie, w lesie i miasteczku, w pogodę i słotę, zimą i latem, między panami i chudopachołkami, z żydkami i chłopami, żołnierzami i żebrakami, kwestarzem i doktorem, fraucymerem i forysiem, opryszkami i drabami. Bierzemy udział w kulligu, jesteśmy na chrzcinach, imieninach, na ślubie i stypie, u skąpców i rozrzutnych, przy biesiadzie i bójce i kogo Pasek bawi, kto się kocha w rozpamiętywaniu życia dawnego, bujnego, zamaszystego, kart tych nie rzuci.

I gdyby jakimś przypadkiem całe to życie starszylacheckie, z przesądami i cnotami, z patryarchalnością i rozpustą, z anarchją i rządem (domowym), z poddaństwem i wszechwładzą szlachecką zupełnie zaginęło — to odtworzylibyśmy je z »Ogrodu« z największą wiernością. Niczego tu nie zabraknie: od kolebki do grobu towarzyszymy szlachcie przez wszelkie przejścia, w szkole i poza nią, w obozie i u dworu, w sądzie i urzędzie, przy kominku własnym i na łasce obcej, w post i święta, w kościele i miasteczku, w zdrowiu i chorobie. Jest to księga obyczajowa, skarbnica czy tam lamus starszylachecki, gdzie zrzucano wszystko, co niegdyś bawiło, trapiło, żywiło, zabijało.

Ze stanowiska dzisiejszego czytelnika wiele tu rzeczy nikłych, błahych. Humor rubaszny, często trywjalny. Poezji mało, prawie wcale. A jednak prof. Brückner ma słuszność: oderwać się od tego trudno.

Jakaż jest tego przyczyna?

Oto, zdaje się, będziemy najbliżsi prawdy, doszukując się jej w tem, co pomimo przedziału wieków jest w nas i żyje pod warstwami kultury nowoczesnej. Kultura ta stoi w Polsce dotychczas na zrębie szlacheckim. Innego fundamentu nie miała i nieprędko mieć go może. Psyche szlachecka jest w nas do dzisiaj i nie tylko w potomkach dawnej szlachty polskiej, ale i w ludzle wiej-

skim, który od dworu szlacheckiego przejmował i uczył się wszystkiego.

Świetnym, niezrównanym wyobrazicielem tej właśnie duszy szlacheckiej w XVII-tym wieku był Wacław Potocki, ziemianin z krwi i kości, rasowy przedstawiciel tej warstwy, która budowała i rujnowała Polskę.

Obcując z nim, wysnuwamy tysiączne nici, które nas włązą dzisiaj jeszcze z przeszłością. Te nici snują się przez wszystkie jego dzieła, ale najwięcej ich w »Ogrodzie fraszek«, bo stoł on najbliżej zwykłego, codziennego życia naszych przodków, bo naprawdę, jak to określa poeta w tytule: jest tam dużo »zwierciadeł, w których się przejrzeć możesz«.

Przegląda się w nich przedewszystkiem sam Potocki. Widzimy tam dokładnie jego oblicze. Widzimy siwą głowę tego żelaznego starca, którego nieszczęścia życia nie obaliły, który po wszystkich ciosach, jakich doznał, umiał zdobyć się na pogodę ducha, na niefrasobliwy uśmiech, na słoneczny niemal żart, co, razem wzięte, stanowi niepospolitą siłę moralną.

Dzięki tej sile autor »Ogrodu« mógł pracować, jak mało który z współczesnych mu i potomnych pisarzy.

Puścizna jego jest ogromna, do wyliczonych bowiem powyżej utworów przybývają jeszcze »Moralia, albo rzeczy do obyczajów, nauki i przestróg w każdym stanie żywota ludzkiego«. Jest to zbiór przypowieści wierszem, na wzór »Adagiów« Erazma z Rotterdamu, obejmujący z górą 40 tysięcy 13-zgłosk. wierszy! Wydawnictwo »Moralików« z rękopisu, znajdującego się w bibliotece petersburskiej, podjęli prof. T. Grabowski i J. Łoś.

Do charakterystyki Potockiego »Moralia« nie dozucają już nowych szczegółów. Świadczą jednak o głębszym podkładzie duchowym i myślowym autora i o szerokich jego zainteresowaniach umysłowych, raz jeszcze

obalając legendę o powszechnej ciemnocie i uwstecznieniu wieku XVII-go.

Nie mógł się ten wiek równać ze swoim poprzednikiem, to prawda, ale nie był nocą, którejby żadne nie rozjarzyło światło.

Świateł tych jaśniało kilka, a najprzedniejszym wśród nich był Wacław Potocki.

---

Krótki wybór pism  
WACŁAWA POTOCKIEGO.

Wojna chocimska.

Część I.

Wprzód niżli sarmackiego Marsa krwawe dzieje  
Potomnym wiekom Muza na papier wyleje,  
Na durnego Turczyzna propozyt szkarady  
Pisać poczną w pamiętne Polakom przykłady,  
Który z niemi zuchwale mir zrzuciwszy stary,  
Chciał ich przykryć haraczem z Węgry i Bułgary;  
Boże! którego nieba, ziemi, morza chwałą,  
Co tak mdłem piórem jako władniesz groźną stałą,  
Co się mścisz nad ostatnim tego domu węglem,  
Gdzie kto usta przysięga sercem nieprzysięgiem;  
Ciebie proszę, abyś to, co ku twojej wdzięce  
W tem królestwie śmiertelne chcą wspominać ręce,  
Szczęścić raczył; boć to jest dzieło twej prawice:  
Hardych tyranów dumy wywracać na nice,  
Mieszać pysznych i z błotem górne równać myśli,  
Przez tych, którzy swą siłą od ciebie zawisli.  
Spadł Antyoch z imprezy, spadł i Herod z krzesła;  
Tamten żywo zgnił, tego gadzina roznieśla.  
Spadł durny Sennacheryb, gdy we trzechset szabel  
Tysięcy musiał pierzchać: spadł Nimrod z swej Babel.  
Spadł człowieczej natury Nabuchodonozor,  
I ten co Boga bluźnił, trawę łapał, ozor.  
Spadły mury wysokie, które samem spycha  
Echem trąby Jozue, wielkiego Jerycha.

Spadł wysoki Madyan, kiedy garścią ludzi  
Gedeon go oświeci i ze snu obudzi,  
A on młócecz wczorajszy — cud niewysłowlony!  
Monarchom z głów dostojnych zdejmował korony.  
Padł Holofern Judycie, Sisara Jaheli,  
Bohater mdłej niewleście i szabla kądzieli.  
Grzechy nasze, o Panie! za którymi w tropy  
Na pierwszy świat chodziły ognie i potopy,  
Dziś, nie w wodzie, dla tęcze, nie w ogniu z Gomorą  
Ale się w własnej swojej krwi czyszczą i piorą.  
Krwią się myją, krwią poci ten świat jako w łaźni:  
Wszędy pełno niezgody, pełno nieprzyjaźni,  
Nawet miłość prywatna między ludźmi zgasła,  
Wszystko z łakomstwem zazdrość nieszczęsna popasła.  
Jeżelić kto co radzi, patrz na oble oczy:  
Bo teraz każdy wodę na swe koło toczy,  
Usty świadcząc ofiary, wywodzi cię w pole  
A niechętnem sercem żga i od siebie kole,  
Byle cię jako zażąć albo cię mógł zażyć;  
Póty termin przyjaźni, którą wyposażyć  
Jeszcze trzeba; tym kształtem zmyje cię bez ługu;  
Bo jeśli mu się słowa i upomniesz długu,  
Za psa twoja uczynność, krew, przyjaźni, warunek!  
A drugi, rychlej niż dług, weźmie basarunek.  
Wyrzekł się świat szczerości, rzadko między braty  
Znajdziesz ją rodzonemi, nikt nic bez prywaty  
Nie robi i gdzie mu się praca nie nagrodi,  
Niech tonie, niech psy drażni, niech o kij chodzi,  
Bliźniemu nie usłuży, nie poradzi szczerze,  
Cóżby go miał wykupić z pogańskiej oblerze?  
Byłość — to powładają — i prawdę podobno,  
Póki moje a twoje, nie strzygło tak drobno  
Złemie, póki łakomstwo i przekłete żądze  
Nie dały miejsca prętu, łanu, łokciu, siądze,  
Miarą sama potrzeba: gdy natury wedle  
Ani w odzieniu człowiek, w pielu ani w jedle  
Inszego na tym świecie szukał sobie bytu,  
Okrom przyrodzonego dla ciała dosytu,

Ziemia też dobrowolnie bez ludzkiej clemięgi,  
Bez pługu, nie kąkole, chwasty i ostręgi,  
Czyste zboża rodziła: co śnieć, co kostrzewa  
Nie znał człek, więc rok cały nieszczepione drzewa,  
Miody, soki, oliwy i rozkoszne figi  
Dawały; owo żyli bez wszelkiej fatygi.  
Takie wlemy Lacyum z poetyckich lter  
Kiedy zegnał na ziemię Saturna Jupiter:  
Toż nie dwaj, nie trzej, co dziś przykład bardzo rzadki,  
Lecz wszystkie rodzaj ludzki, jakby z jednej matki  
Wyszędł, tak go miłości jednoczyły pęta,  
Ze wojny na się nigdy, tylko na zwierzęta  
Drapieżne, nie podnosił; każdy człek był bratem,  
Każdy bliźnim, z niedźwiedziem nieprzyjaźń kudlatem,  
Z wilkiem, lwem i tygrysem i co się na szkodę  
Bestyj łągnie; z temi człek wieczną miał niezgodę,  
Którym do dzikiej dała natura postury  
Okropny ryk, kły, rogi, raci i pazury,  
Ptacy nosy i szpony przy pierza lekkości,  
Skrzele ma niema ryba i zęby i ości,  
Żądła gad jadowity, bazyli szek w oku  
Śmiertelną ma zarazę, w nozdrzach jest u smoku,  
Wąż kasa, a jeż kole, brzydki pająk truje,  
Tnie osa, mrówka, komar i biedna pchła uje;  
Nagi człowiek bez bronł, bez blegu, bez mocy,  
A wzdly teraz ani lwł, ani się tak smocy  
Waśnią na się jako on na swe własne plemię:  
Bestye, ognie, wody, wiatry, nawet ziemie  
Stosuje, tu dowcipy, tu rozumy liczy,  
Gdy ludzi z śwłata gładzi, gdy bliźnich kaleczy!

---

### Część III.

---

Rozum mistrzem wszech rzeczy, czas mistrzem rozumu:  
On mostu, on nas łodzi, on nauczył prómu.  
Czasem człowiek lwy krócl i niedźwiedzie uczy,  
Czasem słońce w wojenne beloardy jucz.

Czas odmieniwszy w pysku przyrodzenie ptasze,  
Dał srokom i papugom czwarzyć słowa nasze.  
Czas wiatry chelzna, które zawarte w chomoncie,  
Stawia człeka na drugim świata horyzoncie,  
Gdy odawszy płócienne na galerze buje,  
Wszystkie ziemie i wyspy i morza osnuje.  
Lata skrzydły Dedalus, lata po ojcosku  
Ikarus, póki słońca warował od wosku.  
Działa łać, prochy robić, grzmieć i ognie błyskać,  
Piorun zdaleka w miejscu umyślone ciskać,  
Granatów i misternych rac, które do góry  
Wzbiwszy się, tworzą z ognia rozliczne figury,  
Czas nauczył murować, czas murów ruiny,  
Przez potężne petardy i podziemne miny,  
Cyngla ruszy, aż wszystko co obaczą oczy,  
Tak zwierza jako ptaka zmyślny strzelec troczy.  
Czasem człek doszedł nieba i policzył gwiazdy,  
Wie, która w miejscu wryta, która ma pojazdy.  
Czas człeku czasy mierzyć i choć ślepi oczy,  
Wiedzieć, któredy, wiedzieć jako długo toczy  
Słońce koło nad światem, pokazał i może  
Pisać przed stem lat, wiele razy swe poroże  
Księżyc, świecę którą noc, słońce, którą krasie  
Biały dzień i w którą noc, w który dzień przygasi.  
Czas obrotne zegary, kędy przez sprężyny  
Pomiar, przez dzwonki ogłos swój mają godzinny,  
Albo cieniem cienkiego pręcika wyznacza,  
Albo w kryształach płaskim mieluchnym przetacza.  
Czas wleźć, kędy ziemia który kruszec kryje,  
Czas znać ludzkie persony, dawne historyje,  
Skoro je w miedzi ręka ćwiczona wydruży,  
Skoro je malarz pędzlem na płótnie wysmuży,  
Da w tysiąc lat oglądać, co już wszystko z czasem  
W proch poszło za nikczemnej gadziny opasem.  
Druk, papier i litery, które mi wykreślił  
Co mówić, co ma w sercu i co człowiek myśli,  
I mogą się rozmawiać nie ruszywszy usty,  
Mogą widzieć zdaleka ludzie inkausty.



Wszystkiemu czas przyczyną. O Boże dobroci,  
Tedyż człowiek żywioly i naturę krócl,  
A przez te wszystkie wieki na grzech i złe żydło  
Znaleść mu się dotychczas nie dało wędzidło!  
Zna zwierze, ryby, ptaki, drzewa, zioła, gady,  
Wie, skąd grom, piorun, skąd deszcz, skąd spadają grady  
Krótce mówiąc, na ziemi zna się i na niebie,  
Wszędzie mądry, doma głupi, że sam nie zna siebie.  
Wiatry chęlna, o cuda! na clelesne żądze  
Dotąd mu się nie dały wynaleźć wrzeclądze.

---

#### C z ę ś ć I V .

Zabielaly się góry i Dniestrowe brzegi,  
Rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,  
Skoro Turcy stanęli, skoro swoje w loty  
Okiem nieprzemierzone rozbili namloty.  
Nie toczyli obozu, nie ciągnęli sznurów,  
Ale tak małą garstkę wzgardziwszy giaurów,  
Kędy kto szedł, tam stanął; na mocy się czują,  
Jeśli nas nie wystraszą, to pewnie zaplują.  
Niema ich tu co bawić, nie chcą się rozgościć,  
Wiśla im głowę psuje, jako ją pomościć?  
Gdzie sam cesarz pagórek opanował wyżni,  
Widomie się odyma, źrejomo się pyszni,  
Że monarchy Azyi, Afryki, Europy,  
Trzech części światła pana depcą po nim stopy.  
Bledny Dniestr, acz przeciwko orłowi motylem,  
Śmie gardzić Eufratem, śmie się równać z Nilem,  
I ledwo w swem lichota trzyma się pobrzeżu,  
Ale mu właśnie służy: nie kol miły Jezu!  
Skoro Osman obaczył nasze szanice z góry,  
Jako lew krwi pragnący wyciąga pazury,  
Jeży grzywę, po bokach maca się ogonem,  
Jeżeli żubra w polu obaczy przestronem,  
Chce się i on zaraz bić, zaraz chce na nasze  
Wsleść obozy; hetmany zwoławszy i basze,

Każę wojska szykować, choć już i niesprawą  
Dla pola cieńlejszego, iść na nas oblawa.  
Kto mu wspomni nie w polskim wieszczą obozie,  
Choć najwierniejszy sługa, będzie na powrozie.  
Tedy o tak haniebną usłyszawszy karze,  
Biednego ognia składać nie śmieli kucharze.  
Nie zdało'ć się to starszym, ale z tak porywczym  
Trudno co radzić panem, bo ich nigdy ni w czym  
Nie słucha, ze swą dumą idąc i uporem,  
Zawsze drwi, zawsze się mści, swych drew, z nich nad  
I teraz, acz to wszyscy dobrze widzą, żeby [którem  
Ledwo tak uszło w łowy iść nie do potrzeby;  
Ale kędy mus rządzi trudno być ostrożnym,  
Nie zrozumiałwszy miejsca? W odzieniu podróżnym?  
Nie miałszy słońca? wiatru? nie miałszy fortelu?  
Nie znając serca, ani sił w nieprzyjacielu?  
Bić się z nim, jakby o reszt ślepą kością rzucić?  
Choćby tam wszyscy spali, mogą się ocucić;  
Nie bać się, ale ani lekceważyć trzeba,  
Kto ma serce, broń, rękę, i zażywa chleba.  
Nie mów, gdy idziesz na plac, że będę bł, ale  
Będziem się bić; i Mars ma obojętne szale.  
Teraz, gdy Osman każę, lub zysk, lubo strata,  
Walą się wojska, idzie i groźna armata,  
Strasznie się bisurmańskich z góry garną roje,  
A białe jako gęsi migocą zawoje.

Janczaraga we środku ustrzmiwszy w puch pawł,  
Ogniste swoje pułki na czele postawi,  
Sam dosiadłszy białego Arabina grzbieta,  
Jako między gwiazdami iskrzy się kometa,  
W barwistym złotogłowie, pod żórawią wleczę,  
Buńczuk na nim z miesiącem, ottomańską cechą.  
Dwanaście tylko było tysięcy janczarów,  
Prócz piechot Gaborego i dwóch gospodarów,  
Na dwadzieściać pieniądze spełna z skarbu dano,  
Ale to, co miało być, na ośm, ukraszano.  
Wszędy pełno nierządu, gdzie nie masz dozoru!  
Każdy kradnie kto może, kędy tka do woru,

Ale i u nas, poźrzyj, kto-li temi czasy,  
Pańskiej bez interesu podejmie się kasy?  
Každy tam pragnie służyć, gdzie i okrom myta,  
Choć co ukradnie, nikt się o to go nie spyta.  
Nie regiestr do sumnienia, ale jak z ołowiu,  
Do regiestru sumnienie mając pogotowiu.  
Na cóż i, mówić więcej? nie w Polsce, darmo to,  
Na cały świat rozgrzesza wszystkich ludzi złoto!  
W prawo i w lewo janczar, na widoku stały,  
Nieznane oczom naszym dotąd specyały,  
Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców,  
Každy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców  
Po trzydziestu zawiera; tak gdzie tylko chodzą  
Rozdrażnione bestye, nieprzyjaciół szkodzą.

Konne wojska po skrzydłach, wyniosszy swe dzidy,  
Patrzą, rychło się do nich sunie glaur gidy,  
Albo im każą skoczyć, gdzie z niezmiernej chuci  
Śmiały spahlj na naszych dziryty wyrzuci.  
Wszyscy siedzą od złota, od rzędów, od pukli,  
I nie jako na wojnę daleką wysmukli;  
Nie widziałeś kirysów, nie widział pancerzy,  
Každy się złotogłowi, jedwabi i pierzy:  
Ogromne skrzydła sęple, forgi, kity, czuby,  
Trzęsą się im nade łby, a ono nie tu-by  
Te prezentować cienie i nikle ozdoby,  
Kędy wróble takłemi z prosa straszą boby!  
Wszystko znieśli, wszystko to dziś na się włożyli,  
Z czego świat przez lat tyle zdarli i złupili.  
Konie przecie znużone tak dalekim chodem,  
Nie onę rzeźwość miały, co im dźle rodem,  
Bo nie pomoże złoto, kogo niewczas zejmie,  
Nie może, chociażby się rad krzepił uprzejmie.  
Świecili się od złota chorągwie gorące,  
Po których haftowane tureckie miesiące,  
Pod złocistą skoflą strojnych ludzi grona  
Okryją, a żelazna szydzi z nich Bellona.  
Starych zaś znak przy drzewcu wystrzępione nitki,  
Pod jakłemi widujem i tu niedobitki.

Ale odjąwszy ludzi europejskich z czoła,  
Ostatek czerni, szarańcza, motłoch, skomon, smoła.  
A co to tak wysoce każą na Araby,  
Zbljać dobrzy; i nagl lud to jest i słaby,  
Handlom tylko przywykły i rzemiosłu raczej,  
Nie wojnie; choć ci się on w rzeczy usajdaczy,  
Z łuku pewnie nie strzeli, woła, krzyczy, szwatrze,  
Ale ucieka zaraz, jak tylko nań natrze.  
Jeden nazbyt otyły, drugi wiekiem nużny,  
Jaki u nas od kilku lat żebrze jałmużny;  
Bo zapalczywy Osman do tej z nami zwady  
Wszystkę pieć mężką, nawet stare wygnał dzlady,  
Dla pacierzy podobno, gdyż okrom modłitwy  
Nie zażył ich do wojny pewnie i do bitwy.

W tymże obłoku stali Murzyni cudowni,  
Jako się błyszczą iskra w opalanej głównej,  
Tak i tym z warg napuchłych, z czerniejszej nad  
Paszczeki, bielsze niż śnieg wyglądały kielce. [szmelce,  
Tu się w szerokobiałej na wierzchu koszuli,  
Po polach Mamalucy przestronych rozsuli,  
Jakoby przy łabęciach postawił kto kruki,  
A gęste się nad nimi wleszają buńczuki.  
Tamże wszystkie narody, które jako sznuru  
Długiego się z obu stron trzymają Tauru,  
Gdzie prac Herkulesowych wlekomne mety,  
I Kalpe i Abila rosłe wznoszą grzbiety,  
Kędy Karmel, na którym, gdy trzy lata rosy  
Nie było, zmięczył łzami Eliasz nieblosy;  
Kędy Ossa wysoka, z kąd Tyfeus srogi  
Z wojskiem rosłych obrzymów wygnał z nieba bogi.  
Lidowie i Pamfili, Kambadzi, Cyreni,  
Elami, Kappadoci, Ponci i Armeni,  
Natolcy i Angurzy, Mingli, Kurdzi, Serzy,  
Kędy siarką wszeteczna Sodoma się perzy,  
Kędy klej wyrzucają smrodliwe asfalty;  
Kadurcy z Lotofagi, Arkadzi z Bisalty,  
Hirkan, Massageci, Egipt, Macedoni,  
Psylli, Baktrzy, Imawi, Pargledrzy, Geloni,

Tu łyśl Arymfei i Mezopotami,  
Fryksł, Cyrcki, Sabei, Kaspli, Albani,  
Gdzie Ganges, gdzie Eufkrat, gdzie Tanais z Nilem,  
Gdzie się lerneńska miesza hydra z krokodylem,  
Gdzie Lemno Wulkanowe, gdzie starego raję  
Małe znaki, początki ludzkiego rodzaju.  
Tu Babilon i Memfis, Trypol z Alkalrem  
Wschodni świat, rumem dzisiaj zasypany szczerem.  
Toż poblizszy Cyrkasy, Rumi i Sylistry,  
Bosnak, Bulgar, Trakowie, którym Dunaj bystry  
Wiecznie szumi za uchem; toż Krym i Nahaje  
Jak z woru ordy sypą, gdy emir wydaje  
Hardy cesarz do Polski, wzajemnym pohopem,  
Budziaki i Bilohrod lecą z Perekopem.  
Toż Wołosza z Multany, co przedtem sąsiedzi,  
Dziś nam nieprzyjaciele; tam się wszystko zcedzi  
Zgraja ona niezmierna, niezliczona gęstwa,  
Z której Polska ma świadka, póki świat, męstwa  
Cóż pisać o armacie? gdy samemi działą  
Obóz swój osnowali, za szanice, za wały,  
Z takim grzmiotem, że ledwie podobny do wiary,  
Sam to przyznał Chodkiewicz wódz i żołnierz stary,  
Który jak się marsowym począł bawić cechem,  
Nigdy tak wielkich, nigdy z tak ogromnem echem,  
Sztuk ognistych nie widział, które ziemię z gruntów  
Trzęsły, rzygając kule o sześćdziesiąt funtów.  
Toż prochy i granaty i rozliczne twory  
Na krew ludzką osobne ciągnęły tabory.  
Niestrzymane petardy, windy i moździerzce,  
Pęta nawet i dyby, kajdany, oblerze,  
Już wygraną w szalonej uprządszy imprezie  
Hardy tyran, na karku nietykane wiezie,  
Dra się trąby i surmy i w tyle i w przedzie;  
Ale po lepszych w Wilnie tańczą niedźwiedzie.  
Takie wilcy w gromniczny czas mrozem przejęty,  
Takie wydają świnię zawarte koncenty,  
Łagodną symfonią tak ślusarz pilnikiem,  
Tak osieł swoim cieszy ludzkie ucho rykiem;

Przytem dzyngi, pilszczałki, flet, kobza i z drumlą,  
Daleko piękniej gęśl gędzą i psi skumlą,  
Jakby drapał po sercu, tak tam była gróźna,  
Gdy się czwarzyć poczęła kapela przewoźna.

---

Sam stał Osman na górze pod zielonym znakiem,  
Opasany po świetnym kaftanie sajdaklem,  
Zkąd mógł wojska obaczyć, jako trzeba, obie,  
Mając grono zwyczajnych pochlebców przy sobie.  
Ztamąd ludzi szykuje niecierpliwzy zwłoki,  
Posyła na przemiany, żeby jednooki  
Huseim, sylistryjski basza, po Skinderze,  
Przy którym był wszytek rząd, następował szczerze,  
Nim się słońce nachylił na glaurskie baby,  
Jak z woru wysypawszy Turki i Arabi,  
Razem bando na dwór swój wyda w onym czesie,  
Kto pierwszój wiktoryej nowinę przyniesie,  
Sto tysięcy we złocie da, i konia z rzędem,  
I znacznym go obieca opatrzyć urzędem.

Taka straszna zawziętość, takie aparaty  
Nie przyniosły Polakom żadnej serca straty,  
Którzy Bogu oddawszy swej nadzleje skutki,  
Skoro hetmańskie kotły ogłoszą pobudki,  
Pod przestronne swych wodzów schodzą się namioty,  
Gdzie kapłani jarzące zapaliwszy knoty,  
Przed żalospną figurą śmierci jego smutnej,  
Ofiarę mu, a oraz akt skrucy pokutny,  
Upokorzonym duchem oddają, a przytem  
Żebrzą, żeby raczył być swym ludziom zaszczytem.  
Gdy pogani jako lwi i okrutni smocy  
Na nich w całego świata następują mocy,  
Aby im ich odpuścił miłościwie winy,  
Choć przynajmniej odłożył pomstę na czas inny;  
A tu, kędy wzgląd jego nieśmiertelnej chwały  
Gniewu sprawiedliwego przytrzymał zapaly.  
Každy potem z osobna, skoro serce skruszy,  
Kładzie w kapłańskie swoje niedostatki uszy;

Toż czynią i hetmani, a świętym obrokiem  
Wsparszy dusze, wszyscy dnia czekają z widokiem.  
Już się niebo bielalo, już Febus życzliwy  
Wywieszał na horyzont purpurowe grzywy,  
W pierwszej się kalwakacie wali Zefir gladki,  
Zpędzając z firmamentu bladych gwiazd ostatki  
I jeśli się jeszcze co szarej nocy płata,  
Wolnusięńkim ją szumem i lekkim tchem prząta;  
Potem szeroka rosa z zebranego łona,  
Na nizką syple ziemię mokrych pereł grona.  
Dopieroż zostawiwszy złote łoże zorzy,  
Ruszy się słońce z miejsca i wrota otworzy.  
Płomienistym dzianetem, które na świat nizki  
Pędził, ognistemi łch ustrzmiwszy igrzyski.  
Już się ptastwo ozwało, już zupełnem kołem  
Tytan idzie do góry, jeszcze się kościołem  
Chodkiewicz bawił, kiedy szpieg na szplegu jedzie,  
Że się Osman u niego kładzie na obiedzie.  
A ten skoro nabożne modlitwy odprawi,  
Wstawszy z kolan na nogi: »rad mu będę, prawi,  
Tylko niechaj nie mieszka, niech nie kwasi grochu,  
Będzie bigos gorący z ołowiu i prochu.  
Jeżeli też chce zażyć pieczeni podroźnej.  
Gotowi zarębacze czekają i z różny.«  
Toż na się zbroję bierze i świetne pałze  
Rzekłbyś, że mu się nazad wróciły trzy krzyże.  
Ani lat siedmiudziesiąt twarde blachy gniotły,  
Wraz każe w swe uderzyć wsiadanego kotły,  
Larmo zatem po wszystkich obozach się szerzy,  
Jedni do zbroi, drudzy się biorą do pancerzy,  
Wszyscy na koń wsiadają i wychodzą z szańcu,  
Rzekłbyś, że na wesele, rzekłbyś, że do tańcu,  
Że już na skroń korony wdziali tryumfalne.  
Grzmą bębny w regimentach, a kotły tubalne  
Gdzie żelazny na rzeźwych jeździec koniach siedzi,  
To basem, to dyszkantem rozprawują w miedzi  
Bez wiatru i powietrze pomagało echu.  
Kiedy trąby wesołe, surmy bez oddechu

Zadumani szyposze, co im staje pary,  
Nużą treny marsowe, w gwardyach fujary.  
O chwalebna ochoto! o kochana młodzi!  
Serce rośnie patrzącym, gdy nakształt powodzi  
Blizkie pola osuli, a mężnemi czoły  
Wyrażają zmieszany gniew z radością wpoły.  
Zakwitnęła barwistemi tamten świat proporcy,  
Że wynurzeni z Dniestru Trytoni i Forcy.  
Na dziwy; bo kiedy je Fawonius wije,  
Igrają po powietrzu róże i lilije,  
Nad któremi przybite do kopli złotej  
Równem gronem gorzały wyostrzone groty,  
Odymały się orły po chorągwiach tkane,  
A konie pod pańskiem i nogami igrane  
Wyprawują korbety, sforcują się w salty,  
Dzielniejsze na swych grzbietach czując niżli z Malty  
Kawalery; pryskają, rżą i postać w mlescu  
Nie mogą, czyniąc serce i ochotę w jeźdźcu.

— — — — —

A już hała tatarskie, jak wrzące garce  
Bełkot czynią, zagłusza; już poczyna harce,  
Już się błysnie po płaskiem bystry bułat błoniu,  
Kto się czuje na łęku i obrotnym koniu,  
A co pierwsza w żołnierzu — na odważnym sercu,  
Chociaż z placu drugiego prowadzą w kobiercu,  
Komu hetman pozwoli, onem chce igrzyskiem  
Sławy nabyć w ostatku i śmierć liczy zyskiem.  
Już strzały, już gorącą krew piły i kule,  
Gdy Morsztyn Aleksander przez rok w Jedykule  
Odpcząwszy, jako był na Cecorze wzięty,  
Żeby mu też odbrząkał w Raciborskie pęty,  
Wziąwszy harcem na arkan, za kark murzę z Krymu,  
Odda Chodkiewiczowi; ten nim do Chocimu  
Na więzienie odesłał, hetmanów w tem sprawi,  
Że się najpierwszym Osman kawalkiem udawł,  
Tak się w nieokróconym sam zaklął uporze,  
Jeżeli go nie w polskim ukusiaborze,



I nie pierwój po tym się uspokoi poście,  
Aż tam koniem po trupów naszych wjedzie moście.  
Aleć mężni Polacy dobrze sobie wróżą,  
Że trupa na pogany głowami położą;  
Nastrzelali Tatarów, języków nawiedli,  
A już czwarta z południa, wszyscy się najedli,  
Sam tylko Osman naczczu; bo jako się rzekło  
Wprzód niż jeść wszystkich nas miał zbić i wegnać  
[w plekło.

Więc do swoich hetmanów surowe śle grozy:  
Niech się harcem nie bawią, niech biorą obozy  
Glaurskie, czy mnie głodem chcą umorzyć? czy to  
Im się igrać chce? mnie jeść, bodaj ich zabito.  
I w złą wyrzekł godzinę; nastąpił zatem  
Na kozackie tabory poganie mandatem,  
Bardzo im to markotno i w oczy ich kole,  
Że im równe Kozacy zastąpili pole,  
A co rzecz żałośniejsza — na ich własnym gruncie,  
Przywłókszy rokitowe talażki w chomoncie.

Sprawą szli upierzeni janczarowie wprzody  
I Kozakom bez wszelkiej dadzą ognia szkody;  
Albowiem ci skoro swe wózki kryte lipą  
Z blizkiego brzegu rumem w półkoszках nasypą,  
Ukażą na janczary figę, i nim znowu  
Nabiją, dadzą im w brzuch gęstego ołowu  
Z działek szrótem nabitych, z nośnych samopałów,  
Wraz na nich jako osy wysypą się z wałów.  
Posiłkują swych Turcy, Chodkiewicz swych wzdziiera,  
Choć się każdy do onej potrzeby napiera.  
Ufa mężnym Kozakom, z Sajdacznym się znosi,  
Gotów mu dać posiłek, jeżeli on prosi.  
Dopiero się sam z swemi sunie eleary,  
Szyku nie rozrywając, i razem w janczary,  
Razem w jezdę uderzy, razem każe z boku,  
Z ich zasadzek plehocie w pole pomknąć kroku.  
Tak, kiedy się gra w tamtej bogaci zabawce,  
Przybywa i z tej strony / z owej nastawce;

Choć Turków po tysiącu, naszych tylko po stu,  
Lecz jeden bił dziesiąciu; obaczywszy z hróstu,  
Plechoty, choć jeszcze z dział nie strzelano na nie,  
Retyrować się nazad poczęli poganie.  
Nakoniec wzląwszy chłostę niepoślednią, zbiegli  
Do swoich, co i pola i góry zalegli.  
Jużby była i z temi dziś doszła potrzeba,  
Ale się słońce w morze pokwapiło z nieba.  
Jak się ten hałas począł, bisurmańscy smocy  
Nieporównanym grzmotem aż do samej nocy,  
Zagłuszały nasz obóz z bardzo małą stratą;  
My Turków sercem, oni przeszli nas armatą.  
Sześć koni szeregowych z pod hetmańskiej roty,  
Z inszych różnych drugie sześć w one padło grzmoty,  
Jeden pacholek, drugi Zawisza tej bitwy  
I Bohdan i Carowic, Tatarowie z Litwy  
Żywotem przypłacili; padł i Rusinowski,  
Od działa uderzony, pułkownik Lisowski;  
Jędrzejowski i Kluski, Ryszkowski z Klebekiem  
Rotmistrze, i Rakowski rozstał się z tym wiekiem.  
Prawda, że i to szkoda; lecz z nieprzyjacielem,  
Którego trupem pola szeroko zabilem,  
Złożona tym snadniej nam żal na sercu koł,  
Że znowu powetujem prędko szkody swojej.  
Doznawszy dziś i serca i sił w tym narodzie:  
Bo zawsze bezpieczniejsza łódź na młakiej wodzie.  
Układało pogaństwo w drabiny trup goły.  
Jako rolnik przed deszczem, kiedy do stodoły  
Wozi z wierzchem pod pawęż wysuszone snopki,  
Którzy nam przed godziną pisali nagrobki,  
Prowadził leda holik, leda ciura podły.  
W rzędach konie okryte bogatemi siodły,  
Skrzydła, kity, lamparty i tygrysy świeże,  
Kaftany złotoryte, strasznych lwów łupieżę,  
Łuki, szable, zawoje, pieniądze i szaty,  
Dywdyki i czapragi haftowane w kwiaty,  
Buńczuki i chorągwie i rynsztunek iny  
Prostych żołnierzów i źle strzeżone starjuyz s.

Pełen tego był obóz; ale drożej trzyma  
Osman tam zabitego baszę Huseima.  
Lepiej go było nie kłać; ten-to po Skinderze  
Umarłym, na Sylistrze prefekturę bierze;  
Ten dziś władał wojskami, chociaż jednym okiem  
Patrzył, już mu obiedwie wiecznym zaszył mrokiem.  
Brat azyatyckiego basze żywcem wzięty,  
Ale prędko śmiertelnym bólem od ran zdjęty.  
I innych co mężniejszych, znaczniejszych wiele,  
Którzy dotąd o polskiej nie słychawszy sile,  
Kiedy chcą przed lnszemi dokazać męztwa,  
Bardzo wielka od naszych ręku padła gęstwa;  
Nie Węgrzyn tu, nie Niemiec, nie Arabin nagł,  
Inakszej na Polaków potrzeba uwagi.  
Nie Budzyn tu, nie Agier, nieme mury, ale  
Co piersi, to forteca, co w twardej kuta skale,  
Do każdej dział burzących trzeba wam i miny.  
Takie przedtem rodziła Sarmacya syny!

.....

### Część V.

Wtem Osman niecierpliwy każe pallć działa;  
Zaćmił słońce gęsty dym, ziemia z gruntu grzmlała,  
Rozlegają się góry i przyległe lasy,  
Niewytrzymałym traskiem, straszne mi hałasy.  
Tak twierdzą, jam tam nie był, że z onego grzmotu  
Kilka ptaków na ziemię spadło zbywszy lotu;  
Dzieli się Dniestr na dwoje, że mógł każdy snadnie  
Obaczyć mokry plasek i kamyki na dzień.  
Jęczą skarpy głębokie, zapadłe doliny,  
A okopiałe skały równają komliny.  
Grom słuch odjął, a oddech slarczyste otręby,  
Wzrok dym, że sobie ludzie palce kładli w gęby.  
Twierdził to i Chodkiewicz, że jak począł z młodu  
Wojnę służyć, takiego huku, dymu, smrodu  
Nie uznał, jakim nas dziś głuszy, ślepi, dusi,  
Kiedy się zwawy Osman o Kozaków kusci.

Tylko też było szkody z onej srogiej burze;  
Bowiem ci w swoich szańcach siedząc, jako w murze,  
Tak szkaradą kul gęstwą, która się tam zwali,  
Jednego tylko z swoich junaków stradali,  
A skoro kilka godzin bez wszelkiego skutku  
Grzmi Osman, każe się swym zmykać pomalutku;  
Jeśli się tam jeszcze kto morduje z tym światem,  
Dorżnąć go, a te działa wszystkie z aparatem  
Wprowadzić do taboru, wygnać niedobitki,  
A tak podciąć giaurom twaroustym łydki.  
Już umilknęły działa, już nie ryczą smocy,  
Kiedy tyran zajadły wszystkie wyrze mocy,  
Żeby obóz kozacki ze czterech stron prawie  
Obegnawszy, w tak strasznej wziąć go mógł kurzawie.  
Dopieroż Turcy wałem ruszą z góry ku nam,  
Tusząc, że się Kozacy tak gęstym piorunam  
Oprzeć nie mogąc, albo zginęli do nogi,  
Albo swoich taborów opuścili progi;  
Choć, jako się wspomniało, nie bez bożej łaski,  
Jeden tylko Wasili zabit w one trzaski.  
Nie rozsypką, jak pierwej, kolano z kolanem.  
Inaczej się chcą pisać dzisiaj przed Osmanem,  
Który z najwyższych szczytów onej góry długiej,  
Będzie sam swych rycerzów karbował zasługą,  
Zielona go chorągiew, choć zdaleka znaczy,  
Zkąd każdego w tem polu swem okłem obaczy.  
Długo leżą Kozacy jako włęc zwykli łowiec  
Na lisa i wilk, kiedy widzi stado owiec,  
Nie pierwej ten wypada, tamten zmyka z smyczy,  
Aż się zbliżą, aż będą pewni swej zdobyczy;  
Tak Kozacy swego się trzymając fortelu,  
Nie pierwej się objawią, dokąd im na celu  
Nie stanie nieprzyjaciel; toż mu ogień w oczy  
I z dział i ręcznej strzelby sypą, a z uboczy  
Zawadzi w nich Chodkiewicz i o gołe brzuchy  
Skruszywszy drzewa, sroższej doda zawieruchy,  
Gdy dobywszy pałaszów, jako lew z przemoru  
Pierwszego bismurmanom przygasa humoru.

Zapomnił się pogaństwo i strasznie się zdziwił,  
 Że Kozacy strzelają i że jeszcze żywi,  
 Że ich wszystkich burzące nie pognułoty działa;  
 Smutnie przeto zawywszy swoje hałła! hałła!  
 Skoro ci jeszcze do nich wysypą się gradem,  
 Naprzód im czoła strachem podchodzły bladem.  
 Potem kledy Chodkiewlcz wsiędzie na ich roje,  
 Ze łby im ostrą szablą zdejmuje zawoje,  
 Zwątplwszy o posiłkach zwyczajnego toru  
 Dzierząc się, uciekali do swego taboru.  
 Nie pomoże Mahomet i carska powaga,  
 Gdy śmierć chwyta za gardło, gdy się serce strwaga,  
 Żadne względy nie idą, jeden strach ma oczy,  
 Jak znowu krwią pogaństwo pole uposoczy:  
 Bo naszy i Kozacy, co im staje siły,  
 Sieką, kołą, strzelają bojaźliwe tyły.  
 Targa włosy na głowie, gryzle sobie palce  
 Zjadły Osman, żurzy się na swoje ospalce,  
 Już nie wlerzy, żeby był Mahomet na niebie,  
 I swych, i nieprzyjaciół i znowu klnie siebie;  
 Potem się zapomniawszy kiwa tylko głową,  
 Kiedy Turcy osobą gardząc cesarzową,  
 O jego się tak blisko oclerając strzemię,  
 Uciekają, nakoniec pięścią tłukąc w ciemię  
 Od gniewu, i samemu przyjdzie się rozgrzeszyć,  
 Przyjdzie i nieprzyjaciół niestetyż rozśmieszyć,  
 A uchyliwszy onej prześwietnej grandece  
 Uciec z pola, sekłowi wyrzuclwszy lejce,  
 Zwykłe swoje ozdoby, forgi, pierza kinać,  
 Wszystkich by chciał uprzedzić, wszystkich by chciał  
 Ale póki w polu stał, jeszcze się wstydał, [minąć.  
 Jeszcze się jakkolwiek Turcy oplerali;  
 Skoro uciekł, skoro się do namiotu schował,  
 Wszystkich w drogę rozgrzeszył i licencyował.  
 I armaty odbiegli, część tylko zawczasu  
 Umknęli fej puszkarze, nim do dutepasu  
 Przyszło; więc że każde z nich przykute łańcuchem  
 Do drzewa, ani radzić mogło się obuchem,

Koła w trzaski i w drobne porąbawszy sztuki,  
Działa w Dniestr rzucą z skały ze ścietem buk.

Ale nie tu szczęśliwa wiktorya stanie;  
Bo skoro z pola w obóz uciekli poganie,  
Nie dając i odetchu, ale stopy w stopy  
Kładąc, weszli i nasi za niemi w okopy.  
Tam gdzie w pięknej równinie i przez małe pole,  
Tak bardzo Zaporozec Turków w oczy kole;  
Tam póki pogan sęką i namioty krwawią,  
Póki łupem nieszczęsnym naszy się nie bawią,  
Póty ci uciekają i by chcieli byli  
Szczęścia zażyć zwyciężce, wlecełby sprawili  
Przez ten jeden dzień, niżli przez czterdzieści całe;  
Mogliśmy, mogli skrócić dziś Turki zuchwałe,  
Już namioty rzucają, już konie od kolów  
Biorą, już pędzą stada mułów i bawołów,  
Już się wszyscy sowitą obłowią zdobyczą,  
Już w pogańskich obozach imię Jezus krzyczą;  
Już do wielkich wezyrów, do agów, do baszy  
Wieść przyszła, że już wzięli ich tabory naszy;  
Pełno tumultu, pełno na wsze strony trwogi,  
Ci się juczą na drogę, ci się grzebią w stogi;  
A naszy nie przestawszy skrzyń i wozów łupić,  
Dali czas, ach dali czas, pogaństwu się skupić!  
Które, gdy ich zastanie na paszy i lepie,  
Zajmuje ich rozsypką jak bydło na rzeple.  
Kto legł, leży; lecz kto się żywcem dostał w ręce,  
W srogim bólu umierał i w okrutnej męce.  
A ostatek skoro się łupami obciąży,  
Pójdzie w nogi i na swe stanowiska dąży.  
I tak ci Zaporowce, z naszych ciurów zgrają,  
Kiedy więcej zdobyczy niż sławy patrząją,  
Skropiwszy bisurmańskie swą krwią stanowisko,  
Przegrali, uczynili z siebie śmiechowisko.

---

## Poświęcenie.

Mojej wielce i jedynie kochanej synowej, jejmości pani Aleksandrze ze Stogina Potockiej, podczaszynie krakowskiej, przy posłanym Sylorecie.

W dożywotnej przyjaźni zwłazek resztę domu,  
Która mi zostawała od śmierci pogromu  
Kochanego (nie dziw! bo jedyny był) syna,  
Dałem ci smutny ociec, zacna podczaszyna!  
Żeby serce, które żal cogodzinny płatał  
Gorzej od Prometego orła, tem załatał.  
Anim się zawiódł, kiedy bez wszelkiej przygany  
Twoje cnoty przypadły plastrem do mej rany.  
Wróciła mi się na świat w proch rozsuta w grobie,  
Łez dożywotnich źródło, córka moja w tobie.  
Wrócił starszy syn, który niemniej duszę nęka  
Na wojnie utracony, gdyś powiła wnęka.  
Już-em oczy z przeszłych łez na przyszłe pociechy  
Ocierał, aż mi znowu śmierć przebiła miechy.  
Zepchnię z deski rozbita, nie dosyć jej na tem,  
Że mu nieda choć szczupłym dojść do brzegu batem,  
Ostatnim dom i serce tryumfem zwycięża,  
Mnie syna w młodym wieku, tobie wzięwszy męża.  
Nie masz w tak srogim żalu prócz płaczu ochłody,  
Nie masz nadziei żadnej wetowania szkody.  
Poszło wszystko, co było od natury, z dymem,  
Nie masz nad mnie sleroty, uważywszy, czym-em  
Był? a czym-em teraz jest? sądów bożych biczem  
Strasliwie porażony, niczem przebóg! niczem;  
Zginęło, co mi tylko zginąć mogło w ciele,  
Ach! gdybyż można z Jobem usiadłszy w popiele  
Łzami zjątrzone żalu serdecznego strupy  
Krajem ostrej na ulgę oskrobać skorupy!  
To, co mam od fortuny, z żywota przydatkiem  
Dałbym wszystko za dziecł, sumlenie mi śwladkiem,  
Wszystko, co ludziom — złotem, u mnie już ołowiem.  
W chlebie smaku nie czuję, nie cieszę się zdrowiem,

Ani mi szkoda przykra; to na serce sroże,  
Że jest jeszcze, w czem zadać fortuna ją może.  
Jednego tylko Joba widział świat podniebny,  
Inszy się nie weselił po szkodzie pogrzebnej;  
Drugiego Tobiasza, że bozkich zakazów  
Przestrzegał, da mu syna z oplakanych razów;  
Prócz tych dwóch, nie masz w dawnym, nie masz w wie-  
[ku naszym,  
Co-by się z Jobem równał, albo z Tobiaszem.  
Komu raz śmierć choć krótki przetnie życia motek,  
Jużci nie zwłáže, acz-ci siła o tem plotek  
Poganie z bogi swemi popisując, marzą,  
Albo jako papugi albo kawy gwarzą.  
Z nich i ja wzięwszy pochop — jeśli mnie kto spyta  
Na co? tonący, rzekę, i wiszu się chwyta —  
W ojcu, który dwu synów, trzeclą stracił dziewczkę,  
Tyleż miałwszy sam, niosę-ć rzeczy ziemskich  
[śpiewkę.

---

### Ogrod fraszek.

*Ogrod, ale nieplewiony; brog, ale co krok  
to inszego zboża; kram rozlicznego gatunku i t. d.*

Czemu żydzi szalbierzami.

Że żydzi szalbierują, nie trzeba dowodu,  
Bo im to od Jakuba jeszcze idzie z rodu,  
Który jako Eżawa, brata odrwił w jusze,  
Potym ojca Izaka w koźlęcej opusze,  
Jako, gdy go teść pstrymi oddzielił jagnięty,  
Pstre strugał i przed owce kładł do żłobów pręty,  
Gdy się gziły z barany i także jagniątka  
Rodziły, czego w świętych pismach jest pamiątka.  
Jako ukradłszy srebrne ojcu Rachel bogi,  
Kiedy ich szukał wszędy, skryła je pod nogi,  
Jako drwiły żydowskie z Faraona baby,  
Jako za mamkę wziął Mojżesz; chybaby



Nie czytywał, kto nie wie, jako bracią zbłądził,  
Jako się ich nastraszył Józef i nadrażnił.  
Lecz największej z Egiptu wyście dowod zdrady,  
Gdy pożyczwszy między klejnotow samsiady,  
Na wieczne nieoddanie, za Czerwone Morze,  
Pewnieby trzeba po nie pławy mieć kaczorze.  
Nie dziwuj się dziś, widząc szalbierując żyda,  
Wszystkie cnoty minawszy, w tym przodkow nie  
[wyda.

#### Galantomo.

Boga zapomnij, nie słuchaj sumienia,  
Będiesz dobrego u dworskich imienia.

#### O siecka sprawa.

Będąc król Zygmunt z królową w kościele,  
Postrzeże z góry Pretfica, że śmieie  
Z panną żartuje; więc gdy było po mszy,  
Rzecz do niego. Nikt nad cię wiadomszy,  
Idź daj tę kartkę marszałkowi Tryźnie;  
Gdzie pisze: proszę zaraz w gotowiznie,  
Niech dojdzie sto plag korbaczem na ławce,  
Dla mojej łaski téj kartki oddawce.  
Niech się nie sprawia, niechaj się nie kręci,  
I na to zwykle przyciśnię pieczęci.  
Przeczuł onego zdrajca oblecadła,  
Zwłaszcza kiedy ples wie, że ruszył sadła.  
Radby wakansu w skok ustąpił komu,  
Albo z Warszawy umknąć pokryjomu.  
Potka się z Szwedem a królewskim ziomkiem  
I pokojowym, tuż przed samym zamkiem:  
»Braciszku — rzecz — nim się wrócę z Pragi,  
Zkąd wyprawuję listy wielkiej wagi,  
Racz się, tej proszę, podjąć robocizny,  
A odnieść kartkę do marszałka Tryzny\*.  
Poznawszy Walter sygniet z pańską ręką,  
Z wielką się podjął legacyej wdzięką.  
Czyta marszałek; raz w papier, nań drugi  
Patrząc: »przez co-żeś do takiej posługi

Przyszedł, kochanku, za one sekrety,  
Z królem grasz passa a ze mną pikiety.  
Prosi go siedzieć, potem mlasto wódki  
Daje mu kartkę czytać bez ogródkł.  
Miasto piernika i jakiej słodyczy,  
Ławkę, kobierzec, korzeń niosą byczy.  
O wielki chodzi Szwedowi wstyd z bólem,  
Prosi, żeby się mógł obaczyć z królem.  
Prosi o małej godziny kawalek;  
Że dać nie może, sprawia się marszałek.  
Tamten, że Pretfic dał kartkę oto tę;  
Ten, że mu wszelką odcięto sprawotę,  
Po długiej tedy dyspucie z stron obu,  
Nie mogąc naleźć inszego sposobu,  
Dano Niemcowi pikietę bez oka,  
Aż wystąpiła przez pludry patoka,  
Że nleboraczek do gospody ledwie  
Zaszedł w godzinę potem czyli we dwie  
Pyta król Tryzny, jeśli go z kredytu  
Uwolnił wedle posłanego kwitu.  
I owszem — rzecze — aż napełnił worki.  
Niech mają pokój panieńskie rozporłki,  
Trzeba było dać przykład wiekopomny.  
Na to marszałek: »Zawsze-ć się zdał skromny,  
Zawsze się Walter fraucymeru wstydził,  
Cóż mu się stało, że teraz pobródził?»  
O Pretflicu król mówi nie Walterze.  
»Ba, jużci słyszę, lecz myłka w tej mierze,  
Bo Pretfic zgrzeszył, Waltera aż do sta  
Plag dziś potkała za twym kwitem chłosta.  
Zaś! pojrzy nań król, a cóż drwicie, panie,  
Wzdy wam miał Pretfic oddać to pisanie.  
Pretfic — bo tam stał i w rzeczy nic nie wie —  
Rzecze mu z śmiechem uwalanym w gniewie,  
Oddażeś kartkę z naszym charakterem,  
Komuć kazano? »Z panem się Walterem  
Potkawszy — rzecze — moim lubym bratem,  
Nim z Pragi wrócę, miał ją oddać zatem.

Wszak doszła ręką mości dobrodzieju.  
A król: Nie chciałeś błaznie przywileju.  
Ten się kłaniając: »Pieczeńć twarda — rzeczce —  
Że się do niej wosk przez pergamin wlecze«.  
Poszło to w żarty, a Walter swą chłostą  
Został upitskim nazajutrz starostą.

### Kazanie wielkopiątkowe.

Pił pleban w wielki czwartek z wikarym do świtu,  
Więc gdy wedle starego na ambonie kwitu  
Iść przyszło, rzeczce pleban: »mój księżu wikary  
Żal mi Pana Jezusa bez końca, bez miary,  
Że słowa rzec nie mogę; proszę, miły panie,  
Chciejcież za mnie powiedzieć tak smutne kazanie«.  
Ten też gdy głowę strudzi gorzałczanym dymem,  
I mnie-ć go żal i mnie-ć był pewnie nie ojczymem.  
Tak nic nie powiedziawszy obadwa przed żalem,  
Poszli spać do komory miasto Jeruzalem.

### Bankiet włoski.

I sam będąc w Krakowie i przez swoje sługi,  
Prosił mnie Włoch na bankiet z sobą raz i drugi,  
Żebym od jego syna jachał w dziewosłęby,  
Głupi, kto swej na cudzy chleb żałuje gęby,  
Pomyślawszy, stawię się. Gdy przyszło do stołu,  
Po konfektach wyglądam kapłona z rosółu,  
Obrus z śniegiem, z zwierciadłem talerz o met chodzi,  
Piękne wszystko; ja spluwam, apetyt się rodzi,  
Aż z rzodkwią młode masło przetykane chwastem,  
Pierwszym przed mnie gospodarz kładzie antypastem.  
Aż niosą zuppenwasser, polewkę z pietruszki,  
Przyprawny móździek z główką i cielece kruszki,  
Ślicznem kwieciem upstrzone. Z sobotniego postu  
Nie wachać, ale mi się dziś jeść chce poprostu.  
Kładzie przed mnie dobyte z onej główki członki,  
A ja wyglądam z czosnkem wołowej wędzonki,

Ledwie drzwi skrzypną, albo sztuki mięsa z grochem;  
    Że główki nie rad jadam, przysięgam przed Włochem.  
Aż na upstrzonej misle w rozmaite wzory  
    Dwanaście wróblów niosą nam z kalafioru.  
I na ząb mi nie padnie, choć-em ich zjadł kilka,  
    Trudno się mięsa najeść, gdzie kość jako szpilka.  
Nastąpią malowane galarety za tem,  
    Myślę, co dalej czynić mam z tym odrwiświatem.  
Czy ja krowa na głąby, czy koza na kwiatki?..  
    Gniewam się i co tylko mu nie wspomnę matki.  
A wtem dadzą pieczone ostrygi i żaby;  
    Rozumiejąc prawdziwie, że wleprzowe schaby,  
Albo jakie misterne opleczone ptastwo,  
    Słęgnę z nożem do misy, aż ono plugastwo!..  
Wytrząsa Włoch z skorupy, kosteczki osysa,  
    Aż druga znowu po tej następuje mlsa:  
Para w niezasuszonych gołąbłatek pałkach,  
    Tam są rznęte kogutom grzebyki przy jajkach,  
Toż kochane blamaże; na samo przezwisko  
    Miasto jedzenia już mi do ublwaniania blisko.  
Wety potem z dawnego nastąpią zwyczajn,  
    Naprzód rozmaitego sałaty rodzaju,  
Szpinaki z selerami, szparagi z karczochem,  
    Białe grzanki jakimś posypane prochem,  
Parmezanu jak papier i orzechów garstka.  
    Wziąwszy potem kielszek mniejszy od naparstka,  
Z rozlicznemi figlami, jako kryształ czysty,  
    Bon proface, seniore! de la chryma Christi  
Pije do mnie, ja sobie po polsku tłumaczę:  
    Że za stołem od głodu ledwie nie zapłaczę;  
Więc co przytknie do gęby, to patrzy, to słucha,  
    Więcej nie połknie tylko jako jedna mucha.  
Za każdym razem mlaśnie i oka przymróżę;  
    A mnie też bardziej ckliwo, im smakuje dłużej.  
Zaczem, ledwie mi oddał, wszystko oraz całkiem  
    Tym kieliszkiem mizernym połknąłem michałkiem.  
Obaczywszy to ów Włoch, pojrzy na mnie krzywo,  
    Że tymże haustem wino, którym piję piwo.

Więc że drugiego czekać trzeba było długo,  
Dziękuję za ów obiad, oblecuję mu go  
Odwdzięczyć; prowadzi mnie na ostatnie schody,  
Zbieram nogi co prędzej do swojej gospody.  
Już czeladź po obiedzie. Złodzieje, czemuście  
Zjedli? Jeszcze została słonina w kapuście,  
Jest i bigos cielęcy. A ja krzyknę głosem:  
Dawaj po włoskiej uczcie kapustę z bigosem.  
Walę łyżką oboje, toż wysławszy boki,  
Wypłwszy garniec wina, przysięgnę, że póki  
Włosi w Krakowie, a ja póki żywy będę,  
Do włoskiego bankietu naczcho nie usłędę.  
Nazajutrz każę chłopcu, żeby miał nóż myty:  
»Pójdę znowu do Włocha, pójdziesz ze mną i ty.«  
Dopieroż ten niecnota pocznie kłać i łać:  
A kiegoż tam nieszczęścia nożem — rzece — krajać,  
I po gębie tam mało prócz jednego nosa,  
Gdzie jeść nic, tylko wachać delicata cosa.

---

### D o m a n a j l e p i e j .

Trzy rzeczy gospodarza wyganiają z domu.  
Pierwsza, kto ma złą żonę. Druga, jeśli komu  
Za kołnierz z dachu kapie. Niedostatek trzeci.  
Zamkniesz drzwi, któż przed głodem oknem nie  
[wyleci?  
A jabym zaś złą żonę wolał wygnąć z gmachu,  
Wolałbym dziurę gontem załatać na dachu,  
Niżeli się sam włóczyć, i co się tknie głodu:  
Nie masz doma, nikędy nie będzie dochodu.  
Wolno wierzyć, wolno nie: jakie takie śmieci,  
Najlepsze kiedy swoje, powiedam waszecl.

---

### C o m a ś w i ę t o p r z e d p o w s z e d n i m .

Chlubila się niedziela i insze święte dni,  
Że żaden z nimi zównać nie może powszedni,

Bo tam zawsze robota pot wytacza z czoła,  
W niedzielę prosto ludzie do karczmy z kościoła.  
Aż któryś z tych: Tańcować nie byłoby o czym,  
Gdyby się nie zdobyło dnem grosza roboczym,  
Nie znać by było święta, nie znać i niedziele,  
Gdyby nie było potu przez tydzień na czele.

---

Źle zrozumiawszy, nie nauczysz dobrze.  
Szlachcic jeden powiedział gościom przy obiedzie:  
Kto umie po łacinie, że wszędy przejedzie.  
Słyszac to prostak jakiś, więc gdy go ksiądz pyta,  
Stojącego nad rzeką: jeżeli przebyta  
Jeśli ją w bród przejedzie, powie na pytanie:  
Umiecie po łacinie, śmiecie jedźcie na nią.  
Rozumiejąc że żarty, ledwie koniem ruszy,  
Wpadnie w wodę nieborak ksiądz, po same uszy,  
Bowiern rzeka po deszczu wylewała z brzegu.  
Ledwie się ostatniego skaraskał noclegu,  
Wskok na skargę do pana, choć się wody opił:  
Że go zły człowiek o włos w rzece nie utopił.  
Toż skoro ów przed panem stanie, tak nań fuknie:  
Widzisz jako zepsował ten ksządz sobie suknie.  
Gdyby utonął, jakiej podlegałbyś winie,  
Zły człeku? Wždy, odpowie, umiał po łacinie,  
A waszećleś powiedział, nie pamiętam przy kim,  
Że świat może łacińskim przejechać językiem.

---

#### Tace swarliwej żenie.

Ustawne włodac z żoną szlachcic jeden swary,  
Kupił jej na jarmarku szklanych tac trzy pary.  
Tyleż kupił na drugim, jechawszy do miasta,  
Tyleż na trzecim. Łaje swarliwa niewiasta,  
Że rzeczy niepotrzebne kupuje tak drogo.  
W czym gdy się księdza radzi: milcz, rzeczce,

Milcz, po naszymu, znaczy po łacinie: tace,  
Przetoć je to kupuje, nie żalując płace.  
Nie swarz się z nim ustawnie, jako baba krupna,  
Inaczej przestanleć on po chwili tac kupna.  
Ale wspomniesz i stanieć niebogo za tace,  
Kupili korbacz, którym grzbiet ci wykołace.

### Mleczek z Śmietanką.

Dwu, Mleczek i Śmietanka, z szlachty się pospołu  
Zjechało na wesele, więc skoro do stołu,  
Że się tu pospolicie ludzie zwykli wadzić,  
Pyta gospodarz, kogo z nich wyżej posadzić.  
Śmietana nie chce gwałtem łuszego frymarku:  
Niech tak u stołu, jako siedliśmy i w garku,  
Niechaj pan Mleczek, proszę, na wzgardę natury  
I zwyczaj, nad śmietaną nie przywłaszcza gory.  
Wnet ja tę, rzecz Mleczek, uspokoję sporę,  
Kogoż wyżej sadzają, matkę czyll córę?  
Mleko rodzi śmietanę, więc tym uczcić matkę;  
Niech maślonekę posiada, nie mnie i serwatkę.  
Wszystko to moje córki; jako która godna,  
Niech siedzi; wždy najwyżej przecie, pierworodna  
Słyszac Maślicki z Sernem, śładźmyż my na rogu,  
Bo masło bez śmietany, ser nie bez twarogu.  
Gdyby tu Serwatkowski z Maślankowskim jedli,  
Pewnie by nas u stołu tego nie posiadli.

### Na skąpego.

Pewnego we Francyej ten był zwyczaj miasta,  
Obsyłać się, jeśli kto wieprza zabił z ciasta,  
To pieczeniłą, to głową, kiszką, schabem, chrzeptem.  
Puść na kata złodzieja i z jego conceptem.  
Skąpiec jeden tłustego zabił wieprza w domu,  
A nie chcąc, choć był wszystkim winien słać ni-

Radzi się z tym sąsiada, z którym przyjaźń bliska,  
Jakoby mogli i szkody ująć i obmowiska.  
Włęc po długiem na to się zgodzili radzeniu:  
Że chwilę w noc wieprz on wisiał na podsieniu;  
Potym go schowasz; niechże czeladź z tobą twierdzi,  
Że go zaraz z wieczora ukradziono z żerdzi.  
Żebyś bezpieczniejsz kłamał i wierzonoc snadniej,  
Nie karz go strzedz nikomu i sam go ukradni.  
Lecz nie chciał dobry sąsiad, aby taka wada  
Skępstwa, kłamstwa, złodziejstwa padła na są-  
[słada.  
Ledwie głupi gospodarz śledzie do wleczrze,  
Sam przyszedzszy bezpiecznie wieprza z kołka ble-  
[rze,  
Więc nazajutrz, skoro się oba zejdą z sobą,  
Niesłychaną się skarży gospodarz żalobą.  
Że mu wieprza owego ledwie za prog krokiem  
Przestąpił, wczora samym ukradziono mrokiem.  
A sąsiad: tak powieść trzeba koniecznie.  
I kiedy ten, że zginał, przysięga statecznie,  
Że złodziej, aż go tam kat na haku zawadzi,  
Ukradł: tak trzeba twierdzić rozkazać czeladzi.  
Powie mu: Szukalić, lecz nie mogli, ow rzece,  
Poszlakować. Czyś kradł z młodszych lat czło-  
[wlecz?]  
Tak zmyślasz umlejętnie. A gospodarz znowu:  
Nie kłamam, nie zmyślam, wierz cnotliwemu słowu,  
Ze ledwiem siadł do późnej wleczrzy na stołku,  
Każę wyjrzeć, aż wieprza nie masz już na kołku.  
Ten zaś: ani po śmiechu, ani znać po czole,  
Że zmyśla i mnieć ledwie nie wywiedzie w pole.  
Com go tej uczył sztuki. O pojętność bystra!  
Jako widzę, przeszedłeś od razu magistra.  
Im się ów bardziej sili, klnie, przysięga, krzywił,  
Śmieje ten, a jego się dowcipowi dziwił.  
I po długiej dispucie niecnota weń weprze,  
Że schował wedle rady, ukradzszy sam wieprze,



Toż kiedy miał odchodzić, kleplący go w ramię:  
Jedz zdrow sąsiadku, rzecz, a pomni też na mnie.  
Ten barkami ruszywszy, wchodząc do gospody:  
Bodaj że go zabito! jeszcze kpi do szkody.

### Icon narodow.

Kiedy w jerozolimskiej ciemnicy Pan sledział,  
Każdemu jego własny przymiot opowiedział,  
Kto go kolwiek nawiedził. Więc Polacy wprzody,  
Przyszedszy cicho z swojej w północy gospody,  
Odbijemy Cię Panie, wszystkich środków ruszmy;  
Każeszli, wysieczemy ciemnicę z ratuszem.  
Podziękował im, a wraz za onę ochotę  
Dał męstwo, serce, dzielność, bohatyrską cnotę.  
Niemcy w tropy za nami: choćby i najdrożej  
Odkupim Cię, wszystka się na to Rzesza złoży,  
Chociażby we dwójnasob, niż Cię Judasz sprzedał.  
Także podziękowawszy, Pan im odpowiedział,  
Że mu trzeba i siedzieć i umrzeć w tej kunie,  
A jako tego wdzięczen, rozkaże fortunie  
Gdziekolwiek pojdą morzem lub po ziemi niskiej,  
Żeby nosły sowite ich towary zyski.  
Przyszli też Ruś i Węgrzy: Panie bez hałasu,  
Bez kosztu wykradniemy z tego Cię tarasu.  
Idźcie ludzie nieczyści i posługi takiej  
Nie płacę wam inaczej, na pale, na haki.

### Fortel w kupieniu konia.

Brat krakowskiego żołnierz kanonika,  
Widząc u niego rażnego konika,  
To proszą, to nań za pieniądze godzi.  
Ksiądz go nie chce zbyć, lekko mówiąc, chodzi;  
Żadnego nie ma do siebie narowu,  
Nigdy nie wlerzgnie, posłuszny i słowu,

Nie tylko prętu; szłapi co się tycze,  
Na nim pacierze mawiam kanonicze.  
Ow przecie prosi, że to koń do blegu,  
Do wojny rączy albo do szeregu.  
Niechaj ksiądz w izbie swe pacierze trzeple,  
A chceł w polu, tedy na pareple  
Obaczysz księże, na ostatek mowi,  
Żeć albo zdechnie, albo się znarowi.  
W kilka dni potym, gdy lekarstwa bierze,  
W izbie kanonik odmawiał pacierze.  
Żołnierz, na koniu wyjechawszy w pole  
Ostrogami go w oba boki kole;  
Co raz się żegna, pacierze poczyna,  
A konia pod brzuch kańczugłem podcina.  
Nie bywszy w takim ćwiczeniu jak żywo,  
Wierzga, łbem rzuca. bo mu srodze ckliwo  
Ledwie ow rękę do żegania kinie,  
Ledwie przemowi, ten dobrze nie zglinie,  
W ziemię by przepadł. Tak kiedy go wprawi,  
Zsiadzy na jego staniu go postawi.  
W kilka dni potym opatrzywszy zdrowie,  
O żadnym kapłan nie myśląc narowie,  
Wsiada na konia już za Kazimierzem;  
Chce się zwyczajnie zabawić pacierzem.  
Pocznie się żegnać, puścił cugle z ręku,  
Koń wierzgnie, a ksiądz jak nie był na lęku.  
I tak z twardego ciała depositu  
Nie przyszło mu tam kończyć introitu.  
Toż wróciwszy się pleszo do gospody,  
Niechaj psi z tego marchy mają gody.  
Prawdeś, mój bracie, powiedział mi, drogi,  
Już go sobie weźm, lecz nie bez przestrogi.  
Jeżli się szkapą przeżegania stracha,  
Nie wiele na nim pałaszem namacha.

Jeden błazen tysiąc błaznów urobi.

Widząc frant, że się ludzie dziwią leda czemu,  
Rozkazał na jarmarku obwołać woźnemu,  
Że takiego na swojej stajni konia chowa,  
Co ma w tym miejscu ogon, gdzie miała być  
[głowa.

Kto chce widzieć, gdzie nowo wystawiona buda,  
Przyszedłszy o dziewiątej szostak na to uda.  
Nazajutrz gdy się zbiegli różni ludzie z obu  
Stron miasta, kuglarz konia za ogon do żłobu  
Uwłazawszy, szostaki wyblera jak myto,  
Każdy idzie plunąwszy, bogdaj cię zabito!  
Lecz że nikt sam niechciał być mianym za prostaka  
Żeby drugich nie przestrzegł, odzali szostaka.

Ktore zwierze nie zębami a kasa.

Lew, pies, dzik, lis, koń, wąż, zębem kasa srodze.  
Jeden tylko językiem człek człowieka głodze.  
Kasa wołu, jelenia zębami i z dzikiem;  
Nad bliźnim jadowitym pastwi się językiem.  
Wždy węzową truciznę wysysają żaby.  
Ktoby też rzekł, że członek, tak miękki, tak  
[słaby,

Co gorsza nie przytknięty i barzo zdaleka,  
Miał śmiertelną trucizną ukąsić człowieka.  
Językiem siebie w raju, gdy jabłka kosztuje,  
Dziś złorzecząc językiem, człek człowieka psuje,  
Tak i jedząc i mówiąc zły ozor człowieczy  
I siebie i bliźniego na wieki kaleczy.

Na okulary.

Wleprza kupował doktor a że już był stary,  
Nie dojrzał, przeto na nos włożył okulary,  
Przez które, acz rzecz była i mała i chuda,  
Bardzo drogo zapłacił, skoro mu się uda.

Dowiedziałwszy się żona tak łając przyskoczy:

A gdzieżeście podzieli, miły panie, oczy?

Prosię tak drogo płacić? Miła, rzecze, pani,

Nie przypatrzysz się wprzód głupi tak gani.

Toż gdy jej okulary zawiesi na nosie,

Mówże teraz że drogi, że nie wleprz, że prosię.

Usiadł doktor do stołu, nie myśląc o zdradzie,

A żona przy talerzu okulary kładzie.

Więc że mały kawałek włożyła w jarzynę,

Mając dobry appetit pyta o przyczynę.

Ona mu co rychlej dobywszy z puzderka,

Kładzie na nos: patrz jedno, a małaż to szperka?

## WESPAZJAN KOCHOWSKI

(1633 — 1700).

Żołnierz i ziemianin. Takie było powołanie szlachty polskiej, takie było też oblicze duchowe poetów, którzy z tej szlachty pochodzili. Świetnym jej przedstawicielem był Wacław z Potoka Potocki, nieodrodnym jej synem był także Wespazjan z Kochowa Kochowski.

Ród Kochowskich, herbu Nieczuja, nie zapisał się w historii ani wysokimi godnościami, ani zaszczytami lub sławą rycerską. Był zwykłym rodem ziemiańskim, który siedział na ziemi w województwach sandomierskim i krakowskim i gospodarował w Mękaczowie, Kowinie, Liniowie, Gaju, Kowalkiewiczach, Piotrkowicach, Wilkocinie, Zalesiu, Gorzyczanach, Goleniowach i Moskorzewie.

W jednej z tych majątności, we wsi Gaj, niedaleko klasztoru Święto-Krzyskiego na Łysej Górze, mieszkał w początkach XVII-go wieku Jan z Kochowa Kochowski, marszałek sądów kapturowych województwa sandomierskiego, cieszący się między współzemiańcami wielką popularnością. Był to obywatel zacny, odznaczający się głęboką nauką i znajomością prawa. Małżonką jego była Zofja z Janowskich.

Pan marszałek miał liczną rodzinę: pięciu synów i dwie córki. Najstarszym z pomiędzy synów był Hi-

ronim Wespazjan, urodzony w r. 1633-clm, któremu przypało w udziale przekazać rodowe nazwisko Kochowskich dalekiej potomności.

W ojczystym Gaju przepędził przyszły poeta lata dziecięce i chłopięce.

Musiało mu tam być dobrze, skoro już w wieku dojrzałym będąc, z przyjemnością do wspomnień z dzieciństwa powraca i z prawdziwym uczuciem o swojej wsi rodzinnej opowiada.

»Tu ojciec z dzlady, krewnych gromady

I mali wnukowie

Dzieciństwa doszli; tu w zgodzie rośli

Przy swej starszej głowie.

Tu na pagórku, w drewnianym dworku

Pierwsze krotofile,

Ptastwo swawolne, powietrze wolne

Gwałcąc, cieszy mile.

Choć mała niwa, lecz plenne żniwa

Bujna Ceres daje,

Wszystkiego zgoła, choć w pocie czoła

Pracując, dostaje.

Błogosławieństwo, nasze starszeństwo

Tu od Boga miało,

Zawsze im chleba, jako potrzeba,

Dosyć wystarczało.

Z tego widać, że w ojcowskim »drewnianym« dworku zbytków nie było, ale panował dostatek.

Kierowany przez znającego wartość nauki ojca — mówi biograf poety, Adam Rzązewski — wczesnie młody Wespazjan oddany został do szkoły, myli się jednak, przypuszczając, że tą szkołą była szkoła jezuicka w Sandomierzu. Nowsze badania ustaliły, że Wespazjan uczył się w szkole Nowodworskiego w Krakowie (w latach 1646—48). Do Akademii nie uczęszczał. Nie były to zresztą czasy, sprzyjające nauce. Młodzież, jak zwykle w takich chwila-

lach, garnęła się raczej do życia obozowego, odkładając książkę na później.

Uniesiony tym prądem, powszechnym wówczas, spędził poeta dziesięć najlepszych lat swego życia w służbie ojczyzny (1651 — 1660), walcząc przeciwko kozakom (brał udział w bitwie pod Beresteczkiem), Szwedom i Węgram.

W okresie tym ranny był dwiema kulami w bitwie ze Szwedami pod Gnieznem.

Ranę tę, jak sam opowiada, otrzymał wskutek niewiary. Rzecz się tak miała: na dzień przed bitwą, w katedrze gnieźnieńskiej »ciekła krew żywa z krzyża Chrystusa Pana, co wszyscy widzieli«. Widział i on wraz z innymi, ale, nie wierząc oczom, dotknął pozostałej na ołtarzu krwi kropli. Za to, jak niegdyś Osa za dotknięcie arki, nie został wprawdzie ukarany, jak tamten, śmiercią, ale dwukrotny otrzymał postrzał.

Szczegół ten przyczynił się niewątpliwie do późniejszego religijnego nastroju poety, który ślubował:

»Więczę tę rękę, jako z bólu wzmoże,  
Twej ofiaruję chwale, o mój Boże;  
Wierna potem Twoje cuda  
Ogłosi piórem pośród wszego luda« —

i ślubu tego dotrzymał.

Koniec jego żołnierki przypada na pokój oliwski. Do wojny moskiewskiej już się nie mieszał, i skołatany trudami obozowymi, pod strzechę ojczystą powrócił. »Tu — mówi Rzązewski — używał wczasu, Muzami się bawiając. Wspomnienia z odbytej wyprawy wojennej, dawniejsze lub współczesne nieszczęścia i powodzenia publiczne znalazły odgłos w jego pieśniach i imię jego zaczęło się stawać głośnem w kraju, jakkolwiek poezje jego, jeszcze niedrukowane, w odpisach tylko po rękę sąsiadów, przyjaciół i krewnych krążyły«.

Życie Jego ówczesne pełne było spokoju i pogody. Ożeniony z Marjanną Misiowską (może Miszowską), zażywał szczęścia domowego i dziękował Bogu za wszystko, co z Jego darów otrzymał:

»Panie, i za to dziękować Ci trzeba,  
Żeś gębie mojej dał dostatek chleba;  
Dosyć, mój Panie, i za to dziękuję,  
Więcej nie pragnę; tem się kontentuję.

Cóż mi po więcej? na czemże mi schodzi,  
Gdy mi ojczysty szmat bujno zarodzi,  
Pożywi czeladź, wtaż wystarczy i mnie,  
Dobry przyjaciel pożywi się przy mnie.

Niechaj Paktolus złotym nurtem sieje,  
Złotem niech błyszczą meksykańskie knieje;  
Ci, co to mają, przecie są ubodzy:  
To pan, co chciwość utrzyma na wodzy.

Niwo ma, niwo! Skibo ziemię plennej,  
Ty, co raz wieniec żytni, także pszenny,  
Spokojnie na mej gdy położysz głowie,  
Za fraszkę wasze korony, królowie.

Ta mię odziewa według mojej miary,  
Z niej zbieram co rok bogate towary,  
Chociaż me szkuty nie ucisną Wisły,  
Kontent lełowski<sup>1)</sup> czekam floty przyszłej.

Mam przyjaciela, co od Boga dany<sup>2)</sup>,  
Jest i na stajni sekiele<sup>3)</sup> farbowany,  
Broń doświadczona a do tego żeby  
Był grosz, dosyć mam, jeden od potrzeby.

---

1) Lełów — najbliższe miasteczko Goleniów, gdzie mieszkał poeta

2) Jan Gawiński, poeta, sielankopisarz, najlepszy przyjaciel Kochowskiego.

3) Sekie! — koń rasy siedmiogrodzkiej.



To tedy że mam, Twoje, Panie, dzieło,  
Moje dobrze wdzięcznym być, a Tobie miło;  
Przeto, dziękując za skarb Ci takowy,  
Ze mnąc oddają dzięki Goleniowy.

Że było to szczęście ziemiańskie pełne, zbliżone do tego, jakiem cieszył się i w jakim tak upodobał sobie Jan Kochanowski, o tem śwładczy wymownie jeden z późniejszych utworów poety, mianowicie wiersz do Pakosława Lanckorońskiego, podstolego krakowskiego:

»Niechaj kto chce stawa bliski  
Przy królewskim tam tronie,  
Ja zaś w swojej chatce niskiej  
Bezpieczniej wesprę skronie.  
Niech kto depce mozaikiem  
Wyłożone podłogi,  
Ja nie chcę być niewolnikiem,  
W złotą wolność ubogi.  
Próżen klótni i hałasu,  
Smaczno chleb jem choć z solą,  
W swym kąciku pewien wczasu,  
Groźby mnie nie niewolą i t. d.

Myliłby się jednak ten, kto chciałby z tego wyciągnąć wniosek o egoistycznym sybarytyzmie poety i odsunęciu się jego od wszelkich spraw publicznych.

Tak nie było. Poeta, znów podobnie jak Kochanowski, miał oczy i serce otwarte na wszystko, co działo się w Rzeczypospolitej.

Dał tego dowód, skoro do zaclsza jego dotarły odgłosy sprawy Lubomirskiego.

Krzywda — opowiada Rzązewski — niesłusznie podług zdania większej części szlachty wyrządzona wielkiemu senatorowi, powaga i pozorna legalność obżalowanego, tudzież stałość, z jaką dumny magnat podejmował rzuconą przez dwór rękawicę, stając jako obrońca wolności Rzeczypospolitej, silnie podziały na

Kochowskiego i zrobili go jednym z najgorliwszych zwolenników marszałka. Od sejmiku proszowickiego w roku 1664-ym, na którym odczytano pozew królewski, obwiniający Lubomirskiego o zdradę stanu, a na którym Kochowski, jako ziemianin krakowski, był obecny, wszystkie jego sympatje są po stronie Lubomirskiego. Poeta wahał się jednak długo, czy szablę swoją, tę samą szablę, która wypierała niedawno Szweda-najeźdźcę, przyłączyć do walki bratobójczej, i dopiero zwycięski przez województwo krakowskie pochod Lubomirskiego po wygranej pod Częstochową, skłonił go do wzięcia czynnego udziału po stronie marszałka. Kochowski uczestniczył w smutnej pamięci bitwie pod Mątwałami w r. 1666-ym, a później jeszcze w obronie Lubomirskiego wydrukował w r. 1668-ym poemat p. t. »Kamień świadectwa wielkiego w Koronie polskiej senatora niewinności«. W tym roku także Jan Kazimierz, znękany nieszczęśliwym panowaniem, złożył koronę. Zaczął się bezład bezkrólewia, w którym animusz szlachty, pamiętny sprawy francuskiej, przeciw której walczył pod chorągwiłami Lubomirskiego, myślał szczerze o elekcji Piasta. Kochowski brał udział gorący we wszystkich w tym celu podjętych staraniach i z nie-tajoną radością opowiada o elekcji Michała Wiśniowieckiego, na której był obecny w r. 1669-ym. Obranego króla powitał panegirykiem: »Munus civile«, a przez to stał się więcej znajomym dla dworu. Zwrócił na niego uwagę Andrzej Olszowski, biskup chełmiński i podkanclerzy koronny, i wciągnął go do współpracy. Sekretarzem królewskim, jak dowiódł tego prof. Czubek, Kochowski mianowanym jednak nie został. Dopiero w r. 1671-ym otrzymał za pośrednictwem Olszowskiego podżupnikostwo wielickie.

Urząd ten polegał na prowadzeniu rachunków i kontroli solnej, ale, że współcześnie zwykle król kilku urzędników takich mianował, przeto podżupkowie zmieniali

się. Okoliczności te, tudzież bliskość Wleliczki od Goleniów sprawiły, że Kochowski obowłązek ten na siebie przyjął. Niedługo jednak go pełnił.

Powróciwszy do życia domowego, oddał się poezji. Zebrał wszystkie swoje, napisane dotychczas liryki i fraszki, a nadawszy zbiorowi temu tytuł charakterystyczny: »Niepróżnujące próżnowanie«, zamierzał drukiem to ogłosić.

Zamiar ten napotkał jednak niespodziewane przeszkody.

Podług przyjętego zwyczaju — opowiada Rzązewski — należało dać rękopis do przejrzenia cenzurze duchownej. Otrzymał go ks. Kucharski, kanonik krakowski, i ze swej strony przesłał *Niepróżnujące próżnowanie* ks. Szymonowi Makowskiemu, rektorowi Akademji Krakowskiej. Ks. Makowski rękopis przejrzał, wiele zeń wykreślił, wiele odmienił, a wreszcie drukować pozwolił. Władza diecezjalna zapozwała potem Akademię Krakowską o to, iż dzieło, w którym jest wiele rzeczy lekkich (zarzut ten odnosił się do fraszek), drukować pozwoliła, i chciała ją z tego powodu pozbawić władzy udzielania cenzury. Sprawa poszła aż do Rzymu, skąd ją do nuncjusza w Warszawie odesłano. Praw Akademji Krakowskiej bronił rektor, obstając przy dawnych jej przywilejach, i proces wygrał. Dopomogła mu do tego i obrona samego Kochowskiego, w której poeta między innemi pisał: »Ile do kszążki, w tej nie wiem, coby tak śmiertelnego było, żeby aż ogniem oczyścić się miała. Z dawnych czasów nie tylko tej wolności poetyckiej nie ganiono, ale i owszem chwaloną była; zwłaszcza w narodzie polskim te *Jovialitates* żartów i w posiedzeniach przyjacielskich bawiące rymy miejsce miały. Pisał Jędrzej Krzycki, arcybiskup gnieźnieński, epigrammata. Jan Kochanowski, Rej, Jagodyński, Wojciech Inez, jezuita, i teraz mężowie w senacie koronnym siedzą, którzy

się takiej w młodym wieku nie wstydzą zabawy. Nie wiem jednak, czy kto z pomienionych na tak se vera m crisisim przychodzić miał, jaka mnie teraz spotyka. I owszem, Maro nasz polski, Jan Kochanowski, poemata swoje wielkiemu senatorowi, Piotrowi Myszkowskiemu, biskupowi krakowskiemu, surowemu przystojnych obyczajów cenzorowi, przypisał.

Instrukcja, jaką w tej mierze dało województwo krakowskie posłom swym na sejm r. 1676-go, zawiera między innymi: »Więc za przypozwanem Akademji Krakowskiej o książkę Liricorum do JX. Nuncjusza JP. Wespazjan Kochowski, autor jej, musi znaczną honoru swego ponosić skazę; tedy to zalecamy JPP. posłom naszym, aby serjo z JX. Nuncjuszem znieść się raczyli, jakoby takie praejudiçiosa stanowi szlacheckiemu w sądach JXM. nie stawały i honor szlachezca tego, dobrze krajowi zasłużonego, aby w całości utrzymany był.

Po takim objawieniu się życzeń szlachty krakowskiej, prymas królestwa, łącznie z nuncjuszem uwolnili ks. Makowskiego od odpowiedzialności.

Cała ta sprawa książce Kochowskiego — jak zwykle bywa w takich przypadkach — oddała tylko przysługę. Pierwsze wydanie Niepróżnującego próżnowania rychło wyczerpało się w handlu księgarskim, a imię poety nabrało rozgłosu w całym kraju. Za panowania Jana III-go poeta zażywał już sławy niemalej. »Otoczony przyjaciółmi i familją — mówi Rządewski — obdarzony przez króla tytułem podkomorzego (cubicularius), odbierając zewsząd częste życzliwości dowody, zdawało się, że już tylko piśmiennictwu i roli się odda, zwłaszcza, kiedy i wiek już późny do użycia wczasu zachęcał. Ale jeszcze raz w nim krew zagrała, jeszcze raz szablę do boku przypasał i żwawo dosiadł podjezdka, żeby spróbować z bisurmanem tańca. Poszedł pod Wiedeń, rozumiejąc, iż »przyszła chwila, w której każdy ry-

cerz chrześcijański śpieszyć powinien z pomocą zagrożonej stolicy cesarskiej«. Niesłusznie utrzymują niektórzy biografowie Kochowskiego, że nie był on pod Wiedniem. Był, tylko w samej bitwie udziału nie brał, albo brał go w bardzo nieznacznym stopniu, »za przybyciem bowiem pod Wiedeń, czy to wskutek przyśpieszonych marszów, czy z innych może przyczyn ciężko zachorował i, po rozpadzeniu oblegających Wiedeń wojsk tureckich, w mieście tem szukał przytułku, dopóki mu choroba powstać nie pozwoliła. Musiała to być jednak choroba niezbyt niebezpieczna i ciężka, bo poeta nasz już uczestniczy w bitwie pod Parkanami«. Wyliczając poległych tam, opowiada szczegółowo, jak który był ranny, a malując okropność bitwy, dodaje: »Bez przesady mówiąc, wody rzeki z krwią ludzką zmieszane, czerwonymi się wydawały«.

Po skończonej wyprawie powrócił Kochowski wraz z królem do Krakowa i tu był świadkiem uroczystości i triumfów, jakimi stolica zwycięzcę witała.

Wyprawa wiedeńska dodała poecie nową podnieętą twórczą. W następnym zaraz 1684-ym roku wydał pieśń na wzór Tassowych, opisującą triumf nad Turkami, p. t. »Dzieło Boskie, czyli pieśń Wiednia wybawionego«.

Ten utwór, w połączeniu z jego zasługą dawniejszą, skłonił Jana III-go do nadania Kochowskiemu godności »uprzywilejowanego dziejopisa« (historiographus privilegiatus). Godność ta pozwalała mu na korzystanie z archiwów koronnych oraz przynosiła pensji rocznej złotych 1000, sumę na owe czasy wysoką.

Tak wówczas ułatwiano pracę ludziom pióra. Poeta mógł istotnie resztę swojego życia poświęcić dziejopisarstwu i wykończyć drugi i trzeci Klimakter swojej historii (pierwszy wydał w r. 1683-ctm, przed samą wyprawą wiedeńską).

Jednocześnie szlachta krakowska, pragnąc uczcić swojego współzemiałanina, wybrała go na urząd wojskiego ziemi krakowskiej, a król wybór ten zatwierdził.

Tymczasem zbliżał się kres życia. Przeczując bliski koniec, poeta oddał się praktykom religijnym i dobrym uczynom.

W r. 1694-ym, w grodzie krakowskim — podaje Rzązewski — zapisał z majątku swojego sposobem wyderkauffowym złp. 1500 na utrzymanie w Goleniowach szpitala dla pięciu chorych starców, z poddanych swoich, lub gdyby tych zabrakło, z okolicznych. Przez dwa lata sam doglądał budowy domu, a w r. 1696-ym wprowadził instytucję w wykonanie. W legacie nie zapomniał o najdrobniejszych potrzebach biednych: »takim sposobem na każdą ćwierć roku na każdego ubogiego pójdzie ćwierć żyta jedna, ćwierć jęczmienia i grochu miara i to zboże według taksy na targu rachowane być ma. Do tego obuwie albo buty na każdego na rok i płótna po dziesięć łokci zgrzebnego każdemu także. Płaszcz szary co trzy lata z tegoż czynszu sprawić i kolędy na Nowe lato po groszy piętnaście, na omastę na rok każdemu złotych dwa«.

»Ta pamięć o ubogich włościanach — dodaje Rzązewski — pozwala nam poznać jeszcze z jednej strony obywatelski charakter poety i wierzyć, że wzywanie do ulżenia ciężkiemu ich losowi, w pismach jego spotykane, nie było czczą tylko deklamacją, ale słowa swoje umiał Kochowski czynem popierać«.

Jakby w nagrodę za to poeta zaznał jeszcze przed śmiercią nlemałej pociechy. Oto Kamieniec Podolski, którego stratę w poezjach swoich tak boleśnie opłakiwał, dn. 26 stycznia 1699-go roku na mocy traktatu karłowickiego wrócił do Polski. Radość z tego powodu i dziękczynne hosanna zanotował poeta stygnącą już ręką w Klimaktrze IV-ym swojej historii, a w półtora roku niespełna, dn. 6 czerwca 1700 r. umarł w Krakowie.

Przejdźmy teraz do oceny jego twórczości. Jeżeli pozostawimy na stronie po łącznie pisane dzieła historyczne,

puścizna poetycka Kochowskiego sprowadza się do utworów następujących:

- 1) »Kamień świadectwa Wielkiego w Koronie Polskiej Senatora niewinności«. 1668 (bez miejsca wydania);
- 2) »Różaniec Najświętszej Panny Maryjej.« W Krakowie 1668. (2-gie wydanie 1695);
- 3) »Niepróżnujące próżnowanie albo Liricorum polskich ksiąg V, tudzież Epigrammata i wiersze wesołe«. W Krakowie 1674;
- 4) »Ogród panieński pod sznur Pisma Św., doktorów kościelnych, kaznodziejów prawowiernych wymierzony a kwiatami tytułów Matki Boskiej wysadzony, przez jednego najlższego (najlchszego) tej Matki i Panny niewolnika.« W Krakowie 1681
- 5) »Chrystus cierpiący, według tekstu Ewangeliej Świętej wierszem polskim wystawiony«. W Krakowie 1681;
- 6) »Dzieło Boskie albo Pieśni Władnia wybawionego i inszych transakcej wojny tureckiej, w r. 1683 szczęśliwie rozpoczętej«. W Krakowie 1684;
- 7) »Trybut należyty wdzięczności, wszystkiego dobrego dawcy, Panu i Bogu, albo Psalmodyja Polska, za dobrodziejstwa Boskie dziękująca. Przez jedną najlższą kreaturę R. P. 1693 napisana a do druku podana R. P. 1695«. Częstochowa 1695.

Tu dodać należy, że »Lament utrapionej Ojczyzny«, uważany przez wydawcę A. E. Koźmiana (1842), a za nim przez Rzązewskiego, Czubka i Turowskiego za utwór Kochowskiego, jest, jak to ustaliły najnowsze badania, utworem W. St. Chrościńskiego. Również »Projekt na mody francuskie polskie« jest utworem tegoż Chrościńskiego (G. Korbut.)

Podaliśmy powyższy wykaz bibliograficzny dlatego, aby w ocenie poetycznych utworów Kochowskiego nie

krępować się już chronologicznym ich porządkiem, ale podzielić je na pewne grupy.

Idąc śladami Adama Rzążewskiego, zaczniemy od poezyj lirycznych. Charakteryzuje ich treść najlepiej sam poeta, gdy mówi:

»Piałem Marsa, bił na larmo  
Z Orda, z Moskwą, z Szwedy,  
Nie puściłem pełnej darmo,  
Szedłem w gallaredy;<sup>1)</sup>  
Nie mierzila mnie w trefieniu  
Udatna dzlewoja,  
Choćby była i w zamknięciu,  
Ruszyłem podwoja.  
Przymawiałem, wychwalałem,  
Lub przyskąpszy w chwale,  
Śmiertelne treny pisałem  
I nagrobne żale.  
Na wesele szedłem chutnie  
I małżeńskie gody,  
Na sejm także nie bez lutnie,  
Wzywałem do zgody.  
Ruszyłali mę też skrucha,  
Psalmem nucił sobie,  
I, w której jest ma otucha,  
Matko Boska, Tobie  
Śpiewałem, na znak mych chęci,  
Lub (lubo), wyznaje, licho,  
Przypomniałem i was, święci,  
Ale także cicho.  
Przywodziłem na pogany,  
Acz rytmy nie roty;  
Zadawać im piórem rany  
Miałem dość ochoty.

---

<sup>1)</sup> Galarda lub galareda = skoczny taniec włoski.



Pod Chocimem, które legły,  
Cnych żołnierzów głowy,  
Stawiłem grób, choć nie z cegły,  
Ale papierowy.  
Co mnie jeno samo prawie  
Cieszy, Muzo, z tobą,  
Żem począł o Władysławie  
Królewską żałobą.<sup>1)</sup>  
Kończę teraz już szczęśliwiej  
Tronem przemożnego,  
Którego niech długo żywi  
Bóg, Jana Trzeciego....«

Wiersz ten — zdaniem Rzązewskiego — może służyć za najdokładniejszy spis liryk Kochowskiego, bo w streszczeniu tem »ani jeden motyw, poruszający strunami jego lutni, nie jest pominięty«. Nie wszystkie atoli motywy są równej doniosłości i nie wszystkie wywoływały jednakowe poetyczne natchnienie. Głównemi i najsilniejszymi są: duch religijny i obywatelskie poczucie miłości dla kraju, a i te w pojęciu Kochowskiego identyfikują się prawie zupełnie i zlewają w jedno. Dzieje się zaś to niezrozumiałą może już dla nas dzisiaj logiką XVII-go wieku, twierdzącą, że obrona chrześcijaństwa i obrona kraju — to jedno, że jeżeli pierwsze uzyska potęgę, i drugi ma gwarancję pewnego bytu.

Będąc człowiekiem głębokiej wiary, podobnie jak Samuel Twardowski i Wacław Potocki, uważał wszystkie, spadające wówczas na Polskę nieszczęścia, za karę boską. Z głębokiem wypowiedział to przekonaniem:

»A wiecież temu co przyczynę daje?  
Odmieniliśmy dawne obyczaje

---

<sup>1)</sup> Pierwszy wiersz liryczny Kochowskiego jest żalem nad śmiercią króla Władysława IV-go.

I z wiarą świętą starożytną  
Szczyrość, prawdę, odwagę, w męstwie siłę bitną.  
A jako, kiedy na zgnilej przyciesi  
Wielkich budynków ciężar kto zawiesi,  
Niedługo stoi — tak korony  
Walą się, gdzie fundament wiary poruszony.

Obywatelskie jego poczucie cierpiało nad tem, co widział i przeżywał. A widział wiele, nic bowiem nie było dla niego obojętne.

»Uniesiony miłością pospolitego dobra — mówi Rzążewski — obserwuje on każdy fakt, jaki się w życiu publicznem objawia i, stosownie do natury jego, albo się nim cieszy, wnosząc pean w niebiosa, albo słowami skargi, żalu i nagany nawołuje na drogę właściwą. Każda bitwa, każda wygrana lub klęska narodu — sejm, elekcja, śmierć królewska, nie przechodzą niepostrzeżenie przez niego, ale każde z nich daje mu powód do zwrócenia uwagi narodu na to, co uwagi godne. Atoli znowu sposób zapatrywania się Kochowskiego na sprawy publiczne nacechowany jest wszystkimi wadami, jakimi się odznaczał wiek, w którym żył poeta, i stan, do którego należał. Z identyfikacji u niego uczucia miłości ku Bogu z miłością dla kraju powstało chorobliwe pojęcie o przodownictwie jednego narodu, pojęcie na tak obszerny zakres rozszerzone dopiero w poezji naszej XIX-go wieku. W lirykach Kochowskiego jest ono ledwie w zawiązku, ale w całej jasności wychodzi już w »Psalmodji«. Ze zbytnej także gorliwości religijnej, z owego zelentyzmu jezuitckiego wynikła druga Kochowskiego wada — brak zupełny tolerancji religijnej. Do wad, wynikających z zasklepienia się w stanie szlacheckim, do którego poeta należał, zaliczyć trzeba uczucia takie jak nienawiść do kozaków, nie jako do nieprzyjaciół kraju, ale jako do chłopów, rzucających się na panów:

»Raz bywa znośniejszy  
Z ręki potężniejszej,

Lecz ten nierównie nad człkiem się sroży,

Gdy chłop do karku panu miecz przyłoży.»

Nie brak jednak było Kochowskiemu i zalet.

»Jednym z głównych przywilejów, jakiemi się stan szlachecki w dawnej Rzeczypospolitej cieszył — objaśnia Rzążewski — była złota wolność, której apologji pełna jest literatura XVII-go wieku. Kochowski cenił także ten klejnot swojego stanu, bo wszak zań pod Mąt-wami orężnie stawał, ale rozsądnem okiem widział za-razem całe niebezpieczeństwo, mogące wyniknąć z nie-właściwego jego użycia :

»Miłać mi wolność (mówi), bom się też w niej rodził,  
Nią się zdobę i szczycę,

Jednak jej zażyć życzę,

Żebym nią własnej ojczyźnie nie szkodził.

Niema szacunku równego głos wolny,

Kocham się też w swobodzie

Publicznej nie ku szkodzie,

Zbytnej wolności nie chcę i swawolny.

Twej miłośniku, Sarmato, ojczyzny

Z tym się obchodź klejnotem

Tak teraz, jak i potem,

Byś nie uczynił z lekarstwa trucizny.»

Dlatego, oburzony zerwaniem sejmu przez pojedyn-  
czego posła, rzuca poeta straszmem przekleństwem na  
nadużywających dobra publicznego :

»Bodaj źle zginął, bodaj zabił marnie,

Kto dla prywaty swej sejmy rozrywa,

Niech głowa jego przepada bezkarnie,

Niech wymazanym z ksiąg żywota bywa.

Żywli też, niech go nieszczęście ogarnie,

A sztuki chleba niechaj mu ubywa,

Niż matka, zginie niechaj zły syn pierwu,

Zwierzom potrawę dawszy z swego ścierwu.»

Chcąc jeszcze włączyć słowom swym nadać znaczenia, używa Kochowski czasem szyderstwa, ale widać, że to sprawia poecie przykrość.

Punktem wyjścia dla satyry Kochowskiego — mówi Rzązewski — jak wogóle dla wszystkich satyryków, jest idealne pojęcie o świecie lepszym, świecie, który, niestety, znikł już z przeszłości, a stąd wynika, że formą, w jakiej się satyra jego objawiać lubi, jest kontrast — zestawianie dwu stron przeciwnych, gdzie jedna i druga dla tem lepszego dopełnienia celu oblewa się jasnym światłem słowa, nie wstydząc się nawet przesady. Oto jak np. zestawia Kochowski obraz dawniejszego i z jego czasów żołnierza:

... »Bo oni doświadczeni męże  
Potrzebne brali na wojnę oręże:  
Paź hartowny, z straszną szyszak kita,  
Mocne karwasze,<sup>1)</sup> zbroję nieprzebitą.  
Szabla u boku, koncerz mu pod nogą  
I ta mu zbrojna husarską ostrogą,  
Tygrys na grzbiecie przykrywa go srogą,  
Pod samym hasze wałach wiatronogi.  
Na nim nie droga ode złota gaza,  
Lecz od rzemienia tylko a żelaza.  
Na panu serdak z prostej tkany wełny,  
Suchar a woda bankiet mu zupełny.  
W ciągnięciu się nań nie poskarży chłopek,  
Na podwodę mu nie wzięto świerzopek,  
W stacyl sierot nędznych nie ciemleży,  
Na sumnieniu mu ludzki płacz nie cięży.  
Za wami za się skwlerk ubogich bieży,  
Pełniście zdzierstwa, pełniście grabieży,  
W taborach krowy są i jałowice  
Pono bez kaszy mlecznej dla tesknice.

<sup>1)</sup> Karwasz (węg.) = naramiennik żelazny.

Bo pociście wy do obozu przyszli,  
Snać dla bankietów, biesiad, dobrej myśli.  
Poranek gnuśny a wieczór pijany,  
Także to kozak będzie zwojowany?

Szańców nie syplą, nie ćwiczą plechoty,  
W pole na monstrę nie wynijdą roty.  
To kunszt harcować pod wieczór wesoły  
I Chmielnickiego wojować za stoly.

Ospale straże, rzadko kledy rady,  
Lecz i te raptem, bo długie biesiady.  
Wszystek czas wezmą gorące pasztety  
I genueńskie od Kanarów wety.

Potym w okropne jak naleją czary,  
Mocnych cekubów — pstryknęm na Tatary,  
Lub tej od włna śmiałości nawyknęm,  
I że kozaków kańczukami wytnęm.

Jeśli też w pole wsieść na koń przychodził,  
Aż junakowi głowa młynćem chodzi;  
Niżli do zbroje, lepszy on do czaszy,  
Przypląć bez mistrza nie umie karwaszy,

Munштukiem nie śmie konia zewrzeć tęgłm,  
Nie umie darsko<sup>2)</sup> podpiąć go popręgiem,  
W szeregu, w którym nie bywał jak żywo,  
Jeno się błąka, szyszak wdziawszy krzywo«...

Satyra także gromi Kochowski stroje i bielidła białogłowskie, nieporównany zbytek bankietów polskich, marnotrawstwo młodzi polskiej, a w przeciwstawieniu do tego lubi stawić złote umiarkowanie i skromny dostatek. Satyra poety jednak w tym kierunku jest łagodniejsza. Sprawy, dotyczące wojska, bola go najwięcej, upadkowi wojskowości przypisuje klęskę i dlatego wtedy jest w nastroju poważny.

<sup>2)</sup> darsko = dziarsko.

Natomiast gdy dotyka innych przywar narodu, mniej w nim zgrozy i oburzenia, więcej wesołości i swobody.

Taki jest charakter liryki publicznej Kochowskiego. Liryka jego prywatna, płynąca z uczuć osobistych, z jego stosunków rodzinnych, domowych i przyjacielskich niewiele różni się zasadniczym nastrojem od poprzedniej. Jest również nawskróś religijna, i niemal po zakonnemu pobożna. »W chorobie swojej lub domowników swoich — mówi Rządowski — w uciskach, niepowodzeniach i strapieniach codziennych poeta udaje się do Boga raz z prośbą i modlitwą pełną wiary, to znów z dziękczynieniem psalmisty. Uważa nawet swój talent poetycki za »zrządzenie i bezpośredni dar nieba«. W dedykacji II-iej księgi Liryk Matce Najświętszej tak się odzywa:

»Bo któż był większym nade mnie nieukiem?

Pisma me jednak ozwały się drukem,

I dziś stoją

Łaską twoją,

Chcąc i więcej

Wynieść pręcej

Na widok publiczny.

Tyś dała słowa, o Matko! lichocie,

Przez cię i pióro w piśmiennej robocie,

Więc twe dary

Krom oflary,

Sercem chutnie

Ton mej lutnie

Wielki ustawiczny...«

Ten religijny nastrój i zakonna prawdziwie pobożność pozwoliły poecie mistrzowsko przełożyć siedm psalmów pokutnych, które płeknością i namaszczeniem równać się mogą z przekładami Jana Kochanowskiego.

Dalej idąc w tym kierunku, wyrzeka Kochowski na znikomość światła i zrozpaczony woła:

»Zgubiony mój świat, żywot oplakany,  
Którym dotąd wiódł człek zdesperowany,  
Łzy one, z Dawidem płacząc, własne piję,  
Że, im na świecie tym mizernym żyję  
Dłużej, tym węższa zdejmuję mnie trwoga,  
I że obrażam bez poprawy Boga...»

»Ale — dodaje Rządewski — okoliczności zewnętrzne, a głównie praktyczny zakres działania, jaki otaczał wtedy szlachcica polskiego, nie dozwoliły Kochowskiemu wpaść w fałszywy ascetyzm i rozmodlonemu ulecieć na seraficznych skrzydłach od obowiązków czysto ludzkiej natury. Przedstawiając jedną stronę utworów swoich religijny charakter w narodzie, jaki w nim wyrobiły wypadki, drugą odpowiadał uczuciom, jakie w nim budziła wspólna ludzkiej krewkość. Jednym z takich uczuć, zasługujących na uwzględnienie, jest zaznaczona w lirykach Kochowskiego miłość kobiety.»

Poeta wyznaje, że:

»Niemasz w Kanarach tak wiele słodczy,  
Ani tak wiele Hymet pszczoł naliczy,  
W Syblejskich ulach niemasz tej słodkości  
I tego smaku, jako jest w miłości.»

I zaraz wyjaśnia praktyczne jej znaczenie:

»Jak pod Olympu świat jest firmamentem,  
Tak ludziom miłość piątym elementem,  
Ta w pracach folgą, ta żywot ten słodzi,  
Ona świat trzyma, ona ludzi rodzi.»

Drugą, świeckiej także natury nutą w prywatnej Kochowskiego liryce jest towarzyskość, gościnność i wrodzone naszemu narodowi swoboda i humor przy pełnym puharze.

»Dziwić się zaiste nieraz należy — zauważa Rządewski — jak dobrane towarzystwo, muzyka i kuflik wywo-

ływać umiały wesołość, wrodzoną słowiańskiemu narodowi. I Kochowski, z natury poważny, kontemplacyjny, nawołujący do porządku, zupełnie się zmienia pod wpływem tych czynników, a lekkość, swoboda, dowcip wesoły i żywy lecą na zawołanie i ten, który powstawał na wady narodowe, przodując zabawie, sam niejako usprawiedliwia je w takich chwilach i zaleca.

Ze strun lutni Kochowskiego zrywa się wówczas pleśń anakreontyczna, zręczna i udatna, tchnąca renesansem poczuciem pełni życia jak u Kochanowskiego.

Oprócz tego spotykamy u Kochowskiego w lirykach pochwałę stanu ziemlańskiego, szlacheckiej skromnej mierności i życia wiejskiego.

Z jego usposobienia ziemlańskiego wynika także zamiłowanie do fraszki, tego ulubionego w szlacheckiej naszej literaturze rodzaju.

W dziedzinie tej nie jest Kochowski twórcą oryginalnym, ale, jak większość jego poprzedników i następców, naśladowcą i przerabiaczem mniej lub więcej zgrabnym obcych epigramacistów. Sam się do tego przyznaje w wierszu p. t. »Czytelnik autorowi« :

»Pracowity mój autorze,  
Przedajesz mi kota w worze,  
Różnych pszczoł w jeden ul roje  
Zegnawszy, zwiesz wiersze swoje.  
A ja widzę tu Oweny<sup>1)</sup>  
Jest i skromnej Inez<sup>2)</sup> weny,  
Marcyalis rzymski stary,  
Słodkomowny Sannazary.<sup>3)</sup>

---

<sup>1)</sup> Jan Owen (Ovenus) poeta angielski końca XVI-go i początków XVII-go wieku, jeden ze znakomitszych epigramacistów. Zmarł 1622 r.

<sup>2)</sup> Wojciech Inez, jezuita, ur. 1620 r. w Małopolsce, autor epigramatów łacińsko-polskich, wydanych w Gdańsku w r. 1657-tym.

<sup>3)</sup> Sannazaro Jacopo ur. w Neapolu 1438-go r., zm. 1501. Autor siałanek, sonetów i epigramatów.



Gdy uważam wszystko czule,  
Znam tu Plauty i Tybulle,  
Innych, co się jeno liczy,  
Z nich tu widzę twe zdobyczy.  
Włęcz, autorze, karz cię ową  
Wroną Horacyuszową;  
Jak swe wezmą ptacy pióra  
To twa będzie goła skóra«.

Wbrew temu skóra Kochowskiego nie pozostała »gołą«, dosyć w niej bowiem tkwiło »piór własnych«.

Kochowski — stwierdza Rzązewski — zachował we fraszkach swoich, pomimo wzorów, na których się opierał, dużo oryginalności. Fraszki jego nie są upstrzone makaronizmem, nie manierowane podług zgóry przyjętych zasad, ale tak naturalne, jak naturalną była wesołość i humor. Naturalność zaś ta Kochowskiego, chociaż skrzepowana zbyt wielkiem podobieństwem do obcych poetów, robi go już oryginalnym i narodo w y m, trafiał bowiem fraszkami swojemi w smak współczesny, w gusta i upodobanie narodu. Sporo tu także, oprócz dowcipu, zdrowych poglądów na sprawy publiczne świadczących, że zacny obywatel górował w Kochowskim nawet wówczas, gdy gwoź zabawie brał pióro do ręki.

Nie były to jednak chwile częste. W istocie, jak już mówiliśmy, w Kochowskim górował duch obywatelski, zajmowały go sprawy ojczyzny, której uleczenia szczerze pragnął. Z dobrą wolą też i w przekonaniu, iż spełnia swój obowiązek, brał udział w rokoszu Lubomirskiego. Świadczy o tem fakt, że po skończeniu wojny domowej, po zawartej w Łęgowicach umowie, nie dał jeszcze za wygraną, ale »Kamień świadectwa« napisał.

Utwór ten — mówi Rzązewski — napisany był z intencją przedstawienia się, jako poemat opisowy, ale tej zalety nie posiada wcale. Silna namiętność nie pozwala autorowi ani na chwilę wziąć rozbrat z pełną uniesienia

liryką i dlatego wartość poetyczna tego utworu jest wyższa aniżeli innych poezyj Kochowskiego, a jest to wynikiem zapału, a stąd prawdziwego nierzadkiego natchnienia. I dalej:

»Dziwna rzecz, jak Kochowski, kładąc w usta Kallimacha i wogóle przeciwnych Polsce nagany jej rządu, obyczajów i ustawy, rozumie dokładnie ich strony ujemne, ich niedokładności i wady oraz skutki zgubne, jakie z nich wyniknąć mogą. W miejscach takich jest malowniczym, prawdziwie natchnionym poetą, ale zarazem jakże uprzedzonym się okazuje, nie przyjmując tych słów, pełnych prawdy, wymowy i natchnienia za przekonania, za wyznaczenie polityczne swoje. Któż dziś nie uzna całej prawdy w słowach, włożonych przez Kochowskiego w usta Richelieu'emu (Ryszajemu):

»Ale ta wolność, szkapę wykielznaną,

Bieży na przepaść i zguby swej szuka«...

a jednak za tę »wolność« stanął Kochowski do boju mieczem i piórem, za wolność, którą sam pseudo jej obrońca, Lubomirski, »proszkiem na womity« nazywał«.

Cóż go do tego skłoniło?

»Gdybyśmy — wyjaśnia Rządowski — nie mieli żadnych historycznych danych na poparcie zapatrywania się naszego na sprawę Lubomirskiego, to już sam poemat Kochowskiego byłby wyraźną dla nas wskazówką, jasno bowiem z niego widać, że opozycja przeciw zarysowującemu się wówczas wyraźnie wpływowi Francji jest głównym całego faktu motywem«.

Istotnie ujawnia to w pełni taki np. ustęp z »Kamienia«

»Pleje ten kogut (Francja) przed północnym  
[czuły,

I cudze śmieci wartuje i grzeble,  
Pobudził Włochy, Hiszpany, Sykuły,  
Europie wszystkiej myśląc o pogrzeble;

Słyszą go pięknej Adryi insuły,  
Już też, Polsko ma, kusi i ciebie:  
Mało na jednym francuskich państw tronie,  
Gorący, chłodnym myśl o Tryjonle.

.....  
Jako klóćli królestwa Europy  
Pomnieć możemy, wszak to świeże dzieje:  
Francuskim złotem zaciągl i tropy  
Werbuje Gustaw i stroi turnieje;  
Przez nich i Turczyn dobre wstawił stopy  
W państw chrześcijańskich granice i knieje«.

Kochowski obeznany dokładnie z dziejami współczesnymi, widzi i rozumie emulację ówczesną pomiędzy Francją a Austrią:

»Bo kiedy Bóg chciał rakuską llniją  
Przywieść do takiej wyniosłej fortuny,  
Gdy im Hiszpany i Łuzytanią  
I portugalskie w ręce dał zagony,  
Kastelle, Belgi, Węgry, Boemią,  
Nadto cesarski gdy tron posiedziony,  
Boli to Franków i gryzą się wiecznie,  
Nie chcąc przed sobą mieć Niemców koniecznie.«

Francja zaś — dodaje Rzązewski — przez swe z Turcją układy, przez sprzyjanie i pomoc, udzielaną protestantom w 30-letniej wojnie, nie mogła mieć dobrej noty u pisarza tak katolickich przekonań, jakim był Kochowski. On marzył zawsze o jednej owczarni pod jednym pasterzem, koniecznie włąc ganić i potępiać musiał wszystko, co od urzeczywistnienia tej przyszłości odwodziło, nienawidzić tych, którzy przeszkody tej idei stawiali — i to wszystko w sprawie Lubomirskiego jest dla niego rzeczą ważniejszą aniżeli zagrożenie złotej wolności. Z tych przyczyn w poemacie swoim każe Kochowski Richelieu'emu i Mazarini'emu w głębiach czarnego Kocytu wyszukiwać doradców i sprzy-

mierzeńców i wszystkie czynności polityki francuskiej przedstawia jako uknute na radzie piekielnej.

»Kamień świadectwa« (bez miejsca druku) wydany był bezmiennie, ale tajemniczość ta była wlecej dla formy, bowiem współcześni wiedzieli dobrze, kto jest jego autorem.

Zgoła inne myśli i uczucia towarzyszyły poecie przy pisanu »Pieśni Wiednia wybawionego«.

Fakt wielkiego znaczenia historycznego natchnął mu ten utwór.

»Jako onę Memnonową statwę wschodzącego słońca promienie *vocale* m czyniły, tak i mnie — mówi autor w słowie »Do czytelnika« — na wszystek świat sławna Jego Królewskiej Mości, Pana naszego wktorja wiedeńska, porzucony *Enthusiasmum poeticum* wskrzesiwszy, fecit *verba conari*; aby *numeris patriis* chwalebne go zwycięstwa sława między narodem naszym rozchodziła się«.

Był to pierwszy w literaturze naszej poemat, opiewający wyprawę wiedeńską, a fakt, historycznie wielki mógł istotnie porwać poetę. Nie starczyło mu jednak tchu na epos prawdziwy.

»Pieśń Wiednia wybawionego« — stwierdza prof. Pilat — ma wszystkie niedostatki, wspólne współczesnym poematom epicznym Twardowskiego, Potockiego i samego Kochowskiego, mianowicie pomieszanie poezji z historją, opisywanie faktów rzeczywistych, bez jakiegokolwiek uzupełnienia ich fikcją poetycką i brak kompozycji poetyckiej. Na ogólnem tle historycznem nlema żadnej fabuły, żadnych bardziej wyrazistych osobistości, któreby odgrywały rolę bohaterów. Poemat robi podobne wrażenie jak obraz, na którymby na pierwszym i drugim planie nie było żadnych figur lub przedmiotów prócz samego podmalowania. Jeżeli zaś mimo to nie jest tak nudnym i rozwlekłym jak poematy Twardowskiego pochodzi to stąd, że Kochowski, z powodu trudności tech-

nicznych wiersza (ośmiowierszowej stancy), jako też z po-  
śpiechu opuścił wiele szczegółów historycznych.

W obrobleniu treści trzymał się Kochowski zarówno  
wzorów eposu klasycznej, jak i Tassa (»Jerozolima wy-  
zwolona«). Wpływ Tassa widać tu nie tylko w użyciu  
oktawy, ale w obrazowaniu i w inwokacjach do Matki  
Boskiej.

Do głównych zalet poematu należy podniosły na-  
strój patriotyczno-religijny. Kochowski uważa zwycię-  
stwo nad Turkami nie tylko za »walne«, wlekopomne  
dzieło Polaków, którzy sami dźwigają upadłe chrześcijań-  
stwo« i są »fatalnym biczem na grzbiet pogaństwa«, ale  
zarazem za dobrodziejstwo Boga, deptającego stopami swemi  
»głowy pysznych«, aby pokazać, że ludzka siła jest »plewą«  
przeciw Jego Wszechmocności.

Mniej surowym w ocenie »Pieśni Wiednia wyswo-  
bzonego« jest Rządewski, ale i on uważa, że jedyną  
epiczną natury zaletą tego poematu są dające  
się dość często spotkać porównania, prostotą swoją i wy-  
bieraniem najbliższych oczu ludzkich przedmiotów przy-  
pominające Homera. Np. o wojsku polskiem:

»Jako więc owe miodorodne pszczoły  
W lipcowe ciepła, gdy, za matką swoją  
Z ulów wybiegłszy, czynią szum wesoły,  
Albo krzewistych po drzewach się roją —  
Tak tu rycerstwo przez góry, przez doły,  
Za królem bieży, ciężką kryte zbroją,  
I konie nawet nad rozum zwierzęcy  
Za przodkującym siłą się co pręcej«.

Albo o Turkach:

»A jako owo pod jesień wlec bywa,  
Kiedy wilk z chróstu, w różne patrząc strony  
Spadnie pod stado i owcę porywa,  
By nią nasycił żołądek zgłodzony;

Ale, postrzegłszy, zgraja psów pierzchliwa  
Odbija mu plon, w zębach już ściśniony,  
A on się kręcąc naodwrot z impetem  
Zrze się, kradzieży że przyplaca grzbletém.

Patryjotyczno-religijny ton, który w tym poemacie Kochowskiego rozbrzmiewa, stoł w blłskiej łączności zarówno z jego osobistym nastrojem, jak i z powszechnem uczuciem ówczesnego społeczeństwa polskiego, które pod wpływem wychowania jezulkiego oddalało się coraz bardziej od istoty religij, a coraz silniej przywiązywało się do form zewnętrznych.

To właśnie przywiązanie, jednak niepozbawione czystego i pięknego uczucia, znalazło swój pełny wyraz w trzech utworach Kochowskiego: w »Ogrodzie panieńskim,« »Różańcu« i »Chrystusie cierpiącym«.

Zacznijmy od »Ogrodu«.

»Szlacheckie ogrody — tłumaczy Rzążewski — czyli, jak je zwano podówczas d z i a r d y n y (z włoskiego g i a r d i n o), odznaczały się symetrią i regularnością. Ulice, ocienione poważnemi starych lip szpalerami albo obsadzone strzyżonym bukszpanem i ligustrem, dzieliły się na wlele równych sobie k w a t e r, na których już gospodarzkie ogrodowizny, już lekarskie zioła i kwiaty rosły, już to rozsiadały się na nich podle pokrzywy i chwasty. Z takiego o g r o d u wzięł Kochowski wzór dla swojego poematu. Pomysł rzeczywiście dość oryginalny i oryginalnie też odbywa się cała jego ekspozycja. Naprzód poeta — jeżeli poetą tu jeszcze Kochowskiego nazwać można — waha się, czy do ogrodu tego wkroczyć:

»Luboć wiem dostatecznie z pism świętych dowodu,  
Że sam Wszechmocny zamknął drzwi tego ogrodu,  
I, żeby wdzięczny dziardyn w ochronie był miany,  
On łask nadprzyrodzonych ogrodził parkany.  
Atoli ja w nadzieje dobroci tej Matki,  
Ośmielę się tam wchodzić, jak mówią, w ukradki,  
Jej liczący tytuły«...

Jakiż jest ten ogród? Oto dzieli się on na 16 kwater (rozdziałów), w każdej kwaterze jest umieszczonych 100 rozmaitych tytułów Matki Boskiej, które poeta specyfikuje sumiennie i pilnie, niby botanik rośliny. We wszystkich kwaterach tytułów jest 1600, a są one zebrane z Pisma Św., Ojców Kościoła, słynnych kaznodziel, teologów i ascetów. Tytuły te, przydomki, apozycje, dodawane przez autorów do imienia Marji w jednym ciągu, w hymnie lub modlitwie, miały jako porównania, jako przenośnie, nieraz i wysoką poetyczną wartość, tymczasem tu, postawione samotnie, dziwne i bez sensu się wydają. Tytuł taki wraz z cytata, wskazującą skąd jest wzięty, wydrukowany u góry, a pod nim umieszczony dwuwiersz polski samego Kochowskiego roboty ma tłumaczyć, co tytuł ten znaczy. Np.

Mons sanctus  
(Św. Bernard)

»Nie przystępuj, kacerzu, do tej góry świętej,  
Ogniem gore, coć język upali przeklęty«.

Kończąc każdą kwaterę, orzeka poeta, że niepodobieństwem jest wylliczyć wszystkie Matki Boskiej chwały:

»Pszczołki, Hyble dziedziczki, wy wiedzieć możecie  
Mnóstwo kwiecia, z którego słodczy bierzecie.  
Z trudnością jednak jego policzyć rodzaje,  
Różność ziół, farby kwiatków i listeczków zgraje.  
Lecz chwały Matki Boskiej większa trudność zgoła  
Zliczyć, niż wszystkie kwiatki, i listki, i ziola« —  
a jednak liczy dalej gorliwie.

W całym tym utworze podziwiać jedynie można ogromną znajomość ksiąg świętych i pilność w wyszukiwaniu pojedynczych wyrażań.

Wyżej nieco pod względem stosunku do poezji stoi  
»Różanlec«.

Autor dzielił go na trzy części: wesołą, bolesną i chwalebłą. Każda z tych części zawiera pięć tajemnic, więc wesoła: 1) Zwiastowanie N.M.P. 2) Nawiedzenie św. Elżbiety, 3) Narodzenie Chrystusa, 4) Ofiarowanie Chrystusa i 5) Znalezienie Chrystusa w kościele; bolesna: 1) Modlitwę w Ogrójcu, 2) Błzowanie, 3) Koronowanie cierniem, 4) Niesienie krzyża na Kalwarję i 5) Przybicie na krzyżu; chwalebna: 1) Zmartwychwstanie, 2) Wniebowstąpienie, 3) Zesłanie Ducha Św. 4) Wniebowzięcie N. M. P. i 5) Koronowanie N. M. P.

Jest to podział, jaki się do dnia dzisiejszego utrzymuje we wszystkich różańcach i u Kochowskiego, tak samo jak dzisiaj, po każdej strofie idzie Zdrowaś Maryja, a po skończonej tajemnicy — Ojczy Nasz.

O religijnej wzniosłości »Różańca« nie ma mowy. »Ale — słusznie zauważa Rzążewski — niemasz tu także prostoty i jasności, jakie mogłyby utwór ten uczynić pieśnią pobożną i utrzymać go w ustach tak rozpowszechnionych w Polsce bractw różańcowych. Rym często kaleki i wynurzająca się od czasu do czasu erudycja autora nie pozwoliły zrobić z »Różańca« i tego użytku. Po części jego, również jak i wykonanie mogło służyć tylko do osobistych poety celów, jak się on sam w *Votum*, umieszczonem na końcu, wyraża:

»Przyjmij ten młaki koncept, liche elogija,  
Tobie ofiarowane, o słodka Maryja!  
W nagrodę pracy zebrzę Matki łaski pełnej  
Przy śmierci iskrę skruchy uproś mi rzetelnej«.

Przy »Różańcu« wydrukowane są hymny św. Bonawentury i św. Bernarda, pozdrawiające z kolei wszystkie członki Chrystusowego ciała, a szczegółowością swoją odpowiadające pobożności XVII-go wieku.

Trzeci utwór religijny Kochowskiego nie jest już pobożną modlitwą osobistą, ale poematem.



Autor, jak wielu innych poetów XVII-go wieku, usiłował w poetyczną ująć szatę opowiadanie męki Chrystusa.

»Trudne to — mówi Rzążewski — i dla największego artysty niebezpieczne zadanie występować do współzawodnictwa z prostemi, a tak wymownemi głosami ewangelji. Największych mistrzów nie wystarczało tu pióro«.

Poemat Kochowskiego obejmuje opis męki Chrystusa Pana, poczynszy od modlitwy w Ogrójcu aż do śmierci na krzyżu. Dzieli się na punktów czyli rozdziałów 15, a każdy punkt ma mniej więcej 250 pięciogłoskowych wierszy, do czego dodawszy wstęp i zamknięcie, wypadnie około 5000 wierszy.

»Autor cały odgrywający się w tym poemacie dramat uważa, jakby się on w Polsce odbywał. Sądy Annasza, Kaifasza, Piłata i Heroda, ich procedurę, wyroki, nazywa terminami sądownictwa polskiego, a cała, otaczająca Chrystusa zgraja żydostwa widocznie jakby rysowana była pod wrażeniem obrazów, zbieranych przez szlachcica-poetę na lelewskich i kleparskich jarmarkach« — mówi Rzążewski.

»Sam Chrystus — dodaje — nie różni się niczem od niewinnie napađniętego przez podłą hałastrę szlachcica, pokora tylko i ustawiczne milczenie nie pozwalają mu wykazać całego zapasu animuszu i hartu serpentyny spróbować na łbach żydowskich. Co chwila autor utyskuje nad okropnością męki Chrystusowej i, dla wywołania tem większego kontrastu, porównywa ją do wygod ziemskich rozkoszników. Opowiadając np. jak Chrystus po posłuchaniu u Kaifasza wrzucony był do cuchnącej piwnicy, zwraca się do ludzi:

»O delikacie!

Za cię to, za cię

W tych Jezus szrankach;

A ciebie nęci  
Piernat łabęd  
W złotych firankach.

Dla twojej dumy  
Takie perfumy  
Znosić obiera;  
Twój przy zybetach<sup>1)</sup>  
W miękkich się betach  
Ścierw rozpościera.

Trywjalność przechodzi wkońcu w grubą nieprzyzwoitość. Można wprowadzić spotkać tu i wyrażenia dosyć poetyczne, ale wszystko to już zgola nieszczęśliwie użyte. Np. porównywając ciągle odsyłanie Chrystusa od jednego do drugiego sędziego, Kochowski wyraża się:

»Jak piłka leci,  
Kiedy ją dzleci  
Tam-sam rzucają,  
Tak oni sobie  
Po nocnej dobie  
Pana podają.

Do nieumiejętności odwzorowania czasu i miejscowych warunków przyłącza się jeszcze drugi nonsens — erudycja, zaczerpnięta z historii i mitologii starożytnej. Poeta porównywa więc męki Chrystusa do cierpień Mucjusza Scevoli, w zapale zaś, na ratunek jego z rąk żydowskich, wzywa rot Aleksandra Macedońskiego i zapytuje:

»Czy stary w Lemnie  
Wulkan daremnie  
Teraz pauzuje,

---

<sup>1)</sup> Zybet — wonność, podobnie jak piżmo, pochodzenia zwierzęcego, od zwierzątka zwanego zybet lub zybaczek.

A wraz z Cyklopy  
Sweml Steropy  
Gromów nie kuje?«

Mękl same odmalowane są bardzo wyraziście, bardzo jaskrawo nawet, ale ubrane w tak trywjalną szatę, tak dotykalnie szkaradne, że niesmak i estetyczną odrazę wzbudzają. »A przecież — kończy Rzązewski — Kochowski, hołdując pojęciom wleku i idąc za religijną potrzebą swojego ducha, tworzył Chrystusa clerpiącego. Smutny to zaiste dowód upadku smaku estetycznego i zasad religijnych tych czasów«.

A jednak ani wiek ten, ani Kochowski, jako jego przedstawiciel, nie zasługują na potępienie i jeden bowiem i drugi znajdują obronę w najmniej przez długie lata znanym a pod względem swojej wartości religijno-patrjotycznej i estetycznej niewątpliwie najwyżej w dorobku naszego poety stojącym utworze p. t. »Trybut należyty wdzięczności wszystkiego dobrego Dawcy, Panu i Bogu albo Psalmodyja Polska za dobrodziejstwa Boskie dziękująca« (Częstochowa 1695).

Los chciał, że ten właśnie utwór Kochowskiego długo stał na uboczu.

»Niepodobna sobie wytłumaczyć — woła nie bez głębokiego zdziwienia Lucjan Słemieński (»Dzieła«, tom III-ci) — jak ludzie, przewracający tysiące tomów bibliotek, nie napadli na Psalmodyję, która przecież nie mogła mieć tego warunku rzadkości, co pisma akatolików, niszczone przez władzę duchowną? Najpewniej, że gdy im w rękę wpadła szpetnie drukowana księżczyzna, bez nazwiska autora, mieszcząca psalmy jakiegoś znanego przekładu, pominęli ją i wrzucili do stosu panegiryków i ksiąg nabożnych. Inaczej nie można sobie wytłumaczyć, dlaczego jeden z najgłębszych utworów

literatury XVII-go wieku leżał tak długo w zapomnieniu.

Istotnie, trudno zrozumieć, dlaczego książka, wydana w roku 1695-tym, musiała czekać na przedruk aż do roku 1859-go, t. j. do chwili, kiedy ją Kazimierz Józef Turowski wydał ponownie w swojej »Bibliotece polskiej«.

Od tego dopiero czasu Wespazjan Kochowski stanął w historii literatury w oświetleniu właściwym.

»Psalmodję« napisał już pod koniec życia.

Zamknięty w ustroniu swojej cichej wioski — opowiada Rzązewski — znękany ciężką chorobą, na którą sztuka lekarska podówczas środka nie miała, na lat kilka przed śmiercią wskrzesił on na pamiątkę dawnego psalmisty i wysłał do Boga hymn, zanucony w imieniu swoim i swego narodu. Jest to śpiew łabędzi poety, ostatnie pożegnanie tego, co kiedykolwiek czcił, kochał i wielbił.

»Psalmodja« składa się z 36-ciu psalmów, opartych na początkowych myślach psalmów Dawidowych. Idea jak najściślejszej łączności poety z narodem dochodzi tu do swojego zenitu.

Kochowski umiał kochać i za to, co kochał, modlił się gorąco. W »Psalmodji« złożył wszystkie swoje przekonania, wszystkie pragnienia i nadzieje, które odnosiły się do szczęścia narodu, stąd modlitwa jego jest modlitwą całego narodu.

Najważniejszą i najbardziej zastanawiającą rzeczą w tym utworze jest jego ideowe pokrewieństwo z wielką poezją romantyczną, zwłaszcza z mesjanizmem. Wystarczy powiedzieć, że główną, zasadniczą myślą »Psalmodji«, osią, około której cała twórczość poety się obraca (Rzązewski), jest przekonanie, że naród jego jest pomiędzy innymi przez Opatrzność wybrany:

»Jam jest »zwierzchnością nad dziedzictwem moim (mówi Bóg), a jako serc ludzkich prostotę, tak i pól sarmackich równiny zdawna ukochałem.

»W opiece mojej jest wolność i ja sam tylko przez przewidzenie wlem, komu ją mam w za-władowanie poruczyć.

»Zrozumieście, królowie, że od Boga ten klej-not, a uczcie się, którzy słała swobodne sta-wiacie«...

Naród polski, według poety, to nowożytny Izrael:

»Jako silny wiatr płaski rozwlewa albo jak wosk od ognia topnieje, tak niechaj się wni-wecz obróć przeciwnicy Izraela prawowiernego«.

Narodowi należy jednak wskazać jego posła-nictwo, należy go wyprowadzić na prostą dro-gę przeznaczeń i dlatego poeta pisze swoją »Psal-modję« w poczuciu, że

»Jest Bóg i w poetach,  
Jest ogień z nieba dany ich duszy«...

Pierwszy w poezji polskiej, a kto wie czy nie pier-wszy w poezji europejskiej stanął autor »Trybuntu należy-tego« na tem stanowisku i z tego już tytułu należeć mu się będzie zawsze pilna uwaga.

Ale idźmy dalej i zobaczymy, jak daleko wyprzedza Kochowski swoją współczesność i jak zbliża się do czasów późniejszych, do wielkiej ewangelji sprawiedliwości, gło-szonej przez Mickiewicza, a ujętej za skrzydła w filozo-ficznych konstrukcjach Augusta Cieszkowskiego.

Oto posłannictwem narodu polskiego — według Ko-chowskiego — nie są zabory i zdobycze, ale cięży na nim wielka misja, dana mu przez Boga, rozsze-rzenia chrześcijaństwa i wyparcia z Europy głównego jej

wroga — wówczas Turczyna, później u Mickiewicza — Rosjl.

Niewysłowioną też radością napelnia poetę zwycięstwo pod Wiedniem, w którym widział triumf swojej idei. Poświęca temu wielkiemu faktowi dziejowemu kilka niepowszedniej piękności psalmów, a na tem, co się już stało, opiera swoją nadzieję i wiarę w przyszłość.

»Byłem w kolebce — mówi — dzieckiem, teraz starością pochylony chodzę; nie widziałem nigdy, aby sprawiedliwego Bóg opuścił, albo złośnik dobrze skończyć miał«.

Nic dziwnego, że, zetknąwszy się bliżej z »Psalm-dją«, Siemieński zadał sobie przedewszystkiem pytanie, czy znali ją Brodziński i Mickiewicz?

»Nie mogę wiedzleć — odpowiada. — Tyle jednak jestem pewien, że i jeden i drugi byliby ją ogłosili, lub skłonili kogo do ogłoszenia jej. Co do mnie — niemałe miałem zdziwienie, kiedy postrzegłem, iż w »Psalmodji« ta sama myśl rozwinięta była w pełni, którą, zdawało się, że najpierwej Brodziński, a po nim podniósł Mickiewicz. Dało mi to bardzo do myślenia. Zacząłem też porównywać rozprawkę o Narodowości i Poselstwo Brodzińskiego, niemniej Księgi pielgrzymstwa Mickiewicza z »Psalmodją«; szukałem, czy się nie spotkam z jakim obrazem, wyrażeniem, które, będąc w Kochowskim, pokazywałoby, że on dał pomysł i na ton biblijny nastroił późniejszych wieszczów, przedzielonych od niego więcej niż setką lat. Z wielką pociechą nicem takiego nie znalazł, co też mnie utwierdziło w przekonaniu, że Księgi Pisma Św. były źródłem żywego natchnienia dla jednego i dla drugich.

»Lecz i druga stanęła przed oczyma mojemu: że cierpienia i upadki, jakimi byliśmy dotknięci, przed-

stawiały się zupełnie w ten sposób jak kary, spuszczone na lud izraelski za odstępstwa i winy przeciw Jehowie. W nas samych tkwi siła i wola powrotu do łaski po dniach próby i pokuty.

Potwierdziła to w całej rozciągłości wielka przemiana dziejowa, dokonana w czasach pokolenia współczesnego, oglądającego cud Zmartwychwstania Ojczyzny.

»Psalmodja« Kochowskiego obok niepospolitych zalet jakie posiada, ma jednak także pewne usterki i wady. Zwraca na nie uwagę Rzążewski, zaliczając do najważniejszych: brak wykończenia artystycznego, symetrii i porządku. Poeta bez żadnego, zgóry zakreślonego planu umieszcza obok siebie psalmy najróżnorodniejszej treści. »Przy wspaniałych hymnach historycznych są tam skargi na jego własne, prywatne cierpienia i dolegliwości, na chorobę jego i żony, nawet na nieporozumienia sąsiedzkie. W uniesieniu nieraz mu się wyrwie jakieś nie odpowiadające uroczystemu nastrojowi słowo zbyt pospolite, które jak zgrzyt żelaza po szkle miesza namaszczonej modlitwą, to znowu wprowadzenie czasem zbyt nowego pojęcia psuje urok poważnym archaizmem nacechowanego stylu. W treści niemile czasem rażą zbyt szlacheckie przekonania. Pomimo to wszystko »Psalmodja« pozostanie zawsze jednym z cenniejszych pomników nowej poezji.

Rehabilituje ona nie tylko Wespazjana Kochowskiego, jako poetę, ale rehabilituje także całą, tak niedocenioną do niedawna poezję wieku XVII-go, ujawniając, jak głęboka tkwiła w niej idea narodowa i ile, obok plewy panegyrycznej, było tam dobrego i szlachetnego ziarna na siew. To bowiem, co wydobył Kochowski w »Psalmodji« z duszy własnej, nie mogło być wyłącznie tylko jego własnością. Podobne poczucie posłannictwa dziejowego

narodu polskiego, podobna wiara w zwycięstwo idei Chrystusowej, w prawdę i sprawiedliwość stanowiły dorobek wewnętrzny wszystkich wyższych i lepszych dusz współczesnych Kochowskiemu Polaków.

Inna rzecz, że nie te dusze prowadziły naród koleją dalszych jego losów.



Krótki wybór pism  
WESPAZJANA Z KOCHOWA  
KOCHOWSKIEGO.

Epigramata polskie, po naszymu  
Fraszki.

Do niezgodnego z samsiady.  
Samsiedzle, między ptaki strzyżyk bywa,  
Na kumethaus co orła wyzywa.  
Jest między ryby sarpedo, co skrzele  
Wielkie najeży na nieprzyjaciele.  
I ty gdy swoje tak ciśniesz samsiady,  
Ustuchaj mojej a życzliwej rady:  
Zawodzi często swojej siły buta,  
Mucha ukąsi lwa, choć rezoluta.

Opisanie miłości.

Czyj to chłopiec? Wenery. Czem z sajdakiem chodzi?  
Bo z niego mniej ostrożnym często ludziom szkodzi.  
Czemu nago? Bo pieszczoch nie rad chodził w sukni.  
Czemu dzieckiem? Bo młodzi idą za nim chutni.  
Czem skrzydlato? Bo lotnym niestatek go czyni.  
Czem bez czoła? Bo nie dba, choć kto o co wini  
Czemu ślepo? Oczu go rozkoszy zbawiły.  
Czemu chudo? Zbytne go czucia wysuszyły.

Któż go bożkiem uczynił? Ludzle, ta przyczyna,  
By szpetną miłość kryło bóstwo Kupidyna.  
Głupi i nierozumni ludzie, cóż czyniemy,  
Wielki występki, większym grzechem pokryć chcemy.

Na gańcę.

Wszystko ganisz, nic w żadnym nie pochwalisz domu,  
Nikt ci się nie podoba, i ty też nikomu.

Zabójstwo.

Jeden człek zabić może tysiąc ręką srogą,  
A urodzić jednego ledwie dwoje mogą.

Rozsądek Parysów.

Gdy Parys był obrany za sędziego trzema  
Boginiom, któraby z nich przodkowała dwiema,  
Nie ważyły bogactwa Junony nic, ani  
Mądra Pallas; gładka je zwyciężyła pani.  
Ta gdyby teraz przed sąd sprawa przychodziła,  
Oleby te pieniężna Juno zwyciężyła.

Tak ma być.

Czemu łuskę z ryb skrobiją? Mniemam temu pono,  
Że gdyby pierze miały, toby je skubiono.

Na obraz M. Scewoli.

Pali rękę Scewola dla ojczyzny. A my  
I w zimną wodę onej włożyć się wdrygamy.  
Nie cierpieć nic, czynić nic, własne polskie dziło,  
Bodajże się o takim Polaku nie śniło.

Na toż.

To wizerunek prawego męstwa jest w Scewoll,  
Iże chybił Porseny, rękę spalić woli.  
A my co? wraz w ogień rękę drugi, żeby  
Tem kalectwem wojennej schronił się potrzeby.

### Wielkie podobieństwo.

Zkąd kur chudszy niż kapłon? Bo kur co wygrzebie,  
Tem swe karmi kokoszki, kapłon zaś sam siebie.  
Tak mnich w bogomyślności w swym klasztornym cieniu  
Zawarty, pewniejszy jest w swej dusze zbawieniu.  
Żonaty koło siebie chodząc, dzieci, żony,  
Mniej ma duszę na pieczy, jako rozstrojony.

### Dobry dzień do jednej.

Luboś już wstała, luboś jeszcze z mchowej  
Pościółki lubej nie podniosła głowy,  
Ja dawno nie śpię, mając to na myśli:  
Maryjaneczce Bóg dobry dzień przysłał.

### Niezwrotne rzeczy.

Już tym rzeczom nazad się trudno wrócić znowu:  
Młodości i czasowi, panieństwu i słowu.

### Żołnierz i doktor.

Pobitych nieprzyjaciół żołnierz z chluby liczy,  
Doktor co ich pogubił, siedząc społem milczy.  
Gospodarz rozśmiawszy się, tem obu zagai:  
Jeden się z fałszu chwali, drugi z prawdą tai.

### Sekret.

Pigułki nie rozgryźnij, żony nie draźń bracie,  
Z obojga niepochybna gorzkość pójdzie na cię.

### Rezolucya siłę może.

Zjechał się Mazur z Niemcem w ciasnej bardzo drodze,  
Wara z drogi, ofuknie Niemca Mazur srodze,  
Ustępujże pludraku, bo poznasz potkanie,  
I co wczora drugiemu, wnet się tobie stanie.  
Spyta Niemlec zstąpiwszy, bo o sobie zwątpił,  
Co takiego? Byś nie tchórz, jabym ci był zstąpił.

Jużże teraz pan Hanus, niechaj będzie kwita;  
Gotowy fryd, gdy trafi serdyt na serdyta.

### D a r e m n a.

Jak wiatr mierzyć, czas gonić, groch na ślanę miotać  
Próżna; tak o to, co się nie wróci, kłopotać.

### D e f e k t y.

Szpetne są te defekty, niechwalne przymioty,  
Jak starość przez mądrości, tak młodość bez  
[cnoty.  
Roztropność bez uczynku, pycha bez intraty,  
Intrata bez czci, państwo bez sług i bez szaty.  
Szlachectwo bez rycerstwa, królestwo bez rządu,  
Miasto bez praw, a prawo bez skutku i sądu.  
Panna bez wstydu, żywot beze czci i zgody,  
Przydam jedną, i to błąd, gdy bez wina gody.

### O wolności polskiej.

Wieleć my mamy swobód w tej naszej koronie,  
Cóż, gdy się nie staramy i mniej dbamy o nie.  
Przeważają prywatnych pożytków chciwości,  
Bardziej dbamy o włość, a niż o wolności;  
Słobody niż swobody, głowę nam mozolą,  
Niż złotą wolność, bardziej samo złoto wolą.

### C z e m u   t a k ?

Ktokolwiek te fraszki czytasz,  
Autora się pono pytasz,  
Czemu tę mam w wierszach wadę,  
Że między brant zużel kładę?  
Więc kiedy to wiedzieć chcecie,  
Jak owo bywa w pasztecie:  
Wróbel, cietrzew, wilk, słonina,  
Różna z różnych kniej zwierzyna.

Stoi Turek na Forgoczy,  
Tamże i mierzyn roboczy,  
Patrzaj w rzece, uznasz, iże  
Gdzie lososle, są i ślize.  
Jak swe hetman młęsza szyki,  
Tak ja fraszki z heroiki,  
Komu się to nie w smak stawi,  
Ten na swolch niech poprawi.

Pieśni Wiednia wybawionego  
szczęściem i męstwem niezwycięzonego monarchy  
Jana III,  
króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego etc.  
Roku Pańskiego 1683.

Mężnego króla wlekoopomne dziła,  
Ojczystym rymem wspomni Klio chętna,  
Które lub sława świata ogłosiła,  
Jednak potomność niech będzie pamiętna,  
Jako posoki bisurmańskiej sła .  
Z jego przywodu leje szabla skrzętna,  
Kiedy przeszedłszy Odry i Dunaje,  
Piorunem wojny poganom się staje.

Klio, nie ty, co w dwójwierzchym Parnasie  
Pierwsza przodkujesz w dam dzwiętnym  
[gronie,  
A doświadczonych głów przy mądrej prasie  
Otaczasz wieńcem wawrzynowym skronie,  
Ale ty Panno, któraś Boga w czasie  
Zrodziwszy, siedzisz w gwiaździstej koronie,  
Ty mi bądź Klią, ty mi w tym usiłku,  
Dodaj słów Panno, dodaj i posiłku.

Idźle tu o cześć, idźle i o wiarę  
Syna twojego, nam drogie klejnoty,  
Które, kiedyby Turczyn przebrał mlarę  
W swej nadętości, nie uszły sromoty;  
Zniósłby w świątyniach bezkrewną ofiarę,  
I katolickich obrzędów prostoty.  
A na to miejsce tyran rozdrażniony  
Wprowadziłby nam brzydkie zabobony.

Och nie dopuścisz, aby kiedy twoje  
Dziedzictwo burzył naród ten wszeteczny;  
Uprosz ducha zgody, a na boje  
Serce odważne i umysł stateczny.  
A uśmierzywszy wewnętrzne niepokoje,  
Chrześcijańskiemu między pańy wieczny  
Skojarzysz związek. Niechaj co się kłóca  
Z sobą, te siły na Turki obróca.

Niechaj kometów ognie niełaskawe,  
Nam szczęścia, Turkom zguby wróżką będą;  
Sprzecznych planetów złączenie jaskrawe,  
W trygonie Marsa przeciwno nim śledą,  
Bicie piorunów, monstra, deszcze krwawe  
Nad pogańską się niechaj siłą zrzędą,  
Żeby nie rzekli: Gdzie ten Bóg? co z ręki  
Naszej nam Gaurów ma wydrzeć przez dziękł.

.....  
Całe trzy lata gromadzi zdaleka  
Seraskier wojska i Szpahów gwardyje,  
Kędy Damazek, Ormuz, Dyarbeka,  
Erzerum, Trypol i Karamanije  
Alep, Liwazum, w wojennego człeka,  
Obfitujące zdawna prowincyje,  
Anatolia, Romel, i z Kairem,  
Z wielkim do Węgier bierą się wezyrem.

Ile w Azji znajduje się młodzi,  
Lubo na zajmach, lub dzierzą Tymarry,  
Za emiramł co żywo wychodzi,  
Przez skarbowe żold wzięwszy jewtedary;  
Nakoniec szczodry datek ułgodzi  
Dotychczas wojny niehcące janczary;  
Wtąż i Sołakł ze swolm Kihają  
W gęstych z Stambólu zastępach ruszają.

Liczy się szabel dwakroć sto tysięcy,  
Okrom posiłków multkańskich z Wołochy,  
Pasza Sylistrów wyciąga czem prędzej,  
I siedmigrodzkich katanów motłochy;  
W armacie dział jest nad czterysta więcej,  
Granaty, bomby, kule, lonty, prochy,  
Z czem wezyr tuszy, że pierwszym zamachem,  
Samym Europę zawojuje strachem.

Gdy tak Ottoman w zapalczywej chuci  
Zgubą chrześcian potrząsa i bryka,  
Wtem też Leopold cesarz się ocuci,  
Którego ta wprzód furya dotyka,  
I wszedłszy w radę, do śrzodków się rzuci,  
Odeprzec złemu, które się przymyka,  
Jakoby orzeł swój imperyalny  
Stos niebezpieczny wytrzymał i walny.

A wprzód ku Bogu obróci gorący  
Afekt, w nim wszystkie złożywszy nadzieje:  
I takł to już Panie Wszechmogący,  
Ostatnie Turczyn tronem rzymskim chwieje?  
I lud prawego Boga wyznający  
Od pogańskiego miecza krew wyleje?  
I one Tobie kościoły święcone  
Przez pogan brzydkich będą spustoszone?

Prawda, że godne tego nieprawość  
Nasze karania, co widzim na jawie,  
Ale ty Ojczy wszelakiej litości  
Obydź się z nami prosimy łaskawie,  
Apellujemy do sprawiedliwości,  
Ty osądź, które cierpimy bezprawie,  
I wydaj dekret od wieków wiadomy:  
Niech swe traci, kto na cudze łakomy.

.....  
Naprzód na salwę odezwą się działa,  
Grzmotem i dymem powletrze miészając,  
Którym jakoby echo podrzyżniała,  
Odgłosem swoim ich dźwięk powtarzając;  
A potem jazda lekka się spuszczała,  
Na rękę Turków harcem wywabiając.  
Tu kto kawaler, dając dowód cnoty,  
Do tej się bierze na czoło roboty.

Już i plechota następuje mężnie,  
Jako na taniec idąc w ogień żywy,  
I z janczarami strzela się potężnie,  
Których tu wezyr zmyka niecierpliw;  
Lecz że szyk średni na winnicach więźnie,  
Aż ku południu czyni bój wątpliw;  
Bo które trudnią nas winnic przymurki,  
Te zasłaniały strzelające Turki.

Jak przy wesołej trafiła się biesiedzie,  
Że wprzód przed wielkim mały taniec grają,  
Tak tu ochotne pułki stojąc w przedzie,  
Noga za nogą na dół się zmykają,  
A choć z pierwszego razu im się wlezie,  
Jednak zwycięstwa bacznie docierają,  
Dokąd aże król i w prawo i w lewo  
Roześle skrzydła na obie randewe.



A kiedy słońce średnie przez tropiki  
Niebieskie bieżąc, gorąca przysporzy,  
Nasze tem śpieszniej następują szyki,  
I poplerają pogan nie najgorzej;  
Wszędzie huk straszny, łoskot i okrzyki,  
A krew się leje co dalej to sporzej;  
Bo choć z furją Turcy lecą srogą,  
Impetu naszych wytrzymać nie mogą.

Husarz kopije jeno co swe złoży,  
Niejeden na szpil zostaje wetchniony,  
Co ich nie tylko zamięsza, lecz strwoży,  
Sztých nieuchronny i nieodłożony,  
Bo kogo trafi, tyrańsko się sroży,  
Biorący czasem i po dwie persony;  
A drudzy pierzchną tak skwapliwym tropem,  
Jak muchy przykrym sobie przed ukropem.

Jednak tak oni ustępują kroku,  
Iż zmięszani w lot do sprawy przydą;  
Potem naodwrot, z którego chcą boku,  
Na lotnych koniach nieprzyjaciół zyda,  
Dopieroż szablom dodają obroku  
Ze krwi chrześcian, albo bystrą dzidą  
Straszni jak znowu, co dopiero blic,  
Odnawiają bój, mężę znamienlic.

Jakoż i wtenczas przyznać im że mężę,  
Gdyż i w poganach godna chwały cnota;  
Od nich Potocki i Modrzewski leżę  
Pamięci godni; Totomir żywota  
Także pozbawion; szabla ich rozpręże  
Z światem; książęcia de Kroja co rota  
Wymknie się która przed hufcami wprzody,  
Bez znacznej w swoich nie powraca szkody.

Taż i po dołach z janczarami wrzawa,  
Którzy z plechotą strzelają się srodze,  
Ich zawalona trupami przeprawa  
Najbardziej na tej co ku Wiedniu drodze.  
Zaczem u naszych pośpieszniejsza sprawa,  
Którzy już koniom wypuszczają wodze;  
Wprzód prawem skrzydłem jako orda pierzchnie,  
W pogonią pójdą niżli się przymlerzchnie.

Wtąż lewe skrzydło, wtąż w średnim szyk  
[rzędzie,

Dra się ostepem na żwawe pogany,  
Na nich lub Niemiec lub Polak usłędzie;  
Nic nie pomaga, odwrót powtarzany;  
Gdzie widząc, że wnet po rozprawie będzie,  
Oraz i Wiedeń eliberowany,  
Mrucząc uchodzą; lżejsza stracić bowiem  
Wszystko, by jedno z samem umknąć zdrowiem.

Na co patrzący wezyr niebu łaje,  
Mechmeta bluźni i zębami zgrzyta —  
A widząc, że w swych uleczka powstaje,  
Wraz i samego strach za boki chwyta,  
A jak zabitym pozbędzie Kihaje,  
Dopieroż się wódz sam o drogę pyta.  
Dwóch tylko synów przy ojcowskim boku,  
Pilni, spiesznego naśladową kroku.

Wielki kanclerzu! Przednią głowo rady,  
Co monarchią ottomańską rządysz,  
I który światła trzech części osady  
Skinieniem palca twym rozumem sądzisz, —  
Któż widział kiedy twoje wsteczne ślady,  
Jak teraz z Rakus uciekając błądzisz?  
Cóż to za fata, co za niefortuna,  
Przez którą ginie ottomańska luna?

Onóż go macie! co mu był świat ciasny,  
Jako ucieka, błorąc na pazury.  
Dopieroż tyran chrześcijanom straszny,  
Ziemlę rozrzucał, twarde kruszył mury,  
Powietrze męszał, dymem ćmił dzień jasny,  
Teraz przed wstydem kryje wzrok ponury,  
W jednej z pod Wiednia zbiegając opończy,  
Swoją imprezę sromotnie zakończy.

.....

### Chrystus cierpiący,

według textu Ewangelii świętej, przy zabawie postnej,  
wierszem polskim wystawiony.

Ozwłj się lutni,  
Niech jak najsmutniej  
Głos strony dają;  
Niech po tem pleniu,  
Serca stworzeniu  
Twarde się krają.  
Rzuć teraz owe  
Pienia światowe,  
Puść krotofile,  
Jakieś w tym czasie,  
Przy allaspasie  
Spiewała mile.  
Jakie nad bratem,  
Gdy przepadł z światem,  
Królewskie córy,  
Łzy bursztynowe,  
(Wieści nie nowe)  
Z swej pocą skóry, —  
Tak kiedy ginie  
Pan, niechaj płynie  
Jako z obłoka,

Z wilgłej źrenice,  
Miasto dżdżownicy,  
Łza z twego oka.  
Co ducha w zwierzu,  
W łuskach i pierzu,  
I co się ruchu  
Na ziemi, w niebie,  
W morzu, w Erebie,  
Stron tych niech słucha,  
A więc prawdali,  
Co nam podali  
Talmudzistowie?  
Na arfie owej  
Snać Dawidowej,  
Że zefirowie  
Grali tubalnie  
Lekko i walnie  
Bijący w strony,  
Czynili dźwięki  
Lubo od ręki  
Żadnej nie tchnionej.

.....

P u n k t VI.

Poranek.

*A gdy było rano, weszli w radę wszyscy arcykapłani przeciwko Panu Jezusowi, aby go zamordowali.*

Mathael 26 v. 3. et 4.

Ledwo wtem zorza  
Poranna z morza  
Jaśniejąc wstaje,  
Gdy onych katów,  
Rzymskich żołdatów  
Kupią się zgraje;  
Bo nie tu koniec:  
Przybłęga goniec  
Znowu biskup!



Bo jak i wczora,  
Prokuratora  
Co dla obrony  
Miał sprawy onej

Namniej nie widać,  
Sędzia go przydać.

.....

Różaniec  
Najświętszej Panny Maryi,  
według zwyczaju kaznodziejskiego rytmem polskim  
wyrażony.

Pierwszej części wesołej  
Pierwsza tajemnica  
Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi.

Witaj Matko ze wszech święta,  
Którą Trójca niepojęta  
Z woli swojej stanowi;  
Aby przez Cię nie stworzone  
Słowo, było narodzone  
Na zbawienie człekowi.

*Ojciec nasz.*

*Jexus, Marya, Józef.*

Ciesz się ziemi, i wysokie  
Raduj niebo, i głębokie  
Morze niech tryumfuje,  
Bo rodzeniem Stwórcy dziwnem,  
I zwyczajowi przeciwnem,  
Nam zbawienie gotuje.

*Zdrowaś Marya.*

Ciesz się Panno pozdrowiona,  
I owocem napełniona,  
Który wszystek świat zbawi.  
W Cię się wcielił Słowo wieczne,

Masz poselstwo dostateczne,  
Któreć Archanioł zjawi.  
*Zdrowaś Marya.*

Jak lilla z między głogu,  
Tak wybrana tyś jest Bogu  
Miłą oblubienicą.  
Prawem dziwnem, mocą wielką,  
Przechodzącą mądrość wszelką,  
I skrytą tajemnicą.  
*Zdrowaś Marya.*

O jak szczęsne i chwalebne,  
Bogu mile, nam potrzebne,  
Świętej Panny poczęcie,  
Adam łaskę nam utraca,  
Przez Maryą Bóg nam wraca  
Żywota przez śmierć wzięcie.  
*Zdrowaś Marya.*

Jak dostojna i czci godna,  
Bo grzechowa pierworodna  
Zmaza w niej nie powstała.  
Ta zamknięte grzesznym wrota,  
Nam otwiera do żywota, —  
Ta smoka podeptała.  
*Zdrowaś Marya.*

Córka szczęsna Jachimowa,  
Łaska żywa Aronowa,  
Ustaw boskich stróż czuły.  
Fórtka rajska, studnia żywa,  
I skarbnica cnót prawdziwa,  
Zwierciadło bez makuly.  
*Zdrowaś Marya.*

. . . . .

Trybut należyty wdzięczności  
wszystkiego dobrego dawcy Panu i Bogu,  
albo

Psalmodya Polska

za dobrodziejstwa boskie dziękująca. Przez jedną najlich-  
szą kreaturę Roku Pańskiego 1693 napisana.

Psalm V.

*Attendite popule meus legem meam. Ps. 77.*

**Dobrodziejstwa boskie nad koroną polską wylicza.**

Śluchaj pilnie ludu mój, i nakłoń ze wszystkiego  
serca uszu, na wyrozumienie powieści tej.

Przywiodę na pamięć dawne dni dzieciństwa twego,  
a opowiem ci pierwszą szczupłość, w którejs był, z ży-  
wota matki twojej wyszedłszy.

Coć musieli ojcowie twoi oznać, i dawni latopi-  
sowie w dziejach narodu twego zostawili, toć i ja przy-  
pomnę, abyś miał co do wiadomości podawać późnym  
wnuczętom.

Początek gniazda twego Polaku, na Faryjskich po-  
lach w Dalmacyi; a od dawnych niegdy Słowaków masz  
uczestnictwo języka i społeczność krwi rodowitej.

Onć to Sławonowie w historyach sławni przodkami  
twemi, którzy od Imanu góry aż po septemtrion  
rozpostarszy proporce, całą Europę swoją liczyli osadą.

A bystry Dunaj na paizach przepłynawszy, mocno  
się z rzymskimi pułkami ucierali, złotej bronląc wolności.

Z nich Bóg wyprowadził Lecha i Czecha, i osadził  
niemi te knieje, które przedtem osiadali ludzie z jasz-  
czurczemi oczyma.

Starszy od Elbu otrzymał przestronne dzierżawy;  
Lech po Odrę oddzielony wzięł sarmackie pola, od któ-  
rych trwa imie polskie dobrze sąsiadom znajome.

I podniósł sławę narodu swego, rozprzestrzeniając  
mleczem państwo, i wypierając niezgodne Teutony.



I stali się oba mnogiego ludu księżęty, i głowami, które miały być w potomkach koronowane.

Ale że ich prawda ewangielii nie doszła, dlatego u potomności w niepamięci zagrzebieni zostają.

Jednak kocha Pan i w niewiernych cnotę, i nagradza w potomstwie dobre uczynki, które znajomość wiary poprzedziły.

Wskrzesał z nasienia Ich Mieczysława, któremu z urodzenia ślepemu, przyjęta wiara doskonała wzrok przywróciła.

Gdzie uwagi godne wszechmocności dzieło, że w nawróceniu Polski pierwszym niewiasta apostołem.

Z przyjęciem wiary zaraz i przybysz honorów, gdy Bolesław I koroną królewską uczczony, z przedniejszymi monarchami świata w jednym szeregu chodził.

A tu już bierze się gorliwie za głowicę miecza Polak, przy czytaniu ewangielii, aby świadczył, że umierać dla wiary gotów, którą nad zdrowie kocha.

Już młasto trąby i krzykliwej surmy splewają nasi Bogarodzica, za larmo do boju, a krzyżem chorągwie znacząc, z tym znakiem gromią szczęśliwie nieprzyjacioły.

Ulega im jedynowładzca ruski, a Kijów przestrzeństwa swego w objazd siedm mil rachując, poszedł na łup Śmiałemu.

Dałby to był Bóg, aby tylko na nieprzyjacioły śmiały był, ale gdy się i na pasterza zdziczała owca rzuca, słuszenie koronę trać.

Bo nie pokładał w Bogu nadziei, ale w broni i męstwie, zapomniawszy, że któremi się państwa wszczynają sposobami, takleż i mocniej.

Prawą wiarą powstała Polska; a uszanowanie kłością uczyniło jej znaczną między narody reputacją.

I tak pozbyliśmy pasterza na ziemi, ale dostaliśmy patrona w niebie; a bez korony nie tak pyszni Polacy, snadniej przez pokorę Boga ublagali.

Bo nam to w Krzywoustym nagrodził, pięćdziesiąt i kilku potrzeb zwycięzcy, nad którego nie miała Polska pana bitniejszego. On utarł rogów wiarołomnej Roxolanii, i dobrze się dał w znakł na Psiem polu knechtom niemieckim.

Wysłał ściegna znakami zwycięstw, gdzie się tylko obrócił, i odnowił ślady pradziada poniekąd zapomniane.

I ciągnęła się nieprzerwanem pasmem z łądzwi jego potomność, od kołodzieja Piasta do Kazimierza Wielkiego przez długie wieki królująca.

Ale i ten był nie we wszem prawy Bogu, kiedy napomnienie lekceważąc kościelne, napominającego kazał do rzeki wrzucić kapłana.

A tak który zapomniał dobrodziejstw boskich w szczęściu obfitując, zapomniał go też Bóg w potomstwie, które się marnie obróciło.

I przyszlśmy pod panowanie obcych, jako skoro się Piastowego koła obrót odprawił.

Wzłął koronę i z wiarą Jagiello; woleliśmy poddać się w obcą rękę, żeby tylko przyczynić poddaństwa Chrystusowi.

Godna wiecznej pamięci Jadwigo, pani nasza, która jako Dąbrówka Polsce, także i ty apostołowała Litwie.

Widzieć było pogańskich ludzi tłumy do chrztu się ciskających, którym król i pobożna królowa i j. w. senat kmotrami zostają.

A zatem pobłogosławił Bóg pieczęlowanie o włnnicy swojej, że za zjednoczeniem duchownem zjednoczyły się oba narody związkiem politycznym.

I mamy z głównych niegdy przeciwników przyjaciół, jako latorośl w pniach wolności przez wiarę wszczepioną.

Potem nasienie dobrego pana rządziło Polską do słódmego następcy, na którym żalorny klimakteryk niepłodności pochodną świętych cnót domu Jagiellońskiego zgasił.

Po zejściu ich krótkie z liliami pieśczoły, ile ten kwiat nierad statkuje; więcej ucieszyły trofea Stefanowe, kiedyby jeno jako waleczne, tak i trwalsze być mogły.

Następuje zamorski snopek, snopek ziarna pełny przy nadziei, że tem nasieniem niwy nasze poslane, miały przynosić plenne Polakom żniwo.

Jakoż udała się pierwsza siejba męstwa Zygmuntowego; udała i potem, gdy pięknej sławy zielonością umaili tron nasz dzieła Władysławowe.

Ale prędko wysieleło się zboże, i wykruszyło z kłosa ziarno, gdy z królewskiej dyademy wypadł kosztowny kamień, a potem i sama korona z głowy naszej zrzuciona.

Zaraz się nagle zaćmiło słońce estymy Polski, i ona uwlelmożona tak wielu narodów pani grubą się odziała żalobą.

I stękać poczęła stękanem rodzącej, żal jej przeniakał niebo, tem cięższy, gdy uważa, że od własnych chłopców znleważona.

Cóż prze Bóg zawiniła, że tak sromotną odnosi plagę. Sekret samemu niebu wiadomy, ile są skryte sądy pańskie.

Wynlesiona w sławę, wytuczona dostatki, obfitością wszelaką nabrzmiała, potrzebowała zbytnich humorów ujęcia.

Gdyśmy zaś do Boga w tych paroxyzmach się obrócili, nie tylko miłościwie nas wysłuchał, ale też nieodwłocznie stał się pomocnikiem naszym.

Przez wojnę ukarał, przez wojnę pocieszył, kiedyśmy wszystkich nieprzyjaciół startych przed sobą widzieli, albo którzy wojowali, nas o przymierze prosili.

On sprawuje i teraz, że bliskich ognia nie ugara ogień, a pod mieczem pogańskim rolę naszą sprawujem w najgłębszym pokoju.

Uważajże czuło i rozpamiętywaj Polaku, skąd cię to potyka, a wierz mi, że stateczność w wierze i uszanowanie kościoła teć z nieba jedna fawory.

Statkuj i dalej, wszystką nadzieję pokładając w Panu a On mocen jest jako zawsze podźwignąć cię w uszczupleniu terażniejszym.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Ś. etc.

### Psalm XI.

*Dixit injustus ut delinquat in semet ipso. Ps. 35.*

#### Na mieszania i rozrywania sejmów.

Rzekł niesprawiedliwy sam w sobie aby grzeszył: a zmrużywszy oczy, nie chciał się oglądać na bojażú Bożą.

Nie chciał zrozumieć przewrotności umysłu swego, ani uważał, że w zgubie ojczyzny i samemu zginąć przyjdzie.

I tak zdradliwie mówił przeciwko matce własnej; a gorszy pasierba, piersi te lżył, które go karmiły.

Głowa jego nie myśliła o dobru pospolitem, ale żeby się dobrze mieć, by i złe czyniąc; a nienasycona podwyższenia chciwość nie chciała się obejrzyć na prawo przystojności.

Ojczyzna w uściech i obrona jej, a w sercu kończyste żądło jak węda u hipokryty.

Ztąd uczynił się rzecznikiem, w skomo na obronę dobra pospolitego, a pod pokrywką publiki, tań zawziętość sejmów rozerwania.

Mówiąc skrycie sam w sobie: Cóż mi za to pleczołowanie o ojczyźnie? kiedy inszą drogą pomogę sobie do dobrego mienia.

Droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, wdzięczność za odwagi omyła; a gdy występków nie karzą, grzeszyłby ktoby dobrze czynił.

I tak udaje się przeciwną od gościńca ścieżką; a między sobie podobnymi rozsiewa ducha przeciwności.

Ród jaszczurczy, i właściwe Judasza pokolenie; bo i ten Pana w rękę całując, dla błahego kwestu, ojczyznę własną sprzedaje.

Psia natura, która węchem pożywienia śledzi; a znalazłszy, na plugawem ścierwie opada.

Widzisz to Boże, czuły wolności naszej stróżu i grozisz pomstą zdrajcy; któryś tego balsamu wolności przez «nie pozwalam» w truciznę obracać nie kazał.

Ale jako Bezoar w zakrytem naczyniu zachować był powinien: on go teraz datkiem przekupiony, na niezdrowie pospolite używa.

Idzie jednak za zdrajcą, choć leniwa Nemezis, a wyzionąwszy nlecnotliwy wziętek, samego czeka judaszowskie myto.

Upadną, upadną ci, którzy ojczyźnię źle służą; a plemie cnotliwego na to miejsce dziedziczyć będzie.

Wyżoną przekupionego ojca Cherheles potomków z domu, a ze złego zbioru drobna działwa nie ucieszy się.

Jeno szpetna sława aż do obmierzenia zostanie, i będzie pamiątka jego w pośmiewisku tak, jako onego, który w Efezie bóżnicę Dyany zapalił.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

#### Psalm XIV.

*Domine quid multiplicati sunt. Ps. 3.*

**Korona polska wziętość na się nieprzyjaciół wylicza.**

Panie, czemuż się namnożyło tych co mię trapią? a bez dania okazji codzien mi nleprzyjaciół przybywa?

Bliscy moi i przyjaciele, przeciwko mnie zbliżający się stoją.

Cytra moja obróciła się w smutek, napój mój w truciznę; kiedy z przyjaźni sąsiedzkiej widzę na zgubę odpowiedź i nleubłagane zajątzenie.

Jeżelim przymierza nie strzymała? umowę zламаła? albo na zdradzie komu była? Sama się sądzę, że słusznie tę zawziętość ponoszę.

Ale jeżelim cudzego nie pragnęła, pokoju nie wzruszała, do wojny nie dała okazji; czemużby mię te stósy potykać miały?

Ty wiesz mój Panie, żem spokojny żywot i zgodne obejście z każdym zawsze kochała, a za to mię teraz te klótnie zewsząd ogarnęły.

Gdy oto swywołny Zaporoziec potargawszy obowłazki poddaństwa, z krymskiem pogaństwem nastąpili na mnie uciążliwie.

Oraz upatrzył w nieszczęściu mojem czas przedtem ode mnie gromiony Moskal i nie chciał zaspać pogody, w odbieraniu zawojowanych derewni.

Poszła za wiatrem i borealna Szwecya, a w temie zamieszaniu łatwiejszego próbowała połowu.

Aż też honorowany ode mnie Transylwańczyk, przeważywszy się przez Krępak, bez opowiedzenia wojny, kraje mi pustoszył.

Wszyscy ci mówili i urągali wszetecznie: Niema Polska zbawienia w Bogu swoim.

A ono Ty Panie jesteś obrońca mój, i puklerz nieprzebity; sła moja, która chociaż poniży, znowu podniesie głowę moją.

Bo cóż wskórali, i co za korzyść odnieśli, którzy się na zgubę moją sforsowali? Mało co mię umartwiwszy, sami w oczach moich marnie przepadli.

Rozmarzył chmielny trunek ukraińskiego Spartaka, że i Rzymowi groził; kędyż jest wycięto drzewo, usechł pniak, pokruszyły się gałęzie.

Kędyż jest Ukraina? która po trzykroćstotysięcy ludu szymatyckiego wyprawiała na wojnę, a teraz i na zupełną sotnię zdobyć się nie może.

I drugi się niewiele ucieszył, puste uroczyska realami oplacając; albo i szwedzka furja, że króla straciwszy coś się jej cegieł w Inflanciech dostało.

Węgierska hałastra poszła w Krym zabrana; a pryncypał w ostatniej rozpaczy skończył, z państwa degradowany.

Boś Ty Panie mój wygubił wszystkie, sprzeciwiające mi się bez przyczyny, i pokruszyłeś zęby grzeszników.

Ufam i dalej, że młę z paszczeki żarłoka wybawisz, a nad ludem swoim pokażesz miłosierdzie Swoje.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

Psalm XV.

*Ut quid Deus repulisti in finem. Ps. 73.*

### Lament kościoła bożego na inwazyą turecką.

Przecz żeś nas Boże odrzucił do końca? Rozgniewała się zapalczywość Twoja na owce pastwiska Twego.

Aleć trudno pytać czemuś odrzucił? Złości bowiem nasze uczyniły rozdział między Tobą, a pycha nasza jako silny wiatr rozdeła ogleń gniewu Twojego.

Wytrzymałaś, groziłeś i napominałeś; aż wldząc zatwardziałość upornych, siedmiorakie plagł jak na Egipt spuściłeś.

Zrebelizowana czerń zesromociła nas, a dzicy Geloni zabierali plon z obfitej Roxolanli naszej.

Wdarł się aż do serca zamorczyk, a od Hiperboru trzech liter Pan, wydarł nam Antemurał północny.

Naprzykrzył się z za Tatrów wlcher, aleć i domowe zawleruchy czy nie byłyż karzącym nieprawości biczykiem?

To ich sześć, siódma następuje, plaga wojny tureckiej; pod którą (jeżeli Bóg gniewu nie odwróci) pewnego upadku czekać Polsce potrzeba.

Żarłok państw, potop światła, łakoma krwi chrześcijańskiej Charybdis, i bestya z samego nieba gwiazdy pożerająca, Turczyn.

Już gotowością jego zaburzył się Euxyn, wspienił się Dunaj, a pograniczny Dniestr misternemi przysłodłany mostami.

Gotuj konie Polaku, wsładajcie jezdni, wychodźcie pieszy, ostrzcie żelaza, składajcie kopie, uzbrojcie się w pancerze.

Podnoście krzyżem znaczone chorągwie, a nie czekając tego gościa u siebie, przejmujcie mu drogę w pobliskich Multaniech.

Ale jakoś fatalny to mocz, co z niego siły nie mamy, bo niemasz Pana zastępów z nami, któryby woował za nami.

A zatem ściśniony gwałtem Kamieniec, gdy wytrzymać nie może, poganinowi się poddaje, ona przez tak wiele lat obcej ręki niewiadoma, litewskiego Korjata osada.

O żałośny widoku! już pyszny sułtan w bramy jego z tryumfem wjeżdża; już na wleżach miejskich bisurmańskie księżyce tkwią, już z wierzchu kościołów porzucano krzyże na wzgardę.

Jako w lesie drzewa, siekierami rąbał i ołtarze, toporami i oskardami burzyli groby umarłych.

Brano żalonym ojcom gwałtem kwiat młodości, urodziwe syny, a udatne dziewoje od matek, stadem pędzono do szaraju.

Grono rycerstwa bitnej prowincyi mieczem wygubili, insze stany miejskie pognali precz, jak bydło na paszę.

Ale to większa, znak zbawienny, krzyże zrzuciwszy, deptali; a Ciało Pańskie pod osobą chleba zawarte, z przybytku ołtarzów zelżywie wyrzucili.



I mówili: Uczynimy, że ustaną wszystkie święta gaurów w ziemi tej, a obrzędy ich zatarłszy, sama jedna muzułmanów włara rozpostrze się po świecie.

Wyprowadźmy lud krzyżem znaczony za Proponyde, a na to miejsce od dalekiego Kajru naprowadźmy mieszkańców.

Dokądże o Boże naród ten urągać będzie? Iżali tak zawsze rekutyt<sup>1)</sup> ten Imię Twoje święte bluźnić i sromocić będzie przybytek Najwyższego.

Czemuż Panie zatrzymujesz rękę od posłku wiernych? czemu nie wyciągniesz prawice Twojej na ratunek w Tobie ufających?

Powstań o Boże! rozsądź sprawę naszą; wspomnij na hańbę ołtarzów Twoich, która Cię od tych kajmanów potyka.

Nie podajże bestyom dusz chwających Ciebie i dusz ubogich Twoich nie zapominaj do końca.

Tyś utwierdził mocą Twoją morze; Tyś pokruszył głowy smoków w wodach.

Tyś jest Pan, który ukarawszy, wrócisz nam dziełtwo nasze i będziesz pamiętnym na zgromadzenie Twoje, któregoś nabył od początku.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

### Psalm XXI.

*Confitebor Tibi Domine in toto corde meo. Psal. 9.*

**Przy pokazaniu się komety albo miotły ognistej  
in anno 1680.**

Wyznam o Boże w pokornem sercu przedziwne Imię Twoje, rozmyślając w cudownych, a rozumowi niepojętych dziełach Twoich.

1) Spolszczenie, które jest skróceniem łacińskiego *recutitus* — znaczy: obrzezaniec, Żyd.

Gdzie pojrzę, gdzie się obróć, wszędzieś obecnym jest, a nie tylko miejsce na którym stoję, ale i oddech który tchnę, od Ciebie być przyznawam.

Patrzę w górę; aż nieba opowiadają chwałę i znają Cię być stwórcą empirjskich sfer kołowrotu.

Pojrzeli po ziemi, albo się na bezdenne morze zapatruję; aż Ty sypiesz granice królestwom, dajesz prawa narodom, i nieutrzymane wód morskich wały, wędziłem mandatów Twoich kielznasz.

Twoją chwałę i wszechmocność opowiada bezrozumne stworzenie; dopieroż którycheś na obraz Twój stworzył, wielbić Cię mają ludzie.

Tyć tego o Stwórcu nie potrzebujesz, ale przecie wdzięcznym być nie wadzi.

Któż określi nieogarnioną moc? Kto wyrazi nieoszacowaną dobroć? i nad niebiosa wyniesione miłosierdzie Twoje?

Gdyśmy obrazili majestat Twój, karała godnych osądziłeś; nie chciałeś jednak skwapliwie karać w zapalczywości gniewu Twego.

Napominałeś przez proroki, wyrzucałeś na oczy przez kaznodzieje, w ostatku jawne na niebie wystawiłeś na następującej kary pogroźki:

Góre na podmieślęcznych sferach zapalona gniewu Twego pochodnia, i nigdy królestwom bez uszczerbku nie świecący kometa.

Obłoki wydały z siebie już niewilgotną rosę, ale krwawym deszczem ziemię skropiło niebo.

Trzęsła się, gdzie niezwyčaj, ziemia; i kagańce niebieskie światła swoje kryły; następującą przeznaczając rzeczy podmieślęcznych waryacją.

Zkądże Panie te niezwykle cuda i w nadpowietrznych rzeczach dziwowiska; jeno od Ciebie ojcowskie do nawrócenia przestrogi.

Ty któryś na ścianie napisał Baltazarowi przyszłego upadku oznajmienie; tymże palcem, ognisty wyraziłeś charakter.

Na zgubę jednym, w upamiętanie drugim, a wszystkim, aby widzieli iż Bóg stwórca, panuje narodom, i stanowi królestwom granice.

Któż podobny Panu, Panu i Bogu naszemu? w którym wszelkie stworzenie jest, rusza się i żyje.

Zaprawdę wielki Pan, sam cuda czyniący, a ten Bóg monarcha wszystkiego, stwórca nieba i ziemi.

Skruszy ramię grzesznika, i złośnika, i obrzydliwą wyniosłość poniży.

Uczynił sprawiedliwość sierocie i uciśnionemu, i rozkaże aby się więcej pyszny nie wielmożył na ziemi.

Któremu w dobroci niepojętemu, w miłosierdziu nieprzebranemu, w karaniu nieskwapliwemu, a w Trójcy św. jedynemu; niech będzie cześć i chwała od wszelkiego stworzenia na wieki. Amen.

#### Psalm XXII.

*Domine in virtute tua laetabitur rex. Psal. 20*

**Na wyjeźdźnym pod Wiedeń najjaśniejszemu Janowi Trzeciemu, królowi polskiemu, panu miłościwemu.**

Panie w mocy Twojej rozweseli się król, a w dziełach wybawienia Twego, wielką mu dasz do radości przyczynę.

Oto bohater do boku przypasuje miecz, aby wojował za Imię Twoje; bierze herbowną tarczę, aby odprawiał wojny pańskie.

Już na dzielny koń wsiada, i na rączym pegazie puszcza się w drogę; daj Panie rycerzowi Chrystusowemu szczęśliwe wszędzie powodzenie.

Przyjmij żądanie serca jego, które do Ciebie z góry upodobany wypuścił, i nie racz mu odmawiać o co Cię prosił przed obrazem Matki Twojej.

Boś go uprzędził natchnieniem, aby upadłe dźwigał chrześcijaństwo; dajże mu i dalej moc dokazowania skutkiem, któryś wzniecił dobrą wolą, ratowania w umyśle.

Kiedy zdrowie i żywot za bracią swą niesie, przyjmijże Panie ofiarę tę, a uprzędź go w błogosławieństwie.

Oto bowiem bestya, która z nieba gwiazdy zmyka, na lud Twój paszczekę rozdarła; pomóż mu o Boże, aby tak wielogłową hydrę ręka Jego stłumiła.

Już bowiem czterdzieści dni blisko, jako ten Gollat wyzywa lud boży na rękę, a nie obrał się nikt, ktoby się oparł najezdnikowi.

Pierworodny Eliab milczy, ale i drudzy ponieśli; poszczęść Panie Dawida, że ugodzi kamieniem w czoło tego zuchwalca.

Bo on w Tobie i w mocy Twojej ma nadzieję, o Najwyższy. Niechże przez ten instrument prawica Twoja zgładzi narody, które Cię w nienawiści mają.

Który najśłodsze Imienia Jezus, językiem nie wzywa, ten od szabli wojującego króla niechaj starty będzie.

Umocnijże Panie zastępów ręce jego i drogę do boju idącego prostuj; a przystawiony anioł niech w niebezpieczeństwie, mocnym puklerzem piersi jego zakłada.

Pójdźże szczęśliwie królu w mocy Boga zastępów, który w ognistym słupie przed tobą pójdzie, we dnie i w nocy.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

#### Psalm XXIV.

*Venite exultemus Domino. Psal. 94*

**Pamiętka odsieczy Wiedniowi danej R. P.**

**1683 dnia 13 Septembra.**

Pójdźcie radujmy się Panu, śpiewajmy Bogu Zbawicielowi naszemu, uprzędźmy oblicze Jego z dziękczynie-

niem, a przez pieśni i hymny, wychwalajmy niewysłowioną dobroć Jego.

Albowiem Pan jest Bóg wielki, który czyni wszystko z niczego, i król możny, który z ostatniej toni zgubionych wyratować może.

Ten cię zdesperowany Wiedniu wydrze z rąk olbrzyma, za gardło cię trzymającego, i zrazi krwawą bestyą, paszczekę na cię rozdzierającą.

Który Konstancyja upewnił w znaku krzyża o zwycięstwie; ten i tobie pewnie hasło daje, że w tymże znaku prędkiego dostąpisz wybawienia.

Podnieś oczy twoje na góry, a tam ujrzysz gęste chorągwie, z tem znamieniem w posilek ci idące.

Rzuć wzrokiem ile można na niebotyczne drzewami okryte skały; z których wielkim pędem wylatują mężni orłowie, na wybawienie twoje.

Już, już Kara Mustafa, libickiego lwa szczenię, zajrzawszy krzyża, trwożyć sobą poczyna; i ono Lucyperowej pełne pychy serce, zbierać każe namioty.

Już odjął świetną od zawoju forę; czy że się w drogę gotuje, czy głowę ułatwiając, po którą niezadługo stambulskie emiry przyjdą.

Baszów i bellerbejów hucznych tchórz obleciał; co żywo w drogę, gdy już ciężkie bazary, w srogiem zamieszaniu nazad uchodzą.

Działa i kartany ich nie huczą, ale wyją, a wyrzuciona minami ziemia, na nichże leci, chcąc pogrześć jeszcze żyjących.

Więc co w skok oblężęcy pójǳcie, i upadajcie przed tronem Najwyższego; dziękujcie Panu, który was stworzył, i wielbićcie Go, który wam teraz powtórnie daje zbawienie.

Dziś jeno głos odsiecz niosących usłyszycie, nie ztwardzajcie serc waszych bojaźnią; ale wdzięczni ratunku do nieba ręce podnoście.

Wypadajcie młodsi i kto broń w ręku uniesie, na zdjęte strachem nieprzyjaciół; a wy starcy i z niebitną gawiedzią po blanka chmurów tryumfalny hymn zaczynajcie.

I uczyńcie okrzyk wesół, jako po wygranej bitwie, i niech publicznej radości ogniami Stefanowa wieża rozjaśnieje.

Tak jako czasu Solimanowego od Wiednia odwrotu, gdzie także ojcowie wasi doznali pomocy Pana zastępów.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

### Psalm XXV.

*Exurgat Deus et dissipentur inimici ejus. Psal. 67.*

#### **Na wstępny bój wojsk chrześcijańskich z Turczyнем.**

Niech powstanie Bóg, a rozproszą się nieprzyjaciele Jego; niech uciekają przed Nim, którzy Go nienawidzą.

Jako silny wiatr płaski rozwiewa, albo jako воск od ognia topnieje; tak niechaj się w niwecz obróć przeciwnicy Izraela prawowiernego.

Tak ci co krew jego w nienawiści mają, jako i którzy dobrego prowadzenia braci swojej zazdroszczą.

Których zjadła nienawiść suszy, żeby woleli widzieć przeważających poganów, niż wiernego ludu tryumfy.

Ale nie ucieszy się obłuda ani się powiedzie preumcył, która jako pierwszego nie cierpi, tak ani równego mieć nie chce.

A wyprawnego serca śpiewajcie Psalm Bogu i między alarmem rycerskim, dajcie chwałę temu, który wstąpił na zachód, a Pan jest Imie Jego.

Radujcie się wierni, mając Boga sierót ojca i łaskawego sędziego wdów; trwożącego nieprzyjaciół i konfundującego zazdrosnych.

Gotowy jest Pan, złamać łuk bisurmański i pokruszyć potęgę jego i powrzucać w ogień armaty znamieniem miasła pletnowane.

On wywiedzie z ciężkiej niewoli jęczące więźnie: i zwiedzionym poturmakom da się obaczyć, którzy chrzest wodny, brzydką obrzeską zakrwawili.

Teraz wychodź Panie przed ludem Twoim, tak ja-  
koś niegdy był na puszczy Izraelowi przewodnikiem.

Zatrząśnij okręglem ziemi pod niemi i strzałami piorunów uskrom harde dziewlesily, którzy na wojnie  
wszystką pokładają w szczęściu sprawiedliwość.

Okurz ogniem gniewu Twojego naród wszeteczny,  
który ma za wspaniałe dzieło, gaurom wiary nie dotrzy-  
mywać.

O jako piękna rzecz, widzieć jednego kościoła lud  
pod znakiem krzyża zgodnie wojujący i patrzeć, że mie-  
szkają jednych obyczajów bracia w domu pańskim.

Jako arcychwalebna, sercem i ręką tłumić niewolni-  
czej Agary plemie, które się dobrego Izraela krwi nigdy  
nasyć nie może.

Patrz jakie postępowanie chrześcijańskich hufców  
do boju, postępowanie prawie samego Boga zgodę ko-  
chającego, i w zjednomysłności mającego upodobania.

Lewą rękę w szyku rzesza Teutonów otrzymała,  
aby bliższa była serca Wiedeń ratować, uwalniając gniazdo  
orła dwugłowego.

Po prawej stronie rozciągnął konny Sarmata, ochotne  
pod błęym orłem chorągwie, z którymi lekki wiatr igra-  
jąc w sam ich majdan pogański popędza.

W najcelnych pułkach stanął koronat szablą groźny,  
który jako mądrze berłem, tak mężnie w boju władnie  
żelazem.

Więc że poganin szablą zawojował tak wiele pro-  
wincyi chrześcijańskiej, takowąż bronią trzeba było za-  
wojowane odbierać.

Godny pramłd dla wlecznej pamiątki widoku, jako  
pierwszy na szaniec Jan III. zdrowle dla włary niesie,  
w którego zdrowiu było zdrowie całej Europy.

Przy nim i Beniamin młodziuchny w też tropy idzie i męznego ojca trybem, na oblawy wojenne, bark i niedoszłe pazury wprawuje.

Znamienite potem książęta Alemanom swoim przodkowały, Saxon i Lotaryng i słaby w wieże Bawarczyk.

Po drugiej stronie szli w sprawie hetman polscy, okazali urodą, ale daleko wlecej męstwem zalecen! Jabłonowski z Sieniawskim.

Na zejściu Briarens storęki siły swe dzieli, jednymi miasto obleżone trapi, drugimi wstępny bojem chrześcianom pole daje.

A jak dwie chmury zwarte, grzmotami straszniemi ziemi grożą i pioruny strzelają, tak i tam całe hemisferium burzliwa wrzawa zamięsza.

Teraz Panie posiłkuj mocą Twoją; niechaj z nami będzie; ukrzep ręce i przywiedź do skutku oczekiwania nasze.

Pogrom zwierze trzcinne, i rozpędź zgromadzenie byków między krowami; a parchowaty kozieł rozczośnawszy kopyto, niechaj nam dalej pozorem straszny nie będzie.

Rozprósz naród, który się wojną tuczy, posyp solą łakomą pijawkę, co się chlwie krwi naszej opila.

Niech zagrzmi znowu w Egipcie wielowładna ręka Twoja! a zaraz Pers i Murzyn i odległa China poda ręce swoje Bogu.

Dziwny jest Bóg w mocy swojej, Bóg Izraelski; ten da moc i siłę ludowi swemu; niech będzie Bóg błogosławiony.

Ktoremu w Trójcy świętej jedynemu cześć i chwała po wszystkie wieki wieków. Amen.

#### Psalm XXVI.

*Deus auribus nostris audivimus. Psal. 43.*

#### **Pienie wdzięczności za zwycięstwo wiedeńskie.**

Boże, cośmy uszyna naszem słyszeli, co nam ojcowie nasi powiadali, tego się teraz oczy ludu Twego z pociechą napatrzyły.



Dzieło mocy Twej, któreś za dni ich uczynił z Faraonem; toż i teraz nieskrócona w cudach, ani osłabiała w potęgde, wykonała ręka Twoja.

Ręka Twoja Panie nie ludzka pogany starła; przed Nią pyszny Assur sromotnie uciekał, który w hardości serca, na zgubę naszą przyszedł.

Z nim gruby Edomczyk w lot bieżał; a oto strachem zjęci z bystrego Dunaju wodami na wyścigi lecieli.

Nie obejrzał się Part, który w odwodzie potyczkę daje; ani bisurmanin wspomniął, że się wnukiem bożym nazywa.

Wydarł miecze z rąk ich zwycięzca w Imieniu Twojem silniejszy; prysnęły łuki, i strzały z kołczana rozsypały się po ziemi.

Patrzało na hardość ich wschodzące słońce; a toż na odwieczazu wdziało sromotnie rozgromionych.

Wstydział się miesiąc piętna swego; ażeby sromotę zakrył, nie chciał śwlecić w nocy uciekającym.

Nie pomógł w trwodze fałszywy prorok; ani częste umywanę nie oczyściło wszetecznych z grzechu.

Leżel w polu jako bycy tłusci po rzezi; a plugawe ścierwy kazał zwycięzca ziemią nakryć z poltowania.

Jeńcy w zatrzymaniu żywi zostali; a miecz po zwycięctwie ochłodnął w pochwy włożony.

Tyś tak kazał Panie Boże nasz cuda czyniący; aby którzy po cudze zdrowle przyszli, swoim nałożyli.

Aby chleb od gęby niewinnym wydzierający, nie pożyli go, a słabszy z mocniejszego zagarnął łupy.

Mało trzy dni było do zbierania korzyści. Brali nie tylko żołnierze odbieżane dostatki, ale i dzieci małe z pospolitym gminem.

One pyszne w Sydonie, czy w Dyarbecie złotem tkane namioty, odbieżane stały jako buda w sadzle, w której jabłek pilnowano.

Konie ich posładał mocniejszy, dzidy ich o nichże skruszył i kulami do grzbletu uciekających strzelał.

Przepadli wszyscy purpuraci ich, którzy mówili: posiadźmy ziemię chrześcijańską.

Zginął wezyr niemecko powrozem uduszony; a onemu kościołów Pańskich burzycielowi niedługo w skronie młotem Jachel gwóźdź wbiła.

I stało się tak jako Madyanitom, i jako Jablnowi u rzeki Cisson.

Położyłeś ich Panie jako koło na odwrocie, i jako źdźbło przed wiatrem, tak pyszni zniknęli.

Jako ogień, który pali lasy nikomu nie przepuszczając; tak napełnioną jest twarz ich sromotą.

Ztąd niech poznają, że Pan Imię twoje, o Jehowa! boś się wlelmożnie wslawił, konia i jeźdźca wrzuciwszy w morze.

Tenci jest Pan, którego wlelbić trzeba; Bóg ojców naszych, którego wywyższać będziemy.

Pan jako mąż waleczny, tryumfujący, Imię Jego przed którym wojska i wozy Faraonowe w czerwonym morzu na dnie zostali.

Prawica twoja Panie za nas wojowała; ręka twoja Najwyższy nieprzyjaciół zbiła; a w mocy twojej o Wszechmocny poraziłeś przeciwniki nasze.

Któż podobny Tobie między mocarzami Panie? tak wlelmożny w potędze, jako straszny i chwalebny i czyniący dziwy.

Nie nam tedy Panie podlemu gminowi, ale Imięniowi Twemu świętemu, które cudowne jest, niech będzie od nas chwała, wdzięczność i poszanowanie na nieprzeżyte wieki. Amen.

Psalm XXXII.

*In exitu Israel de Aegypto, domus Jacob de populo  
barbaro. Ps. 113.*

**Wyjście wojsk polskich z Węgier.**

Na wyjściu wojsk polskich z Węgier, posiłków chrześcijańskich domu rakuskiego, przeciw narodowi grubemu.

Stała się pomoc sąsiedzka utwierdzeniem tronu zachodniego, a szabla ratujących Sarmatów, odwetowaniem państw winorodnej Panonii.

Morze czarne ze zwycięstwem powracających wdząc, zaburzyło się; a Dunaj jako szalony, siedmią gąb wpadał do Euxynu gwałtownie.

Przyległe góry z niezwyklej uczynności skakały radosne, a pagórki winogradów jako jagnięta młode.

Cóż ci to morze, że się tak niezwykle burzysz? i tobie co Dunaju, że tym zapędem z łożysk twolch uciekasz?

Bo przyszedł czas naznaczony ukrócenia bisurman potęgi; dopędził fatalnego peryodu rozbójnik państw, że co z krzywdą nawydzierał, to mu też wydzierać poczęto.

Czemu skaczecie góry z radością, i wy pagórki jako jagnięta młode?

Od oblicza pańskiego wzruszyła się ziemia; od oblicza Boga Jakóbowego.

Ten uczynił z niedostępnych Beskid amfiteatrum, i na niedostępnych skałach wystawił złamanego Ottomana widowisko.

Ten Pan chciał mieć, aby okropne, Polskę z Węgrami dzielące Alpes, mostem się stały; aby przez nie wspaniały tryumfator do ojczyzny przechodził.

Dlatego wśród twardej zimy wyniosłe po górach zielenieją drzewa; chcąc aby z obronionych sąsiadów, na królewską głowę uwłły wieniec.

Układa się w ostrokończatą Krępak piramidę, na której by wlecznotrwałym stylem odrysowano sławne imię niezwyciężonego monarchy Jana Trzeciego.

I inne niedostępnego Karpatu podgórze, na przyjęcie tego gościa skacze z radością; i nieme kamienie nie mogą się nasycić widzeniem chwalebego zwycięzcy.

Ty Panie, który obrócił opokę w wodne jezłoro, Ty dla chwały krzyża Twego czyniącemu, te między dzikimi górami sprawiłeś aplauzy.

Lecz nie nam Panie, nie nam, ale Imieniu Twemu świętemu niechaj będzie chwała.

Dla miłosierdzia Twego i dla prawdy Twojej; aby nie rzekli poganie; kędyż jest Bóg ich?

A ono Bóg nasz na niebie! a wszystko uczynił co chciał.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu. Jako była na początku, tak i teraz i zawsze, na wieki wieków. Amen.

## OPALIŃSCY

KRZYSZTOF (1610—1656) i ŁUKASZ (1612—1662).

»Co za świat, có za świat! Groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy. Świat bez władzy, bez rządu, bez ładu i bez miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna. Wrażenie odpychające, naprawdę bolesne. Uciec się chce od tego świata, od tych czasów i od tych ludzi, zostawić tę przeszłość w zapomnieniu«.

Tak charakteryzuje wiek XVII-ty w województwie ruskim na podstawie aktów grodzkich tego województwa Władysław Łoziński, autor »Prawem i lewem«.

Natychmiast jednak zastanawia się nad tylko co rzuceniem oskarżeniem i dodaje do niego bezstronny komentarz:

»Przecież poza tymi ludźmi, co się zaciekle pieniali, zajeżdżali zbrojno sąsiadów, srożyli się nad słabszymi, rozbijali i zabijali, istniała większość spokojna, poczciwa, szanująca prawa boskie i ludzkie. Biorąc to zaś pod uwagę, przychodzimy do przekonania, że przy niepojętych dla nas dzisiaj brakach prawodawstwa i jeszcze trudniejszym do pojęcia niedostatku władz wykonawczych i politycznych, trzeba było idealnych ludzi, aby

było lepiej, niż bywało; a wkońcu pocieszamy się faktem, że równocześnie we wszystkich sąsiednich krajach działo się nie o wiele lepiej, jeśli nie równie źle albo jeszcze gorzej, niżli w Polsce.

Pogląd ten jest zupełnie słuszny, nie uwolniło to jednak stosunków, panujących w Rzeczypospolitej w połowie i pod koniec wieku XVII-go, od ostrego bicia satyry, której, zaiste, »trudno było nie pisać« w owych czasach.

Bardzo to u nas bogata gałąź literatury, niezawsze mogącej sobie rościć pretensje do artyzmu, ale zawsze, nawet w najmniej artystycznych utworach, cennej ze stanowiska obyczajowego.

»Zaczęła się ta literatura w wieku XVII-tym wojną domową, rokoszem — mówi prof. Brückner. Zwróciła się niebawem z największą zaciekłością przeciw konfederatom, dalej przeciw pospolitakom; szczególnie »stacje«, wyciskane z dóbr duchownych, poruszyły pióra (np. Starowolskiego). Inne kwestje polityczne mniej podnoszono; nie zapomniano jednak o sprawie żydowskiej, z którą łączono zubożenie i znędnienie mennicy krajowej, skoro Żydzi wywozili monetę dobrą, a ortami kraj zaplugawili. Co do »herezji«, zwycięski na całej linii katolicyzm sztychował już z owych czasów, »w których ludzie dworni niemieckie włarki do Polski zanosili i one ludzłom za coś pobożnego udawali«; teraz »szpek auspurski« i kalwiński już tylko po kątach się tułał i samizgo jezuitci niemilościwie tropili i tępill w wierszach najbezpieczniejszych. Dopiero jednak na połowę wieku (1640 do 1650) przypada główny tej literatury rozkwit. Ruszano piórem na zdrajców, na zauszników dworskich, na »fakcje« przeciw obrońcy wolności sarmackiej; przeciw modom cudzoziemskim w obozie, w strojach; przeciw sfrancuziałym Polakom; o herezji natomiast, o ucisku chłopstwa i innych materjach zapomniano nie-

mal doszczętnie; jak wszystko inne zmalala i spodlala satyra.

Surowy ten sąd znakomitego znawcy literatury XVII wieku znajduje potwierdzenie we wszystkim, co nam w dziedzinie satyry wlek ten jako puściznę po sobie zostawił.

Pozornie bogata, bo przez dość liczne reprezentowana utwory, jednak uboga jest ta puścizna pod względem formy, bardzo nieraz od poezji dalekiej. Typowe dla tego wleku wierszorstwo, posługujące się rymowaną prozą, a nawet białym wierszem, bez rymu, posiekany tylko wedle dowolnych miar, znajduje tu szerokie zastosowanie.

Nawet najlepsi, najwyżej stojący pośród satyryków ówczesnych bracia Opalińscy poetami nie są, acz w historii literatury zajmują miejsce poczesne z uwagi na stronę obyczajową swoich utworów.

Opalińscy, herbu Łodzia, pochodzili z rodziny starożytniej, od wieku XII-go już zapisanej na kartach historii, odznaczającej się nadto często gruntownym wykształceniem, dobrami głowami i miłośnictwem nauk. Jeden z ich przodków, Jędrzej z Blna, biskup poznański, założył miasteczko Opalenicę, od którego spadkobiercy jego nazwisko swoje przybrali. Krzysztof i Łukasz, którzy nas bliżej obchodzą, byli synami Piotra, wojewody poznańskiego, i Zofji z Kostków, kasztelanki bieckiej. Krzysztof urodził się w r. 1610-tym w Sierakowie, na pograniczu Wielkopolski z Niemcami. Po bardzo wczesnym zgonie ojca wychowywał się wraz z bratem młodszym, Łukaszem, urodzonym w r. 1612 tym, pod okiem matki, następnie oddany został również pospołu z bratem do kolegjum Lubrańskiego w Poznaniu, przy którym nieboszczyk ich ojciec »swoim kosztem opatrzył miejsce dla jednego nauczyciela«, z którego też tytułu wydział ten w kolegjum zwał się szkołą sierakowską.

Wojewodzice pobierali bardzo staranne wychowanie naukowe i obywatelskie, o czem świadczy fakt, że po ukończeniu szkół w kraju wysłani zostali na dalsze studia do Padwy (w r. 1630-tych), a stamtąd do słynnego Lowanium (Louvain) w Niderlandach (dzisiejsza Belgja).

Po powrocie Krzysztof wybrany został posłem na sejm. Jako posł okazał się jawnym przeciwnikiem zamiarów nowego króla (Władysława IV-go), który, korzystając z wojny trzydziestoletniej, pragnął odzyskać od Szwedów Inflanty, urządzić kozaków i ubezpieczyć granicę południowo-wschodnią od Turków i Tatarów, wreszcie podnieść władzę królewską i jej przewagą szale sprawiedliwości ustawić równo dla wszystkich stanów i wyznać. Wojnę szwedzką Opaliński najmocniej odradzał, przewidując same klęski, natomiast był zdania, aby się nie zbroić i Szwedom nie dawać żadnej zaczepki, gdyż to jedno może Polskę ocalić.

Jako miłośnik pokoju pojął Krzysztof w tym czasie burzliwym w małżeństwo Teresę z Sędziwojów-Czarnkowskich, dziedziczkę znakomitego rodu i majątku, przez co prawie podwoiłszy swe dostatki, używał ich zdala od stolicy na łonie swej rodziny.

Władysław IV-ty jednak, mimo tej przeciwnej dworowi polityki, idąc za zwyczajem zostawiała dostojęństw w znakomitych domach, dał Krzysztofowi województwo poznańskie, opróżnione przez śmierć stryja Jana. To wielkie odznaczenie Krzysztof przyjął jako hołd, należny znakomitości swego rodu, nie poczuwając się do żadnej względem króla wdzięczności. Jakoż podczas sejmu 1638-go roku młody, 28-letni podówczas wojewoda poznański śmiało wystąpił przeciw królowi i jego doradcy Ossolińskiemu, usiłującym wprowadzić Rzeczpospolitą na chlubniejszą dla niej drogę czynu. Naraziwszy się tem stanowiskiem swojem dworowi i widząc dla siebie obojętność, Krzysztof usunął się do swych dóbr i przez lat 6 nie brał żadnego udziału w sprawach publicznych. Dopiero



nieprzewidziane okoliczności zbliżyły go znów nagle do dworu. Oto po śmierci królowej Cecylji Renaty król postanowił zaślubić pokrewną dworowi francuskiemu księżniczkę Marję Ludwikę de Nevers. Gdy wstępne w tym celu układy przeprowadzono pomyślnie, dla podpisania kontraktu ślubnego wysłany został do Paryża wojewoda pomorski Denhoff, a wkrótce za nim, w sierpniu 1645-go r., w tęż drogę wyruszyło świetne poselstwo polskie. Na czele tego poselstwa stanął wojewoda poznański Krzysztof Opaliński, którego znaczenie osobiste i z przodków, lata kwitujące, piękna i wspaniała postać, wreszcie nauka i ambitne usposobienie czyniły najsposobniejszym do takiej roli. Miał on wyobrażać osobę króla przy ceremonii zaślubin, samego zaś obrzędu zaślubin miał dopełnić drugi, duchowny poseł, książe biskup warmiński Wacław Leszczyński, którego także rodziła Opalińska. A ponieważ i Denhoff, wojewoda pomorski, przez żonę był spokrewniony z rodziną Opalińskich, przeto cała wyprawa była jakby sprawą familijną. Opalińscy też wspólnym kosztem i staraniem uczynili swoje wystąpienie najświetniejszym, tak, iż przepych strojów i liczba orszaku zdumiła Francję.

Obrząd zaślubin odbył się w kaplicy pałacowej, zamiał uroczyście w kościele. Było to uczynione z rozkazu królowej regentki, Anny austriackiej, aby się zemścić na królu polskim za zerwanie z Habsburgami. Posłowie polscy nie zdołali temu przeszkodzić, stąd niechęć króla do nich za niezbyt trafnie odbyte poselstwo. Niechęć ta zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy oblubienica królewska po opieszalej podróży stanęła w stolicy dopiero w poście i obrząd osobistych zaślubin pary królewskiej znów musiał odbyć się cicho i smutnie.

Zniechęcony wojewoda znowu usunął się do swego dworu sierakowskiego, gdzie niezadowolenie z osobistego położenia odbiło się na ogólnym jego światopoglądzie. Wówczas zaczął pisać satyry.

Stosunek jego do Władysława IV-go zmienił się dopiero po śmierci króla. Wtedy jako pisarz zaczął go chwalić i wynosić. Ale duch przekory odezwał się w nim na nowo, skoro tylko przyszło do elekcji Jana Kazimierza. Obiorowi temu Opaliński sprzeciwiał się, obawiając się »rycerskich zachceń« nowego pana. Niechęć tę zachował i później. Podczas bitwy beresteckiej posunął ją tak daleko, że umyślnie spóźnił się ze swoim województwem i w świetnym zwycięstwie nie miał żadnego udziału, a gdy król chciał sięgnąć po owoce tego zwycięstwa i »nękać nieprzyjaciela ażby się szczerze upokorzył«, wojewoda poznański oporem swoim wywiał »swawolę berestecką« i udaremnił zamiary królewskie.

Nie bacząc jednak na to, Opaliński był tak bezczelny, że w roku następnym wyciągnął rękę po pieczęć mniejszą koronną, odjętą Radziejowskiemu, a gdy mu jej odmówiono, rozżalony wszedł przez zemstę w występne przeciw królowi znowy, nie tylko z niechętnymi w kraju ale nawet ze Szwedami. Gdy zaś Szwedzi w r. 1655-tym wkroczyli do Polski, Opaliński był pierwszym, co zawarł z nimi w Ujściu sromotny akt poddania się i przykładem swoim pociągnął innych do zdrady. Po kilku miesiącach naród, związawszy się w konfederację tyszowiecką przeciwko Szwedom, wrócił do prawego króla. Opaliński zaś, dręczony zgrzyotą, umarł nagle dnia 7 stycznia 1656-go roku <sup>1)</sup>.

Krzysztof Opaliński jest autorem jednego tylko dzieła p. t. »Satyry albo Prestrogi do naprawy rządu i obyczajów w Polszcze należące na pięć ksiąg rozdzielone a R. P. 1650 w A-R-D-M-E. drukowane (wydane niby w Amsterdamie, właściwie w Lesznie).

Satyry te do r. 1698-go, a więc w ciągu niespełna lat 50-ciu doczekały się siedmiu wydań, co świadczy o ich dużej poczytności.

<sup>1)</sup> Encykl. powszechna Orgelbranda, tom XIX, str. 947. Szajnocha. Szkice hist. III.

Istotnie, ze stanowiska współczesnych łatwo jest wytłumaczyć sobie to zaciekawienie. Znajdowali oni tam we wklęsłym odbitym zwierciedle swój obraz, swoje wady i przywary, a jeżeli ten i ów nie widział tam samego siebie, to cieszył się z widoku bliźniego. Tę radość odczuwać mogła zwłaszcza szlachta, nie należąca do możnowładztwa, Opaliński bowiem, sam będąc wielkim panem, z natury rzeczy obserwował i chłostał przede wszystkim życie swojej sfery, życie panów polskich i jej rodzin, zesputych, jeśli nie znieprawionych przez zbytek.

O tem trzeba pamiętać przy czytaniu satyr, w ten tylko bowiem sposób można dotrzeć do prawdy.

Opaliński — mówi prof. Bełcikowski — wypowiedział w satyrach tyle złego o swych współziomkach, ile nigdy ani przedtem, ani potem od nikogo nie usłyszeli. Odmówił on swemu wiekowi wszelkich cnót moralnych i politycznych, tak że mamy przed sobą obraz zepsucia i upadku, jakiemu równy znaleźć można tylko u Juwenala, poety przechodzącego w zgniliznę i rozkład starożytnego świata. Wrażenie z jego satyr tem silniejszy odnosi skutek, że autor nie złagodził ostrej i przerażającej nieraz treści zewnętrzną nawet formą. Jest ona szorstką i nieokrzesaną. Opaliński posiada jeden tylko przymiot poetyczny, mianowicie plastyczność przedstawienia, posuniętą do wysokiego stopnia. Plastyczność ta przypomina silny język rejowski. Wszystkie postacie, wprowadzone na scenę, pełne są ruchu i życia — znać, że ich obraz wzięty był z rzeczywistości i schwycony na gorącym uczynku. Dlatego nie czujemy, aby Opaliński miał najmniejszą chęć ich zidealizowania. Nakreślone są one w całej swej nagości, z rubaszością, właściwą charakterowi pozłomych istot, a nieraz z całym ich cynizmem.

Z tych to powodów — wyjaśnia autor studjum o Krzysztofie Opalińskim — osobistość autora »Satyr« od czasu ich pojawienia się była zjawiskiem dziwnym w naszej literaturze. Nie wiedziano, jakie wyrzec o niej

ostateczne słowo: czyli potępić tę bezwarunkową surowość i nieuzasadnioną wyraźnie przesadę, czy też uznać zasługę męża, który z nieugiętością Katona ośmielił się rzucić swym złomkom nagą prawdę przed oczy.

Współcześni dzielili się w tym względzie na dwa obozy. Jedni, mając na widoku grzechy Opalińskiego przeciw ojczyźnie, jego zdradę i pychę magnacką, sądzili go bardzo surowo i odmawiali mu prawa do krytykowania i sądzenia społeczeństwa, inni, łagodniej na to patrząc jak Wespazjan Kochowski, widzieli w »Przestroinach« książkę, która »w ojczystym języku napisana, rzymskim oddycha wdziękiem i dowcipem«.

Bardzo charakterystycznym głosem opinii jest epigramat nieznanego autora, zamieszczony na autografie »Satyr«, odnalezionym przez biskupa Załuskiego. Epigramat ten brzmi:

»Opaliński! występki, któremi tchniesz cały,  
Zarzucaś innym, a sam pełen jesteś zbrodni.  
Prawdziwe czy zmyślane zarzucaś im błędy,  
Wiedz to, że są źli ludzie, aleś ty najgorszy.  
Niesłuszność, niepobożność i zgwałcona wiara,  
To jest w tym, to jest w owym, a w tobie zaś  
[wszystko.

Tyś Szwedowi królestwo, króla, wszystkie prawa  
Zaprzedał — wstydyż się więc i żałuj na wieki!«

Podobnie ostro uderza na autora »Satyr« Marcin Nieborowski, podkomorzy sochaczewski, z pod którego pióra wyszedł znajdujący się w rękopisie w bibliotece Ossolińskich we Lwowie »Respons na satyry, pisane w roku 1650«.

Pan Marcin tak się do Opalińskiego odzywa:

»A ty jakobyś nie w Polsce schowany,  
Żeś nic polskiego, widzę, nie ulubił,  
I owszem, ostrem piórem jej zwyczaję  
Zcenzurowałeś i podałeś światu,

I tej cnej matce, która cię zrodziła  
I tak wysoką uczciła godnością,  
Należytego odjąłeś honoru,  
Formując dyskurs do swego humoru,  
Po którym cię znać, nie dzięki męża.  
Znać dobrze, żeś się schował między ludźmi,  
Obce narody ciekawie zwiedziwszy,  
Cudzoziemskich się napleś humorów  
I staropolską zmieniwszy naturę,  
Przystrolleś się całe w cudzą skórę,  
Przeto do ładu nic ci nie przypadło,  
Cokolwiek w naszej Polsce się znajduje,  
A satyryckie byś napelnił karty,  
Wszystkoś upatrzył, wszystkoś ponotował..  
A byłoby też co pisać o tobie,  
Byś nie spoczywał pod zimnym kamieniem...«

Teu zarzut »cudzoziemszczyzny« nie jest jednak słuszny.

Wiemy — zaznacza Bełcikowski — że Opaliński kształcił się i podróżował zagranicą, że tam miał zwłazki i znajomości z wielu uczonymi ludźmi, możemy zatem wierzyć twierdzeniu, że pod pewnym względem kierował się pojęciami zagranicznemi, że było wiele rzeczy w Polsce, na które patrzył niechętnem lub lekceważącym okiem, w jego satyrach jednakże nie widać bynajmniej nic obcego i nienarodowego; owszem zna on na wylot naturę swej współbraciszlachty, ich słabości, wady i przywary, a każda postać przez niego skreślona pełna jest naturalnej prawdy. Dlatego zaliczyć go raczej należy do rzędu często podówczas napotykanych ludzi, którzy, ulegając zagranicznej cywilizacji i przeobrażając się w niejednym względzie pod jej wpływem, zachowali mimo to grunt swego charakteru takim, jakim go utworzyła natura, właściwa ich społeczeństwu. Ludzie tacy przejmowali z zagranicznych wzorów zewnętrzną ogładę, przejmowali się postępowemi po-

jęciami, obcemi wyobrażeniami o polityce, o formie rządu i t. p., ale w swych zwyczajach, w usposobieniu moralnem, w życiu powszedniem pozostawali niezmienni i stąd ich postępk, ich sposób życia w rażącej nieraz były sprzeczności z wygłaszanemi przez usta zasadami. To tłumaczy pogląd Opalińskiego na stosunki krajowe, a zarazem fakt, że, mając głowę pełną wyobrażeń, gdzie indziej zaczerpniętych, zdołał tak trafnie pojmować i oddać w obrazach swych satyr świat najbliższy go otaczający. Wykształceniem, polem zewnętrznym magnat nawpół scudzoziemczony, sercem i nawyknieniami był szlachcicem wieku XVII-go, jak tytu innych. Stąd łatwo mu było pochwyć charakter i koloryt swej epoki, a zwłaszcza ludzi swego stanu. Zna on wybornie naturę i wady ówczesnej szlachty, ludzi wojskowych, dworaków; z prawdą i bez wątpienia z żyjących wzorów kreśli rozmaite ułomności moralne, przedstawiając udanych świętoszków, dewotki, przesadne elegantki, marnotrawnych synów, obłudnych przyjaciół, niepozbytych niczem natrętów i t.p. Ale pomimo tego ten właśnie rodzaj satyr, gdzie opisuje stosunki życia prywatnego, największą zdaje się grzeszyć przesadą, bo znając charakter naszej przeszłości i narodu, śmiało możemy twierdzić, że lubo w owych czasach wiele było zbytku, nierozsądnego naśladownictwa obczyzny w strojach i zwyczajach, wiele pijackich bankietów i wiele nawet poziomej podłości, jednakże pewnie ówczesni mężowie nie byli trucizną arszenikiem ani ojcowie, z obawy przed chciwością synów, nie potrzebowali zażywać mitydatowego antidotum, jak podaje Opaliński (Satyra IV-ta księgi I-ej i V-ta księgi II-ej).

Słuszny ten w zasadniczych konturach wywód Bętkowskiego posiada jednak błąd, popełniany zwykle przez krytykę w stosunku do satyry: błąd uogólniania. Zarzut, postawiony przez satyryka, zazwyczaj się generalizuje i rozciąga na całe społeczeństwo, a zapomina się o tem, że saty-

ryk mógł oprzeć się i najczęściej istotnie opierał się na jednym fakcie, który go subiektywnie dotknął i oburzył

Takie fakty jaskrawe Opaliński w sferze, do której należał, mógł obserwować i stąd jego indignatio, która po wszystkie czasy fecit versum satyryka.

Gdyby umiał on, jak Mickiewicz, plunąć na skorupę »z wierzchu zimną i plugawą«, a »zstąpić do głębi« narodu, znalazłby tam niewątpliwie pokrzepienie, znalazłby typy dodatnie wśród szlachty rycerskiej i wśród białogłów, bo nie brak było w wieku XVII-tym Skrzetuskich i Wołodyjowskich, Baś i Krzyś, które zjawily się w twórczej wizji Sienkiewiczowi. Ale jako magnat, odgradzony od zdrowych warstw narodu murami swego pałacu, a przez to samo mający szczupłe tylko pole obserwacji, mało miał sposobności do tego, aby złu, które panoszyło się w najbliższem jego otoczeniu, mógł przeciwstawiać dobro. Pojęcie jednak o tem dobru nie było mu obce, bo jeżeli postawimy z kolei pytanie, jakie każdemu satyrykowi postawić należy, mianowicie, czy miał on przed oczyma jakiś ideał moralny, to będziemy musieli odpowiedzieć twierdząco. Ideał taki Opaliński posiadał niewątpliwie, ideał nawet wysoki, który, gdyby się mógł był urzeczywistnić, uczyniłby społeczeństwo ówczesne jednym z najwyżej stojących moralnie, zarówno w życiu domowem, rodzinnem, jak i w życiu społecznem i narodowo-państwowem. Pisarzowi, który, sam będąc szlachcicem i wielkim panem, miał jednak odwagę na tle ówczesnych stosunków głośno uskarżać się na »ciężary i oppresją chłopską w Polsce« (satyra III-a księgi I-ej), na »interregnum i nierząd jego« (satyra I-a księgi III-ej), na to, że »żaden król Polakom nigdy nie dogodzi« (satyra II-a księgi III-ej), na »skarb i nieporządek w nim« (satyra V-ta księgi III-ej), na »chromą albo raczej martwą praw naszych egzekucją« (satyra VIII-a księgi III-ej), na »zepsowaną militarem discipliną i nierząd wojskowy« (satyra IX-ta księgi III-ej) i t. d. — nie można odmówić poczucia obywatelskiego

i wrażliwości na to, co istotnie przynosiło Rzeczypospolitej szkodę.

Zarzuca się Krzysztofowi Opalińskiemu powszechnie przesadę i zamięrowanie w czarnych barwach, to, co dzisiaj nazwalibyśmy nadmiernym pesymizmem. Czy jednak pesymizm ten był nieuzasadniony i czy rzeczywiście wynikał on z usposobienia zgorzkniałego i zawledzonego w swoich ambicjach pana polskiego? Niewątpliwie i to było przyczyną satyrycznej indygnacji wojewody poznańskiego, ale nie tylko to, jeżeli bowiem bacznie rozejrzemy się w tem, co go o wylew żółci przyprawiało, co go oburzało i drażniło, to z łatwością będziemy mogli ustalić, że ogromna większość tych wad i przywar to nasze wady i przywary narodowe, które towarzyszą nam od wieków i które w każdoczesnej satyrze polskiej, niezależnie od wieku, w którym ona powstała, znajdują swój wyraz. Czyż bowiem niektóre z motywów Opalińskiego nie powtarzają się jeszcze dzisiaj? Czy u Rodocia, Nowaczyńskiego i Lemańskiego nie znajdujemy myśli i tonów pokrewnych?

Zapewne, rzeczą chlubną jest czcić przeszłość, ale wszyscy przysięgli laudatores temporis acti grzeszą jednostronnością swego chwalebego uczucia. Widzą oni tylko jasne strony życia polskiego w przeszłości, zamykają natomiast oczy na jego strony ciemne. Tymczasem w życiu jak w życiu — obok dobrego musiało być złe, obok złego musiało być dobre. Ścieranie się tych dwóch przyrodzonych sił w duszy ludzkiej tworzy dopiero prawdę życia, podobnie jak połączenie elektryczności dodatniej z ujemną wytwarza prąd elektryczny.

Przyznając więc przeszłości polskiej to, co było w nie istotnie wielkie i szczytne, co składało się na »dawnych Polaków dumę i szlachetność«, miejmy jednocześnie odwagę spojrzeć prosto w oczy temu, co odziera piękną



legendę z jej kwiatów, a ukazuje nam rzeczywistość bez osłon.

Tej rzeczy w istocie, niestety, jest dużo w »Satyrach« Krzysztofa Opalińskiego, i dlatego stanowią one dla nas cenny dokument, na którego podstawie możemy odtworzyć sobie prawdę.

Zła edukacja dzieci, zbytki i zepsucie kobiet i mężczyzn, fałszywe nabożeństwo lub oziębłość w wierze, pogaństwo, lenistwo, samochwalstwo, pyszne nieuctwo, obmowy, miłość wyrodna lub marnotrawiąca puściznę po ojcach — a dalej — w rzeczach publicznych: przeniewierstwo grosza publicznego, brak obrony krajowej, niekarność wojska i t. p. — to dalibóg nie przesada w stosunku do wieku XVII-go.

Tu już historia tego wieku popiera satyryka swymi świadectwami. Zresztą — jak słusznie zaznacza prof. Bełcikowski — nie Opaliński pierwszy powstawał na tego rodzaju błędy. Wyprzedził go w tym ludzie znanej prawości i wielkiej używający sławy jak Jan Ostroróg, jeszcze za Kazimierza Jagiellończyka piszący o naprawie Rzeczypospolitej, albo Mikołaj Rej.

Jeżeli więc stosunek historii literatury do postaci i dzieła Krzysztofa Opalińskiego przez długi czas nie mógł się ustalić, to przyczyny tego szukać należy gdzie indziej, nie w przesadzie jego satyr, ale w tym odruchu uczuciowym, z jakim naród cały odwrócił się od zdrajcy, od wojewody, który wydał województwo swoje Szwedom. Odruch ten był zdrowy i trudno się z tem nie zgodzić, zwłaszcza, że długo nie umiano u nas odłączyć dzieła od pisarza. Nic przeto dziwnego, że człowiekowi o małej w mniemaniu powszechnem wartości moralnej odmawiano prawa do sądenia i piętnowania innych, w myśl tego, co tak trafnie ujął anonimowy autor znanego nam już epigramatu:

»Opaliński! występki, któremi techniesz cały,  
Zarzucaś innym, a sam pełen jesteś zbrodni«.

»Pełnym zbrodni« był wojewoda poznański dla swoich współczesnych i »pełnym zbrodni« pozostanie zawsze dla każdego dobrze myślącego Polaka.

Niemniej należy mu się i należeć będzie zawsze bliższa uwaga, jako patologicznemu okazowi w literaturze, jako temu »dwołstemu typowi«, będącemu, jak mówi Belcikowski, »sprzecznością dla innych a nie-raz i dla samego siebie«.

Podobne »sprzeczności« były w Stanisławie Trembeckim, w Maurycym Mochnackim, w Zygmuncie Kaczkowskim i, że sięgniemy aż do naszych czasów, w Stanisławie Leopoldzie Brzozowskim, a jednak wszyscy oni należą do historii literatury i mają w niej karty własne.

Taką kartę posiada niewątpliwie i Krzysztof Opaliński. Gdyby go nie było, gdyby »Satyry« jego nie istniały, obraz wieku XVII-go w Polsce miałby ničem niezapełnioną lukę i nigdy w całości nie dałby się odtworzyć. Dzięki »Satyrom« rozporządzamy dzisiaj bogatym zasobem barw, które obraz ten uzupełniają i dodają mu plastyki i idzie tylko o to, aby barwami temi posługiwać się umiejętnie, pamiętając, że satyra nie jest nigdy odbiciem rzeczywistości, ale jej karykaturą, opartą nie o całość życia społeczeństwa czy narodu, ale o poszczególne fakty, z tego życia zaczerpnięte.

Tak operując »Satyrami« Opalińskiego, nie tylko nie odrzucimy ich jako przesadnych, ale nauczymy się w ich świetle rozpoznać niejedną prawdę, do której na innej drodze nie moglibyśmy dotrzeć.

Postacią, która o wiele przewyższa autora »Satyr«, jest młodszy jego brat, Ł u k a s z.

W życiu publicznem nazwisko Łukasza Opalińskiego spotykamy po raz pierwszy na sejmie 1638-go roku, na którym wojewodzie poznański, liczący wówczas 26 lat, obrany był marszałkiem. Sejm ten, jak mówi prof. Kubala, »okazał całemu światu, że król polski jest bezsilny«. Przekonał się o tem — dodaje autor studjum »O pismach

Łukasza Opalińskiego, Stefan Zawadzki — może i sam marszałek poselski, w trzy lata potem wydał bowiem »Discurs o naprawie sejmów« i nawcływał w nim do wzmocnienia władzy królewskiej.

Ożeniony około r 1640-go z Izabelą Tęczyńską, córką wojewody krakowskiego, zamieszkał Łukasz Opaliński w Rytwianach, w sandomierskiem, i, jak się zdaje, nie brał żywego udziału w sprawach państwa. Dopiero po śmierci Władysława IV-go otrzymał w r. 1650-tym marszałkostwo nadworne koronne, zbliżył się więc do tronu. Znany był już wtedy jako autor wydanej w roku 1648 ym po łacinie »Obrony przeciw Barclay'owi«.

Czasy były to dla Rzplitej ciężkie. Opaliński przyznaje w mowie dziękczynnej za łaskę marszałkowską, że »to nie jest rzecz pieszczona rządzić i władać państwem, nie jest rzecz wczasu i odpoczynku dobro jego obmyślać, mężnie i odważnie sustinere grave onus imperii. Trudna to — mówi — naprawdę, ciężka, pracowita i śmiele rzekę jednej głowy jednym ramionom ledwie znośna«.

Wiadomości nasze o jego pismach były doniedawna bardzo skąpe. Dopiero studjum Stefana Zawadzkiego<sup>1)</sup> rzuciło nieco więcej światła na działalność literacką pana marszałka, zbierając w jedną całość sądy o nim i o jego pracach wypowiedziane.

Naczelne wśród tych prac miejsce zajmuje: »Rozmowa plebana z ziemianinem albo Dyskurs o postanowieniu terażniejszym Rzpltej polskiej i o sposobie zawierania sejmów« 1641 (bez miejsca druku).

»Rozmowa« zaczyna się od przemowy do czytelnika (streszcza Zawadzki), w której autor stwierdza, że wykonał, co mu kazała życzliwość ojczyzny, »gdyż nierząd

<sup>1)</sup> Prace komisji do badań nad historją literatury i oświaty. Tom I. Wydawnictwo Tow. Naukowego Warszawskiego. Warszawa, 1914.

w sejmach coraz górej bierze z wielkim wstydem i hańbą narodu naszego«.

»Rozmowa« właściwa podzielona jest na dwa »dni« i toczy się między Plebanem a Ziemianinem. Pleban, chcąc się dowiedzieć, co słyhać w stolicy, odwiedza Ziemianina, który tylko co powrócił z Warszawy. Zastaje go w »samorodnej ziemiańskiej sali«, pod lipą i dowładuje się, że »publicae curae coraz trapią serce jego, że z ojczyzną coraz gorzej się dzieje«. W odpowiedzi na to Pleban zwraca uwagę, iż przyczyną, dla której »fundament szwankuje«, jest »nieporządne sejmowanie, z którego z guba wolności przyjsć musi«; ażeby temu zapobiec, »wszystko miles rządu ojczyzny musi przyjsć pod władzę jednego«.

Na naleganie Ziemianina o radę, Pleban po długich wzdraganiach przystępuje do »diskursu o sposobie zawierania sejmów«, opowiada historję wolności szlacheckiej, porównywając oczywiście stosunki polskie ze stosunkami w Rzymie, a posłów z trybunami ludowymi, dochodzi wreszcie do wniosku, że kiedy dawniejsze prawa były »temperamentem władzy królów«, to teraz owo »praesidium libertatis« więcej chyba szkodzi niż pomaga. Na wyraźne żądanie Ziemianina o »remedium« mówi Pleban-Opaliński tak: »Jako zepsowania Ojczyzny jedna jest przyczyna, że się daleko od pierwszego ustanowienia oddaliła, tak naprawa nie może być insza, tylko gdy się do niego powróci. To jest pod władzę większą i panowanie królów, którego teraz cień i godność władzy próżna«.

Słowo padło: »Remedium pejus morbo (lekarstwo gorsze od choroby). Wolę zwyczajny nasz nierząd byle przy wolności« — odpowiedź łatwa do przewidzenia, nieunikniona. Pleban nie ustępuje, przytacza racje, dla których Rzeczpospolita »długo i hoc statu stać nie może«, a więc »zepsowanie« obyczajów

zatrącenie dawnej cnoty i t. d. Ziemiańin na wszelkie dowodzenia ma wciąż odpowiedź gotową, że »nie tylko Polska, ale i każde, w tak wysokiej wolności będące królestwo nierządem stoł, że wreszcie »novitates« żadnych nie chcemy, prosi przeto Plebana, żeby przystąpił do właściwego tematu o poprawie sejmów.

Pleban wychodził z założenia, że »gdyby dobrego rozsądku powodem iść się w tym miało, wszystek by sposób *consultacyej* waszych całe odmienić potrzeba«. Główny niedostatek sejmów upatruje on w tem, że »ani prawem opisanego dostatecznie ani zwyczajem doskonale utwierdzonego niemasz porządku *consultacyey* waszych« — więc przedewszystkiem chodzi o stworzenie regulamntu. Prawa marszałka powiększyć, sentencje senatorskie skrócić, a dalej: pierwszego dnia oddane być mają marszałkowi wszystkie instrukcje, on ma spisać »*materialiam constitutionum*«, przyczem pierwszeństwo powinny mieć te materje, które obchodzą *R Publicam*: *exorbitancye*, konstytucye do naprawy rządu, obrona albo obmyślanie bezpieczeństwa od nieprzyjaciół (tu dodaje, że to »sprawa bez podatków niemożliwa, dlatego puścić ją należy na koniec, aby ją insze »osłodziły i ocukrowały«). Ziemiańin dopomina się oczywiście o artykuły prywatne, na nie przeznaczony ma być dzień jeden — sobotni; wtedy porządkiem województw niech będą czytane.

Tu natrafiamy na drugą ważną myśl broszury: »Nikommu nie wolno przeczyć publicznym konstytucyom dlatego, że mu prywatnych artykułów nie pozwalają, bo byłaby rzecz *extremae licentiae*« — mówi Pleban. Jest to więc zamach na *veto*. Opaliński rozwija rzecz w ten sposób, że prawo ma określać, które są publiczne, a które prywatne artykuły, np., »publiczne są te, które *directa concernunt* potrzeby y dobro albo generaliter wszystkiey oyczyzny, albo też chcć jednego województwa obywatelów, byle względem ostrzeżenia ich

szlacheckiej wolności. Prywatne te, które się ścigają na pożytek prywatny albo województwa albo szczególnych w nim osób.

Drugą przeszkodą w obradach sejmu jest to, że posłowie przystępujący są uniesieni złością afektami. Płyną one z chciwości pomnożenia swej fortuny, z nienawiści prywatnej i z rozróżnionych animuszków pochodzącej niezgody; posłowie »tak wicherzą, przeczą sobie, iż się sejm zerwie albo zastanowi, tak jako łódź, gdy w niej wemiges (włościarz) przeciw sobie robią«. Wreszcie podaje Pleban »monita« mniejszej wagi: o punktualnem przybywaniu posłów, o niewprowadzaniu spraw sądowych, o wykluczaniu z sali arbitrów, o usunięciu lub skróceniu relacyj hetmańskich i t. d. Są to rzeczy napozór drobne, które jednak dokuczyły widocznie bardzo, skoro od wieku XVI-go we wszystkich projektach naprawy sejmów o nich jest mowa.

Oto naszkicowana treść »Rozmowy«. Głównemi jej punktami są: zdanie o wzmocnieniu władzy królewskiej — w tych czasach wyjątkowe; cały projekt regulaminu sejmowego i stosunek autora do liberum veto, wreszcie charakterystyka opozycji ziemiańskiej.

Nie »Rozmowa« jednak zjednała Łukaszowi Opalińskiemu popularność, ale wydana w Gdańsku w r. 1648 odpowiedź słynnemu humaniście, Janowi Barclay'owi, na jego uwłaczające o Polsce zdania. Odpowiedź ta p. t. Polonia defensa contra Joannem Barclaium zdobyła Opalińskiemu miano »obrońcy ojczyzny« i zapisała go dobrze w pamięci współczesnych i potomnych.

Barclay w swoim słynnym Satyriconie (»Icon animorum«) (Londyn 1603, Amsterdam 1628), charakteryzując inne kraje i narody, scharakteryzował także Polskę i Polaków złośliwie i niepochlebnie.

»Za naszych czasów — mówi prof. St. Tarnowski w swojej »Historji literatury polskiej« na kartach, po-

święconych Opalińskiemu — kiedy niema potwarzy ani obelgi, którejbyśmy na siebie nie byli słyszeli lub czytali, mamy skórę grubszą na przykrości tego rodzaju i potwarz budzi w nas więcej wzdryki niż gniewu, a ignorancja drugich we wszystkim, co się nas tyczy, już nas nie boli ani upokarza, tylko co najwięcej czasem śmiechy. Ale nasi przodkowie, przyzwyczajeni do tego, aby ich i ich ojczyznę szanowano, drażliwi byli od nas na te zaczepki i nie mogli zrozumieć, dlaczego i za co ludzie ich szkalują lub wydrwiwiają, kiedy oni spokojnie żyją, nie zaczepiając nikogo i dobrą sławę innych szanując.

Nic więc dziwnego, że temi uczuciami powodowany Łukasz Opaliński, skoro przeczytał w dziele Barclay'a »nieprawdę« o Polsce, postanowił mu odpowiedzieć i błędne jego mniemanie sprostować, aby nie szerzyły się wśród innych narodów. Odpowiedź swoją napisał po łacinie, aby zapewnić jej międzynarodowość.

Przedrukowawszy na wstępie cały inkryminowany ustęp Barclay'a, kolejno zbija potem jego zarzuty.

Dowodził więc naprzód Anglikowi (streszcza prof. Tarnowski), że nawet geografji nie umie, że ani granic ani rozległości Polski jak się należy oznaczyć nie potrafił, że wyobraża ją sobie jako nieprzerwaną płaszczyznę, a o Karpatach nawet nie wie; że jak prawdziwy ignorant nazwę Polaków i Polski wyprowadza od *scytyjskiego* niby wyrazu *Pole*, kiedy cały świat wie, że to nie dzięki scytyjski, lecz słowiański wyraz. Ale i to nieprawda, żeby nasze narodowe miano wzięte było od naszych pól; daleko prawdopodobniej przezwaaliśmy się Polakami od naszego protoplasty, która to nazwa mówi, że jesteśmy po *Lachu* (Lechu).

A gdzie nie skłamię złośliwy Barclayus, tam przynajmniej przesadzi. Mówi np., że nasze pola otwarte i przestrzenne śnieg ogromny zasypuje. Jest śnieg i duży

to prawda, ale w Niemczech także bywa spory, a największy, *nix altissima*, to nie u nas w Polsce, ale *in Moscovia*. Albo znowu mówi, że w zimie mróz ziemię i wody ściska, jakżeby to u nas tylko, jakżeby nie zamarzał Ren i Dunaj. Nie jest u nas tak ciepło jak we Włoszech, tem się nikt nie chwali, ale znowu nie o tyle gorzej jak u innych. Przecież nasza stolica Kraków leży o jeden tylko stopień geograficznej szerokości wyżej od Paryża a niżej niż Londyn, Amsterdam, zwłaszcza niż Szkocja, ojczyzna »niecnego« Barclay'a. Ale cóż z tym złośliwym potwarcią gadać, kiedy on całą Polskę opisuje jakoby dziką i lasami zarosłą! Niechże się dowie bezbożny oszczerca, że Bogu dziękować mamy drzewo i mamy go dosyć, ale gdzie tylko ziemia do uprawy sposobna, tam dawno wykarczowana, osiała, rodzi pszenicę nie sosny. Szkot o tem nic jednak nie wie. Wyobraża sobie, że my tu mamy futra piękne i drogie, sobole, gronostaje i tam dalej. Mamy, prawda, ale za pieniądze, sprowadzamy je sobie z Rosji i płacimy za nie drogo, bo nas stać na to, ale u siebie takiego zwierzanę widzimy.

Broniąc wszystkiego, dochodzi Opaliński do tego, że musi skruszyć kopję nawet za honor polskich karczem, podróży i noclegów. Zadanie trudne, zda się nie do wykonania, tem bardziej, że Anglik tym razem szczerą prawdę napisał, ale i tu umiał sobie poradzić Polak, gorliwy w obronie swego kraju.

»Zajazdy ich — pisze Barclay — nie są wcale kształtem i zwyczajem naszych czasów urządzone. Drzwi i okien często brak, wiatr szparami wchodzi, łóżek ani stołów gotowych dla podróżnego niema, tylko zaścielają podłogę sianem i to im służy za łóżko, a pościel i żywność wożą z sobą, właśnie jakby się z całym domem z miejsca na miejsce przenosili«.

»Prawda — mówi Opaliński — mało co a może i wcale nie skłamał, ale tak właśnie jest najwygodniej



i najlepiej« — i tu następuje obrona, a ledwie że nie apoteoza polskich karczem, noclegów, podróży, tłomoków i t. d. »Niema u nas gotowej pościeli po zajazdach, ale wolę daleko wozić swoją czystą, niż spać na cudzej, Bóg wie czy świeżej i nieużywanej. W Niemczech wprawdzie nastaje gotowe jedzenie, ale dziękuję za nie, bo najczęściej z całego tygodnia składane i odgrzewane. A niewygoda polska znowu nie tak wielka: całego domu z sobą się nie wozi, ale to tylko, co do podróży potrzebne, a służba wprawna szybko to składa i pakuje, że i czasu niewiele się traci«.

Odplerając zarzut co do braku poluru u Polaków pan marszałek, który sam zagranicą zamłodu wraz z bratem Krzysztofem bawił, tak wywodzi:

»Jeszcze u nas — mówi — obyczaj lepszy, niż tam, skąd wszyscy wzory dziś biorą. Tam — we Francji — młodzież szlachecka, jeżeli się czego uczy, to chyba ćwiczeń ciała, jazdy konnej, fechtunku, piłki, a potem tańcować, włosy treflić, perfumować się, stroić. Takiej zniechęcałości jeszcze u nas niema. Ani u naszych niewiast tego, żeby każda miała wlelbiciela i jeszcze panną będąc romansowe historje czytała, oczyma strzelała, wzdychała, bilecki potajemnie pisała. Tam taka moda, że każdy choć się i nie kocha, to musi udawać, wzdychać, oczy przewracać, skarżyć się i narzekać i na tem i na ubieraniu cały im czas schodzi. U nas inaczej: my po miastach nie siedzimy, ale na wsł, co dla obyczajów bezpieczniejsze. A co do poluru i elegancji w życiu, to mamy ich raczej za wiele niż za mało. W grzeczności, uczciwości, jaka się każdemu należy, w dobrem wychowaniu nie ustępujemy nikomu, a niestety, w wystawności i pompie takż nie, bo aż nadto w nich się kochamy i drogie na nie łozymy pieniądze, którychby leplej użyć można«.

Co do ustroju Polski, który Barclay krytykuje, Opallński zajmuje również stanowisko obronne, chociaż w »Rozmowie« sam do reformy dążył.

»Jeżeli — mówi — Anglikom nikt nie wyrzuca parlamentu ani Niemcom elekcji cesarza, czemuż na nas krzyżać mają o sejmy lub o elekcje? I te elekcje nie tak straszne i burzliwe. Króla Władysława obierało ze dwakroćstotysięcy szlachty lub więcej, a przez cały czas nie było w Warszawie jednej zwady, jednej burdy na ulicach. Że król u nas czuje się być pod prawem, a nie sądzi, żeby prawo było dla niego, to szczęście i chwała i królów i narodu, to dobrze; ale żebyśmy ich gwałtem do posłuszeństwa prawom zmuszali, to nieprawda. Owszem, jesteśmy naszym królom wierni i posłuszni i szanować ich umiemy, żadnegośmy nie zdradzili ani nie wypędzili ani skrycie nie zabili, a tem mniej nie więzili i na rusztowaniu nie stracili. I komu to mówić? Kto śmie nam nasze mniemane grzechy przeciw królom wyrzucać? Czy nie Szkot, z tego narodu człowiek, co króla swego, z ufnością mu się w ręce oddającego, nie tylko zdradził i wydał, ale podle za pieniądze sprzedał parlamentowi, ażeby mu ten głowę ściął, czego żaden sejm polski nigdy nie zrobił i nie zrobi.

W tem jak i we wszystkim, co mówi Łukasz Opaliński w swojej apologii Polski, oskarżonej o barbarzyństwo, jest dużo prawdy. W całości jednak o »Obronie« z daleko większą słusnością niż o »Satyrach« Krzysztofa powiedzieć można, iż grzeszy ona przesadą — a pytanie, co dla narodu zdrowsze: przesada w kierunku wytykania wad i błędów, czy przesada w usypiających czujność pochwałach swojskości?

Rzecz znamienna, że przedstawicielami tych dwóch kierunków w literaturze XVII-go wieku są dwaj bracia, z których starszy ganił wszystko i wszystkich, młodszy ponad miarę chwalił, starając się dowieść cudzoziemcom, że w Polsce jest wszystko jak najlepiej. Niestety, nie cudzoziemcy w to uwierzyli, o czem świadczą inne z wieku XVII-go pochodzące opisy Polski, jak Jana Botera i Hauteville'a, ale uwierzyła szlachta polska.

Cóż stąd, że Opaliński z całej głębi przekonania odpowiadał Barclay'owi na zarzut, że »Polacy nienawidzą nie tylko samej nazwy posłuszeństwa, ale nawet sprawiedliwej i prawowiernej władzy«, wołając z gestem rzymskiego senatora: »prawda to, że nienawidzimy służalczości, kochamy się w wolności — i tą miłością silni jesteśmy«, kiedy ogół szlachty ani sam silny tą miłością nie był, ani dbał o siłę Rzeczypospolitej, przeciwnie, osłabiał ją, prowadząc państwo do upadku.

Nie był jednak Łukasz Opaliński zaślepińcem, nie był tylko laudatorem Polski szlacheckiej. Widział także zło w tej Polsce i to nadaje piśmom jego charakter przedniejszy, niż mają pisma Krzysztofa.

Świadczy o tem wymownie jego satyra polityczna i obyczajowa, p. t. »Coś nowego — pisanego roku 1652«. O satyrze tej nie wiemy nawet, czy ukazała się w druku. Znamy ją tylko z relacyj drugostronnych, dlatego oprzeć się tu musimy całkowicie na tem, co podaje Zawadzki.

Satyra Łukasza Opalińskiego jest — jego zdaniem — »lekka, ironizująca, dowcipna, zaledwie ślizga się po powierzchni, zręcznie, szybko, właśnie »z drażniącym humorem i z ironją kłującą niby grzecznie a do krwi« — w tem jej zaleta i przez to zająć musi stanowisko wybitne w historii satyry polskiej. Zająć jednak powinna także stanowisko i ze względu na treść: napisana w roku 1652-im, w znacznej części jest satyrą na klęskę piławiecką i w szeregu piśm, przez nią wywołanych, jest najciekawszem, a przytem jest to najlepsze pismo Opalińskiego; ono jedno może mu zapewnić kartę w historii literatury.

Układ »Coś nowego« jest chaotyczny. Wpływa na to niezmierna różność treści: od potrzeby 1648-go roku i sejmu aż do rozmyślań o marności tego świata i spokojnem życiu w wiejskiem zaciszu. Wszystko jednak

utrzymane w tempie żywym, czyta się z zajęciem, mimo pewnych powtarzań. Forma utworu niejednolita. Część główna — o Pilawcach — pisana wierszem ośmioletkowym, rymowanym; reszta utworu — napół prozą, napół białym wierszem lub trzynastozgłoskowcem rymowanym. Charakter ogólny satyry — szkicowy, zgodny, zresztą, z wolą autora, któremu nie chodziło o wykończony obraz. »Przeczytawszy — mówi do czytelników — dowlecie się rzetelnie i doskonale coś, ktoś, kogoś z kimsi mówiących o czymś — wysłuchał i co mógł ołówkiem pogonić, ponotował i wam do czytania podał« — »jest to, jako Włoszy mówią, skizzo«.

Przy końcu zaś autor tak charakteryzuje rozmawiających: »ze wszytkiey konditley ludzi drwill, głupstwo i osobliwą manę każdemu przypisując. I tak wybierając z obyczajów każdego wzorki, że się z ich powleści każdy stin, każdy wiek, każdej professlej człowiek zdał potrzebować eleborum, który ma tę moc, że z głową i mózg czyści. O moy Boże! iak tam oni każdego a c u t e przeniknęli tak dalece, że ich zdaniem i sapientowie, i świętobliwi, i poważni, i odważni, i wymowni, i bogaci, i wspalniali, i urodziwi, stateczni, i błegli, i czuli, i subtelni — sine exceptione — żaden coby go trzeba spytać sanus es? żaden bez, ale każdy ma coś w sobie«.

Cały utwór trzymany jest w formie dialogu, któremu przysłuchuje się autor. Zaczyna się od roztrząsania »o czemś«, »powiem wam coś« — ta jedna obletnica (streszcza Zawadzki) zyskać może czytelników, gdyż w Polsce »coś« znajduje poklask zawsze i wszędzie — »coś« jest to rzecz tak kosztowna, że ją najbardziej tają, że jej najbardziej strzegą i pilnują. »Coś« jest rzeczą, której rozum pojąć nie może, np. o niebie i żywiołach, aniołach, a nawet i o Bóstwie samem siła nadyskurowawszy, tandem wszystko kończymy, że to jest niepojętego »coś« — te wszystkie względy każą mu właśnie o tem, jak ktoś

z kimsi coś mówił, opowiedzieć. »Trudno, lecz chcieli wiedzieć, lepiej niżli mnie pytać, do końca wszystko przeczytać«.

Rada jest słuszna — zauważa Zawadzki — żadne streszczenie nie może dać wystarczającego o tej satyrze pojęcia, która jest właściwie »feljtonem o sprawach polskich za Władysława IV-go«.

Podzielić można cały utwór na dwie części: satyrę polityczną i obyczajową. Pierwsza stanowi wykończoną całość, a przedmiotem jej, jak już wiemy, jest klęska pilawiecka.

Pilawce musiały, jak każde wybitne zdarzenie polityczne, wywołać i rzeczywiście wywołały obszerną literaturę, przeważnie rękopiśmienną; każdy przecież ze znanych współczesnych poetów poświęcił tej niesłychanej w dziejach oręża polskiego hańbie wlecej lub mniej wymowne słowa, każdy określił swoje wobec niej stanowisko, jednakże ze znanych wierszy o klęsce »Coś nowego« jest utworem najciekawszym.

Opaliński zaczyna od opisu wybierania się na wojnę. Wielu mniemało, że to wesele:

»Abo więc wjazd do Krakowa  
Będą odprawować. Owa  
Nie tak gach na gody swoje,  
Sposabia się w różne stroje,  
Jako ci mili rycerze  
Krawce, aftarze, szmuklerze  
I złotniki zatrudnili.  
A gdy się tak wystroili,  
To sobie wzajem mówili:  
Jak się tylko pokażemy,  
To kozaków ustraszemy«.

Po tych kilku uwagach następuje długi ustęp prozą o leniwem ściąganiu, o radach komisarzów, »pułkownika-

mi się poczynili galeati lepores, którzy nieprzyjaciela nie widzieli — duma wielka, serce małe, słów sła wátku skapo — poczem następuje najwyższe miejsce satyry — ucieczka nagła »panów« na krzyk »Tatarowie!«

Zaczyna się popłoch na widok, jak się jeden Tatar »przez staw pławił«.

»Ci przez groblę spieszno wyją,  
Drudzy wodę błotną piją«.

Trwoga rośnie na wieść z Połonnego o liczbie Tatarów:

»Jeden powie, kiedy najmniej sto tysięcy,  
a drugi: »lże! — jeszcze więcej!«

Hetmani zwołują radę. Przeważyło zdanie, »by żołnierze uciekali« z tem, aby zebrać się na nowo pod Konstantynowem i tam radzić dalej.

A oto jak się potem tłumaczyli przed królem:

»Każdy plótł i powiadał.  
Jeden: »gdy mrok twardy spadał,  
Jam dopiero«, drugi zasłę  
Mówi: »A ja w owym czasie,  
Gdy już wodzowie pierzchnęli  
I wszyscy się rozwinęli«;  
Trzeci prawi: »już świtało«,  
Czwarty: »już się rozedniało«;

był nawet taki (przytyk do Radziejowskiego), który  
[mówił, że

»mniejsza strata

Ojczyźnie wszystka armata  
I zguba ludu pieszego,  
Niż krwle stanu szlacheckiego«.

Uciekający, jak to zwykle bywa, złożyli winę na  
Opatrzność:

»Tak to więc zawsze mówimy,  
kiedy co sami pokpiemy«.

Narzekali na zły rząd. We Lwowie radzić zaczęli i postanowili zbierać żold dla wojska. Brali, szturmując do sklepów, a d publicam fide m, lecz się wszystko in rem obróciło privata m.

Na tem kończy się część pierwsza satyry pilawieckiej. W części drugiej Opaliński porusza mnóstwo przedmiotów. Przedewszystkiem rozprawia o przyczynach niepowodzenia wyprawy. Jako jedną z głównych przywodzi tę, że »sobie przykrzemy długą wojnę, a ta krótką być nie może«, że brak nam wytrwałości, stałości w przedsięwzięciach; my zawsze mówimy: »byle się raz odważyć«, a tymczasem »sama odwaga nie wystarcza«. Dalej biada na to, że u nas wszyscy liczyć się muszą z opinią ogółu, a opinii ludzkiej nigdy dogodzić przecieź nie można (tu wtrąca apolog o »ojcu, synu i ośle«). Z kolei mówi o sprawie Radziejewskiego, o jego wywyższeniu gwałtownem a niesłusznem, o małżeństwie, a wreszcie o upadku; uważa, że spotkała go zasłużona kara za staranie się o »dodatki«. Tu wtrąca autor moralizujące uwagi o istocie szczęścia ludzkiego. Cóż tę istotę stanowi? Zapewne nie »dobre mienie, choć takie jest głupich rozumienie«, »ja zaś tak z mądrymi mówię, że to dobre, co nas czyni dobrymi: myśl spokojna, serce ukontentowane. To są rzeczy, których nie traci się tak łatwo jak złoto i srebro.

...»I tak powiem:

Kto sam sobie panuje, to Pan mojem zdaniem,  
Słusznej mi ten, co go tak nazywają, a nim  
Pożądliwość wszelka rządzi i panuje«.

Wszystko to świadczy o istotnym rozumie Opalińskiego.

Drugi główny temat »Coś nowego« — to sejmy. Temat ogólnie znany i przez wszystkich satyryków wyzyskiwany. Skargi na sejmy, na jałowość ich obrad, na

gadulstwo, brak posłuszeństwa dla marszałka — to zjawisko częste i dość znane w poezji polskiej.

Bardzo charakterystyczna i typowa taka skarga znajduje się w utworze Twardowskiego »Satyr na Twarz Rzeczypospolitej z r. 1640-go«. Na te same wady sejmu narzekają Potocki, Kochowski, Krzysztof Opaliński. Wszystko to znajduje się także w »Coś Nowego«, ale jest tam i coś więcej jeszcze: wyraźne aluzje do sejmu 1652-go r. i do *liberum veto*. Łukasz Opaliński jest tedy pierwszym w satyrze polskiej zdecydowanym krytykiem tej »żrenicy« wolności i to znów zapewniła mu wyjątkowe w poezji XVII-go wieku stanowisko.

Część drugą »Coś Nowego« wypełnia satyra obyczajowa, a raczej cały szereg krótkich satyrycznych ustępów, naszkicowanych tylko lub wykończonych szczegółowo.

»O ile — mówi Zawadzki — w zapatrywaniach religijnych wykazał Opaliński dużo trzeźwości, o tyle w zapatrywaniach na szlachtę jest typowym Polakiem XVII-go i nie tylko XVII-go wieku: nowych ludzi nie znosi«. Nie może np. darować Orzelskiemu, że wprowadził do herbarza nazwiska, nigdy przedtem nieznanne, nie może znieść, że »ktoś nowy wybija się u dworu«. Dalej napada ostro na dwór i na »totumfackich«, o których łaski dobijać się u dworu trzeba. Nie oszczędza też duchowieństwa i wycieczki satyryczne przeciw duchownym należą do najlepszych miejsc jego satyry. Broni jedynie jezuitów. Jeśli doda się jeszcze ciętą satyrę na wdowy, satyrę na skąpstwo, na »zwłoszenie« Polski, na zanik męstwa, na »zależenie w pokoju«, wreszcie w bardzo zgrabnej formie podaną bajkę, zręcznie wplecioną pochwałę życia wiejskiego, zdala od rozpustnego dworu i jego intryg — to przekonać się łatwo, że satyra Łukasza Opalińskiego spełnia rolę swoją dobrze, a piętnując i wyśmiewając wszystkie główne wady społeczeństwa, posłu-



guje się narzędziem najdelikatniejszym i najtrudniejszym: śmiechem. Z całą też słusnością można powtórzyć za prof. Bücknerem, że »Coś Nowego« jest jedną z najdowcipniejszych satyr polskich przed Krasickim.

Nie na tem jednak kończy się zasługa Łukasza Opalińskiego dla literatury. Zawdzięczamy mu jeszcze jedną rzecz ceny dużej: pierwszą próbę teorii poetyckiej, czyli pierwszą poetykę polską.

Pragnąc dowleść, że i on »może mieć miejsce między piszorymi«, pan marszałek napisał satyryczno-dydaktyczny poemacik o tem, kto zasługuje na miano poety i w jaki sposób można zdobyć miejsce na Parnasie.

Tytuł tego pisemka, napisanego około r. 1661-go (G. Korbut), a wydrukowanego w roku 1788 i znanego nam z tej jedynej edycji, jest »Poeta«.

Wyrażone tu poglądy Opalińskiego zasługują na bliższą uwagę z tego względu, iż rzucają one światło na pojęcia wieku XVII-go na poezję i mogą uchodzić za ogólny wyraz ówczesnych zapatrywań na poezję i poetów.

Zaczyna autor od scharakteryzowania tych, co poetami nie są mimo usilnych o to starań. Aby stać się poetą — tłumaczy — niedość jest przebywać na Parnasie lub pijać Helikonową wodę, niedość wzywać Muzy. Baśnie to, że coś »ma przyjść darem« — tylko »za pracą Bóg dawa«. Ale sama praca także nie wystarcza. Niedość chwytać próżne słowa, nie włączące się z sobą, niedość liczyć na palcach sylaby — gromadzenie słów i wierszy równych »pod cyrkul« — to nie wszystko; nic z tego, jeśli niema wątku.

Któż więc jest poetą?

Oto ten, »kto wszystko przenika, gładko, łagodnie, miękko i szczęśliwie wymówi«, kto wywoła w czytającym nie tylko wzruszenie, ale i zachwyt. Poeta ma przykuć do siebie uwagę czytelnika, czy »chwali, szydzi, strofuje czy radzi.«

Jest więc obok pracy i warunek drugi, równie ważny, t. j. to, co dzisiaj nazywamy natchnieniem, a co Opaliński określa, jako coś, »co samo przychodzi i tak miło, że się zda, jakby się to urodziło.«

Po tych uwagach ogólnych następują krótkie rady co do czterech rodzajów poezji: liryki, epiki, satyry i dydaktyki. Naprzód idą wskazówki, jak pisać »miłośki pieszczone«, »podchlebne pieśni«. Słowa, pełne chęci, służby, ukłony mają być takie, aby po przeczytaniu wkraść się w serce ogień, »a raz wzniecony, już nie ma być płomień ugaszony«. O tem jednak, jak to osiągnąć poeta nie poucza.

Dalej nieco obszerniej zastanawia się nad opisywaniem »rycerskich znojów, bojów okrutnych, bitw zapalczywych«; głównem zadaniem poety ma tu być plastyka w przedstawieniu; czytelnikowi zdawać się powinno, że sam jest świadkiem opisywanych zdarzeń; poezja taka »młodzieńca zagrzewać ma do bitwy, matkę troskliwą napawać obawą o losy ukochanego syna, a dziewczynę kochającą zmusić — skrycie gdzieś wzdychać i niemal obficie łzy wylewać«.

Znów jednak wskazówek, jak to osiągnąć, niema.

W części najważniejszej, poświęconej satyrze, Opaliński rozpisuje się najobszerniej. Chciał widocznie na tym rodzaju oprzeć swój dowód, że »może mleć miejsce między pisorymami«.

Jako przykład satyry podaje opis rady sejmowej. Po ciętej satyrze na »junaków«, przechwalających się swe-

mi czynami wojennemi, mówi autor o stosunku pisarza do »dworskich« i radzi tu wielką oględność, choć miałby z czego drwić i naśmiać się, jednak milczy, obawiając się, aby mu »popędliwe pióro na potym nie było szkodliwe«. Podobnie radzi się zachować i wobec księży.

W części ostatniej, dydaktycznej przyznaje, że »na-  
zbyt uniósł się piórem«, zapomniał, że miał radzić, jak należy »uczyć«, wpadł w ton moralisty i nieudolnym wierszem kreślił marność życia doczesnego.<sup>1)</sup>

Pomimo tę nieudolność wiersza »Poeta« jest jednak dla historyka literatury zabytkiem szacownym.

Utwór ten świadczy na korzyść autora i pozwala ustalić, że był on na swój czas umysłem głębokim, oryginalnym i niepozabawionym estetycznych zainteresowań. Pan marszałek miał niewątpliwie swój smak i swój oryginalny sąd o rzeczach. »Poetę« sam przemyślał i sam napisał, nie naśladowując obcych wzorów. I tem zdobył sobie w dziejach piśmiennictwa kartę trwałą. U współczesnych nietylę jednak jego zasługi literackie, ile — w przeciwstawieniu do brata Krzysztofa — nieskazitelna dobra sława obywatelska zjednała mu powszechny mił i szeroką popularność.

Linja życia pana marszałka była prosta i czysta. Jako żołnierz, naprzód w Prusiech, potem na wyprawie zborowskiej i w czasie oblężenia Warszawy przez Szwedów chwalebnie się odznaczył, stojąc na czele siły zbrojnej, własnym wystawionej sumptem. Podczas sejmu warszawskiego, na odgłos wieści o konfederacji żołnierskiej, dla bezpieczeństwa Jana Kazimierza 1200 wybornej plechoty za swoje pieniądze zgromadził i Rakoczego z Węgrami zmusił do odstąpienia od zamku swego w Rytwianach.

---

<sup>1)</sup> W wypisach naszych (zeszyt 24) podajemy »Poetę« w całości ze względu na istotną wagę tego zabytku. Dlatego nie przytaczamy w tekście wyjątków z tego ciekawego pisma.

Zasługi te jego nagrodzone zostały naprzód podkomorstwem poznańskiem, a później, w r. 1649-ym marszałkostwem nadwornem koronnem. Na tym urzędzie zostając — mówi F. M. Sobieszczański — królowi swemu, którego nigdy nie odstąpił, we wszystkich jego przygodach zawsze wlnym się okazał.

Umarł w r. 1662-im, powszechnie uwielbiany. Pochowany został w kościele w Rytwianach, gdzie ma piękny nagrobek.

---

Krótki wybór pism  
**KRZYSZTOFA I ŁUKASZA  
OPALIŃSKICH.**

Krzysztof Opaliński.

Satyry,

albo Przestrogi do naprawy Rządu y Obyczajów  
w Polszcze należące, na pięć xiąg rozdzielone.

Księgi pierwszej

S a t y r a I.

Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukacją młodzi.

Co po tych proszę zbiorach, co po pełnych złotem  
Skrzyniach żelaznych, które w sklepach gęsto stoją,  
Worków z zawiązanemi czuprynami strzegąc,  
Kiedy potomek wsieć, który ma zażywać  
Tego wszystkiego, co nań tak chciwie zgromadzasz?  
Po co te wioski sprzęgasz, a sąsiadów ciśniesz,  
Ba, czasem niejednemu wszystko powydzierasz,  
Kiedy ten tego nigdy nie godzien, co wkrótce  
Ma po tobie dziedziczyć. (Bodaj nie dziedziczył  
Na większą hańbę domu i niesławę swoją.)  
Spytacie mię Polacy z kąd to? chcecież wiedzieć?  
Nie umiecie ćwiczenia dawać dziatkom z młodu.  
Owszem, przykładem swoim barzlej ich psujecie.  
Jako ma być napotym dobry, kto z dzieciństwa  
Do wszelkiego przywyknie złego, i nałogów

Niecnotliwych nabędzie? Pomnijcie co mówi  
Stary poeta, że wlec skorupa która się  
Świeżą będąc, napije smrodliwej tłustości,  
Już nigdy nie wycuchnie ani pachnąć będzie.  
Toż się tu właśnie dzieje. Naprzód gdy od mamki  
Dziecię odsadzą w drugim i to ledwie roku,  
Że utyje jak cielę, tamże go zostawia  
Do kilku lat, aż zgnije między fraucymerem.  
Całują, pieszczą, muszczą, czasem i przytulą  
Nieostrożnie gdzie indziej, że się chłopiec zbestwi,  
Ba czasem i nauczy, i słęgać już pocznie  
Gdzie nie trzeba. Tymczasem papinkami karmią.  
Uchowaj Boże inszej potrawy dziecięciu,  
Tylko co się na ątko zwykło terminować,  
Jako to: gołąbki, kurczątka, cielątka.  
Wołowego nie dać mu mięsa ani grochu,  
Trucizna nie może być dziecięciu gotowska,  
I tak między onymi roście białogłowy  
Sardanapale młode tracąc zdrowie wszystkie  
Nakoniec i czerstwość i ochotę do cnoty,  
Bo zmarnieje w wleżeniu dziewczynym nim dorośnie.  
Gdy mu i na piędź wynieść z izby nie dopuszczą,  
Chyba zatkawszy gąbkę i nosek i uszka.  
A na cóż go tak długo tuczysz w tym karmniku,  
Co wždy z niego na potym chcesz mieć, co dla Boga?  
Dopieroż ci za ledwie po różnych przymówkach  
I krewnych i przyjaciół, pośle go do szkoły,  
Przykazawszy surowie i pedagogowi,  
I tym którzy są przy nim, aby długo sypiał,  
Aby różga na ciałku jego nie powstała.  
Roście Jaś jak cielątka, będzie wolek z niego.  
Piszą wszyscy, że się Jaś uczy arcy dobrze,  
Skacze z szkoły do szkoły, bo ci co go uczą,  
Chcą się rodzicom całe w tym akkomodować.  
Już przebległ rethorykę i dialektykę,  
Już i wszystkie nauki. Szumny retor z niego,  
Trzech słów nie umie słusznie wyrzec i napisać.  
Toż z nim do filozofii, a potym do domu

Bo umie in Barbara coś argumentować  
Nie w szkole ale w mieście. Kędy w cudzych domach  
Gdy nie będzie celarent, albo też da raptim,  
To nastąpi ferio, argument u męża  
Potężny, który jego wszystkie insze zbije.  
Odprawiwszy tak tedy swój curs i nauki,  
Powraca już do domu człowiekiem uczonym,  
Bo tak o nim i otec i matka rozumie.  
Wszyscy jednak inaczej. Cóż wżdy po nim w domu  
Kędy się nie nauczy chyba wszeteczeństwa,  
I wszelkich niepocziwych obyczajów oraz.  
Pan otec sam stanie mu za mistrza dobrego,  
Pani matka też i siostry takiegoż gatunku.  
Pię otec w dzień i w noc, nie wyda go synek,  
Gra kostek, i tych pewnie tenże dopomoże,  
Zwadźca on, wprawi się też niedługo w toż i syn.  
Rad podwiczki pilnuje, i w tym go wyraził  
Ad amussim i w inszych zbytkach i nierządzie,  
I które tylko możesz ogarnąć rozumem  
Niecnotach: ojcowski dom stanie mu za szkołę.  
Nie łoży na nauki syna, i ciężko mu  
Kopę na to obrócić, a zaś tego darmo  
Nauczy się, cokolwiek, i tego, i wszytek  
Oraz dom zesromoci. Więc mówisz: co potym  
Synowi po łącznie umieć? A on głupi  
Po polsku i łącznie, z cieble przykład wzięwszy.  
Tak mu tedy ten miły dom i pomieszkanie  
Przy tatusiu wynidzie. Aż się też namyślił  
Wysłać go daleko w cudzoziemskie kraje,  
Po co proszę? aby tam z małpą się ożenił,  
Albo włęc inspektora marnie okaliczył,  
Albo zabił. Wszak wlecie niedawne przykłady.  
Wraca się pan syn z Włoch tandem do Ojczyzny,  
Żonkę z sobą prowadząc, a synową ojcu.  
Pociecha, dla której go trzeba było pięćset  
Mil od Polski posyłać. Nie wspominam straty  
I nakładu i kosztu, i prace i złota,  
Które się tam rozeszło raz na pijatyki,

Drugi raz na zamtuzy i złą kompanią,  
Lecz tego nie żałować, bo się grać na lutni,  
Śpiewać, skakać galardy, ba i po francusku  
Nauczył dyszkuruwać; więc i a la mode  
Chodzić, stroić i wszystko czynić po francusku.  
Cóż z tego? to rozumiesz, że siła tym wygrał?  
Mym zdaniem wszystko stracił, kiedy b o n a m m e n t e m .  
Już mu i Polska śmierdzi i wszystko w niej gani,  
O Francyi powiada, o damach, baletach,  
Nic nie umie tylko łągać, a udawać rzeczy;  
W zwierciedle ustawicznie ni tam mała jaka  
Muszcze się, goli brodę i dwa razy o dzień.  
Toż na potym i polskim stroju czynić będzie,  
Monstruje, perfumuje, pudruje i trafi  
Włosy, z których żelazo ledwie kiedy znidzie,  
Mowa, strój, po francusku i gest i zabawa.  
Siła przejął zwyczajów, umie i kapłuna  
Drewnianego rozebrać, a zjeść prawdziwego,  
I po toż to całe ośm lat w Rzymie, w Paryżu  
Potrzeba było mleszkać? i na to się ten koszt  
Siedmiudziesiąt tysięcy obrócił i nad to?  
A toż masz korzyść z tych to cudzych miłych krajów,  
Że syn twój miasto nauk przyniósł ci te figle,  
A prezumpcyi nazbyt, którą ma o sobie  
Że greczny, że uczony, że wszyscy błaznowie  
Tylko sam nie, a ono opak to rozumieć.  
Jako jeden senator o sobie powiadał,  
Gdy też był ze Francyi i ze Włoch powrócił,  
Że mu się w Polsce każdy zdał być ledajaki,  
Tylko on grunt. Za czasem tak się mu zaś zdało,  
Że wszyscy mądrzy, tylko on sam jeden błazen.  
Lecz ja do ciebie ojciec znowu się powracam,  
I pytam co wżdy będziesz czynił z tym to synem,  
Który się świeżo wrócił? pošlesz go do dworu,  
Czy do wojska? Nic z tego. Niech się domem bawi,  
Tuć się siła nauczy, pić a kastyrować,  
Warcabami kołatać, kart grać do umoru.  
Nuż utracać, pacholków przyjmować, po miastach



Hulać, krzosać, wadzić się, samśladów najeżdzać,  
Rodziców nie szanować, rady ich nie słuchać,  
Równych sobie znieważać, aż też utną rączkę,  
I onę piękną gąbkę sprośnie nakarbuja.  
Ty dopiero zalegać temu chcesz; daremnie.  
Czemu? bo już nie rychło, gdy się rozbieżały  
Koła, i gdy już trudno zatrzymać ich z góry.

Spyta mię kto, nierzędu tego co za koniec?

Króciusieńko odpowiem: marne ożenienie  
W domu, jeśli się w Niemczech gdzie nie opartolił.  
Przeciw woli rodziców. Zatem to nastąpi,  
Że wszytek dalszy żywot brzydko poprowadzi,  
I w domu lata strawi z powszechną niesławą,  
Bo z młodu do rozkoszy i niesławy przywykł.  
Nie z tej szkoły, ani też takiego ćwiczenia  
Było dwanaście młodzi cnych onych Polaków,  
Którzy w Adrynopolu na wszeteczny nierzęd  
Od Amurata będąc cara tureckiego  
Wybrani ze wszech więźniów, zabić umyślili  
Cesarza; a gdy jeden Bułgarzyn ich wydał,  
Wiedząc o mękach, które cierpieć, albo sprośnym  
Żądom tyrańca mieli brzydkiego podlegać,  
Samiż z sobą tak długo broniami czynili,  
Pokąd ostatni nie legł i ducha nie oddał.

To powiedziawszy spyta mię kto, co wždy radzę  
O wychowaniu dzieci. Powiem, tylko słuchaj,  
Z młodych lat i dziecinnych nie chowaj ich miękko,  
Niech przywyka synaczek niewczasom, córeczka  
Posłuszeństwu, bojaźni Bożej i rodziców,  
Potym na inspektora nie żałuj, a w karze  
Kaź mieć chłopię, sam także w niczem nie pobłażaj,  
Zwłaszcza gdy upor znajdziesz w jego przyrodzeniu.  
Utraty i złych rzeczy nie ucz, i owszem broń;  
Niech się też synek z tobą nie pospoltuje,  
Aby cię i na potym szanował i matkę;  
Niech zna oko surowe ojcowskie i matki.  
Na nauki nie żałuj. Potym, gdy go zechcesz  
Posłać do obcych krajów, wprzód u siebie uważ

I kiedy, w których leclech, a gdzie i z kim posłać,  
Bo takiego potrzeba przybrać, ktoby umiał  
Kierować nim i jego porywczą młodością.  
Nie żałuj na człowieka godnego, coby miał  
Słuszną swoją powagę i respekt u niego.  
Gdy się zaś z tych tam krajów do domu powróci,  
Nie baw przy sobie, ale poślij go do dworu  
Albo do wojska, albo też na służbę kędy,  
Gdzieby brał swe ćwiczenie. Tak z niego mieć będziesz  
Człowieka pocziwego, i znaczną pociechę,  
Inaczej śmieie rzekę, lepiej nie mieć dzieci,  
Niżeli mieć takowe, które dom twój, siebie,  
I ciebie zhańbić mają, a zhańbić na wieki.

## Księgi wtorej

### Satyra I.

Na zepsowane stanu błaogłowskiego obyczaje.

Dawneż to w Polsce czasy i za Lecha były,  
Albo pono przed Lechem, gdy czystość przy wstydzie,  
Białej płci należącym, swoją cenę miały.  
Na ten czas to podobno popłacało, kiedy  
Orłowie swoje gniazda sadzili tam, kędy  
Miasto leży, od nichże stolica nazwana,  
Gdzie się przewisko polskie i imię wylęgło.  
Albo na ten czas kiedy Wenda królowała,  
Wenda wizerunk wszystkim panieńskiej czystości.  
Nie słyhać teraz o tym, żeby która w Polsce  
Utopić się tu miała, uchodząc wszetecznych  
Rytyglera zalotów i łoża brzydkiego,  
(Albo jako drudzy chcą z niegoż triumfując),  
Ta pierwsza i ostatnia nieśmiertelna panna.  
Trudno i o takowe, jaka była ona  
Dambrowka księżna czeska, Mieczysława żona,  
Pobożna, bogobojna, święta, wstrzemięźliwa,  
Która chrześcianinem męża uczyniwszy,  
Bałwany sprosnych bożków oraz popaliła.

A potym sławnych wnuków Polszcze zostawiwszy,  
Czystości, wstydu, wiary małżeńskiej wizerunk  
Potomnym za testament wiekom zostawia.  
Aleć inakszy był świat na on czas. Prostota  
Z szczyrością panowały i cne obyczaje,  
Pocziwość i stateczność, wiara, posłuszeństwo.  
Aż też czasów późniejszych wkradły się powoli  
I zbytki, i nierządy, i niewstyd i chciwość.

Co Popielowa żonka stryjom porobiła,  
Wiemy; co Ryxa złego Mieczysława żona,  
Która Niemców przybrawszy do swych rad tajemnych  
A Polaki się brzydząc, jako psy zdechłemi,  
Uciekła polską z synem koronę wykradzi,  
A złe tylko wspomnienie Lachom zostawiwszy,  
I niewstydliwem życiem Polskę zaraziwszy.

. . . . .

Ale dawszy wywodom pokój, to powiadam,  
Że trudno o pomyślną i o dobrą żonę.  
Bo jakoż ma być dobra na potym, a ona  
Z młodości od matusi wyszła obyczaje.  
Ledwie dziewczyńie siedm lat, już jej wspominają  
Młodzianów różnych, gachów. Do taneczka z chłopcy  
Mało nie codzień, piątkom pewnie nie przepuszczają,  
Muzyka, bankleciki, taneczki, rozmówki  
Z mężczyznami, nauczą przed czasem wszystkiego.  
Jedna też drugiej powie. Piosneczki śpiewają,  
Które wyćwiczą lepiej, niżli Ovidius,  
W dawnych swoich książeczkach de Arte amandi.  
Młasto świętych żywotów będzie tam co w druczku,  
O zalotach i różnych przebiegach młodzieńskich.  
Jeśli też do kościoła przyjdzie, wlecej oczka  
Po gachach młodych chodzą, niżli po ołtarzach.  
W mieście na zjeździe jakim pod sądy i roki,  
Z okienka ustawicznie, na tego owego,  
Ten tak, ten owaki, to grzeczny, nadobny.  
Dziewczęciu ledwie siedm lat, a już wie co hoży  
Co ruchawy pacholek. Nastąpi biesiadka,

Albo tam gdzie wesele, pani matka z córką  
Nieomieszka. Dla czegoż? Aby się ćwiczyła.

.....  
Jakie wychowanie,  
Taka pociecha będzie napotym, gdy wzrosiecie.  
Więc rzkomo mówić nie chce przy ludziach i oczach,  
A gdy czasik upatrzy, nikt jej nie przegada.  
Dopieroż gdy podroście, pani matki prosi,  
Aby jej nie trzymała w domu. O klasztorze  
Nie myśli, ani pyta, w głos to opowiada.

— Za kogóż chcesz Anusiu, pyta otec. — Ow się  
Nabardziej mi podobał, co ma czarny wąsik. —

— Dobrze, dam cię za niego, kłedyć się podobał.

Gdzież się owo podziało, gdy sami rodzicy  
Męża córce, nie sobie panna obierała;  
Nie spytano jej o to. Tego mężem miała,  
Którego jej Bóg przejrzał, a wola rodziców.  
Teraz opak, a nie dziw, wlecej w domu rządzi  
Niż otec, niżli matka. Ona się rachuje  
Z włodarzami, z pisarzem, folwarki objeżdża,  
Gospodarstwo prowadzi, jeździ, rozkazuje,  
Dom ma za prawą szkołę, pań matkę za mistrza.  
Aż ci też za mąż pójdzie, umiejąc regule  
Quae maribus, albo więc mobile fit fixum.  
Nic się nowego pewnie w nowym nie nauczy  
Stanie, albowiem wszystko umiała to panną.

Zostawszy tedy żoną, dopieroż króluje,  
I męża za nos wodzi, sługami, czeladzią  
Rządzi jak chce, kochankom sprawuje, rozdaje.  
— Tego odpraw. — A czemu? — Że tak chcę, tak każę.

— Ale dlaczego go mam odprawić, gdy dobry  
Czeladnik i posłuszny? — Lecz mnie nieposłuszny.

Sic volo, sic jubeo, dosyć, że ja tak chcę.

Temu każ dać trzy sta plag. — A dlaczego prze Bóg?

— Dosyć że mnie zawinił. Nie usłuchał gdym mu  
Coś była rozkazała. Niechaj weźmie cięę. —

Nie tak królowa Judth Bolesława żona:

Na garło już skazanych często upraszała.

Raz dwu sług osądzonych potajemnie schronić  
Kazała, o czym sam król nie wiedział; aż kiedy  
Oplonął z gniewu, wtenczas kształtnie nastąpiła,  
I z jawnego wyrwała chudaków nieszczęścia.  
Tu zaś choć w mniejszym stanie niż królewskim, sieką  
Biją, katuja, palą, na rozkaz Jej Mości.  
Dobrze, że sam małżonek po łbu nie oberwie.

.....  
Cóż zaś o strojach powiem: od poranku aż  
Do południa ta sama zabawa stroić się,  
Nie dla męża, przestrzegam zawczasu, lecz dla tych,  
Którym się chce podobać. Przeto we zwierciadle  
Dni całe trawi, ledwie że oraz nie nocy,  
Tylko się tego boi, żeby się co złego  
W nim jej nie pokazało, jako gdzieś snadź było.  
Znidą się tedy wszystkie panny do pokoju  
Rano dla ubierania. Tam wždy o dwanastej  
Na półzegarzu wstanie; niż koszulę weźmie,  
Niż pończoszki, trzewiczki, godzina wyclecze.  
Potym zaś do zwierciadła. Jedne włosy trafiają,  
Drugie wleże budują na głowie i baszty,  
Trzecle tam oplniają i stroją ten oltarz  
Jako na Boże Ciało, albo grób piątkowy,  
Pyta się: jako kształtnie? Dawają swe vota  
Pojedynklem i panny i ich ochmistrzyń,  
Jakoby szło o sławę, albo ściętą szyję.  
W tym jej w nos mucha jaka wlezie o lada co:  
Łaje, fuka, katuje, szczyple, bije, grozi  
Pannom swym i służebnym. Pani stara nosa  
Umyka, bo się i tej ledwie nie dostanie.  
Włęcz gdy mąż tylko w domu, rozkudłana chodzi,  
A jako tam z kąd który gach przyjedzie, albo  
Wierny jej kochaneczek, aż ci się wystroi.

.....  
Aleć ja to podobno aż nazbyt przetrząsam,  
I fałszywie przekładam. Dajem był fałszywym.  
Ale tu któraś z naszych przyznawa się całe,

Że tak jest nie inaczej; świadczą czasy nasze,  
I oczy oraz nasze, które to widziały.

Co starzy tragikowie piszą o Medeach,  
O Prognych, Meglerach, wszystko się to iści,  
I wszystko praktykuje tymi teraz czasy.  
I owszem dawne one z szaleństwa czyniły  
Cokolwiek więc czyniły, ale siła takich  
U nas, które z uwagą i z poradą czynią,  
Na to się usadziwszy, aby w niwecz dzieci  
Obróciły po ojcu zmarłym pozostałe.  
Ale i ty małżonku jeśliś zdrow, miej pilne  
Oko na panią żonkę, miej się w ostrożności,  
A zażywaj czego król Mitridates zażył.  
Byś zaś czego nie połknął niezdrowego, aczci  
Kiedyby się nie powiódł taki kasek, snadnie  
O zdradę nocną i tych co cię zagałuszają.

Alcestis własną śmiercią męża odkupiła.  
Zofia na Szczecińskie księżna, jako pisze  
Kromer, męża Eryka chcąc wyrwać z złej toni,  
Do taborów królewskich, między wszystkie pułki  
Bezpiecznie poszła prosić, aby mu król winę  
Odpuścił, karząc samę gardłem lub niewolą.  
Witolda wsadzonego od króla Jagiełła,  
Żona oswobodziła przebrawszy go w szaty  
Służebnej swej, i onę zań tam zostawiwszy.  
Lubo i samaż chciała ten ciężar zastąpić,  
I gardłem go okupić, by to była można.

Czytają one o tym, ale tak nie czynią,  
Bo druga i za pieska kochanego, kiedy  
Zachoruje, dałaby żywot męża swego,  
Gdyby na okup przyszło. Krótco powiem a w dar  
Nie trzeba, tylko jedną wziąć na przykład babę,  
Której się imię od Bre zaczyna, a dosyć  
O złości białogłowskiej, dosyć i nadmienić.  
To przydawszy, że przecie znajdują się takie,  
Które do tej satyry mało co należą,

I które pod n'eblosa godził się wywyżzyć.  
Dobrym Bóg zapłać, a złe niech dyabeł weźmie.

## Księgi trzeciej

### Satyra I.

Na interregnum i nierząd jego.

O nierządne królestwo i zginięcia bliskie,  
Że z naszym Kochanowskim bezpiecznie wyrzekę.  
Ale tego nierządu wizerunek prawdziwy,  
I nawłekszy jest u mnie samo Interregnum.  
Chaos, czy plekło jakie? ubi nullus ordo,  
A sroga konfuzya: bo Polacy w niczym  
Nie są porządni, tylko w samym nieporządku.  
Ten statecznie trzymają i w nim się kochają.  
Cud jednak jeden, że się postrzedz nie możemy,  
Ani obaczyć, z obcych nie biorąc przykładu.  
Król umrze, a my miasto jedności, nabardziej  
Wtenczas sobie różniemy. Prywaty na placu.  
Terazby ich dochodzić, gdy pogoda, rzeczesz.  
Właśnie. Zgadłeś, na ten czas, gdy Ojczyzna mdleje.  
Duszkoszby jej dokonać, i dobić do końca.  
Samsiedzi pograniczni w sroglej gotowości  
Czuwają na nasz nierząd, a my nie myślemy  
O żadnej pogranicznej obronie, także i  
Passów i zamków, których ledwie i tak mamy.  
A lubo są, nie dbają o nie starostowie,  
Woli i wał rozrzucić jeżeli przeszkadza  
Ogrodowi, gdzieby się kapusta rodziła.  
W sklepach prochów nie znajdziesz, chyba sól gdzie z żupy,  
Którą arendarz w nichże na wyższy grosz chowa.  
W cekauzie półcie wiszą, a miasto dzał w bramach  
Znajdziesz wozy, któremi drzewo z boru wozł.  
Straż na blankach, kilkoro świni co wał ryją.  
Uchowaj Boże łożyc na naprawę zgniłych  
Dachów, i inszych w zamku budynków. Co potym?  
Nie dlatego starostą, abym zamku bronił,  
Ale abym intratę brał za me zasługi.

Takle to twe zasługi? Żeś królowi czasem  
Zwodził, gdy po tobie tej potrzebował służby.  
Ale się ja powrócę, com wprzód zaczął mówić  
O naszym Interregnum, które jeden błazen  
Ślusznie zwał Terererum, jakieś zamieszanie.  
Rzeczę kto: azaż nie masz żołnierza na Rusi  
Kwarclannego, któryby granic tej tam śclany  
Bronił? Jest to tak, ale jest na zgubę naszą,  
Oppressią wolności i głosu wolnego,  
Na ten czas Interregni umyślnie chowany;  
Sprowadzi go albowiem hetman pod Warszawę  
A to, aby dowodził swego, i tym doplął  
Wakancyi u króla, które już ułapił  
Obietnicą. A nasze głosy pójdą w kawy.  
Ten królem będzie obran, kogo wojsko zechce,  
I z łnszemi możnemi. Wy panowie szlachta  
Drobna, przyjachaliście, nie króla obierać,  
Ale groch; spytam ja cię miły senatorze:  
Cóż u ciebie droższego: Ojczyzna czy wakans?  
Odpowie mi: Ojczyzna. A czemuż to proszę  
I wolność swą sprzedajesz za jedno starostwo,  
Nie to mówiąc coć każe sumiennie, ale co  
Respekt prywatny, i to co nadzieja każe,  
Obierasz króla tego, który w twym rozumie  
Nie godzien nigdy zasieść tronu królewskiego.  
Przecię go królem chcesz mieć. Zasłępiłać rozum  
Prywata niecnotliwa. Odrzuć tę, a uznasz  
Że nie to mówisz co chcesz, ani co rozumiesz.

---

## Satyra II.

Że żaden król Polakom nigdy nie wygodzi.

Prawdać to, że się w naszych siła panujących  
Znajduje włąc defektów naganie podległych,  
Jako to w dystrybucie i w łnszych funkcjach  
Publicznych, ale jednak żaden nigdy naszym  
Polskim król nie wygodzi humorom, choćby on



Z nieba zstąpił, i choćby lepszego nie było  
Nigdy pana na świecie, znalazłem mu przyganę,  
Nie żeby się w nim miała znajdować, raczej w nas,  
Którzy tę miłą wolność tak szeroko chcemy  
Rozpościerać i ciągnąć, że i z grzechem wspomnieć.  
Nie uznawamy jaka natura wolności  
I jakie jej granice. Ale czynić co chcieć,  
To u nas prawa wolność. Króla oprłmować,  
Szczypać jego postęпки niewinne, to wolność.  
Szpecić stateczny jego ku Ojczyźnie afekt,  
I to wolność. In summa, co gdy panujący  
Łoży dostatków, zdrowia, niewczasów, to wniwecz.  
Blednemu włęc potomstwu jego ledwle damy,  
I to z wielką trudnością, czymby się żywiło.  
Ktoż nam będzie panował, chyba taki który  
O nas potężnie myśleć będzie, i o zgubie  
Wolności naszych. Inszych pewnie nie znaleźliśmy.  
Carnificinam nazwał królestwo Batory,  
Tak mu wytchło tytułów i tronu polskiego.  
Tylko nie dostawało, żeby też był w łeb wzięt  
Czekanem jako Zygmunt, co po nim nastąpił.  
Gdzież się ono podziało, co włęc Zygmunt pierwszy  
Zwykł był mawiać, że u swych poddanych na łonie  
Bezpiecznie odpoczywać i wyspać się może ?  
Inaczej tymi czasy, bo jako król komu  
Odmówi czego, zaraz buty mu szyć trzeba.  
Zaraz szlachtę buntować, i na rokosz wołać.  
Aleś tego nie godzien. Podobleneś żable  
Onej, która nogę swą wyciągała kledy  
Konia kuto, tak i ty chcesz z zasłużonemi  
Porównać. Dano grzędę kurowi, chce wleży.  
Nabrałeś już, przecie chcesz przed wszystkimi łapać.  
Drugim tkwi chleb królewski z gęby, i obfite  
Dobrodziejstwa, a przecie niewdzięczni ku panu  
Złym za dobre oddają. Świadkiem przeszły rokosz,  
W którym ci na Majestat najwlecej bili  
I nań następowali, którzy łaskę znali.  
To pod czas boju. Cóż zaś rzekę o pokoju?

I w tym się nie wyszedł król, senatorowie,  
Diffidencie w Polsce sła ziego robią,  
Gdy między szlachtą, pany i królem panują.  
Kiedy Ordo Equestris swoim senatorom  
I królowi nie ufa, nie mając przyczyny.  
Szkaluje i rady ich, i wszelkie zamysły  
Opak szpoci. Jakoby i królowi na tym,  
I wszystkim senatorom nic nie należało,  
Aby się wszystko dobrze i pomyślnie działo.  
Żaden pewnie nie myślił w Turzech mieszkać, ani  
W Indyach, ani w Chynie. Tu ma swoje dzieci,  
Ma dostatki i wioski, musi o tym myśleć  
Jakoby i Ojczyzna w pokoju i on był.  
Szlachcicem się urodził senator, jak drugi,  
I dlatego Ojczyznę, że w senacie siedzi,  
Przedać ma, będąc cnotą i samą przysięgą  
Obowiązany? Honor nie zbawił go cnoty,  
Owszem jej go nabawił; bo wie co powinien  
I Bogu, i Ojczyźnie, i Rzeczpospolitej.

---

### Satyra V.

Na skarb i nieporządek w nim.

Tak to Cajus jak Scius i według Tacita  
Magis alii homines quam alii mores.  
Podskarbi po podskarbi następuje, przecię  
Každy z nich albo skubie albo takich chowa  
Przy sobie skarbowych sług. Diogenes widząc  
Raz a ono prowadzą złodzieja, co ukradł  
Coś komuś. Za nim idą pisarze skarbowi,  
Prowadząc go chudzinę na śmierć powroзовą.  
I rzecze: »Patrzcie co się dzieje. A to Magni  
Fures, hunc parvum du cunt«. Tychby to powleszać  
Co owo z karwaszami do skarbu przystają,  
A teraz kilkadziesiąt tysiącami liczą.  
Nie przez całe lata. Ty się chłopku szanuj  
Uboli i podatki oddawaj zupełnie,

Aby ci zdziercy rzeško napelnili worki,  
Twoje podymne, pobór, obróci się wkrótce  
Albo na komedye, albo na kanaki,  
Albo na pológ paní, którego Bóg nie da,  
Niechcąc aby krew ludzka wyssana w podatku  
Obracać się dziesłęciu na krzciny gdzie miała.

O pisarzach co powiem? O mój Panie jako  
Często konie, kobierce, rydwany sprawują  
Za tento zbiór publiczny. Żołnierz o żołd woła,  
Nie stało już podatków. Na retentach siła  
Zostało. Snadniejsza to, położyć pięćdziesiąt  
Miało dziesiąci, albo dwudziestu, w regestrach  
Na prochy, więc na szplegi, nuż i upominki  
Tatarskie, które rzadko Krymu wlem dochodzą.  
Siła registra wezmą. Aleć sejm nadchodził,  
Już też szczerze i pilnie wejrzymy w ten nierząd.  
Podskarblego nie widzieć. Zachorzał chudzina.  
A na jakąż chorobę? Co mi tiałem ją  
Morbum, ci terażniejszy doktorowie zowią,  
Która ku konkluzji sejmu opuściła  
Chwała Bogu chudzinę. Przyjeżdżą, wołają:  
Crucifige, bij, zabij tego franta, co to  
Kradnie Rzeczpospolitą. Nazajutrz poproszą  
Na bankiet zawołany wszystkich panów posłów;  
Albo wždy co gębiatszych. Bankiet szumny. Piją  
Za zdrowie podskarblego, który dziś trzeci dzień  
Frantem był i oszustem, i zdrajcą, złodziejem;  
Nie słyhać między winem takich głosów, ani  
Przegroźek, tylko: viva t, viva t, nasz podskarbi  
Cnotliwy, i któremu równego nie miała  
Polska. Concedo, ale równego szalblerza.  
Upominki się kurzą. Tego koń z siedzeniem,  
Owego czarka potka, tego portugały,  
Trzeciego sól, czwartego kilka beczek wina,  
Aż tu dobra rachuba, zgadza się percepta  
Z expensa. A nakoniec weryfikują się  
Wydatki, bo o kwity nie trudno zmyślone;  
Kto weźmie dziesłęć, da kwit na pięćdziesiąt złotych,  
Znajduje się, co za tysiąc dwadzieścia przypisze.

Owo zgoła i m p u n e wszystko u nas, ani  
Repetundarum dadzą actionem o to.  
Jako bywało w Rzymie, pokąd trwał w swej klubie.  
W Polsce wszystko się zniłdźle. Snadniej na łajanie  
I przymówki wytrzymać jednego tam sejmu,  
A kilkakroć i więcej sto tysięcy ukraść.  
Cóż tedy rzecz? Odmienić dawnego, a na to  
Miejsce nowego życzyć w Polsce podskąrbłego?  
Uchowaj Boże, lepiej już starego cierpieć  
Złodzieja. Jakom w bajkach słyssał, że gdy muchy,  
Bący, komorzy, konia chudego obsiedli,  
Chciał go być drugi ognąć. Aż on na to rzecze:  
Stój miły bracie, woleć już cierpieć tych bąków  
Co się mej krwle napili, niż onych spędziwszy,  
Głodnych nabyć, coby ich jej ostatek wysnali.  
Aleć dosyć, bo ktoby wszystko wypowiedział?  
Ufatygowałbym tą prędzej Łiszyskiego  
Starostę relacją, niżbym konca doszedł.

## Łukasz Opaliński.

Poeta

Łukasza ze Buina Opalińskiego, Marszałka Nadwornego  
Koronnego.

Ktożkolwiek z Was jest co Poetą słynie,  
Komu udatny Rym jak zechce płynie,  
Kto piorem leje, tak że mu uczony  
Wiersz snadno idzie i nieprzymuszony,  
Zdrow niechaj pisze i wieniec laurowy  
Niech ma (pozwalam) Koronę swej głowy:  
Jednakże przecie niech wie że też i my  
Możem mieć miejsce między Pisorymy.  
Tegoć nie pomnę bym Hellkonową  
Wodę miał pić, albo Parnassową  
Gorę nawiedzał, gdzie kto przemieszkiwa  
Choć nic nie umie snadź Poeta bywa.

Nie znam się nawet i z tymi Muzami,  
Które tych wszystkich czynią Poetami,  
Co ich wzywają. Ja to mam za baśnię  
Aby co darem przyjść mogło i właśnie  
Jakobyś znalazł. Za pracą Bóg dawa  
Wszystko, jako to ktoś mądry przyznawa.  
Chyba żeby ten miał być Pisorymem,  
Co sobie głupiej fantazyi dymem  
Głowę zaraził, i już tak rozumie,  
Że wiersze pisać bardzo dobrze umie:  
A on nieborak płonne chwyta słowa,  
Z których pochodzi proźna sensu mowa;  
Jedno się zgoła drugiego nie dzierży,  
Choć wiersz nie równy niemal nicą mierzy.  
I acz na palcach syllaby rachuje,  
Proźno się jednak biedzi i morduje,  
Proźno łeb draple, i coraz zębami  
— Strzyże paznokcie nad ziemi wierszami.  
Bo co przypisze, to zmaże, to kryśli,  
A nic godnego przecie nie wymyśli.  
Nie to Poeta co zliczył syllaby  
I na to tylko pilno patrzy aby  
Jako pod cyrkuł wszystkie równe były,  
Włęcz by się Rymy jednako kończyły:  
Ani ten ma być Poetą mym zdaniem,  
Który powłada, że jednym pisanem  
Tysiąc i drugi wierszow wnet zgotuje,  
I przed wszystkiemi tym się popisuje.  
Proźno jeżeli słow sła a wątku  
Mało, i jeżeli rzecz nie ma rozsądku.  
Lecz i ten znowu nie może być zwany  
Dobrym Poetą, który żart podany  
I fraszkę pisać ale nic długiego  
Wywleść nie może z dowcipu miłkiego.  
Ten jest Poetą moim rozumieniem  
Co doskonałym rzeczy uważeniem  
Przenika wszystko, a co chce, prawdziwie,  
Gładko, łagodnie, miękko i szczęśliwie  
Wymówi, albo tak ładnie wyleje

Że z czytających każdy się zdumieje,  
I nie tylko się uznawa wzruszonym,  
Ale już prawie niemal zachwyconym:  
Którego dowcip, lub jakiś wysoki  
Duch, rzecz swą pędzi z uwagi głęboki,  
Który affekty jakowe chce sprawi  
Gdy czytelnika słodkim rymem bawi,  
A bawi długo, bo dyskurs prowadzi,  
Lub chwal', szydzi', strofuje i radzi,  
Podaje koncept pełna rzeczy głowa,  
Za tym posłuszne następują słowa,  
Które zaś tak są potrzebnie sadzone,  
Że nie może być żadne opuszczone  
Bez zguby sensu, i tyle rymowi  
Służą, wielkiemu ile rozsądkowi.  
Bo to ustawnie ma na dobrej płeczy  
Aby ile słow, tyle było rzeczy.  
Zgoła cokolwiek przed się weźmie pisać  
Nie potrzeba mu ni szukać ni chytać:  
Samo przychodzi snadnie i tak miło  
Że się zda jakby się to urodziło.  
Nad to takowe jest uczonych zdanie  
Że ma Rym dobry być jak malowanie,  
Jako to bowiem żywemi farbami  
Naturę, tak on własnemi słowami  
Istotę rzeczy powinien wysadzić,  
Nigdzie nie uwiaść, nigdzie nie zawadzić.  
A tak i pędzel i ploro też mają  
Własność, gdy dobrze swą powinność zują.  
I ten sam może godnie imię nosić  
Poety, który uczyniwszy dosyć  
Temu com wspomniał, pisze tak udatnie  
Że się na żadnym słowku ani zatnie.  
Jeżli chce śpiewać miłostki pieszczone,  
Grzeczne zaloty, oflary i one  
Podchlebne pieśni, słowa pełne chęci,  
Służby, ukłony, którymi więc nęci  
Młode Dziewczyny, młodzian urodziwy  
Opowiadając affekt swój prawdziwy,

Wzajemne kładąc i biorąc okowy  
I serce wiążąc w łańcuch coraz nowy:  
To gdy opiewa, i kiedy przeczyta  
Lub męska, lub płeć skromnością pokryta  
Biała, choć tał, choć nie pokazuje,  
Jednak przychylność niewymowną czuje:  
Wkrada się ogień w serca, a wzniecony  
Już nie może być płomień utajony,  
Niewoli duszę, choć raz zniewolona  
Panuje miłość miłością zwabiona.  
Jeżli opisać chce rycerskie znoje,  
Przeważne wojny i okrutne boje,  
Furye, a z nich bitwy zapalczywe,  
Z nich znowu mordy i śmierci straszliwe;  
Takim to kształtem ładnie udać umie  
Że czytający tak właśnie rozumie  
Iż na to patrzy. Tu Wojska szykuje,  
Obozy toczy i szturmy gotuje;  
Tu bohaterów dwóch na plac wywozł  
Na pojedynek albo harce zwodził,  
Stawia utarczkę, a Monomachią,  
Gdzie się sami dwaj tylko z sobą biją.  
Gdzie wielkie męstwo i krew opisuje,  
Za którą śmiała młodź sławę kupuje.  
Albowiem jako szczenię zajuszone,  
Choć będzie z zwierzem nierównym spuszczone,  
Siły nadstawia swą zapalczywością  
I wiąże się z nim wielką zawziętością,  
Tak dzielny młodzian wielkiej sławy chciwy  
I o honor swój gorąco żarliwy,  
Nic się nie trwoży i nic nie uważa,  
Gdy się na dzieła wysokie odważa,  
Umierać gotow, byle tylko mężnie.  
A tak naclera śmiele i potężnie,  
Pragnie mieć rany i potężne blizny  
O chwałę Bożą i dobro Ojczyzny.  
Troskliwa Matka widząc kochanego  
Syna, tak bardzo do wojny skłonnego,  
Boi się, by mu młodość popędliwa

Zbytnią odwagą nie była szkodliwa,  
By nie przywiodła do ciężkiego razu  
Niepamiętnego proźby i zakazu,  
Który mu dała z płaczem go żegnając,  
I Bogu pilnie w opiekę oddając.  
Lecz i dziewczyna kochająca skrycie  
Cicho gdzieś wzdycha i niemal obficie  
Łzy leje, aby chłopiec ulubiony  
Nie odniósł szwanku od ręki szalony.  
Niestetyż mowi na to głupie męstwo,  
Co krwią, ba zejściem częstokroć zwycięstwo  
Ugania, a śmierć wszystkim nieuchronną  
Jeszcze przyśpiesza sławą jakąś płonną  
Jednakże tuszy w Boskiej Opatrzności  
I dobrze wrożąc pełna jest ufności  
Że ozdobiony w Tryumfalny wieniec  
Witać ją będzie wkrótce cny młodzieniec.  
Takto o Wojnach.

Jeżeli zaś daje  
Słuszną naganę, albo obyczaje  
Ostrą Satyrą sądzi i strofuje,  
Przymawia, albo drwi, szydzi, żartuje,  
To tak wlot czyni, tak piorem maluje,  
Że prawdziwszego nic się nie znajduje.  
Naprzykład kiedy chce rady sejmowe,  
Albo tajemne opisać, i owe  
Wota, któremi nas tak długo bawia  
Ci, którzy sami nie wiedzą co bają.  
Ten się nad mową biedzi i zająka,  
Ow zaś poważnie coś mądrego krzaka,  
Ten cicho szepce i pod nosem prawi,  
Słuchacze drzymlą, i on sam najawi,  
Czy przez sen mówi, nie wie, lecz stworzony  
Recytuje pens doma nauczony.  
Ten zaś słów nazbyt i snadnie prowadzi  
Lecz dyskuruje raczej niżli radzi,  
Bo siła bardzo mowy, konkluzyl  
Nie masz nic a nic w jego oracyi,  
Zgoła u wszystkich jedno jest staranie



Proźna pochwała i popisowanie.  
Takie częstokroć w Senacie bywają  
Rady, w Poselskiej Izbie za się mają  
Tryb jeszcze gorszy, bowiem tam niesforne  
Serca, ztąd mowy, i swary uporne,  
Głosy przewrotne, albo chytne zdania,  
Pretextem prawdy pełne oszukania:  
Wrzкомо praw strzeże i swobod pilnuje,  
A skrycie dobro swoje upatruje.  
Niedbalstwo Rzeczypospolitej, a ta  
Co wszystko psuje nie zbędna prywata  
Cne nie pozwalam, co strożem wolności  
Przedtym bywało teraz przewrotności  
Jest instrumentem, gdy człek niecnotliwy  
Przedawa głos swój i język zdradliwy,  
Gdy mędrszych zdania nic nie uważając,  
Ale się swego upornie trzymając,  
Gubi Ojczyznę, bo o niej nie radzi,  
Ale się tylko swarzy albo wadzi.  
Zgoła obrona Rzeczypospolity  
Na dyskrecyjl jest Posła z Upity, <sup>1)</sup>  
I na zgubę jej dosyć jeden głupi,  
Lubo przewrotny, gdy go kto przekupi.  
Po radach jeżeli dumną opłsuje  
Jonakow postać, i kiedy mlanuje  
Ich różne fechty ktore wywlerają  
W rozmowach albo gdy się napijąją;  
Kędy włąc coraz swe krwawe zasługi  
Liczą, a Bog wie że częstokroć drugi  
Wojny nie widział i nie był w potrzeble,  
Lecz ustawicznie włączył się po chleble,  
Służył on w prawdzie i plęknie lecz w tańcu,  
Przy wlnie, skrzypkach i łojowym słońcu,  
Śmiać się potrzeba z trefnej brawaryl  
Z hardych słow i zbyt plonnej fantazył,  
Kiedy się czynł bohaterem w boju

<sup>1)</sup> Syciński poseł z Upity za Jana Kazimierza pierwszy jednem  
nie pozwalam sejm zerwał.

Że mięszo gada, a coś mieni w stroju.  
Hazuka, tuzłuk, burka, albo z Krymu  
Cożkolwiek, zaraz rycerskiego dymu  
Pełną myśl czyni, nlą Jonak pijany,  
Chcąc być za Marsa prawdziwego miłany,  
Ztąd, że ma wszystko co raz nowym tokiem  
A sam zaś śmiesznie kleruje się bokiem,  
Cekory llczy, Chocim, Smoleńsk, Łozy,  
Niedźwiedzie albo Kumcyki, gdzie wozy  
Snać na kopije wielką siłą brali  
Kiedy Kozacki Tabor rozrywali.  
Trudno dać wiarę by to przed się bodło <sup>1)</sup>  
Podnieść cały wóz jedną ręką mogło.  
Lecz jakożkolwiek przecię się tam bill  
Mocno, a teraz ci Rycerze mli,  
W koniu rączym swą wszystkę dzielność mają,  
Gdy uciekają w zawod go puszczają.  
Proch śmierdzi bardzo, ledwie szyk zobaczy  
Już się Imć reytyrować raczy;  
Bo tak ucieczkę teraz nazywają,  
I ten jej tytuł pospolicie dają.  
Takowe tedy cnych Junakow męstwo  
W rzeczy samej jest pośmiech i błazeństwo.  
Drudzy (to trefna) się poublerali  
W pludry, a na to żeby zaciągali  
Knastow, albo tych, którzy drą a gonią,  
Oprocz muszkietu żadną inszą bronią  
Nie opatrzeni, dosyć na tym byle  
Z kobietą śledział razem na kobyle,  
Łby ogolone już mają kosmate  
Jako u Szycow tak kołtonowate:  
*Kan er deutsch* spytasz: *Ja* pono odpowie  
Lecz nadto już się słowkiem nie odzowie,  
Więc Pan Oberszter Leytnant Rotmaystr strojny  
Chronią się wszyscy niewymownie wojny,  
Wolą się pytać o assygnacyi  
Niżeli się bić w jakiej okazyi.

<sup>1)</sup> Bodło — to samo co cudak.

Bowiem to wszyscy zgodnie powładają;  
Że Cudzoziemców nazbyt narażają;  
A tak przy domu zostawszy Panowie  
I niemal wszyscy Officyerowie  
Poślą na wojnę kuse regimenty,  
A tu zbierają nowe suplementy.  
To tak Rycerzow. Lecz złych słusznie gani  
Poeta, Dworskich nie chce tykać ani  
Ich śmie urażać, i lub miałby z czego  
Drwić i naśmiać się, jednak milczy tego,  
Obawiając się, by mu popędliwe  
Płoro na potym nie było szkodliwe.  
Arwonci Diabłu (mowi) lubo widzę  
Błazna i w sobie słusznie z niego szydę,  
Lubo to frant jest, ten dureń mym zdaniem  
I filgę trzeba pokazywać za nim  
Jednakże się mu kłaniam: bo faworu  
Pańskiego słyszę pelen i u Dworu  
Tak rozumieją, że on promowuje  
Gdy chce naprawi, a gdy chce zepsuje.  
Luboć częstokroć jest bardzo omylne  
To rozumienie, jednak mu przychylnie  
Szczęście je dało, tak jako on prosił  
By Ganu szeptal i wrzkomo donosił  
Coś sekretnego, a na to patrząją  
I stąd mniemanie łaski Pańskiej znają.  
Promotor pewny Bog, który kieruje  
Serca Królewskie i one miarkuje.  
Potym zaś słuszna do urzędu godność  
I w każdej sprawie doświadczona zdolność.  
Lecz ja o Dworskich tak ani śmiałem gadać.  
Także o Xięży, bowiem sę spowiadać  
Człek musi, i ztąd wielkiej się obawia  
Pokuty, zwłaszcza kiedy nie rad mawia  
Nazbyt Pącierzy, ani siła pości  
Słusznie nic niechce pisać o Ichmości.  
Aleć Satyra kąsze, szczyple, boli,  
Ztąd też Poeta coś lepszego woli  
Pisać, i uczyć raczej niżli ganić,

Radę dać jako życie swe poprawić,  
Prostą ku dobru drogę pokazując,  
Zdrowy rozsądek i Cnoty smakując.  
Toć (mowi) pewna że człowiek stworzony  
I do pewnego końca urodzony,  
Ma kres ktorego całe dostąpienie  
Niesie mu dobro i uspokojenie.  
Bo jeźli rzeczy co duszy nie mają  
Rozumnej, w celach przyzwoitych trwają.  
Jeźli stworzenie wszelakie i zgoła  
Zwierzęta, ptastwo, ryby, drzewa, zioła,  
Kaźde z nich ma swe własne przyrodzenie  
W którym uznaje całe nasycenie,  
Gdy rzeczy martwe, lub tylko żyjące  
Mają dobro swej naturze służące,  
Dalekoż więcej w rozum ozdobiony  
Człowiek mieć musi kres swój przyrodzony,  
A pewnie inszy od nierozumnego  
Stworzenia, bowiem nie jest zarownego  
Rodu, i ztądże inszej szczęśliwości  
Chce należytej do swojej godności.  
W tym oto nasz błąd, że nie uważamy  
Co wzdy za dobro przyzwoite mamy,  
Do czego sąśmy stworzeni; w czym prawy  
Pokój mieć możemy, i jak nasze sprawy  
Przywodzić by do celu szczęśliwego  
Przyszły i kresu uspokojonego,  
Który jeźli chcem mieć w rozkoszach ciała  
Pragnąc by dusza w nich swe dobro miała,  
Jawnie to uznać możemy że błądziemy  
Gdy w takich rzeczach szczęśliwość kładzemy,  
W których smak podły, prędkie nasycenie,  
A w nasyceniu zaraz obrzydzenie.  
Jakoż że tedy w uciesze nie trwały  
Znaleść się może pokój doskonały?  
Jako tam masz mieć odpoczynek święty  
Gdzie twoje dobro spolne jest z bydłą?  
Jeźli zaś zechcemy szukać szczęśliwości  
W zbytniej skarbowych zbiorow obfitości,

W dostatkach, w tym co szczęściem ci mlanują  
Ktorzy sobie świat tak bardzo smakują:  
Proszę jaką ztąd korzyść odnosiemy  
Chociaż takiego szczęścia dostąpimy?  
Co za gust albo co za nasycenie  
Prawdziwe mamy przez to dobre mienie?  
Jako się dusza do nieśmiertelności  
Stworzona cieszyć z tak podłych marności  
Może? co w nich jest coby z nią zrownało,  
Albo apetyt jej nasycić miało?  
Zmysłem cielesnym to coś trochę służy  
W ich jakożkolwiek podobaniu płuży,  
Lecz kto rozumem młarkować się będzie,  
Uzna dowodnie w jakowym jest błędzie  
Gdy tego szuka czego dostąpienie,  
Nie ma pokoju ale omamienie.  
Świat ten obłudny i szczęście omylne  
Dziś temu, jutro owemu przychylnie,  
Rzuca dostatki, ciska honorami,  
I przez swe dary ludzi próżno mamą,  
Bo je chwytamy chciwie lecz bez zysku  
I owszem tracem w takowym igrzysku:  
Tracem częstokroć cnotę i sumienie  
Chcąc mieć w tym wszystkim jakieś dobre mienie.  
Jeżeli nie wierzem nawet rozumowi  
Który wrodzony ma być człowiekowi:  
Jeżeli potym przez nadprzyrodzoną  
Wiarę dowodnie z Nieba objawioną  
Nie chcemy pojąć, że nie w tej krotkości  
Wieków, ani w tych światowych marnościach  
Jest nasze dobro, ale coś większego  
Mamy od Boga nam zgotowanego:  
Gdy słowem jego cudami stwierdzonym  
Nie dajem wiary i niewymowionym  
Łaskom, kiedy nam wieczność obiecuje  
I w niej prawdziwe rozkoszy gotuje,  
I wszelkie szczęście i obfite dary,  
W których i końca nie masz ani miary.  
Jeśli to wszystko człowieka nie ruszy  
Do pociech jego obiecanych duszy,

Przynajmniej niech da miejsce przykładowi  
Gdy nie chce wlerze ani rozumowi:  
Słuchajże tedy co do potomności  
Podał ten co był pełen szczęśliwości,  
Uważaj co sam o sobie wyznawa  
Gdy z sieble przykład i naukę dawa.  
Uwielbiłem (pry) wszystkie moje sprawy  
Pańskie albo więc ucieszne zabawy  
Miałem. Pałace przepyszne budując,  
Ogrody śliczne sadząc i gotując  
Cożkolwiek oko lubi, co smakuje  
Człeku, i w czym gust i uciechę czuje;  
Wszystkiego sobie pozwolić umiałem  
I kształtnie zażyć, zwłaszcza kiedy miałem  
Srebra i złota mnóstwo niewdane,  
Dostatkow wszelkich zbiory niesłychane,  
Sprzęty nad wszystkich Królów dostatniejsze,  
Muzyki wszelkie i najpocieszniejsze;  
Sług była liczba, koni przytym stada,  
I Trzody zgoła wszystkiego gromada,  
Gładkich Dam kupa, część oblubienice  
Częścią śpiewaczki albo służebnice,  
Wszystkie urodą prawie niezrównaną,  
Także grzecznością niewypowiedzianą;  
Przytym obfitym Państwie niewzroszony  
Spoczynek słodki, pokój ulubiony,  
Nadto w czym koniec jest doskonałości,  
Rozum głęboki i pełen mądrości,  
Ktorej się wszyscy prawie zdumiewali,  
Kiedy umyślnie do mnie przyjeżdżali,  
Aby mię słuchać, gdym o wszech rozmawiał  
Rzeczach, i o nich swój rozsądek dawał.  
To tedy wszystko tak obficie miałwszy,  
Tak wiele dobra szczęśliwie posiadłszy,  
Spytałem się też umysłu swojego  
Jak wiele ma w tym smaku prawdziwego?  
Jakie w tym serca ukontentowanie?  
Jakowy pokój? aż na to pytanie  
Tak mi odpowie, że wszystko marnością,

Obludą krotką i jawną próżnością.  
Zgoła mię, mowl, samo doświadczenie  
Nauczyło, że żadne nasycenie  
W tym być nie może, owszem niesmak skryty  
Przynosi Duszy i pokarm nie syty.  
I wierzajcie mi utęsknienie wszędzie  
Byś wszystko posłał znajdować się będzie.  
To masz dowodnie prawdę powiedzianą,  
I doświadczeniem samymże przyznauą,  
Którą stwierdzili ci wszyscy co mieli  
Świat, a przecie toż o nim powiedzieli.  
Nakoniec jeżeli jeszcze i przykłady  
Nie dadzą w tym ci doskonałej rady,  
Da ją śmierć sama, bo ta pokazuje  
Że człowiek ten Świat daremno smakuje,  
Ponieważ ona wszystko tu odbiera  
Gdy przez nią wszego każdy odumiera,  
Trunna pomlarem rzeczy, a światowe  
Szczęście się wali w ciemności grobowe.  
Czas wszystko niszczy, wszystkie wyniosłości  
Podlegać muszą jego śmiertelności,  
A po coż tedy tych uciech pragniemy,  
Które tak prędko porzucić musjemy?  
Na coż z tak wielką chęcią zdobywamy  
Wszystkiego, gdy tak krotko gościć mamy?  
Czemu nie raczej do inszego wieku  
Gotujemy się, kędy własne człeku  
Szczęście i pokój pewny naznaczony  
Na wieki wieków nigdy nieskończony?  
Jak Macedończyk widząc Syna swego  
Umysłu nadeń daleko wyższego,  
Szukać inszego Państwa rozkazał,  
Bo te, pry, małe które mu zgotował;  
Także nam Dusza mowl, rozumiemy  
A ciało za nią prowadzić umiejemy;  
Precz ztąd pociechy i szczęścia mniemane,  
Ktoreml ludzkie serca oszukane,  
Każdy sam sobie dosyć, gdy obcego  
Nie pragnie, ale zna co ma własnego;  
Gdy doskonale i dobrze uznawa

Jak mu wiele Bóg w nimże samym dawa,  
Kiedy to właśnie swoim być mianuje,  
Na czym sam tylko bezpiecznie panuje,  
To jest nad sobą; to bowiem szeroka  
Włość: to jest władza prawdziwie wysoka:  
Bo sieble prozen, prozen jest wszystkiego  
I serca niema uspokojonego.  
A tak to czynimy aby pożądlwość  
Wszystkę okrzesać, a prawą szczęśliwość  
Położyć w sobie, albo w Bogu raczej  
Bo trudno nabyć pokoju inaczej.  
Przytym kto się chce sposobić do Nieba  
Tak mu na świecie postępować trzeba,  
Jak postępuje będąc zaproszony  
Gość obyczajny; bowiem posadzony  
Na swoim miejscu, nim się kontentuje,  
Co przedzeń kładą powoli kosztuje,  
A nie łakomo łapa, chwyta, słağa,  
I nazbyt chciwie ręki nie wyciąğa,  
Ale dyskretnie co postawlą bierze,  
Trzymając zawsze apetyt w swej mierze,  
A jako prędko będzie po obiedzie  
Syt wstawszy chętnie ku Domowi jedzie;  
Tak też w tym życiu mamy postępować;  
Co komu Bog da tym się kontentować,  
Skromnie nabytych rzeczy używając  
I nazbyt chciwie nic nie pożądując.  
A gdy wstać każą iść nieomieszkanie  
Gdzie Dom prawdziwy, wleczone pomieszkanie.  
Aleć ja nazbyt unoszę się piorem,  
A także kończę ten lichy wiersz, którym  
Chciałem naukę i oraz dowodny  
Dać przykład, jaki ma być rym łagodny.  
Co wywłódziemli, chwalić się nie umiem,  
Atoli przecie podobno rozumiem,  
Ze przeczytawszy przyznają, że i my  
Możem mieć miejsce między Pisorymy.



## MORSZTYNOWIE

Jan Andrzej (1613—1693),

Hieronim (Jarosz), Zbigniew i Stanisław.

Oparta cywilizacyjnie o Zachód, związana przez Kościół z Rzymem Polska już w średniowieczu podlegała silnym wpływom kultury łacińskiej. Wpływy te wzmacniały się w miarę rozwoju kultury rodzimej. Odnaleźć je łatwo zarówno w życiu jak w piśmiennictwie.

Zrzuciwszy z siebie długotrwałe jarzmo łaciny, literatura polska zaczęła zbliżać się naprzód do literatury włoskiej, potem do francuskiej.

Wiemy, że Jan Kochanowski znał dobrze język włoski, że Górnicki tłumaczył Baltazara Castiglione, że dzieła Danta, Petrarcki, Tassa, Ariosta, a z pewnością i Boccaccia nie były obce pisarzom polskim, którzy czas dłuższy spędzili na studiach w Padwie lub Bolonii, wiemy skąd Twardowski czerpał natchnienie, pisząc dźwięczne strofy Dafnis, która »w drzewo bobkowe przemieniała się«, wiemy wreszcie, jak olbrzymi wpływ na poetów XVII-go wieku wywarła »Jerozolima wyzwolona« przekładania Piotra Kochanowskiego.

Ten wpływ włoski, który widzimy przez cały ciąg wieku XVI-go, a który pod panowaniem Zygmunta Staroego, ożenionego z Boną Sforza, i Zygmunta Augusta, wychowanego pod okiem matki Włoszki, dochodził do szczytu,

w wieku XVII-ym zaczyna mieć współzawodnika we wpływach francuskich.

Drugi wielki naród rasy łacińskiej i druga wielka literatura romańska dochodzą do głosu. Język francuski rozpowszechnił się w Polsce, zwyczaj i obyczaj francuski torują sobie z wolna drogi do późniejszych podbojów i triumfów.

Tym razem idą te wpływy z góry, od dworu, od magnatów i szlachty wielkopańskiej.

Początek tych wpływów — mówi prof. Bełcikowski — datuje się szczególnie od przybycia do Polski Marji Ludwiki. Królowej towarzyszyło wielu jej rodaków, którzy wkrótce zapełnili dwór warszawski tak dalece, że Imci pan Jan Chryzostom Pasek skarży się na to w swoich pamiętnikach wcale niedwuznacznymi słowy: »Francuzów — mówi — w Warszawie wlecej niżeli owych, którzy cerberowe rozdymają ognie; pieniądze sypią, praktyki czynią a najbardziej szkodliwe wolności; w Warszawie wielką powagę mają, wielkie triumfy publiczne sprawiają z otrzymanych zwycięstw, choć też nie za prawdziwe, to za zmyślane. Do pokoju królewskiego wnieść zawsze wolno Francuzowi, a Polak musi i pół dnia stać u drzwi... Przeszedłszy na pałac do pokojów królewskich, rzadko obaczyć było czuprynę, tylko głowy jak pudło największe, które aż jasność okien zasłaniały. Ci, którzy to widzieli, sarkali bardzo, że się tak dwór rozmilował w tym narodzie, i już nawet ministrowie podrygali na śpiew francuski; sama tylko wolność polska nie miała w tem upodobania i wszystkim tem pogardała«.

Marja Ludwika przywiozła z sobą także wiele młodych dam francuskich, jaśniejących powabem i dowcipem, które »z właściwą kobietom sztuką, twardych sarmatów na układnych lub sentymentalnych kawalerów przerażały«. Niejedna z tych dam wyszła z zamąż za polskiego pana lub senatora. Wystarczy wymienić za Mecherzyńskim pannę de Béthune, którą poślubił Jabłonowski,

margrabiankę d' Arquien, która wyszła za Zamoyskiego, a powtórny ślubem została żoną Jana Sobieskiego, ową popularną w całej Polsce do dnia dzisiejszego »królową Marysieńką«, a dalej pannę Bessaine za Denhofem, podkomorzym koronnym, pannę de Mailly za Pacem, kanclerzem litewskim i t. d.

Na takim dworze — słusznie zauważa Bęłcikowski — powstać musiała galanterja, pozyskująca względy kobiet, polor zewnętrzny, jakim się wówczas dwór francuski odznaczał, a zwolna również zapuszczała tam swoje korzenie mało znana dotychczas intryga polityczna, oparta o zręczność dyplomatyczną, w której tak bardzo celowali Franzuzi.

Znajomość języka francuskiego stała się odtąd prawie powszechną między panami, a nawet dostawała się w inne warstwy, szczególnie między kobiety, które miały ambicję prędzej czy później zbliżyć się do dworu. Zaczęto też uczyć po francusku we wszystkich ówczesnych szkołach. W r. 1654-ym królowa Marja Ludwika sprowadziła do Warszawy wizytki, a Marja Kazimiera w roku 1668-ym sakramentki. Oba te zakony zajmowały się edukacją kobietą i udzielały jej najwięcej w języku francuskim, stąd panny polskie zapoznawały się wcześniej z literaturą francuską, i to najczęściej lżejszą, co znów nie mogło pozostać bez wpływu na ich obyczajowość, do niedawna w surowe jeszcze ujętą rygory.

Na dworze warszawskim za króla Jana III-go francuzczyzna panoszyła się już bez zastrzeżeń. Sam król, jak wiadomo, dobrze znał język francuski i posługiwał się nim w mowie i piśmie. Listy jego do Marysieńki, pisane czasu wyprawy wiedeńskiej, gęsto przeplatane są zwrotami francuskimi. W stosunkach codziennych język ten rozbrzmiewał także w zamku i w Wilanowie, gdzie służba była w znacznej części francuska. Relacje współczesne stwierdzają zgodnie, że królewicz Jakób nie tylko »nosił się po francusku«, ale był zupełnie sfrancuziałą.

Nie dziw więc, że kapucyn francuski, brat Ange, wygłaszał wówczas w kościele sakramentek kazania po francusku i »zachwycał swoją wymową królestwo i senatorów polskich«.

Coraz częściej też młodzież zamożniejsza szukała poloru we Francji, jak obaj bracia Opalińscy. Coraz częściej też, bawiąc w Paryżu, szlachta polska spotykała się z kszążką francuską i nabierała do niej smaku. Stąd wpływy literackie na pisarzy tego okresu są już wyraźnie francuskie, tem silniejsze, im słabszą była ich osobowość własna.

Jednym z typowych przedstawicieli tej Polski literackiej, która zwolna w drugiej połowie XVII-go wieku zaczynała francuzieć, jest Jan Andrzej Morsztyn, poeta nlewałpliwego i dużego talentu.

Urodzony około roku 1613-go (ściślej daty jego przyścia na świat nle znamy, a prof. Chmielowski przypuszcza nawet, że urodził się dopiero w r. 1620-tym), prawdopodobnie w Krakowskiem lub Sandomierskiem (miejscowość dotychczasowe badania nle ustaliły), z ojca Andrzeja, piszącego się »z Raciborska«, starosty bolnickiego (później podczaszego sandomierskiego) i z matki, której nazwiska panleńskiego nle udało się odszukać żadnemu z biografów poety, Jan Andrzej Morsztyn otrzymał staranne wychowanie.

W jakich szkołach pobierał nauki początkowe, nle wiemy. Bardzo być może, iż uczył się w domu pod okiem dziada macierzystego, Walerjana Otfinowskiego (matka jednak nle była Otfinowska z domu), tłumacza Przemłan Owldjusza i Ziemiaństwa Wergiljusza. Naprowadza na to przypuszczenie własne wyznanie poety, iż »młode« jego »lata piastował« i »drogę do Febowej podał mu lutni« Otfinowski.

W roku 1637-ym, liczący wówczas lat około 24-ch młodzieniec, wraz z krewnym swoim, Stanisławem Morsztynem, wysłany został zagranicę. Zwiedził kolejno

Niemcy, Belgję, Francję i Włochy. Dobrze poznał języki francuski i włoski, nabrał oglądy, a za powrotem do kraju oddany został na dwór Władysława IV-go.

W r. 1645-ym widzimy go w orszaku poselskim Krzysztofa Opalińskiego, wysłanego do Paryża po Marję Ludwikę.<sup>1)</sup>

»Niedostatecznie udowodnionem, ale wielce prawdopodobnem jest przypuszczenie — mówi prof. Piotr Chmielowski — że wpływ dworu francuskiego, na którym panowała galanterja wraz z zamiłowaniem poezji włoskiej, ugruntować musiał w Andrzeju wrażenia, odebrane w poprzedniej podróży zagranicznej, a zbliżenie się do Marji Ludwiki i jej fraucymeru podały mu sposobność wypróbowania i okazania w praktyce swego zamiłowania do tego trybu życia i do tych upodobań, jakie popłacały wśród wykształconego towarzystwa francuskiego.«

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że na dworze francuskim poznał Morsztyn wielu ludzi i przyjrzał się zbliżka wielu sprawom, wchodzącym zwłaszcza w zakres ówczesnej dyplomacji. Z natury bystry i spostrzegawczy, czasu nie zmarnował, a gładki i miły, potrafił za powrotem odegrać w otoczeniu Marji Ludwiki rolę zaufanego królowej przyjaciela, dzielącego jej poglądy polityczne.

Młody i wytworny dworzanin królowej cieszył się też z pewnością względami jej dam dworu. Stwierdzają to liczne jego poezje miłosne, wśród których wyróżniają się zwłaszcza utwory do niejkiej »Kasi«, bardzo być może, że pisane do złotowłosej panny Katarzyny Gordon de Huntley, Angielki, przybyłej do Polski w orszaku królowej Marji Ludwiki. Prof. Chmielowski wątpi jednak o tem z uwagi, że panna Gordon de Huntley została później małżonką poety, była to więc miłość poważna, nie o charakterze zabawki erotycznej, w której stylu utrzymane

---

<sup>1)</sup> Zobacz zeszyt 23 p. t. Opalińscy.

są wiersze do Kasl, Jagnieszki (Kromerówny), pięknej mieszczki i zgoła tajemniczej Zosi.

Za Jana Kazimierza, około r. 1653-go otrzymał Morsztyn urząd stolnika sandomlerskiego, w r. bowiem 1653-im już jako stolnik sandomierski posłował na sejm brzeski, gdzie »wybrano go na deputata do pisania konstytucji« (Chmielowski).

W roku następnym wyjechał z polecenia króla do Szwecji, ażeby oświadczyć nowoobranemu Karolowi Gustawowi, iż stosownie do jego i stanów szwedzkich życzenia, przybyć ma wkrótce poselstwo polskie z zupełną mocą porozumienia się z królem.

Wyjazd nastąpił jesienią r. 1654-go z Grodna. Podróż była jednak niefortunna. »Nie powiodła się Morsztynowi droga — opowiada Rudawski. Przebył Inflanty lecz na morzu rozbił się okręt, na którym żeglował, i za ledwie zapomocą jakiejś deski, do której się przywiązał, uniknął śmierci«.

W Sztokholmie bawił sześć miesięcy, lecz nie został nawet przypuszczony do króla, gdyż na liście przywiezionym do Karola Gustawa opuszczono coś z tytułów, do których król szwedzki rościł sobie pretensje. Bez posłuchania więc powrócił Morsztyn do kraju na wiosnę 1655-go roku.

Szczegółów, dotyczących udziału Morsztyna w nieśczęsnej wojnie, która niebawem po tem poselstwie wybuchła, nie znamy. Wiemy tylko, że w jej trakcie, w roku 1656-go jeździł w misji dyplomatycznej do Wiednia i do Frankfurtu, bez skutku jednak pomyślnego.

Dopiero od r. 1658-go mamy znów szczegółowe dane o działalności politycznej poety.

Jest on już wtedy (prof. Chmielowski) referendarzem wielkim koronnym, starostą kowalskim i zawichojskim. Na sejmie warszawskim (1658 r.) wchodzi w skład komisji do uporządkowania mennicy; w roku następnym należy do komisji, mającej prowadzić układy ze Szwecją, prócz tego powtórnie bierze udział w komisji menniczej

W tym samym roku znajdujemy między innymi i jego podpis na warunkach kapitulacji Torunia. Na początku r. 1660-go, w gronie najpierwszych dygnitarzy, jak Jerzy Lubomirski, obaj wielcy kanclerze, Prażmowski i Pac, wojewoda poznański Jan Leszczyński i podskarbi nadworny Władysław Rey, układał warunki przedugodne pokoju oliwskiego. W poglądach swoich politycznych siedł Morsztyn bez zastrzeżeń za dworem królewskim i należał do stronnictwa, zwanego francuskim, mającego na celu wzmocnienie władzy królewskiej, ujęcie w karby niesfornego żywiołu wśród szlachty i zapobieżenie niebezpieczeństwom elekcji przez wybór nowego króla (Kondeusza) za życia jeszcze Jana Kazimierza.

Kierowniczką tego stronnictwa, jego głową i duszą była Marja Ludwika. Starła się ona pozyskać dla swych celów jak najwięcej zwolenników. Jednym z takich, których najbardziej chciała mieć przychylnym dla swoich planów, był Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny, magnat dumny a wielce wpływowy, późniejszy rokoszaniec, smutnie w dziejach Rzeczypospolitej zapisany.

Morsztyn znał marszałka oddawna i żył z nim w przyjaźni, zjednoczył się z nim jednak jeszcze silniej, skoro Lubomirski zobowiązał się popierać przedsięwzięcie królowej.

W czasie, gdy sprawa elekcji Kondeusza przygotowywała się, Morsztyn, jako jeden z najbliższych i najpopularniejszych powierników królowej, pośredniczył pomiędzy dworem a Lubomirskim, popierając z jednej strony interesy marszałka u królowej, z drugiej zaś starając się go nakłonić do szczerego współdziałania w przeprowadzeniu jej planu. Usługowania jego okazały się jednak bezskutecznymi. Lubomirski, sam żądny popularności i władzy, wyszukując niezadowolenie szlachty, krzyczącej, że dzieje się gwałt jej wolności, i zasłaniając ową prywatę głośną obroną praw ojczyźtych,<sup>1)</sup> stanął oporem względem pla-

1) Zob. Wespazjan Kochowski.

nów królowej, podniósł rokosz i zakończył swą opozycję smutnej pamięci zwycięstwem pod Montwami (1661-go r.).

Jak się zachował Morsztyn podczas tego rokoszu — nie wiemy. Wolno jednak domyślać się, że oddany królowej, pozostał wiernym polityce dworu. Nadto, znając Francję i przypatruwszy się zbliżająca jej rosnącej potęgę, musiał mieć wyrozumowany pogląd na znaczenie władzy królewskiej. Francuskie przecież zasady i idee chciał w Polsce zaszczerpić i urządzić ją według mądrości Richelieu'go. Nie mógł przeto popierać oligarchicznych zamierzeń Jerzego Lubomirskiego.

W roku 1667-go Morsztyn wyprawiony został do Francji z prośbą o posilki na grożącą wojnę z Turcją. Na czele tych posilków stanąć miał sam książę Kondeusz, który, przybywszy do Polski, zamierzał przekupić dla swoich celów konfederację wojska polskiego i przy jego pomocy siłą poprzeć swoją elekcję. Zamach ten nie udał się atoll. Sejm odrzucił z oburzeniem projekt obcej interwencji. Poselstwo Morsztyna spełzło więc na niczem.

Niebawem potem stronnictwo francuskie w Polsce poniosło dotkliwą stratę: umarła królowa. Morsztyn działał jednak dalej sam. W czerwcu tegoż roku zjechał na sejmik relacyjny wielkopolski. Szlachta wielkopolska, zebrana na tym sejmiku, a o jego imprezie francuskiej na rzecz Kondeusza powiadomiona, wystąpiła przeciwko niemu ostro, obrzuciła go obelgami, a może nawet, jak przypuszczają niektórzy, znieważyla go czynnie.

Nie przeszkodziło to jednak panu referendarzowi do otrzymania godności podskarbiego w. koronnego i do rozwinięcia na tem stanowisku dalszej akcji na rzecz Francji. Popierał go dawni zwolennicy i przyjaciele Marii Ludwiki: prymas Prażmowski, hetman w. kor. Sobleski, podkanclerzy Olszowski, kanclerz litewski Pac, wojewoda ruski Jabłonowski i in. Powodzenie atoll nie towarzyszyło planom Morsztyna. Kondeusz na sejmie elekcyjnym 1669-go roku wykreślony został z listy kandydatów,



królem zaś obwołany został Michał Korybut Wiśniowiecki Stronnictwo francuskie poniosło wyraźną klęskę, nie skapitulowało przecież i tym razem. Zainicjowało ono opór przeciw królowi, wysługując się w ten sposób w dalszym ciągu widokom dworu francuskiego. »Duma magnacka i politykowanie na własną rękę — mówi prof. Chmielowski — przybrały rozmiary ogromne. Morsztyn jako podskarbi odmawia wydania klejnotów koronnych na koronację królowej, łączy się z tymi, co chcieli przeprowadzić detronizację Wiśniowieckiego i ofiarować tron księciu de Longueville, i w tym celu wyjeżdża do Francji«. Rzec się jednak ujawnia. Sąd sejmowy pozywa Morsztyna i Grzymułtowskiego. Grzymułtowskiemu jednak król pozwala odprysnąć się. Sprawa zaś Morsztyna ulega zaniedbaniu, ponieważ nie dopełniono pewnej formalności prawnej.

Po śmierci króla Michała Ludwik XIV-ty zrezygnował już z osadzenia na tronie polskim którego z księżąt francuskich, postanowił natomiast użyć całego swego wpływu na przeprowadzenie elekcji ks. neuburskiego albo przynajmniej na udaremnienie zabiegów ks. lotaryńskiego jako kandydata, popieranego przez Austryę. Jako najlepszych popieczników »król-słońce« wskazał posłowi swemu, Forbin'owi de Janson, Sobieskiego i Morsztyna, którym już oddawna, tak jak i innym stronnikom francuskim w Polsce płacił znaczne pensje. Morsztyn pobierał ze skarbu francuskiego 9.000 liwów rocznie.

Znów jednak plany francuskie nie urzeczywistniły się. Wprawdzie ks. lotaryński istotnie królem nie został, ale i kandydatura ks. neuburskiego upadła z kretesem. Na tronie zasiadł Jan III Sobieski — przyjaciel Francji, który jednak rychło przechyla się na stronę Habsburgów.

Morsztyn pozostaje atoli wiernym swojej dawnej linii politycznej i w dalszym ciągu pobiera liwry francuskie. Co więcej, bez pozwolenia króla przyjmuje urząd

sekretarza Ludwika XIV-go i składa na urząd ten przyszłą. Odtąd stale donosi królowi francuskiemu, co dzieje się w Polsce i zapewnia go, że choć cały dwór Sobieskiego oświadczył się przeciw Francji, to jednak stronnictwo francuskie może rachować na prawie pewne powodzenie. W jednym z listów prosi też Ludwika XIV-go o pozwolenie poślubienia córki swej staroście malborskiemu, Bielińskiemu, obiecując stąd »wielki dla Francji pożytek«.

Listy te zostały przejęte. Wytoczono Morsztynowi sprawę i dowiedziono mu z drady stanu (r. 1683-go). Podskarbi upokorzył się wówczas i błagał o przebaczenie.<sup>1)</sup>

Król, zasięgnąwszy rady Senatu, »submisję« tę przyjął pod następującymi warunkami: że Morsztyn sejmku rwać, jako się Francji zobowiązał, nie będzie; że klucz do zrozumienia swoich cyfrowanych listów w przeciągu ośmiu tygodni przedstawi, że na usługę Rzeczypospolitej kilkuset ludzi wojennych swoim kosztem da; że klejnoty, bez wlewy Rzplitej zabrane i zastawione, wykupi i zwróci, że we wszelkich wątpliwościach, odnoszących się do rachunków skarbowych, stanom Rzplitej zadość uczyni, wreszcie, że urząd podskarbiego złoży.

Morsztyn, upokorzony tem wszystkim, nie widząc już dla siebie pola działania w kraju a rozmiłowany we Francji, wyniósł się z Polski i osiadł w drugiej swojej z wyboru ojczyźnie, gdzie już był dawniej, może w przewidywaniu katastrofy, znaczne dobra koło Paryża zakupił.

Tak skończyła się jego karjera polityczna. Odtąd o jego osobie nic już więcej nie wiemy. Tyle, że przybrał od dóbr swoich we Francji nazwisko hr. de Chateau-Vilain, że syn jego był generałem francuskim (zginął w bitwie pod Namur), a córki powychodziły za mąż w Polsce. Jedna z nich, Izabela, była żoną Kazimierza Czartoryskiego, kasztelana wileńskiego, a stąd babką późniejszego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

<sup>1)</sup> Zob. L. Siemieński »Andrzej Morsztyn«, Dzieła, tom III.

Umarł Jan Andrzej Morsztyn we Francji dnia 8 stycznia 1693-go roku, w lat dziesięć po hańbiącej dla siebie sprawie o zdradę stanu.

O ile jednak pamięć jego jako polityka i dyplomaty, mimo niezaprzeczonych w tym kierunku zdolności, ma na sobie czarną, nie do zatarcia plamę, o tyle pamięć jego jako poety, wyobcowanego z ojczyzny, powróciła go ona na jej łono i zapisała w poczet mężów, piśmiennictwu polskiemu rzetelnie zasłużonych.

Przyjrzyjmy się bliżej twórczości tego sfrancuziałego i Francji zaprzedanego Polaka, dworzanina królowej Marii Ludwiki i wiernego sługi Ludwika XIV-go.

Zbieg okoliczności — zaznacza prof. Bełcikowski — wyrządził Morsztynowi (nie jemu jednemu zresztą) tę krzywdę, że jego wiersze, przygotowane już do druku ugrzęzły gdzieś w zapomnieniu i przez dwa wieki świat o nich nic nie wiedział, nie znając tym sposobem najznakomitszego, obok Wacława Potockiego, poety XVII-go wieku.

Za swego życia Jan Andrzej Morsztyn znany był jedynie z dwóch przekładów.

Roku 1661-go odbywał się sejm w Warszawie, po świeżo ukończonych długich i uciążliwych wojnach. Król był w dobrym humorze i wszyscy cieszyli się, że nareszcie odetchną w spokoju. Należało uczcić tę nową erę jakąś zabawą uroczystą i dworzanom królewskim przyszło na myśl, ażeby »zagrać teatr«, na którym zwykle w owe czasy popisywali się w stolicy sami tylko Włosi i Francuzi. Ta myśl musiała się szczególnie podobać Morsztynowi, który »miał w sobie wiele skłonności artystycznych i z muzami już się wtedy na dobre pobratał, bo całą księgę swych miłosnych pieśni miał w rękopisie« (Bełcikowski). Wzjął się zatem rączy do wykonania planu i przetłumaczył »Cida albo Roderika, komedję hiszpańską« znakomitego Kornela. Wybór ten świadczy zaszczytnie o smaku poetyckim tłumacza, utwór ten należał bowiem do najpiękniejszych utworów epiki.

Dworzanie królewscy przybrali się w kostjomy grandów hiszpańskich i w obecności Ich królewskich mości na zamku warszawskim odegrali »Komedję hiszpańską«. Morsztyn nie zapomniał dodać do niej na początku prologu, w którym Wisła, wystąpiwszy na scenę w stroju symbolicznym, »śpiewała pochwałę obecnym króla i królowej«.

Nieco wcześniej napisał Morsztyn, a raczej naśladował z Apulejusa i włoskiego poety Marini'ego,<sup>1)</sup> pod którego silnym pozostawał wpływem, poemat mitologiczny p. t. »Psyche«.

Te dwa utwory, łącznie z »Hipopitem« Seneki i »Andromachą« Rasyna, z francuskiego, przełożoną przez Stanisława Morsztyna, wyszły z druku w r. 1696-tym, a więc w trzy lata dopiero po zgonie Andrzeja.

Przedmowa (»Typograf do czytelnika«) wskazuje wyraźnie na »Jaśnie Wielmożnego I. M. Pana Andrzeja Morsztyna, referendarza na ten czas, a potem podskarbiego wielkiego koronnego«, jako na tłumacza »Psyche« i »Rordrika« i zaznacza, iż był to »człowiek we wszystkim incomparabilis« (niezrównany).

Pozostawiając czytelnikowi do osądzenia, że to, co mu zostało ofiarowane, »godne jest pilniejszego oka«, »Typograf« zwraca jeszcze uwagę na to, iż daje do druku to, co »autorowie dla siebie tylko i prywatnych przyjaciół napisali«.

Istotnie, ówczesna elita literacka bynajmniej nie kwapiła się do drukowania książek. Wychodziło ich coraz mniej i coraz mierniejsze. To, co wyższą posiadało wartość, pozostawało najczęściej w rękopisach nieraz przez dziesiątki, a czasem i przez setki lat.

Tak się stało i z poezjami Jana Andrzeja Morsztyna.

»Kaniukę albo psią gwiazdę«, pochodzącą z roku 1647-go wydał dopiero po raz pierwszy w całości Jan

1) Zob. »Zimorowice«.

Komierowski w Poznaniu w r. 1844-tym i to mylnie, jako »Poezje Zbigniewa Morsztyna«.

»Lutnię« z r. 1661-go ogłosił dopiero w r. 1875-tym — i to częściowo — w Rozprawach wydz. filologicznego Akad. Umiejętn. w Krakowie, Wł. Seredyński p. t. »A. Morsztyna niewydane poezje«.

Nawet przekład komedji pasterskiej Tassa p. t. »Amyntas«, ujrzał światło dzienne dopiero w r. 1840-tym w Berlinie, dzięki A. Nowakowskiemu (prof. Korbut), mimo że wiek XVIII-ty znał i cenił Morsztyna właśnie jako tłumacza; snadniej więc, niż na jego oryginalne poezje, mógł być zwrócić uwagę na dobrze spolszczonego Tassa, popularnego już w Polsce od wieku XVI-go dzięki »Jerozolimie wyzwolonej«. Nas, przeciwnie, przekłady obchodzą mniej, a jeżeli zatrzymujemy się tu chwilę nad niemi, to dlatego, że nie brak tam i własnych wkładów tłumacza. Dotyczy to przedewszystkiem poematu p. t. »Psyche«.

Jaka jest jego geneza?

Oto, jak już wlemy, epizod z wielkiego poematu Marinięgo p. n. Adone wdziękiem swym zachęcił Morsztyna do przeróbki poetyckiej, która otrzymała nazwę »Psyche«.

Treść tej powieści poetycznej, mającej już poprzedniczki swoje w naszej literaturze (Twardowskiego »Dafnis«), osnuta jest na starogreckiem podaniu o miłości Erosa do pięknej ziemianki, Psychy. Ani Marini, ani Morsztyn nie pomyśleli jednak o zachowaniu barwy greckiej w swoich opowiadaniach.

Z treścią, przekazaną nam przez Apulejusza, postąpił tak jak z każdą inną, jakiegokolwiek czasu i miejsca dotyczącą, t. j. dowolnie mieszając pojęcia chrześcijańskie z pogańskimi, starożytnie z nowożytnymi i popełniając wskutek tego zgoła zabawne anachronizmy.

Ani miejsce, ani czas nie są w tym poemacie ściśle oznaczone. Rzecz dzieje się wszędzie i nigdzie — w »odle-

głych krajach a królewskim domu«. Z trzech królewien najmłodsza, jak w każdej bajce, jest »najudatniejsza i najgładsza, tak dalece, iż piękność jej opisać byłoby niepodobieństwem. Dla jej oglądania zbiegają się »i cudzoziemskie i bliższe narody«, a nieustraszeni długą podróżą »sławni malarze, subtelni snycerze« zjawiają się na dworze królewskim, ożywieni pragnieniem wyrażenia tej »boskiej gładkości« »na płótnie, w kamieniu i na papierze«. Niestety, pędzle i dłota wypadają im z »otrętwiałej ręki«, gdyż podolać zadaniu nie mogą. Piękność Psychy przenosi ich zdolności odtwórcze, a środki artystyczne, któremi rozporządzają, są niczem wobec doskonałego dzieła natury.

Rozgłos o cudownej urodzie wyjątkowej ziemiarki poszedł na wszystkie kraje i ogarnął wszystkie ziemie. Siedziby bogini Wenery, »Pafos pusty i Amatont cichy«, Gnid i Cytera opustoszały, bo wszyscy szli składać hołdy nowemu bóstwu.

Wenera, rozgniewana tem, poprzysięga zemstę »ll-chej białej głowie«, która współzawodniczy z nią, kusząc się o wygraną. Na syna chce włożyć obowiązek pomśzczenia matki, ale długo napróżno poszukuje Amora (Erosa), który gdzieś zginął bez wieści. W poszukiwaniu go udaje się do Grecji, potem do Turcji, Włoch, Niemiec, Anglii, Francji, wreszcie przybywa do Polski, dokąd, jak się okazało, Kupidyn »zwałtony, bez sił, bez ochoty, na odpoczynek odważył się z nową zjechać królową«.

Tu, w ogrodzie pałacowym Wenera zastaje syna w orszaku królowej Marji Ludwiki:

»Zadziwiała się; nie wie, czy na ziemi,  
Widząc królową, czy stanęła w niebie.  
Nie śmie jej równać z duchy niebieskiemi,  
Wyżej ją kładzie bogiń, wyżej siebie,  
I zwyciężona blaski niezwykłemi  
Urodę własną poniża i grzebie,  
I mówi, tłumiąc swe zazdrości ciche:  
Podobność to ja? podobność to Psyche?«

Tu następuje szczegółowy, na wskroś panegiryczny, ale pełen dworskiej galanterji opis zalet królowej i jej fraucymeru, włożony w usta Amora.

Przedmiot to był dla bożka miłości tak »miły«, że nieprędko skończyłby z pochwałami, gdyby Wenera, mająca ciągle na pamięci swoją współzawodniczkę, nie wyprowadziła była syna z »królewskiego sadu«.

Uczyniwszy to, opowiada mu o obrazie i krzywdzie, jaką wyrządziła jej »Psyche« i prosi, aby za karę za to »związał ją z brzydkim chłopem w tęskne śluby«.

Amor oblecał — lecz stało się inaczej. Oto, ujrawszy Psychę, »skamieniał z podziwu« i uczuł nieprzezwykłą żoną dla niej miłość. Psyche była dotychczas dziewicą, lubo jej dwiemniej piękne siostry — oddawna wyszły za mąż.

Ojciec, zaniepokojony o los córki, radzi się wyroczni, która każe mu wywieść ją na skałę nadmorską, gdzie mężem jej ma być potwór »skrzydlaty, co krew pije, serca dziobie, pali, zabija, bogów wzgardza wściekle, straszny na ziemi, w morzu, w niebie, w piekle«.

Ojciec spełnia w żałobie i smutku rozkaz wyroczni, uważając najpiękniejszą z córek swych za straconą. Allści owym »potworem« z bajki jest Amor. Zostaje on małżonkiem Psychy, zastrzegając sobie, iż żona nie będzie mogła zobaczyć go nigdy przy świetle i że nie będzie go śledziła. Psyche warunki te przyjmuje i przez czas jakiś jest niewypowiedzianie szczęśliwą, lecz siostry, zazdroszcząc jej losu, obudzają zresztą w jej duszy podejrzenie i skłaniają do zamiaru zabicia niewidzialnego męża, którego wystawiają jako potwora, co ją wcześniej lub później poźre.

Psyche idzie za ich radą i w nocy z pugnałem i lampą zbliża się do śpiącego Kupidyna. Nagle staje olśniona cudem piękności i pełna skruchy, żałuje swego »lekkiego postępk«, ale — kropla oliwy gorącej z jej lampy pada na ramię Amora, budzi go i zmusza do odlotu.

Zrozpaczona Psyche chce śmiercią boleść swoją skrócić i rzuca się do wody. Fala składa ją jednak na murawie, na drugim brzegu potoku, żywą i jeszcze bardziej zrozpaczoną.

Odtąd rozpoczyna się eksploacja Psychy, jej wędrówka, podjęta za radą satyra, celem przejednania bóstw zagniewanych pokorą i prośbami. Jednocześnie Psyche pragnie zemścić się na siostrach, które ją do złego namówiły i stały się przyczyną jej nieszczęścia.

Zmyśla tedy opowiadanie, jakoby Amor, pogardziwszy nią, przeznaczył szczęście naprzód jednej, potem drugiej siostrze. Po kolei jedna i druga, udawszy się na ową skałę nad morzem, gdzie Psyche swój młodowy spędziła okres, giną tam w mękach straszliwych. Niepocięszona małżonka Amora poszukuje go tymczasem po różnych krajach, unikając starannie mściwego pościgu Wenerę. W nieszczęściu błaga o pomoc Cerery, ale ta zamyka przed nią swoją świątynię. Odepchnięta przez wszystkich postanawia wreszcie sama udać się do Wenerę i błagać ją o litość. Wenus odpowiada na jej błagania nielitościwem pastwieniem się nad nią, a następnie zadaje jej różne roboty, pewna, że Psyche ich nie wykona. Naprzód więc z kupy zmieszanego ziarna każe jej wybrać i ułożyć w osobne rzędy różne gatunki zboża, potem naskubać szczerozłotej wełny z dzikich, okrutnych baranów, następnie zaczerpnąć wody »śmiertelnej« z źródła na wierzchołku niedostępnej skały, wreszcie, przynieść od Prozerpiny »blelidła, którem się piękna Plutonowi czyni«.

Wszystkie te prace przy pomocy mrówek, trzciny, orła i wieży, namówionych przez Kupidyna, Psyche wykonywa szczęśliwie. Tylko gdy niesie ów kosmetyk z piekła, zdejmuje ją ciekawość, chce go zobaczyć i jak prawdziwa kobieta włąć sobie trochę. Wtedy traci zmysły i zasypia snem nieprzespanym. Budzi ją jednak ze snu tego Kupidyn i dodaje odwagi, aby szła przebłagać We-



nerę. Sam zaś sprawę swą opowiada Jowiszowi i wyprasza jego zezwolenie na wzięcie Psychy do nieba i uznanie zawartego z nią małżeństwa.

Poemat kończy się wzmlanką o godach w niebie i o powiciu przez Psychę córki »okrzczonej (tak!) Roskoszą« (prof. Chmielowski). Stosunek utworu Morsztyna do utworu Marini'ego oraz do apulejuszowego pierwowzoru gruntownie zbadał prof. Nehring, ustalając, że najglówniejsze dopełnienia własne poety polskiego są w tem miejscu, gdzie Morsztyn opowiada o poszukiwaniu Kupidyna przez Wenerę (strofy 26—54). Inne dodatki są krótsze, np. strofa 68, 91, 178, 220, 291, świadczą jednak, że poemat Morsztyna, mimo zaczerpniętego skądinąd tematu, należy do poezji polskiej w stopniu bez porównania większym niż przekład »Amyntasa« lub »Cida«.

Przedewszystkiem jednak chlubaą tej poezji są pieśni liryczne pana referendarza, czasu wczesnej młodości napisane. One to oparły się niszczącemu działaniu czasu i one to stawiają nam przed oczy żywą i zajmującą dziś jeszcze postać Morsztyna.

Znamy dwa ich zbioru: »Kankulę albo Psią gwiazdę« (1647) i »Lutnię« (1661), »posłaną po kolędzie J.E.M. Panu Łukaszowi ze Brna Opalińskiemu, marszałkowi nadwornemu koronnemu etc.«

Skąd taki tytuł dziwny pierwszego zbioru: »Kankula albo Psia gwiazda«? Miał poeta do tego, aby tak utwory swoje zatytułować, słuszny powód — tłumaczy prof. Bełcikowski.

»Namiętnością bowiem i gorącą miłością pałało wówczas jego serce, a niebo zsyłało żar i spiekotę na jego głowę. Cierpienia moralne i fizyczne, wywołane temi dwoma pożerającemi go ogniami — to treść tego cyklu jego pieśni i piosnek. Pałące oczy kochanki i niemiłej pałące słońce — to powody jego utrapień i źródło jego natchnienia. Serce w nim gore i wszystko gore dokoła:

»To mi nad głową przykrym ogniem świeci,  
To mi młodości płomień w sercu nieci.«

»Poeta cierpi w tej podwójnej walce, a przecież znajduje w niej rozkosz. Ucieka przed słońcem do chłodu, a błogosławi trwałej pogodzie, która mu pozwala często widywać kochankę; namiętność burzy spokój jego duszy, a przecież jest dla niego nektarem bogów.«

Nastrój poety w tym cyklu pleśni — czytamy dalej — jest przeważnie lekki, swawolny, częstokroć nawet lubieżny, ale namiętność, choć najgorętsza, obok swawolnego uśmiechu i wesołego płasania ma drugą jeszcze stronę — poważną i głęboką. Jak każde gwałtowne uczucie nie może się ona ślizgać po powierzchni, bez sięgnięcia do dna duszy i poruszenia innych, spoczywających tam potęg. To też namiętność poety uszlachetnia się tutaj często naiwną, czułą sielankowością, a nawet cierpieniem serca. Ten sam człowiek, w którym kochanka swym strojem, powabami rozbudza zmysłowość i rozstraja duszę, przemienia się w cichego wielbiciela i sługę, zadowolonego tem, że może razem z wybraną swoją odychać jednym powietrzem, podziwiać świeżą zieleń drzew i przysłuchiwać się szemrzącemu strumykowi, jak arkaadyjski pastuszek ze swoją Dafnis lub Amaryllą. I w tym samym znów człowieku odzywają się smętne, melancholijne dźwięki czułości niby echo bólu, jaki spoczywa w głębi serca.

Tę głębszą, niszczącą siłę namiętności skreślił poeta niepospolicie w wierszu p. t. »Jedwabnica«:

»Patrz, Kasiu, jako gdy ciepła panują,  
Jedwabną przedzę robaczkowie snują,  
Jak żyją liściem, jak gęste osnowy  
Puszczając, domek gotują grobowy.  
To ja tak robię właśnie bez przestania  
I kręcę głową do zmroku z zarańca,  
Liściem się karmię, niepewny nadzieje,  
Które twój wietrzyk niełaski rozwieje.

Z myśli i z żądze nawinąwszy przedzę,  
Różne z niej nici dowcipem swym pędzę  
I w tem dumaniu tak się bardzo topię,  
Że trumnę sobie kuję i grób kopię«.

Nie dziw, że prof. Bełcikowski widzi w tym i w innych utworach miłosnych Morsztyna ton romantyczny, wyprzedzający bezmała o dwa stulecia romantyzm XIX-go wieku.

Istotnie, w odczuwaniu spraw miłosnych Morsztyn jest w poezji polskiej nowatorem. Nikt przed nim i długo jeszcze nikt po nim nie umiał tak kochać, nie umiał tak niepodzielnie oddawać się jednemu tylko uczuciu. Na tle czasu, który pochłonięty był przedewszystkiem sprawami politycznymi i którego cała literatura nosi wyraźne piętno polityczne, ten płomienny krzyk serca i ten pożar zmysłów Morsztyna są zjawiskiem wysoce interesującym. Oczywiście, kultura włoska i francuska zrobiły tu swoje. Dworzanin królowej Marji Ludwiki był niewątpliwie w uczuciach swoich łatwiej pobudliwym i jednocześnie znacznie subtelniejszym od pierwszego z brzegu szlachcica o typie współczesnego mu Imć Pana Jana Chryzostoma Paska, bawiącego się zamłodu po rycersku i opłakującego szczeremi łzami raczej śmierć ulubionego deresa niż rozstanie się z jakąś przygodnie spotkaną Jagnieszka lub Zosią. Gdy tymczasem pan referendarz wielki koronny mniej był zajęty wojną i łowami, a w wolnych chwilach zamiast gładzić futro oswojonej wydry, wołał z pewnością towarzystwo dam dworu królowej, chętnych do romansu z urodzonym dyplomata, który wiele świata widział, niejedną przygodę miłosną miał za sobą, a nade wszystko umiał wytwornym i gładkim rymem uczucia swoje wypowiadać.

Nie był też w wypowiedzaniu tych uczuć skąpym. Świadczy o tem jego »Lutnia«.

I tu przeważa — mówi Bełcikowski — ton głęboko namiętny, lubo nie brak także wierszy, których główny

wdzięk stanowią galanterja i dowcip, będące drugą cechą poezji Morsztyna, cechą uboczną jednak w porównaniu z miłością.

Autor »Lutni«, tak samo jak autor »Kanikuły« kocha z całym zaparciem się samego siebie. Szczęście i los jego zawisłe są od woli i współczucia kochanki. Cała jego osobistość poddana jest pod idealną władzę miłości. Uskarża się na swoje oczy, że patrząc na przedmiot ukochany, powiększają jego boleść; odsyła kochance wachlarz, bojąc się, że mu ją za często przypominać będzie; lęka się jak strzały z łuku Kupidyna — »iglicy« z jej włosów; zadowala się zeschniętym kwiatkiem jako pamiątką i chciałby nawet pokryć tajemnicą swe uczucie, jakby wstydząc się, że mu zanadto górę nad sobą wziąć pozwolił. Nawet galernikom zazdrości losu, wołając:

»Wam ręka tylko, a mnie dusza mdleje«.

Co wleceją, uczucie jego podnosi się nieraz do idealnego uwielbienia, jak w wierszu »Do panny«, gdzie kochankę nazywa obrazem bóstwa, jasną gwiazdą, przezrystą duszą, w kryształach zamkniętą.

Czasami znów, zdaje się, że słyszymy głos romantycznego marzyciela, który, przeszedłszy wszystkie szczyble uczucia, wyczerpawszy je do dna, kończy na apatii i wewnętrznej próżni, będącej nieznośnym stanem śmierci za życia:

»Wzdychałem naprzód, srogą ścisłony tęsknością,  
Potem sobie i łzami serce ulżywało;  
Teraz, gdy mi obojga tego już nie stało,  
Tleję w węgiel — a jeśli nie spojrzysz wesołem  
Okiem, w małej się chwili rozsypię popiołem«.

»Aul Werter, ani Gustaw z »Dziadów« dalej nie zasli« — komentuje ten wiersz Belcikowski, uważając, że »jest to najwyższy kres miłości, bo oddanie siebie w posiadanie drugiej istocie«.

W wierszu p. t. »Stan« jeszcze lepiej uwydatnił poeta tę potężną władzę miłości nad sobą:

»Pytasz, jak się mam? co za moje życie?  
Takie, jak ty chcesz. To jest mianowicie  
Żalości pełne, clemnością nakryte,  
Głodne pokoju i w troski obfite,  
Skąpane we łzach, stałe w złym humorze,  
Cichsze niżli noc, burzliwsze niż morze« i t. d.

Tak Morsztyn w różny sposób przebiega całą skalę miłości, a na jego palecie poetycznej nie brak żadnej barwy do odmalowania tego uczucia. Rozkosz i czułość, swawolny żart i tęsknota, boleść i niezakłócona namiętnością swoboda igrają tu na przemian<sup>1)</sup> jak kolory tęczy, w które rozpryskuje się jeden słoneczny promień miłości. Poeta zaznajamia nas przytem z najdrobniejszemi nieraz szczegółami swego romansu i wtajemnicza nas w arkana swych dziejów miłosnych. Nie brak tu nawet i »odwrotnej strony medalu«: poeta kocha czule, z całą siłą namiętności, ale kochanka go zdradza, przynosi nad miłość pieńdźdze i oddaje swe uczucia innemu. Wtedy w pokornym jej słudze i uległym wielbicielelu z równą potęgą wybucha pogarda i nienawiść, tem większe, że były niezasłużoną odpłatą za ofiary, poniesione z całej duszy.

Dwa są wiersze tej treści: »Do wiarołomnej« i »Miłość zerwana«.

Ten drugi <sup>1)</sup> uważa prof. Bełcikowski za »arcydzieło w swoim rodzaju z powodu stylu i głębokiej prawdy psychologicznej« i dodaje, że »pomiędzy najpiękniejszemi utworami nawet najnowszych poetów mało zapewne dorówna mu siłą wyrażenia«.

Jest w tym entuzjazmie trochę przesady, nie da się jednak zaprzeczyć, że nie tylko wymienione wyżej utwory Morsztyna, ale i wiele innych jego pieśni odznacza się prawdziwem pięknem.

<sup>1)</sup> Zob. Wypisy.

Biorąc to pod uwagę, możemy powtórzyć za prof. Bełcikowskim, że »język miłości muzie polskiej pierwszy raz się w Morsztynie rozwiązał«, że »pierwszy raz (przez niego) osobiste uczucie podniesione zostało na piedestał«. Nie kto inny bowiem, lecz Morsztyn pokazał, że »jest ono potęgą, która może ogarnąć i przytłumić nawet inne władze ducha ludzkiego, zniścić go namiętnością i doprowadzić do tego, że ten ogień wypali wewnątrz ludzkie i uczyni w niem próżnię, jeśli go nie przygasi wzajemność i spełnienie życzeń.

Być może, iż kogoś razić będzie swawolna nieraz fantazja poety, ale »w tym punkcie — słusznie zaznacza Bełcikowski — nie obwiniajmy samego Morsztyna: część grzechu trzeba także na karb wieku położyć. Niebardzo od polskiego śpiewaka miłości co do czasu odległy Tasso, ów prototyp idealnego kochanka, często grubo nakładał farby na odmalowanie zmysłowości. Świat ówczesny żądał tego od poetów, a cielesność była niejako miarą siły ich imaginacji, bo, jak Morsztyn pisze do pani Lejowej, starościny małogoskiej:

»I wiersz niedobry, kiedy nie swywolny«.

Trudno mu zresztą poczytywać za winę, że nie chciał być jednostronnym i skreślił rzecz we wszystkich jej od-cieniach. Upodobanie do tego panowało już wówczas szczególnie w wyższych warstwach, tak jak niższe miały znowu swą rubaszną jowialność, którą nie pogardzali ani Kochanowski, ani Potocki w swoich fraszkach. My widzimy te czasy w idealniejszych trochę barwach, niż je miały rzeczywiście — jest to złudzenie perspektywy, która zaciera drobniejsze szczegóły, widoczne dopiero w takich obrazach wieków, jakie podają najszczerze wywnętrzenia poetów«.

Co do formy zewnętrznej poezji Morsztyna, to wystarczy przeczytać kilka jego utworów, aby przekonać się, że władał on wierszem wybornie i był artystą w całej

pełni. Nadto na szczególną uwagę zasługuje jego język. Jest on poprawny i czysty, co w wieku makaronicznym należy do rzadkości.

»Zdarza się wprawdzie czasem — zauważa Belckowski — że i Morsztyn za wiele słów używa, ale można założyć, że gdyby był chciał popracować trochę nad swemi wierszami, opiłować je cokolwiek, i te skazy byłoby mu łatwo wywabić.

A dalej: dowcip, dar inwencji, obfita fantazja, snująca nieprzerwanym ciągiem coraz to nowe obrazy — znamionują jego talent. Największą jednak tego talentu zaletą jest oryginalność, a nawet, mimo wpływów włoskich i francuskich, pewna s w o j s k o ś ć. Nieco mitologii znajduje się wprawdzie w jego wierszach, bo i jakże mogłoby jej nie być u poety tego czasu, ale barwy poetyckie, przenośnie i porównania brane są najczęściej z otaczającego poetę świata. Widać na każdym kroku, że Morsztyn patrzył na ten świat własnymi oczyma, co w owej epoce poetom zdarzało się nader rzadko. Naśladowcą francuzczyzny jest może niekiedy w galanterji, która jednak bywałemu w świecie dworakowi i dyplomacie w krew już przejść musiała. Włoska literatura pożyczyła mu form swoich: sonetu, stancy, sestiny i do pewnego stopnia wpłynęła na nadanie odmiennego tonu jego duszy i uczuciu — ale zresztą Morsztyn nie potrzebował bynajmniej oglądać się na innych poetów, bo miał umysł bystry, czuł wszystko żywo, a poezja była najsilniejszym tętmem jego serca:

»Tyś i mych myśli uciecha jedyna,  
Z tobą się szczerza, dobra myśl mi wszczynna,  
Z tobą zabawa, z tobą próżnowanie  
Za zysk mi stanie« —

mówi poeta do swej lutni. A tak mówić mógł tylko poeta prawdziwy.

Godzą się z tem wszyscy historycy literatury, protestuje jeden tylko surowy sędzia życia i poezji Morsztyna,

Tytus Świderski, autor zamieszczonego w roku 1878 w *Przewodniku naukowym i literackim* studjum o nim.

Oryginalne poezje Morsztyna — mówi Świderski — tem się odznaczają, że poeta wyrażał w nich wyłącznie swój świat wewnętrzny, indywidualny. Treścią swą poezje te nigdy albo przynajmniej bardzo rzadko przypominają stan ogólny kraju i wypadki współczesne, w których sam poeta czynny brał udział. Gdybyśmy też na podstawie jego tylko utworów o Polsce ówczesnej sądzić mieli, trudno byłoby się domyśleć, że to była epoka klęsk strasznych, epoka rozprzężenia ogólnego, w której zlaro samowoli i nierządu już weszło i coraz bujniej we wszystkich warstwach społecznych już się krzewiło, w której królowie nasi, widząc się niezdolnymi własną mocą złemu zaradzić, nieraz na zgromadzeniach sejmowych ze łzami nakłaniali naród, aby sam się od zguby i upadku ratował. Wśród takich wypadków młodzieniec, obdarzony niepospolitym talentem poetyckim, wyobraźnią żywą, bogatą, naturą nader wrażliwą, śpiewa nam ciągle o miłości, o bólach serca własnego i z tego zakresu uczuć osobistych nigdy wyjść nie może i coś innego mieć na celu jak dogodzenie własnej namiętności.

Jest w tem zachowaniu się poety względem położenia kraju coś dysharmonijnego, co Świderski stara się wyjaśnić poziomem pojmowaniem poezji przez Morsztyna, jako »igraszki, zabawki, przyjemnego wytchnienia od zatrudnień zawodu«, a dalej: pewną oschłością uczucia, która sprawia, że »nawet wtedy, gdy szczerze z serca zdaje się przemawiać, budzi się wątpliwość, czy to nie jest tylko czasami igraszka na zimno«. Krytyk robi zarzut Morsztynowi, że nie zawrzał ani razu gulewem i oburzeniem, nie zapłakał łzami bóleści nad poniewieraniem uczuciem miłości ojczyzny, że nie zaśpiewał »pleśni poświęcenia, zgody i pojednania«. Zarzut ten wypowiada



zaś na tej zasadzie, że »nie wolno pocie, należącemu do narodu, w którym literatura pełniła zawsze zaszczytne posłannictwo wzywania do cnoty, rozumu, poświęcenia, zamykać się w ciasnym zakresie uczuć osobistych«.

Ten popularny wśród szerokiego ogółu pogląd na poezję wogóle zwalcza jednak nawet nie hołdujący zasadzie »sztuki dla sztuki« prof. Piotr Chmielowski, który odpowłada Świderskiemu prosto i zwięźle:

»Gdyby — mówi — szło o ocenę czynów obywatelskich wogóle, to na to wymaganie przystaćby wypadało w zupełności, ale gdy idzie o twórczość poetycką, wydaje się ono zbyt katońskiem; jeżeliby zaś mogło być kiedykolwiek urzeczywistnionem, to poezja przestałaby być sobą i zamieniłaby się w rymowany wykład etyki, a podobno lepiej jest zostawić każdemu rodzajowi działalności właściwą mu dziedzinę. Co się zaś tyczy specjalnie Morsztyna, to wiadomo, że on, w pewnym przynajmniej okresie swego życia, czynnie się przykładał do zapobieżenia skutkom bezrządu, a i w pieśniach (lubo nielicznych) nie zaniedbał w tym kierunku do ziomeków przemówić. Jak więc od jedwabnika niepodobna żądać, ażeby został pelikanem, tak od autora »Pieśni nad pieśniami« trudno wymagać aby był Jeremjaszem. Ani jednych ani drugich nie zbraknie, pozwólmy więc każdemu być sobą«.

A Morsztyń był sobą. W każdym swoim wierszu był wiernym swej indywidualności poetyckiej i dlatego stworzył rzeczy trwałe. Gdyby był pisał epeje rycerskie, może uległyby już one były dawno zapomnieniu, jak utwory polskiego Wergiljusza i Tassa, Samuela ze Skrzywny Twardowskiego, którego czytelnik współczesny już tylko przez młodość dla przeszłości czytać może, gdy tymczasem niejeden wiersz Morsztyna dzisiaj jeszcze zdolny jest obudzić prawdziwe uczucie, rozgrzać serce i porwać

wyobrażnię, nie rażąc przytem dobrego smaku, ale zaspokajając go i to bardzo wytwornie.

Krótki ten zarys twórczości znakomitego poety barokowego wymaga jednego jeszcze uzupełnienia. Oto niepodobna pominąć, że ten swawolny i namiętny kochanek, tak surowo potępiony przez Świderskiego, że ten dowcipny humorysta, którego wyborne »gadki« należą do najlepszych tego rodzaju utworów w naszej literaturze, był także autorem wierszy religijnych, i to pisanych w rozmaitych dobach swego życia: w całej pełni młodości i wówczas, kiedy mu już słwizna dobrze głowę przyprószyła.

»Jest to epilog, godny jego erotycznej muzy (Bęlcikowski), konieczne dopełnienie jego światowych pieśni, kłpiących od chęci używania i rozkoszy. Bez podobnego zwrócenia ducha w słońce od powszednich igraszek i przyjemności, z których niejedna jest grzechem, nie możnaby sobie wyobrazić żadnego wyższego umysłu. Morsztyn bywał często w rozdwojeniu i w walce z sobą, nawet w swoich erotycznych utworach — namiętność i młoda krew unosiła go zanadto, tak, że rozum i sumienie musiały wystąpić ze swoją naganą. Był on zarówno przystępny zmysłowości jak uczuciom idealnym; dlatego często znajdował się w tym nieznośnym stanie, kiedy człowiek czuje się zawieszonym pomiędzy ziemią a niebem. To rozdwojenie z większą jeszcze dosadnością uwydatnia się w Pieśniach religijnych. Po jednej stronie stoją tu uczynki poety, po drugiej — jego chęci, sprzeczne i niezgodne z sobą:

»Przykowany do ziemi, a łatwemi pióry  
Pragnie duch mój związany wylecieć do góry,  
Kędy jego ojczyzna...»

Jest pomiędzy temi pieśniami jedna zwłaszcza p. t. »Pokuta w kwarantannie«,<sup>1)</sup> pisana w czasie choroby,

<sup>1)</sup> Zob. Wypisy.

może w przeczuciu bliższej śmierci. W niej to szczególnie skreślił poeta swoje cierpienia moralne, męki, jakie mu zadawało sumienie. obracając w grzech to, co w chwilach lekkomyślności i młodzieńczego szalu uważał za radość i szczęście. Jest to biografia duszy, historia wewnętrznego życia, bez której obraz każdego charakteru będzie blady i niepewny.

Nikt też i nic nie rehabilituje tak w oczach potomnych Morsztyna, jak ta jego szczerza »Pokuta«. Możemy też mu zapomnieć i przebaczyć wiele błędów prywatnego i publicznego życia, a uznać w nim za prof. Chrzanowskim najwybitniejszego i najzdolniejszego przedstawiciela baroku polskiego, wirtuoza wyszukanej formy, autora najzręczniejszych sonetów w całej poezji staropolskiej, a do tego mistrza języka polskiego.

Daleko do tego innym Morsztynom, którzy wspólnie z Janem Andrzejem brali za pióro, zapisując nazwisko swego rodu na kartach piśmiennictwa polskiego.

Najpopularniejszym wśród nich był Hieronim (Jarosz) Morsztyn, autor wydanych w r. 1650 w Krakowie, a później wielokrotnie przedrukowywanych (1689, 1703, 1719, 1736, 1752 i t. d.), a więc bardzo poczytnych »Antypastów małżeńskich«.

Stosunki jego rodzinne i szczegóły życia nie są jeszcze dokładnie znane. Na podstawie danych (prof. Korbut), zdobytych przez J. K. Gleysztora i M. Dynowską, dadzą się jednak ustalić następujące fakty:

Hieronim Morsztyn urodził się około r. 1580 w Krakowie, z ojca (prawdopodobnie) Florjana, bachmistrza wielickiego, arjanina i z matki Zuzanny, z domu Łaskiej córki Jana, a więc siostry stryjecznej Olbrychta Łaskiego wojewody sieradzkiego. Bardzo młodo utracił rodziców i wychowanie swoje zawdzięczał wujowi, Samuelowi Łaskiemu, sekretarzowi królewskiemu. Szkoły ukończył u jezuitów w Brunsberdze, gdzie trzy lata przebywał.

Prawdopodobnie ojciec jego i wuj (jak przypuszcza Gleysztor) »chociaż syn sławnego arjanina Łaskiego, musieli już być katolikami, gdy młodzieńca u jezuitów umieszczono«.

Daty śmierci Hieronima nie znamy. Przypada ona na lata 1623—1645.

Z pism jego bibliografia notuje: »Zwierciadło statecznego i szalonego młodzieńca « (według Gleysztor'a wyd. w latach 1599—1603); »Światową rozkosz« (wyd. w Krakowie r. 1606, po raz drugi w Poznaniu w r. 1622 im); »Philomachię albo afektów gorącej miłości wyrażenie w kilku par obojej płci przykładach. Młodym na pohamowanie w druk podana po śmierci autora« (Warszawa 1655) składającą się z trzech powieści wierszem: 1) »Alfonsa i Orystelli... miłość okrutna«, 2) »Żaloszny koniec miłości niezbędnej dwojga ludzi w sobie się kochających Zygmundy i Gwisarda« i 3) »Historja bardzo piękna o Talezie królewicu lidyjskim, a Perepedzie, królownie aragońskiej; wreszcie wspomniane już »Antypasty małżeńskie«, zawierające: 1) »Historję ucieszną o zacnej królownie Banialuce« (wierszem), 2) »Historję o Galezyusie i Filidzie« (prozą) i 3) »Historję o Przemysławie i Cecylje« (prozą).

Nadto w rękopisie pozostaje dotychczas »Historja o pięknej Dyannie, królowej cypryjskiej«.

Wiersze liryczne Hieronima Morsztyna skupione są w zbiorze p. t. »Sumarius wierszów Morsztyna niegdy poety polskiego«. (Spis utworów w nim zawartych podaje M. Dynowska.) Rękopis niewydany przechowuje się w bibliotece hr. Michałowskich.

Ze wszystkich tych utworów największy rozgłos zdobyła sobie powieść wierszowana pt. »Historje ucieszne o zacnej królownie Banialuce«, »pełna, jak mówi prof. Chrzanowski, przygód tak dziwacznych, że aż imię bohaterki poszło w przysłowie: »pleść banialuki«, co znaczy to samo, co pleść kosałki-opałki«.

Świadczy to wymownie o upodobaniach i smaku czytelników ówczesnych.

Treść tej powieści, przerobionej z francuskiego, jest następująca:

Jakiś królewicz (streszcza Chrzanowski) zablądził w lesie na polowaniu, aż ujrzał pałac wspaniały; chociaż strzegły go lew i niedźwiedź, dostał się jakoś królewicz wraz z giermkim swoim do wnętrza, ale nie zastał tam nikogo. Niebawem jednak powraca z wycieczki właścicielka pałacu, urocza Banlaluka i zrazu nie posiada się ze złości na widok nieproszonego gościa, ale wkrótce potem gniew swój opuściła i na jego twarz gładką ochotniej patrzyła, poczem opowiada królewiczowi swoje dzieje:

Przed rokiem, po śmierci obojga rodziców, uczyniła ślub, że przez całe trzy lata nie będzie patrzyła na inne ludzkie, tylko na swój fraucymer, więc opuściła strony rodzinne i zamieszkała w tym oto pałacu.

Tymczasem zastawiono ucztę: »tu dzika zwierzyna owdzie się z misy kurzy tłusta cielęcina, sam jarząbek w rosole, indyk do podlewy«...

Podczas uczty »żądło gładkości« królewicza tak niełitościwie zraniło Banlalukę, »że jakoby śledziła we młodości«, i nawzajem, »żądło gładkości« Banlaluki zraniło królewicza.

Ale czas wracać do domu: na pożegnanie królowna daje królewiczowi połowę pierścienia na znak, że za nikogo innego zamaż nie wyjdzie. Królewicz wraca do domu, ale codzień Banlalukę odwiedza. Aż dowiedziała się o wszystkim jakaś królowna, która już dawno królewicza kochała, i ślubuje zemstę: Jej ochmistrzyni-czarownica wręcza giermkowi królewicza zaczarowane jabłko z rozkazem, aby, gdy znów do pałacu Banlaluki z królewiczem pójdzie, dał mu je zjeść. Królewicz zjadł i zemdał: nadbiegła Banlaluka, naciera »pachnącemi ziółkami« puls, wodą »zakrapia uschły język jego« — wszystko na nic. Nie pomogły ani »całowania«, ani »milusieńkie

przytulania: królewicz leży jak nieżywy. Zrozpaczona Banialuka odjeżdża. Dopiero po jej odjeździe ocknął się królewicz i powrócił do domu. Nazajutrz było jeszcze gorzej: królewicz znowu przyjechał, znowu zjadł jabłko, i »większe go dziś niż wczora boleści objęły... jęczał leżąc i mruczał, i zgrzytał zębami, planą parskał i brzydko wywracał oczami«. Zbolała Banialuka, myśląc, że to Pan Bóg ją karze za złamanie ślubu, opuszcza pałac i powraca w swe strony rodzinne; nagle »plorun rozpalony uderzył na ów pałac... gromy straszne trzaskały, wichry popędliwe czynią zgnąta ruiny w pałacu straszliwie«. Huk piorunu obudził królewicza; teraz dopiero domyślił się on zdrady glermka, zabił go, poczem powędrował w świat, szukać Banialuki. Idzie do świętego pustelnika i pyta, czy nie wie, gdzie królowna: pustelnik nie wie, zwołuje wszystkie zwierzęta, którym panuje — i one nie wiedzą. Królewicz idzie więc do drugiego pustelnika, jeszcze świętszego, który rozkazuje ptakom. Zlatują się ptaki: »Struś krzyczał, zóraw strukał, a pawy wrzeszczały, feniks się śmiał, bociany nosem klekotały, bażant piał, a bąk bączał, kraczą ślepowrony... Plegotały kaweczki, sroki szczegotały... Sowy huczały, puszczyki z puhaczem wołały, drop ksykał, głuszc puchał, dudkowie dudają, grały cietrzewie, a ich cieciorki kokały... Ciurkał dzięcioł, wróbel świerkał, strykały chróściele, słowiczek lamentował, a pardwa kokciele... Psykali czyżykowie, kwiczoły piskały, drozdy skrzypią, a żołyń niemłło skrzeczały, złęba cin-cin, sikora ta-ra-ra przydaje, strzyżyk ci-ci, a więcej głosu mu nie staje.

Ale i ptaki nic nie wiedzą.

Królewicz idzie tedy do trzeciego pustelnika, już najświętszego, który rozkazuje wiatrom: wiatry wleźliły, i jeden z nich zanosi królewicza do królestwa Banialuki:

Tu w tajemnicy godzi się królewicz na ogrodnika w pobliżu zamku królowny.

Kiedy czas żałoby po rodzicach Banialuki minął, zjeżdżają się rycerze na turnieje: kto zwycięży, ten rękę królowy otrzyma. Zwycięża naturalnie królewicz, ale nie wyjawia jeszcze, kim jest, tylko zawija ową połowę pierścienia w papier i każe wręczyć obecnej na turniejach królowie.

Kończy się na weselu: królewicz obejmuje państwo Banialuki, obiecując swym poddanym, że uszanuje wszystkie ich wolności — niby król polski, zaprzysięgający *pacta conventa*.

Nie dziw, że się ta »historja ucieszna« podobała zwłaszcza w czasach saskich i że »powodzeniem« swoim zgasła zupełnie najlepszą część puścizny po Hieronimie — jego poezje liryczne.

Zawarte w »Sumarjusz«, o którym mowa była wyżej, niewszystkie — zdaniem prof. Brücknera — wyszły one z pod pióra Hieronima. W sumarjuszach takich spisywano bowiem utwory rozmaitych autorów.

»Największa ich część w sumarjusz Hieronimowym należy do swawolnych i gorszących — z tej zapewne przyczyny nigdy drukowane nie były (mówi K. Mecherzyński<sup>1)</sup>), bo cenzura duchowna, stojąc na straży obyczajów, powściągała takowe pióra nadużyte.

Ale czemuż cenzura wobec wrodzonej Morsztynom zmysłowości, do której Hieronim, tak samo jak Jan Andrzej szczerze się przyznaje.

Jam (mówi) na złoto nie chciwy, kocham się w pokoju,  
Na pracę nie duży, ani sposobny do boju;  
Ale to, co mieć ze mnie przyrodzenie chciało,  
Które mi ognia dosyć cielesnego dało.  
Wzławszy parę gołębiąt, wysłuży swej dary,  
Oddam Kupidynowej matce do oflary,

<sup>1)</sup> Zob. Bibliot. Warszawska 1859, II.

A prosić o to będę, abym niestroskany  
Wiek prowadząc, jej chęci doznał pożądaną,  
Który kiedy utracę, choć się śmierci boję,  
Przecle już i o żywot wtenczas mało stoję.«

Nie do druku pisał przecież swoje wiersze pan Hieronim, ale »sobie i towarzyszom miłym k'woli«, jako zaprawę do biesiady i wesolych igraszek. Czyliż więc za to potępiać go mamy, że ciekawa potomność sięga do tych sekretów i szperając po rękopisach poźdźkłych od starości, wydobywa na jaw cudze tajemnice?

Broń Boże! Bo i zgorszenia z tego już dzisiaj żadnego być nie może, tylko pogląd na charakter i obyczaje wieku, dość grube, aby uchodziło wówczas to, co dzisiaj nie uchodzi.

Zresztą nie same tylko »swawolne« rzeczy są w »Sumarjusz«. Są tam, jak przyznaje Mecherzyński, i »wiersze poważniejszej treści, moralne, budujące, w których umysł poety pogodny i od namiętności wolny uczuwa słodycz wewnętrznego pokoju, cichego i swobodnego życia, łatwej i powolnej umiarkowanym żądzom szczęśliwości«. Niektóre, o ile rzeczywiście należą do Hieronima, (bo autorstwo ich jest niepewne), »tchną nawet młą prostotą i naturalnością, zalecają się czystem i nadobnem wysłowieniem i przypominają pióro Jana Kochanowskiego« (»Fortunne lata«, »Górna дума«).

W podobnym rodzaju jest »Ziemlaulin« i »Dobra myśl u ochotnego gospodarza«, gdzie poeta opisuje szczegóły gościnnego przyjęcia w domu przyjaciół, dając bardzo zajmujący obraz ówczesnego życia domowego ziemian polskich.

Dobre są także opisy, zwłaszcza ślelskie. »Malowidła przyrody i miejscowości (jakich w dawnej literaturze niewiele mamy przykładów) — stwierdza Mecherzyński — zalecają się swojskością, prostym i przyrodzonym wdziękiem«. Takim jest np. opis Włosny, w którym poeta skreśla odradzające się w młodej porze powaby włoski.



Takie są również »Willaneczki« w rodzaju pasterskim (czy Morsztyna, czy prędzej Szlichtynga?). Najcenniejszym bodaj jednak w puściźnie pana Hieronima (zawsze wątpliwym) jest wiersz, przedstawiający pojęcia szlachcica XVII wieku o honorze. Wiersz ten śwladczy o zupełnym już w Polsce ówczesnej triumfle idei francuskiej, która »najmniejszą zmazę« krwią zmywać kazała.

Trzecim z kolei, znanym w literaturze Morsztynem jest Zbigniew, arjanin. Urodzony około r. 1624 go (gdzie, niewładomo), był synem Jerzego Morsztyna (» z Raciborska«). Nazwiska matki jego nie znamy. W latach 1644—48 (podaje prof. Korbut) był urzędnikiem w żupach wielickich. Od r. 1648-go służył wojskowo w oddziałach Janusza i Bogusława Radziwiłłów. Brał udział w kampanjach r. 1648, 1651, 1652, 1654, 1656, walcząc z Kozakami, Moskwą i Szwedami. W r. 1656-ym dostał się do niewoli szwedzkiej. W czasie służby wojskowej mianowany został mlecznikiem mozyrskim. Odzyskawszy w r. 1657-ym wolność, porzucił stan wojskowy i ożenił się z Zofją Czaplicówną (arjanką). W r. 1661-ym wskutek dekretu królewskiego, wyganającego arjan, przeniósł się do Królewca, pod opiekę Bogusława Radziwiłła, namiestnika Prus Książęcych. Otrzymał od elektora prawdopodobnie za wstawiennictwem ks. Bogusława, wieś Rudówkę i tytuł radcy elektoralnego.

Zbiór jego poezyj pt. »Muza domowa« pozostaje dotychczas w rękopisie (prof. Korbut). Drugi zbiór ogłosił zasłużony rewindykator i obrotca poezji XVII-go wieku, prof. Brückner w »Wirydarzu poetyckim« Jakuba Teodora Trembeckiego.

Jako poeta, Zbigniew Morsztyn jest przeciwstawieniem Jana Andrzeja i Hieronima. Będąc przez długi czas żołnierzem, rozmiłował się w tem rzemiośle, a mając za sobą niejedną wojnę, lubi wspominać o trudach obozowych, o walkach, o towarzyszach poległych, o chorągwi, »mężnej orlicy«, pod której skrzydłami służył, a i nad lo-

sem nieszczęśliwej ojczyzny nieraz łzę uрони. Poza tem chwali w wierszach swoich, jak tylu innych poetów ówczesnych, zalety życia wlejskiego, którego spokój, ciszę i wygodę miłuje. Jest, mimo mleszczańskiego pochodzenia rodziny Morsztynów, ziemianinem z krwi i kości. Artyzmu wyższego nie posiada, ale wiersz ma gładki i język czysty. Na tej podstawie zaliczyć go należy do lepszych poetów XVII-go wieku.

Czwarty wreszcie Morsztyn, to znany nam już Stanisław, bratanek Jana Andrzeja.

Szczegółów o jego życiu posiadamy mało. Roku jego urodzenia nie znamy. Wiemy tylko, że był synem Jana »z Raciborska« i Arciszewskiej. W latach młodzieńczych wspólnie z Janem Andrzejem zwiedził Europę zachodnią i południową, poczem zaciągnął się do wojska. Brał udział w wojnach kozackich i innych za Jana Kazimierza. Mężnie stawał, jak podaje Mecherzyński, »w obronie Czehryna i Krakowa, pod Cudnowem, Chocimem i Żórawnem, wreszcie za Jana III-go pod Wiedniem i Strygoniem przeciw Turkom i Tatarom«.

Był kolejno: chorążym zatorskim (1676), podstolim chełmskim, kasztelanem czerskim (1687), wojewodą mazowieckim (1696) i wojewodą sandomierskim (1704).

Dożył sędziwego wieku. Umarł około roku 1725-go.

Współcześni cenili go jako światłego i gorliwego obywatela, który wyróżniał się na sejmach i trybunałach.

Jako poeta nie szukał rozgłosu, aczkolwiek z muzami od młodu w bliskich pozostawał stosunkach, skoro Jan Andrzej Morsztyn, dedykując mu »Psychę«, pisał w posłaniu do niego:

»Nie mądrejci-to, bracie, sprawa głowy  
Słać drwa do lasa i do Aten sowy  
I wiersze do ciebie:

Przyjm jednak wdzięcznie młodość mej czyny,  
Dobyte szczęściem z prochu, z pajęczyny,  
Która zazdrośnie prace twoje grzebie».

Z tego widać, że Stanisław Morsztyn śpiewał »soble a muzom«. Z utworów jego znamy przedewszystkiem dwa dość gładkie, chociaż bez wyższego polotu dokonane przekłady: »Hipolita«, tragedji Seneki i »Andromachy«, Rasyna, wydane razem z »Psychą« i »Cydem« Jana Andrzeja.

Poza tem dochowały się »Smutne żale po utraconych dzieciach, w r. 1698 napisane«. Powtórnie do druku podane w Warszawie w r. 1704.

Jest tu — mówi Mecherzyński — dziesięć żalów czyli elegji, potem Nagrobki, wierszem polskim i łacińskim dla Teresy (córk) i Jana (syna) Morsztynów, w młodym wieku zmarłych, a wkońcu Utulenie żalu. Żal IX-ty ma wiersze zaczynające się od głosek, które wyrażają: Teresa Izabella Morstinówna, Jan Joseph Morstin, naraz pomarli. W nagrobku podpisał się autor: Stanisław z Raciborza Morstin, wojewoda i generałem ziem księstwa mazowieckiego.

Wiersz »Żalów« gładki, mało jednak poetyczny, zawiera w tonie jednostajnym narzekania na nieużytość śmierci i pochwały zmarłych dzieci. Niemasz tu, jak w Trenach Jana Kochanowskiego, stopniowania uczuć i owej różnaitości, tak zajmującej w ich obrazie. Tłumaczy to autor wielką ośclą straty, jakiej ledwo cząstkę — zdaniem jego — doznał Kochanowski:

»Średni ból jest wymowny; utrapienie zbytule  
Zmlesza słowa, albo je w samych ustach przytnie«.

Polszczyzna w »Żalach« dobra, ledwo gdzie niedzle ma ślady panujących podówczas makaronizmów.

Nadto znamy kilka jeszcze krótszych poezyj Stanisława Morsztyna, wydrukowanych w końcu wydania po-

znańskiego poezyj Jana Andrzeja Morsztyna pod fałszywym tytułem »Poezje Zbigniewa Morsztyna«.

Reszta utworów pana wojewody sandomierskiego prawdopodobnie zaginęła ze szkodą dla historii literatury, autor ich bowiem nie tylko był utalentowany, jak wszyscy Morsztynowie, ale jak się zdaje, znacznie przewyższał Jana Andrzeja, Hieronima (Jarosza) i Zbigniewa głębokością umysłu i pojemnością serca.

Krótki wybór pism  
MORSZTYNÓW

Jan Andrzej Morsztyn (1613—1693)

Psyche

Z Lucjana, Apulejusza, Marina.

Wenus poszukuje Kupidyna.

XXV

Szuka go Wenus naprzód między Greki,  
Ale tam tylko i szable błyszczące,  
I na krew ludzką rozdarte paszczyki,  
I bisurmańskie znajduje mieszące.  
Stamtąd woźnikom popuszczając ręki,  
Pomija brzegi od ognia gorące  
Sykulskiej Etny; aż ją powóz płochy  
Wysadza między zalotnemi Włochy.

XXVI.

Ale tam, miasto miłości, plugawe  
Widzi nierządy, opaczne chciwości,  
Zazdrość zbrodnistą, podejrzenia krwawe,  
Wolność wygnaną, wszędy pełno złości.  
Stąd idzie między Niemklinie łaskawe;  
Lecz tu Kupido nie barzo rad gości:  
On chce zapalów do krwi i do garła,  
Tu złotna miłość i jakby umarła.

XXVII.

Przewoził się stąd między oddzielone  
Od świata morzem naszego Brytanny,  
W kraje gładkością od wieków wslawione,  
Gdzie i dowodzą i królują panny;  
Ale zastawszy płaski krwią skropione  
Niewinną, i z rąk świętokradzkich ranny  
Królewski tułów, o straszne przykłady!  
Nie może patrzeć na poddanych zdrady.

XXVIII.

Pewna już o nim na przeciwnym brzegu,  
Przebywa morze wlot między Francuzy.  
Tu on więc mieszkał, tu w płci równej śniegu  
Serca krępował i sadzał do kluzy;  
Tu mając dziewczki, jakich w swoim biegu  
Słońce nie widzi od Gades do Suzy,  
Skrzydła był odplął, a oręża z złota  
Nosili za nim Żart, Śmiech i Pieszczota.

XXIX.

Darmo go jednak szuka we dnie, w nocy:  
Bo tu tak siła znalazł do roboty,  
Że musiał sobie przybrać do pomocy  
Młodszych braciszków, którym kołczan złoty  
Rozdał, żeby swej spróbowali mocy;  
A sam zwątlony bez sił, bez ochoty,  
Na odpoczynek odważył się z nową  
Do Polski zjechać Kupido królową.

XXX.

Wenus się po nim puszcza na delfinie  
I porze morskie wały jak na spławie.  
Mija Niderland i do duńskiej skrzynie  
Nie płacił myta w Zuntcie na przeprawie.  
Nakoniec stawa tam gdzie Wisła ginie  
Przy gdańskim porcie, i stąd ku Warszawie  
Płynię, gdzie w gęste ubrawszy się chmury,  
Wchodził nieznamna między pańskie mury.

XXXI.

Jest pałac, wiślnie patrzący na wody,  
I na zarzeczne miasta i zulaawy,  
Opasan w koło ślicznemi ogrody.  
Tu więc królowa miewa swe zabawy,  
Kiedy wieczorne pozwalają chłody  
I liście, broni Febowi przepawy.  
Tam ją zastała wtenczas Erycyna,  
Z swemi nimfami siedzącą i syna.

XXXII.

Zadziwiła się; nie wie czy na ziemi,  
Widząc królową, czy stanęła w niebie,  
Nie śmie jej równać z duchy niebieskiemi:  
Wyżej ją kładzie bogiń, wyżej siebie,  
I zwyciężona blaski niezwyklemi,  
Urodę własną ponlża i grzebie,  
I mówi, tłumiąc swe zazdrości ciche:  
Podobno-ć to ja, podobno-ć to Psyche?

XXXIII.

Widzi między jej nimfami Cypryna  
Różne gładkości, śliczność na gromadzie.  
Już zapomina karać Kupidyna,  
Ledwie już pomni o Psysze, o zwadzie,  
I nie ma za złe, że płocha dziecina  
Zabawiła się w tak rozkosznym sadzie.  
Wie dobrze, czego szukają więc młodzi,  
Skąd łaje żartem i groźby łagodzi.

XXXIV.

»Przyznawam, synu (mówi), że nie głupie  
Obierasz sobie zabawy zalotne.  
Znajdziesz, czego chcesz, w tak wybranej kupie,  
Ale też znajdziesz okowy stokrotne,  
I łupem będziesz, gdy padasz na łupie,  
Przestrzedz mię jednak było, bo już lotne  
Ledwie dychają moje gołębice,  
Pościgając cię przez różne ziemlice.

XXXV.

•Ty coś zwykł rządzić i panować wszędy,  
Odpiąłeś sajdak i skrzydła-ć nadgręzły;  
Jak ogrodniczek pilnujesz tu grzędy,  
Znać że cię smaczne przytrzymały węzły.  
Wpadłeś w labirynt i w niezwrotne błędy,  
Aleć ratunek niosę matka, niezły:  
Wyprowadzę cię, i mlasto pieszczoty,  
Do sławniejszej cię obróćę roboty.

.....

Poezje liryczne.

Kanikuła albo Psia Gwiazda.

Chłód daremny.

Kłedy się słońce przez Raka przedziera  
I Lwa straszego nawiedzić napiera,  
W powszechnym świata znoju i spaleniu  
Szukałem, gdzieby głowę skłonić w cieniu.  
Raz się przechodzę do bliskiego gaju  
I zebrzę łaski zielonego maju.  
Tam mię wspomaga dąb chaoński cieniem,  
I grab twardością zrównany z kamieniem,  
Piękny i jawor fladrowanej więzi, —  
I szkolna brzoza drobnouchnej gałęzi,  
I żyrne buki i klon niewysoki,  
I lipa, matka pachnącej patoki;  
Jasłon wojenny i brzost, który naszym  
Krajam intraty przyczynia potaszem.  
Drugł raz w gęste zapuszczam się bory,  
Kędy świerk czarny rośnie w górę spory,  
I modrzewina czerni nieznająca,  
I terpentyną jedlina płacząca,  
I sośnia wielkiej w budynkach wygody,  
I kadzidłowej jałowiec jagody.  
Trzeci raz różnie probując ochłody,  
Chodzę po brzegach przezroczystej wody;  
Tam mam dostatnie chłody topolowe,



Olsze czerwone i wierzby domowe,  
Chwast derenlowy więc i rokicinę  
I chłodne bagno i złotą wierzbinę,  
Ale cóż potym? lubo ta zasłona  
Schroni mej głowy od Hiperyona,  
Lubo mi na czas psia gwiazda sfolguje,  
Zaraz te pustki miłość opanuje.  
Próżno się tedy cieniem z wierzchu chłodzę,  
Gdy w sobie noszę ogień i z nim chodzę.

### Praktyka.

Jeszcze się nie znał z Kupidynem, ani  
Wiedziałem, jako strzała jego rani;  
Jeszcze był wolen, jeszcze na mię była  
Zdradliwych Wenus siდეł nie rzuciła;  
Kiedy gdy chłodu upatruję w cieniu,  
Upalonemu psią gwiazdą cieniem,  
Ptaszyna lecąc słowikowym krzykiem,  
Zastraszyla mię takim prognostykiem:  
• Krótko ach! krótko po swej woli chodzisz,  
I darmo sobie złotą wolność słodzisz;  
Wkrótce sam sobie zginiesz i od ludzi  
Stronić nową chęć, miłość w tobie wzbudzi,  
Wtenczas dopiero, choć będziesz gotowy  
Całować pęta, obłapiać okowy,  
Doznasz, co w sobie zamykają rany  
Miłości, co jest być od niej związany;  
Bo cię zwycięży, a ty zwojowany  
Cięższe na nogach poniesiesz kajdany.◀

### Ogrodniczka.

Nie wiem, skąd nad swój zwyczaj litościwa  
Zemdle zioła Jagnieszka polewa,  
I chłodzi ogród lipcem upalony;  
Na co ja patrząc rzekłem zamyślony,  
Nie wodę na was ta panienska toczy,  
Ale was z banie łzami memi moczy.

Błogosławiony ogródeczku, który  
Odwilża, prędko pomkniesz się do góry.  
Szczęśliwe zioła, wam się łyzy dostały,  
Które okrutną dziewczkę miękczyc miały;  
Pójdziecie bujno, kiedy swolch oczy  
Nad wami blaski słoneczne roztoczy;  
Oraz nadzwyczaj mając przyrodzenie,  
Słońce z jej oczu, z moich dżdża strumienie.

Vannegio d'una Inamorata.

(Przekład w olny z Sannazara.)

Goreję, czy nie? — cóż to ja za nowy  
Gościenny afekt w sercu swoim czuję?  
Podobno ogleń? — lecz jużby ogniowy  
Zapał zgasł w płaczu, którym się tak psuję.  
Męka to raczej i ból mojej głowy;  
Nie męka też to, co sobie smakuje,  
Smak być nie może, bo mnie to frasuje;  
Przecie wraz i smak i żal serce czuje.  
Jeśli to nie żal, ni smaczne ochłody,  
To pewnie głupstwo którym się myśl wścieka,  
Ale nie głupi co się ból szkody.  
Cóż potym, kiedy przed nią nie ucieka  
Miłość? — nie miłość, przecie też niezgody  
Nie widzę; cóż mnie tak dziwnego czeka?  
Cóż to jest, że mi tak ciężko na duszy?  
Pewnie mię to myśl i zły humor suszy.  
Lecz jeśli to myśl, o czym-że wzdy myślę?  
Okrutna myśl, czemu myślic muszę?  
Czemu choć w głowie zawsze myślą kryślę,  
Znowu tą myślą co przedtym myśl suszę.  
Czemu choć myślom różny czas wymyślę,  
O to się, żeby nie myślic nie kuszę?  
Myślę, lecz jeśli myślic jest to wina,  
Nie ze mnie, ale z myśl jest przyczyna.  
Winną-bym była, gdybym się kochała,  
Ale o miłość serce me nie stoi.  
Ale nie toż to, jakbym kochać chciała,

Gdy się myśl myślić o miłym nie boi?  
Cóżby, gdybym też miłości zerwała,  
Nie wiem; ale wiem, że mi pęta stroi;  
Kocham nie kocham; dziwnie w głowie knuje,  
Nie chcę, nie kocham, a przecie miłuję.

Kocham czyli nie? — ach! ogień w miłości  
Szczyrze dopieka, a ja drząc trupieję;  
Nie kocham tedy — ach! do samych kości  
Wolnym się ogniem spuszczam i topnieję,  
Ogień się z mrozem ugania w skrytości,  
I mrozem pałam i ogniami leję;  
Cudy miłości, czarów sposób nowy,  
Mróz gorejący, a ogień lodowy.

Goreję, marznę i jestem do tego  
I zapalona, ranna i związana;  
Ranę mam, nie wiem z sajdaku czyjego,  
Łańcucha nie znam, chocia-m okowana;  
Okowy noszę od wzroku wdzięcznego,  
Z którego miły ból, rana kochana;  
Jeśli to miłość jest co mnie tak dusi,  
Miłość być, wierę, groźną rzeczą musi.

Groźna rzecz miłość. Lecz coż mi się dzieje,  
I cóż tę miłość za otucha wspiera?  
Nadgrody nie chcę, co więc miłość grzeje;  
Serce się kochać i darmo napiera.  
Nie kochaj serce: bo też bez nadzieje  
Nie wiem jako ta miłość nie umiera?  
Ach mówię z sercem, a serce-m pozbyła,  
Serca nie mając, jakoż będę żyła?

Żyję, umieram; dziwnie się to włerci,  
Konać, nie umrzeć, choć serca nie mając,  
Żywot opuścić, nie czuć przecie śmierci:  
Jest to umierać, a nie umierając,  
Albo mężniejszej nabiera gdzieś sił  
Serce, że znowu odżyła konając,  
Albo co duszę z sercem strzała dzieli,  
Nie domorduje, choć na śmierć postrzeli.

Niedobyte nie; lecz z śmiertelnej rany,  
Kaleka serce już w kim inszym żyje,  
Tenże za serce stoł ukochany  
Żywot; serce nie z niego żywot pije.  
Ja nie mam serca (dziw to niesłychany),  
A serce, serca dwie w sobie nie kryje.  
Tak dla tej twarzy, w której kocham wiernie,  
Żyjąc umieram, konam nieśmiertelnie.

Kochajmyż tedy, aza wzdy zapłaty  
Da się doczekać czas lepiej życzliwy;  
Czego więc czasem dochodzą i laty,  
To prędzej zmiękczy afekt popędliwy;  
A ty mi pomóż Kupido skrzydlaty,  
Co w mózgu moim takie roisz dziwy,  
Tak Falsirena miłosna mówiła,  
I tak się z swemi myślami biedzła.

### Lutnia

Jego MPana Andrzeja z Raciborska Morsztyna Referendarza W. Koronnego posłana po koledzie JEMPanu Łukaszowi ze Bnina Opallńskiemu Nadwornemu Koronnemu etc. etc.

### Lutniej księga pierwsza.

#### O swej pannie.

Biały i polerowany jest marmur z Karary,  
Białe mleko, przysłane w sitowiu z koszary,  
Biały łabędź i białym okrywa się piórem,  
Biała perła nie częstym zażywana sznurem,  
Biały śnieg, świeżo padły nogą niedeptany,  
Biały kwiat liljowy na świeżo zerwany;  
Ale blelsza mej panny pleć twarzy i szyje  
Niż marmur, mleko, łabędź, perła, śnieg, lilije.

#### Do tej że.

Oczy twe — nie są oczy, ale słońca jaśnie  
Świejące, w których blasku każdy rozum gaśnie;  
Usta twe — nie są usta, lecz koral rumiany,

Których farbą zmysł każdy zostaje związany;  
Piersi twe nie są piersi, lecz z nieba surowy  
Kształt, który wola naszą zabiera w okowy;  
Tak oczy, piersi, usta, rozum, zmysł i wola  
Blaskiem, farbą i kształtem, cmią, wiążą, niewolą.

K w i a t e k d a r o w a n y .

Kwiateczku suchy, ale mnie kochany,  
Dla ręki, którąś zerwany i dany,  
A suchy od mych ogniów i przed srogiem  
Serca mego zwiędłały pożogiem;  
Tyś nlepodobny tej płci krwawej, ani  
Mleku, przy którym nosiła cię pani,  
Lecz z megoś serca przybrał te kolory,  
Które tak zwiędło, jak kwiat późnej pory;  
Ani cię mogę oczerstwić i łzami,  
Bo i te płyną zmięszane z ogniami.  
Pokaż mej paniej twe zbledniałe liście,  
I swym zwiędnięciem spraw to oczywiście,  
Ze widząc, jako gładkość klejnot rzadki,  
Ginie — da owoc, a nie tylko kwiatki.

N i e u s t a w i c z n a .

Trudno zrozumieć, co się w ciebie wlewa,  
Tak-eś odmienna i tak-eś pierzchliwa;  
Raz-eś mi frantem, drugi raz-eś szczerą,  
Raz przyjacielem, drugi raz przecherà,  
Raz ze mną wiernie, drugi raz mię zdradzisz,  
Raz się pojednasz, drugi raz powadzisz;  
Tak cię natura chciała wykształtować,  
Że nie wlem jako z tobą postępować.  
Boże! żeś nie dał do serca okienka,  
Żeby zrozumieć jaka to Jaglenka!

D o s w o i c h k s i ą ż e k .

Dokąd się moja lutni napierasz skwapliwie?  
Chcesz na świat? i w drukarskiej chciałabyś ołwie  
Podać w nielutościwe swoje plotki prasy,  
Wzgardziwszy słodkie mego kablnetu wczasy;

Ach, nie wiesz czego-ć się chce. Różne w ludziach  
[smak],  
I ciebie potka wilkum pewnie nie jednaki.  
Nie trzeba dymem śmierdzić, kto się chce do dworu  
Udać, jeszcześ ty godna kuchennego szoru.  
Jeden co lepiej pisze, najdzie w tobie siła,  
Coby cierplwsza głowa jeszcze przekryśliła;  
Drugi z zazdrości, która średnie mózgi żywi,  
W oczy pochwali, ale z tyłu gębę skrzywi;  
Inszy choć w hipokreńskiej nie pił nigdy bani,  
Żeby się coś zdał, czego nie umie, pogani.  
Tak, coś ją w ciszy miała, utracisz powagę,  
I pójdiesz za sukienkę korzeniu na wagę.  
Abo cię, ważąc konfekt, podścieli na szali  
Aptekarz i Szot tobą tabakę podpali;  
Abo kiedy krystera czyści brzuch zawarty,  
Coraz to kord do stolca jednej zbędziesz karty.  
A ty przecię prosisz łaskawej odprawy,  
Tak ci się moje przykrzą kreski i odprawy,  
I co go doznasz możesz, nie poważasz sromu;  
Idź tedy — ale lepiej było siedzieć w domu.

Na balwierza.

Kogo świat mierzi, kogo zdrowie boli,  
Niech się u Czopka cyrulika goli;  
Niż się rozgości, i niż zgrzeje wody,  
Połowa włosów przybędzie do brody;  
I niż część drugą namydli, oskrobie,  
Już ogolona poroście w tej dobie.  
Jak pocznie skrobać, i włosów przerzedzi,  
Nie wle, co jest ból ten, co mu doszedzi.  
Nie tak się rzezą opili masłokiem,  
Nie takim ciągną bańkami krew stokiem,  
Nie tak zawłoki, nie tak apertury,  
Jak jego bolą po jagodach dziury.  
Ledwie by godzien strzydz żmudzinom<sup>1)</sup> grzywę  
I uszy, i to, jeśli koń cierpliwy.

<sup>1)</sup> Żmudzin, koń małego wzrostu, jakich dużo na Żmudzi.

Te, co widzicie rany na mej brodzie,  
Nie inszej one przyznajcie przygodzie;  
Nie kot podrapał, nie żona pobiła,  
Nie zła choroba krostą poznażyła,  
Ani przy kuflu, ani z krwawej bitwy  
Odniosłem, ale od balwierskiej brzytwy.  
Niemasz od kozła sztuczniejszego zwierza;  
Brody nie goli, bojąc się balwierza.

Do Zosie.

Żeś w swej twardości niezmienna,  
Nie dziw, boś wszystka odmienna.  
I usta masz rubinowe,  
I rzędy zębów perłowe  
I ciało alabastrowe,  
I serce dyamentowe,  
Co za dziw, że bożek mały  
Nie przestrzelił twardej skały!  
Bo i kołczanik złocisty,  
I łuk niezaderewisty,  
I bożek nazbyt łaskawy,  
Jednak jeśli do tej sprawy  
I ja się pilnie przyłożę,  
Na zakład i gardłołożę.

Niestatek.

Prędzej kto wiatr w wór zamknie, prędzej i promieni  
Słonecznych drobne kąski wżenie do kieszeni,  
Prędzej morze burzliwe prośbą uspokoi,  
Prędzej zamknie w garść świat ten tak wielki jak stoi,  
Prędzej pięścią bez swojej obrazy ogniówi  
Dobije, prędzej w sieci obłoki połowi,  
Prędzej płacząc nad Etną, łzami ją zaleje,  
Prędzej niemy zaśpiewa, a ten, co szaleje  
Co mądrego przemówi; prędzej stała będzie  
Fortuna, i śmierć z śmiechem w jednym domu siedzie,  
Prędzej poeta prawdę powie i sen płonny,  
Prędzej i aniołowi płacz nie będzie płonny,  
Prędzej słońce na nocleg skryje się w jaskini,

W więzieniu będzie pokój, ludzle na pustyni,  
Prędzej nam zginie rozum i ustana słowa, —  
Niżli będzie stateczną która białogłowa.

Pszczoły w sajdaku.

Rój matek miodo-noszych, ruszony z ogroda,  
Osiadł w sajdak Kupidow. O! jak święta zgoda!  
Ma swoje żądło miłość, ma żądło i pszczoła,  
Tamta ma serce nasze, ta kwiatki i ziola.  
Pszczoła w jednymże ciele miód nosi i jady,  
Miłość raz miodu pełna, wnetli pełna zdrady;  
Ale w tym jest różnica: pszczoła raz zakole  
I umiera, a młodość wieczne daje bole,  
I od pszczoły, choć nabrzmi, niedługośmy chorzy,  
Ale rany miłości nie zleczą doktorzy.

Lutniej księga wtóra.

Na Pawła.

Paweł się kocha w Zośce, a niech mi odpuści,  
Niemasz w czym: nos ma krzywy, zęby jak czeluści,  
Łeb goły, dłuższa łokciem jedna drugiej nogi,  
Pazury jak do lutni, na grzblecie garb srogі;  
Jeszcze oko niedawno straciła w chorobie.  
Ona na jedno oko ślepa, on na obie.

Do wiarołomnej.

Ty wieczna, której Atropos, ni Kloto  
Szkodzic nie może, niezmazana cnoto,  
I ty czystości, ty wiara i statku,  
I godna po tych cnotach na ostatku  
Chodzić, miłości; płaczcie wszystkie cnoty,  
Bo ona wasza radość i pieszczoty,  
Ona tak śliczna dziewczyna, tak święta,  
W której ni zła myśl, ni chciwość przekłeta  
Nie miały miejsca, ni ogniste żądze,  
Już was opuszcza, a woli pieniądze.  
Fraszka-ście, fraszka, odpuście mi cnoty,  
Kiedy was przemógł podarunek złoty.



Widzę, że kędy złota zabrzmiał strona,  
Słaba z was pomoc i licha obrona;  
Fraszka i wiersze, pochlebstwa, pochwały,  
Fraszka i służba, i mój afekt stały.  
Wszystkoś zła dziewczko obróciła w fraszki,  
Za pełny mieszek i nabite taszki.  
Bezeczna dziewczko, jeśliś miała wolą  
Puścić się za grosz marny na swawolą,  
Jeśli cię drogie, lecz nabyte dary  
Z poprzysiężonej miały ruszyć wiary,  
A nacożes się przybierała w srogi  
Związek przysięgi i błażniła bogi?  
Nacożes żyła trybem Penelopy?  
Czemuś inszemi brzydziła się chlopy?  
Mniejszybyś miała ciężar na sumtenu,  
Kiedybyś tylko zgrzeszyła w płomieniu;  
Mniej-być szkodziło, gdybyś z młodu była  
Skłonność do złego tak chciwą odkryła.  
Mniejby trapiło i mnie, gdybym z tobą  
Tak był żył, jako z zakupną osobą.  
Ale żeś i mnie i świat aż i nieba  
Zwiodła, trojakiej kary na cię trzeba.  
Jakoż tak będzie: bo cię Bóg zasmuci,  
Świat cię osławi i sługa porzuci.

#### Miłość zerwana.

Włos złoty, czarne oko, śmiech różany  
Już mię w powtórne nie wprawia trudności,  
Kiedym szczęśliwie z pęt twych rozwiązany,  
I miłość nowej pozwala wolności.  
Tyś węzeł twardo zerwała związany,  
Jam zgasł ogień, co mi suszył kości,  
Tak dla twej złości i z rozumu rady,  
Już w doświadczone nie zapadnę zdrady.  
Kochałem, prawda, i byłem stateczny,  
Póki-ć usługi moje wdzięczne były,  
I byłby taki ogień pewnie wieczny,

Gdybym ci sam był pojedyńkiem miły;  
Ale że afekt podzielasz serdeczny,  
I we mnie zaraz żądze się zmieniły,  
Ani mnie zwabisz przez słowa zdradliwe,  
Nie wierząc-ć boś mnie zabiła na żywe.  
Niech ci kto inszy tymże szczęściem służy,  
Że go jako mnie oszukasz i zdradzisz;  
Darmo-ć się oko smętnym płaczem mruży,  
Darmo się stroisz i zwierciadła radzisz,  
Darmo-ć się na twą gładkość, przedtym duży  
Na serce moje rynsztunek tak sadzisz.  
Strój twój, frasunek, gładkość i przymioty,  
Wszystko to za nic: cnoty-m ja chciał, cnoty.  
Szaloną miłość, trochę afekt ślepy,  
Rozrzutne twoje uleczyły chęci,  
Serca mi więcej nie skrwawią oszczepy  
Miłości, ani kłopot w głowę wleci;  
I jeśliś czynił przez niebieskie sklepy  
Przysięgę, chować tve łaski w pamięci,  
Teraz zaś klątwą wyrzekam się drugą,  
I nieprzyjaciel chcę być — byłem sługą.

Do panny.

(Sonet).

Tysiąckroć, moja bohaterko cudna,  
Chcę z tobą stale zawierać przymierze,  
I spisać naszą zmwę na papierze,  
I ty do tego nie zdasz się być trudna.  
Ale ja idę wprost, — a tyś obłudna,  
Bo choć ja mieszkać w pokoju chcę szczerze,  
Twe usta zdrajcy, tve oczy szalbierze  
Harcują ze mną jako rota ludna.  
Łacno to wygrać, bo gdy się ja boju  
Napieram, stoisz przy umownej radzie;  
Kiedy zaś spuszczę i wierzę w pokoju,  
Ty wojnę rzyśko zaczynasz na zdradzie.  
Przebóg! przymierza! A że nie dla stroju  
Przymierza proszę: weź serce w zakładzie.

### Staremu.

Prosił o całus pannę Bartosz chciwy;  
Nie zezwoliła, że był bardzo słwy,  
Postrzegł się, że tam słwemu nie dadzą,  
I głowę czarną ufarbował sadzą.  
Ona poznawszy rzecz: prosisz siła,  
Dopierom ojcu twemu odmówiła.

---

### Pieśni religijne.

Pokuta w Quartannie r. 1678.

O Boże! jakoż podnieść grzeszne oczy  
Tam, gdzie Twoja moc wieczną światłość toczy!  
Jam robak ziemny, proch marny, pies zgniły;  
We mnie się wszystkie brzydkości zrodziły;  
Jam jest nieczystej białej głowy szmaty  
Kawalec, wywóz miejskich ścierwów! A Ty  
Jesteś, któryś jest, wieczny, niepojęty,  
Pan Bóg zastępów, Święty, Święty, Święty!  
Tyś szczerą czystość, niewinność bez skazy,  
Jakoż Ci swoje odkrywać mam zmayı.  
Jam widział gmachy śmiertelnego grzechu  
Siedmloraklego i straszny w pośmiechu  
Zakon Twój miałem i Tve przykazanie  
Kaźde-m znieważył albom zgwałcił Panie.

Jam niejednego, chociaź Twa przestroga  
Przeciwna była, miał Pana i Boga;  
Jam z swych wymysłów bałwanom ofiary  
Oddawał, niosąc namiętności w dary.  
Brzuch mi był bogiem i tak bogów wiele  
Miałem, jako mam zmysłów w własnym cielesie,  
Bo gdy mię który zwyciężył nałogiem,  
Zbyteczność panią, a zwyczaj był bogiem.  
Częstom człowieka tak spodobał sobie,  
Żem kładł w nim większą nadzieję niż w Tobie.  
Często godności i dobrego mienia  
Chciwość tak srodze ujęła sumnienia,

Żem ich posadził, jakoby tam Ciebie  
Nie było nigdy za bogi na niebie.

Jam brał nadarmo i z lekką uwagą  
Imię Twe, ciężką karmiąc Cię zlewagą.  
Mieć na bluźnierstwa obrzydłe otwarty  
Język za dworstwo miałem i za żarty;  
Zakazanemi często się krępowałem  
Kłátwami, których strach mię nie zdejmował;  
Krzywoprzysięstwem żem grzeszył, mój Boże,  
Któż nad Cię lepiej przeświadczyć się może,  
Kiedy mu w całej został obietnicy,  
Która-m uczynił przy świętej krzcielnicy.

Jam tak słódmy dzień święcił i niedzielę,  
Żem rzadko bywał i w te dni w kościele.  
Poprzestałem weń powszedniej roboty,  
Alem się puścił na większe niecnoty.  
Wtenczas i tańce i tłustsze obiady  
Odprawowałem, zbytki i biesiady  
Jakby ten dzień był od roboty pusty  
Dlatego, abym czas miał do rozpusty.

.....

Jam wszeteczeństwa wszelkiego świadomy,  
I obywatel bezbożnej Sodomy.  
Rzadki dzień minął, rzekę, i godzina,  
Żeby nie przybył świeży grzech i wina.  
To myśl pragnęła, pożądało oko,  
To serce ognia zawzięło głęboko,  
Ty będąc świadom mych najskrytszych złości,  
Cóż Ci mam swoje wyliczać próżności?

Jam nie kradł, ani idąc za pożytkiem,  
Zmazałem duszę występkiem tak brzydkiem.  
Czyliż też i kradł, gdym ludziom pocziwym  
Sławy uwłaczał językiem pierzchliwym.  
Mogłem też podczas odkryć złe zawody  
I tym zachować bliźniego od szkody.  
Więc te, któremi łowią więc nieuki,

Dworskie wykręty i zdradliwe sztuki,  
Że się ustawnie w koło mnie bawily,  
Snadź i mnie na swe kopyto zrobiły.

Gadki.

Gadka 2.

Trudno zgadnąć z jakiej-em natury złożony;  
Skrzydła mam, a nie latam, brzuch nienasycony  
Noszę i głodny zawsze, jako wór dźlurawy,  
Który zaraz jak przymie, oddaje potrawy.  
Zębów nie mam, a drobno gryzę; jedną nogę  
Tylko mam, lecz i na tej postąpić nie mogę,  
Ciało się wszystko rusza, jednak w swoim clele  
Wkoło się tylko kręcę, a krzyż mam na czele.  
Mam przyrodnego brata, ale z tym niezgoda,  
I tak-eśmy są różni, jako wiatr i woda.

Gadka 10.

Drzewo-m jest świeże, ale nic nie rodzę,  
Korzeń mam w głowie, na gałęziach chodzę,  
Listopad u mnie bywa i wśród lata,  
Ciesz się mnie tego ochędożka świata,  
I gdzie ja przejdę, kędy się zawinę,  
Tam zaraz piękniej, szpetnego nie minę;  
Podczas mnie w konia zamienią z rozpusty,  
Lecz owsa nie je i nie będzie tłusty.  
Gdy mnie rozedrą, to nawiedzam dzieci,  
Choć u nich nie mam ni łaski, ni chęci.  
I wasi starzy tak twierdzą ojcowie,  
Choć mózgu nie mam, że mózg ostrzę w głowie  
Tak za tą różnych sposobów przysługą,  
Raz bywam mistrzem, a drugi raz sługą.

Hieronim (Jarosz) Morsztyn.

Fortunne lata.

(Autorstwo niepewne.)

Myśl wesoła, niestroskane

Serce, zdrowie niełatane,

Z zyskiem praca, wiek pogodny,  
Dni spokojne, rok nległodny  
Sen smaczny, czyste sumienie  
To szczęście, to dobre mienie.

Kopa od potrzeby w domu  
Nie być winien nic nikomu,  
Ratować czasem bliźniego,  
A mieć swego do nowego,  
Nie znać szczęścia odmienności,  
Zbiór to wielki, wielkie włości.

Ojczysta wcale swoboda,  
Piękna sława, z bracią zgoda,  
Sąsiad dobry, wlerny sługa,  
Lichwa nżkąd jedno z pługą,  
Żona k'myśli rodowity  
Z nią przyjaciel, dar obfity,  
Chleb a żywot bez nagany,  
Skarb to nieoszacowany.

Potomek w ojca wrodzony.  
A płacheć niespustoszony,  
W tych pociechach włos sędziwy,  
Czyni wiek ludzki szczęśliwy,  
Dość temu fortuna dała,  
Komu w tem nie przeszkadzała.

#### G ó r n a d u m a .

Nie dbam o gmach murowany,  
Ani o złotogłowy  
Ubiór, ani o wysokie  
Trony i państwa szerokie.

Jabym dosyć miał i na tym,  
Kiedybym był tak bogatym,  
Bym się nie frasował,  
A coraz inszą miłował.

To są wszystkie moje żądze,  
Bez czego fraszka pieniądze.

Dobra myśl u ochotnego gospodarza.

Amphion z Orfeuszem, sławni muzykowie,  
Stawcie się w oblecanem do mnie dzisiaj słowie,  
Przed którymi przed laty, lasy, góry, skały,  
Rzeki, ptastwa i insze zwierzęta płaśaly.

Ty też miła Zosieńku bądź mi gościom rada,  
Pobleż sama do kuchni, a przyjrzyj obiada;  
A plekarzowi tortów, pasztetów z kreplami  
Kaź napiec, i kołaczów z cukrem z rozenkami.  
Ja zaś tymczasem w karty z pany się zabawię,  
Aza im jaką miłszą krotofilę sprawię.

Tuwalni wody dosyć, ale lepsze piwo,  
Tą się zmyć, owem się spłć, tak bywa jak żywo.

Panny trzeba przesadzać warstwą młodzieńcami,  
Jako gdy przesadzają róże gwoździkami,  
Raczcież Waszmość sieć za stół, moji mill goście,  
Jest mięso, są i ryby, co komu smakuje;  
Jest łośoś, są lipienie, jest i rosła szczuka,  
Jest smaczna w żółtej jusze cielęciny sztuka.  
Proszę i na dziczyznę, nowina w tym kraju,  
Taki bażant wlem że się nie lęgnie w tym gaju.  
Chleb z solą z dobrą wolą, jak starsi mówili,  
Kiedy więc najwdzięczniejszych gości zaprosili,  
Nuż piwa, wina, miodu — nie mam małmazyi,  
Tego roku-m nie jeździł poń do Olandyi;  
Ale chmiel nasz wystały i węgrzyn łagodny,  
Jest znacznego u wszystkich przywitania godny.  
Wilka dzień tym, co tu u mnie nie bywali,  
Aby ten pierwszy w dom mój przyjazd pamiętali.  
Zosieńku, pił do gości, proś ichmościów sama,  
O lepszą myśl chceszli mieć dziś trzeźwego pana.  
Proś ichmościów Zosieńku, aby skosztowali  
Tej zwierzyny, której nam Gdańszczanie przysłali;  
Wszakęś sama kuchmistrem tej potrawy była,  
Wierzę, żeś jej korzeniem dobrze dosadziła.  
Więc do wetów, a tym zaś wołoskiem dołożyć,  
Przy których możesz jaki małdrzyczek położyć.

A gdy się obiad skończy, w taniec muzykowie,  
Zagrajcie co grzecznego — rządni pacholankowie  
Są gotowi z pannami kształtownie wywijać.  
Kto nie dojadł, wolno mu z pannami dopijać,  
Nuż każdy z swą do swego gospodarzu tobie  
Czołem bijąc podpijemy sobie.

—  
Nie to szlachcic...

Nie to szlachcic, co ma wieś i swoje dochody  
Ziemiańskie z swych zachodów; nie to, kto z urody  
Ma wspaniałość szlachecką, a z ozdobnej twarzy  
Jakaś mu się nie tajnie szlachecka myśl żarzy;  
Nie ten, który się synem koronnym urodził,  
A w ojczystej swobodzie swoich przodków chodzi;  
Nie ten, którego pradziad zasiadł był w senacie,  
Ani, który w jedwabiu chodzi i szarłacie.  
Nie ten, który dostatek herbów z urodzenia  
Mieć może i przyjaćlół zacnego plemienia;  
Nie ten, który się handlem, kupiectwem nie bawi,  
Łokciem, kwartą nie mierzy, a wszędzie się stawi  
Gdzie posług jego trzeba, ojczyźnie o zdrowle  
Dla rzeczypospolitej nie folguje głowie;  
Nie ten, który pogańską krew rozlewał mężnie,  
I nieprzyjaćlół gromił ojczystych potężnie;  
Nie ten, który w szkatule szlachectwo swe chowa,  
Nie ten, któremu je też wysławia wymowa.  
Nie ten, który szlachciankę za mąż pojął, ani  
Nie ten, co go w rodzinie żaden nie nagani:  
Ale to prawy szlachcic co najmniejszą zmazę,  
Krwłą zmyć gotów — tego ja szlachcicem zwać każę.

—  
Zbigniew Morsztyn.

Pieśń wyrażająca w sobie wszelkie sposoby  
życia na tym świecie i ukazująca w czym  
największe szczęście człowiecze  
nadewszystko zawiera się.  
Trzykroć szczęśliwy który od młodości  
I wiek znikomy i czasu spłynności



Choć w ranym, ale dojrzałym rozumie  
Uważać umie.

Szczęśliwy, który na dwu prowadzących  
Rożno gościńcach nie idzie błędzących  
Stopami, ale wie, którądy trzeba  
Piąć się do nieba.

Szczęśliwy, który świat z jego wabami  
Pogardzić umiał i zdeptać nogami,  
Którego umysł jest nieporuszony,  
W kwadrat złożony.

Szczęśliwy mówię, ale gdzież takiego  
Najdziesz na świecie wieku dzisiejszego,  
Żeby od swojej najpierwszej młodości  
Nie uznał złości?

Żeby od kresu samego puszczonej  
Biegł na tak śliskiej drodze niepotknięty,  
Żeby we wszystkim życiu jego całe  
Nie było Ale;

Żeby na ten świat i jego szalone  
Dumy i fochy myśli zapatrzone  
Nie wpadły wespół z jego służebniki  
W zdradliwe wniki.

Dawno ci byli, których okazała  
Cnota do nieba żywo porывała,  
Dzisiaj takiego za naszego wieku  
Nie masz człowieka.

Wszyscy my zgola, których odmiennymi  
Hekate koły oświeca na ziemi,  
Wszyscy nieprawi, że nie masz jednego  
Doskonałego.

Wszyscy błędzimy a co starsze lata,  
To dalej bieżym w błędną puszcza świata.  
Rzadki na dobry tor powrót uczyni

Z dzikiej pustyni.

Tak przeciw wodzie płynąc, gdy ramiona  
Opuścisz, prędko powódź niewściągnięta,  
Tam cię zanieśie, kędy niezebrniony  
Nurt zakręcony.

.....

List od Imci Pana Alexandra Mierzeńskiego  
porucznika chorągwie pancерnej Księcia  
Imci Janusza Radziwiłła, wojewody wileń-  
skiego i hetmana wielkiego W. X. L.

.....

Nie śpi a słuchaj, jeślc miękkie puchy  
Jeszcze marsowe nie stłumiły duchy:  
Miasto hejnału jać zaśpiewam nowe  
Rymy Marsowe.

Nie dufa sobie mowa moja, żeby  
Miała wojsk całych okrutne potrzeby,  
Dzieła wielkiego wodza, wszystkie szyki,  
Pisać w kroniki.

Ciebie tu tylko wspomni moje pióro,  
Srogiej Bellony niewyrodna cora,  
A matko moja kiedyś niezwalczona  
Dziś pogrzebiona.

Mężna orlico, pod twymi skrzydłami,  
Twe dzieci między gęstymi śmierclami  
Chwalebnie we krwi zdradzieckiej brodziły,  
Swej nie szcędziły.

Tys dzieci swoich wprzód odżałowała,  
Gdyś je pod straszne wojska posyłała.  
Szli, nie bali się wojsk całych pogoni  
W dziesiętlu koni.

Myśmyć tych gości na cześć zaprosili,  
Myśmy się z nimi najpierwej zwadzili,  
Gdzieśmy się i tej liczby w małej chwili  
Nie dolliczyli.

Pod krzyżem twoim huflec nasz szczęśliwy  
Bóg pierwszy zawsze zaczynał straszliwy.  
On go i kończył jak przedtym z Rusinem,  
Tak z Moskwicinem.

Tyś od siostr twoich wszystkich odbieżana  
Sama okryła wielkiego hetmana;  
Od twojej odniósł szczególnej obrony  
Żywot zwątplony.

Na tymże placu, gdzieś mężnie stawała,  
Tameś się, matko nasza, podesłała  
I twój pospołu z tobą piastun drogi  
Pod pańskie nogi.

Drugiś w rejestrze doświadczony mężu,  
Znać cię po ręce, znać cię po orężu,  
Kiedyś w potkaniu pierwszy czynił naszym  
Kredens pałaszem.

Oj nie jednegoż zbrojnego Iwana  
Posłała ręka twoja do Abrama.  
Niejednegoś ciął po sobolim szyku,  
Cny poruczniku.

I ty zacnego Gradywa kochany  
Sławny chorąży nie jest zapomniany.  
My cię żałośnie wspominać będziemy,  
Póki żyjemy.

Tyś dał najlepszą wodzowi obronę,  
Tyś mu z swych piersi uczynił zasłonę.  
Tyś sam w się przyjął raz nieuleczony  
Jemu nieslony.

Zacny Mnichowski, tyś naszą ozdobą  
Był kiedyś, miło nam bywało z tobą  
Dobra i licha zażyć, lub w pokoju,  
Lub w srogim boju.

Ległeś nieboże! A twe piękne ciało  
W sztuki rozcięte lubo nie zostało  
Zwierzom na opas, wzięli je troskliwi  
Bracia życzliwi.

.....

Duma sześciu panien podczas oblężenia  
krakowskiego in anno 1657.

.....

Jako łódź płynąc nie zostawi szlaku,  
Jako ptak lecąc, tak my dni trawimy,  
To mamy w zysku, co się narobimy.  
Czubek u dudka, u ciebie ślimaku  
Rożki na głowie; staniec nam za rogi,  
W panińskich rękach fasulec tak srogi.  
Ciężkać nam praca, ale w niej przysmaku  
To nam dodaje, że i w tym żywocie,  
Jako oliwie być na wierzchu cnocie.

Żeś od chłopskiego biedę miał bijaku,  
Za to do dziewczej dostawszy się rękł,  
Takieś jej wzajem pozadawał mękl.

Wyganiasz w pole bydelko skotaku,  
A Bóg je żywi, tenże i nas pasie,  
Że jeszcze żyjem, choć w takim hałasie.

Pczołka w lipowym ma swój domek pniaku,  
Słowczek we krzu, pliszeczka na kępie  
Gnieździł się, nasz dom, nasze gniazdo w stępie.

Złemnemu roście korzonek pętraku,  
Ptaszkowi ziarnko, żabkom deszczyk z nieba,  
A nam jak ciężko na chleb robić trzeba.

Szczęśliwys teraz, szczęśliwy wieśniaku!  
Twoja w lepiance bezpłeczna prostota  
My i za murem niepewne żywota.

Polak Kamieńca a Ruslu Kodaku  
Pilnuje, my też u krakowskiej bramy  
Czasem z nagimi piersiami stawamy.

.....

Druga дума samegoż autora pod tenże czas  
oblężenia krakowskiego, gdy był u Szwe-  
dów więźniem.

Ja śpiewam, chociaż błedy Zgoła mlzernego  
Ogarnęły mię wszędy Więźnia ubogiego,  
Choć nieszczęśliwy  
I ledwom żywy.

Śpiewam ci, ale moje Serce bez przestania  
Cieżkie ma niepokoje, Gdy częste wzdychania  
Trapiąc mą duszę  
Wylewać muszę.

Ja śpiewam choć ojczyzna Matka utrapiona  
Ona tak niegdyś żyzna, Tak niezwyknięta,  
I z nią jej czyny,  
Idą w perzyny.

Śpiewam ci, lecz me pieśni Tylko faunowie  
I satyrowie leśni Po głuchej dąbrowie  
Niechaj śpiewają  
A narzekają.

Ja śpiewam, a potoki Z krwi polskiej zbierają,  
A dymy pod obłoki Z miast i ze wsi wstają.  
On kraj wesoly  
Idzie w popioły.

Śpiewam ci lecz nie skaczę, Takie noty moje  
Jak matka rzewnie płacze, Kiedy widzi swoje  
Dzieci ukochane  
Zieml oddane.

Ja śpiewam a tak wiele Braciej mych kochanych,  
Jednych miecz w polu ściele, Drugich poimanych  
Równą mej dołą  
Pędzą w niewolą.

Śpiewam ci jak Niobe, co na dzieci ciała  
I na swoją żalobę patrząc Skamieniała,  
I me choć śpiewa  
Serce omdlewa.

Ja śpiewam, choć mizerną Dolą swoją czuję,  
Choć mam żalność niezmierną, Choć nie upatruję  
Końca niewoli  
Choć serce boli.

Śpiewam ci, lecz śpiewanie Takie, które rodzi  
Lamenty, narzekanie, Krwawych łez powodzi  
W tak gorzkiej chwili  
Barziej rozkwili.

Ja śpiewam, a me kości Skorą powleczone  
Już wyschły od żalności; gdy Parki łakome  
Nici zwijają  
Wiek moj skracają.

Śpiewam ci, lecz połykam Łzy, jak więc troskliwy  
Lamentuje pelikan, Kiedy mu myśliwy  
W zdradliwe sieci  
Pozbiera dzieci.

Ja śpiewam choć mej głowie Za lada przyczynę  
Wisi na nitce zdrowie. Na każdą godzinę,  
W każdym momencie  
W tymem odmiecie.

Śpiewam ci jako licha, Gdy lubego zbędzie,  
Synogarlica wzdycha, Na żadnej nie usiedzie  
Rozdrze zielonej  
W żalności onej.

Ja śpiewam, a me siły Tak długim wzięciem  
Już się prawie zwątlily, Żem już prawie cieniem;  
Mną gdy wiatr wieje,  
Jak trzcina chwieje!

Śpiewam ci, lecz me głosy, Głosy żalnościwe,  
Echo porannej rosy, Rozbija płaczliwe,  
Gdy po dolinie  
Dźwięk się rozwinie.

Ja śpiewam, choć o wodzle I o samym chlebie  
Trwać muszę w takim głodzie, W tak ciężkiej potrzebie  
Patrząc, azali  
Kto się uzali?

Śpiewam ci, lecz obfite Serca zranionego  
Co w nim były zakryte, Kształtem dżdża ranego,  
Łzy wypadają  
Pieśń zalewają.

Ja śpiewam, choć prawie Od zimna srogiego  
Zkościł na gołej ławie, Bez posłania wszego.  
Takie me wczasy  
W tak ciężkie czasy.

Śpiewam ci, ale duszy, Którą narzekanie,  
Którą frasunek suszy, Niemile śpiewanie,  
Pieśń, którą śpiewam,  
Łzami zalewam.

Ja śpiewam, a wyć trzeba, Na me przyjaciele  
Kiedyś im dawał chleba, Znało mię ich wiele,  
Dziś im me chęć  
Wyszły z pamięci.

Śpiewam ci, lecz kłopoty, Których mię straszły  
Ustawiczne obroty, Moje obrociły  
Rymy radosne  
W treny żalodne.

Ja śpiewam skamieniały, A gdzież me dostatki?  
Gdzie się wczasy podziały? Już pono ostatki  
Ogniem spalono,  
Z ziemią zrownano.

Śpiewam ci i śpiewać będę, Do kresu samego,  
Poki na łódź nie wślę, Charona srogiego,  
Gdy w blade cieni  
Świat ten zamieni.

Śpiewam, lecz nie w rozpacz, Choć w takiej ciężkości,  
Bo o mnie wiedzieć raczy Bog mój z wysokości,  
Co wszystko może  
Ten mię wspomóż.

Hejnał na dobry dzień ofiarowany Jej Mci  
Pannie Zofii z Szpanowa Czaplicownie od  
Imci Pana Zbigniewa z Raciborska Morstyna,  
miecznika mozyrskiego.

Hejnał, panie serca mego  
Ockni się ze snu smacznego.  
Już twój sługa nieospały  
Zaczynać nowe hejnały.

A choć jeszcze ociężałe  
Snem, twe oczy są wspaniałe.  
Leżąc między miękkim puchem,  
Słuchaj młę łaskawym uchem.

Już pewne o dniu otuchy  
Pieją marsowe posłuchy,  
Już jaskółki latają,  
Gdy się zorze zapalają.

Już skowronek wykrzykając  
Dzień nastający witając  
Pod obłoki wylatuje,  
Bledne ptaszę radość czuje.

Już na zielonej murawie  
Krzyczą zamorscy żorawie,  
Rącze loty wysmykują,  
Już od ziemi podlatują.

Zaczynają zamierzone  
Loty swe w daleką stronę.  
Już ci to znać dzień nastaje,  
Gdy wszędzie wesole gaje,

Osiedli ptacy krzykliwi,  
Którym się echo przeciwi.

A pielgrzym ranego wstania  
Dla tak wdzięcznego śpiewania

Nle żałuje, gdy w pustyni  
Spoczynek z trudu uczyni,  
Potym zaś w zaczęte drogi  
Wyprawi zwyczajne nogi.

Już zwierz srogi gdy dzień czuje,



Z pol do pustyń ustępuje.  
Już i pszczołki pracowite  
Lecą na sady obfite,

Skąd swoje woskowe grody  
Napełnią wonnymi miody.  
Już z ziółek krople perłowe  
Zbiorą promienie febowe.

Już na królewskie pałace  
Gromada dworzan kołace.  
Już i muzyki krzykliwe  
Grają im na dni szczęśliwe.

Już słę w dziedziniec bogaty  
Pańskie sypą kawalkaty;  
Pięknych strojów pełno wszędy  
Świecą się bogate rzędy.

Pryskają konie chodziwe,  
Głosy podnosząc krzykliwe.  
Nie czują jeźdźca na sobie,  
Najweselsze o tej dobre.

Już wszędzie ogromne dzwony  
Roznoszą dźwięk w różne strony.  
Już i kościelne chorały  
Śpiewają święte hejnały.

. . . . .

Na dobrą noc tejże od tegoż.

Dobranoc, moje kochanie!  
Śplewałem ci na zaranie,  
Lecz i teraz, kiedy cienie  
Nocne już okryły ziemię

Kiedy złotoblaskie słońce  
Swoje zmordowane konie  
W głębokim morzu napawa  
A po nim piękna nastawa

Dyana z krzywymi rogł,  
Gdy z pustyni w pola zwierz srogł  
Idzie na żyr, gdzie zielone  
Łąki rosą pokropłone;  
Gdy pod kopą porzucony,  
Lubo w siano zagrzebiony  
Pasterz, lubo legł pod lipą,  
A wołki mu trawę szczypą;  
Gdy tak chatki jak pałace  
Umilkły od swojej prace,  
Bledny człowiek odpoczywa,  
Kiedy ziemię mrok przykrywa;  
Gdy i wojsko niezwalzone,  
Na czule straże spuszczone,  
Po ciężkim marsowym dziele,  
Zażywa spokojnej chwile;  
Kiedy i sam świat przestrony  
Umilkł jakoby uśpłony;  
Gdy się wszystko uciszyło,  
I tchnie by się godziło,  
Ulubiona panno moja  
Brać się na wczas do pokoja.

. . . . .

Stanisław Morsztyn.

Z »Żalu« czwartego.

Cóż jest tak szczęśliwego, żeby z każdej miary,  
Na tym świecie być mogło całe bez przywary?  
Nie będzie młód bez żądła i róża bez ości,  
Cnota bez obmówiska, sława bez zazdrości.  
Im twarz piękniejsza, tem ją mniejsza wada szpeci;  
Im się da żralsze jabłko, prędzej czerwłem zleci;  
Zawsze się biała szata najrychlej ubrucze,  
I szkło im subtelniejsze, tem się łatwiej stłucze.  
Zwyczajna to natury i fortuny moda,  
Coś wczora miał, w tem cię dziś może potkać szkoda.

Trudno dufać choć pięknie kwitnącej młodości,  
Ani nadzleje w sile, ani kładź w dużości.  
Tak trzeba szczęście i tak sądzić jego dary,  
Jak bańkę na powietrzu nadętą od pary,  
Która wtenczas, kiedy się najpiękniej napuszy,  
Nagle zniknęła i w drobną rosę się rozprószy.  
Ze mnie, ze mnie wzór niechaj biorą ludzie smutni,  
Odmiany i nikczemnej świata bałamutni:  
Ojca dzieci grześć miały, aż je ojciec grzebie  
Jedno po drugim! — Trudnoż ostatniej potrzebie  
Uniknąć — . . . . .

Z »Żalu« szóstego.

Mizerna kondycya, srogle oszukanie!  
Co gorsza, rzadko się kto wczas obejrzy na nie,  
Masz dostatki, masz w żywej dobrej włoskę roli,  
Fortuny, jeślić się w niej rozgościć pozwoli,  
I śmierci spytaj, jeśli cię wprzód nie zarzeże,  
Bo już kto inszy na nią o czem nie wiesz, strzeże.

Kupiłeś materyi chcąc ciału dogodzić,  
Bogatej: kto wle, jeśli pozwolą w niej chodzić;  
Albo jeżeli ją w dzień stargował fortunny,  
Jeżeli miasto grzbieta nie odzlejesz trumny.

Starasz się o honory, masz króla po sobie;  
Poradz się śmierci, jeśli wprzód nie będziesz w grobie  
Albo fortuny, bo ta idzie na twej poszcie,  
I inszemu je może dać o twoim koszcie.

Masz dzieci, wprzód, nim się w nich rozkochasz, ma rada,  
Spytaj się, jeśli wolno — bierz miarę z sąsłada.  
Nie myśl, i darmo nie trudź głowy, człeczce, radzę.  
Chodź ci tu dobra wszystkie do kupy sprowadzę:  
Albo ty od wszystkiego, gdy cię śmierć zagrzebie,  
Albo wszystko z fortuną odejdzie od ciebie.

To się już nic nie znalazł na tym świecie niżkiem  
Co by człowieka mogło cieszyć jakim zyskiem?  
To dobra nie masz, ani spodziewać się godzi,  
Żeby go zażył, kto się na błedy urodził?

Nic z tego — jest tu dobro, jest klejnot tak drogi,  
Który ani fortunie, ani śmierci sroglej  
Nie podlega, żadnej się bynajmniej nie boi;  
Jak one z ludzi, tak z nich komedję stroi.  
Cnota jest tym klejnotem — i t. d.

. . . . .

#### Do żony.

Mamy miłość statecznej przykłady,  
Siła ich dawne wspominają dzieje;  
Lubo najmniejszej nie byłoby zdrady,  
Przestać kochania, przestawszy nadzieje.  
U starych jednak grzech to był szkarady. —  
Nie jednaż się dziś na pogrzebie śmieje,  
I choć w żałobie, chociaż w grubym worze,  
Myśli o fochach, i o successorze.

---

# STANISŁAW HERAKLJUSZ LUBOMIRSKI

(1636—1702).

# JAN CHRYZOSTOM PASEK

(1630—1701).

»Jeżeliby kto — mówi prof. Brückner — osądził wojsko polskie XVII-go wieku, wojsko kłuszyńskie i chocimskie, wedle wieszających się koło niego ciurów i drabów, ściągnąłby na siebie słuszny zarzut stronnictwej, zawistnej niesprawiedliwości albo potwornej nieznamości rzeczy. A przecież osądzono niegdyś trybem nieco podobnym poezję tego wieku! Skazawszy ją raz zaocznie (bo nie wysłuchawszy należycie jej samej) na łufamję dla takich grzechów przeciw dobremu smakowi, jakimi są *makaronizm* i *panegiryzm*, zaczęto dopiero w ciągu XIX-go wieku, na podstawie nowych informacji, wątplić o prawomocność przedwcześnie zapadłego wyroku, a z każdym dziesiątkiem lat przybywały nowe świadectwa, wychylały się z pod mgły zapomnienia coraz poważniejsze, dowcipniejsze, jaskrawsze fizjognomje literackie, mistrze pióra i formy, głowy patryjotyczne, myślące, pełne humoru i fantazji szczeropolskiej, ludzie poloru i smaku, tacy jak Wacław Potocki, Łukasz Opaliński i Jan Andrzej Morsztyn.«

Do tego szeregu istotnych przedstawicieli kultury literackiej XVII-go wieku należy także Stanisław

Herakljusz Lubomirski, zwany popularnie »Salomonem sarmackim (polskim).«

Osobistość to na tle swojego czasu oryginalna, przez wielu nawet za niepospolitą uważana.

Syn Jerzego Sebastjana, marszałka w. k. i hetmana polnego, słynnego rokoszanina, i Konstancji z Bobrka Łigęzianki, urodził się w roku 1636-tym (data niepewna).

Młodość — opowiada, streszczając dotychczasowe badania, Ant. Marylski w przedmowie do książki Lubomirskiego »O znikomości rad« — miał burzliwą i chmurną. Wciągnięty w wir wojny domowej przez ojca, trybuna tłumy szlacheckiego, zapoznał się wczesnie ze zmienną koleją losów ludzkich. Na sejmie 1664-go bronił rodzica bez powodzenia, bo wyrok sądu sejmowego skazywał Jerzego Lubomirskiego, »b. marszałka w. k. i hetmana polnego« »na utratę czci i życia i konfiskatę wszystkich dóbr«. W roku następnym przeszedł przez nowe upokorzenie, gdyż przeproszał królowę Marię Ludwikę w imieniu ojca, a choć z »byłym hetmanem polnym« triumfował po zwycięstwach rokoszan pod Częstochową i Montwami, to jednak wkońcu widział ojca, padającego do nóg Majestatu, w namiocie królewskim w Łęgonicach, a w rok potem dowiadywał się o jego śmierci we Wrocławiu.

Wierny pamięci ojca, w r. 1669-tym na sejmie elekcyjnym króla Michała uzyskał skasowanie hańbiącego imię rodzica wyroku. Upokorzenia te i zawody, jakich zaznał zamłodu, losy przychylnie wymazały później z jego pamięci.

Jeszcze za życia ojca był starostą spiskim, w roku 1669-tym mianowany został podstolim koronnym, na sejmie walnym koronacyjnym r. 1670-go plastował laskę marszałkowską, w roku zaś 1676-tym otrzymał marszałkostwo wielkie koronne.

Dla utrzymania Spłsza przy koronie położył duże zasługi. Sejm roku 1670-go umiejętnie do końca doprowa-

dził. Cieszył się względami króla Michała, a i król Jan III był dla niego łaskawym i szczerym panem. W roku 1683-im na sejmie »za instancją całego generału obywatelów X. Mazowieckiego, tudzież z respektu osobliwego na zasługi«, król Jegomość grunty wsi Jazdowa (Ujazdów dzisiejszy) do dziedzicznych Stanisława Lubomirskiego przyłączył. Ożeniony był dwukrotnie: pierwszym ślubem z Zofją Opalińską, marszałkówną koronną, córką Łukasza, drugim — z Elżbietą Denhoffówną, podkomorzanką koronną.

Umarł dn. 17 stycznia 1702-go roku w Ujazdowie. Pochowany w Czerniakowie pod Warszawą.

Pisać rozpoczął, jak mniema prof. Brückner, około r. 1664-go. Pierwszemi jego utworami są prawdopodobnie pozostające dotychczas w rękopisach: komedja »Don Gusman«, farsa »Lopes« (treść wzięta z Dekameronu) i komedja pasterska »Ermida albo królewna pasterek«, nadto ogłoszona drukiem przez Żaluskiego w »Zbiorze rytmów« »Historja Orfeusza i Eurydycy«. Młodzieńczym utworem Lubomirskiego ma być także: »Satyrus rudis de eliberatione Cracoviae et bello Svecico« (o oswobodzeniu Krakowa i wojnie szwedzkiej), poemat, wydany w Krakowie w r. 1658-ym. Autorstwo jego jest jednak sporne.

Z późniejszych utworów do ważniejszych należą:

- 1) Muza polska na tryumfalny wjazd Najjaśniejszego Jana III (1674);
- 2) »Melodja duchowna o przesłodkiej narodzenia naszego Zbawiciela... tajemnicy«, Kraków 1682. Utwór wielokrotnie przedrukowywany.
- 3) »Theomusa albo nauka włary Chrystusowej«. Tekst łaciński z polskim obok (wierszem). Pierwsze wydanie bez miejsca druku i roku. Drugie — Warszawa 1683. Trzecie — 1697. Nadto kilka wydań w XVIII w.
- 4) »Rozmowy Artaksessa i Ewandra«. Pierwsze wydanie bez miejsca druku z r. 1683-go. Drugie —

Warszawa 1694. W XVIII-tym wieku czterokrotnie przedrukowane.

- 5) »De vanitate consillorum« Warszawa (prawdop. 1699). 16 wydań w XVIII-ym w. W przekładzie polskim p. t. »Próżność i prawda rady«. Toruń 1705. Kilka przedruków w XVIII-tym wieku. Nowe wydanie Ant. Marylskiego p. t. »O znikomości rad«. Warszawa 1916.
- 6) »Tobiasz wyzwolony«. Warszawa 1683. (Kilka wydań.)
- 7) »Adverbiorum morallum sive de virtute et fortuna libellus«. Warszawa 1688 (kilka wydań). W przekładzie polskim ks. Ant. Chr. Łapczyńskiego p. t. »Adverbia moralne abo o cnocie i fortunie książeczka«. Warszawa 1714.
- 8) »Aman do Asswerusa.. nad wszystkie inne książęta wywyższony i poniżony«. Bez miejsca druku R. 1745. Poemat w 9-ciu pieśniach. (Autorstwo Lubomirskiego niepewne).
- 9) »Ecclesiastes po hebrajsku nazwany Coheleth«. Warszawa 1706. (Wierszem.)

Pomimo tej dość bogatej puścizny »niełatwo wszakże odtworzyć sobie oblicze duchowe Salomona polskiego« (Marylski).

Ksiądz Andrzej Załuski, biskup warmiński, założyciel słynnej biblioteki w Warszawie, pisze o nim, że był to »Katon polski, który do tej doskonałości umysł swój przyprowadził, że nie tylko nie chciał, ale nawet nie mógł być złym obywatelem«. »Był to mąż, w każdym rodzaju nauk doskonale wyćwiczony: a co i w mądrych ludziach jest rzeczą rzadką przy gruntownym rozsądku i wspaniałym umyśle, nie miał żadnej wynalności i chciwości, próżnej chwały. Żywość swą roztropnością, a odwagę ostrożnością miarkował. Żadnej rzeczy nie brał przed się bez uwagi, a raz przedsięwziętą statecznie utrzymywał«. »Był on z przyrodzenia gwałtownym, ale rzadko widziano go



zagniewanym, i to z pomiarkowaniem. Dla wielkiej jego w przedsięwzięciach ostrożności bojaźliwym go być niektórzy rozumieli. Miał on tę w sobie namiętność, jako człowiek, ale bez przywar, bojaźni przyzwoitych.« »Spokojność życia nad próżne i troskliwe prace przenoślił«.

Ta charakterystyka księdza biskupa warmińskiego wpisana do III-go tomu jego »Epistolarum«, zaraz po śmierci Stanisława Lubomirskiego, bo 4-go marca 1702-go roku, wymaga jednak uzupełnień i pewnych sprostowań—mówi Marylski.

Jak widać — dodaje — z jego pism, była to natura bardzo skomplikowana, wszechstronna i pełna sprzeczności. Pobożny aż do ekstazy, idzie chętnie za głosem myśli swawolnej. Pisze »decymkę myśli świętych, albo 10 elegji polskich Pisma Świętego«, »Toblasza wyzwolonego czyli księgi Toblaszowe z Pisma Świętego«, układa księgi pobożne, przyśłowia moralne, scenizując jednocześnie nowele Bocaccia i kreśląc płocze dialogi dla teatru.

Jego »Muza na szczęśliwy wjazd Jana III-go składa czolobitność królowi, z którego rąk dobrodziejstwa przyjmuje: a w r. 1688-ym knuje przeciw Sobieskiemu spisek, po jego zaś śmierci dokucza królowej i występuje przeciw królewiczom.

Wykazując znikomość rzeczy ludzkich (»O znikomości rad«), w roku 1682-ym zaleca się do dworu francuskiego, aby go poparł na tron węgierski, w razie gdyby Węgrom udało się pozbyć cesarza.

\* I jeszcze jedna sprzeczność, choć mniej istotna. W Czerniakowie stawia kościół dla zakonu bernardynów, do którego, po wycieczce do Rzymu, w r. 1687-ym sprowadza ciało św. Bonifacego i sobie tam nagrobek pisze: »hic jacet peccator hujus loci fundator« (tu spoczywa grzesznik miejsca tego fundator), a jednocześnie w Ujazdowie wznosi dla siebie pałac, otacza go zwierzyńcem (późniejsze Łazienki) i teatr buduje.

Tę dwoistość, którą zapewne widzi w sobie, widzi także i w rzeczach ludzkich. W rezultacie wierzący, traci wiarę w skuteczność i celowość człowieka i staje się wyznawcą mądrości salomonowej, zamkniętej w bolesnym i gorzkim wykrzykniku: *vanitas vanitatum!*

Wykształcony i odczytany znał, jak widać z cytat, zamieszczonych w jego dziełach, a przede wszystkim w »Rozmowach Artaksessa i Ewandra«, pisarzy rzymskich i moralistów włoskich, odznacza się zgłębieniem tekstu i ducha Starego Testamentu oraz wykazuje, że czytał Montaigne'a i Bacona.

Lecz ostatni dwaj autorowie nie wycisnęli specjalnego piętna na jego umysłowości, i nie przejął się on ich światopoglądem. Sybaryta umysłowy, przypomina atoli jedno powiedzenie Bacona: »Czyż przyjemność uczuć nie jest większa od przyjemności zmysłów i czyliż przyjemność myślenia nie jest większą od przyjemności uczuć? Czy nie jest rozsądek myślenia jedyną, która nie przesyca i czyliż nie poznanie zwała ducha od wszelkiego niepokoju.«

Poza tem może Bacon wywarł na niego pewien wpływ swoim badaniem przyczyn niedoskonałości nauk, lecz już nie widzimy u Lubomirskiego śladu spostrzeżeń Werulamczyka o złudzeniach rodzaju ludzkiego, które mogły być wątplącemu filozofowi polskiemu przypaść do gustu.

Z Montaigne'm łączy go zaś chyba okrzyk francuskiego myśliciela: »Czy ja wiem!« i wspólny wogóle tego rodzaju umysłom — sceptycyzm.

Z jednym z filozofów — uważa Marylski — ma »Salomon sarmacki« najwięcej podobieństwa, mianowicie z Jakobem Böhme'm, który twierdził, że »żadna rzecz nie może być sama przez się oczywista bez przeciwieństwa.« Niewładomo jednak, czy wogóle znał Böhme'go. Najprawdopodobniej nie.

Myśl Lubomirskiego kształtowała się więc pod innym wpływem: Stary Testament, jego duch, jęki proro-

ków, bezbrzeżna ich gorycz — znajdują wyraźne odbicie w jego pismach.

»Nie dali mu ukojenia starohebrajscy puszczycowicze, — mówi Marylski — zmącili resztę pogody umysłu, wrodzonej każdemu Polakowi, a subtelny analityk, nicujący każdą sprawę, rozkładający ją na atomy, na kategorie, przypomina nieraz jakimś powledzeniem . . . werset Talmudu«.

Za daleko to posunięte przypuszczenie. Wystarczy stwierdzić bliższe i głębsze obcowanie z Pismem św. Starego Testamentu.

Działalność literacka Lubomirskiego rozwinęła się w kilku kierunkach: był autorem dzieł treści religijnej, tworzył lub przerabiał sztuki teatralne, wreszcie poświęcał swoje pióro zagadnieniom polityczno-moralnym. Pisywał po łacinie i po polsku. W języku ojczystym wykwiłtnie się wyrażał, zwracając szczególniejszą uwagę na styl i w »Rozmowach Artaksessa i Ewandra« nakreślił doskonały rozdział »o stylu albo o sposobie mówienia i pisania«. »Pisarz XVII-go wieku mówiący »o stylu« — woła St. Tarnowski, omawiając »Rozmowy« — »toż to dopiero muszą być fałsze i dziwactwa«.

»Otóż nie — dodaje zaraz — i na wielkie zdziwienie przyznać trzeba, że on tę kwestję rozumie daleko lepiej, niż wszyscy teoretycy stylu, nasi i francuscy z wieku XVIII-go i początków naszego, którzy chcieli stylu uczyć i ujmować go w reguły. Lubomirski tymczasem wie i rozumie, że styl to jest coś mimowolnego, wrodzonego, co zapewne może się wyrobić i wydoskonalić, ale czego sobie człowiek nie wybiera; styl znajduje się sam i sam instynktem rozsądku i harmonji między przedmiotem a sposobem pisania czy mówienia stosuje się do tego przedmiotu bez zamiaru i rozumowania tego, który pisze. Ma przytem autor »Rozmów« wiele wrodzonego zmysłu i smaku, jak dowodzi sąd jego o stylu współczesnych. Następują potem opisy stylu historycznego, oratorskiego,

stylu w historjach zmyślonych, które »Romaniami zowią«, i wreszcie poetyckiego, wszystko to prawdziwsze i praktyczniejsze, bardziej mogące nauczyć niż tomy, napisane dla nauczania stylu, począwszy od retorów rzymskich aż do Stanisława Potockiego.

Całokształt działalności literackiej Lubomirskiego, jej wartość, a nawet autorstwo niektórych prac podlegają dotychczas sporem.

Jan Magiera w swojej pracy p. t. »Stanisław Heraklusz Lubomirski jako pisarz i mówca« (Część pierwsza) zajmuje względem puścizny po »Salomonie polskim« stanowisko bardzo krytyczne.

Przechodząc najpierw rękopiśmienne utwory Lubomirskiego, a mianowicie jego dramatyczne sielanki pasterskie, prof. Magiera zaznacza ich podobieństwo do włoskich tego rodzaju utworów. Jest to najzupełniej zgodne z charakterem epoki, w której, jak wiemy, panowały w literaturze wpływy włoskie i francuskie.

Co się tyczy autorstwa przekładu »Pasterza wiernego«, Magiera poddaje się wprawdzie wyrokowi prof. Brücknera, że tłumaczenia dokonał ojciec poety, Jerzy Lubomirski, równocześnie jednak zbiera wszelkie możliwe argumenty przeciw Jerzemu, a za Stanisławem. Zajmując się następnie rymowanemi utworami, łączonemi z imieniem Lubomirskiego, nie przyznaje mu (choć nie stanowczo) autorstwa makaronicznego wiersza o oswobodzeniu Krakowa pod nagłówkiem: »Satyrus rudis«. Bardziej stanowczo odmawia mu autorstwa pieśni pochwalnej »Classicum« wbrew twierdzeniu prof. Brücknera, który się w tym względzie kieruje powagą Załuskiego. Uznaje natomiast »Muzę Polską« za utwór Lubomirskiego. Podaje jej treść, podobnie jak i innych wierszy, niektóre zaś wyrażenia i wiersze przy analizie krytycznej zestawia z odpowiednemi wierszami i wysłowieniami współczesnego Herakluszowi Kochowskiemu. Rozbiorem i oceną tych wierszy zamyka autor pierwszy okres twórczości po-

etyckiej Lubomirskiego. Granicę stanowi dla niego duch inny, który wleje z późniejszych wierszy pana marszałka nadwornego koronnego. Od »Myśl o wieczność« bowiem późniejsze jego pisma tchną wielką religijnością. Legendy różne się potworzyły o nawróceniu się marszałka z niedowlarka na wierzącego. P. Magiera objaśnia jednak tę zmianę usposobienia poety i ducha jego poezji z jednej strony wpływem bardzo pobożnej żony Lubomirskiego, z drugiej ogólną modą ówczesną, modą pisaną wierszy nabożnych. Z tych dwu kierunków wypłynął przekład księgi »Ecclesiastes«, »Pozje postu świętego«, »Teomuza« i inne, drobniejszej wagi wiersze poety, oraz piękna ślenska biblijna: »Tobiasz wyzwolony« i mniej zajmujący »Aman poniżony«.

Przy ocenie »Tobiasza« podnosi autor szczególnie poetyckie piękności tego utworu (np. przeddźwięk Benlowskiego), na co jednak już przed nim zwrócił był uwagę prof. Tarnowski, który nie taił swojego zachwytu nad tą »ślenską biblijną«, w której jest »coś łagodnego, i spokojnego, jak w powlastkach dla dzieci«, gdzie »nawet smutek lub przestrasz występują dyskretnie, żeby na czas zawsze zniknąć i gdzie »wszystko dobrze się kończy«.

»Miejscami — mówi Tarnowski dalej — jest to wcale niebrzydkie, jak np. modlitwa Sary w III-lej pieśni (strofa 13-ta i dalsze), albo poranek i opis rzeki Tygrysu w pieśni VI-tej, albo o weselu i rumieńcu w pieśni VII-ej (strofy 29, 31, 32), albo w ostatniej, w prorocztwie Tobiasza (str. 34) wyrażenie takie, jak »muzyk różnych pełne ślany«, co brzmi już jak żeby ze Słowackiego przepisane«.

Magiera zatrzymuje się jeszcze nad wycieczkami poety przeciwko ówczesnym zwyczajom polskim w »Tobiaszu«. Podobne wycieczki znajduje także w »Amanie«, tylko mniej liczne i ciekawe.

Dłuższe rozdziały swej pracy poświęca autor najważniejszym prozaicznym dziełom Lubomirskiego. W po-

Jęclach jego filozoficznych widzi on zależność od Seneki. Podnosi wszechstronne i wielkie wykształcenie »Salomona polskiego«, zaciemnione, niestety, ówczesnemi zabobnami i wierzeniami. Myśli niektóre Lubomirskiego, dotyczące Polski, o wojskowości zwłaszcza, zestawia Magiera z odpowiednemi myślami Andrzeja Fredry.

Ogółem biorąc, w oświetleniu Magiery Lubomirski, choć rozumowaniem i wykształceniem góruje nad Fredrą, nie dorównywa mu przecież prawością i uczciwością. Jako poetę nie stawia go też Magiera wyżej nad Kochowskiego, co się wydawało niektórym. Uważa, iż Lubomirski w smaku swoim literacko-estetycznym, choć zna i chwali wzory włoskie, a nawet je naśladuje, to jednak po dawnemu, jak szczerzy humanista, Rzymian ceni nad innych i zachwyca się nadewszystko Tacytem i Lukanem.

Przydomek »Salomona« uważa p. Magiera tylko za wykwit panegryzmu epoki, idąc w tym względzie za zdaniem prof. Chmielowskiego, który jednak pomimo pewnych zastrzeżeń znacznie wyżej stawia Lubomirskiego, ceniąc w nim jego poglądy filozoficzne, polityczne i społeczne.

Tak np. między innymi z naciskiem zaznacza Chmielowski, że Lubomirski pragnął wzmocnienia siły państwa i wobec zabiegów o przymierza, o zyskanie przyjaźni i pomocy mocarstw obcych za pośrednictwem poselstw wołał: »Posyłaj raczej do nich głowę potęgi twojej, wleść o wojsku zawsze gotowem i bitnem, o dostatecznych zasobach, o pewności siły, o lękaniu się ciebie, a nie trzeba ci będzie wysłać posła, bo inni posłów do ciebie wyprawią, a tak nie cudzych będziesz oczekiwać odpowiedzi, ale sam je dawać«. Jedyne źródło bogactwa krajowego upatrywał w roli, oburzając się na przeciążanie włościan podatkami: »Zachowaj Boże, abyś z ról cokolwiek wyciągał i we wnętrznościach ziemi, tej matki nas wszystkich, grzebał, skąd życie i żywność bierzemy, albo, żebyś miał rolników obciążać. Nie jest słuszną, abyśmy stamtąd

wysysał krew, skądśmy ją wzięli, toć nasze ciało jest. Równocześnie był zwolennikiem praw, zmierzających do wyrobienia oszczędności w społeczeństwie, każe bowiem tych okładać podatkami, co ohotniej płacą zbytkowi niż Rzeczypospolitej, »którym za lekko jest traćć prywatne rzeczy, niech im nie będzie ciężko dopomóc publicznej potrzebie; od utratników nabywaj, bez krzywdy sobie pomożesz, bez uciążenia zysk uczynisz«.

Lubomirski — mówi prof. Chmielewski dalej — »był to umysł obfity w argumenty, zbliżające cudze twierdzenia. Lubował się też w przeciwieństwach, w zestawieniu mniemań wprost sobie przeciwnych; rzadko dążył do utrwalenia jakiejś prawdy, ale gromadził mnóstwo błyskotliwych nieraz dowodzeń, mających wykazać ułomność i kruchość pewnych opinij; zdań przeciwnika atoli nie przytaczał w całej ich mocy, tem łatwiej wlec odnosił nad niemi zwycięstwo«.

Jest to bardzo trafna charakterystyka pisarza filozoficznego i politycznego, jakim Lubomirski był przede wszystkim.

Wprawdzie prof. Brückner uważa go za »najwybitniejszego« poetę XVII-go wieku, ale nie można się na to zgodzić, porównanie bowiem z Wacławem Potockim lub z Janem Andrzejem Morsztynem nie wypadnie na korzyść autora »Tobiasza«.

Umiął wprawdzie Lubomirski pisać wierszem, ten wiersz jego był gładki i nieraz naprawdę niebrzydki, jak to mu przyznał Tarnowski, ale siła jego twórcza była mała w porównaniu ze swadą staropolską autora »Ogrodu fraszek« albo z wykwintem i nowością strof erotycznych Morsztyna, piszącego wiersze miłosne do Kasi, Zosi i Jagusi.

Dla historyka literatury »Salomon polski« zawsze będzie ciekawy, jako pisarz filozoficzny i polityczny. Dlatego też z całej puścizny po nim wysuwają się na czoło

dwa utwory: »Rozmowy Artaksessa z Ewandrem« i »O znikomości rad«.

Przyjrzyjmy się im bliżej.

Wbrew wiekowi XVI-temu, który lubował się w dialogach i którego pisarze często tej formy używali (Rej, Orzechowski, Górnicki), wiek XVII-ty wolał swobodę wynurzeń lirycznych lub szerokość opowiadania epickiego, gdzie autor zawsze mówił od siebie, nie potrzebując zwalczać nikogo, z nikim wiesć sporów, na swoją korzyść lub niekorzyść gromadzić argumentów.

Dialog, oparty na konstrukcji logicznej, wymagający pewnych zdecydowanych dyscyplin, przezorności i bystrości umysłu, tudzież wyrobienia dialektycznego, nie mógł mieć licznych zwolenników wśród szlachty, przeważnie mało wykształconej w porównaniu ze swymi ojcami i dziadami, nawykłej zato do nieskrępowanej niczem narracji przy gęsto krążących klelichach.

W całej literaturze barokowej nie spotykamy go też u żadnego z przedniejszych pisarzy. Uprawia go dopiero Lubomirski. Uprawia zaś dlatego, że go stać było na tę trudną formę, umysłem bowiem i wykształceniem niewątpliwie górował nad wieloma ze swolch współczesnych. Nadto, jako miłośnik i znawca dobrej literatury starożytnej, miał te upodobania humanistyczne, które wśród rówieśnych mu były już przeważnie wygasły, ustępując miejsca wpływom włoskim i francuskim.

Jako filozof był Lubomirski encyklopedystą, wyprzedzającym znacznie encyklopedystów francuskich. Prawie o całe stulecie od nich młodszy, miał jednak niemal tak szerokie jak oni zainteresowanie umysłowe. Obchodziły go w równej mierze kwestje metafizyczne, polityczne, literackie i społeczne. Widać to wyraźnie z »Rozmów Artaksessa z Ewandrem«.

Artaksess i Ewander są to dwaj znaczni ludzie, »zapewne senatorowie — jak przypuszcza prof. Tarnowski — w wielkiem u króla zachowaniu, którzy spotykają się



co dnia w Wilanowie lub na zamku warszawskim i zdala od dworskiego zgietku, w ogrodzie lub w ubocznym jakim pokoju rozmowy swoje prowadzą.

Rozmowy ich są »mieszanią rzeczy dobrych z paradoksalnemi, dziwacznemi, czasem i śmiesznemi; zniechęcenia i sceptycyzmu z pobożnością i dobrą wolą, rozsądku z paradoksem, głębokiego sądu z naiwnością«.

Pierwsza zaraz Rozmowa o Nauce i Prostocie dowodzi, że nauka niczego nie uczy chyba złego. »Nauki są często bardziej zawadą cnoty, niż pomocą — orzeka Salomon polski XVII-go wieku — często obłudą niż prawdziwą mądrością«, ale dodaje zaraz, że »przecież cnota bez polotu i nauk ma coś w sobie ostrego i nieprzyjemnego, trzeba więc, aby przez nauki stała się miłą i wdzięczną«. Pierwszy człowiek, jego zdaniem, »póki nie skosztował nauki, miał dosyć rozumu dla cnoty i rozumną prostotą nie ruszał zakazanego drzewa; ale wąż chciał nauką nadrabiać; był to pierwszy teolog, co wszedł w dysputę z Ewą, pytając się: czemu Bóg tego a nie innego owocu jeść zakazał«.

Najciekawsze są rozmowy, toczone o kwestjach politycznych. Dowodzą one — słusznie zaznacza Tarnowski — niemalej bystrości autora, a nawet doświadczenia w sprawach dyplomatycznych. Tak np. Rozmowa czwarta mówi o traktatach w ogólności, o sposobie ich prowadzenia, o tem, czego potrzeba, żeby układy szczęśliwie doszły do końca. Żadnych niby rad, przestroóg i nauk, ale natura rzeczy jest tak dobrze pojęta i przedstawiona, że dyplomata mógłby tam znaleźć niejedną praktyczną regułę postępowania. Właściwe autorowi niedowierzanie przebija się i tu, kiedy mówi, że wszystkie negocjacje, konferencje i legacje to łapki i ślida, ale jeżeli jest w tem zbytek nieufności i ostrożności, to jest i prawda. A dalej dokładnie i dowcipnie redukuje powody wszystkich ludzkich układów do trzech rzeczy: potrzeby, nadziei i strachu. Bystro każe dyplomacie poznać te

powody i w każdym wypadku do nich postępowanie swoje stosować. Trafnie uczy, że każdy traktat ma w sobie dwie rzeczy, które znać i rozróżnić należy: Interes i Pretekst.

Jednego razu rozmawia Artaksess z Ewandrem o sympatji i antypatji. Rzecz ciekawa: płcze się tu jeszcze i astrologja, wpływ planet na ludzi i rzeczy. Charaktery ludzkie zależne są od planet, pod którymi ci ludzie porodzili się. Wszystko jest tu poparte cytatami ze sławnych astrologów i magików jak Mercurius-Trismegistes i mędrców starożytnych, Ptolomeusza, Plutarcha, Pisma św. Wiele ciekawych rzeczy o antypatji lwa i koguta, o sympatji ostryg do księżycy, antypatji czosnku do magnesu, a wszystko wytłumaczone w swoich powodach. Nawet te lekarstwa, z których nieświadomi się śmieją, nazywając je sympatycznemi, mają wpływ na człowieka, bo mają z nim związek, jako podległe tej samej planecie (konik morski, proszek na rany, kości z syreny). Są nawet sympatyczne czary i urok, czego autor sam doświadczył, widząc, jak pewien artylerzysta środkiem sympatycznym zepsuł działo nieprzyjacielskie. I nie są to bynajmniej czary — wszystko jest oparte na znanych i dowieść się dających prawach fizycznych — mniema Lubomirski, typowy w tym kierunku przedstawiciel XVII-go wieku.

Na szczęście są jednak w Rozmowach i rzeczy poważniejsze, np. w rozmowie siódmej, która szuka różnicy między sławą a chwałą. Różnica jest ta, że sławę można sobie zrobić ze wszystkiego, ale chwałę tylko z dobrego, tylko z cnoty. Rozróżnienie jest bardzo ładne: i zwierzęta bywały czasem sławne, jak koń Aleksandra Wielkiego, słynny Bucefał, jak słonie Pyrrhusa lub gęsi kapitolínskie. Podobnie i człowiek może być sławnym bez wartości i zasługi. Mniejsza jeszcze, jeżeli sława tylko jest marna i zmienna, ale jakże często sława bywa złą, a zbyt uczynna jej miłość do złego wiedzie!

»Do kogokolwiek autor te słowa ściąga — zauważa Tarnowski — niepodobna nie wspomnieć przytem o jego ojcu, do którego tak dobrze przystają«.

Na bliższą uwagę zasługują również »Rozmowy«: o Podejrzliwości (VIII-a) i o Radach (XI-ta).

Podejrzliwość — dowodzi Lubomirski — połączona jest w naszym charakterze najdziwniej z łatwowiernością. Nieraz przyprawia nas ona o prawdziwe szkody, i dlatego wszystko, co się jej tyczy, co ją zgłębić i poznać uczy, jest zajmujące i pożyteczne. Autor ma na myśli przedewszystkiem podejrzliwość w stosunkach prywatnych i tu ładnie dowodzi, że tylko ufność rodzi wierność. O podejrzliwości w sprawach publicznych mówi mniej, a to co mówi odnosi się raczej do podejrzliwości wyższych względem podwładnych niż do podejrzewania między równymi sobie lub podejrzewania wyższych przez niższych. Wielu spostrzeżeniom Lubomirskiego w tym kierunku trudno odmówić trafności. Doskonale opisuje on podejrzliwość i jako występki polityczny i jako źródło niepokoju i niewdzięczności, i wreszcie »jako początek bezbożności, która w podejrzeniu złożyła gniazdo swoje.«

W Rozmowie o Radach, która już bardzo wyraźnie stosuje się do Sejmów polskich, roztrząsa autor to wszystko, co je psuje i bezskutecznie czyni.

»Rada — mówi — jest najrzadsze i najprzedniejsze drzewo, powinna być zawsze bezpieczna, nikt się jej tykać ani rwać nie powinien, i pod zdrową i nlegwałconą radą, jako pod cieniem drzewa, każdy się wysypia; kto zaś kąsa owoc, nagość swoją odkrywa; a rzadki teraz, któryby pierwiej o skosztowaniu niż o zachowaniu tego owocu nie miał pomyśleć«.

Z kolei omawia Lubomirski chciwość, niezgodę, nieporządek i najgorsze ze wszystkiego — ambicję i Popularitas, za czem idzie długie opisanie przymiotów dobrego Radcy, zakończone mądrą w ostatku nauką, że »nie po chlebstwem ani pozorem stoi całość każdej ojczyzny«.

Jest nadto jedna jeszcze ciekawa rozmowa metafizyczna i teologiczna o duszy, w której autor sili się na zrozumienie i określenie jej istoty, a zaczyna od tego, że dusza, duch i umysł to jedno; uczy dalej, jak ją kształcić i doskonalić, wreszcie przypomina, że między Bogiem a duszą ludzką jest sympatja taka, jak między naturą a światem.

Za dowód, że żadna kwestja nie była Lubomirskiemu obcą ani obojętną, służyć może *Rozmowa trzynasta o wojskowości*.

Artaksess i Ewander roztrząsają tu różne kwestje praktyczne: o stosunku plechoty do jazdy i przeznaczeniu każdej z nich, o szyku wojennym, o właściwej każdemu narodowi organizacji wojska, a wszystko kończy twierdzeniem, że wojsko polskie jest najlepsze na świecie.

Dużo tu dobrych myśli, trafnych spostrzeżeń i dobrych uczuć, co dowodzi — stwierdza Tarnowski —, że »autor był człowiekiem i myślącym i oświeconym« a dzieło jego, chociaż miejscami śmieszny i bawny, jako świadectwo wyobrażeń czasu, to jednak w całości »liczy się przeciw do tych rzeczy w podupadłej naszej literaturze, które dowodzą, że była przecież w wleku XVII-tym i cywilizacja, i umysłowe zajęcia, i pewna wykwiintność w pojęciach i rozmowach«.

»Książka — określa trafnie znakomity historyk literatury — może nie być bardzo zabawną, ale Artaksess i Ewander są niewątpliwie ludźmi rozumnymi i cywilizowanymi«.

O wiele wyżej od *Rozmów* stoi jednak dialogowana rozprawa »*O znikomości rad*«.

Największy to bodaj tytuł Lubomirskiego do pamięci u potomnych.

»*Znikomość rad*« w XVIII-tym wieku cieszyła się nadzwyczajną poczytnością. Napisana po łacinie, wyszła z druku po raz pierwszy prawdopodobnie w r. 1699-tym p. t. »*De vanitate consillorum*« i doczekała się szesnastu wydań łacińskich i sześciu polskich.

Pierwszego przekładu dokonał w r. 1705-tym Albert Młczyński i wydał go w Toruniu u Jana Chrystyana Laurera, Bibliopolit, p. t. »Próżność y Prawda, Rady. Z Łacińskiego w Polskim Języku wyrażona«.

Książka ma za motto wyjątek z księgi VII-ej Herodota:

»Radzęć, królu, abyś dobrze rozważał, w czym największy jest zysk. Abowiem: chociaż inaczej się stanie, przecię jednak dobrze rozważono jest y uradzono, a przeżytyło szczęście radę. Kto zaś złą radę wziął, jeżeli mu szczęście posłużyło, on wprawdzie w żądaniu swoim ukontentowany; lednak z tym wszystkim źle poradzone jest«.

»Znikomość rad« — mówi Marylski — jest z punktu widzenia polityki praktycznej pracą zbytkowną wogóle zaś utworem, sączącym jad zwątpienia i rozczarowania, podkreślającym niłość, marność, próżnicę wszystkich wysiłków i rad«.

Książka, a właściwiej książeczka obejmuje 25 rozmów, które prowadzi Znikomość z Prawdą.

»Najpiękniejsza ze wszystkich rzeczy i najpożyteczniejsza jest Rada« — mówi Znikomość. »Przyznam — odpowiada Prawda — gdyby umiał człowiek zgadnąć, która mu się dobrze nada. Znikomość: »Ja wielce się kocham w radzie«. Prawda: »Nie pierwszym jesteś, któryś się w niej tak chwalebnie zakochał. Ja też o wielu wiem, którzy przez zakochanie się w radzie Państwo zgubili«. Znikomość: »Rada mnie wybawi«. Prawda: »Tak jako chorego wiele lekarzów, którzy w największej rady swojej pewności o śmierci jego odbierają wiadomości«. Znikomość: »Lecz dobrych konsyliarzów sobie obiorę«. Prawda: »Podobno z Metoskopii albo Chyromancji poznani będą«. Znikomość: »Ale obiorę sobie konsyliarzów doświadczonych«. Prawda: »Nlerychle doświadczenie — prędkie niebezpieczeństwo; dosyć nlerychło się dowiesz, z czyjej rady zginąć będzie potrzeba«.

W tym stylu i taką metodą wysła się Lubomirski z jakąś przedziwną przekorą na odszukanie odwrotnej strony każdego twierdzenia, każdego zdania. Jeżeli zaś sprawa nie nadaje się zupełnie do przenicowania w całości, to wówczas krytykuje i kwestjonuje jej szczegóły.

W rozmowach porusza wszystkie zagadnienia, wchodzące w zakres polityki czynnej, więc mówi o prawach, posłach i sejmach, o urzędach, podatkach, skarbie, wojnie, o pokojach i traktatach, nie tworząc jednak żadnego systemu politycznego, nie wyciągając z omawianych spraw żadnych wniosków. Bawi się każdym przedmiotem, jak żongler piłką, rzucając przytem jakby od niechcenia garść za garścią, zdania, pełne głębokiej znajomości natury ludzkiej i psychologii społecznej.

Trudno atoli o lepsze wskaźówki polityczne, jak te, które — o ile raczy — daje Lubomirski.

»Niezgoda złych, bezpieczeństwo dobrych« — mówi Albo: »Więcej przez ospałą zgodę zginęło: niezgoda żywiołów świata i żywota jest harmonją«.

»Wiedz, żeś jest panem, którego ta powinność jest, aby trzy litery te: P. P. P. zawsze oczami miał za symbolum: abyś się uczył pomagać, przecierpieć i przebaczyć. Ta bowiem jest panów powinność«.

»Widzisz, że najmocniejsze zwierzęta sama natura nauczyła pazurów nie tylko zużywać do bicia się, ale i po bitwie oneż zachować«.

»I za szpetną rzecz natura poczytała nie mieć zębów, nawet niechęcącym kęsać«.

»Nigdy bardziej obawiać się nie mamy nieprzyjaciela jako podczas pokoju«.

»Przy pogodnem niebie wygodniejsze jest chwytanie ptaków i przy uspokojeniu wód pewniejsze jest ryb łowienie«.

»I nic nie masz tak słabego, jak potęga na cudzych siłach zawieszona«.

»Nim ułożysz prawa, układaj ludzi!«

»Łatwiejsza dać naukę, niż obyczaje«.

»W rzeczach wielkich ten wleceją uczynił, kto mniej mówił« i t. d.

Do takich właśnie, którzy »mniej mówili«, chciał należeć autor »Znikomości rad«. Czy jednak należał?

Współczesny mu Andrzej Załuski przyznawał, że »zdania jego głębokie i krótkie więcej w sobie treści niżeli słów zawierają«. Wysoko także cenił Lubomirskiego dla zdrowego rozsądku i prawej miłości ojczyzny Kazimierz Brodziński. W III-ym liście o polskiej literaturze autor »Wiesława« tak mówi o Stanisławie Herakljuszu:

»Pisma jego z tem większą uwagą czytać i tem sprawiedliwiej sądzić będziemy, gdy zważymy czas, w którym je wydawał, okoliczności i doświadczenia, przez które przechodził w epoce nie już wolności ale swawoli szlachty, gdzie więcej na sejmach odzywać się poczęła szkolna erudycja, niżeli zdrowy rozsądek«. Tymczasem »wszystkie myśli Lubomirskiego są równie cierpliwego doświadczenia, jak bystrego dowcipu owocem i dlatego wytrzymają na zawsze wszelkie porównania i mierzyć się mogą z ozdobami literatury w tym rodzaju. Nie znaleźliśmy w zdaniach jego politycznych przewrotności, obłudy dworskiej i tych krętych dróg, które późniejsi politycy za prawe i mądre uznali, ale uderza nas roztropność i przezorność, których tylko wolność, ścieranie się zdań i prawdziwe obywatelstwo nauczyć może«.

Istotnie — tylko prawdziwy obywatel i to na miarę niepowszednią mógł głosić: »Nie to dobro ojczyzny wielorakiemi dowcipu wymysłami odbierać czas rzeczom i rzecz czasowi, lecz to, co potrzebne, prędko chcieć, co dobre, prędeziej uznawać, a co najlepszego, jak najprędeziej wykonać«.

A jednak patrząc na całokształt życia Lubomirskiego nie widzimy w nim wielkiego obywatela, wcielającego w życie głoszone przez siebie piękne i mądre zasady.

Przecież nie kto inny, ale on właśnie spiskował, jak wiemy przeciw Sobieskiemu, dokuczał złośliwie po śmierci króla królowej i królewiczom, nawet zalegał u dworu francuskiego o tron węgierski dla siebie. Pod pokrywą poety filozofa był więc w nim nieodrodny magnat polski, ze wszystkimi wadami tej warstwy przodującej i panującej nawet nad królami, i tylko pisarz tak gołębiego serca jak Brodziński mógł tego nie widzieć, przyjmując w dobrej wierze i z nieklamany zachwytem wszystko, czem go »Salomon polski« jako myśliciel podbił.

Urokowi temu łatwo zresztą ulec i dzisiaj, oddzielając pisma od osoby autora. Nie da się również zaprzeczyć, że w tych pismach jest Lubomirski wyższy od wielu współczesnych sobie. Umysł jego jest wykształcony, pomimo nieodłącznych od epoki przesądów i zabobonów, nawskroś europejski, smak jego jest wybredny, poczucie piękna w słowie i w obrazie duże, a pogląd na życie głęboki, wprost wyjątkowy w ówczesnym świecie szlacheckim, gdzie panował raczej typ, reprezentowany tak świetle czy to na polu bitwy, czy przy kieliszku, czy w »barokowej oracji« przez Imię pana Jana Chryzostoma Paska.

Nie dziw więc, że w tłumie takiej właśnie szlachty sarmackiej Lubomirski mógł sobie łatwo zjednać miano »Salomona polskiego«, niekoniecznie panegiryczne, jak chce prof. Maglera, ale będące wyrazem rzeczywistego podziwu dla wiedzy i talentu pana marszałka.

### Jan Chryzostom Pasek (1630—1701).

Wiek XVII-ty zostawił nam w puściźnie po sobie kilka pamiętników, które nie należą wprawdzie do literatury pięknej w ścisłym tego pojęcia znaczeniu, są jednak znakomitem źródłem do poznania epoki.

Pamiętniki takie pisali: Samuel Maszkiewicz, Łoś, Medeksza, nadewszystko jednak napisał je Imię Pan Jan



Chryzostom na Gosławcach Pasek, deputat z powiatu lelowskiego na koło rycerskie za króla Michała Korybuta, a pierwiej towarzysz pancerny.

Jemu zawdzięczamy, że szlachtę XVII-go wieku znamy na wylot, a jej życie domowe i rycerskie bez trudu możemy sobie odtworzyć.

Urodził się Imię pan Pasek około roku 1630-go, prawdopodobnie w Węgrzynowicach, pod Rawą, na Mazowszu. Uczył się u jezuitów, być może w Rawie (prof. Korbut). Pod dowództwem Czarnieckiego walczył przeciw Szwedom (1656), Rakoczemu (1657), brał udział w wyprawie do Danji (1658). W r. 1659-ym szczęśliwie wrócił do Polski i w następnym 1660-ym roku walczył z Moskwą na Litwie (bitwa pod Połonką). W wojnie domowej przeciw Lubomirskiemu stał po stronie króla (1666 roku bitwa pod Montwami). W r. 1667 opuścił wojsko i osiadł na wsi, w rawskim. W tym samym roku został komornikiem ziemskim rawskim, później krakowskim i proszowskim. Ożeniwszy się w tym roku z wdową Anną Łącką z Remlszowskich, przeniósł się w krakowskie, osiadł na wsi i chodził dzierżawami. Z natury pleńniacz, procesował się często z sąsiadami i krewniakami. W r. 1672 brał udział w pospolitem ruszeniu pod Golebkiem. W r. 1700-ym za pogwałcenie spokoju publicznego skazany został dekretem trybunalskim na banicję wieczystą, ale Polski nie opuścił. Umarł w r. 1701-ym (prof. Czubek). Pamiętniki, które zostały po nim, są fragmentami. Obejmują one okres od r. 1656—1688 i są rodzajem autobiografji Paska. Biografję tę po r. 1688-ym dopełnili Kraushar i Czubek.

Zwykłą losów kolejną rękopis Imię Pana Paska długo przeleżał w ukryciu.

Pierwszy zetknął się z nim i ogłosił urywki z pamiętników bez podania jednak nazwiska Paska, Franciszek Grzymała w czasopiśmie *Astrea* w r. 1821-ym.

W całości wydał je po raz pierwszy Edward hr. Raczynski (Poznań 1836).

Przez czas pewien uważano je za falsyfikat, jak się okazało jednak zgoła bezpodstawnie. Dzisiaj niema już żadnej wątpliwości co do tego, że Imć Pan Jan Chryzostom Pasek sam w podeszłych swoich latach wzięł za pióro i dzieje żywota swojego spisał. Czy prowadził przedtem jakiś diariusz — niewiadomo, chociaż staranność, z jaką gromadził wszelkie dokumenty, odnoszące się do swej osoby, jak listy, mowy, instrukcje, wiersze okolicznościowe itp. naprowadza prof. Chlebowskiego na przypuszczenie, iż tak było. Nie mamy jednak na to żadnych dowodów. Jakimże jednak cudem człowiek starzejący się mógł zachować w pamięci tyle szczegółów i tak w niczem ich barwy nie zatrzeć?

I tu prof. Chlebowski zdaje się trafnie szukać kłucza do tej zagadki w talencie oratorskim Paska.

O talencie tym świadczą dowodnie mowy, pomieszczone w »Pamiętnikach« (przedewszystkiem rozprawa z senatorami w Grodnie!). Ciągłe nadarzające się sposobności do publicznego przemawiania (sejmiki powiatowe, obchody pogrzebowe i t. p.) przyczyniły się do wydoskonalenia wrodzonej zdolności. Ubóstwo myśli, brak szerszego i głębszego poglądu na rzeczy nagradzała siła i obrazowość wysłowienia, a jeżeli jeszcze mówił pod wpływem silniejszego wzruszenia, wtedy zapominał zwykle o szkolnej erudycji i odrzucał mitologiczno-klasyczne porównania. Dzięki tej łatwości, dosadności i malowniczości swej wymowy był Pasek zapewne niezrównanym opowiadaczem własnych i cudzych przygód i facecyrj. Dotąd jeszcze — mówi Chlebowski — pomiędzy znikającymi już przedstawicielami życia, obyczajów i pojęć starszylacheckich spotykamy ten talent opowiadania wydarzeń własnego życia z taką malowniczością i humorem, że choć słyszymy to po raz dziesiąty, choć wiemy, iż ledwie połowa prawdy w tem

się mleści, słuchamy jednak z zajęciem i przyjemnością. Temu to głównie talentowi zawdzięczał niezawodnie Pasek swą popularność i powodzenie, zarówno po dworach szlacheckich, jak i w rezydencjach magnatów; wszędzie go skwapliwie zapraszano, serdecznie wltano i podejmowano, gdyż »gębą i konceptem« ożywiał i zabawiał całe towarzystwo.

Rzecz naturalna, że skutkiem częstego powtarzania jednych i tych samych opowieści wyrabiał sobie Imé Pan Jan coraz większą łatwość wysłowienia i coraz więcej wydoskonaliał samą formę, opuszczając to wszystko, co nie robiło wrażenia na słuchaczach, a kładąc tem większy nacisk na szczegóły i wyrażenia, przypadające im do smaku. Że tym sposobem wciśnęło się wiele dodatków i zaszło wiele opuszczeń, o to trudno gniewać się na Paska, który zapewne sam wkońcu zaczął wierzyć w prawdziwość swych zmyśleń. Ilekroć jednak wychodzi z roli opowiadacza, a usiłuje być pisarzem, wtedy znika cała prostota, życie i prawda z jego opowieści, a pojawia się panegiryczna nadętość i styl makaroniczny. Widzimy to w pochwałę Czarnieckiego, we wstęple do instrukcji, jaką napisał dla posłów rawskich, w panegiryku dla Lanckorońskiego, wreszcie w publicznych przemówieniach czy to na pogrzebie dwóch towarzyszy broni, czy też przy obłóczynach panny Stekllickiej.

Przekonywamy się stąd, jak wielki zachodził podówczas przedział między literaturą a życiem, jak fałszywy kierunek nauczania szkolnego zabójczo oddziaływał na rozwój literatury, odsuwając ją od jedyne go źródła, w którym czerpać mogła swe pierwiastki. Nic dziwnego przeto, iż społeczeństwo ówczesne tak mało interesowało się piśmiennictwem, w którym nie znajdowało pokarmu ni dla serca, ni dla umysłu. Żywa opowieść za to po-  
cłagała i zachwycała wszystkich.

Pasek mylił się wielce, mniemając, iż własnym czynom i przygodom zawdzięcza powodzenie swych opowiadań, lecz takie samochwalcze przekonanie stało się dlań

popudką do splsania tych arcydzieł samorodnego talentu. Słuchacze z zachwytem przysłuchiwali się jego opowieściom, bo każdy znajdował w nich barwne odbicie własnych wspomnień, każdy rozumiał i odczuwał uplastycznione żywym słowem wypadki i uczucia.

Rozpoczynając tedy w późnej starości swe Pamiętniki, Pasek przystępował do tego z dokonaną dawno już rzeczą; to też nie pisał on, lecz spisywał jedynie szereg gotowych, wykończonych już opowiadań, które usiłował w bardzo niedołężny zresztą sposób spłóć w całość autoblografji. Dzięki jednak właśnie temu niedołęstwu literackiemu mistrzowskie obrazy ówczesnego życia nie uległy żadnym przekształceniom i uszkodzeniom. Wielokrotne powtarzanie tak urobiło ich formę i tak wpoilo ją w pamięć Paska, iż spisywał je bez namysłu, jakby za własnem dyktowaniem.

W ten sam sposób powstawały pierwotne epepeje i pleśni ludowe: tworzący je poeta miał bowiem za współpracowników wszystkich, co przysłuchiwali się i powtarzali za nim te utwory; w ich zachwycie lub obojętności znajdował jedyną wskazówkę doskonałości lub błędów. Konieczność zatrzymania w pamięci i utrwalenia przez przechodzenie z ust do ust wytwarzała tę plastyczność, tę dosadność, prostotę i naturalność takich opowieści.

Tyle o formie »Pamiętników«.

Znaczenie ich literackie i historyczne polega dla nas głównie na tem, iż odbijają one życie narodowe (naturalnie szlacheckie) w całej pełni i barwności, odtwarzają je bowiem bezpośrednio, nie załamując jego promieni w pryzmacie jakichś wzorów i tendencyj literackich lub naukowych. Życie szlacheckie staje tu przed nami w całej swej nagości, bez idealnych blasków, które mu nie przyświecały wtedy. Przesuwa się ono przed nami nieledwie we wszystkich swych obrazach, tem łatwiejsze do uchwycenia, iż zewnętrzne tylko i jaskrawe. Nie potrzeba tu analizować uczuć i przekonań, by po-

znać człowieka; dość obserwować jego czyny i słowa. Nie należy zapominać tylko — dodaje słusznie Chlebowski — że Pasek był Mazurem i w swej autobiografii odmalował nam z całą wiernością typ szlachcica-Mazura.

Pod tym względem uważane »Pamiętniki« stanowią ciekawe świadectwo historyczne, tłumaczące nam w jaki sposób mazowiecka szlachta rozpostarła się po całym obszarze Rzeczypospolitej, roznosząc wszędzie swe obyczaje, pojęcia, wady i nałogi, które z prowincjonalnych stawały się narodowymi. Nie ulega wątpliwości, że w kolonizacyjnej energii tej szlachty i wywieranym przez nią wpływie szukać należy klucza do zrozumienia wielu ważnych bardzo zjawisk w dziedzinie naszej przeszłości, naszej literatury i naszych obyczajów.

W nieprzeliczonym zastępie ówczesnej szlachty — pisze Chlebowski w swoim studjum o Pasku i jego »Pamiętnikach« (»Pisma«, Tom III-ci) — tkwił potężny zasób sił i zdolności najróżnorodniejszych, które jedynie dla braku należytego pola i kierunku marnowały się bezpożytecznie lub wybuchały jaskrawymi fajerwerkami, zamiast trwale i porządnie zgorzeć w odpowiednio skoncentrowanych i do wyższych celów skierowanych ogniskach. Nauka i praca nie znajdowały nigdzie zachęty i opieki. W miarę wzmagającej się ciemnoty umysłowej i ubóstwa materialnego, średnia i drobniejsza szlachta traciła poczucie godności osobistej i obowiązków obywatelskich, troszcząc się jedynie o kawałek chleba i zaspokojenie ambicji jakimś honorowym urzędem lub tytułem, któryby podwyższył nieco przyćmiiony blask szlachectwa.

Zawód wojskowy stanowił wówczas dla biedniejszej młodzieży jedyną deskę ocalenia przed demoralizującym wpływem służby po pańskich dworach. Trudy i niebezpieczeństwa uszlachetniają człowieka, a poczucie osobistej zasługi wstrzymuje od poniżenia się; walka o interesy ogólne wytwarza szersze i wyższe pojęcia obowiązków

obywatelskich. Z drugiej znów strony służba wojskowa przedstawiała dla fantazji szlacheckiej pożądane bardzo pole. Ruchliwe życie, wesele i nieustanne towarzystwo różnych urodzeniem i pojęciami ludzi, swoboda w czasie pokoju, a luźny bardzo regulamin podczas wojny, pozwalały szlachcicowi polskiemu spełniać ten obywatelski obowiązek bardzo łatwym i przyjemnym sposobem.

Dobrowolną, a raczej samowolną ofiarnością, tym do wysokości zasady podniesionym nierzadkiem stała Rzeczpospolita póty, póki owej fantazji nawet w najszałeńszych wybrykach nie przestawały wyższe przyświecać cele.

Rodzicom Paska — z naciskiem zaznacza Chlebowski — należy się też słuszna wdzięczność, iż nie wahali się obrać dla swego jedynaka zawodu tak odpowiadającego jego zdolnościom, jak zawód wojskowy, że nadto nie szczędzili ofiar i zachęt, by go jak najdłużej utrzymać w służbie dla kraju.

Czy kierowała nimi myśl obywatelska, czy tylko naiwna wiara, że ukochany syn zdobędzie sobie jakieś wyższe godności, o tem wleźć nie możemy. W każdym jednak razie nie byli to ludzie małoduszni, i przywłącznie ich do syna nosi wcale podniosły i poważny charakter.

Rozumiał to sam Pasek, kiedy w »Pamiętnikach« swolch, oglądając się za siebie i szukając w pamięci rodziców, zapisywał, że gdy na wieść o wyprawie do Danji powszechnie »ojcowie pisali do synów, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać... ojciec mój, lubo mnie miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym Imię Boskie wzięwszy na pomoc, szedł śmieie tam, gdzie jest wola wodza, upewniając, że mi włos z głowy nie spadnie bez woli Bożej.« »Matka również — w innem mówi miejscu — lubo mnie jedynego syna miała, ale była tej fantazji, że od największych i najniebezpieczniejszych okazji nigdy mnie

nie odwozila, mocno wierząc, że bez woli Bożej nic z tego spotkać nie może człowieka».

Pelen zdrowia, sił i zapalu, dobry jeździec i rębacz, opuszczał młody Pasek dom rodzicielski na swym ulubionym deresz, z którym się razem wychowywał, pelen nadziei, że zdobędzie sobie świetną przyszłość.

Gorączkową zuchwałość i rwanie się do pierwszych szeregów wśród boju przyplacił jednak stratą ukochanego rumaka:

»Kiedym wsiadł na cię, tak mi się widziało,  
Że na mnie wojska sto tysięcy mało;

.....  
Tyś mnie donosić miał jakiej godności,  
A ja też ciebie dochować starości.

Wypadek ten nastąpił prawdopodobnie podczas bitwy pod Chojnicami w r. 1655-tym. Nie mając funduszu na konia, musiał Pasek obywać się jakimś niepozornym rumakiem, na którym »nie mógł wygodzić swej fantazji, gdy wojska staną w zwykłej batalji«.

Śmierci deresza zawdzięczamy jednak niewątpliwie utrwalenie jednego z najpiękniejszych rysów uczuciowych szlachty ówczesnej — jej przywiązania do konia. Ten afekt pana Paska do wlernego towarzysza, ten żal szczery po jego stracie, to łzą pokropione »Vale!« — wszystko to jest tak polskie, tak nieodrodnie nasze, tak wrośnięte w serce każdego Polaka, tego »urozonego kawalerzysty« według opinii innych narodów, że żaden psycholog, pragnący nakreślić obraz duszy narodu i uchwycić jej odruchy uczuciowe. nie byłby się wywiązał z zadania lepiej, niż ten przypadkowy pamiętnikarz, opisujący »błeg życia swojego i przywodzący sobie na pamięć w starych latach »każde czyny swoje«.

Idźmy jednak dalej.

Przekonawszy się, że zuchwałe zapędy prowadzą tylko do strat i ran, Imć pan Jan stał się widocznie powściągliwszym i ostrożniejszym, tak, iż o swym udziale

w wojnie 1656-go r. i o wyprawie przeciw Rakoczemu w r. 1657-ym nic nie ma do powiedzenia. Dopiero świetna kampanja duńska otwiera Paskowi wraz z całym rycerstwem pole do okazania niepospolitej dzielności i przymlotów żołnierskich, dostarczając zarazem »Pamiętnikom« całego szeregu ciekawych epizodów i wypadków.

Pierwszą sposobność do odznaczenia się daje młodemu towarzyszu pułku królewskiego szturm do duńskiej twierdzy, Koldyngi, zajętej przez Szwedów. Wiodczona przerwa w »Pamiętnikach« pozbawiła nas tu niektórych szczegółów; z dalszego jednak ciągu dowiadujemy się, iż z całej chorągwi jeden Pasek tylko okazał gotowość uczestniczenia w szturmie, i stąd jemu powierzono komendę nad ochotnikami z pośród czeladzi. Choć więc zawstydzeni tem starsi towarzysze namyślili się i pozostali z koni, ale »komenda przy mnie po staremu została — pisze nie bez dumy Pasek — bo mi już daną była dopóty, dopóki owi starsi żołnierze nie namyślili się na ochotę«.

Drugą, innego rodzaju sposobność do pokazania swoich zdolności nastęczyła Paskowi wkrótce trudna i niebezpieczna misja do miasteczka Ebelfeldu, które wraz z okolicznym okręgiem przeznaczone było na leże dla jego chorągwi. Ponieważ z powodu niebezpiecznego położenia nie mogło tam wojsko zająć kwater, przeto wyprawiono ochoczego i goniącego za przygodami Paska w celu wybrania pieniędzmi nałożonego na ludność ciężaru. Dowcipny podstęp, przy którego pomocy Pasek kontrybucję wybrał, rozniósł jego imię po całym wojsku i sprawił, że sam Czarniecki zwrócił na niego uwagę.

Śmiałość i rubaszna nieco, lecz szczerą wesołość młodego żołnierza zjednały mu łatwo życzliwość zarówno starszych towarzyszy w służbie, jak i mieszkańców Ebelfeldu, wśród których całą przepędził zimę wesoło i wygodnie, podziwiając cuda przyrody morskiej i używając przejażdżek wodnych. Był nawet wldzem i uczestnikiem



bitwy morskiej między flotyllą holenderską a szwedzką. Bywając zaś częstym gościem w domu bogatego szlachcica duńskiego, Dywarne'go, używał, jak pisze, »konwersacji tak milej, że i w Polsce lepszej by nie znalazł między krewnymi«. »Konwersował« oczywiście przedewszystkiem z panną Eleonorą Dywarne, której wdzięki podbiły go tak dalece, że zapomniał o pannie Teresie Krosnowskiej, podczaszance rawskiej, i żwawo uderzył w koperczaki do urodziwej cudzoziemki, gotów z nią stanąć na ślubnym kobiercu.

Rozkaz powrotu do obozu przerwał ten romans. Rozpoczęło się wahanie: zostać czy odejść. Ale »ochota jechania do Polski zwyciężyła«. Szaleń na tę stronę przechylił ostatecznie ks. Plekarski, spowiednik, który przełożył Paskowł, że rodzice panny nie pozwolą mu wyjechać z żoną do Polski, że pod wpływem otoczenia zostanie lutrem, zerwie z całą rodziną, straci duszę, a wszystkie bogactwa Dywarnów czemże są wobec zbawienia i dostatków królestwa niebieskiego?

Włęc, zapłakawszy tylko przy przejściu granicy na myśl, że tam, na północy, napróżno wyglądają jego powrotu, wierny syn Kościoła katolickiego zapomniał wkrótce o swoim afekcie.

»Nalwna otwartość — mówi Chlebowski — z jaką opowiada Pasek swe sercowe niepokoje i wewnętrzne walki, przedstawia nam dobitnie całe ubóstwo duchowego życia ówczesnej szlachty i odsłania tajemnicę tego przewybornego humoru i dziecinnnej pogody umysłu, niezamąconych ani cierpieniami krzepkiego ciała, ani też pragnieniami i walkami nierozbudzonego ze snu ducha«. A »dopóki człowiek nie wejdzie w siebie, nie zajrzy w niezmiernie głębokie własnego ducha, nie rozbudzi drzemających tam pragnień i uczuć, dopóty nie ujrzy blasku ideału, który ująć może jedynie oczami duszy. Jak samowiedza bowiem czyni nas dopiero prawdziwymi ludźmi, tak ideał dopiero nadaje sztuce nieśmiertelną trwałość

i uniwersalną doniosłość. Przeszłości naszej zbywało niestety, z wyjątkiem nielicznych głębszych dusz, na samowiedzy i ideale, bez których człowiek nie jest w możności pojąć i umiłować wyższych celów życia, doskonalić się umysłowo i moralnie.

Pan Pasek nie miał istotnie żadnego wyższego ideału życiowego. Nie przejmował się niczem głęblej, a skoro go smutek nawiedził, topił go w winie lub wypowiadał w pacierzach, które uspokajały jego serce i sumienie.

Dzięki takiej naturze rychło mógł przejść do porządku dziennego nad uroczystemi przyrzeczeniami, które go wiązały z panną Dywarne, i zaraz po powrocie potrafił wskrzesić w sobie dawny afekt do podczaszanki rawskiej.

Czując się w obowładku przywlezenia jej z dalekiej podróży jakiegoś daru, o czem naturalnie nie pomyślał w Danji, kupił jej po drodze, w Poznaniu, pultrynek (rodzaj szkatułki), wysadzany hebanem i perłową macicą i umieścił w nim — dar oryginalny — parę duńskich drewnianych lipowych trzewików. Ale niefortunny ów pultrynek, wręczony podczaszance przy śmiesznie nadętej mowie Ołtarzewskiego, przyjaćla (i swata zapewne) Paska, zamknął wraz z trzewikami i wystygłą miłość dawnego kochanka, któremu po wdzięcznej, wykształconej, wymownej i bogatej Eleonorze zbyt skromną musiała wydać się podczaszanka. To też, mimo nalegań panny, opuścił pan Pasek co rychlej strony rodzinne i do chorągwi powrócił. Odtąd nie spotykamy już w »Pamiętnikach« ani słowa wzięcej o tym stosunku i dalszych losów panny Teresy nie znamy.

Mądry nabytem w Danji doświadczeniem, umie sobie teraz radzić pan Pasek i pamięta dobrze o swym zysku i wygodach. Będąc wyznaczonym do rozpiływania gospód i rozdziału prowiantu dostarczanego dla chorągwi, korzysta z dobroduszości drobnej szlachty podlaskiej i wyciąga od niej mnóstwo darów i datków, »ż: choć-

byśmy byli nic nie wzięli na swoje poczty, tobyśmy się jednak mieli dobrze i wielu przy sobie pożywili. Wesołością swą, a zapewne i urodą zdobywał nadto Pasek wszędzie serca niewieście i tym sposobem zapewniał sobie wygodne życie. »Przystawstwo to — mówi — widziało mi się jednym dulem, że to w dobrym bycie i takiego drugiego przez całą służbę nie miałem, bo mi nawet i wozy naładowano takimi specjalami, jakich nie w obozie, ale przy domowych tylko wywczasach zażywają i do obozu pod Kozieradami przysłano.

Na uwieńczenie tej pomyślności trafiła mu się okazja do poplśniania się publicznego z talentem oratorskim, na ogólne bowiem życzenie kolegów przemawia w kościele, przy obchodzie pogrzebowym (w Siedlcach) dwóch starych towarzyszy, zmarłych jednocześnie z ran dawniej odniesionych.

Po tych pogodnych dniach nastąpił jednak cały rok burzliwy, pełen niemiłych dla Paska przygód.

Zaraz oto w obozie pod Kozieradami, dokąd przeniosła się chorągiew z pod Siedlec, trafiła mu się pljacking zwada i pojedynek z Nuczyńskim i Jasińskim.

Nie możemy tu iść krok za krokiem za autorem pamiętników i wszystkie jego przygody rejestrować. Pozna je nlewątpliwie każdy sam, bo nle może być Polaka, któryby z ochotą i radością nie wziął tej książki do ręki i nie przeczytał jej po wielekroć.

Nam idzie raczej o charakterystykę Imię Pana Jana Chryzostoma, jako ówczesnego szlachcica, jednego z wielu, w którym skupiły się zalety i wady stanu. Był on typowym tego stanu przedstawicielem, utożsamiającym wolność z samowolą. Niepohamowany temperament pchał go do awantur i czynił winowajcą wielu zająć, na które dzisiaj słusznie oburza się nasze poczucie sprawiedliwości. W wieku XVII-tym jednak, a i długo jeszcze później takie rzeczy były na porządku dziennym, a uderzenie kogoś w porywie gniewu obuszkami, wyrozumiale i łagodnie było przez opinję tłumaczone.

Taką przygodę miał za sobą i pan Pasek. Oto dowiadujemy się od niego, że w obozie pod Mohilewem zjawił się niespodziewanie niejaki Gorzkowski, towarzysz z pod chorągwi Branickiego, ze skargą na Paska o zabicie brata, który, uderzony przezeń obuchem, wkrótce potem umarł. Szczegółów tego wypadku nie znamy; to pewna tylko, że Pasek istotnie uderzył Gorzkowskiego i że ten wkrótce umarł »nie czyniąc mnie winnym przy śmierci«. Zbyt późne podniesienie tej sprawy, brak świadków całego zajścia nie pozwoliły skarżącemu przedstawić dowodów należytych i uzyskać rozkazu uwłężenia winowajcy. Czarniecki kazał tylko Paskowi »sprawić się ślubem więzienia«, że po skończonej wyprawie stawi się w miejscu uczynku na inkwizycją.« Dziękł życzliwość wodza, który, ze względu iż oskarżony, choćby nawet był winnym, to poświęceniem swego życia w tyłu bitwach i okazanem męstwem dostatecznie winę okupił, odprawił przybyłego powtórnie Gorzkowskiego, odsyłając go do trybunału — sprawa poszła w odwłokę. Pasek dotrzymał jednak słowa i stawił się na ową inkwizycję, lecz z powodu śmierci najważniejszych świadków, tudzież wadliwości ówczesnej procedury, zwałającej na krewnych zabitego obowłazek zbierania dowodów i świadków, słowem prowadzenia śledztwa, mającego udowodnić winę oskarżonego — sprawa cała skończyła się na niczem.

Pomimo jednak smutnego wypadku z Gorzkowskim, pan Jau nie przestał posługiwać się »obuszkiem«, o czem świadczą częste wzmianki w »Pamiętnikach«.

Drugim rysem charakterystycznym Paska jest jego — zaiste mazurska — umiejętność »urządzania się« i wyzyskiwania na swoją korzyść każdej sytuacji. W myśl przysłowia: »kot łowny, chłop mowny«, potrafi on za zawsze dać sobie radę.

Zatrzymany pod Grodnem i stawiony przed króla i senatorów dla wytłumaczenia się z ciężkiego zarzutu zamłaru buntowania chorągwi wlnych królowi, potrafi w świetnej swej mowie obronnej z oskarżonego przelsto-

czyć się w oskarżyciela i tak w obliczu króla napłętuować tych, co nie na polu bitwy po żołniersku krew za ojczyznę toczyli, ale »lancetem francuskim medyanę otworzywszy, krew rozlewali, albo ich cyrulki nieostrożnie golił, a przecie do chleba zasłużonych najbardziej się ciska«, że z więźnia stał się gościem królewskich pokojów, otrzymuje »ze szkatuły Swego Miłościwego Pana« 500 dukatów, list polecający do Czarnieckiego, tudzież list otwarty do miast i miasteczek, za którym miał otrzymywać w ciągu drogi do obozu wszelkie potrzeby dla siebie i dla 16-tu oddanych mu pod komendę dragonów.

Uzyskawszy od jednego razu pozycję, której usiłował dobić się długoletnią zasługą, nie spleszył się jednak Pasek do obozu, ale, jak na szlachcica z Mazowsza rodem przystało, wrócił »do pana Tyszkiewicza, gdzie była ochota i wielka pijatyka«. Bawi tam całe dwa tygodnie »w owej miłej konwersacji, w owych komplementach nawzajem, obiecując mi różne promocje, ofiarowując mi swoją siostrzenicę, pannę Rudominównę, dziedziczkę, która miała susbtaucji lepiej niżeli na sto tysięcy, tylko że dopiero dziewięćty rok była zaczęła«

Nietrudno się domyśleć, że owe »komplementa« i oświadczenia, czynione po pijanemu, nie doprowadziły do niczego i nie miały żadnego znaczenia. »Sam Pasek — przypuszcza Chlebowski — z pewnością nie wierzył tym obietnicom i powtarza je dlatego jedynie, że lubi się chwalić przy każdej sposobności«.

To samochwalstwo jest rysem znamionym Paska, jak było rysem znamionym całej szlachty ówczesnej, która lubiła chlubić się swojemi bliskimi »za pan brat« stosunkami z panami, co też panowie potrafili umiętnie na swoją korzyść wyzyskiwać, jednając sobie klientów »papką i solą«.

A cóż dopiero mówić o »konfidencji z królem«. Nie dziw, że zazdrościli tego Paskowi posłowie rawscy i łęczyccy, a on sam rozdęty tem w swojej próżności, obraził sobie po przybyciu do Warszawy, że król kazał mu bywać codziennie u siebie »dla konferencji«.

Błogie to były dla niego czasy! Pieniędzy posładał do zbytku, bo obok zasobów własnych miał otwartą dla siebie szkatułę królewską. To też »spokojny o przyszłość« na pa w a ł s i ę bezustannie z dworskimi, »jako to przy Warszawie prędko dostanie kompani i znajomości«.

Odtąd zaczyna się nowy zwrot w jego życiu i przekonaniach. Służba wojskowa traci dla niego powab i choć odprawia jeszcze kampanję 1663-go roku, jednakże zbywa ją w swoim opowiadaniu krótką już tylko i chłodną wzmianką. Natomiast zaczyna myśleć o zdobyciu »substancji«, o honorach i znaczeniu wśród obywatelstwa. I tu znów jest nieśmiertelnym, po wszystkie czasy żywym typem szlachcica polskiego.

Nie mając własnej siedziby, prowadził ruchliwe życie, przenosząc się ciągle z domu do domu. Lublany powszechnie dla swego humoru i towarzyskiego usposobienia, dla nieprzebranego zasobu przygód i facecyl, które umiał z werwą opowiadać, staje się odrazu duszą całej okolicy. Żadna zabawa, żaden obchód rodzinny lub publiczny nie może obyć się bez udziału pana Jana, który to jeździł jako swat lub družba na wesela, to głosi zmarłym pochwały na pogrzebach, przemawia przy obłóczynach klasztornych, marszałkuje na sejmikach, wreszcie omal że nie posłuje do Warszawy. Jednym słowem — stwierdza Chlebowski — stara się teraz urzeczywistnić m a z u r s k i i d e a ł dobrego towarzysza, który scharakteryzował w następnym czterowersu:

»Kto przy mnie za łeb pójdzie, pieniądze pożycz,  
Poradzi, a gdy jechać, siła mił nie liczy...  
To mi prawy przyjaciel, takiego szanuję,  
Tem czworogłem niech mi służy, ostatkiem daruję«.

A każdy szlachcic jedną z tych »czterech cnót« powinien mieć w sobie koniecznie«, dodaje Pasek, który istotnie w zwadzie szablą, w radzie wymową, przy biesiadzie humorem i kielichem, a w każdej »impresie« gotowością prym trzymał. Z tem wszystkim był on już

nadto »statecznym człowiekiem«, aby mógł dalej śledzić przy rodzicach i jeździć »od komina do komina«. Czas było pomyśleć o własnej siedzibie. Nie mogąc rachować na pomoc rodziców, musiał p. Jan w posagu żony szukać dla siebie podstawy bytu.

Z poszukiwań tych i z zawodu, jakiego doznał, pojawiający za małżonkę podstarzałą wdowę, Annę Łącką z Remiszowskich, zdaje nam autor »Pamiętników« dokładnie sprawę. Rozczarowany uczuciowo, z tem większą jednak energią i ochotą »urabia« sobie »substancję«, chodząc dzierżawami, gospodaruje dobrze i zboże sam spławia do Gdańska, gdzie je korzystniej od innych sprzedać potrafi. Ale jednocześnie po dawnemu jest wszędzie, gdzie zbierze się towarzystwo liczniejsze, gdzie przywabi go gwar, ochocza zabawa, pijatyka. To jego atmosfera, najmilsza dla niego rozrywka, acz niejedyna. Drugą jego słabość stanowi pieniacstwo. Na procesach mu nie zbywa, a w obronie praw swoich potrafi nawet do samego króla dotrzeć (proces z Myszkowskimi). Żelazne prawdziwie zdrowie i niewyczerpany zasób sił pozwalają mu siedem przeżyć krzyżyków, w których ciągu choruje tylko raz jeden »z przepicia dla nieszczęśliwej kompanii«, co pozbawiła go przytomności »na cały tydzień«. Po tygodniu jednak, zaledwie opuściła go gorączka nad ranem, wstaje odrazu, zjada »szczupaka na szaro i kwaśno« i duży garnek »gramatki«, każe sobie zaprząć do bryki i jedzie o 7 mil drogi do Wisły pilnować ludzi ładujących zboże, aby potem »puścić« się »razem z nimi wodą do Gdańska.

W tym ostatnim okresie swojego życia jest znów Pasek typowym przedstawicielem egoizmu i materializmu szlachty ówczesnej.

Niema w nim ducha obywatelskiego, a jeśli czasem odzywa się w nim powinność obywatelska, to głos ten tłumli myśl o samym sobie. Doświadczenia żołnierskiego, a później ruchliwego życia ziemiańskiego nie otworzyły mu oczu na prawdziwe interesy kraju i na smutne jego położenie.

»Choć w ciągu służby wojskowej — mówi Chlebowski — zwleka wszyskłe niemal prowincje Rzeczypospolitej, choć ociera się o magnatów, senatorów i do królów się zbliża, choć uczestniczy w tylu sejmach i sejmikach, elekcjach, konfederacjach, nie wynosi stąd przecież ni szerszego poglądu, ni surowszego zdania o coraz jaskrawszych objawach nierządu. Patrzy on na to z humorystycznej jedynie strony. Bawi go to niezmiernie, gdy pijana szlachta, naprzekór partji francuskiej, strzela do aktorów francuskich w Warszawie, gdy podczas rozruchu i strzelaniny przy elekcji Wiśniewieckiego zastraszeni senatorowie kryją się pod wozami i nazajutrz »po wstrząśnieniu smarowali się olejkami i hyacenty pill po przestרחu«. Porwani nieporównanym humorem opowieści śmiejemy się wraz z Paskiem z przestרחu senatorów, choć spojrzawszy poważniej na cały przebieg elekcji i położenie rzeczy, musimy żalować naszej chwilowej wesołości.

To samo bodaj należy powiedzieć o całych »Pamiętnikach«. Zachwycają nas one swoją narracją, radują pełnią tkwiącego w nich życia, bawią mnóstwem sytuacji i niemałą sprawiają rozkosz przemawiającą z ich kart nieśmiertelną psychiką szlachty polskiej, ale jednocześnie rozgorączkają nas do tej szlachty, uczą patrzeć krytycznie na przeszłość i oceniać ją pod kątem następstw, które stały się udziałem narodu, pokutującego długo za lekkomyślność przodków. Pod kątem tkwiącej w nich nauki rozpatrywane »Pamiętniki« Paska są jednak tem cenniejszem dla nas dziełem, szlachcic polski stoi w nich bowiem nie tylko jako typ, ale i jako przestroga, nie ulega bowiem wątpliwości, że to, co było złe w szlachcie stało się z biegiem czasu dziedzictwem całego narodu, już nie szlacheckiego tylko, ale obejmującego wszystkie warstwy. »Panów Pasków« nie brak nam dzisiaj i nie zbraknie zapewne nigdy. Zjawiają się oni zawsze tam gdzie gęsto krążą kielichy, gdzie »tańce, hulanka, swawola«.



Krótki wybór pism  
STANISŁAWA HERAKLJUSZA  
LUBOMIRSKIEGO.

Ecclesiastes

po hebrajsku nazwany Coheleth  
z Pisma świętego na wiersz polski przetłomaczony  
r. P. 1706.

Rozdział I.

*Vanitas vanitatum, omnia vanitas, dixit  
Ecclesiastes. Quid habet amplius homo?*

Marność marność wszystko jest na świecie,

Marność marą, co jedno świat plecie.

Niemasz pod słońcem nic doskonałego:

I coli prozę jest tak szczęśliwego?

Coby człek z prace i krwawego znoju

Zyskał pod słońcem, i użył w pokoju?

Rodzaj przemija, i rodzaj się rol,

A Niebo przecle aż na wieki stoi.

Wschod lotne Słońce wnet w Zachod obraca,

I na swe miejsce znowu się powraca.

I ledwo zajdzie prędko zatym wznidzie,

Aż przez południe do północy przydzie.

Lustrując wszystko duch wokół krąży,

I tam zkąd wyszedł prędkim pędem dąży.

Wszelka swe rzeka wody w morze wlewa,  
Samo zaś morze nigdy nie wylewa,  
A rzeki skoro w morze zapłynęły,  
Tam się wracają, z kąd początek wzięły.  
Ktoli to pojmie? i kto powie czemu?  
Kto to wywiedzie rozumowi swemu?  
Wszystko jest trudne i niedoścignione  
Ludzkiem dowcipem, co jedno stworzone.  
Nie napasie się oko swym widzeniem,  
Ani swym ucho ciekawym słyszeniem?  
Pytam co to jest? to co pierwej było?  
Jest to co z laty będzie się krążyło.  
To zaś co pierwej przed nami się stało,  
Już to się dzieje i będzie się działo.  
Nic jeszcze nie masz nowego pod Słońcem,  
Będzie początkiem to, co teraz końcem.  
Zadne stworzenie, choćby wieki żyło,  
Mówić nie może! jeszcze to nie było.  
Bo to, co nowe czasy nam podały,  
Tego dawniejsze wieki zapomniały.  
Niepamięć stare dzieje zagrzebała,  
A czegoż długo żyje pamięć trwała?  
Tego zaś co się będzie dzieć na potym,  
Nikt się nie dowie, zapomni świat o tym.  
Wiedzieć nie będą, czyśmy kiedy byli,  
Ci co ostatni będą po nas żyli.  
Ecclesiastem i królem się zwałem  
W Jerozolimie, ja, co to pisałem.  
Wzłąłem był przed się dochodzić wszystkiego,  
Chciałem umysłem, co jedno rzadkiego  
Świat ma pod Słońcem i co ziemia rodzi,  
Chcąc wiedzieć czemu? i co z kąd pochodzi?  
Tęć to uciechę złą i zbyt ciekawą  
Nadał Bóg ludziom, i tą ich zabawą  
Zwikłał umysły; aby się bawili,  
I nigdy szczerze nic nie dochodzili,

Wszystko widziałem, co jedno promieniem  
Słońce oświeca, abo co imieniem  
Ubogacilo mocne przyrodzenie,  
Wszystko to marność, wszystko utrapienie.  
Nie poprawi się zły, choćbyś go ćwiczył,  
A liczby głupich nikt nigdy nie zliczył,  
Mówilem w sercu i rzekłem te słowa,  
Otom jest wielkim! czegoż moja głowa  
Nie doścignęła? Był że kto przedemną  
Większy? i mogli porównać się ze mną?  
Głęboko wszelką mądrość uważałem,  
Wszystkom na wybor znał, wszystko umiałem,  
Serce nauce dałem i mądrości,  
Znałem się i na niedoskonałości,  
Alec w tym wszystkiem (rzekę) nic nie było,  
Coby umysłu mego nie strapiło.  
Wielka nauka z wielką pracą idzie,  
I nic bez potu ciężkiego nie przydzie.  
W długiej mądrości wielkie utęsknienie,  
Aż z ciekawością rośnie uprzyknienie.  
I tac jest sprawa samej Boskiej ręki,  
Że większy rozum ciężkie miewa męki.

### Rozdział III.

Omnia tempus habent, fuis spatiis tran-  
seunt universa sub Coelo.

Jest czas wszystkiego, wszystko czas obraca,  
Czasu każda rzecz na przemiany wraca,  
Jest czas, kiedy się nędzny człowiek rodzi,  
Jest czas, kiedy z kolebki w grob wchodzi,  
Jest czas szczepienia, jest co drzewa sadi,  
Jest inszy; co zaś wyrwacie radzi.  
Czas jest żelaza dawny, na zabicie,  
Jest i co leczy i co wraca życie.  
Jest czas, kiedy się rado wszystko pluje,  
Czas jest, kiedy się najlepiej buduje.  
Jest czas do płaczu, czas jest i do śmiania,  
Czas na frasunek i do tańcowania.  
Jest czas zbierania kamieni na ziemi,  
Czas rozrzucania i ciskania niemi.  
Czas uciech ciała, i czas zaniechania,  
Jest czas zgubienia i czas zaniedbania,  
Czas pilnowania i czas porzucenia,  
Czas jest zszywania, i czas rozerznienia.  
Czas milczeń każe, i czas do wymowy,  
Pobudza język łagodnemi słowy,  
Jest czas do serca, co zgody prowadzi,  
Czas jest, co się weń gniewać nie zawadzi.  
Czas co chce wojny, i czas co bez boju  
Wiedzie spokojne myśli do pokoju,  
Cóż ztąd ma człowiek? coby pracy jego  
Przyniosło korzyść z czasu tak różnego?  
Widziałem tylko próżne utrapienie  
Synów człowieczych, a czasu trawienie,  
Wszystko Bog dobrze wedle czasu sprawił,  
A świat daremny swarom ich zostawił.

Aby nikt nie znał końca ni porządku  
Rzeczy, które Bóg sporządził z początku.  
Doznałem, że ten władzie dni szczęśliwie,  
Który wesoło żyje i cnotliwie.  
Bo każdy co je i wesoło pije,  
A z pracy swojej dobrego zażyje,  
Ten szczęśliwością żyjących przechodzi,  
To dar mym zdaniem, co z Nieba pochodzi.  
To wiem, że wszystkie dzieła Boskiej ręki  
Nigdy nie zginą i trwają na wieki,  
I więcej człowiek przydać im nie może,  
Ani ich ludzka ręka nie przemoże.  
Ani im ujmie, co Niebieska dała,  
A to Bóg sprawił, aby go się bała  
Wszelka część świata; to zaś, co stworzone  
Bóg dał, to będzie trwało niewzruszone.  
A to co ma być już było przed nami,  
I Bóg przywraca co przeszło wiekami.

.....

---

### Tobiasz wyzwolony,

to jest księgi Tobiaszowe z Pisma świętego na wiersz  
polski przełożone i dwunastą osmorymowych pieśni  
wyrażone

#### Pieśń trzecia.

#### XIII.

Niech będzie Imię twe błogosławione  
O Boże Ojców naszych dobrotliwy,  
Który twe serce naszym rozranione  
Grzechem łagodisz w gniewie miłościwy,  
Nie na śmierć karząc, lecz na poprawienie,  
W sprawiedliwości swej niepopędliwy

A tej co z żalem przed tobą się kruszy,  
Odpuszczasz błędy utrapionej duszy.

XIV

Do ciebie Panie oblicze obracam,  
Jak wlec słonecznik za Słońcem się kręci,  
Do ciebie oczy ufające wracam,  
Jak Pelikana szukające dzieci.  
Do ciebie z sercem i myślą powracam,  
Jak lotny Orzeł, gdy do Słońca leci:  
Do ciebie zgoła, jak więc w zdroj Jelenie,  
Myśli me biegą i w morza strumienie.

XV.

Zdarz mi miłościw, abym z urągania  
Tak okrutnego które ja ponoszę  
Wolną żyć mogła bez prześladowania,  
O to do ciebie nędzna prośby wnoszę;  
A jeżeli godną twego zmiłowania,  
W tym byż nie mogę, przynamiej cie proszę,  
Weś duszę moją, albo niech odbieram  
Skutek twej łaski, albo niech umieram.

XVI

Wszak wiesz o Boże, zemci nie pragnęła  
Z wyuzdanemi Małżeństwa żądzami,  
I do rozkoszym żadnej nie przyłgnęła,  
Ani szukała męża z pochodniami,  
Ani do siebie chciałem go ciągnęła,  
Pochlebstwa, strojem, farbą, umizgami,  
Ale na myśli nie sadząc się lekki  
Chowałam umysł od żądze daleki.

XVII

Z igrzącemi nigdy nie siadała,  
Za okiem mając wszelkie zalotniki,

Wszystklem za brzytkość sobie poczytała,  
Igraszki, tany, piosnki, zartki, kwiki,  
Ład, skład, migania oczu, twarzy, ciała,  
Nie był mi sidłem na Izraelczyki,  
I głos nie wąblem i włos nie arkanem,  
Ani do serca żadna myśl taranem.

### XVIII

Alem w bojaźni twej a nie z chciwości  
Wziąć męża (jak się godzi) zezwoliła,  
Żadna mię żądza od twojej miłości,  
Nigdy o Boże moj nie odwozila,  
I albo oni mojej społeczności,  
Albom ja onych znać niegodna była,  
Alboś to z lepszym moim upatrował,  
I mnie inszemu mężowi zachował.

### XIX

Bo nie jest w ludzkiej mocy twoja rada,  
I temu, co chcesz, żaden nie przeszkodzi,  
Przez ciebie wszystko stoł i upada,  
Nic nie pomoże i nic nie zaszkodzi,  
Niech kto chce grozi, co chce zapowłada,  
Niech koło siebie by najpilni chodzi,  
Gdy się ty oprzesz, musi pojsć przez z pola,  
I weźmie nad nim gorę twoja wola.

## Pieśń szosta.

### II.

Kiedy Tobiasz z swym Kałauzem świętym  
Szedł w drogę pieszy, lecz nie opleszały,  
I coraz dalej gościńcem zaczęty  
Pędząc wesoło trawił on dzień cały,  
Nie tęsknił namniej z mężem z Nieba wzłętym,

Z którym godziny minutą się zdały,  
Nikt za nim nie szedł tylko pies w też tropy,  
Świadomy Pańskiej nie dopiero stopy.

III.

Tak idąc długo i nieuprzykrzenie,  
Póki mu tylko dnia jasnego staje,  
Patrzy przez miłe przebiegając cienie,  
Na cudze miejsca i rozliczne kraje,  
Widzi mlast i wsi różne położenie,  
Młja padoły, rzeki, gory, gaje,  
Aż na ostatek nad wody przychodził,  
Gdzie się skalami bystry Tygrys grodzi.

IV.

Rzeka podobna swemu imieniu,  
Słusznie zwierzęcym sroży się przezwiskiem,  
Tamten przeciwnych szuka jaskiń dniowi,  
Ta płynie ciemnym okropna łożyskiem;  
Więc bystrym szumem strasznym człowiekowi,  
Błęząc, pieni się jak i tamten pyskiem,  
A po równinach gęstymi kępami  
Pstry grzbiet odmienia, jak tamten pęgami.

V.

Przybliżywszy się do bystrego Tygra,  
Skrytą ścieszeczką Anioł go prowadzi,  
Gdzie cichy strumień z drobnym głazem igra,  
A lekkim spadkiem czyste wody gładzi,  
Nadchodzi wieczor, przytym droga przykra,  
Szukać noclegu towarzyszom radzi,  
Wychodząc ścieszką z cienistego borku,  
Ujrzą leżący domek na pagorku.



VI.

A niżej tego, większy dom do skały  
Przymurowany, koło niego płoty  
Nakształt ostrowia, w nich podworcek mały,  
A z boku w skale wykowane groty  
Niby plwnice, budynek zaś cały,  
Znać że gościnny, bo widać przed wroty  
Stół umajony, a wisi nad stołem  
Deszczka z napisem: Pod złotym Aniołem.

VII.

Zaraz się obom miejsce spodobało,  
Na odpoczynek z podróżnego biegu,  
Słońce też nadół koła nachylało,  
Wykierowane do morskiego brzegu,  
Zkąd gdy się w dalszą drogę iść nie chciało,  
Wygodniejszego nie czując noclegu,  
Wnet się zgodzili nogom pofolgować,  
I na obranym miejscu przenocować.

VIII.

Stanęli tedy nie długo czekając,  
I poszli z sobą do onej gospody,  
Ale mało co tam odpoczywając,  
Wyszli za wrota, chłodu i pogody  
Zażyć wieczornej, gdzie się przechadzając,  
Zszedł w bok Tobiasz do Tygrowej wody,  
Aby był sobie odpocząwszy z drogi  
Mógł omyć prochem ukurzone nogi.

IX.

Był tam brzeg rzeczny przyległy domowi  
Między gęstwiną zlekka pochodzisty,  
I szedł Tobiasz z gory ku dolowi,  
Kędy potoczek płynął przezroczysty,

Ten w rzekę wpadał prosto ku nurtowi,  
A Wir na głębiej wykręcał pienisty,  
Tam na leżącej blisko śladzszy kłodzie  
Nogi w Tygrowej płokać zaczął wodzie.

X.

Alić w głębiźnie z pod bliskiego krzaka,  
Wyścibia ryba łep rowny smokowi,  
Ostre ma zęby jako u szczupaka  
Pysk płaski i wąs podobny sumowi,  
Więc dziwna postać straszy nieboraka,  
I polecać się każe Aniołowi,  
Anioł to widzi woła, śmieie sięgni,  
A rybę nic się nie bojąc wyciągni.

XI.

Słucha Anioła, nie lęka się wąsa,  
I za skrzele ją na brzeg z wody wlecze,  
Ani go ryba jak rozumiał kąsa,  
Ale mdła leży, a woda z niej ciecze.  
I chociaż jeszcze ogonem wytrząsa,  
Wie jednak pewnie, że mu nie uciecze,  
Bo się nie rusza pod jego nogami,  
Tylko drga pluskiem i kiwa skrzelami.

.....

Pieśń siódma.

XXIX.

O gdyby takie lata się wrocily!  
Gdy więcej było cnoty niżli stroju,  
I gdy dom miewał dość swym wczasem mly,  
Pokojów mało, a sła Pokoju,  
Kiedy się oczom mniej blaski świecily,

A ręce miały większą korzyść z znoju,  
Wtenczas by było na jednym weselu,  
Więcej wesela, niż teraz na wielu.

XXX.

Skoro już miejsce było zgotowane  
Na odpoczynek poślubionej parze,  
Poszedł tam Raguel, mając zapłakane  
Oczy, i kazał też z sobą iść Sarze,  
Szła za nim płacząc, a lice różane,  
Czystego wstydu żywe Wirydarze  
Niosąc, zrzodłem je serdecznym skrapiała,  
A oczy skromnie spuszczone trzymała.

XXXI

Nie tak więc sidła sokoła lotnego  
Albo jelenia sieci rozstawione  
Wikłają tego: jako serdecznego  
Łapają wężuła oczy uskromlone ;  
Nie tak upały pożaru bystrego,  
Żelazo miękczą ogniem rozpalone,  
Jak wstyd z Panieńskiej pałający twarzy,  
Rostapia serce i miłością żarzy.

XXXII

Przez wstyd się piękność i cnota wydaje,  
Pocziwość chodzi w czerwonym kolorze,  
Słońce gdy z morza najpiękniej powstaje,  
Rumieniejące rozpościera zorze,  
Kwieciu ozdoby rumieniec przydaje,  
Wstydlivość z cnotą chodzi w jednej sforze,  
I co jest w sercu, to wstyd w twarzy wyda,  
Nleprawo czoło nigdy się nie wstyda.

.....

XXXV

Dopiero z płaczem napoly zmieszane  
(Folgując sercu) powściąga westchnienie,  
Ociera chustką oczy upłakane,  
Upada Ojcu do nóg uniżenie,  
I dzięki czyni niewypowiedzenie,  
Za rodzicielskie jej błogosławienie  
A w tym Pan młody do niej idzie właśnie,  
Ja też spać z Pieśnią, bo mi świeca gaśnie.

O znikomości rad.

Rozmowa II

O stanowieniu praw i statutów.

1. Znikomość. Naprzód układać będę Prawa.  
Prawda. Układaj ludzi zarazem. Łatwiejsza bowiem  
jest naukę dać, niż obyczaje.

2. Znikomość. Bż Prawa Rzeczpospolita stać  
nie może. Prawda. Mniej stać będzie, jeżeli prawami  
będzie pomieszana.

3. Znikomość. Kto nie broni grzeszyć, gdy mo-  
że, każe. Prawda. I owszem częściej naucza, kto zbyt-  
nie zabrania.

4. Znikomość. Dlatego postanowię Prawa, aby  
wiedziano, co jest zakazanego. Prawda. Bogdałby  
raczej nie wiedziano: wiele zabraniają; podali sposob do  
występków. Zakazujący nauczyli tego, czego się chronić  
trzeba było. Przestań (wierz mi) przez bronienie pobu-  
dzać do występku.

5. Znikomość. Ale postanowię Prawa potrzebne  
i przyteczne. Prawda. Podobno lepiejbyś powleźiał,  
że zdradę prawdy, usiwienie ludzi, zyski tłumaczy, za-  
wikłanie sędziów, pozorne udręczenie cnoty, uczciwe kaj-  
dany wolności. I któż, Prawa stanowiąc, na cnotę zu-  
pełny wzgląd miał, siebie samego zapomniał, o Rzeczy-  
pospolitej tylko myślał?

6. **Znikomość.** Napiszę Prawa różne. **Prawda.** Chciałbym wiedzieć jakie; jeżeli bowiem ciężkie? żaden ich nie przestąpi, ale wszyscy: jeżeli łatwe? te bez prawa zachowane będą.

7. **Znikomość.** Będę układał Praw wiele, różnym przypadkom służących. **Prawda.** Opatrzniejszym będziesz nad Mojżesza, szczęśliwszym nad Boga, który dziesięcioro tylko przykazania dał ludziom tak potrzebnego, któremu jednak nie wielu jest posłusznych.. Ty zaś tysiącami prawami twojami dokazać chcesz, aby jednostajnie wszyscy zachowali; łatwiejsze będą ludziom występki, niż Prawa. Mniej trudno będzie Prawami pogardzić, niżeli się ich uczyć. Ułożysz sobie Syneńskie abecadło, z trzydziestu tysięcy liter złożone; mądre przeszkody do cnot. Takich praw będą się obawiać wszyscy, lecz bardziej aby ich nie czytali, niżli aby ich nie przestępowali. Czas, który dasz Prawom, weźmiesz cnotom. Zakwitną Prawa, zwlednieją ludzie, gdy wszyscy myśleć będą tylko o niedosyćczynieniu, żaden o wykonaniu.

8. **Znikomość.** Postanowię Prawo na dumnochciwych, aby nie mogli mieszać przez ambicyą Rzeczypospolitej. **Prawda.** Wyniosłości chciwej nie poskromisz, swary wznieciysz; urośnie między Obywatelami sporka, nie ustanie ambicya. Ogień w prochnie zachowasz, płomienia mlechem nie zatłumisz; przeciw wiatrom żagle postanowisz. Nie oduczą się wszyscy chciwie ubiegać, nauczą się gniewać; munsztuku na chciwą ambicyą nie włożysz, a Rzeczpospolitą wzburzysz, i wydasz się z tym, że nie masz sił do powściągnięcia. Cesarz Rzymianom nie panowałby był, gdyby go o chciwą ambicyą nie oskarżono. Pompejuszowi winien był Królestwo, że jego ambicyą wyjawił, i potęgę rozdrażnił; ani dlatego i sam lepszym się stał dla Rzeczypospolitej, że Cesarzowi tajemnie i wstydliwie ambicyą się unoszącemu, oczywiście, i bez wstydu bardziej zazdrościł, niż zabraniał. Żaden bowiem chyba większą narabiający pychę, na drugiego pychę nie

uskarża się; niech wszyscy za amblicją udają się, aby żaden nie szedł za nią.

9. **Znikomość.** Prawo postanowie, aby Urzędy nie były dożywotnie. **Prawda.** Czego Urzędnicy dłużej czynić nie będą mogli, czynić będą częściej i prędzej Zabronisz, aby zdzierstwa nie odkładali na potym, będziesz pobudką, aby go co godzina czynili. Żadna władza nie jest cięższa ludziom nad tę, która jest w nadziei ustania. Krótkie powodzenie hamować trudna jest. Plato, aby dożywotnie były Urzędy w Rzeczypospolitej postanowił. Bog ludowi swemu wybranemu dożywotnych i nieodmiennych naznaczył Sędziów. Nic bowiem nie jest niesłuszniejszego, jako sprawiedliwość, i rządy, Rzeczypospolitej, które ugruntowane być powinny, ustawicznymi odmianami Urzędników mieszać. I któż na Wiosnę należycie uprawi rolę, którą w zimie opuścić ma, a podobno jego przeciwnik, albo nieprzyjaciel? Nikt nie kochał się w tym co czynił, że jest słuszne, ale dlatego, że to jego jest. Więc Prowincją będą rządzić zawsze sposobniący się do rządów, a nigdy doskonali? Nikt nie będzie kierował Rzeczpospolitą jak swoją, lecz jak cudzą? Zawsze zostawać będzie Królestwo między chciwymi i niedoświadczonemi, a między tak różnemi, i wieloma zawsze błędzącemi? Ani zostanie ludowi ta jedna za wiele szkód pociecha, aby mogli mieć jednego, na którego by się uskarżali? A co największa: łatwiej jednego cnoty Rzeczpospolita ukontentuje, niżli wielu występki poskromi; prędzej jednego nasyci chciwość, niż wystarczy pozwolonemu na przemiany łakomstwu.

10. **Znikomość.** Jednym słowem wybiorę Prawa najwyborniejsze, aby na niczym nie zbywało, czemby posłuszni być mogli. **Prawda.** Krótszego nauczę cię sposobu. Każ, czego pragniesz, aby się strzegli, zabraniaj tego, co chcesz, aby czynili.

## Reszty rękopisu

Jana Chryzostoma na Gosławcach Paska,  
deputata z powiatu Lelowskiego na koło  
rycerskie za króla Michała Korybuta, a pier-  
wej towarzysza pancernego.

.....

Sporządziwszy się tedy w domu, w sam fest Marcina Ś. wyjechałem z domu, koni dobrze pokarmiwszy i przykupiwszy; bo i pieniądze z łaski Bożej były Duńskie i ociec też dodał. Jadąc tedy tam, tedy potkałem się w Lisobikach z chorągwią naszą hussarską, gdzie Kossakowski porucznikował, która po wielu namysłach<sup>1)</sup> szła do związku. Tamże wiele krewnych moich zostało, musiałem z nimi spocząć kilka dni, alem się z moją nie objawił intencją, tylko powiedział, że jadę do Pana Kazimierza Gorzewskiego, stryja mego do Targonów pod Tykocin, który na Tykocinie był Komendantem i uwierzyli temu snadno wierząc, że to mój stryj; boby mnie byli mogli odwozić od tej imprezy, gdybym się był przyznał, a osobliwie cłoteczny mój Trzemski Stanisław, który tam był namieśnikiem. Odjechawszy tedy od nich zjechałem na pierwsze roraty pod Zieloną Puszcę do wsi, gdzie też był Imść Pan Stanisławski cześniak Warszawski a Dworzanin Królewski, który gdy mię obaczył w kościele, lubo mię przedtem nie znał, jednak jako człowiek ludzki, począł mię szczerze prosić, żebym u niego odpoczął, albo przynajmniej obiad zjadł. Kiedym się wymawiał, powiedziałwszy już szczerze gdzie jadę i z jakiej okazji odstąpiłem związku, tem bardziej prosić począł, chcąc mi zawdzięczyć w domu swoim, jako stronnik królewski<sup>2)</sup> i oblecując pisać do Dworu, żebym tam uznał

1) Post multas deliberationes.

2) Pars regalis.

wszelaką wdzięczność. Ze tedy nie mogło być inaczej wstąpiłem, gdzie wpadłem w taką ochotę, że i mnie i czeladzi i koniom było jako w raju; nawet szpyca mego na jedwabnym wezglówku posadziwszy u stołu, na srebrnych talerzach presto z półmisków jeść kładziono. A w tem przyjechał tamże Mazepa, pokojowy królewski. Kozak to był nobilitowany, z Warszawy jechał do Króla w Grodnie natenczas będącego. Tam tedy w posiedzeniu, że się różne o polityce<sup>1)</sup> dyskursy prowadziły, z których jakąś mojej osobie pretendując godność, taką głowę sobie naładował opinią, mówiąc, że to nie podobna, aby ten człowiek bez tajemnych zamiarów<sup>2)</sup> miał jechać w Litewskie i Białoruskie kraje. Jechałem ja tedy powoli, on zaś do Króla skoczył z wielkim pośpiechem<sup>3)</sup>, i chcąc się przypochleblć opowiedział: Ten towarzysz związkowy z pod chorągwie Pana Wojewody udaje, że to do Rotmistrza swego, na Biało-Ruś przebieiera się, ale że ze wszystkich circumstancyi<sup>4)</sup> niepodobna (\*) . . . . .

zasłużonym, bo go w ręku dobrze zasłużonych<sup>5)</sup> ledwie dziesiątą część widzę. Już ja połowę ojczyściej mojej uroniłem substanciej, już nieraz, wiadomo to jest całemu wojsku i wodzowi memu, nie skąpo dla ojczyzny uroniło się krwle; jużbym się też zgodził dobrze zasłużonych<sup>6)</sup> choć reglestr zawlerać, a przecie nie dostało mi się

1) In statu.

2) Sine mysterio.

3) Magnis initeribus.

4) Okoliczności.

(\*) W oryginalu 9 kart brakuje. Wnosić jednak można z tego co następuje, że Pasek udany przez Mazepę za posła od związkowych do Litwy, został schwytyany i stawiony przed senatorami w Grodnie jakoż następuje jego własna obrona.

5) In manibus bene meritorum.

6) Bene meritorum.



i wielu inszym odemnie zasłużeńszym tego pokosztować chleba. A takich wlele widzę, którzy lancetem Francuzkim medianę<sup>1)</sup> otworzywszy krew rozlewali, albo ich cyrulik nieostroźnie golił; a przecie do chleba dobrze zasłużonych<sup>2)</sup> najbardziej się cisną, nie pracując nań, najpierw go jeść, panem z niego zostać, a potem uboższych uciskać<sup>3)</sup>. I dobrze zasłużonym<sup>4)</sup>, na sejmach i sejmikach insultry<sup>5)</sup> robić, i w zasługach od siebie lekceważyć. Rzecz pospolita i Majestaty, jaki z nich mają emolument<sup>6)</sup>. A to taki: sejmy i sejmiki zatrudniać interesami prywatnemi, promowując swoje interesa, zabierając czas publicznych akcyi, niepotrzebnemi zbytkami i bankietami, chleb z garła wydarty ludziom zasłużonym, obracając na fackie, korupcie i dochodzenie swoich interesów; do skarbu Rpltej drzeć się oślep jak kotka do mleka, a skoro się cokolwiek zamarszczy fortuną, albo najmniejsza jawi przeciwność<sup>7)</sup>, skoro im wdzięcznych nie stanie fawoniuszów a przykre dmuchają akwilony, do cieplic z gęsiami, zapomniawszy starania<sup>8)</sup> około ojczyzny, uciec za granicę i w cudzoziemskich miastach dać się szargać jako cygani. W domu lwy, za domem liszki<sup>9)</sup>. Mamy tego niedawno próbę, wojnę szwedzką: kiedy już srożyć się<sup>10)</sup> fortuna i wszystko burzyć poczęło<sup>11)</sup>; kiedy nas ościennych narodów<sup>12)</sup> prawie wszystkich spólnie i ra-

1) Żyłę.

2) Bene meritoram.

3) Opprimere.

4) Bene meritos.

5) Zniewagi.

6) Pożytek.

7) Adversitas.

8) Curam.

9) Domi leones.

10) Saevire.

11) Et cuncta miscere coepit.

12) Vicinarium gentium.

zem<sup>1)</sup> ścisnęła potęgą<sup>2)</sup>; kiedy na ryzystencyą tak ciężkim impetem nieprzyjacielskim, już nie garści zhukanego wojska, (lecz) tak wielu sturęcznych<sup>3)</sup> trzeba było na succurs Tyfeów<sup>4)</sup>; siłaż się obrało tych zelantów? żeby mieli w potrzebie<sup>5)</sup>, radą i substancją podierać już upadłą ojczyznę? siłaż się ich garnęło do boku Pańskiego? Widząc go opuszczonym od wszelkiej nadziei i rady<sup>6)</sup> każdy w swą, każdy w nogi, oprócz niektórych, a bardzo niewielu poczciwych i dobrych Senatorów i Panów, którzy albo Pańskiego trzymali się boku, albo wojska, które jako odyniec w kniei zmykając się z miejsca na miejsce wewnątrz<sup>7)</sup> jednak ojczyzny, okrutnym ucinało się brytanom, aż dopiero jak Bóg łaskawem na nas wejrzał okiem jak trochę ojczyzna otrząsnęła się z biedy, dopiero Panów zelantów do obrony ojczyzny odzywa się ochota. Po czasie każdy gotów<sup>8)</sup>. Aż dopiero jak z myszej jamy przybyło zębów na chleb, lubo z konia Trojańskiego<sup>9)</sup> nie było rąk do obrony. Takim było łuszczybochenkom spodziewać się, że kiedykolwiek od wojska, a ledwie nie za tą okazją, będzie na nich gar; bo ciężko dziełnemu rumakowi, gdy go nikczemny od żłobu odjada osiel. Wiem ja to bardzo dobrze, że to mię potkało uwięzienie za zdaniem rady<sup>10)</sup>; ale jeżeli ta rada<sup>11)</sup> jest zbawienna<sup>12)</sup> majesta-

1) Simul et semel.

2) Potentia.

3) Centimanos.

4) Typhoeos.

5) In necessitate.

6) Omni spe et consilio destitutum.

7) Inter viscera.

8) Sero molunt Deorum molae, dosłownie: późno mielią młyny bogów. Erazm Roterd. tłumaczy w Zbiorze przysłów: Zawykroczenia choć późno, doścignie kara. Pasek niewłaściwie to przysłowie wtrącił.

9) Ex equo Trojano.

10) Captivatio ex consilio.

11) Consilium.

12) Salutare.

towi i ojczyźnie, uzna to świąt. Bo jeżeli to za cnotę i miłość moją przeciwko ojczyźnie potyka, niewinnego mię kamieniują<sup>1)</sup>: jeżeli jako posła i to przeciwko prawu narodów, przeciwko prawidłom sprawiedliwości<sup>2)</sup> ponieważ: cokolwiek nie było roztrząśniętem, za sprawiedliwość poczytane być nie może<sup>3)</sup>. Jakąkolwiek z tych dwóch intencją, widzi się to zrazu temu co grzeszy, że bardzo dobrze czyni, bo wykraczającym nawet pozór cnoty jest pożądanym<sup>4)</sup>. Ale końca patrzeć. Jam jeden z 60 tysięcy wojska, którym tak uczynił nie z żadnej potrzeby, nie dla żadnego występku<sup>5)</sup>, ale z samej tylko przeciwko ojczyźnie miłości, żem porzuciwszy wczasy i owe które teraz najlichszy towarzysz może mieć, wygody, idę na wojnę, idę w kompanią, choć przykrej zimy nieuważając niepo-god<sup>6)</sup>; tam idę gdzie się biją, tam gdzie krew za słodki liquor piją. Pochwalił mi ten postępek ociec mój, chwali-li interesanci domu mego i ci wszyscy co dobrze życzą ojczyźnie, prawie z zaręczeniem<sup>7)</sup>, że mi się to jakoś od ojczyzny miało nagrodzić wdzięcznością, aleć poczęło się już widzę nagradzać, kiedy mi na dobrowolnej drodze wśród lasa zastąpiono, porabowano i do więzienia wsadzono, kiedy mię jak do Rzymu Afrykańskiego (Jeńca) na tryumf wprowadzono. O jakież to srogie zwycięstwo<sup>8)</sup> jednego wszystkim zwojować, wszystkim nad jednym pastwić się i urągać! Tameno tam, gdzie sześćdziesiąt tysięcy szabel błysnę w oczach z tym prezentować się męztwem, nie tu nad jedną osobą. Będzie to wleźniało wojsko,

1) *Innocuus lapidor.*

2) *Contra jura gentium, contra regulam justitiae.*

3) *Quidquid non discutitur, justitia non putatur.*

4) *Vel peccantibus, virtutis species prima jucunda est.*

5) *Excessu.*

6) *Injurias.*

7) *Cum assecuratione.*

8) *Victoria.*

jak w mojej osobie poniesionej upominać się wzgardy<sup>1)</sup>, Bo lubom nie konfederat, alem żołnierz równo z nimi do zasług należący; lubom nie poseł, ale kiedy jako posłowi ten dyzhonor uczyniono, zamlar stoł za skutek<sup>2)</sup>. Nie z Jaskólskiego to związkiem igrać wtenczas kiedy lepsza część<sup>3)</sup> wojska była za morzem, wszystkie to w kupie są siły, które mogą i pomódz i zaszkodzić<sup>4)</sup>. W czyich rękach jest oręż w tych mocy i ocalić i zgubić Rzeczpospolitą<sup>5)</sup>. Wróćę się do wojska, będę umiał opowiedzieć, jakiej mają za krwawe zasługi spodziewać się wdzięczności; będę umiał upomnieć się każdemu, kto taką na mnie i całego w osobie mojej wojska przykroił ferezłą. A teraz przed niebem i ziemią oświadczam się,<sup>6)</sup> w krzywdzie mojej, i tego com dla ojczyzny uczynił szczerem żaluję sercem. Gdy występki korzyść przynoszą grzeszy, kto dobrze czyni<sup>7)</sup>.

Skorom tedy przestał mówić, jaki taki z senatorów osobną na mnie poczęł formować inwektywę i każdemu się trzeba było odcinać. A naprzód Podkanclerzy Litewski w ten sens, przewiskiem Naruszewicz (Alexander): »Gdy mi przychodzi tej mowy uważyc treść<sup>8)</sup>, widzę że ta justifikacja<sup>9)</sup> bardziej obwinia<sup>10)</sup>, niżeli uniewinnia<sup>11)</sup>; bo zapierasz się tu Waść związku, powiadasz żeś nie po-

---

1) Contemptu.

2) Intentio pro facto.

3) Potioritas.

4) Et prodesse, et obesse.

5) In quorum manibus arma sunt, in eorum potestate est conservare et perdere Rempubicam.

6) Protestor.

7) Dum vitia prosunt, peccat qui recte facit.

8) Essentiam.

9) Usprawiedliwienie się.

10) Accusat.

11) Excusat.

seł, a za związkiem mówisz i za wojskiem rzecz<sup>1)</sup> trzymasz, tak jakoby formalny poseł więcej czynić i mówić nie mógł. Już teraz i ja sam lubom tego nie do końca rozumiał, nie zgrzeszyłbym posądzeniem, biorąc miarę, że takiemu konceptowi niepotrzeba kredensu<sup>2)</sup>, ale się to wszystko może zmieścić w głowie, co na papierze miało być wyrażone. Druga racja: wielkie czyni mi podobieństwo, że hultaje jacyś od wojska Litewskiego, żołnierzy J. K. Mości poszarpali, stąd widać<sup>3)</sup>, że wiedzieli o tem. Trzecia, że tak hardzie każesz nam senatorom niedowierzasz i króla obrażasz<sup>4)</sup> przez co samo jesteś nieprzyjacielem ojczyzny i winnym zbrodni obrażonego Majestatu<sup>5)</sup>. I więcej mówił obszernie, ale cudzych słów i sentimentów trudno wyrazić od słowa do słowa<sup>6)</sup>. Na co ja powiadam tak: »Sprawiedliwe są i prawie, rzecz mogę, wielkiego Senatora Konsideracie: bo i ja sam gdybym był na tem miejscu zasiadał, pewniebym W. Mściłm Pana w podobnych odniesionych okolicznościach<sup>7)</sup>, inaczej nie sądził. Na które konsideracie takie daję usprawiedliwienie<sup>8)</sup>: Na pierwszą: dziękuję ojcu memu, że mi z młodu nie kazał cieląt pasać; a do tego jest to doświadczona prawda<sup>9)</sup>, że potrzeba rozum ostrzy<sup>10)</sup>. Na drugę sprawiać się nie powinienem, ale ci którzy to czynili, że mię odgromić chcieli, ani mię widząc, ani znając, ale czynili to podobno rozumiejąc<sup>11)</sup> żem ten jest jako

1) Rem.

2) Pełnomocnictwa.

3) Apparet.

4) Diffides et Majestatem Saedis.

5) Hostis Patriae et reus criminis laesae Majestatis.

6) Exprimere de verbo, ad verbum.

7) Circumstancjach.

8) Justifikację.

9) Practicatum axioma.

10) Necessitas acuit ingenium.

11) Supponendo.

mię udano, to jest poseł. Że ich zaś W. M. Pan hultajami mianujesz, nie wiedziałem dotąd, żeby w tak zacnym narodzie Xięstwa Litewskiego mieli znajdować się hultaje; bo ich w naszym wojsku niemasz. Do trzeciej tak mówię konsideraczej: rozumnemu od swojej osoby każdej rzeczy trzeba brać proporcją. W. M. Panu przy nienaruszonej poczciwości, gdyby zadano żeś zdrajca Rzeptej; gdyby przy niewinności jawnej, na dobrowolnej drodze prawem nieprzekonanego wzięło, uwłężiono<sup>1)</sup>, suklenkę zguby<sup>2)</sup> obleczono, racz mię proszę nauczyć W. M. M. Pan, jakim umysłem<sup>3)</sup> takową przyjmowałbyś zniewęgę<sup>4)</sup> Jeżeli mi W. MM. Pan powiesz, żeby to szlachetnemu sercu<sup>5)</sup> ciężki musiał być afront; a toć przekonanie<sup>6)</sup> że i mnie, który z każdym dobrym równać się mogę urodzeniem i poczciwością. Jeżeli mię to tedy turbuje, ale mię nie konfuduje, ponieważ czuję się być niewinnym. Największa pociecha nie znać się do winy<sup>7)</sup>. A choćby też i winnym był, nic tu nie pomoże dobremu, choćby czy wypłukał, kiedy jest od złego w honorze i reputacie; ukrzywdzony. Nie powinno to nigdy konfudować niewinnego, choć kto przeciwko prawu i sprawiedliwości ozuchwała się<sup>8)</sup>, bo to czyni na własną głowę<sup>9)</sup>. Myśl dobra w nieszczęściu jest połową nieszczęścia<sup>10)</sup>: tak mądrzy powiadają. Co do zbrodni obrażonego Ma'jestatu<sup>11)</sup> szkodzić mi nie będzie i Katonowa cenzura, prędzej kto

---

1) Incarcerowano.

2) Perditionis.

3) Quo animo.

4) Kontumelią.

5) Generoso pectori.

6) Conscientia.

7) Maximum solatium est racare culpa.

8) Insolescit.

9) In suum caput.

10) Bonus animus in re in dla nimidium est mali.

11) In crimine laesae Majestatis.

może wpaść niżeli ja prywatny. Bo ja tu nie mówię do Pańskiej osoby; nikt tego nie doczyta się w sercu mojem, żebym miał brać w złem rozumieniu<sup>1)</sup> łaskawe J. Najjaśniejszego Majestatu panowanie, szczególna tylko, godzili się tylko wymówić, do tej mojej zniewagi<sup>2)</sup> przyłączyła się łatwowierność<sup>3)</sup>. Co, że pochodzi z wygórowanej złości<sup>4)</sup> ten winien kto oskarżył, nie ten kto mię bije; do tych mówię, którzy mi tego narobili, którzy w Radzie<sup>5)</sup> byli i tu mnie inkarcerowali. Com tedy mówił, to i teraz mówię (słowo wymówione cofnąć się nie może<sup>6)</sup>), że się każdemu w urodzeniu sobie równemu upomnieć będąc umiał.

Mam sejmiki, mam trybunały, mam koło generalne dwojakom obywatel<sup>7)</sup>), bom i szlachcic bom żołnierz; słów nigdy swoich zaprzecić się nie umiem. To mam za cnotę, tego wzdrygają się uczciwe usta<sup>8)</sup>.

Ozwie się na to Pac (Plotr) Wojewoda Trocki podobnym, jeżeli mogę pamiętać sensem:

»Jestto rzecz prawdziwa, że to mnsi być boleśno, kiedy kogo jaka potyka dolegliwość, w których terminach choć kto ostrzej<sup>9)</sup> wymówi, nie jego (wina), ale tego który go do tej przywozdił niecierpliwości. Bo tak powiedają, że żal nie ma uwagi. Jeżeli tedy przy niewinności nie bardzo mam za złe; jeżeli zaś ten Jgmość i winien i tak zuchwale<sup>10)</sup> każe, już nie prostem, ale dworacz-

1) In reprobum sensum.

2) Kontumelii.

3) Accesit credulitas.

4) Exabundantia malitiae.

5) In Consilio.

6) Nexcit vox missa reverti.

7) Utraque civis.

8) Hoc mihi pietas, hoc lingua odit.

9) Licentiose.

10) Imperiose.

nem trzeba to nazwać grzechem, w którym już i zbrodnia obrażonego Majestatu<sup>1)</sup> i ujmą naszej Senatorskiej, jako we zwierciadle reprezentuje się, powagi. Też jednak co i Jmść Pan podkanclerzy M. Pan i brat, mając przed oczyma<sup>2)</sup> konsideracie, bardziej go winnym niżeli nlewnym być sądzę«. I zaraz do mnie obróci apostrofę: Odpowiedasz tu nam Wszmość wojskiem, grozisz jakąś zemstą i obiecujesz wrócić się nazad do związku. A wieszże, jeżeli ztąd wynidziesz zdrowo? A pytałeś się, jeżeli ztąd pozwolą wynieść z głową? A zaż to takie procedery<sup>3)</sup> nie garłem pachną? Sami się do tego przyczynimy i nalegać będziemy<sup>4)</sup> do króla Jmści, żebyś ztąd nie wyszedł ladajako, że takie uszczerbki, które spotykają od osoby nie tak też bardzo i poważnej i zasłużonej; bo same to okazują<sup>5)</sup> lata«. I dalej dosyć obszernie mówił.

Na co ja odpowiadam temi słowy:

»Przyznałeś to W. M. Pan, jako jest rzecz ciężka przy niewinności tak wielką, ponosić kalumniją; przyznajesz W. M. i to, że cokolwiek ma w sobie żalu serce to język jako jego naturalny tłumacz<sup>6)</sup> światu ogłasza, a przecie W. M. Pan dodajesz strapionemu strapienie<sup>7)</sup>, z pismem tedy zapytać się muszę: Jeżeli dobrze rzekł, przeczeż mię bijesz?<sup>8)</sup> Grozisz tu mi W. M. Pan śmiercią — jestto wszystkich żyjących wspólne prawo: ktokolwiek na świat wychodzi, już na śmierć jest przeznaczony<sup>9)</sup>. Sta-

1) Et crimen laesae Majestatis.

2) Prae oculis.

3) Postęпки.

4) Instabimus.

5) Interpres.

6) Interpres.

7) Afflicto afflictionem.

8) Si veritatem loquor vult me caedis? Ev. ang. apud Joan. C. XIII. c. 23.

9) Communis regula: quisquis ad vitam editur, ad mortem destinatur.



remi to W. M. Pan straszysz mnie awizami<sup>1)</sup>, które nie wiem jeżeli nie prędzej dojdą WM. Pana gabinetu, niżeli mego szafaszu, jeżeli nie będą WM. Panu straszniejsze za złocistym pawilonem, niżeli mnie na ubogim żołnierskim wołoku. Kto wojnę służy, już ten jest wzdarcielem śmierci<sup>2)</sup>, bo onej szuka, nie ona jego. Szukałem już śmierci, choć w młodym wieku moim i za Dniestrem i za Odrą, i za Elbą, i koło Oceanu i Bałtyckiego morza. A Wśc. Mój wielce Mściwym Pan, podobnobyś się obszedł choćby się z nią i nigdy niepotykać. Ja zaś nie dbam, bo wiem że życia tego taka jest kolej<sup>3)</sup>. Wygnanie, płacz, boleść, są to obowiązki życia<sup>4)</sup>. Jeżeli umrzeć, to umrzeć byle dobrze; a lepsza podobno śmierć być nie może nad tę, która kogo przy niewinności potka, za cnotę i miłość ojczyzny, bo jeżeli to jest czyn zasługi<sup>5)</sup>, ginąć dla ojczyzny, ginąć od synów ojczyzny, od ojców ojczyzny; ale jaki tego może być pożytek<sup>6)</sup> końca pa-trzać. Chcąc się ojczyźnie Perseusz przysłużyć piszą tam: zabił węża z którego szyi krople krwi spadające niezliczone zrodziły gadziny<sup>7)</sup>. Nie ugasił nikt krwią moją niewinną zapalu tego, który ktoś niezyczliwymi radami<sup>8)</sup> niewiem jeżeli nie na zgubę naniecił ojczyzny. Za niewinność moję ujmie się Bóg, wojsko i moja uboga parantela<sup>9)</sup>, bo mi nie trudno o krewność, dawno się czując, że jest szlachcicem. Poleże głowa, zostaną zęby, i ja-

1) Nowina, wiadomości. Linde s. v.

2) Contemporis mortis.

3) Sequentia.

4) Exilium, luctus, dolor; tributa sunt ista vivendi.

5) Actus meritorius.

6) Emolumentum.

7) Occidit, anguem, e cujus collo guttae cadentes, in numeros genere colubros.

8) Malerolis consills.

9) Rodzina.

każkolwiek pamiątka zmlenia<sup>1)</sup>. Nie nowina to pod słońcem. Potykały podobne terminy wlekkich imion<sup>2)</sup> osoby. I znakomici mężowie woleli zawsze żyć umysłem niż ciałem<sup>3)</sup>. Tych tedy wszystkich postrachów niewinność moja lękać mi się nie każe i nadzieję nie tracić. Chory dopóki jeszcze oddycha, ma nadzieję<sup>4)</sup>. Większe jest miłosierdzie Boskie niżeli całego świata furya. Właściwa Bogu tych zasłaniać, których godnymi być sądzi<sup>5)</sup>. Ze zaś osoba moja, w oczach WM. Pana nie ma, jako WM. Pan mienisz, powagi, cóż z tym czynić? Lata i szarża moja terażniejsza, takiej nie potrzebuje powagi, żeby to odęwszy się w krzesło, jako pajak. Bywa to czasem, że i te wysokości równają się z niżkością. Kto ostrożny, i na starą obręcz nie nastąpi, kto rozumny, i najpodlejszego lekceważyć nie powinien. Nikim gardzić nie należy, w kim dostrzedz można jakichkolwiek śladów cnoty<sup>6)</sup>. Znowu tenże rzecz: Ile słów, tyle nikczemności<sup>7)</sup>, albo raczej rzekę urągań<sup>8)</sup>. Kto słyszy, przyznać to snadnie może, że nie taką obwinionemu należy czynić justifikatłą<sup>9)</sup>, nie takimi exacerbować<sup>10)</sup> Majestat i Senat insultami; nie tak mniej potrzebnemi narabiać jak-tanciami<sup>11)</sup> wymawiając swoje przeciwko ojczyźnie zasługi<sup>12)</sup>.

1) Nominis recordatio.

2) Magnorum nominum.

3) Ita semper, illustribus viris, animo vivere longe antiquius fuit quam corpore.

4) Aegrotus, quamdiu animam habet, spem habet.

5) Dei proprium est protegere, quos dignos judicat.

6) Nemo est contemnendus, in quo aliqua virtutis significatio apparet.

7) Quat verba, toto miseriae,

8) Tot scommata.

9) Usprawiedliwienie.

10) Rozjątrzać.

11) Chełpliwość, przechwałki.

12) Merita.

wyliczając expedyce, miejsca, rzeki, oceany; a nie wiem czy to tak było, czy nie było. I my też bywali na morzu i za morzem, a przecię tego nie wspomnamy. (Powiedział tu jakąś sentencją, ale jej nie pamiętam, do materiej jednak wyrzutów stosowną<sup>1)</sup>). Lepiej dla ojczyzny nic nie czynić a nie wymawiać; a choćby też kto jako najwięcej dla ojczyzny uczynił dobrego, jeden zły postępek te wszystkie niweczy<sup>2)</sup> zasługi, kiedy kto raz ją wynosi, drugi raz poniża; raz się jej pokaże synem, drugi raz pasierbem; a źle uczyniwszy jeszcze chełpl się<sup>3)</sup> i stanom Rzeczypospolitej kurzy pod nos; ale na taką hardość dostanie wieżę i miecza.« Na co ja znowu taką daję replikę:

»Insza to rzecz być obwinionym, a insza winnym; ja się widzę być obwinionym, ale nie czuję się być winnym, i dla tego też ja bronę niewinności. Niewinność za mną mówi<sup>4)</sup>. W Bogu mam nadzieję, że w tym od-męcie nikt ryb nie nałowł. Zasług przeciwko ojczyźnie nie wymawiam, - ale je tylko przypominam, dając je na szalę uwagi<sup>5)</sup>, jeżeli mi za nią taka jaka jest obecnie<sup>6)</sup> należała nagroda<sup>7)</sup>«.

»Jeżeli się komu w zasługach moich jaka czyni wątpliwość czy to tak było, czy nie było? świadczą blizny na piersiach<sup>8)</sup> poniesione; jest tak wiele commilitonów<sup>9)</sup> molch, co mię w tem wyświadczą, ci co tam byli, co na to patrzali. Ten trudno tego miał widzieć, kto w domo-

1) Exprobrationis, competentem.

2) Annibidat.

3) Gloriatur.

4) Pro me militat.

5) In lancem considerationis.

6) Ad praesens.

7) Recompensa.

8) Cicatrices adverso pectore.

9) Towarzystwów broni.

wych wczasach siedząc, jadł ostrygi, ślimaki i tertafole<sup>1)</sup>, czy kto był, czy nie był na morzu i za morzem; o tem controwertować<sup>2)</sup> nie chcę i owszem, łatwo wierzę, bo suknia wskazuje jakimi w sercu jesteście<sup>3)</sup>. Ale przecie insza to jest natura podróżowania<sup>4)</sup>, uczyć się: pierla Italiano, pierla franciezo, a insza uczyć się verdo mien hasto!<sup>5)</sup>, insza to słuchając wdzięcznej melodiei uczyć się baletów, kapreolów, tańców<sup>6)</sup>, szykując podkasałe nóżki jako z rejestru; a insza słuchać klangoru<sup>7)</sup> marsowej kapelle; insza rozlewać słodkie likwory, insza rozlewać krew.<

Dla ojczyzny<sup>8)</sup> żem zawsze czynił ile mogłem<sup>9)</sup>, w tem się czuję; przeciw ojczyźnie<sup>10)</sup> zaś ani przedtem, ani teraz i dla tego mianować się mogę bezpiecznie synem jej, a nie pasierbem. Prędzej bym podobnie między ojcami ojczyzny<sup>11)</sup> domacał się ojcymów, których knowaniami<sup>12)</sup> wyniszczona i do ostatniego ubóstwa<sup>13)</sup> przyprowadzona Rzpta; których pokrzywdzeniem w najgłębszej Demokryta<sup>14)</sup> utopiona sława jej studni<sup>15)</sup> męztwem<sup>16)</sup> zaś, dziel-

1) Zapewne trufle, które podług Lindego zwano i tartofle.

2) Sprzeczać się.

3) Indicat vestis quales intrinsecus estis.

4) Peregrinationis.

5) Z niemieckiego: Wer da? Kto idzie? Wołanie żołnierza na strażę. Co znaczy: mien hasto, dojść trudno, może men astiramento, w skrót. men'asto, wolnym krokiem.

6) Kapreol, kabryol, kapryol, skok. Linde s. v.

7) Dźwięku.

8) Pro patria.

9) Quantum potui.

10) Contra patriam.

11) Inter patres patriae.

12) Quorum machinationibus.

13) Etad ultimam egestatem.

14) Quorum iniuriis in profundissimo Democriti.

15) Puteo.

16) Virtute.

nością wojska z labirintów tak ciężkich wyprowadzona i restaurowana. Dalekich nie szukając dowodów, szwedzka wojna jakiej narobiła szkody i konfuzji ojczyźnie, szwedzką wojnę kto zaś zbudował? — złe rady pośrzedniego stanu <sup>1)</sup> a sąd Radziejowskiego niesprawiedliwy; a w czem niesprawiedliwy, nie tłumaczę, bo do świadomych mówię<sup>2)</sup>. A jeżeli wojnę zacząć, to ją na dobrym zacząć fundamencie, żeby koniec nie konfundował początku i żeby tego co zaczęliśmy nie żałować, czego jest widoczny konterfekt<sup>3)</sup> wojna szwedzka. Przypomnieć sobie wolno, jak nam ciężka była rzecz, odstąpić delicyj domowych zbiorów i majątności, a cudze za granicą pocierać kąty; przypomnieć przeciwnie<sup>4)</sup>, jak miło, choć już z wyniszczoną skarboną powracać do rodziny<sup>5)</sup>, i powitać domowe bogi<sup>6)</sup>: Któż to sprawił? Pewnie nie ten, który za granicą siedział, pytał: co się tam w Polsce dzieje. Ale kto? Bóg przez narzędzia<sup>7)</sup> ordynansów swoich, przez ręce i dzielność wojska, przez fatygę i czułość dobrych wodzów; albo raczej w liczbie pojedynczej<sup>8)</sup> mówiąc: jeden człowiek przez zwłokę naród nasz ocalił<sup>9)</sup>. Teraz zaś z konfederacją albo grzeźniej<sup>10)</sup> mówiąc z związkiem terażniejszym jakoby postąpić; obaczę jeżeli go tak prędko rozwiąże ten, co go związał. Jest to węzeł Gordijski<sup>11)</sup>, i dwiema

---

<sup>1)</sup> Mala consilia ordinis intermedii, t. j. pośredniego między królem i stanem rycerskim, a więc Senatu.

<sup>2)</sup> Scientibus loquor.

<sup>3)</sup> Obraz.

<sup>4)</sup> E converso.

<sup>5)</sup> Ad propia.

<sup>6)</sup> Lares.

<sup>7)</sup> Per instrumenta.

<sup>8)</sup> In singulari.

<sup>9)</sup> Unus homo nobis euctaudo restituit rem. Eunius u Cicerona o starości w rozdz. IV.

<sup>10)</sup> Politius.

<sup>11)</sup> Nodus Gordius.

palcami związać go było snadno, ale po chwili nie da się rozwiązać i zębami; kto go zawiązał winien Bogu i ojczyźnie. Wołał tam kiedy pobożny Monarcha na nie dobrego administratora: »Warusie, wróć mi legiony.«<sup>1)</sup> Trzeba by naszej Rzptej, osobliwej przeciwko tym Warusom<sup>2)</sup> animadwersiej<sup>3)</sup>: Zdajcie sprawę<sup>4)</sup> wojny szwedzkiej, którąście prywatnie przeciwko Bogu i Prawu exorbitującemi<sup>5)</sup> rozniecili okaziami, wróćcie Bogu od ich odszczępleńców poczynione w świątnicach kontempty<sup>6)</sup>, wróćcie popalone i z ziemią zrównane miasta, pałace i zamki; wróćcie szlachcie<sup>7)</sup> poniesioną oppresją<sup>8)</sup> i stracone substancje; wróćcie z tej okazji tak wiele rozlanej krwi i zgubionych ojczyźnie synów oddajcie; wróćcie na wieki niezmazaną Majestatowi i całemu narodowi konfuzją. Do obecnego<sup>9)</sup> zaś stanu<sup>10)</sup> mówiąc: nagrodź<sup>11)</sup>, oddaj, wróć ubogim ludziom krwawą pracę, zabraną od gęby sztukę chleba, i ostatnią prawie kroplę wyssanej krwi, wróć Bogu restauracją świętej jego sławy; wróć ojczyźnie Smoleńska, Kijowy, Siebieże, Zadniepra i dalsze granice. Czyj to jest plód<sup>12)</sup>, na tego nowego trzeba plekła, nowe i niezwyčajne wymyślić męki<sup>13)</sup>, na tego wołać ostrego

1) Vare legiones redda! Suetonius w żywocie Augusta C. XXIII.

2) Contra tot Varos.

3) Kary.

4) Reditte rationem.

5) Uciążliwemi.

6) Zniewagi.

7) Nobilitati.

8) Ucisk.

9) Ad modernum.

10) Statum.

11) Redde.

12) Partus.

13) Crutiatas.

miecza, i okrutnej katowskiej ręki. Bo niżeli się związek rozwiąże, tymczasem się nieprzyjaciel zmocni, i inaksza być może szczęśliwości rewolucja; a potem wytarguje na nas nieprzyjaciel to, coby my na nim mieli, gdyż taka u nas moda; wybiwszy nieprzyjaciela, zwykliśmy zawsze dać basarunek<sup>1)</sup>.

Do ojcymów tedy mówię ojczyzny, to sobie waruję<sup>2)</sup> nie do ojców, nie do pocziwych Senatorów. Kto się czuje być nożycami, ten się niechaj uważa jeżeli chce; ja zaś żem nigdy nie był pasierbem, ale synem ojczyzny-matki mojej, i być nie mogę, choćbym chciał, bo żem jest z rodowitej<sup>3)</sup> dawnych Polaków krwi<sup>4)</sup>, nie cudzej ziemi, przewoźny szlachcic, tego by mi wrodzona nie dopuściła miłość. Na tych tedy dobrych konsyljarzów zachować te wieże i mlecza pogroźki, bo się ja ich nie boję. I choćby niebo runęło, niezłęknionego przywałą gruzy<sup>5)</sup>.

Jeszcze tedy po mowie mojej niektórzy zabrali się mówić, ale żem to przy dokończeniu rzekł: kto się czuje nożycami, ten się o tem niech uraża, (które przysłowie<sup>6)</sup> jest pospolite<sup>7)</sup> i wszystkim władome, jakoby ich makiem zasypał, tak milczeli. Król zaś za portyrą<sup>8)</sup> słuchając

1) Nagroda za bicie, nawiązka. Linde s. v.

2) Praecustodio.

3) Ex nativo.

4) Sanguine.

5) Et si coelum ruet impavidum ferient ruinae. Zmienione owe prześliczne słowa Horacjusza: Si fractus illabatur orbis, Impavidum ferient ruinae. Carminum, Libro III. Ode. 3. v. 7 et 8.

6) Dictorium.

7) Tritum.

8) Portyera, zasłona u drzwi, firanka. Linde s. v.

jako zaś powładano, okrótnie się śmiał, mówiąc: »Takiej matki syn, realista jakiś, prawdę im mówi. Choćby był i prawdziwy poseł, nie kazałbym go dla tej samej cnoty konfundować.« Ale mi to aż po czasie powiedziano.

.....

---







RT.



F

~~23 23 1/2~~  
23 23 1/2